

Joanne Harris
DZENTELMENI
I GRACZE



Prószyński i S-ka


59




W prywatnej szkole dla chłopców im. św. Oswalda właśnie rozpoczął się nowy rok, a wraz z nim przyszły zmiany – niemiłe widziane zarówno przez uczniów, jak i część nauczycieli. Światem rządzą komputery i biurokraci, więc Roy Straitley, ekscentryczny wykładowca łaciny, zaczyna – acz niechętnie – rozważać możliwość przejścia na emeryturę.

Problem w tym, że za typowymi utarczkami, drobnymi wojnami podjazdowymi i codziennymi kryzysami obecnymi w życiu każdej szkoły, czai się nowa, mroczna siła, napędzana ukrytą, ale od piętnastu lat starannie pielęgnowaną nienawiścią do Świętego Oswalda.

Kim jest Kret, tajemniczy szpieg, którego facecje stają się coraz okrutniejsze i pełne przemocy? I czy stary, na wół zapomniany skandal może stać się kamyczkiem, który poruzy lawinę i powali giganta?



Joanne Harris



Joanne Harris, autorka bestselleru „Cielonolady” (Polszczyzna i S-ka, 2000), laureatka prestiżowej nagrody literackiej Whitbread Award, pol Angielka, pol Francuzka. Choć jej mieszkańcy stała w Anglii, opowiada głównie historie inspirowane jej we Francji. Jej książki zostały spopularyzowane dla szerszej publiczności dzięki wspaniałym w jej nagromadzonych i najbardziej skomplikowanym przejawom.

Cena 36 zł

Informacje o naszych księgach
www.polszczyzna.pl

ISBN 83-7467-343-6



9 788374 693436

Joanne Harris

DZENTELMENI
I GRACZE

Przełożyła
Katarzyna Kasterka

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału:

GENTLEMEN AND PLAYERS

Copyright ©Frogspawn Limited 2005.

Ilustracja na okładce:

Copyright © Stuart Haygrath

Redakcja: Magda Koziej

Redakcja techniczna:

Jolanta Trzcińska-Wykrota

Korekta:

Bronisława Dziejic-Wesołowska

Łamanie:

Ewa Wójcik

ISBN 83-7469-343-6

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Druk i oprawa:

ABEDIK S.A.

61-311 Poznań, ul. Ługańska 1

Dla Dereka Frya
jednego ze Starej Gwardii Absolwentów

Każda szkoła to niekiedy niezła rzeźnia.

Geoffrey Willans, „Down with Skool!”

PIONEK

Ostatnich piętnaście lat nauczyło mnie jednego - morderstwo to żadne wielkie halo. To jedynie abstrakcyjna bariera: arbitralna i pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia, niczym linia wyrysowana patykiem na piasku lub wielki napis: OBCYM WSTĘP SUROWO WZBRONIONY, wymalowany na tablicy wystrzelającej w powietrze na podobieństwo gigantycznego wartownika, ustawionej przed podjazdem prowadzącym do bramy szkoły imienia świętego Oswalda. Do naszego pierwszego spotkania doszło w parę miesięcy po moich dziewiątych urodzinach i tablica wydawała się wówczas górować nade mną złowieszczo, niczym okrutny dręczyciel.

OBCYM WSTĘP SUROWO WZBRONIONY
NIEUPOWAŻNIONE WTARGNIĘCIE POZA TĘ GRANICĘ
JEST POGWAŁCENIEM PORZĄDKU PUBLICZNEGO
I GROZI SANKCJAMI ADMINISTRACYJNYMI

Inne dziecko pewnie odstraszyłyby podobne słowa. We mnie natomiast ciekawość wzięła górę nad instynktem samozachowawczym. Jakie sankcje? I jaka granica? Ale przede wszystkim - co się stanie, gdy ją jednak przekroczę?

Oczywiście szkoła była dla mnie obszarem zakazanym. Mieszkaliśmy w jej sąsiedztwie od sześciu miesięcy, a ta reguła należała do najważniejszych na liście przykazań ustanowionych przez Johna Snyde'a i rządzących moim dzieciństwem. Nie bądź mazgajem. Pilnuj swego. Pracuj ciężko, baw się na całego. Kilka głębszych jeszcze nikomu nie zaszkodziło. I, przede wszystkim: Trzymaj się z daleka od Świętego Oswalda, co niekiedy przybierało bardziej kwiecistą formę: Trzymaj się, do cholery, z dala od szkoły, bo gorzko pożałujesz, gówniarzu. Powyższym przykazaniom towarzyszył często prawy bądź lewy prosty w ramię. Owe proste miały być kumplowskimi gestami, ale i tak

boląły. Cóż, rodzicielstwo nie należało do najmocniejszych stron Johna Snyde'a.

W każdym razie przez kilka pierwszych miesięcy nie przyszło mi do głowy, żeby wypowiedzieć posłuszeństwo i złamać zakaz. Ojciec był niebywale dumny z nowej pracy w charakterze Naczelnego Portiera. Powtarzał, że Święty Oswald to taka wspiana, wiekowa szkoła z tradycjami, o doskonałej reputacji, i że na dodatek zamieszkamy w Starej Wartowni, w której przed nami mieszkaly niezliczone pokolenia portierów. W letnie wieczory mieliśmy popijać herbatę na trawniku, i w ogóle otwierało się przed nami nowe, piękne życie. Niewykluczone nawet, że mama do nas powróci, gdy się dowie, jak świetnie nam się teraz powodzi.

Jednak mijały tygodnie, a żadna z zapowiedzi się nie spełniała. Stara Wartowania okazała się budynkiem objętym nadzorem konserwatora, z niedużymi oknami przeszklonymi szybami w kształcie rombów osadzonych w metalowych ramkach, które wpuszczały do środka bardzo mało światła. Wewnątrz zawsze cuchnęło wilgocią, a na dodatek nie pozwolono nam zainstalować talerza do odbioru telewizji satelitarnej, bo obniżyłby estetykę budynku. Większość mebli była własnością Świętego Oswalda - ciężkie dębowe krzesła i zakurzone kredensy - przy których nasze własne meble, wyniesione z obskurnego, socjalnego mieszkania na osiedlu Abbey Road, wyglądały tandetnie i nie na miejscu. John Snyder całe dni poświęcał pracy, więc jego dziecko w ekspresowym tempie musiało się usamodzielnic. Domaganie się czystej pościeli czy regularnych posiłków uchodziło za mazgajstwo. Do tego doświadczenie szybko mnie nauczyło, że w sobotnie wieczory zawsze trzeba zamykać się w pokoju na klucz i że pod żadnym pozorem nie należy zwracać ojcu głowy w weekendy.

Mama nigdy nie napisała ani jednego listu. A ponieważ jakiegokolwiek wzmianki na jej temat także uchodziły za mazgajstwo, więc po pewnym czasie twarz mamy stała się w moich wspomnieniach niewyraźną, nieokreśloną plamą. Ojciec trzymał pod materacem flakonik perfum, jakich zazwyczaj używała, i kiedy robił obchód terenu lub szedł do pubu z kumplami, niekiedy udawało mi się zakraść do jego pokoju i tymi perfumami - nazywały się „Cinabar” - spryskać swoją poduszkę. Potem łatwiej mi było sobie wyobrażać, że mama jest gdzieś blisko - siedzi w pokoju obok i ogląda telewizję albo na chwilę wyszła do kuchni, żeby przygotować dla mnie szklankę ciepłego mleka, i że kiedy wróci, poczyta mi na dobranoc. Głupie mrzonki, przyznaję - przecież mama nigdy tego nie robiła, nawet wtedy, gdy jeszcze mieszkaliśmy wszyscy razem. Tak czy owak pewnego dnia perfumy zniknęły spod materaca - ojciec pewnie je wyrzucił - toteż z czasem zapach mamy także się ulotnił z mojej pamięci.

Zbliżało się Boże Narodzenie zwiastowane paskudną pogodą i zwiększoną ilością pracy dla Portiera, więc popijanie herbaty przed domem, na trawniku,

pozostało tylko niespełnioną obietnicą. Mimo to moje życie nie należało do najgorszych. Takie przyzwyczajone do samotności dziecko jak ja - czujące się nieswojo w towarzystwie innych, niewidzialne w szkole - przez pierwszy semestr z nikim nie chciało się zaprzyjaźnić, trzymało się jak najdalej od domu, bawiło w śnieżnych lasach za Świętym Oswaldem i badało, cal po calu, obszar wokół szkoły, bardzo przy tym uważając, by pod żadnym pozorem nie przekroczyć zakazanej granicy.

Większość terenu należącego do Świętego Oswalda była osłonięta przed wzrokiem ciekawskiej gawiedzi. Główny budynek - szpalerem lip, teraz nagich, porastających obrzeża długiego podjazdu, natomiast boiska - murami lub wysokimi żywopłotami. Przez bramy dało się jednak popatrzeć na trawniki - idealnie wypielęgnowane przez mojego ojca - a także na kawałek boiska do krykieta oraz kaplicę z wiatrowskazem na dachu i łańskimi inskrypcjami wykutymi w kamieniu. Kawałek dalej rozpościerał się świat równie mi obcy i niezwykle jak Narnia czy kraina Oz. Świat, do którego dzieci takie jak ja nie miały wstępu.

Moja ówczesna szkoła nazywała się Abbey Road Junior. Był to niewielki, przysadzisty budynek z dwoma wejściami, nad którymi, na szerniałej od brudu i sadzy kamiennej ścianie, wymalowano słowa: CHŁOPCY i DZIEWCZYNI, oraz z wyboistym, piaszczystym boiskiem leżącym na nierówno opadającym terenie. Ta szkoła nigdy nie wzbudzała mojego entuzjazmu, ale prawdziwe przerażenie ogarniało mnie dopiero na myśl, że już za rok znajdę się w Sunnybank Park - olbrzymim molochu - moim rejonowym gimnazjum.

Od pierwszego dnia w Abbey Road widok uczniów z Sunnybank wzbudzał we mnie jak najgorsze uczucia. Chodzili w tanich, dresowych zielonych bluzach z logo szkoły nadrukowanym na piersiach, nosili książki w nylonowych plecakach, palili papierosy, a dziewczyny miały tony lakieru na głowie. Oni mnie znienawidzą na dzień dobry. Tylko raz rzucą na mnie okiem i natychmiast mnie znienawidzą - za mój niski wzrost, za moją chuderlawość i zamiłowanie do odrabiania prac domowych. To nie ulegało najmniejszej wątpliwości - Sunnybank Park pożre mnie żywcem.

- Dlaczego? Dlaczego akurat Sunnybank? Dlaczego mam iść właśnie tam?

Ojciec jednak pozostawał niewzruszony.

- Nie bądź mazgajem. Sunnybank to szkoła jak każda inna. Wszystkie cholerne szkoły są w gruncie rzeczy takie same.

O nie. Nawet wtedy, we wczesnym dzieciństwie, nie ulegało dla mnie wątpliwości, że to najzwyczajniejsze kłamstwo. Świadomość tego faktu pobudziła moją ciekawość, a jednocześnie gniew. I teraz, gdy wiosna nadciągała nad martwe pola, a na tarninowych żywopłotach pojawiały się białe pączki kwiatów,

tablica z napisem OBCYM WSTĘP SUROWO WZBRONIONY - wymalowanym pracowicie przez mojego ojca - zaczęła mnie intrygować jak nigdy dotąd. Jakie sankcje? I jaka granica? A przede wszystkim: Co się stanie, gdy jednak ją przekroczyć?

W pobliżu nie było żadnego ogrodzenia - żadnej widocznej bariery. Jedyne droga, tarninowy żywopłot na poboczach, a kilka jardów* dalej, po lewej - tablica. Stała tam arogancka, wyniosła, pewna swego autorytetu. Tuż za nią - przynajmniej w mojej wyobraźni - rozciągało się niezbadane, niebezpieczne terytorium. Tam mogły czyhać na mnie najprzeróżniejsze pułapki - miny, wilcze doły, uzbrojeni strażnicy, ukryte kamery.

* jard = 0,91 m (przyp. red.).

Na oko teren wyglądał niegroźnie: nie różnił się niczym od położonych obok. Ale przeczyła temu tablica. Za nią rozciągała się strefa PORZĄDKU nieznoszącego chaosu. Królestwo autorytetów. Każde naruszenie owego porządku groziło karami tak srogimi, że aż strach było je sobie wyobrazić. To jedno nie ulegało dla mnie wątpliwości. Fakt, że owe kary pozostawały w sferze tajemnicy, nigdzie nie zostały wymienione, tylko potęgował atmosferę grozy.

Z początku moje eksploracje ograniczały się do siedzenia na ziemi i obserwowania zakazanego terytorium. Pokrzepiająco działała myśl, że przynajmniej tam porządek jest świętą regułą. Przed Sunnybank Park często jeździły policyjne radiowozy. Ściany szkolnych budynków znaczyły niezliczone graffiti, a wyrostki z Sunnybank często obrzucały kamieniami przejeżdżające ulicą samochody i wyzywały nauczycieli wychodzących ze szkoły, a nad parkingiem dla personelu kłębiły się zwoje drutu kolczastego.

Kiedyś, na moich oczach, pięciu uczniów z Sunnybank dorwało któregoś ze swoich kolegów - chłopaka parę lat ode mnie starszego, ubranego porządniej niż większość dzieciaków z tej okropnej szkoły. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nieźle mu przyłożą - chłopak niósł pod pachą książki z biblioteki. A przecież ogólnie wiadomo, że miłośnicy literatury są zawsze zwierzyną łowną w miejscach takich jak Sunnybank.

Święty Oswald to zupełnie inny świat. Świat bez graffiti, bez śmieci, bez aktów wandalizmu - najgorsze, co się mogło tu zdarzyć, to przypadkowo wybita szyba. Tablica o tym zapewniała, i nagle ogarnęło mnie przemożne przekonanie, że to właśnie do takiego świata ja w rzeczywistości przynależę. Do miejsca, gdzie można śmiało posadzić młode drzewka, bo nikt za chwilę bestialsko nie wyrwie ich z korzeniami, gdzie nikogo nie porzuca się krwawiącego na ulicy, gdzie co rusz nie musi zjawiać się policja i gdzie nie ma obwieszczeń nakazujących uczniom pozostawianie noży w domu. Świata Świętego

Oswalda strzegli surowi wykładowcy w staromodnych czarnych togach; gburowaci portierzy w rodzaju mojego ojca; oraz smukli, wysocy prefekci. Tutaj ktoś, kto pilnie odrabiał lekcje, nie był kujonem, fiutem czy ciotą. Tutaj było bezpiecznie. Tutaj czekała na mnie szczęśliwa przystań.

Moje sesje pod tablicą zawsze odbywały się w samotności - nikt inny nigdy nie zapuszczał się tak daleko. Co prawda ptaki wyprawiały się śmiało w głąb zakazanego ładu i nigdy nic im się nie stało. Pewnego dnia spod żywopłotu wylazł spasiony kocur, usiadł, wbił we mnie ślepią, po czym spokojnie zaczął lizać łapę. Jemu też nic się nie stało.

Najpierw starczyło mi odwagi, żeby przekroczyć linię wyznaczaną cieniem tablicy, w kilka dni później - by usiąść pomiędzy słupkami, na których była umocowana. Mój własny cień znalazł się na zakazanej ziemi. Mój cień wdarł się do innego świata.

Przez jakiś czas to mi wystarczało. Wkrótce jednak pokusa wzięła górę - było we mnie zbyt wiele z buntownika, by zadowolić się tak czysto technicznym złamaniem reguł. Zaczęło się nieśmiało - od przydeptywania stopą trawy po drugiej stronie, wzbudzającego we mnie rozkoszny dreszcz, niczym u dzieciaka pierwszy raz próbującego wejść do oceanu. Ogarniało mnie przekonanie, że oto zanurzam się w obcym mi żywiole, gdzie wszystko - ale to wszystko - może się zdarzyć.

Na razie jednak nic się nie wydarzyło.

Kolejny krok. I nadal nic. Tablica majaczyła nade mną niczym potwór z nocnego horroru, ale pozostawała nieruchoma i lodowato wyniosła, jakby głęboko oburzona bezceremonialnym złamaniem zasad. Jej znieruchomienie było moją szansą i nie wiedzieć kiedy nogi same mnie poniosły poprzez smagane wiatrem pole ku wysokiemu żywopłotowi. Gdyby ktoś teraz na mnie popatrzył, ujrzałby schyłego nisko, pędzącego galopem dzieciaka, szykującego się do niespodziewanego ataku. Nareszcie żywopłot i jego cień, w którym można się skryć. Strach wysysał mi oddech z piersi. Granica została pogwałcona. Teraz na pewno po mnie przyjdą.

Zaledwie parę metrów dalej w żywopłocie była niewielka wyrwa. Dzięki niej może jakoś przetrwam. Udało mi się do niej dopełznąć i wcisnąć w wąską przestrzeń. Mogą nadejść z każdej strony, podchodzić mnie z kilku kierunków naraz. W takim wypadku jedynym ratunkiem byłaby ucieczka. Doświadczenie mnie nauczyło, że po jakimś czasie dorośli zapominają, czym się ich wkurzyło. Więc jeżeli uda mi się szybko zwiąć, to może nawet uniknę strasznej kary.

Czas mijał. Ściskanie w gardle powoli zanikało. Tętno zwalniało i zbliżało się do normy. Zaczęło do mnie docierać, gdzie się znajduję i że bardzo mi niewygodnie. W plecy wbijały mi się ostre ciernie. Dobiegał mnie zapach potu, świeżej gleby i kwaskowy aromat tarniny. Gdzieś w pobliżu rozległ się

świergot ptaka, a z oddali dochodziło dudnienie kosiarki - lekko senne, przypominające brzęczenie owadów w trawie. I to wszystko. W pierwszej chwili ogarnął mnie błógostan - za złamanie zakazu nie spotkała mnie żadna kara - który jednak wkrótce przeszedł w niezadowolnienie, a potem w niemile łaskoczącą złość.

Gdzie są kamery? Gdzie miny? Gdzie strażnicy? Gdzie ten PORZĄDEK tak dumny, że aż zasługujący na wielkie litery na tablicy? A przede wszystkim - gdzie jest mój ojciec?

Może udało mi się zbyt dobrze zakamufłować - może muszę wstać i wyjść z cienia żywopłotu? Słońce uderzyło mnie ostro w twarz, niemal oślepiło. Oslaniając ręką oczy, eksplorator ruszył przed siebie.

Teraz już z pewnością nadejdą - nadejdą siły pilnujące PORZĄDKU, strzegące autorytetów. Jednak sekundy przechodziły w minuty i nadal nic się nie działo. Nikt się nie pojawił - ani nauczyciel, ani prefekt, ani nawet portier.

Wówczas ogarnęła mnie panika - irracjonalny strach, który kazał mi wybiec na środek pola i wymachiwać rękami na podobieństwo rozbitka z bezludnej wyspy, usiłującego zwrócić uwagę przelatującego samolotu. Czy nikogo to nie obchodzi, że ktoś wtargnął na uświęcony teren? Przecież jestem tu intruzem. Czy nikt mnie nie widział?

- Tutaj! - w moim histerycznym wrzasku pobrzmiwało oburzenie. - Jestem tutaj! Tutaj! Tutaj!

Nic. Ani śladu żywej duszy. Nie rozległo się choćby ujadanie psa ani dalekie wycie syreny ostrzegawczej. I wtedy do mnie dotarło, że to wszystko jest jednym wielkim kłamstwem. Kolosalną błądą. Wezbrał we mnie bunt i ogarnęła mnie piekąca furia - furia nabrzmiewająca jak bolący wrzód. Ta słynna granica to jedynie krecha wyrysowana na piasku, wyzwanie dla ludzkiej odwagi. Mnie starczyło śmiałości, by ją przekroczyć. By zbuntować się przeciwko PORZĄDKOWI.

Ale jednocześnie gdzieś czaiło się przeświadczenie, że ten wspaniały świat mnie oszukał - oszukał tak samo, jak zawsze oszukiwał dzieci świat dorosłych, świat ich gróźb i zapewnień, które obiecywały tak wiele, a przynosiły tak żałośnie mało.

Oni kłamią, dzieciaku. W głowie odezwał się bełkotliwy od nadmiaru piwa głos ojca. Obiecują ci gwiazdkę z nieba, ale w gruncie rzeczy wszyscy są tacy sami. Kłamią.

- Nie! Nieprawda! Nie zawsze...

W takim razie ruszaj naprzód. No już, ruszaj przed siebie. Zobacz, jak daleko zdołasz zajść, dzieciaku.

A więc dzieciak ruszył - wzdłuż żywopłotu, w górę niewielkiego wzniesienia, aż do samotnej kępy drzew. Tam znajdowała się kolejna tablica: OBCYM WSTĘP SUROWO WZBRONIONY. Ale teraz już ta groźba nie zmusiła mnie do zwolnienia kroku.

Tymczasem za kępą drzew czekała mnie niespodzianka. Zgodnie z moim wyobrażeniem miała się tam znajdować droga, linia kolejowa, może rzeka - coś jasno wskazującego, że poza Świętym Oswaldem istnieje jeszcze inny świat. Tymczasem wszystko, co udało mi się ogarnąć wzrokiem, należało do świata Świętego Oswalda: pagórek, zagajnik, korty tenisowe, boisko do krykieta, słodko pachnące trawniki i wielkie połacie łąk rozciągające się poniżej.

Zza drzew wyłonili się również ludzie - całe rzesze chłopców. Chłopców w różnym wieku - niektórzy byli niewiele starsi ode mnie, niektórzy budzili już grozę swoją dorosłością. Część z nich miała na sobie białe stroje do krykieta, część - szorty i podkoszulki z nadrukowanymi numerami. W oddali, na pełnej piachu skoczni, jakaś grupa ćwiczyła skok w dal. A w tle, wyraźnie odcinający się od błękitu nieba, stał wielki budynek z kamienia pokrytego patyną czasu, z rzędami łukowatych okien odbijających promienie słońca, z długim, łupkowym dachem upstrzonym świetlikami, z wysoką wieżą zwieńczoną miedzianym wiatrowskazem, z przybudówkami, z kaplicą i szerokimi schodami opadającymi wdzięcznie ku trawnikom, drzewom, rabatom kwiatowym oraz wyasfaltowanym dziedzińcom oddzielonym od siebie wysoko wysklepionymi podcieniami.

Tutaj też było pełno chłopców. Niektórzy siedzieli na schodach. Inni, pograżeni w rozmowie, stali pod drzewami. Część z nich była ubrana w stosowne stroje sportowe, większość - w szare spodnie i granatowe marynarki. Odgłosy, jakie wydawali - które dopiero po dłuższej chwili dotarły do mojej świadomości - zdawały mi się trzepotem skrzydeł jakichś fantastycznych, egzotycznych ptaków.

Nie ulegało wątpliwości, że należymy do różnych ras. Ich wyzłacały nie tylko promienie słońca i odbity blask cudownej budowli, ale coś zdecydowanie mniej uchwytnego - jakaś gładka pewność siebie, wewnętrzne lśnienie.

Później udało mi się oczywiście przejrzeć ten świat - zorientować się, że dostojna fasada skrywa gnienie i rozkład. Ale pierwsze zetknięcie ze Świętym Oswaldem było niczym dostąpienie łaski. Oto przede mną Xanadu, Asgard i Babilon w jednym. To tu, na rozległych, trawiastych przestrzeniach wylegują się i swawolą bogowie.

W tym momencie uderzyła mnie również świadomość, że owa granica nie jest jednak zwykłą krechą na piasku. To bariera, której nie sposób sforsować dzięki szaleńczej odwadze czy pobożnym życzeniom. Nagle oblał mnie palący wstyd, bo dotarło do mnie, że mam na sobie brudne dżinsy i znoszone tenisówki i że moja twarz jest blada i chuda, a włosy - cienkie i bez życia. Poczucie, że oto dokonuję wielkiego, śmiałego odkrycia, natychmiast mnie opuściło. Ja, zwykły szary człowiek, nie mam prawa przebywać w tym miejscu. Ta świadomość zredukowała mnie do wymiarów stworzenia niskiego i pospolitego - szpiega, ciury, małego brudnego podglądacza o wygłodniałych oczach

i lepkich palcach. I nie uchroni mnie już tarcza niewidzialności. Tak zawsze będą mnie postrzegać. Ponieważ tym właśnie jestem. Dzieciakiem z Sunnybank.

Widzicie, to zaczęło się właśnie wtedy. Bo Święty Oswald wyzwała w ludziach najgorsze instynkty. Ogarnęła mnie piekąca furia. Furia rozrastająca się niczym bolesny wrzód. I jednocześnie obudził się bunt.

A więc jestem intruzem. I co z tego? Reguły są po to, żeby je łamać. Wtargnięcie w zakazane rejony - podobnie jak inne zbrodnie - pozostanie bezkarne, jeśli tylko nikt cię na tym nie przyłapie. A słowa - choćby nie wiem jak magiczne - pozostaną na zawsze tylko słowami.

I właśnie w owej chwili rozpoczęła się moja wojna ze Świętym Oswaldem, chociaż jeszcze wtedy nie dotarło to do mojej świadomości. Nie chcą mnie tam? W porządku. I tak będą musieli znosić moją obecność. Nic ani nikt - nawet mój ojciec - mnie od tego nie powstrzyma. Na piachu pojawiła się nowa linia - kolejna granica do przekroczenia. Wymagająca bardziej wyrafinowanej taktyki, bo chroniona parowiekową arogancją. Ale to właśnie w owej arogancji czaił się załazek przyszłego upadku. A więc przede mną kolejna bariera, wprost prosząca się, by ją przekroczyć.

Tak samo banalna i nic nieznacząca jak morderstwo.

KRÓL

1

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
poniedziałek 6 września. początek semestru św. Michała.*

Mój dziewięćdziesiąty dziewiąty semestr. Dziewięćdziesiąty dziewiąty - a każdy z nich przesycony zapachem starego drewna, pyłu kredowego i środka dezynfekcyjnego oraz dziwnym lekko herbatnikowym, lekko mysim zapachem chłopców. Dziewięćdziesiąt dziewięć semestrów nanizanych na nic czasu na podobieństwo przykurzonych, papierowych lampionów. Trzydzieści trzy lata. Niczym niekończący się wyrok. Gdy sobie to uświadamiam, przypomina mi się stara anegdota o emerycie skazanym za morderstwo.

- Trzydzieści lat, Wysoki Sądzie! - protestuje nieszczęśnik. - To za wiele! Już nie zdołam ich odsiedzieć!

Na co sędzia odpowiada:

- Cóż, proszę odsiedzieć tyle, ile pan zdoła...

Gdy teraz myślę o tym dowcipie, już nie wydaje mi się śmieszny. W listopadzie sam skończę sześćdziesiąt pięć lat.

Choć, oczywiście, nic szczególnego z tego nie wynika. U Świętego Oswalda nie istnieje coś takiego jak przymusowa emerytura. My kierujemy się własnymi prawami i regułami. Tak było zawsze. I tak pozostanie.

A więc jeszcze jeden semestr i dobiję setki. Zostanę centurionem i moje nazwisko znajdzie się na wielkiej Tablicy Honorowej. Już widzę ów napis oczyma duszy - wryty pięknym odręcznym gotykiem: Roy Hubert Straitley, były absolwent i centurion szkoły.

Jednocześnie ogarnia mnie pusty śmiech. Kto by przypuszczał, że kiedyś tak wyląduję? Skończyłem swoją dziesięcioletnią edukację u Świętego Oswalda w 1954 roku i wówczas ani mi przez myśl nie przeszło, że jeszcze kiedykolwiek znajdę się w tych murach - i to na dodatek w roli belfra: stróża dyscypliny, dystrybutora karnych prac domowych i odsiadek po lekcjach.

Ku własnemu zdumieniu odkryłem w pewnym momencie, że tych dziesięć pierwszych lat spędzonych w szkole było pogładową i użyteczną lekcją na temat natury zawodu nauczyciela. Teraz nie istnieje już żadna nieznaną mi sztuczka. Nieobcy mi żaden fortel czy trik. Ostatecznie sam w takim czy innym czasie korzystałem z większości z nich; najpierw jako uczeń, potem nauczyciel. I tak oto dziś jestem tu znowu, z powrotem u Świętego Oswalda, by odbębnić kolejny semestr. Niektórzy mogliby pomyśleć, że to jakiś rodzaj niezdrowego uzależnienia.

Zapalam gauloise'a - to jedno z moich nielicznych koncesji na rzecz wpływów Sekcji Języków Romańskich. Oczywiście, formalnie rzecz biorąc, palenie jest surowo zakazane; jednak dziś, gdy siedzę w zaciszu swojej klasy, nikt nie powinien zwrócić uwagi na owo drobne uchybienie. Ponieważ dzisiaj, tradycyjnie, mamy dzień wolny od nauki, poświęcony na kwestie administracyjne: liczenie podręczników, dystrybucję ołówków i zeszytów ćwiczeń, ostatnie nerwowe poprawki w planie, kompletowanie list klasowych i kompilację list lektur obowiązkowych, a także wdrażanie do systemu nowych nauczycieli oraz spotkania sekcji i katedr.

Ja, oczywiście, jestem sekcją jednoosobową - sekcją samą dla siebie. Ja - niegdyś filar Języków Klasycznych, przewodzący kwitnącej katedrze, zaludnionej pełnymi rewerencji podwładnymi, obecnie relegowany do zakurzonego kąta nowej Katedry Językowej, niczym antyczne, pierwsze wydanie nudnego podręcznika, którego jednak nikt nie ma śmiałości wyrzucić na śmietnik.

Szczury opuściły mój okręt - opuścili mnie wszyscy - to znaczy wszyscy z wyjątkiem chłopców. Bo nadal uczę w pełnym wymiarze godzin - ku niezmiernemu zdumieniu Boba Strange'a, Trzeciego Mistrza, który uważa łacinę za przedmiot całkowicie bezużyteczny, oraz ku nieustającemu zażenowaniu Nowego Dyrektora. No cóż, chłopcy wciąż garną się do nauki mojego bezużytecznego przedmiotu i do tego osiągają bardzo zadowalające wyniki. Lubię myśleć, że to zasługa mojej osobistej charyzmy.

Nie chciałbym przez to powiedzieć, że żywię animozję do swoich kolegów z Katedry Języków Nowożytnych - wręcz przeciwnie - choć nie ukrywam, że o wiele cieplejszymi uczuciami darzę obrazoburczych Galów niż wypranych z poczucia humoru Teutonów.

Galowie to: Pearman - kierujący sekcją francuską - okrągły, pogodny, chwilami wyjątkowo błyskotliwy, za to przerażająco niezorganizowany; następnie Kitty Teague, od czasu do czasu, w porze lunchu, zjadająca się wraz ze mną ciasteczkami nad kubkiem herbaty; a także Eric Scoones, żwawy i lotny sześćdziesięciodwulatek, półcenturion (i, podobnie jak ja, jeden ze Starej Gwardii Absolwentów), niekiedy popadający w krotochwilny nastrój i wówczas darzący zgromadzonych niesamowitymi opowieściami o moich, co smakowitszych, ekscesach z czasów jakże odległej młodości.

No i jest jeszcze Isabelle Tapi, dekoracyjna, acz raczej bezużyteczna, długonoga, galijska w typie urody - przedmiot rozlicznych, zdobiących szafki chłopców graffiti ucieleśniających ich młodzieńcze fantazje.

Niemniej, ogólnie rzecz biorąc, Francuzi to jowialna sekcja, której członkowie tolerują moje ekscentryczne zachowania z podziwu godną cierpliwością oraz ciepłym poczuciem humoru i w zasadzie nigdy nie próbują kwestionować moich nieortodoksyjnych metod.

Niemcy natomiast są w swojej masie zdecydowanie mniej sympatyczni. Mamy tu Geoffa Nation i jego żonę Penny (zwanych kolektywnie „Ligą Narodów”) - mikst ostrzący zęby na zajmowaną przeze mnie salę; do tego Gerry'ego Grachvogela, dobrodusznego osła z predylekcją do wszelkiego rodzaju pomocy wizualnych; no i w końcu doktora „Kwaśnogrona” Devine'a, kierownika sekcji i zagorzałego bojownika o powiększenie swojego Wielkiego Imperium, który widzi we mnie wywrotowego spiskowca, kłusowniczymi metodami polującego na jego potencjalnych uczniów. Języki klasyczne nie interesują go w najmniejszym stopniu, nie ma o nich zielonego pojęcia i bez wątplenia żyje w błogim przekonaniu, że *carpe diem** znaczy mniej więcej tyle samo co „rybne danie dnia”.

* łac. *carpe diem* - używaj życia, korzystaj z dnia, nie marnuj chwili (dosł. chwytaj dzień); Horacy, „Pieśni” I 11,8 (przyp. red.).

Ma zwyczaj przechodzić obok mojej sali z udawaną żwawością, jednak przy tym nigdy nie omieszka zajrzeć do środka przez okienko w drzwiach, zapewne z zamiarem wytropienia jakichś oznak niemoralnego zachowania. Nie mam więc najmniejszych wątpliwości, że to tylko kwestia czasu, a ujrzę dziś jego przygnębiające oblicze wyzierające na mnie zza szyby.

Otóż to! A nie mówiłem?

Jak na zawołanie.

- Witaj, Devine!

Z trudem powstrzymując się od salutowania i jednocześnie chowając na wpół wypalonego gauloise'a pod biurkiem, poczęstowałem go fałszywie radosnym uśmiechem. Zakonotowałem przy tym, że Kwaśnogron taszczy przed sobą kartonowe pudło wypełnione po brzegi książkami i papierzyskami. Spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, który - jak się później okazało - był marnie maskowaną, filisterską satysfakcją, po czym ruszył przed siebie z werwą człowieka, który ma mnóstwo ważnych spraw do załatwienia.

Zaciekawiony, poderwałem się zza biurka i zerknąłem w głąb korytarza. Dzięki temu zdążyłem dojrzeć Gerry'ego Grachvogela i Ligę Narodów ukradkiem podążających za Devine'em - również taszczących kartonowe pudła.

Zdziwiony niecodziennym rozwojem wydarzeń, zasiadłem ponownie za biurkiem i w zadumie rozejrzałem się po swoim skromnym królestwie.

Sala numer 59, moje własne terytorium od przeszło trzydziestu lat. Przez te lata niejednokrotnie musiałem odpierać rozmaite ataki, mające na celu jego przejęcie, ale zdołałem wyjść zwycięsko ze wszystkich potyczek. W dzisiejszych czasach już jedynie Niemcy podejmują próby inwazji. To duża sala, na swój sposób przyjemna, choć raczej niedogodnie położona na wyżynach Dzwonnicy - nie dość, że od mojego niewielkiego gabinetu na Górnym Korytarzu jest oddalona o prawie milę* w linii prostej, to na dodatek prowadzi do niej dużo więcej schodów, niż miałbym ochotę pokonywać.

* mila = 1,61 km (przyj. red.).

Już dawno temu bezsprzecznie udowodniono, że z czasem psy i ich właściciele upodabniają się do siebie nawzajem; tak samo ma się sprawa z nauczycielami i ich salami wykładowymi. Moja klasa jest niczym moja ulubiona tweedowa marynarka i nawet pachnie niemal identycznie - zetlałym papierem starych woluminów, kredowym pyłem i zakazanym tytoniowym dymem. Nad całym pomieszczeniem króluje wielka, sędziwa tablica. Stojące naprzeciwko niej ławki są równie wiekowe, poznaczone rozlicznymi bitewnymi bliźniami. Z radością donoszę, że oparłem się wszelkim naciskom, by zastąpić je wszechobecnymi, bezdusznymi stolikami z plastiku.

Dzięki temu, gdy się nudzę, zawsze mogę postudiować radosną twórczość uczniów uwiecznioną na ławkach. Liczba inskrypcji poświęconych mojej osobie doprawdy mile lechce ego. Ostatnio do moich ulubionych należy: *Hic magister podex est* **- słowa wyskrobane przez któregoś z chłopców tak dawno temu, że aż boję się o tym myśleć. Za moich uczniowskich czasów nikt nie ośmieliłby się nazwać nauczyciela *podex*. Toż to hańba i sromota. Mimo to, z jakiegoś bliżej niezrozumiałego powodu, zawsze się uśmiecham na widok tego napisu.

** łac. *Hic magister podex est* - Ten oto nauczyciel to dupa (przyj. red.).

Moje biurko także przedstawia sobą sromotny widok. Jest to zwaliste, szerniałe ze starości mebliszcze z przepastnymi szufladami, poznaczone wieloma inskrypcjami, usadowione na czymś w rodzaju podium - pierwotnie wybudowanym po to, by pewien mizernego wzrostu łacinnik był w stanie sięgnąć do tablicy. Z wyżyn owego piedestału mogę toczyć łaskawym wzrokiem po swoich pupilach, a także niepostrzeżenie rozwiązywać trzymaną na kolanach krzyżówkę z „Timesa”.

Za rzędem szafek mieszkają myszy. Wiem o tym, w piątkowe popołudnia bowiem wylęgają w okolice grzejnika i obwąchują pobliskie rury, podczas gdy chłopcy piszą swój cotygodniowy test ze słówek. Osobiście nie mam nic przeciwko myszom - w zasadzie nawet całkiem je lubię. Niemniej Stary Dyrektor pewnego razu postanowił je wytruć. Efekt był taki, że już nigdy więcej nie

powtórzył eksperymentu. Szybko się bowiem okazało, że odór zdechłej myszy jest zdecydowanie bardziej odrażający niż odór, jaki mogłaby wyprodukować jakakolwiek żywa istota. Nieznośny smród unosił się w powietrzu przez kilka tygodni, aż w końcu wezwano Johna Snyder'a, ówczesnego Naczelnego Portiera, żeby oderwał listwy podłogowe i usunął cuchnące truchło.

Od tamtego czasu ja i myszy wyznajemy zgodnie zasadę „żyj i daj żyć innym”. Jaka szkoda, że podobnego *status quo* nie udało mi się wypracować z Teutonami.

Z zadumy wyrwał mnie widok doktora Devine'a, ponownie mijającego moją salę w otoczeniu swojej świty. Zerknął na mnie, po czym poklepał się wymownie po nadgarstku, jakby chciał mi uświadomić, którą mamy godzinę. Dziesiąta trzydzieści. A! Oczywiście! Zebranie rady pedagogicznej. Niechętnie godząc się z losem, wrzuciłem peta do kosza na śmieci i ruszyłem w stronę drzwi, po drodze chwytając zniszczoną tokę, wiszącą na haczyku obok jednej z szafek.

Stary Dyrektor nalegał, żeby wszyscy stawiali się przed jego obliczem w togach. Obecnie tylko ja jeden wkładam tokę na zebrania rady, chociaż całe ciało pedagogiczne obleka się w nie karnie na wszelkie oficjalne uroczystości. To podoba się rodzicom. Przypomina o świetlanych tradycjach szkoły. Lubię tokę, bo bywa świetnym strojem maskującym, a poza tym pozwala zaoszczędzić na marynarkach.

Kiedy znalazłem się na korytarzu, Gerry Grachvogel właśnie wychodził ze swojego gabinetu.

- O! Cześć, Roy! - rzucił, uśmiechając się jeszcze bardziej nerwowo niż zazwyczaj.

Gerry jest wysokim, chudym młodzianem, pełnym dobrych intencji, ale zupełnie niepanującym nad dyscypliną w klasie. Zanim zamknął drzwi, zauważyłem stertę kartonowych pudeł ustawionych pod ścianą.

- Pracowity dzień, he? - zagadnąłem, wskazując głową na pudła. - Co tym razem szykujecie? Kolejną inwazję na Polskę?

Przez twarz Gerry'ego przebiegł dziwny skurcz.

- Nie... ce... to tylko drobne przemeblowanie. Ee... przenosiny... do nowego gabinetu sekcji.

Wbiłem w niego uważne spojrzenie. Te słowa zabrzmiały dość złowróżbnie.

- Jakiego nowego gabinetu sekcji?

- Ee... wybac, muszę lecieć. Dyrektor zwołał zebranie. Nie mogę się spóźnić.

Wolne żarty. Gerry spóźnia się zawsze i wszędzie.

- Jakiego nowego gabinetu? Czyżby ktoś umarł?

- Ee... wybac, Roy. Pogadamy innym razem.

Pomknął korytarzem w stronę pokoju nauczycielskiego z chyżością gołębia pocztowego. Ja tymczasem wciągnąłem swoją togę i podążyłem za nim o wiele dostojniejszym krokiem, kompletnie zdezorientowany i pełen jak najgorszych przeczuć.

Dotarłem do pokoju nauczycielskiego na czas - akurat w chwili gdy nadciągał Nowy Dyrektor w towarzystwie Pata Bishopa, Drugiego Mistrza, oraz jego sekretarki, Marlene, która dołączyła do nas po śmierci syna, onegdaj jednego z naszych uczniów. Nowy Dyrektor jest zimny, elegancki i roztacza wokół siebie jakąś złowieszczą aurę - niczym Christopher Lee w roli Draculi. Stary Dyrektor był wybuchowy, apodyktyczny, opryskliwy i autorytarny - a więc posiadał wszystkie te cechy, które najbardziej cieszą mnie u dyrektorów. Minęło piętnaście lat od chwili, kiedy odszedł, a nieustająco mi go brakuje.

Zmierzając do swojego zwyczajowego miejsca, zatrzymałem się na moment, żeby nalać sobie herbaty do kubka. Przy okazji z zadowoleniem zauważyłem, że choć pokój jest pełen ludzi i niektórzy z młodszych nauczycieli tłoczą się pod ścianami, nikt nie zajął mojego miejsca - trzeciego od okna, dokładnie pod zegarem. Lawirując kubkiem, opadłem na poduchę fotela. Siedzenie wydało mi się ciaśniejsze niż przed wakacjami.

Obawiam się, że w lecie przybyło mi parę kilogramów.

- Ehm-ehm.

Ostre, suche kasznięcie Nowego Dyrektora przez większość z nas całkowicie zignorowane. Marlene - rozwiedziona, przed pięćdziesiątką, platinowa blondynka o wagnerowskiej prezencji - podchwyciła mój wzrok i z dezaprobatą ściągnęła brwi. Widząc jej niezadowolenie, towarzystwo zamilkło. Oczywiście dla nikogo nie pozostaje żadną tajemnicą, że tak naprawdę to Marlene tu rządzi. Jediną osobą, która przez piętnaście lat nie zdążyła tego zauważyć, jest Nowy Dyrektor.

- Witam wszystkich po wakacjach - zagał Pat Bishop, powszechnie uważany za humanitarną twarz szkoły. Potężny, pogodny, w wieku pięćdziesięciu pięciu lat wciąż absurdalnie młodzieńczy. Ze złamanym nosem rugbisty i zdrową, rumianą cerą roztacza wokół siebie urok przerośniętego sztubaka.

Pat jest bardzo poczciwym, prawdziwie dobrym człowiekiem. Życzliwym, pracowitym, do bólu lojalnym wobec szkoły, której sam był kiedyś uczniem - jednak nieszczególnie błyskotliwym pomimo oksfordzkiego dyplomu. Prawdziwy człowiek czynu z tego naszego Pata. Człowiek czynu, nie intelektu. Jest za to pełen empatii i współczucia. O wiele lepiej pasuje do zajęć w klasie lub na boisku niż do pracy w Radzie Szkoły czy wystąpień na zebraniach Zarządu. Ale nikt z nas nie ma mu tego za złe. Ostatecznie u Świętego Oswalda cierpimy na nadmiar intelektualnego potencjału; natomiast bez wątpienia

przydałoby nam się więcej humanitaryzmu w Bishopowskim stylu.

- Ehm-ehm.

Ponownie Nowy. Trudno się dziwić, że między nim a Patem panuje pewne napięcie. Bishop jak to Bishop- robi, co może, żeby animozje nie rzucały się w oczy. Jednakże jego popularność zarówno wśród uczniów, jak i pracowników, jest cierniem w boku Nowego, którego uchybienia w kwestii taktu i brak uroku osobistego są aż nadto widoczne.

- Ehm-ehm!

Naturalne rumieńce na twarzy Bishopa jeszcze bardziej pociemniały. Marlene, od piętnastu lat głęboko przywiązana do Pata (sekretnie, jak sądzi), przybrała zniesmaczony wyraz twarzy.

Tymczasem kompletnie nieświadomy panujących nastrojów Dyrektor rozpoczął swoją dretwą przemowę.

- Punkt pierwszy: zdobycie funduszy na rozbudowę nowego pawilonu gimnastycznego. Zdecydowaliśmy, że stworzymy drugi administracyjny etat, a osoba na nim zatrudniona zajmie się wyłącznie pozyskiwaniem sponsorów. Odpowiedniego pracownika wybierzemy spośród starannie wyselekcjonowanej szóstki najlepiej przygotowanych do tego zadania kandydatów. Nowy pracownik otrzyma tytuł samodzielnego specjalisty PR do spraw...

Szczęśliwie udało mi się wyłączyć i puścić mimo uszu kolejne wątki. Teraz monotonne kazanie Nowego było dla mnie jedynie łagodnym szumem tła. Zapewne częstował wszystkich tą samą odwieczną litanią - problemy niedoinwestowania; rytualna wiwisekcja wyników letniego semestru; kolejny, cudowny nowy plan pozyskiwania uczniów; ponowna próba wymuszenia na wszystkich nauczycielach biegłości w obsłudze komputera; rozkoszna propozycja współpracy ze strony szkoły dla dziewcząt; zapowiedziana (i wzbudzająca powszechną panikę) szkolna inspekcja w grudniu; krótki i zwięzły akt oskarżenia pod adresem edukacyjnej polityki rządu; jęklive utyskiwania na temat dyscypliny klasowej oraz staranności stroju nauczycieli (w tym momencie Kwaśnogron posłał ostre spojrzenie w moją stronę) i skargi przeciwko szkole (jedynie trzy do tej pory, całkiem niezłe jak na wrzesień).

Umiłałem sobie czas wyszukiwaniem w tłumie nowych twarzy. Nie ulegało wątpliwości, że w tym semestrze pojawi się ich co najmniej kilka. Tuż przed wakacjami niektórzy ze starych wyjadaczy wreszcie rzucili ręcznik na ring, trzeba więc ich będzie zastąpić świeżą krwią. Kiedy wodząc wzrokiem po zgromadzonych natknąłem się na Kitty Teague, puściła do mnie oko.

- Punkt jedenasty: zmiana przeznaczenia niektórych sal lekcyjnych i gabinetów. Ze względu na ukończenie nowego kompleksu komputerowego, zmieniona zostanie numeracja pomieszczeń...

A-ha! Oto i nowicjusz. Zazwyczaj łatwo ich rozpoznać po sposobie, w jaki stoją: sztywno, na baczność, niczym armia kadetów. No i po garniturach, oczywiście - idealnie odprasowanych, bez najmniejszego śladu kredowego pyłu. Ten stan w żadnym razie nie potrwa długo. Pył kredowy to wyjątkowo perfidna substancja, wciskająca się nachalnie nawet do najbardziej politycznie poprawnych zakątków szkoły, gdzie już od dawna nie używa się tradycyjnych tablic i kredy.

Nowicjusz stał obok komputerowców. Fatalny znak. U Świętego Oswalda wszyscy informatycy są brodacami - to już niezłomna reguła. Jedynym wyjątkiem jest kierownik sekcji, pan Beard, który w nieśmiałym odruchu buntu przeciwko konwencji obnosi niewielki wąsik.

- ...skutkiem czego sale od 24 do 36 otrzymają numery od 114 do 126 włącznie, sala 59 będzie od tej pory salą 75, natomiast od dawna wymarły gabinet Języków Klasycznych zostanie przydzielony Sekcji Języka Niemieckiego.

- Co takiego?!

To kolejna zaleta noszenia togi na zebraniach rady: nerwowe, niepomówione drgnienie ręki dzierżącej kubek i herbata wylewa się na kolana, nie pozostawiając jednak żadnych rzucających się w oczy plam.

- Dyrektorze, mam wrażenie, że zaszło poważne nieporozumienie. Gabinet Języków Klasycznych jest nadal intensywnie wykorzystywany. A więc w żadnym wypadku nie nazwałbym go wymarłym. To samo zresztą odnosi się do mojej osoby - dorzuciłem *sotto voce*, piorunując przy tym wzrokiem Teutonów.

Nowy posłał mi lodowate spojrzenie.

- Panie Straitley. Wszystkie powyższe administracyjne kwestie były szczegółowo omawiane w trakcie ostatniego przed wakacjami zebrania rady i jeżeli miał pan jakieś zastrzeżenia do proponowanych rozwiązań, należało je zgłosić właśnie wtedy.

Wszyscy Niemcy obserwowali mnie w napięciu. Ale tylko prostoduszny Gerry miał dość przyzwoitości, żeby przybrać zmieszany wyraz twarzy.

Ja tymczasem zwróciłem się w stronę Devine'a.

- Dobrze wiesz, że nie brałem udziału w tym zebraniu. W owym czasie dozorowałem przebieg egzaminów.

Kwaśnogron uśmiechnął się triumfująco.

- Osobiście przesłałem ci protokół zebrania e-mailem.

- Przecież doskonale ci wiadomo, że nie uznaję żadnych cholernych e-maili!

Tak lodowatej maski na twarzy Nowego jeszcze nigdy wcześniej nie widziałem. On sam jest miłośnikiem nowych technologii (a przynajmniej tak utrzymuje) i przy każdej możliwej okazji z dumą się prezentuje jako zagorzały entuzjasta wszelkich możliwych innowacji. Jednak za zaistniałą sytuację winię

przede wszystkim Boba Strange'a, Trzeciego Mistrza, który ochoczo głosi wszem wobec, że we współczesnym systemie edukacyjnym nie ma miejsca dla komputerowych analfabetów, a także pana Bearda, który się walnie przyczynił do stworzenia w szkole wewnętrznego systemu komunikacji sieciowej o takim stopniu komplikacji i tak niespotykanej elegancji rozwiązań, że w języku potocznym wprost brakuje słów, by je adekwatnie opisać. W każdym razie osoba przebywająca w jednym gabinecie może się porozumieć z drugą osobą, przebywającą w zupełnie innym gabinecie, bez konieczności odwoływania się do tak przyziemnych zachowań, jak podniesienie się z krzesła, otworzenie drzwi, wyjście na korytarz i przeprowadzenie z kimś rozmowy twarzą w twarz (dzięki czemu unika bezpośredniego, a więc odrażająco perwersyjnego kontaktu z drugą istotą ludzką).

Tacy jak ja, kontestatorzy komputerów, należą do gwałtownie wymierającego gatunku, a przez czynniki administracyjne są otwarcie uważani za ślepych, głuchych i dotkniętych starczym otępieniem.

- Panowie! - wtrącił ostro Nowy. - To nie jest odpowiedni moment na prowadzenie podobnej dyskusji. Panie Straitley, proponuję, żeby wyraził pan swoje obiekcje w formie pisemnej i przesłał je e-mailem panu Bishopowi. A teraz czy możemy kontynuować nasze zebranie?

Opadłem na fotel.

- *Ave caesar, morituri te salutant!**

* łac. *Ave caesar, morituri te salutant!* - Witaj cesarzu, idący na śmierć pozdrawiają cię (słowa, którymi zwracali się do cesarza gladiatorzy wychodzący na arenę); Swetoniusz, „Żywoty cesarzy. Klaudiusz” 21,6,6 (przyp. red.).

- Co to było, panie Straitley?

- Nie mam pojęcia. Może przypadkiem dobiegło pana echo upadku ostatnich bastionów cywilizacji, Dyrektorze.

Cóż, nowy semestr nie zaczął się dla mnie pod dobrymi auspicjami. Jakoś mógłbym przeżyć reprimendę Nowego, ale świadomość, że Kwaśnogron zdołał zagarnąć mój gabinet, i to tuż pod moim nosem, była boleśnie nieznośna. Tak czy owak już ja się postaram, żeby ta okupacja była dla Niemców wyjątkowo męcząca.

- A teraz czas powitać naszych nowych kolegów. - Głos Dyrektora zabarwił się minimalnie cieplejszą nutą. - Mam nadzieję, że wszyscy postaramy się, by poczuli się wśród nas jak w domu, i że oni sami poświęcą się szkole z równie wielkim oddaniem jak reszta ciała pedagogicznego.

A to ci dopiero! Jeżeli mieliby się poświęcać i to z oddaniem, najlepiej od razu zamknąć ich w szpitalach dla psychicznie chorych.

- Coś pan mówił, panie Straitley?

- To jedynie nieprecyzyjnie wyartykułowana aprobata, Dyrektorze.

- Mmm.

- No właśnie.

W sumie dołączyło do nas pięcioro nowicjuszy. Jeden, zgodnie z moimi obawami, do sekcji komputerów. Nie dosłyszałem jego nazwiska, ale wszyscy Brodacze wydają mi się tacy sami, podobnie zresztą jak Odprasowane Garnitury. Poza tym komputery to sekcja, w której labirynty praktycznie nigdy się nie zapuszczam. Kolejny nowy nabytek to młoda kobieta do Katedry Języków Nowożytnych (ciemnowłosa, ładne zęby, nieźle rokująca); Odprasowany Garnitur do Geografów - nie pierwszy i nie ostatni w tej sekcji; do tego facet od WF w jaskrawych, obcisłych szortach z lycry oraz - do Katedry Języka Angielskiego - miło wyglądający młody człowiek, którego na pierwszy rzut oka nie jestem w stanie przypisać do określonego typu.

Kiedy się widziało tyle pokojów nauczycielskich co ja, zazwyczaj bez trudu się rozpoznaje zaludniającą je faunę. Każda szkoła jest swoistym ekosystemem i tygłem towarzyskim, jednak pewne gatunki występują powszechnie w każdym środowisku. Oczywiście są Garnitury (w naszej szkole, od czasu pojawienia się Nowego, występują coraz liczniej i zazwyczaj polują stadami). Ich naturalnym wrogiem są Tweedowe Marynarki - samotne i terytorialne zwierzęta, choć od czasu do czasu niestroniące od hulanki i swawoli. Ponieważ jednak rzadko łączymy się w pary, liczebność naszej populacji nieustannie się kurczy. Następni w kolejce to Nadgorliwi Entuzjaści, których typowymi przedstawicielami są moi niemieccy koledzy - Geoff i Penny Nation. Obok nich mamy Wybitnych Specjalistów - czytujących „Mirror” w trakcie rad pedagogicznych, rzadko widywanych bez kubka kawy w dłoni i wiecznie spóźnionych na zajęcia - a także Niskokaloryczne Jogurty (te okazy występują jedynie w rodzaju żeńskim i zajmują się głównie plotkami oraz odchudzaniem). Natomiast Płochliwe Króliki mogą być dowolnej płci, za to charakteryzują się błyskawicznym czmychaniem do nory na widok pierwszej oznaki choćby najbłahszego nieporozumienia. Do tej całej menażerii dochodzą jeszcze Smoczyce, Kociaki, Dziwoptaki, Stara Gwardia, Młodzi Gniewni, a poza tym ekscentrycy wszelkiej możliwej maści.

Z reguły potrafię trafnie zaszufładkować nowicjusza po kilku pierwszych minutach znajomości. I tak geograf, pan Easy, jest bez wątpienia Garniturem: elegancki, prostoduszny, z rzucającym się w oczy zamilowaniem do biurokracji. Natomiast z całą pewnością facet od WF to - bogowie, miejcie nas w swojej opiece - typowy okaz Wybitnego Specjalisty. Za pierzastą zaś brodą pana Mecka, informatyka, kryje się najprawdopodobniej Płochliwy Królik. Z kolei nowa podpora lingwistyczna, panna Dare, mogłaby uchodzić za materiał na Smoczycę, gdyby nie swoisty, świadczący o poczuciu humoru rys w okolicach jej ust. Koniecznie muszę w najbliższym czasie poddać ją testowi i osobiście sprawdzić, z jakiego tak naprawdę jest kruszcu.

Gdy zaś chodzi o nowego nauczyciela angielskiego - pana Keane'a - przynajmniej, że na razie wymyka się jednoznacznej klasyfikacji. Zdecydowanie nie należy do typowych Garniturów, ma niewiele wspólnego z Nadgorliwymi Entuzjastami, jest jednak zdecydowanie za młody jak na Tweedową Marynarkę.

Nowy Dyrektor bardzo skwapliwie zabiega o młodą krew. Mawia, że przyszłość naszego zawodu zależy od dopływu świeżych pomysłów i idei. Ale takie stare wygi jak ja nie dają sobie zamydlić oczu podobnymi truizmami. Młoda krew jest po prostu dużo tańsza.

I taką właśnie opinię przedstawiłem Patowi Bishopowi tuż po zebraniu rady.

- Daj im szansę - odparł. - A przynajmniej pozwól, żeby się tu nieco zdomowili, zanim na dobre weźmiesz ich na zęby.

Pat oczywiście uwielbia młodzież - to istotna składowa jego uroku. Chłopcy doskonale wyczuwają ten sentyment; to ich do niego zbliża, skraca dystans. Ale także czyni z Pata niewiarygodnego naiwniaka. Jego nieumiejętność dostrzegania zła w jakiegokolwiek ludzkiej istocie była już powodem problemów w przeszłości.

- Jeff Light to sportsmen z krwi i kości - zapewnił. Mnie zaś natychmiast stanął przed oczami tępy osiłek w szortach z lycry. - A Chris Keane ma doskonałe referencje. - W to byłem skłonny o wiele szybciej uwierzyć.

- Natomiast nasza nowa nauczycielka francuskiego wydaje się wyjątkowo inteligentna i sensowna.

No jasne. Nagle przypomniałem sobie, że Bishop z urzędu uczestniczy we wszystkich rozmowach kwalifikacyjnych.

- Cóż, mam nadzieję, że się nie mylisz - rzuciłem pojednawczo, po czym skierowałem się w stronę Dzwonnicy.

Po frontalnym ataku ze strony doktora Devine'a nie miałem najmniejszej ochoty na kolejną konfrontację.

2

I cóż mam wam powiedzieć? To było wprost dziecinnie proste. Gdy tylko ujrzeli moje dossier, wpadli w niemy zachwyt. To zabawne, jak wielkim zaufaniem niektórzy ludzie darzą urzędowe papierki: certyfikaty, dyplomy i referencje. U Świętego Oswalda zaś ta ślepa wiara w moc dokumentu jest jeszcze silniejsza niż gdzie indziej. Ostatecznie cała ich maszyna napędzana jest biurokracją. Choć, jak mi się zdaje, owa maszyna ostatnio coraz częściej się zacina i zgrzyta, szwankują bowiem dostawy smaru niezbędnego do jej bezawaryjnego funkcjonowania. To forsa sprawia, że tryby gładko się kręcą - zwykł mawiać mój ojciec. I akurat w tym wypadku miał świętą rację.

Otoczenie szkoły nie zmieniło się zasadniczo przez tych piętnaście lat. Boiska nie ciągną się już na tak rozległej przestrzeni, ponieważ od kilku lat rozrasta się nowa dzielnica mieszkaniowa; zapewne z tego też powodu pojawiło się wysokie ogrodzenie - rzędy drutu rozpięte na betonowych słupach, wzmacniające wymowę tablic z napisem OBCYM WSTĘP SUROWO WZBRONIONY. Ale duch Świętego Oswalda nie zmienił się ani na jotę.

Szkołę po raz pierwszy należy koniecznie zobaczyć od frontu. Imponujący, długi podjazd, bramy z kutego żelaza i kamienna fasada zostały tak zaprojektowane, by powalać śmiertelników na kolana. I rzeczywiście, ten urok działa do dziś - przy akompaniamencie słodkiego szeptu: sześć tysięcy od ucznia za rok nauki. Nie da się jednak ukryć, że owa mieszanka staroświeckiej arogancji i przyzwolenia na konsumpcyjne rozpasanie wciąż przyciąga bogatych klientów jak magnes.

Święty Oswald nadal się lubuje w napuszonych tytułach i nazwach. I tak zastępcy Dyrektora to Drugi i Trzeci Mistrz, a praca domowa - repetytorium. Nawet sprzątacze noszą szczytne miano Sypialnianych, mimo że zlikwidowano tu internat - a więc i Sypialnie - kilkadziesiąt lat temu, w 1918 roku. Faktem pozostaje jednak, że rodzice uwielbiają podobne ceregiele. Stąd w języku

oswaldzkim, czyli Ozzie (tak naprawdę wszystko i wszyscy związani ze szkołą bywają określanym tym mianem), wiekowa jadalnia wciąż nazywana jest Nowym Refektarzem, natomiast budynki - powoli kruszące, chylące się ku ruinie - są administracyjnie podzielone na wiele zacisznych zakątków, noszących tak wydumane nazwy jak: Rotunda, Spiżarnia, Kwatera Mistrzów, Obserwatorium czy Port-Cochère. Naturalnie obecnie rzadko kto używa tych określeń na co dzień, nie ulega jednak wątpliwości, że doskonale się prezentują we wszelkich broszurach promocyjnych.

Mój ojciec - to trzeba przyznać - był niebywale dumny ze swojego tytułu Naczelnego Portiera. Tak naprawdę był najzwyczajszym woźnym, ale ów tytuł - sugerujący władzę i autorytet - pozwalał mu spokojnie znosić upokorzenia i drobne zniewagi, jakich nieustannie doświadczał w pierwszych latach pracy. On sam zakończył edukację w wieku lat szesnastu - nie miał żadnego solidnego wykształcenia, więc w jego oczach Święty Oswald reprezentował wyżyny, do których nawet w najśmielszych snach nie śmiałyby aspirować.

W rezultacie do złotych chłopców ze szkoły odnosił się z podziwem i pogardą zarazem. Podziwem dla ich fizycznej sprawności, sportowej waleczności, harmonijnej budowy i niekwestionowanej zamożności. Pogardą - dla ich psychicznej wrażliwości, samozadowolenia, zarozumiałości i wychowu pod kloszem. Nie ulegało wątpliwości, że nieustannie mnie do nich przyrównuje - i w miarę upływu lat coraz wyraźniej rzucało się w oczy, jak bardzo w jego mniemaniu odbiegam od ideału i jak gorzkim jestem dla niego źródłem rozczarowania.

Bo widzicie, mój ojciec marzył o synu, który byłby stworzony na jego obraz i podobieństwo. O dzieciaku dzielącym z nim pasję do futbolu, loterii-zdrapek oraz ryby z frytkami; chłopaku tak samo nieufnym wobec kobiet i w równym stopniu kochającym różne formy aktywności na świeżym powietrzu. A jednocześnie marzył mu się syn wstępujący w mury Świętego Oswalda - kapitan krykietowej drużyny Dżentelmenów *, chłopak na tyle charakterny, by wyrwać się z ograniczeń własnej kasty i dojść do szczytów, nawet za cenę odżegnienia się od własnego ojca.

* Dżentelmeni kontra Gracze - rozgrywki krykietowe, regularnie organizowane w latach 1908-1962. w których naprzeciwko drużyny złożonej z profesjonalistów (Gracze) stawali amatorzy, zazwyczaj członkowie elitarnych klubów dla wyższych sfer (Dżentelmeni) (przyp. tłum.).

W zamian - miał mnie. Takie ni to, ni owo. Oddającego się bezużytecznym marzeniom, dzieciaka rozkochanego w książkach i filmach klasy B - skrytego, chudego, bladego, bezbarwnego, w ogóle niewykazującego zainteresowania sportem, zamkniętego w sobie wprost proporcjonalnie do ojcowskiego ekstrawertyzmu.

Niemniej robił, co mógł. Starał się nawet wtedy, gdy mnie nie chciało się starać. Zabierał mnie na mecze piłkarskie, które wydawały mi się nudne jak flaki z olejem. Kupił mi rower - a poczucie obowiązku kazało mi codziennie objeżdżać na nim zewnętrzne mury szkoły. Ale co najważniejsze - przez pierwszy rok naszego pobytu w tym miejscu nie tracił umiaru i prawie nigdy się nie upijał. To, jak przypuszczam, powinno wzbudzać we mnie wdzięczność - jednak nie wzbudzało. Zapewne dlatego, że tak jak jego marzenia ogniskowały się na tym, by mieć syna dopasowanego do jego wyobrażeń, tak moje - na tym, by mieć ojca odpowiadającego mojemu ideałowi, stworzonemu ze zlepku bohaterów rozlicznych książek i komiksów. Przede wszystkim powinien być to człowiek cieszący się niekłamany autorytetem - surowy, ale sprawiedliwy. Odznaczający się fizyczną odwagą, a jednocześnie nadzwyczajną lotnością umysłu. W moich rojeniach jawił się jako miłośnik książek i intelektualista. Ktoś, kto byłby w stanie mnie zrozumieć.

Och, oczywiście instynkt nakazywał mi doszukiwać się tych cech u Johna Snyder'a. Nawet raz czy dwa wydawało mi się, że one gdzieś w nim drzemiały. Droga do dorosłości najeżona jest sprzecznościami, nic dziwnego więc, że w latach dzieciństwa zwodziły mnie kłamstwa, którymi ową drogę wybrukowano. Tata najlepiej wie, co dla ciebie najlepsze. Zostaw to mnie. Należy słuchać starszych. Dzieci i ryby głosu nie mają. Rób, co każę. Ale już nawet wtedy zaczynało do mnie docierać, że rozziew między mną a ojcem z dnia na dzień się pogłębia. Mnie od najmłodszych lat do działania motywowała ambicja - John Snyder, pomimo swojego życiowego doświadczenia, zadowolony był z pracy Naczelnego Portiera.

Chociaż trzeba przyznać, że naprawdę był dobrym portierem i z pełnym poświęceniem wypełniał swoje obowiązki. Wieczorami zamykał wszystkie bramy i furki, obchodził teren, podlewał rośliny, siał trawę na boisku krykietowym, a potem starannie ją kosił, uprzejmie witał nauczycieli i gości, przeprowadzał drobne naprawy, czyścił rynny, spisywał dokładne raporty z większych awarii, wymagających interwencji firm specjalistycznych, usuwał graffiti, prznosił meble, wydawał chłopcom klucze do szafek i przyjmował wiadomości. W zamian niektórzy wykładowcy zwracali się do niego per John, co napełniało go wdzięcznością i niekłamany dumą.

Teraz pracuje tu całkiem inny Portier - facet o nazwisku Fallow. Jest spasiony, niedbały i wiecznie niezadowolony z życia. Zamiast pilnować bramy, siedzi w Portierni i słucha głośno radia. John Snyder nigdy by sobie na to nie pozwolił.

Zgodnie z polityką Świętego Oswalda tak wyznaczono terminy rozmów kwalifikacyjnych kandydatom, żeby się ze sobą nie spotkali, a w komisji kwalifikacyjnej zasiadali: Kierownik Sekcji, Dyrektor oraz Drugi Mistrz.

Te twarze naturalnie były mi doskonale znajome - nikt nie zmienił się na tyle, by nie można go rozpoznać. Pat Bishop przytył, jest bardziej rumiany i jowialny - jakby przeistoczył się w sympatyczną parodię samego siebie z przeszłości, ale już Bob Strange wygląda w zasadzie tak samo: to nadal szczupły mężczyzna o ostrych rysach, ciemnych oczach i marnej cerze - tylko włosy mu się przerzedziły. Piętnaście lat temu był młodym, nad wyraz ambitnym anglistą, rozmiłowanym w biurokracji. Teraz jest tutaj szarą eminencją - sprawnym manipulatorem, weteranem niezliczonych kursów metodycznych i komputerowych, poza tym odpowiada za układanie planu.

Dyrektor też niewiele się zmienił. W owych czasach był Nowym Dyrektorem - facetem po trzydziestce, przedwcześnie siwiejącym, wysokim, sztywnym i dostojnym. Nie rozpoznał mnie - bo i jakim cudem miałby rozpoznać? - niemniej miękko ujął moją dłoń zimnymi palcami.

- Mam nadzieję, że nasza szkoła robi jak najlepsze wrażenie? - Nikt nie miałby wątpliwości, że słowo „szkoła” wymawia od wielkiej litery.

- O, tak. Jest imponująca. - Na moich ustach zagościł szeroki uśmiech. - W szczególności nowy kompleks komputerowy. Piękne połączenie szlachetnej, akademickiej tradycji z nową, dynamiczną technologią.

Dyrektor z powagą pokiwał głową. Nie ulegało wątpliwości, że zakonotował moje zdanie w pamięci, by wykorzystać je w najnowszym prospekcie reklamowym. Za jego plecami Pat Bishop wydał z siebie pomruk, który mógł być równie dobrze drwiną jak i akceptacją. Bob Strange natomiast jedynie wbijał we mnie baczne spojrzenie.

- Przede wszystkim uderzyło mnie... - Otworzyły się drzwi i na widok sekretarki wchodzącej z tacą zastawioną filiżankami głos na moment uwiązał mi w gardle. Po prostu zdumiała mnie jej obecność w tym miejscu, nic więcej, istniało bowiem nikle prawdopodobieństwo, że mnie rozpozna. - Przede wszystkim uderzyło mnie... - po chwili udało mi się zebrać myśli - ...jak harmonijnie udało się tu połączyć nowoczesność z tradycją, nie tracąc najlepszych cech obu tych światów. Święty Oswald to szkoła mająca odwagę jasno wyrazić, że choć stacją na wszelkie nowinki, nie zamierza przy tym poddawać się ślepo dyktatowi nowych technologii - wykorzystuje je tylko w celu wzmocnienia akademickiej perfekcji.

Dyrektor ponownie kiwnął głową, podczas gdy sekretarka - długonoga, ze szmaragdem na palcu, rozsiewająca subtelną woń Chanel nr 5 - napełniała filiżanki herbatą. W moim podziękowaniu pobrzmiwała rezerwa subtelnie pomieszana z wdzięcznością. Serce waliło mi jak młotem, co nie zmieniało faktu, że cała ta sytuacja ekscytowała mnie w pewien perwersyjny sposób.

Spotkanie z sekretarką to mój pierwszy poważny test - i do tego test zdany celująco.

Kiedy sekretarka zbierała się do wyjścia, Bishop mruknął: „Dziękuję, Marlene”, po czym zajął się swoją herbatą. Podobnie jak mój ojciec wrzucił do niej cztery kostki cukru, a srebrne szczypcy w jego wielkich dłoniach zdawały się mikroskopijną pęsetką. Strange przez cały czas pozostawał milczący, Dyrektor natomiast świdrował mnie oczami, przywodzącymi na myśl okrągłaki wyrzucone na morski brzeg, i sprawiał wrażenie czającego się drapieżnika.

- No, dobrze - odezwał się w końcu Bishop, mierząc mnie uważnym spojrzeniem. - A teraz zajmijmy się prozą życia, dobrze? Wiemy już, że stojąca przed nami osoba umie błysnąć elokwencją i znajomością odpowiedniego żargonu. Chciałbym jednak coś usłyszeć o koncepcji praktycznego zastosowania wiedzy w klasie.

Dobry stary Bishop. Mój ojciec go lubił, uważał za „równego gościa” i pozostawał ślepy na jego przebiegłość. Słyszając ten akcent rodem z Yorkshire i patrząc na rumianą twarz rugbisty, łatwo można zapomnieć, że Drugi Mistrz jest absolwentem Oksfordu i że w żadnym razie nie należy go lekceważyć.

- W klasie stosuję własne metody, jak zapewne i pan, sir. - Na moich ustach pojawił się uśmiech. - Uważam, że jeżeli znajdzie się wspólny język z uczniami, zawsze osiągnie się dobre rezultaty. I zupełnie nieistotne, czy do pożądanego celu dochodzi się, stosując najnowsze wytyczne rządowe, czy wręcz przeciwnie. Większość rodziców nie ma pojęcia o metodyce i technikach nauczania. Interesuje ich jedynie, czy za swoje pieniądze dostają to, czego oczekują. Myślę, że się pan ze mną zgodzi?

Bishop mruknął coś pod nosem. Szczeroc- nieważne, czy udawana, czy rzeczywista - zazwyczaj trafia mu do przekonania. Wyraz jego twarzy sugerował niechętny podziw. A więc test numer dwa także zdany pomyślnie.

- Mnie natomiast zazwyczaj interesuje, gdzie aplikanci widzą siebie za pięć lat - odezwał się milczący do tej pory Strange.

To ambitny facet, za wszelką cenę dążący do powiększenia swojego małego imperium. A za jego surową jezuicką miną kryje się inteligencja, przebiegłość i zimna bezwzględność.

- Ja widzę siebie w klasie, sir - padła moja natychmiastowa odpowiedź. - Nic nie sprawia mi większej przyjemności jak nauczanie.

Wyraz twarzy Strange'a pozostał niewzruszony, kiwnął jednak z aprobatą głową, upewniony, że nie siedzi przed nim niebezpiecznie ambitna jednostka. A więc test numer trzy także zaliczony.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wśród kandydatów nie znajdą nikogo lepszego ode mnie. Moje kwalifikacje olśniewały - podobnie jak moje referencje. I trudno, żeby było inaczej: podrobienie tych wszystkich dokumentów zajęło mi wiele godzin. Największą frajdę sprawiało mi moje nowe

nazwisko - starannie wybrane spośród nazwisk wyrytych na jednej z pomniejszych Tablic Honorowych wiszących w Środkowym Korytarzu. Mam wrażenie, że do mnie pasuje. Poza tym mój ojciec z pewnością by się ucieszył, że w nowym wcieleniu został jednym z Ozzie - członkiem Starej Gwardii Absolwentów Świętego Oswalda.

Afera Johna Synde'a miała miejsce wiele lat temu i z pewnością nawet najstarsi weterani - jak Roy Straitley czy Hillary Monument - już nie pamiętają jej szczegółów. Tato-absolwent szkoły był mi potrzebny jednak w innych celach - dzięki temu łatwo przyjdzie mi się wytłumaczyć ze znajomości zwyczajów panujących u Świętego Oswalda, miłości do tego miejsca oraz pragnienia, by uczyć akurat tutaj. Poza tym ojciec-Ozzie daje mi przewagę nad innymi kandydatami - przemawia na moją korzyść nawet bardziej skutecznie niż dyplom z wyróżnieniem uniwersytetu w Cambridge, nienaganny akcent czy dyskretnie kosztowny ubiór.

Tak wytrawny gracz jak ja opracował również szczegółową historię swojej rodziny - ot, na wszelki wypadek. Matka Szwajcarka, dzieciństwo na kontynencie. Ojciec - pedantyczny mężczyzna o delikatnych palcach pianisty, rozmiłowany w podróżach. Wyróżniający się student w oksfordzkim Trinity - gdzie notabene poznał moją matkę - oraz wybitny specjalista w swojej dziedzinie. Niestety, oboje rodzice zginęli tragicznie w wypadku kolejki linowej w pobliżu Interlaken w zeszłe Boże Narodzenie. Dla równowagi należało także dodać jakieś rodzeństwo. I tak mam siostrę w St. Moritz oraz brata na uniwersytecie tokijskim. Na staż przyjęła mnie prywatna szkoła Harwooda w Oxfordshire, ale gdy chodzi o stałą posadę, moim marzeniem jest praca tu, na północy, w szkole Świętego Oswalda.

Wszystko poszło jak z płatka. Kilka listów na firmowym papierze z szacownymi nagłówkami, barwne CV, parę banalnie prostych do podrobienia referencji. I wiecie co? Nikt nawet nie pofatygował się, żeby cokolwiek sprawdzić. Przyznaję, że to mnie nieco rozczarowało, wiele trudu i czasu kosztowało bowiem sfabrykowanie szczegółów. Wprost nie do wiary, jak łatwo tym ludziom zamydlić oczy. Ich głupotę przewyższa jedynie ich arogancja - pewność, że nikt się nie ośmieli przekroczyć pewnej granicy.

Poza tym cała ta zabawa to jeden wielki bluff. Gra pozorów. Gdyby stanął przed nimi kandydat z plebejskim akcentem i w tanim garniturze, to choćby przedstawił najwspanialsze referencje na świecie, nie miałby szans na pracę u Świętego Oswalda.

Telefon zadzwonił jeszcze tego samego wieczoru.

Przyjęli mnie.

3

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
poniedziałek 6 września*

Po rozstaniu z Patem udałem się na poszukiwania Pearmana. Nie zajęły mi zbyt wiele czasu. Znalazłem go w gabinecie Sekcji Językowej w towarzystwie nowej nauczycielki francuskiego, Dianne Dare.

- Nie przejmuj się Straitleyem - zwrócił się Pearman radosnym tonem do owej młodej panny tuż po tym, jak dokonał prezentacji. - Z lubością bawi się nazwiskami. Twoje dostarczy mu wielu krotochwilnych uciech, tego możesz być pewna.

Całkowicie zignorowałem jego niegodziwą uwagę.

- Dopuszczałeś, by sekcję galijską do szczytu zdominowały kobiety - rzuciłem surowo. - Jeszcze chwila, Pearman, a zaczniesz biegać za kretonem na zasłonki.

Panna Dare posłała mi rozbawione spojrzenie.

- Wiele o panu słyszałam - wyznała.

- Zapewne nic dobrego?

- Jakikolwiek komentarz w tej sprawie wskazywałby na brak profesjonalizmu z mojej strony.

- Hm. - Dianne to bardzo szczupła dziewczyna o inteligentnych brązowych oczach. - Cóż, teraz już za późno, żeby mogła się pani wycofać - oświadczyłem. - Gdy człowiek raz znajdzie się w murach Świętego Oswalda, zazwyczaj wsiąka tu na całe życie. Ta szkoła wysysa z człowieka wszystkie soki. Proszę tylko spojrzeć na Pearmana - jest cieniem samego siebie sprzed lat. Osłabł tak znacznie, że pozwolił Szwabom na okupację mojego gabinetu.

- Wiedziałem, że nie przypadnie ci to do gustu - westchnął żałośnie Pearman.

- Wiedziałeś? Co ty powiesz?

- Posłuchaj, Roy. W grę wchodziła albo utrata gabinetu, albo sali 59. A skoro prawic nigdy z tego gabinetu nie korzystasz...

Miał rację oczywiście, ale w żadnym razie nie zamierzałem tego przyznać.

- Utrata sali 59? Co ty bredzisz? To moja klasa od trzydziestu lat. Jestem z nią niemal organicznie zrośnięty. Czy wiesz, jak nazywają mnie chłopcy? Quaz. Quasimodo. Quasimodo - bo wyglądam jak maskaron i wiodę żywot w Dzwonnicy.

Panna Dare zdołała zachować powagę, widziałem jednak, że przyszło jej to z największym trudem.

Pearman potrząsnął smętnie głową.

- Jeżeli nie możesz się z tym pogodzić, podejmij negocjacje z Bobem Strange'em. Ja doprawdy nic więcej nie mogłem dla ciebie zrobić. W obecnym układzie obejmiesz salę 59 w niemal wyłączne władanie, a kiedy ktoś inny będzie tam prowadził zajęcia, zawsze pozostanie ci do dyspozycji Sala Cichej Pracy, gdzie będziesz mógł w spokoju sprawdzać prace.

To zabrzmiało wyjątkowo złowieszczo. Do tej pory w wolnym czasie zawsze sprawdzałem prace w swojej klasie.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że będę musiał z kimś dzielić salę 59?

Pearman przybrał przepaszającą minę.

- Cóż, większość z nas musi z kimś dzielić klasy. Inaczej nie zdołalibyśmy się pomieścić. Czyżbyś nie przestudiował swojego planu zajęć?

Jasne, że nie przestudiowałem. Przecież każdy doskonale wie, że nigdy nie zaglądam do planu, jeśli nie jestem do tego bezwzględnie zmuszony. Kipiąc z oburzenia, zacząłem grzebać w swojej przegródce na korespondencję, by po chwili wyciągnąć stamtąd zmiętoszony wydruk z komputera i odręczną notatkę od Danielle, sekretarki Strange'a. Na wszelki wypadek zebrałem się w sobie, by mężnie znieść jak najgorsze i przygnębiające wieści.

- Cztery osoby? Mam dzielić salę z czwórką nieokrzesanych uzurpatorów, zwykłych parweniuszy, a do tego raz w tygodniu udostępniać ją na spotkania jednego z domów?

- Obawiam się, że mam dla pana jeszcze gorsze wieści - wtrąciła potulnym tonem panna Dare. - Jednym z tych nieokrzesanych parweniuszy jestem ja.

To wyjątkowo dobrze świadczy o Dianne Dare, że wybaczyła mi moje ówczesne słowa. Oczywiście wypowiedziałem je w uniesieniu wyrzuciłem z siebie pod wpływem chwili, bez zastanowienia i tak dalej. Ale niektóre inne osoby - na przykład Isabelle Tapi - mogłyby się poczuć do głębi urażone, co z kolei groziłoby dalekosiężnymi konsekwencjami. Isabelle odznacza się słabą konstytucją nerwową, a tymczasem każde zgłoszenie uszczerbku na zdrowiu - na przykład skutek emocjonalnej traumy - jest wyjątkowo poważnie traktowane przez Kwestora.

Na szczęście panna Dare wykazała się hartem ducha. I nie zrejęterowała - prowadziła zajęcia w mojej sali. Muszę jednak oddać jej sprawiedliwość - nigdy nie pozostawiała po sobie bałaganu, nigdy nie grzebała w moich papierach, nie piszczała histerycznie na widok myszy i nigdy nie skomentowała faktu, że tyły mojej szafki okupowała butelka leczniczej sherry. Doszedłem więc do wniosku, że nasze pierwsze spotkanie nie wywarło na niej aż tak fatalnego wrażenia, jak mi się pierwotnie zdawało.

Niemniej wciąż nie mogę się pogodzić z frontalnym atakiem na moje skromne imperium; oczywiście doskonale wiem, kto za tym wszystkim stoi. Doktor Devine, kierownik Sekcji Niemieckiej, a na dodatek - co w tej sytuacji zdaje się nawet bardziej istotne - opiekun domu Amadeus, który to dom - cóż za niezwykle zbieg okoliczności! - ma mieć zebrania w mojej sali każdego czwartkowego poranka.

Zdaje się, że w tym miejscu winien jestem pewne wyjaśnienie. Otóż szkoła Świętego Oswalda jest historycznie podzielona na pięć domów: Amadeus, Parkinson, Birkby, Christchurch i Stubbs. Oczywiście od czasu rezygnacji z internatu ten podział zatracił swój pierwotny sens i teraz odnosi się jedynie do systemu organizacji zajęć sportowych, kółek zainteresowań i modlitw w Kaplicy, więc mnie w żaden sposób nie dotyczy. Ostatecznie nie mam nic wspólnego ani z modłami, ani z zimnymi tuszami po lekcjach WF. Nie zmienia to faktu, że w każdy czwartek rano wszystkie domy spotykają się w największych dostępnych salach, by omówić wydarzenia nadchodzącego tygodnia, a ja teraz kipię z wściekłości, że jedno z owych spotkań ma się odbywać akurat w mojej klasie. Po pierwsze oznacza to, że Kwaśnogron może bez przeszkód myszkować po szufladach mojego biurka, po drugie - stłoczenie ponad stu chłopców w klasie przeznaczonej dla trzydziestu musi prowadzić do niewyobrażalnego bałaganu.

Powtarzam sobie ponuro, że owa inwazja barbarzyńców będzie następowwała tylko raz w tygodniu, ale nie przynosi mi to ulgi. Wciąż czuję się nieswojo. Przede wszystkim niepokojem napawa mnie świadomość, że Kwaśnogronowi z taką łatwością udało się poczynić wyrwę w moich liniach obronnych.

Pozostali intruzi nie wzbudzają we mnie aż tak negatywnych uczuć. Pannę Dare zdążyłem już poznać. Pozostała trójka to również nowicjusze: Meek, Keane i Easy. To dość naturalne, że nowi nauczyciele uczą w najrozmaitszych salach. U Świętego Oswalda zawsze brakowało przestrzeni, a już tego roku, po adaptacji kilku pomieszczeń na kompleks komputerowy, przeżywamy prawdziwy kryzys. Z niechęcią przygotowałem się więc na otwarcie bram swojej fortecy dla wrogich formacji. Nie spodziewałem się żadnych problemów ze strony nowicjuszy. Człowiekiem, którego musiałem się strzec, był Devine.

Resztę dnia spędziłem w swoim sanktuarium, smętnie zadumany nad oficjalnymi dokumentami. Zadziwił mnie plan - jedynie dwadzieścia osiem jednostek lekcyjnych w tygodniu w porównaniu z trzydziestoma czterema w ubiegłym roku. Nadto w moich klasach będzie mniejsza liczba uczniów. Oznacza to, oczywiście, mniej przygotowań i sprawdzania prac. Ale w zamian z pewnością dorzucą mi dyżury w czasie przerw i repetytoriów.

Poza tym odwiedziło mnie też kilka osób. Najpierw Gerry Grachvogel wsadził głowę w drzwi i o mały włos jej nie stracił (zapytał, kiedy zamierzam usunąć swoje rzeczy z mojego dawnego gabinetu). Po nim zjawił się Fallow, Portier, by zmienić tabliczkę z numerem na drzwiach. Hillary Monument, kierownik Sekcji Matematyki, wpadł, żeby w spokoju ducha wypalić papierosa, z dala od pełnych dezaprobaty spojrzeń swoich zastępców. Pearman podrzucił mi kilka podręczników, a przy okazji przeczytał obsceniczny wiersz Rimbauda; Marlene przyniosła dziennik; natomiast Kitty Teague przyszła tylko po to, żeby zapytać, jak się miewam.

- Chyba nie najgorzej - odparłem ponuro. - Ale idy marcowe dopiero przed nami. I tylko bogowie wiedzą, co nas wówczas spotka.

Powiedziawszy to, zapaliłem gauloise'a. Pomyślałem, że poużywam sobie, póki jeszcze mogę. Kiedy Devine się tu wmelduje, nieczęsto uda mi się w spokoju rozkoszować papierosem.

W oczach Kitty dojrzałem współczucie.

- Zejdź ze mną do holu - zaproponowała. - Kiedy coś przegryziesz, od razu poczujesz się lepiej.

- Co takiego? Mam tam zejść i przez cały lunch znosić chełpliwe spojrzenia Kwaśnogrona?

Wcześniej postanowiłem, że w czasie lunchu wybiorę się do „Spragniego Bakalarza” na małe piwo, ale teraz jakoś straciłem na to ochotę.

- Idź koniecznie - zaczęła namawiać mnie Kitty. - Na pewno od razu poczujesz się lepiej.

„Bakalarz”, przynajmniej z założenia, jest miejscem zakazanym dla uczniów. Jednak leży zaledwie pół mili od Świętego Oswalda i doprawdy trzeba być dziecinnie naiwnym, by wierzyć, że przynajmniej połowa szóstkłasiaków nie przesiaduje tam w przerwie na lunch. Pomimo srogich kazań Dyrektora Pat Bishop, odpowiedzialny za dyscyplinę, przemyka oczy na tę drobną niesubordynację. Ja także, wszakże pod warunkiem, że chłopcy zdejmują szkolne krawaty i marynarki. Wówczas z czystym sumieniem możemy udawać, że się nie dostrzegamy nawzajem.

Tego dnia było tu wyjątkowo cicho jak na porę lunchu - zaledwie kilka osób siedziało przy barze. Zaważyłem Fallowa - Portiera, pana Roacha - historyka, który nosi długie włosy i pozwala chłopcom, żeby zwracali się do niego per Robbie, oraz Jimmy'ego Watta, naszą szkolną złotą rączkę, człowieka

wyjątkowo sprawnego manualnie, ale nienależącego do najbardziej lotnych.

Jimmy wprost rozpromienił się na mój widok.

- Pan Straitley! Jak się udały wakacje?

- Doskonale, dziękuję, Jimmy. - Już dawno temu się nauczyłem, że nie należy nadweręzać jego intelektu zbyt długimi frazami. Niektórzy jednak nie są równie uprzejmi; bo też kiedy się patrzy na pyzată twarz Jimmy'ego i jego gapowato rozdziawione usta, łatwo zapomnieć, że to człowiek o gołęmb sercu. - Czego się napijesz?

Jimmy ponownie uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jejku, dzięki, szefie. Poproszę małe shandy*. Muszę jeszcze po południu pogrzebać przy elektryce.

* Orzeźwiający napój będący mieszaniną piwa i lemoniady (przyp. tłum.).

Zaniosłem jego i swoją szklankę do wolnego stolika. Nieopodal, w kącie, siedzieli: Easy, Meek, Keane i Light - nowy facet od WF - a wraz z nimi Isabelle Tapi, zawsze chętnie socjalizująca się z nowymi, oraz panna Dare zachowująca się wobec reszty z pewną rezerwą. Nie zdziwiłem się, widząc ich wszystkich razem. W ilości siła, a atmosfera u Świętego Oswalda zazwyczaj wpływała onieśmielająco na nowicjuszy.

Odstawiwszy shandy Jimmy'ego, podszedłem powolnym krokiem do ich stolika, by się wszystkim przedstawić.

- Zdaje się, że niektórzy z was będą pracować w mojej sali - napomknąłem. - Chociaż przyznaję, że nie mam pojęcia, jak pan zdoła tam nauczać wiedzy o komputerach... - Zwróciłem się do brodatego Meeka. - A może to kolejny etap w waszym przemyślnym planie całkowitego zawładnięcia naszą planetą?

Keane uśmiechnął się szeroko. Natomiast Light i Easy sprawiali wrażenie kompletnie skołowanych.

- Ja... ja za-zatrudniłem się tylko na pół etatu - wydukał nerwowo Meek. - W piątki... w piątki uczyć... ma-matematyki.

O bogowie. Jeżeli ja wprawiam go w przerażenie, to piąta F po prostu późre go żywcem. Aż boję się myśleć, co będą wyczyniać w mojej sali. Zakonotowałem w myślach, by w czasie jego zajęć mieć się na baczności i wkroczyć do akcji, gdy tylko dobiegną mnie pierwsze odgłosy rewolty.

- Za to pub nie mógłby się znajdować w lepszym miejscu - zawyrokował Light, wielkimi haustami żłopiać piwo. - Czuję, że to właśnie tutaj będę siedział w porze lunchu.

Easy uniósł w zdziwieniu brew.

- Nie masz w tym czasie jakichś treningów, dodatkowych dyżurów, rozgrywek rugby czy czegoś w tym rodzaju?

- Przecież wszyscy mamy prawo do czasu wolnego na lunch, no nie?

Wielkie nieba. Wybitny Specjalista i Związkowiec na dodatek. Tylko tego nam brakowało.

- Uch... ale Dyrektor powiedział... to znaczy, ja się zgodziłem poprowadzić Kółko Geograficzne. Myślałem, że każdy powinien się zobowiązać do jakichś pozalekcyjnych zajęć.

Light wzruszył ramionami.

- Oni przecież zawsze tak mówią. Ja w każdym razie absolutnie nie zamierzam prowadzić dodatkowych zajęć sportowych czy sobotnich rozgrywek i jednocześnie rezygnować z przerwy na lunch. Co to ma być, do diabła? Jakież cholerne więzienie Colditz?

- No cóż, ty ostatecznie nie musisz przygotowywać konspektów ani sprawdzać testów czy prac domo... - podjął Easy.

- O, jakże to typowe - wtrącił Light z poczerwieniałą twarzą. - Jakże cholernie typowe dla nadętych belfrów. Jeżeli coś nie sprowadza się do papierków, to już się nie liczy, tak? Ja natomiast powiem ci - i oświecę cię za darmo, przyjacielu: moje zajęcia o wiele bardziej się przydadzą tym chłopakom niż wkuwanie, jak brzmi nazwa jakiejś cholерnej stolicy Kazachstanu czy czegoś w tym rodzaju...

Easy sprawiał wrażenie człowieka, któremu nagle zabrakło języka w gębie. Meek natomiast wcisnął twarz w szklankę z lemoniadą i za żadne skarby nie podniósłby teraz wzroku. Tylko panna Dare, niewzruszona, spoglądała beznamyślnie przez okno, podczas gdy Isabelle posyłała Lightowi pełne podziwu spojrzenia spod smolistych rzęs.

Keane zaś jedynie uśmiechał się szeroko. Owa utarczka sprawiała mu wyraźną przyjemność.

- A pan? - zwróciłem się w jego stronę. - Co pan sądzi o Świętym Oswaldzie?

Spojrzał na mnie uważnie. Był szczupły, ciemnowłosy, z grzywką, tuż przed trzydziestką, w czarnym T-shircie pod ciemną marynarką. Jak na tak młodego człowieka zdawał się wyjątkowo pewny siebie, a w jego głosie pobrzmiewała autorytatywna nuta.

- W dzieciństwie, przez krótką chwilę, mieszkałem niedaleko stąd i przez rok chodziłem do pobliskiej państwowej szkoły – Sunnybank Park. W porównaniu z owym molochem Święty Oswald to zupełnie inny świat.

Akurat ta uwaga wcale mnie nie zdziwiła. Sunnybank Park to szkoła miłąca dzieciaki na sieczkę - szczególnie te inteligentne.

- Dobrze więc, że udało się panu stamtąd uciec.

- Aha - uśmiechnął się szeroko. - Przenieśliśmy się do południowej dzielnicy, więc zmieniłem szkołę. Miałem szczęście. Jeszcze rok, a Sunnybank by mnie wykończyła. Niemniej ówczesne przeżycia to wyjątkowo dobry materiał na książkę, jeżeli - oczywiście - zdecyduję się w końcu cokolwiek napisać.

O nieba. Tylko nie Ambitny Literat. Trafiają się tacy w szkole od czasu do czasu, z reguły wśród anglistów, i choć nie są tak beznadziejni jak Związkowcy czy Wybitni Specjaliści, zazwyczaj sprowadzają na siebie i innych same kłopoty. Robby Roach, w czasach młodości, uważał się - ni mniej, ni więcej - tylko za poetę. I nawet Eric Scoones pewnego razu napisał sztukę dramatyczną. Problem w tym, że żaden z nich do tej pory nie zdołał się otrząsnąć po owych doświadczeniach.

- Pan jest pisarzem? - zapytałem.

- Traktuję składanie zdań jedynie jako hobby - odparł Keane.

- No cóż. Obawiam się, że horrory nie są już tak lukratywnym gatunkiem jak onegdaj - rzekłem, zerkając na Lighta, który akurat, posiłkując się szklanką z piwem, demonstrował Easy'emu ćwiczenia na biceps.

Szybko zerknąłem z powrotem na Keane'a, wyraźnie wędrującego wzrokiem za moim spojrzeniem. Na pierwszy rzut oka Keane przedstawiał się obiecująco. Miałem więc nadzieję, że nie przepoczwarzy się w kolejnego Roacha. U humanistów bowiem, a nauczycieli angielskiego w szczególności, często można, o zgrozo, zaobserwować pewną fatalną tendencję - zgubną ambicję bycia kimś szczególnym, kimś więcej niż tylko prozaicznym belfrem. Oczywiście podobne nastawienie zazwyczaj kończy się łzami - ostatecznie ucieczka z Alcatraz jest dziecinną igraszką w porównaniu z szansami na wyrwanie się z oków zawodu nauczyciela. Przyjrzałem się uważniej Keane'owi, szukając jakichkolwiek oznak zepsucia. Muszę przyznać, że nie dojrzałem ani jednej.

- Kie-kiedyś ja też napisałem książ-książkę - wyznał Meek. - Dotyczyła teorii gier Java oraz...

- Ja natomiast kiedyś przeczytałem książkę. - Light uśmiechnął się kpiąco. - Od tej pory nie mam najlepszego zdania o literaturze...

Easy wybuchnął śmiechem. Najwyraźniej już się otrząsnął po początkowym *faux pas* Lighta. Jednocześnie siedzący nieopodal Jimmy uśmiechnął się od ucha do ucha i przysunął bliżej do naszej grupy, ale Easy odwrócił twarz, unikając z nim wzrokowego kontaktu.

- Za to w Internecie... - Light przesunął się z krzesłem, całkowicie odcinając od naszego towarzystwa Jimmy'ego, po czym sięgnął po swoje na wpeł wypite piwo - ... to dopiero można znaleźć interesującą lekturę, o ile ktoś się nie boi, że oślepnie... jeżeli rozumiecie, co mam na myśli...

Jimmy pociągnął łyk swojej shandy z bardzo zgnębną miną. Jimmy nie jest tak tępy, jak się niektórym wydaje, a afront ze strony Lighta był mało subtelny i oczywisty dla wszystkich. Niespodziewanie przyszedł mi na myśl Anderton-Pullitt, chłopiec z mojej klasy, samotnie pochłaniający kanapki w sali, podczas gdy jego koledzy radośnie kopali piłkę na boisku.

Zerknąłem ponownie na Keane'a, uważnie przyglądającemu się całej scenie. Jego mina nie wyrażała ani aprobaty, ani dezaprobaty, jednak w jego oczach dostrzegłem błysk zainteresowania. Kiedy napotkał mój wzrok, mruknął do mnie szelmowsko, a ja uśmiechnąłem się w odpowiedzi, rozbawiony faktem, że nasz najbardziej obiecujący nowicjusz okazał się dzieciakiem z Sunnybank.

4

Zawsze najtrudniej wykonać pierwszy krok. Moje nielegalne wypadki na zakazane terytorium stawały się coraz częstsze, a każdy z nich dodawał mi pewności siebie. Po jakimś czasie eksploracje nie ograniczały się już tylko do łąk, żywopłotów i zagajnika, ale objęły także boiska i dziedzińce, a w końcu - i główny gmach. Mijały miesiące, mijały semestry; ojciec z każdym dniem stawał się mniej czujny.

Sprawy nie potoczyły się dokładnie po jego myśli. Nauczyciele, którzy zwracali się do niego po imieniu, zachowywali się w rzeczywistości równie pogardliwie, jak uczniowie wołający do niego „Snyde”; zimą w Starej Wartowni panowała nieznośna wilgoć, a pieniądze z ledwością starczało na piwo, mecze piłkarskie i zdrapki. Wbrew dumnemu tytułowi i wielkim oczekiwaniom ojca praca u Świętego Oswalda okazała się zwykłą pracą woźnego, nieoszczędzającą codziennych upokorzeń. A na dodatek bardzo czasochłonną. Nigdy więc nie mieliśmy okazji, by wypić herbatę przed domem, no i mama nigdy nie wróciła.

Wreszcie ojciec zaczął się zadawać z nieokrzesaną i bezczelną dziewiętnastolatka, zwaną Pepsi, która prowadziła salon kosmetyczny, zawsze miała na ustach za dużo błyszczycy i uwielbiała imprezować. Miała własne mieszkanie, ale często zostawała u nas na noc. Następnego ranka po takiej nocy ojciec chodził poirytowany i z zapuchniętymi oczami, a w całym domu śmierdziało pizzą i piwem. W takie dni - jak i w większość pozostałych - należało mu pilnie schodzić z drogi.

Najgorsze były sobotnie noce. Piwo i kieszenie opróżnione po wieczornych szaleństwach na mieście wzmagaly jego agresję, którą zazwyczaj wyładowywał na mnie.

- Ty mały bękarcie - zza zamkniętych drzwi dochodził mnie jego pijacki bełkot - skąd mam wiedzieć, że jesteś moim dzieciakiem? Skąd mam to wiedzieć, ty pomioście, he?

Jeżeli skrajna głupota pchnęła mnie do otworzenia drzwi, zaczynało się piekło: szarpanie, wrzaski, przekleństwa, a w końcu wyprowadzane z całej siły ciosy, które dziewięć razy na dziesięć trafiały w ścianę i po których ojciec padał jak długi na podłogę.

Nie wzbudzał we mnie strachu. Wtedy już nie. Z czasem człowiek jest w stanie przywyknąć do wszystkiego, więc jego ataki szału stały się dla mnie mniej więcej tym samym, czym dla pompejańczyków pomruki wulkanu, który w końcu miał doprowadzić do ich zguby. Jeżeli coś się powtarza raz za razem, staje się rutyną - życie więc szybko mnie nauczyło, że w soboty trzeba zawsze zamykać się na klucz w pokoju i nie wylazić z niego, cokolwiek by się działo, następnego ranka zaś nie pchać się ojcu przed oczy.

Z początku Pepsi próbowała zyskać sobie moją sympatię. Przynosiła drobne prezenty, gotowała od czasu do czasu domowy obiad, chociaż w kuchni nie radziła sobie najlepiej. Ale wszystkie jej starania spotykały się niezmiennie z moją zimną wyniosłością. I nie chodziło o jakąś nienawiść ani choćby niechęć z mojej strony - ze swoimi sztucznymi paznokciami i wyskubanymi brwiami Pepsi była za głupia, żeby wzbudzać jakiegokolwiek uczucia. Ale zrażała mnie swoją bezbarwnością i tandetnością - a przede wszystkim niemym domniemaniem, że mamy ze sobą coś wspólnego i że z czasem może nawet udałoby się nam zaprzyjaźnić.

To właśnie w owym okresie Święty Oswald stał się głównym miejscem moich zabaw. Oficjalnie był nadal terenem zakazanym, ale ojciec powoli tracił swój nabożny stosunek do szkoły i coraz częściej przymykał oczy na moje okazjonalne pogwałcenie reguły, byle nikt mnie na tym nie przyłapał.

John Snyder oczywiście żył w przekonaniu, że zapuszczam się jedynie na boiska i dziedzińce. Problem w tym, że starannie oznakowane klucze do wszystkich pomieszczeń w gmachu wisiały w oszklonej szafce tuż za drzwiami Wartowni i im bardziej rosła moja obsesja na punkcie Świętego Oswalda, tym bardziej nieodpartą stanowiły dla mnie pokusę.

Jedna drobna kradzież i szkoła była moja. Wszystkie drzwi stały przede mną otworem. Całe weekendy upływały mi na wędrówkach po wyludnionym budynku, podczas gdy ojciec oglądał telewizję lub siedł do pubu ze swoimi kumplami. W rezultacie jeszcze przed dziesiątymi urodzinami udało mi się zgłębić wszystkie tajemnice Świętego Oswalda.

Szybko przestało być dla mnie zagadką, w których szafkach trzymane są środki czyszczące, gdzie jest gabinet lekarski, gdzie archiwum i jak są rozmieszczone kontakty. Potem przyszedł czas na poznawanie klas. Sale do geografii wychodziły na południe i w lecie panował w nich nieznośny upał; a dla odmiany w wyłożonych starą boazerią salach do nauk ścisłych zawsze było chłodno. Skrzypiące schody prowadziły na Dzwonnicę, gdzie znajdowały się pomieszczenia o dziwnych kształtach. Moje wyprawy zaprowadziły mnie

także na strych, do Kaplicy i Obserwatorium o szklanym suficie oraz do małych gabinetów i graciarni zastawionych metalowymi półkami. Często czas mijał mi na odcyfrowywaniu efemerycznych zdań z niedokładnie wytartych tablic. Na otwieraniu szafek kluczem uniwersalnym. Przymierzaniu porzuconych tam sportowych strojów. A także na czytaniu nigdzie indziej niedostępnych dla mnie książek, podczas gdy w powietrzu unosił się zapach kredy i skóry, pasty do podłóg i gotowanej kapusty.

Ale do moich ulubionych i dużo niebezpieczniejszych zabaw należały eskapady na dach. Dach Świętego Oswalda jest ogromny, pełen załamów, przypominający skórę brontozaura swoimi zachodzącymi jedna na drugą łupkowymi płytkami. To swoiste małe miasteczko z wieżyczkami i czworobocznymi dziedzińcami będącymi lustrzanym odbiciem wieżyczek i dziedzińców leżącej poniżej szkoły. Olbrzymie kominy, po królewsku zwieńczone czymś na kształt koron, wznosiły się dumnie ponad wieżbę. W ich pobliżu ptaki wily gniazda, a nieposkromione krzewinki czarnego bzu wciskały się korzeniami w wilgotne szczeliny, kwitły obficie i sypały płatki pomiędzy łupkowe dachówki. Znajdowały się tam kanały i wąwozy, dziwnie pokręcone, spadziste balustrady ciągnące się do samego szczytu dachu, a także świetliki i balkoniki, na które - z narażeniem życia - można się było wdrapać z niektórych parapetów.

Z początku świadomość marnych występów na lekcjach WF kazała mi się mieć na bacności. Ale po pewnym czasie utrzymanie równowagi przestało mi sprawiać najmniejsze trudności - i wówczas godziny schodziły na bezszelstnym przemykaniu po łupkowych dachówkach i dźwigarach, gładkim wspinaniu się po wysokim parapecie na niewielki balkonik oraz spuszczeniu po grubym pnączu na mały płytki komin obrośnięty bluszczem i mchem.

Dach stał się moją miłością. Nic nie zachwycało mnie tak jak jego lekko pieprzowy zapach, aksamitny pobłysk w deszczu czy widok rozety żółtych porostów rozpełzających się po kamieniu. Tutaj wreszcie taki dzieciak jak ja mógł pobyć sam ze sobą w spokoju. Oczywiście na dach można się było dostać po żelaznych drabinkach, ale znajdowały się one w fatalnym stanie - większość przypominała delikatne pajęczyny metalu i rdzy. Dlatego wiele czasu zajmowało mi wynajdowanie własnych dróg prowadzących do podniebnego królestwa - co z reguły sprowadzało się do odblokowania okien, które nie otwierały się od lat, bo ich zawiasy okrywały wieloletnie warstwy farby, lub motania lin wokół kominów, by łatwiej mi było spuszczać się w dół, badać ciasne przejścia oraz wielkie, wykładane ołowiem kamienne rynny. Lęk wysokości był mi obcy. I po pewnym czasie zdumieniem napełniło mnie odkrycie, że jestem wyjątkowo zręcznym dzieckiem. W wędrówkach po dachu

drobna budowa ciała okazała się wielką zaletą, no i nie było tu żadnych prześladowców, którzy wyśmiewaliby się z moich chudych nóg.

Szybko okazało się, że konserwacja tej części budynku należy do najbardziej nienawidzonych obowiązków mojego ojca. Mógł od biedy wymienić potrząskaną dachówkę (jeśli udało się do niej sięgnąć z okna), ale czyszczenie rynien i dbałość o ich ołowianą wyściółkę to już była zupełnie inna historia. By się do nich dostać, należało przeczołgać się po łukowej pochyłości do wrębu dachu, gdzie znajdował się kamienny parapet otaczający rynny i stamtąd, na kolanach, sprawdzać stan ołowiu, na wysokości ponad trzystu stóp* nad ziemią. Ojciec nigdy nie wywiązywał się z tego obowiązku; wykręcał się jak mógł i podawał tysiące wymówek, aż w końcu jego głęboko skrywany sekret przestał być dla mnie sekretem. John Snyder cierpiał na lęk wysokości.

* stopa = 30,48 cm (przyj. red.).

Cóż, przyznaję, że już wtedy fascynowały mnie tajemnice. Butelka sherry wetknięta gdzieś na dno szafki, pakiet listów w metalowej puszcze wsuniętej w szparę w boazerii, czasopisma dla dorosłych zamknięte w szafce z dokumentami, lista nazwisk w starym terminarzu. Żaden sekret nie był dla mnie zbyt trywialny ani przyziemny; żaden drobiazg zbyt nieistotny, by przyciągnąć moją uwagę. Szybko więc udało mi się odkryć, który z nauczycieli szkoły zdradza żonę, kto cierpi na rozstrój nerwowy, kto jest chorobliwie ambitny, kto czytuje kliwne romanse, a kto nielegalnie korzysta z fotokopiarki.

Jeżeli wiedza to władza - szkoła była moja.

Mój ostatni semestr w Abbey Road Juniors ciągnął się niemiłosiernie. Nie należał do najbardziej udanych. Mimo wysiłków nie udało mi się z nikim zaprzyjaźnić. Żalosne próby pozbycia się plebejskiego akcentu ojca, pchnęły mnie do naśladowania wymowy i manieryzmów chłopców ze Świętego Oswalda. Rezultaty były katastrofalne i wkrótce przyłgnęła do mnie ksywka „Snyde z pretensjami”. Nawet niektórzy nauczyciele tak o mnie mówili. Kiedy pewnego razu otworzyły się ciężkie drzwi pokoju nauczycielskiego i ze środka buchnęły kłęby papierosowego dymu, dobiegł mnie wysoki, kobiecy śmiech. „Snyde z pretensjami! - zaćwierkał wysoki głos. - To doprawdy paradne. Snyde z pretensjami”.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że w Sunnybank Park będzie jeszcze gorzej. Większość uczących się tam dzieciaków pochodziła z osiedla Abbey Road - przygńbiających komunalnych bloków z mikroskopijnymi balkonami, zawsze zawieszonymi suszącym się praniem i z ciemnymi klatkami schodowymi cuchnącymi sikami. Wczesne lata dzieciństwa upłynęły mi w takim właśnie miejscu. Każdy, kto kiedykolwiek mieszkał w podobnych blokach, dobrze wie, czego można się spodziewać po zaludniających je dzieciakach. W piaskownicach wałyły się twarde psie kupy; podwórka z rachitycznymi

huśtawkami były zarzucone potłuczonym szkłem; ściany pokrywały graffiti; a wokół wałęsały się gangi chłopaków i dziewczyn o niewyparzonych gębach i brudnych, brzydkich twarzach potomków wielu pokoleń chowu wsobnego.

Ich ojcowie pili z moim ojcem w pobliskim pubie, a matki swego czasu chodziły razem z Sharon Snyder do dyskoteki w sobotnie wieczory.

- Musisz się bardziej starać - napominał mnie ojciec. - Daj im szansę, a wkrótce zostaniesz takim samym dzieciakiem jak oni.

Chodziło o to, że nie chciało mi się starać. A na myśl o integracji z motłochem z Sunnybank Park robiło mi się niedobrze.

- Czego ty w ogóle chcesz?!

Ba, to dopiero pytanie.

Łącząc po korytarzach Świętego Oswalda łatwo było marzyć - marzyć, że przerzucam się żartami z chłopakami ze szkoły, że zamiast rysunku technicznego i obróbki drewna uczę się łaciny i greki i że pewnego dnia moje nazwisko zostanie umieszczone na Tablicy Honorowej Absolwentów. W trakcie ostatnich osiemnastu miesięcy moja niewidzialność z wielkiej zalety zmieniała się w przekleństwo. Nagle ogarnęło mnie jedno przemożne pragnienie: żeby wreszcie ktoś mnie dostrzegł. Może, jeżeli podejmę ryzyko, to pewnego dnia Święty Oswald się zorientuje, że tutaj jest moje miejsce i wreszcie przyczepi mnie pod swój dach.

Coś mnie podkuśiło, by w dębowej boazerii Refektarza wyryć swoje inicjały obok inicjałów wielu pokoleń oswaldczyków. Potem brawura pchnęła mnie do obserwacji weekendowych zajęć sportowych zza załomu pawilonu gimnastycznego oraz wdrapywania się na olbrzymi jawor rosnący na głównym dziedzińcu i strojenia min do maskaronów przyczepionych na dachu. Po szkole natychmiast gnało mnie do domu, by jeszcze choć przez chwilę popatrzeć na chłopców wychodzących ze Świętego Oswalda; posłuchać ich śmiechu i wyrzekań, podpatrzeć ich bójki czy powdychać spaliny kosztownych samochodów ich rodziców, jakby to były opary najwonnejszych kadzideł.

Biblioteka w mojej szkole miała bardzo liche zasoby - głównie tanie wydania w miękkich okładkach i komiksy - za to wielka, arkadowa biblioteka Świętego Oswalda oferowała cuda. „Ivanhoe” i „Wielkie nadzieje”, „Baśnie z tysiąca i jednej nocy” czy „Kopalnie króla Salomona”. Często udawało mi się przemycić jakieś książki do domu - niektórych z nich nie wynoszono z biblioteki od lat czterdziestych. Moją ulubioną powieścią był „Niewidzialny człowiek”. Nikt ode mnie nie wiedział lepiej, jak musiał się czuć ów nieszczęśnik.

Bo widzicie, przynależność do tego wspaniałego miejsca stała się moją obsesją. Abbey Road Juniors była paskudnym, zrujnowanym pomnikiem liberalizmu lat sześćdziesiątych. A Sunnybank Park okazało się nieskończenie gorszym koszmarem. Niemal codziennie ktoś mnie tłukł z powodu mojej

skórzanej teczki (w owym roku wszyscy nosili torby Adidasa), pogardy dla sportu, inteligentnych uwag, zamiłowania do książek i niemodnych ciuchów - oraz dlatego, że mój ojciec pracował „w tej szpanerskiej szkole” (i fakt, że był tam zaledwie woźnym, nie miał żadnego znaczenia). Życie szybko mnie nauczyło, że trzeba błyskawicznie uciekać i nisko trzymać głowę. A nadzieja kazała mi wierzyć, że jeżeli się sprawdzę, udowodnię swoją siłę, zniosę bohatersko szykany i drobne upokorzenia, Święty Oswald pewnego dnia przyjmie mnie w swoje progi z otwartymi ramionami.

Kiedy po jedenastych urodzinach lekarz orzekł, że muszę nosić okulary, ojciec o moją krótkowzroczność zaczął obwiniać książki. Mnie jakiś cichy głos podpowiadał zaś, że to kolejny kamień milowy na drodze do Świętego Oswalda. I choć wkrótce „Snyde z pretensjami” przeszło w „Snyde z brylami”, gdzieś w głębi duszy rozpieła mnie radość. Tym bardziej że uważne oględziny twarzy w lustrze utwierdziły mnie w przekonaniu, iż okulary przydały mi intelektualnej aury, więc niemal już wyglądałam jak na ucznia szkoły przystało.

Wciąż nie widzę najlepiej; tyle że teraz okulary zostały zastąpione szklami kontaktowymi (tak na wszelki wypadek). Włosy mam nieco ciemniejsze niż wówczas i o wiele lepiej ostrzyżone. Noszę eleganckie ubrania - jednak niezbyt formalne w kroju, by nie sprawiać wrażenia osoby nieprzystępnej. Szczególnym powodem do dumy jest dla mnie mój głos - nie ma w nim ani śladu akcentu ojca czy też tandetnej sztuczności dzieciaka przezywanego niegdyś „Snyde z pretensjami”. Sprawiam wrażenie osoby przyjaznej, ale respektującej granice prywatności, a ponadto potrafię uważnie, z zainteresowaniem słuchać innych. A więc posiadam cechy pożądaną u morderców i szpiegów.

Ogólnie rzecz biorąc, wysoko oceniam swój poranny występ. Być może gdzieś w głębi duszy nadal marzę, by mnie dostrzeżono i rozpoznano, bo w trakcie oprowadzania po Świętym Oswaldzie chodził mi po plecach dreszcz niezdrowej ekscytacji. Niekiedy wręcz mnie kusilo, by zdradzić, że znam świetnie topografię szkoły, jej rytuały i uczących w niej ludzi.

O dziwo okazuje się, że najłatwiejsze będzie dla mnie samo nauczanie. Mam uczyć tylko niższe klasy dzięki szczególnym metodom układania planu przez Strange'a (starsi wykładowcy prowadzą zajęcia w najlepszych i najstarszych klasach, nowicjuszom trafiają się plewy). Dlatego, choć zatrudniono mnie na cały etat, nie czekają mnie poważne wyzwania intelektualne. Znam się na przedmiocie, którego mam uczyć na tyle dobrze, żeby zamydlić oczy chłopcom, a jeżeli ogarną mnie jakiegokolwiek wątpliwości, odwołam się do podręcznika dla nauczyciela.

To wystarczy, by osiągnąć cel. Nikt niczego nie podejrzewa. Nie czekają mnie zajęcia z szóstoklasistami, którzy mogliby być dla mnie poważnym

wyzwaniem. Nie spodziewam się też żadnych problemów z dyscypliną. Te dzieciaki są zupełnie inne niż uczniowie z Sunnybank Park, poza tym stoi za mną cały system dyscyplinowania chłopców, od lat funkcjonujący sprawnie u Świętego Oswalda.

Choć wątpię, czy kiedykolwiek sytuacja mnie zmusi do odwołania się do wyższej instancji. Te dzieciaki płacą i wymagają. Przyzwyczyły się do posłuszeństwa wobec nauczycieli. Ich wykroczenia sprowadzają się do okazjonalnych wagarów z repetytorium lub szeptanek w czasie lekcji. Kara chłosty już przed laty została zniesiona - jest zresztą zupełnie zbędna w obliczu potężniejszych, bliżej niesprecyzowanych zagrożeń. Ta cała sytuacja wydaje mi się komiczna. Komiczna i idiotyczna zarazem. To oczywiście gra - wojna woli pomiędzy mną a uczniami. I ja, i dzieciaki mamy pełną świadomość, że nic nie będę w stanie zrobić, jeżeli wszyscy postanowią wstać i wyjść z zajęć. Obie strony wiedzą o tym doskonale, ale żadna z nich nie ma odwagi krzyknąć: „Sprawdzam”.

Jednakże nie wolno mi popadać w samozadowolenie. Ostatecznie gram o dużą stawkę - mały pionek ma przeistoczyć się w potężną figurę. Mój kamuflaż jest bardzo dobry, ale na tym etapie rozgrywki jeden fałszywy ruch może doprowadzić do katastrofy. Ta sekretarka, na przykład. Nie znaczy to, że jej obecność cokolwiek zmienia, ale jasno dowodzi, że nawet najlepszy strateg nigdy nie jest w stanie wszystkiego przewidzieć.

Obawiam się także Roya Straitleya. Dyrektorowi, Bishopowi czy Strange'owi moja twarz najwyraźniej nic nie mówi. Ale Straitley to zupełnie inna historia. Jego wzrok jest równie bystry jak piętnaście lat temu - podobnie jak jego intelekt. Chłopcy zawsze darzyli go wielką estymą, choć nie można tego samego powiedzieć o jego wszystkich kolegach. Wiele plotek zasłyszanych przeze mnie w czasie tamtych lat u Świętego Oswalda w mniejszym czy większym stopniu dotyczyło Straitleya. I choć w dawnych wydarzeniach odegrał on drobną rolę, była to jednak rola znacząca.

Postarzał się oczywiście. Teraz już musi zbliżać się do emerytury. Ale poza tym wcale się nie zmienił. Wciąż te same afektacje, ta sama toga, tweedowa marynarka, łacińskie wtręty. Dzisiaj budzi we mnie niemal ciepłe uczucia - jak stary dobry wujaszek niewidziany od lat. Niemniej za owymi maskami i kostiumami łatwo przychodzi mi dostrzec prawdziwego Straitleya. Znam swojego wroga na wylot.

Przez chwilę roіło mi się nawet, że odszedł już na emeryturę. To z pewnością ułatwiłoby rozgrywkę. Ale dziś już się cieszę, że wciąż tu pracuje. Dzięki temu gra stanie się bardziej emocjonująca. Poza tym chcę, żeby Roy Straitley zobaczył na własne oczy, jak doprowadzam Świętego Oswalda do upadku i ruiny.

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
wtorek 7 września*

Pierwszego dnia nauki w szkole zawsze panuje chaos. Chłopcy się spóźniają, gubią w korytarzach, trzeba porozdawać zeszyty ćwiczeń oraz odebrać z sekretariatu podręczniki. W tym roku zmiana numeracji sal dodatkowo zwiększyła bałagan, w planie lekcji nie uwzględniono bowiem owej doniosłej reformy, a tylko wywieszono na tablicy ogłoszeń notatkę, której i tak nikt nie przeczytał. Nic dziwnego więc, że kilka razy tego dnia musiałem zawracać kolumny chłopców maszerujących w stronę nowego gabinetu germanistów zamiast w stronę Dzwonnicy.

Doktor Devine chodzi rozsierdzony i miota oczami pioruny. Bo, oczywiście, nie zabrałem swoich rzeczy z gabinetu, a na dodatek wszystkie szuflady wciąż trzymam pozamykane na cztery spusty, jedyny zaś do nich klucz tkwi w mojej kieszeni. Do tego wszystkiego doszła sprawa wypełnienia nowych dzienników, zebrania prac wakacyjnych oraz potwierdzeń wpłat czesnego, które musiały jak najszybciej znaleźć się na biurku Kwestora, a także odbiór kluczy do szafek chłopców, usadzanie uczniów w ławkach oraz wyłożenie reguł obowiązujących w szkole.

Na szczęście w tym roku nie miałem dodatkowego wychowawstwa. Uczniowie z mojej klasy - w liczbie trzydziestu jeden - są starymi wyjadaczami i dobrze wiedzą, czego się mogą spodziewać. Zdążyli się już do mnie przyzwyczaić i *vice versa*. Jest wśród nich Pink, cichy, ekscentryczny chłopiec o nadzwyczaj dojrzałym poczuciu humoru oraz jego kumpel Tayler. Poza tym moi „Brodie Boys”^{*} - Allen-Jones i McNair - dwójka niespożytych dowcipnisiów, którzy nigdy nie siedzą w kozie tak długo i często, jak powinni,

^{*} Aluzja do postaci z powieści Muriel Spark „Pełnia życia panny Brodie”, której akcja rozgrywa się w elitarnej szkole dla dziewcząt (przyp. tłum.).

tylko dlatego że mnie szczerze rozbawiają. Do nich dochodzi rudowłosa Sutcliffe, a także Niu, dzieciak japońskiego pochodzenia, bardzo aktywnie udzielający się w szkolnej orkiestrze; następnie Knight, który nigdy nie zdołał wzbudzić mojego zaufania, oraz mały Jackson, przekonany, że własną wartością można udowodnić tylko wtedy, gdy wszczyna się rozliczne bójki; potem tłuścawy Brasenose, łatwo dający się zastraszyć innym chłopcom i Anderton-Pullitt - inteligentny, nieruchawy samotnik cierpiący na zadziwiająco liczbę alergii, między innymi takich, które wymagają zwolnienia ze wszystkich zajęć sportowych, a ponadto z matematyki, francuskiego, religii, zebrań domu, porannych apeli i modlitw w Kaplicy, a także z odrabiania prac domowych w poniedziałki. Anderton ma poza tym zwyczaj podążania za mną krok w krok (co prowokuje Kitty Teague do produkcji niezliczonych dowcipów dotyczących „mojego małego pupila”) i zamęczania mnie entuzjastycznymi opowieściami na temat swoich rozlicznych zainteresowań (maszyny latające z okresu I wojny światowej, gry komputerowe oraz utwory Gilberta i Sullivana). Staram się znosić te wynurzenia ze stoickim spokojem - ostatecznie to dziwaczny chłopiec, samotny, odrzucony przez rówieśników - niemniej nigdy nie pozwalam, by trwały zbyt długo, nie mam bowiem ochoty poświęcać wszystkich wolnych chwil na towarzyskie pogawędki z Andertonem-Pullittem.

Naturalnie słabość uczniów do określonych nauczycieli to chleb powszedni tego fachu, i większość z nas bez trudu radzi sobie z owym problemem. Ostatecznie każdy z belfrów w pewnym momencie był obiektem niepożądanego zainteresowania, nawet ktoś taki jak ja czy Hillary Monument - a więc już bardzo nieliczne z przedpotopowych bestii jeszcze grasujących na wolności. W każdym razie wszyscy mamy własne sposoby postępowania w takich wypadkach i tylko Isabelle Tapi, jak sądzę, bałamutnie zachęca chłopców do adoracji i stąd może się pochwalić wyjątkową kolekcją „swoich małych pupilów”. Tuż za nią plasują się Robbie Roach i Penny Nation. Ja natomiast dawno temu odkryłem, że energiczny sposób bycia i dobroduszne lekceważenie zazwyczaj zniechęcają do familiarności wszystkich Andertonów-Pullittów tego świata.

Niemniej 3 S to, ogólnie rzecz biorąc, niezłe dzieciaki. Wystrzelili w górę i zmężnieli w czasie wakacji, i niektórzy wyglądali już niemal jak dorośli. Powinienem z tego powodu poczuć się staro, ale wcale tak się nie czuję; ogarnia mnie wręcz szczególna duma. Lubię myśleć, że traktuję wszystkich chłopców jednakowo, ale do tej klasy - w której od dwóch lat sprawuję wychowawstwo - mam jakąś wyjątkową słabość. Chcę wierzyć, że dobrze rozumiemy się nawzajem.

- O, nieee, siiiir! - rozległy się jęki protestu, gdy rozdałem wszystkim te-
sty.

- Przecież to pierwszy dzień, sir!

- Czy nie możemy zamiast tego pobawić się w wisielca?

- Kiedy już poznacie dogłębnie łacinę, wówczas niewykluczone, że znajdziemy trochę czasu na trywialne rozrywki umysłowe, panie Allen-Jones.

Allen-Jones uśmiechnął się szelmowsko, a ja zauważyłem, że na naklejce podręcznika, w rubryce „Numer sali”, wpisał: „Klasa uprzednio znana jako 59”.

Niemal w tej samej chwili rozległo się głośne pukanie i w drzwiach pojawiła się twarz doktora Devine'a.

- Panie Straitley?

- *Quid agis, medice?**

* łac. *Quid agis, medice?*- Co czynisz, medyku? (przyp. red.).

Chłopcy parsknęli śmiechem, Kwaśnogron zaś, który nie ma pojęcia o językach klasycznych, popadł w gniewną konsternację.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, panie Straitley, ale czy mógłbym zamienić z panem słowo?

Wyszliśmy na korytarz, lecz ja wciąż obserwowałem chłopców przez okienko w drzwiach. McNair już zaczął coś skrobać na ławce, postukałem więc ostrzegawczo w szybkę.

Kwaśnogron obrzucił mnie pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

- Miałem nadzieję, że dzisiejszego ranka wreszcie będę mógł się zabrać do reorganizacji nowego gabinetu. Tymczasem twoje szafki z dokumentami...

- Och, wkrótce się nimi zajmę. Możesz być pewien - odparłem.

- Do tego dochodzi jeszcze biurko oraz książki, nie wspominając już o tej gigantycznej roślinie...

- Nie przejmuj się i czuj tam jak u siebie - rzuciłem lekkim tonem. - Po prostu nie zwracaj uwagi na moje rzeczy. - Papiery zapełniające szafki i biurko gromadziły się tam od ponad trzydziestu lat. - A może zechcesz wygospodarować sobie chwilę czasu i przenieść część dokumentów do archiwum? - podsunąłem usłużnie.

- Nie zechcę - warknął Kwaśnogron. - A skoro już jesteśmy przy sprawach porządkowych, może ci wiadomo, kto zdjął z drzwi naszego świeżo pozyskanego gabinetu nową tabliczkę z numerem i zastąpił ją czymś podobnym?

Wręczył mi kartonik, na którym widniało: „Sala uprzednio znana jako 75”, wypisane zamasztyłem (i skądinąd dobrze mi znanym) charakterem pisma.

- Przykro mi, Devine, ale nie mam pojęcia.

- Chcę zwrócić twoją uwagę na fakt, że to najzwyczajniejsza kradzież. Plakietki z numerami kosztują 4 funty za sztukę, co daje 113 funtów za wszystkie dwadzieścia osiem nowych plakietek, a sześć z nich już zdążyło zniknąć. Nie rozumiem, czemu to cię tak bawi, Straitley...

- Bawi? Ależ w żadnym razie. Zamiana numerów sal? Toż to hańba - absolutne horrendum.

Tym razem udało mi się zachować powagę, mimo to Kwaśnogron wciąż spoglądał na mnie podejrzliwie.

- Cóż, zapewniam, że przeprowadzę śledztwo w tej sprawie - oznajmił - wdzięczny jednak będę, jeżeli i ty rozejrzysz się za winowajcą. Nie możemy dopuścić, by w naszej szkole dochodziło do podobnych ekscesów. To skandal. System monitoringu i zabezpieczeń od lat wprost woła o pomstę do nieba.

Doktor Devine domaga się zainstalowania kamer w Środkowym Korytarzu - niby dla poprawy bezpieczeństwa, ale tak naprawdę tylko po to, żeby móc nas wszystkich bez przeszkód szpiegować: sprawdzać, kto pozwala chłopcom oglądać rozgrywki krykieta w czasie przewidzianym na repetytorium; kto rozwiązuje krzyżówki w trakcie testów; kto się zawsze spóźnia na zajęcia; kto wymyka się z klasy po kubek kawy; kto toleruje brak zdyscyplinowania na lekcjach czy też kto z wyprzedzeniem przygotowuje zajęcia, a kto wymyśla je na poczekaniu.

O, Kwaśnogron marzy, by mieć to wszystko na taśmie i dysponować niepodważalnymi dowodami naszych niewielkich potknięć, drobnych przejawów niekompetencji. Nie może się doczekać, by wykazać czarno na białym (najlepiej w trakcie szkolnej inspekcji), że Isabelle zazwyczaj spóźnia się na lekcje, a Pearman niekiedy całkiem o nich zapomina. Że Eric Scoones od czasu do czasu daje się wyprowadzić z równowagi i wtedy potrafi trzepnąć ucznia po głowie; że ja w ogóle nie korzystam z pomocy audiowizualnych, natomiast Grachvogel, pomimo swoich nowoczesnych metod nauczania, nie potrafi zapanować nad klasą. Jestem o tym wszystkim doskonale poinformowany, podczas gdy, przynajmniej na razie, Devine żywi tylko niejasne podejrzenia.

Ale ja wiem także, że matka Erica cierpi na chorobę Alzheimera, on zaś stara się jak może, żeby nie zabrano jej do zakładu; że żona Pearmana ma zaawansowanego raka; natomiast Grachvogel jest homoseksualistą i żyje w ciągłym strachu przed zdemaskowaniem. Kwaśnogron nie ma o tych sprawach zielonego pojęcia, bo i jak może mieć, żyjąc w tej wieży z kości słoniowej, w którą przekształcił swój gabinet. Ponadto ma gdzieś cudze problemy. Współczucie i zrozumienie są mu całkiem obce - dla niego liczą się jedynie użyteczne informacje, a więc takie, które mogą dać mu władzę nad bliźnimi.

Po lekcji, posilkując się uniwersalnym kluczem będącym w posiadaniu każdego nauczyciela, dyskretnie zajrzałem do szafki Allena-Jonesa. Zgodnie z przypuszczeniami znalazłem tam sześć plakietek z numerami sal, zestaw małych narzędzi oraz kilka śrubek. Szybko wyjąłem śrubki i plakietki, po czym schowałem je do kieszeni. Poproszę Jimmy'ego, by w czasie lunchu z

powrotem przykręcił numerki na właściwe miejsca. Fallow zadawałby zbyt wiele pytań i może nawet złożył szczegółowy raport doktorowi Devine'owi.

Nie widziałem powodu, by podejmować jakąś dyscyplinarną akcję. Jezeli Allen-Jones ma choć odrobinę oleju w głowie, nikomu słowem nie wspomni o swoim wyczynie. Gdy już przymykałem drzwiczki szafki, zauważyłem paczkę papierosów i zapalniczkę wetkniętą za egzemplarz „Juliusza Cezara”, postanowiłem jednak udawać, że ich nie widziałem.

Popołudnie miałem w zasadzie wolne. Chętnie posiedziałbym w swojej klasie, ale akurat Meek miał tam lekcję matematyki z trzecią klasą, wycofałem się więc do Sali Cichej Pracy (miejsca, gdzie niestety obowiązywał ścisły zakaz palenia), by uciąć sobie miłą pogawędkę z moimi aktualnie urzędującymi tam kolegami.

Sala Cichej Pracy to oczywiście nazwa błędna i głęboko myląca. Jest czymś w rodzaju wspólnego gabinetu, z biurkami pośrodku i szafkami rozstawionymi wokół ścian, i właśnie tutaj rodzą się wszelkie pogłoski krążące potem po szkole. Pod pozorem sprawdzania testów czy prac domowych poddaje się tu wiwisekcji wszelkie bardziej i mniej sensacyjne wieści oraz rozpuszcza rozmaite, mniej lub bardziej soczyste plotki. Dla mnie to miejsce ma też inną, wyjątkową zaletę - cudownym zrządzeniem losu znajduje się dokładnie pod moją salą, mogę więc zadać chłopcom samodzielną pracę, a sam zejść, by w miłej, towarzyskiej atmosferze wypić herbatę lub poczytać „Timesa”. Dochodzi tu każdy najlżejszy odgłos z góry, nawet dźwięk pojedynczych głosów, błyskawicznie jestem więc w stanie zareagować i niezwłocznie ukarać ucznia odpowiedzialnego za zamęt. Dzięki temu cieszę się reputacją wszechobecnego i wszystkowiedzącego, co zazwyczaj bardzo ułatwia mi życie.

W Sali Cichej Pracy zastałem Chrisa Keane'a, Kitty Teague, Robbiga Roacha, Erica Scoonesa i Paddy'ego McDonougha, nauczyciela religii i etyki. Keane coś czytał, a także od czasu do czasu czynił zapiski w oprawnym na czerwono notesie. Kitty i Scoones uzupełniali ubiegłoroczne raporty sekcji. McDonough popijał drobnymi łykami herbatę, wertując przy tym opasłą „Encyklopedię demonów i demonologii”. Niekiedy odnoszę wrażenie, że ten facet traktuje swój przedmiot z przesadną powagą.

Roach zdawał się pochłonięty lekturą „Mirror”.

- Jeszcze trzydzieści siedem do odbębnienia - mruknął po chwili ponuro.

Odpowiedziało mu milczenie. Kiedy w końcu do niego dotarło, że nikt nie zamierza się zainteresować owym enigmatycznym stwierdzeniem, postanowił nas oświecić.

- Trzydzieści siedem pracowitych dni do połowy semestru.

McDonough parsknął głośno.

- A od kiedy dla ciebie są one pracowite?

- Ja już zdążyłem się naharować - odparł wyniośle Roach, odwracając stronę gazety. - Nie zapominaj, że w sierpniu prowadziłem obóz.

Wakacyjne obozy to wkład Roacha w zajęcia pozalekcyjne. Na trzy tygodnie wyjeżdża minibusem pełnym chłopców do Walii, gdzie prowadzi piesze wycieczki, wyprawy kajakowe, organizuje wyścigi na gokartach i walki paintballu. Bawi się przy tym przednio; codziennie nosi dżinsy i radośnie zachęca chłopców, by zwracali się do niego po imieniu, po czym zawsze utrzymuje, że to dla niego straszne poświęcenie, więc w ciągu roku może już działać na zwolnionych obrotach.

- Obóz, też mi coś - zachnął się McDonough.

Scoones oderwał się od swoich raportów i spiorunował obu mężczyzn wzrokiem.

- Zdaje się, że ma to być Sala Cichej Pracy - zauważył lodowatym tonem, po czym znowu pochylił się nad raportami.

Zapadło milczenie. Eric to porządny chłop, ale o zmiennych nastrojach. Często sam chętnie dzieli się plotkami, dziś jednak przywodził na myśl gradową chmurę. Zapewne z powodu nowego nabytku do francuskiej sekcji, pomyślałem. Panna Dare jest młoda, ambitna i błyskotliwa - kolejna osoba, mogąca stanowić realne zagrożenie dla jego pozycji. Na dodatek jest kobietą, a taki konserwatysta jak Scoones nie lubi pracować z kobietami, i to młodszymi od siebie o jakieś trzydzieści lat. Scoones od piętnastu czeka na awans, ale teraz już na pewno się nie doczeka. Jest za stary - a do tego nie dość pokorny. Wiedzą o tym wszyscy z wyjątkiem samego Scoonesa; niemniej każda zmiana personalna w sekcji dobitnie uświadamia mu, że lata lecą nieubłaganie, a on nie staje się młodszy.

Kitty posłała mi rozbawione spojrzenie, co jeszcze bardziej utwierdziło mnie w słuszności moich przypuszczeń.

- Musimy nadrobić sporo papierkowej roboty - szepnęła. - W ubiegłym semestrze doszło do drobnego nieporozumienia i jakoś zapomnieliśmy o tych raportach.

Tak naprawdę chciała powiedzieć, że Pearman o nich zapomniał. Wielokrotnie miałem okazję oglądać jego gabinet - niemiłosiernie zavalony papierami. Ważne dokumenty toną w morzu nieprzeczytanych notek z sekretariatu, starych podręczników, jednorazowych kubków po kawie, testów egzaminacyjnych, kserokopii materiałów lekcyjnych oraz karteluszków z wymyślnymi gryzmołami, które Pearman produkuje w zastraszającym tempie, gdy rozmawia przez telefon. Mój gabinet może i wygląda podobnie, ja jednak doskonale wiem, gdzie co znaleźć. Natomiast Pearman dawno zginąłby marnie, gdyby Kitty nie wspierała go na każdym kroku i nie kryła, przed kim się da.

- Jak tam wasza nowa dziewczyna? - spytałem prowokacyjnie.

- Na jej własne nieszczęście nazbyt inteligentna - sapnęła gniewnie Scoones.

Kitty uśmiechnęła się przepraszająco.

- Ma mnóstwo nowych pomysłów i awangardowe podejście do nauczania - wyjaśniła. - Wkrótce się jednak u nas zaaklimatyzuje.

- Pearman jest nią zachwycony - kpiąco dorzucił Scoones.

- I nic dziwnego.

Pearman bardzo sobie ceni kobiecą urodę. Wieść gminna niesie, że Isabelle Tapi nigdy w życiu nie została zatrudniona u Świętego Oswalda, gdyby na rozmowę kwalifikacyjną nie włożyła wyjątkowo krótkiej sukienki.

Kitty potrząsnęła uparcie głową.

- Jestem pewna, że świetnie sobie poradzi. Tryska entuzjazmem.

- Już ja bym ci powiedział, czym ona tryska - mruknął Scoones. - Ale cóż, ostatecznie jest tania, no nie? Ani się obejrzymy, a zaczną nas wszystkich zastępować przyszcztatymi, aroganckimi młokosami, absolwentami marnych uczelni. Dzięki temu szkoła zaoszczędzi fortunę.

Zauważyłem, że Keane bacznie się przysłuchuje naszej rozmowie, a kiedy ponownie zajął się notowaniem, cały czas uśmiechał się pod nosem. Zapewne zbierał materiały do swojej wiekopomnej powieści. McDonough nadal pilnie studiował demony, natomiast Robbie Roach oderwał się od gazety i z kwaśną miną pokiwał głową.

Kitty, jak zwykle, przyjęła pojednawczą postawę.

- Cóż, wszyscy musimy się pogodzić z cięciami budżetowymi. Nawet nakłady na podręczniki...

- I komu ty to mówisz! - wszedł jej w słowo Roach. - Historia dostała w tym roku o czterdzieści procent mniej pieniędzy, stan mojej sali wykładowej woła o pomstę do nieba - woda literalnie leje się z sufitu. Ja zaharowuję się jak wół, a oni co wyprawiają? Pakują trzydzieści kawalków w komputery, które nikomu nie są potrzebne. A może by tak zamiast tego wreszcie załatać dach? Czy odnowić Środkowy Korytarz? Że nie wspomnę już o odtwarzaczu DVD, którego nie mogę się doprosić od niepamiętnych czasów.

McDonough chrząknął znacząco.

- Kaplica także wymaga renowacji - przypomniał cicho. - Trzeba będzie podnieść chesne, ot co. Tym razem już tego nie unikniemy.

- Podwyżka chesnego nie wchodzi w grę - oświadczył autorytatywnie Scoones, zapominając nagle o potrzebie zachowania ciszy. - Jeżeli to zrobimy, stracimy połowę uczniów. Ostatecznie istnieją na świecie inne prywatne szkoły. I, prawdę powiedziawszy, lepsze od naszej.

- Słyszałem, że wywiera się naciski na dyrekcję, żeby sprzedać część szkolnych terenów - powiedział Roach, dopijając kawę.

- Co takiego? Chcą się pozbyć boisk? - Scoones, zapalony miłośnik rugby, był autentycznie wstrząśnięty.

- Nie, nie boisk - uspokoił go Roach - ale łąk za kortami tenisowymi. I tak nikt z nich nie korzysta - może poza chłopcami, którzy urywają się na papierosa. Zresztą te łąki nie nadają się na tereny sportowe, są zbyt podmokłe. Moglibyśmy je więc z powodzeniem sprzedać pod komercyjną zabudowę czy coś w tym rodzaju.

Pod komercyjną zabudowę. To zabrzmiało złowieszczo. Jakieś kolejne Tesco albo kępielnia, gdzie po szkole przesiadywałyby dzieciaki z Sunnybank, przy okazji gry ochoczo raczące się piwem.

- Dyrektor nigdy się na to nie zdecyduje - rzucił sucho McDonagh. - Nie będzie chciał przejść do historii jako ten, co rozprzedał Świętego Oswalda.

- To może staniemy się wreszcie szkołą koedukacyjną? - rozmarzył się Roach. - Tylko wyobraźcie sobie... te wszystkie młodziutkie panny w mundurkach...

Scoones aż się wzdrygnął.

- Uch! Po moim trupie.

W ciszy, która zapadła po tym oświadczeniu, nagle zdałem sobie sprawę z hałasu dochodzącego z góry: z tupania nogami, szurania krzesłami i mocno podniesionych głosów. Zaniepokojony zerknąłem na sufit.

- To twoi chłopcy?

Pokręciłem przecząco głową.

- Nowy Brodac z sekcji komputerów ma tam zajęcia. Facet o nazwisku Meek, jak mi się zdaje.

Trzaskanie i tupanie przybierało na sile, osiągając niepokojące crescendo, przez które niekiedy przebijało się nieśmiałe, żalodne pobekiwanie nieszczęsnego bakałarza.

- Może jednak pójde i sprawdzę, co się tam dzieje.

Dyscyplinowanie uczniów podczas zajęć innego nauczyciela jest zawsze dość deprymujące. Normalnie bym tego nie zrobił - u Świętego Oswalda zazwyczaj nie wtykamy nosa w cudze sprawy - ale ponieważ harmider dochodził z mojej sali, obudziło się we mnie jakieś absurdalne poczucie odpowiedzialności. Ruszyłem więc schodami w górę Dzwonnicy.

W połowie drogi natknąłem się na doktora Devine'a.

- Czyżby to twoja klasa dopuszczała się tak karygodnego zachowania?

Poczułem się głęboko urażony.

- W żadnym razie - sapnąłem gniewnie. - W mojej sali urzęduje właśnie Meek. Oto do czego dochodzi, gdy próbuje się zaprowadzić komputery pod strzechy. Kompletna degrengolada.

- Cóż, mam nadzieję, że zrobisz tam porządek - mruknął, Kwaśnogron. - Już w Środkowym Korytarzu dobiegały mnie te przerażające wrzaski.

Tupet tego faceta był doprawdy zdumiewający.

- Muszę tylko złapać oddech - oświadczyłem z godnością.

Te cholerne schody z każdym rokiem robią się coraz bardziej strome.

Devine poczęstował mnie kpiącym uśmiechem.

- Gdybyś mniej palił, nie miałbyś problemu z pokonaniem kilku stopni - rzucił, po czym z typową dla niego werwą ruszył przed siebie.

Spotkanie z Kwaśnogronem nie poprawiło mi humoru. Wparowałem więc jak burza do sali, całkowicie ignorując nieszczęsnego królika za katedrą, a moja wściekłość jeszcze przybrała na sile, gdy wśród uczniów dojrzałem kilku swoich chłopców. Podłoga była zasłana samolocikami z papieru. Jedna z ławek leżała wywrócona na bok. Przy oknie natomiast stał Knight, niewątpliwie odgrywający jakąś farsę, wszyscy bowiem skręcali się w paroksyzmach śmiechu.

Kiedy przekroczyłem próg, niemal natychmiast zaległa idealna cisza. Po-słyszałem syk: „Quaz!”, i w tym samym momencie Knight zaczął - dużo za późno - ściągać z siebie moją togę.

Zastygł w bezruchu, wybałuszyl oczy i zdawał się szczerze przerażony. Bo i miał ku temu poważne powody. Przyłapany w mojej todze, w mojej sali, parodiujący moją osobę - nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, co miała wyrażać ta małpia mina i kołyszący krok - zapewne modlił się teraz gorąco, by żywcem zapaść się pod ziemię.

Muszę przyznać, że ta sytuacja mnie zadziwiła. Knight - przebiegły, ale nieśmiały i zakompleksiony chłopak - nigdy nie przyjmował na siebie roli prowodyra, a jedynie po cichu delektował się wygłupami innych. Fakt, że nawet on ośmielił się na podobny wybryk, fatalnie świadczył o dydaktycznych i wychowawczych kompetencjach Meeka.

- Knight. Wyjdz. - W podobnych sytuacjach nabrzmiały oskarżeniem szept jest często o wiele bardziej efektywny od krzyku.

Chłopak zawahał się przez moment.

- Sir, to nie...

- Wyjdz natychmiast!

Bez słowa czmychnął za drzwi, ja tymczasem zwróciłem się do pozostałych. Pozwoliłem, by na moment zawisła między nami ciężka cisza. Nikt nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy.

- Gdy zaś chodzi o resztę, jeżeli jeszcze raz będę musiał się tu zjawić, jeżeli usłyszę choćby o ton uniesiony głos dobiegający zza tych drzwi, wszyscy wylądujecie po lekcjach w kozie - winowajcy, współsprawcy jak i milczący poplecznicy. Czy to jasne?

Wszyscy karnie pokiwali głowami. Pośród chłopców dostrzegłem Allena-Jonesa i McNaira, Sutcliffa, Jacksona i Andertona-Pullitta. Połowę mojej klasy. Z niesmakiem potoczyłem po nich wzrokiem.

- Cóż, widzę tu panów z 3 S. Przyznaję, że miałem o was dużo lepsze zdanie. Uważałem was za dżentelmenów.

- Przepraszamy, sir - mruknął Allen-Jones, uparcie wbijając wzrok w pulpit ławki.

- Myślę, że to raczej pan Meek powinien usłyszeć słowa przeprosin.

- Przepraszamy, sir.

- Sir.

- Sir.

Meek stał sztywno wyprostowany na podium. Wielkie biurko sprawiało, że wydawał się jeszcze mniejszy i jeszcze bardziej bezużyteczny. Jego żalсна twarz zdawała się zredukowana do oczu i brody - przypominał teraz smętną małpkę kapucynkę.

- Ja... hm... cóż... dziękuję, panie Straitley. Sądzę... urn... że już teraz ... hm... zapanuję nad sytuacją. Chłopcy... hm...

Wyszedłszy z sali, zerknąłem jeszcze przez okienko. Spostrzegłem, że Meek spogląda za mną z wysokości swojej grędy. Niemal natychmiast się odwrócił, jednak nie dość szybko, bym nie dostrzegł wyrazu jego twarzy.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości - dzisiaj dorobiłem się nowego wroga. Cichego i mało wojowniczego - niemniej wroga. Meek później przyszedł do Sali Cichej Pracy i podziękował za interwencję, jednak żadna maskarada z jego czy mojej strony nie była w stanie zatrzeć faktu, że został on dzisiaj upokorzony przez swoich uczniów, a ja stałem się świadkiem zdarzenia.

Mimo to jego mina mnie zaskoczyła. Jakby zła komicznej bródki i wytrzeszczonych oczu, wyłoniła się inna, sekretna twarz wyrażająca czystą niechęć.

6

Czuję się jak dzieciak w sklepie z cukierkami tuż po wypłacie kieszonkowego. Od kogo by tu zacząć? Od Pearmana? Bishopa? Straitleya? Czy raczej Strange'a? A może od kogoś z dołu drabiny - na przykład tłustego Fallowa, który objął posadę mojego ojca z taką arogancką dezynwolturą? A może od przygłupiego Jimmy'ego? Lub jednego z nowicjuszy? Czy raczej od samego Dyrektora?

Muszę przyznać, że kusi mnie ta ostatnia myśl, ale to byłoby zbyt proste. Poza tym zależy mi, by uderzyć w samo serce Świętego Oswalda, nie w jego głowę. Chcę, żeby cała szkoła rozpadła się w proch - nie zadowala mnie strącenie kilku gargulców z dachu. Miejsca takie jak Święty Oswald mają niezwykłą zdolność odradzania się i podnoszenia z upadku. Wojny mijają, skandale blakną i nawet morderstwa zapadają w końcu w mroki niepamięci.

W oczekiwaniu na przebłysk inspiracji muszę uzbroić się w cierpliwość. Okazało się, że pobyt w murach Świętego Oswalda sprawia mi tyle samo przyjemności, co w czasach dzieciństwa i że tak samo jak wówczas odczuwam ów rozkoszny dreszczyk, jaki przejmuje każdego intruza na terenie zakazanym. Bardzo niewiele się tu zmieniło. Jedynie nowe komputery tkwią w załopotaniu na plastikowych stolikach, podczas gdy nad nimi górują surowo nazwiska starych oswaldczyków wyryte na Tablicach Honorowych złotymi literami. Zapach unoszący się w powietrzu uległ nieznacznemu przeobrażeniu - mniej tu woni gotowanej kapusty i kurzu, a więcej - plastiku i dezodorantu, chociaż w Dzwonnicy (dzięki Straitleyowi) wciąż króluje stara mieszanka woni - gryzoni, kredy i rozgrzanej słońcem gumy trampek.

Sale natomiast pozostały takie same. Są tu nadal podesty, po których dumnie przechadzają się wykładowcy, niczym kaperzy po pokładzie fregaty, a także drewniane podłogi, mocno ściemniałe ze starości, co piątek froterowane do idealnego, zagrażającego życiu błysku. W pokoju nauczycielskim stoją

te same stare krzesła. Nic a nic nie zmieniły się i hol, i Dzwonnica. Dystygowana deterioracja, tak hołubiona u Świętego Oswalda, ma przekonywać słono płacących rodziców, że oto stają przed obliczem wielowiekowej tradycji.

W dzieciństwie ciężar owej tradycji niemal fizycznie mnie przygniatał. Święty Oswald dramatycznie różnił się od szkoły Sunnybank Park z jej pozbawionymi wyrazu klasami i ohydny odorem snującym się po korytarzach. Ten moloch wzbudzał we mnie tylko nienawiść. Prześladowali mnie inni uczniowie i z pogardą traktowali nauczyciele przychodzący do pracy w dżinsach i zwracający się do nas po imieniu.

A tymczasem mnie się marzyło, aby mówili do mnie „Snyde”, tak jak by to robili wykładowcy Świętego Oswalda; śniło mi się, że mam elegancki mundur i zwracam się do nauczycieli per „sir”. W tamtych czasach u Świętego Oswalda nadal istniała kara chłosty. Na tym tle Sunnybank zdawała się żałośnie pobłażliwa i liberalna. Wychowawstwo w mojej klasie sprawowała kobieta - niejaka Jenny McCauleigh - młoda, bezpośrednia i całkiem atrakcyjna. Wielu chłopaków się w niej podkochiwało, we mnie jednak wzbudzała jedynie żywą niechęć. U Świętego Oswalda nie uczyły kobiety. A więc znowu przypadł mi w udziale marny substytut.

Przez całe miesiące przychodziło mi znosić fizyczne dręczenie, kpiny i upokorzenia, pogardę zarówno uczniów jak i nauczycieli. Kradziono mi pieniądze na lunch, rozdierano ubrania, strącano moje podręczniki z ławki na podłogę. Bardzo szybko życie w Sunnybank stało się nie do zniesienia. Po krótkim okresie symulowania chorób pojawiły się te prawdziwe. W pierwszym roku nauki grypa dopadała mnie częściej niż przez całe dotychczasowe życie. Prześladowały mnie rwące bóle głowy, koszmary senne, a w każdy poniedziałek zaczynały mną szarpać tak gwałtowne torsje, że w końcu nie umknęło to nawet uwadze ojca.

Przypominam sobie, że pewnego razu doszło między nami na ten temat do rozmowy. Był piątkowy wieczór, jednak ojciec dla odmiany postanowił zostać w domu. To zdarzało się niesłychanie rzadko, ale Pepsi właśnie przyjęła pracę na pół etatu w pubie w centrum miasta, mnie od jakiegoś czasu męczyła grypa, więc nie wyszedł nigdzie, a nawet przygotował obiad - nic wymyślnego, gotowe danie do podgrzania, a do tego frytki - dla mnie stanowiło to jednak wystarczający dowód, że się postarał. Wyjątkowo też był miły i łagodny. Trzy piwa, które do tej pory wypił, wygłuszyły jego bezustanną wściekłość. W telewizji leciał kolejny odcinek jakiegoś serialu. Oglądaliśmy go w milczeniu, które tym razem jednak wydawało się przyjazne, a nie ponure. Właśnie zaczął się weekend - całe dwa dni bez Sunnybank Park - więc mnie też ogarnął niespodziewanie błogi nastrój. Zdarzały się niekiedy takie dni - dni, kiedy prawie udawało mi się wierzyć, że bycie dziedzicem Snyde'a to nie jest koniec świata, że gdzieś w czeluściach tunelu o nazwie Sunnybank majączy nikiel światelko, i że pewnego dnia to wszystko przestanie mieć jakiegokolwiek

znaczenie. W pewnym momencie, trzymając butelkę w swoich grubych palcach, ojciec posłał mi szczególne spojrzenie.

- Mogę też się napić? - Jego łagodność mnie ośmieliła.

Zerknął, ile piwa zostało jeszcze w butelce, i wyciągnął ją w moją stronę.

- OK. Ale pamiętaj, że nie dostaniesz więcej. Nie mogę przecież schlać własnego dzieciaka.

Gorzki smak rozlał się miło po języku. Oczywiście zdarzyło mi się już pociągać piwo, ale nigdy dotąd za wiedzą i zgodą ojca, który - ku memu zdumieniu - uśmiechnął się do mnie pogodnie. Ten uśmiech natychmiast go odmłodził. Ojciec wyglądał teraz niemal jak chłopak, którym był w czasach, gdy poznał mamę. I miał w sobie coś, za co go pokochała. Po raz pierwszy w życiu przemknęło mi przez głowę, że gdybyśmy się spotkali właśnie wtedy, to może nawet byśmy się polubili i zostali przyjaciółmi.

- Całkiem niezłe sobie bez niej radzimy, co, dzieciaku? - rzucił niespodziewanie ojciec, a mnie natychmiast serce podjechało do gardła. On czytał w moich myślach!

- Wiem, że nie jest ci łatwo. Sprawa z mamą i tak dalej - a teraz nowa szkoła na dodatek. Trochę ciężko ci się przyzwyczaić, co?

W tym momencie obudziła się we mnie iskierka nadziei.

- Te bóle głowy i tak dalej. Te ciągle zwolnienia. Masz kłopoty w szkole? Czy tak? Inne dzieciaki ci dokuczają?

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko potaknąć. Choć konsekwencje zapewne nie będą przyjemne - ojciec na dobre się ode mnie odwróci. Bo John Synde pogardzał mięczakami i tchórzami. Uderz najpierw, potem pytaj. Im są więksi, tym bardziej ich boli, jak padają. Szybciej skonam, niż dam się pokonać. Jednak, o dziwo, tym razem się ode mnie nie odwrócił, za to spojrzał mi prosto w oczy i powiedział:

- Nie martw się, dzieciaku. Jakoś to załatwię. Obiecuję.

To niezwykle zachowanie ojca wzbudziło we mnie mnóstwo emocji. Ulgę, nadzieję, załazek radości. Mój ojciec wreszcie się domyślił. Wreszcie zrozumiał. Obiecał, że położy kres wszystkim problemom. Nieoczekiwanie w mojej wyobraźni powstała następująca wizja: tato buńczucznie wkracza do Sunnybank Park - ma osiemnaście stóp wzrostu i jest wspaniały w swoim słusznym gniewie i determinacji. Podchodzi do moich naczelnych dręczycieli i tłucze głową jednego o głowę drugiego. Potem podbiega do pana Braya, nauczyciela WF, i potężnym ciosem powala go na ziemię. A na końcu - i to był najwspanialszy, najrozkoszniejszy moment tej wizji - staje naprzeciw pani McCauleigh, mojej wychowawczyni, po czym oznajmia: „Możesz sobie wsadzić gdzieś tę swoją szkołę, złotko - znalazłem dla mojego dzieciaka o wiele odpowiedniejsze miejsce”.

Tymczasem ojciec wciąż wpatrywał się we mnie z uśmiechem.

- Pewnie nigdy nie przyszyłoby ci to do głowy, dzieciaku, aleja kiedyś też

znajdowałem się w podobnym położeniu. Silniejsi, więksi zawsze czają się gdzieś za rogiem, zawsze gotowi, by sprawdzić, co człowiek jest wart. W dzieciństwie też byłem mały i chuderlawy, i z początku nie miałem wielu kolegów. Możesz wierzyć lub nie, wiem, jak się czujesz. I wiem, co zrobić, żeby to naprawić.

Do dziś żywo pamiętam tamtą chwilę, gdy ogarnęła mnie błoga pewność, że oto porządek zostanie wreszcie przywrócony światu. Jakby czas się cofnął i znowu powróciła wiara, że tata wie najlepiej.

- A co? - Mój szept był ledwo słyszalny.

Ojciec mrugnął zawiadliwie.

- Musisz iść na lekcje karate.

- Lekcje karate?!

- Właśnie. Kung-fu, Bruce Lee, pojmujesz? Znam takiego jednego gościa - od czasu do czasu przychodzi do naszego pubu. Prowadzi zajęcia z karate w soboty rano. Och, tylko pomyśl, dzieciaku - dorzucił na widok mojej miny. - Kilka tygodni tych lekcji i natychmiast wszystko się ułoży. Uderz najpierw, potem pytaj. Nie pozwól, by jakiś gówniarz ci podskakiwał.

Aż mi głos odebrało z niedowierzania. Pamiętam, że po lodowatej butelce spływały drobne kropelki, a na ekranie Bodie i Doyle rozprawiali się brutalnie z gangsterami. Naprzeciw, na sofie, siedział John Snyder i wpatrywał się we mnie w radosnym oczekiwaniu wybuchu euforii i wdzięczności.

A więc to miało być owo cudowne rozwiązanie? Lekcje karate? Prowadzone przez gościa poznanego w pubie? Gdyby nie to, że właśnie pękało mi serce, trudno by mi było zapanować nad wybuchem histerycznego śmiechu. Przed oczami stanęły mi te sobotnie lekcje - dwa tuziny dzieciaków z komunalnego osiedla, wychowanych na „Ulicznym wojowniku” i „Kickbokserze”. Przy odrobinie szczęścia zapewne znaleźliby się wśród nich moi główni oprawcy z Sunnybank, zachwyceni, że mogą mi sprawić manto w całkiem nowych okolicznościach.

- I co ty na to? - dopytywał się ojciec.

Wciąż się uśmiechał i wciąż dało się dostrzec w nim chłopaka, jakim z pewnością był przed laty - miernego, tępego ucznia i przyszłego dręczyciela słabszych. Teraz zaś zdawał się tak absurdalnie zadowolony z siebie, a przy tym tak strasznie rozmiął się z realiami, że - o, dziwo - nie wzbudził we mnie pogardy ani gniewu, ale głęboki, bardzo niedziecinny smutek.

- Jasne. W porządku - udało mi się wymamrotać.

- Mówiłem, że coś wymyślę, no nie? - ucieszył się.

Tymczasem mnie się robiło coraz bardziej gorzko w ustach.

- No, chodź tu, dzieciaku, i uściskaj swojego staruszka.

Nie pozostało mi nic innego, jak go uściskać - wbić twarz w jego wełniany sweter - chociaż gorycz w gardle wciąż narastała. Dobiegł mnie zapach dymu

papierosowego i ojcowskiego potu, odór zatęchłego piwa i naftaliny, i wtedy uderzyła mnie też pewna przykra myśl: nie ma bardziej samotnego dziecka ode mnie.

O dziwo, ta świadomość nie zaboląła mnie wtedy zbyt mocno. Znowu zajęliśmy się oglądaniem serialu. A potem przez kilka dni udawało mi się wywoływać wrażenie, że cieszę się na myśl o lekcjach karate. Na szczęście wkrótce ojciec o nich zapomniał.

Mijały miesiące i życie w Sunnybank Park stało się ponurą rutyną. Najlepszą techniką przetrwania było unikanie szkoły. Ledwo wybijała godzina lunchu, a mnie już niosło na wagary, na teren Świętego Oswalda. Popołudnia upływały mi na obserwowaniu rozgrywek sportowych Ozzich lub podglądaniu bądź podsłuchiwanie zajęć przez okna. Niekiedy brawura pchała mnie, by wejść do środka w czasie trwania lekcji. Ostatecznie nikt tak jak ja nie znał miejsc, w których można się tam było bezpiecznie ukryć; poza tym w mundurku Ozziego, skompletowanym z pogubionych lub podkradzionych sztuk, nawet dzieciak Johna Snyde'a mógł uchodzić za ucznia szkoły.

Z czasem odwaga pchała mnie do coraz bardziej szalonych wyczynów. Pewnego razu, dzięki o wiele za dużej koszulce jednego z domów, ukradzionej z szafki w Górnym Korytarzu, udało mi się dołączyć do reszty chłopców w Dniu Sportu, a nawet wziąć udział w biegu na 800 metrów i przy okazji pobić rekord klas młodszych domu Amadeus. Nigdy nie zapomnę tych okrzyków radości, jakimi mnie fetowano tuż po przekroczeniu linii mety. Dyżurny wykładowca - wtedy akurat był to Bishop, dużo młodszy niż dziś, bardzo atletyczny w sportowych spodenkach i bluzie z logo szkoły - przyjaźnie zmierzwił moje krótko przycięte włosy i powiedział: „Brawo, chłopcze. Dwa punkty dla domu. I zgłoś się do drużyny przełajowej w poniedziałek”.

Oczywiście dołączenie do drużyny w żadnym razie nie wchodziło w grę. Było to szalenie kuszące, ale na aż tak brawurowy krok nie starczyło mi odwagi. W owym czasie co prawda większość czasu upływała mi na wycieczkach na teren szkoły i choć rysy mojej twarzy były wyjątkowo nieokreślone - czyniące mnie kimś niemal niewidzialnym - nie ulegało wątpliwości, że jeśli nie będę się mieć na bacności, w końcu ktoś mnie zdemaskuje.

Problem w tym, że wędrówki po Świętym Oswaldzie stały się dla mnie jak narkotyki. A z czasem brawura pchała mnie do coraz bardziej ryzykownych wyczynów. Kupowanie słodyczy w sklepiku podczas długiej przerwy wkrótce przerodziło się w zwyczaj - podobnie jak oglądanie meczów futbolowych i powiewanie szalikiem z logo Świętego Oswalda przed nosem kibiców rywalizującej z nami szkoły. Wiele godzin upłynęło mi na siedzeniu w cieniu pawilonu krykietowego - nieodmiennie w roli dwunastego gracza, wiecznego

rezerwowego. Pewnego razu coś mnie nawet podkusiło, żeby ustawić się wraz z innymi do fotografii grupowej wszystkich uczniów i wykładowców szkoły. Do dziś można mnie tam zobaczyć - blisko załomu, w gronie pierwszoroczniaków.

W drugim roku tych eskapad coraz więcej czasu udawało mi się spędzać w budynku w czasie zajęć. Odbywało się to kosztem moich lekcji WF, ale cała operacja przebiegała nad podziw gładko. W poniedziałki w planie był zawsze pięciomilowy bieg przełajowy, którego trasa wiodła wzdłuż żywopłotów oddzielających Świętego Oswalda od reszty świata. Inne dzieciaki z Sunnybank nienawidziły tego miejsca. Jakby już same boiska szkoły były dla nich śmiertelną obrazą i zasługiwały na gwizdy i wyzwiska. Po przebiegnięciu tej hałastry na ceglany murze często pojawiały się graffiti, a mnie wówczas ogarniał okropny wstyd na myśl, że gdyby ktoś nas obserwował, mógłby mnie uznać za jednego z winowajców. Wkrótce się okazało, że jeżeli sprytnie skryję się za krzaki i przeczekam, aż wszyscy przebiegną obok, wówczas mogę spędzić całe popołudnie u Świętego Oswalda.

Z początku przezorność nakazywała dużą ostrożność: drobiazgowo planowanie, ukrywanie się w trawie, czekanie, aż przebiegnie cała klasa. Zanim ostatnie fajtlapy zjawiały się z powrotem w Sunnybank, mijały ponad dwie godziny, więc zostawało mi dość czasu, żeby niepostrzeżenie do nich dołączyć.

Towarzyszyło nam zawsze dwoje nauczycieli. Pan Bray, niespełniony sportsmen, facet o monsturalnej próżności i ciężkim dowcipie, biegał z przodu z najsprawniejszymi chłopakami i najładniejszymi dziewczynami, a wszystkich innych miał w głębokiej pogardzie. Panna Potts, praktykantka, zazwyczaj biegła w ogonie, otoczona wianuszkiem zapatrzonych w nią panienek. Żadne z nauczycieli nigdy nie zwracało na mnie uwagi, żadne więc nigdy nie zauważało mojej nieobecności.

Mój skombinowany mundurek - szary pulower w serek, szare spodnie, szkolny krawat i granatowy blezer (z herbem szkoły i jej mottem - *Audere, agere, auferre** - wyhaftowanymi na kieszonce złotą nicią), czekał na mnie pod schodami pawilonu gimnastycznego. Nikt mnie nigdy nie przyłapał na przebieraniu - rozgrywki i zawody u Świętego Oswalda odbywały się zawsze w środy i czwartki, więc w poniedziałki nikomu nie przyszłoby do głowy zapuszczać się w rejony dalekich boisk.

* łac. *Audere, agere, auferre* - odważyć się, zrobić, osiągnąć (przyp. red.).

Z początku wystarczało mi, że mogę się pojawiać na terenie szkoły w czasie lekcji i spokojnie włóczyć po korytarzach. W niektórych klasach panował harmider, w innych - złowroga cisza. Jeżeli dyskretnie zajrzało się przez szybkę w drzwiach, można było zobaczyć rzędy głów pochylone nad ławkami, papierowe samolociki rzucane ukradkiem za plecami wykładowców czy

potajemnie przekazywane pisemne wiadomości. Żeby posłuchać, co się dzieje na lekcji - wystarczyło mocno przycisnąć ucho do drzwi.

Moim ulubionym miejscem była jednak Dzwonnica z meandrami niewielkich, rzadko używanych pomieszczeń - stryszków i składzików - oraz z dwoma salami wykładowymi, jedną bardzo dużą, drugą małą, obiema należącymi do Sekcji Języków Klasycznych, a także niebezpiecznie kruszącym się, kamiennym balkonem, z którego można było się wdrapać na dach, a potem leżeć tam na ciepłych łupkowych dachówkach, wsłuchiwać w głosy dochodzące z otwartych okien Średniego Korytarza i wypełniać ukradzione zeszyty ćwiczeń. Dzięki tym sesjom na dachu udało mi się pilnie śledzić lekcje łaciny dla pierwszorzeczników, prowadzone przez pana Straitleya; lekcje fizyki pana Bishopa dla drugiej klasy i lekcje historii sztuki pana Langdona. Wraz z trzecią klasą Boba Strange'a przeprowadziliśmy dogłębną analizę „Władcy much”. Zuchwałość skłoniła mnie nawet do tego, by podrzucić kilka esejów na temat owej powieści do przegródki anglisty (i odebrać je po kilku dniach - ocenione, poprawione, z wielkim słowem NAZWISKO? wymalowanym czerwonym flamastrem na górze arkusza). A więc w końcu, dzięki wytrwałości, udało mi się odnaleźć swoje miejsce na ziemi. Był to ład samotności, ale nie miało to wówczas dla mnie większego znaczenia. Święty Oswald - i wszystkie jego skarby - znalazły się w zasięgu mojej ręki. Czegoż więcej mógłby pragnąć taki dzieciak jak ja?

Ale właśnie wtedy w moim życiu pojawił się Leon. I nagle wszystko się zmieniło.

Był senny, słoneczny, późnowiosenny dzień - jeden z tych, gdy moja miłość do Świętego Oswalda zdawała się tak dojmująco głęboka, że z pewnością nigdy czegoś podobnego nie doświadczył żaden z uczęszczających tu uczniów. I może właśnie dlatego owego dnia wstąpiła we mnie jakaś nadzwyczajna odwaga. Od czasu naszego pierwszego spotkania moja jednostronna wojna wypowiedziana szkole zdążyła już przejść przez rozmaite fazy: nienawiści, uwielbienia, gniewu i euforii. Tej wiosny jednak doszło między nami do zawieszenia broni. Ogarnęło mnie przeczucie, że powoli Święty Oswald akceptuje moją obecność w swoich murach, że przestaję być tu intruzem, a staję się niemal przyjacielem - niczym domieszka toksycznej materii, która z czasem okazuje się cenna dla szlachetnej substancji.

Oczywiście wciąż do szału doprowadzała mnie niesprawiedliwość losu, wysokie czesne, na które mój ojciec nigdy nie mógłby sobie pozwolić, a przede wszystkim fakt, że - z czesnym czy bez - i tak by mnie tu nie przyjęli. Mimo to między mną a szkołą zawiązał się szczególnie rodzaj więzi - łagodnej symbiozy, jak między rekinem a rybą-czyścicielem. W końcu dotarło do mnie,

że nie muszę odgrywać roli pasożyta - mogę odwdzięczać się Świętemu Oswaldowi za wszystko, co biorę. Przyszło mi do głowy, by spisywać, co należy najpilniej nareperować w szkole - i tak rosła lista pękniętych płyt boazerii, obluzowanych dachówek, uszkodzonych ławek. Potem wystarczyło przepisać wszystko do Dziennika Napraw leżącego w Portierni i parafować inicjałami różnych nauczycieli, by odsunąć od siebie podejrzenia. Ojciec sumiennie przeglądał dziennik i wypełniał swoje obowiązki, mnie zaś przepełniała dumą, że mam swój niewielki wkład w poprawę stanu szkoły. Święty Oswald traktował mnie łaskawie - w końcu zaakceptował moją obecność.

Tak się złożyło, że tym pięknym dniem był poniedziałek. Po popołudniowej lekcji łaciny trudno było mi się zdecydować, czy wysłuchać zajęć ze sztuki, czy iść do biblioteki i wtopić się w grupę uczących się tam chłopców. Niezłą opcją był też wypad do Refektarza - o tej porze personel kuchenny już od dawna znajdował się w domu - bez trudu można by więc podkraść kilka biskwitów przygotowanych na późnopołudniowe zebranie nauczycieli.

Tak pochłaniały mnie własne myśli, że po wejściu w Górny Korytarz ledwie udało mi się uniknąć zderzenia z chłopakiem stojącym z rękami w kieszeniach pod jedną z Tablic Honorowych. Był trochę starszy ode mnie - miał może jakieś czternaście lat, wyraziste rysy i inteligentny wyraz twarzy. Do tego - błyszczące szare oczy i brązowe włosy, zdecydowanie za długie jak na ucznia Świętego Oswalda. Jęzor jego krawata, bezceremonialnie ucięty nożyczkami, wychylał się bezwstydnie znad swetra. W tym momencie dotarło do mnie, że oto stoi przede mną prawdziwy buntownik.

- Patrz, gdzie leziesz - rzucił leniwie chłopak.

Po raz pierwszy w moim życiu uczeń szkoły raczył się zwrócić bezpośrednio do mnie, więc trudno mi było zapanować nad entuzjazmem.

- A ty właściwie dlaczego tu tkwisz?

Od dawna nie było dla mnie tajemnicą, że pomieszczenie na krańcu korytarza jest gabinetem któregoś z wykładowców. Nawet parę razy udało mi się wejść do środka. Gabinet okazał się małym, dusznym miejscem, zarzuconym papierami, w którym królowały olbrzymie, niezniszczalne rośliny, złowieszczą rozpełzające się na wszystkie strony z parapetu wysokiego, wąskiego okna.

Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Quaz kazał mi tu przyjść. Ale skończy się jedynie na ostrzeżeniu lub zatrzymaniu po lekcjach. Quaz nigdy nie korzysta z trzcinki.

- Quaz?

To słowo brzmiało znajomo, często padało w rozmowach pomiędzy chłopcami. Nie ulegało wątpliwości, że to przezwisko - pozostawało jedynie pytanie czyje.

- Siedzi w Dzwonnicy? Wygląda jak gargulec? - Chłopak ponownie uśmiechnął się radośnie. - Trochę *podex* z niego, ale ogólnie jest w porządku. Na pewno uda mi się tanio wywinąć.

Mój trwożliwy podziw dla chłopaka rósł z każdą sekundą. Jego pewność siebie była fascynująca. Już sam fakt, że mówił o wykładowcy nie jak o wzbudzającym lęk autorytecie, ale postaci raczej komicznej, zaparł mi z wrażenia dech w piersiach. Co więcej, ten chłopak - ten buntownik, który miał odwagę kpić ze Świętego Oswalda - zwracał się do mnie, jak do równego sobie, i na dodatek nie miał pojęcia, że oto stoi przed nim uzurpator!

Do tej pory nie przyszłoby mi do głowy, że akurat w tym miejscu znajdę sprzymierzeńca. Moje wizyty w murach szkoły pozostawały pilnie strzeżoną tajemnicą. Nie było u mego boku ani jednego kolegi czy koleżanki, którym można by o tym opowiedzieć. A o zwierzaniu się Pepsi czy ojcu wprost strach było myśleć. Natomiast ten chłopak...

Po dłuższej chwili udało mi się znaleźć język w gębie i wydusić:

- A co to jest *podex*?

Chłopak nazywał się Leon Mitchell. Gdy przyszła kolej na mnie, żeby się przedstawić, niespodziewanie przyszło mi do głowy: Julian Pinchbeck, pierwszoroczniak. Drobną budową pozwalała mi się trochę odmłodzić, i w ten sposób bez wątpienia znaleźć się w innej grupie wiekowej niż Leon. Dzięki temu mój nowy kolega nie będzie nigdy miał podstaw, by się dziwić, że nie widuje mnie na apelach czy w czasie rozgrywek sportowych.

Niewiele brakowało, a bezczelność własnej uzurpacji przyprawiłaby mnie o omdlenie. A jednocześnie rozpiełała mnie radosna euforia. Bo nagle wszystko okazało się tak dziecinnie proste. Jeżeli ten chłopak dał się oszukać, to czemu nie mieliby się nabrać inni - może nawet wykładowcy?

A w takim razie, co stało na przeszkodzie, by zostać członkiem kółek zainteresowań i drużyn sportowych czy też zacząć otwarcie uczęszczać na zajęcia? Ostatecznie żaden z uczniów nie znał Świętego Oswalda lepiej ode mnie. Tutaj zawsze mam na sobie przepisowy strój. Czemu ktokolwiek miałby kwestionować moją obecność? Do szkoły musi uczęszczać z tysiąc uczniów. Więc nikt - nawet Dyrektor - nie może znać każdego z nich. Co więcej, szacowna tradycja Świętego Oswalda mogła niespodziewanie stać się moją ochronną tarczą - z pewnością w całej historii szkoły nikt nie ośmielił się posunąć do takiego oszustwa jak moje. Nikomu więc nie przyszłoby do głowy podejrznie, że ktoś poważzył się na równie haniebną uzurpację.

- A czy ty przypadkiem nie musisz siedzieć teraz na jakichś lekcjach? - W oczach chłopaka pojawił się złośliwy błysk. - Jeżeli się spóźnisz, nieźle cię uziemią.

To najwyraźniej było wyzwanie.

- Mam to gdzieś - padła moja błyskawiczna odpowiedź. - Pan Bishop kazał mi przekazać pewną wiadomość do biura. Zawsze mogę powiedzieć, że sekretarka wisiała na telefonie i że musiałem czekać.

- Niezłe. Muszę to zapamiętać.

Aprobata Leona zawróciła mi w głowie.

- Ja się ciągle z czegoś urywam. - Zabrzmiało to nawet przekonująco. - I jak do tej pory nikt mnie nie przyłapał.

Kiwnął głową z uśmiechem.

- A teraz z czego się urwałeś?

Niemal wyrwało mi się, że z WF, ale w porę przyszło otrzeźwienie - przecież dziś jest dopiero poniedziałek.

- Z religii.

Leon wykrzywił się komicznie.

- *Vae!**. Wcałe ci się nie dziwię. Osobiście marzę o pogańskich czasach. Wtedy przynajmniej można było do woli uprawiać seks.

* łac. *vae* - biada (przyp. red.).

Z ust wyrwał mi się głupawy chichot.

- Kto jest twoim wychowawcą?

Jeżeli dowiem się, u kogo jest w klasie, zdołam z całą pewnością ustalić, z jakiego jest rocznika.

- Oślizły Snyder. Anglista. Istny *cimex*. A twoim?

Ogarnęła mnie panika. Czyje podać nazwisko, a jednocześnie się nie zdekonspirować? Zanim jednak cokolwiek sensownego przyszło mi do głowy, w korytarzu, za naszymi plecami, rozległo się echo powłóczących kroków. Ktoś bez wątpienia nadchodził.

Leon natychmiast wyprostował się jak struna.

- To Quaz - ostrzegł przyciszonym głosem. - Lepiej się zmywaj.

Ogarnęła mnie ulga, że nie muszę odpowiadać na pytanie o wychowawcę, a jednocześnie straszne rozczarowanie, że nasza rozmowa trwała tak krótko. Teraz muszę za wszelką cenę dokładnie zapamiętać wygląd Leona - kosmyk włosów opadający nonszalancko na czoło, intrygujący błysk w oku, ironiczne wygięcie ust. Chociaż właściwie po co mam to robić? Zapewne już nigdy więcej nie spotkam tego chłopaka. To mogłoby być dla mnie wręcz niebezpieczne - a więc zdecydowanie niewskazane.

Tymczasem wykładowca podchodził coraz bliżej.

Do tej pory udało mi się tylko poznać głos Roya Straitleya - donośny, wyrazisty, o przyjemnym brzmieniu. Teraz wreszcie nadarzyła się okazja, żeby przyjrzeć się słynnemu Quazowi. Moim oczom ukazała się przygarbiona sylwetka obleczona w zniszczoną togę. Instykt kazał mi spuścić głowę na ten widok, ale musiało w mojej postawie być coś podejrzanego, bo łacinnik zatrzymał się i spojrzał na mnie z uwagą.

- Czemu nie jesteś na zajęciach, chłopcze?

Nie pozostało mi nic innego, jak wspomnieć o Bishopie i wiadomości. Ale moje wyjaśnienia najwyraźniej nie przekonały pana Straitleya.

- Przecież biuro znajduje się w Dolnym Korytarzu. To kilka mil stąd!

- Tak jest, sir. Ale musiałem jeszcze pójść po coś do szafki, sir.

- Co takiego? W trakcie lekcji?

- Sir.

Nie ulegało wątpliwości, że nie wierzy w ani jedno moje słowo. Serce zaczęło walić mi jak młotem. Jednak po chwili ciekawość wzięła górę nad strachem i kazała raz jeszcze zerknąć na twarz nauczyciela - brzydką, inteligentną, dobroduszną, pomimo że Straitley wpatrywał się we mnie z groźnie ściągniętymi brwiami. W tym momencie przez mój strach przebiło się jeszcze inne uczucie - irracjonalna, zapierająca dech w piersiach nadzieja. Czyżby ten człowiek mnie naprawdę dostrzegł? Czyżby ktoś tak ważny wreszcie zdał sobie sprawę z mojego istnienia?

- Jak się nazywasz, synu?

- Pinchbeck, sir.

- Pinchbeck, he?

Widać było, że się zastanawia, co ze mną począć. Czy dalej prowadzić śledztwo, jak podpowiadał mu instynkt, czy po prostu puścić mnie wolno i zająć się własnym uczniem. Jeszcze przez kilka chwil badawczo spoglądał mi w twarz - miał wyblakłe niebieskożółte oczy, przypominające barwę brudne dżinsy - widać już jednak było, że jego zainteresowanie słabnie. Zdecydował, że nie ma problemu. Jestem jakimś dzieciakiem z niższych klas, który urwał się z lekcji. Nie stanowią zagrożenia. Niech ktoś inny zavraca sobie mną głowę. Przez chwilę gniew wzięł górę nad ostrożnością. Nie stanowią zagrożenia? Nie jestem dla niego uczniem wartym zachodu? Czyżby te wszystkie lata krycia się po kątach i przemykania pod ścianami rzeczywiście uczyniły ze mnie istotę nieodwracalnie niewidzialną?

- No dobrze, synu. Ale żebym cię tu więcej nie widział. A teraz zmykaj.

Nie pozostało mi nic innego jak tylko ruszyć biegiem przed siebie.

Wcześniej jednak dobiegł mnie szept Leona:

- Hej, Pinchbeck, do zobaczenia po szkole. OK?

Coś kazało mi raz jeszcze spojrzeć przez ramię na nowego znajomego i wtedy Leon mrugnął do mnie porozumiewawczo.

*Prywatna Szkoła dla chłopców im. św. Oswalda,
środa 8 września*

Dramat i panika pod pokładem; wielka, niezdarnie dryfująca fregata, jaką jest Święty Oswald wyjątkowo szybko tego roku zderzyła się z rafą. Po pierwsze, data nieuniknionej inspekcji szkolnej została wyznaczona na szóstego grudnia. Perspektywa inspekcji zazwyczaj wzbudza panikę na kosmiczną skalę, szczególnie wśród wysokich eszelonów administracji. Poza tym - a to z mojego punktu widzenia było o wiele bardziej destrukcyjne - owego dnia poranną pocztą wszyscy rodzice otrzymali zawiadomienie o podwyżce czesnego od następnego semestru, co wywołało niemałą konsternację przy wielu śniadaniowych stołach jak hrabstwo długie i szerokie.

Kapitan naszej fregaty utrzymuje, że to całkowicie naturalne posunięcie, mające na celu zniwelowanie inflacji, choć na wszelki wypadek tego ranka był nieosiągalny, tak więc nie mógł najbardziej zainteresowanym jasno wyluszczyć swoich racji. Niektórzy zatwardziali buntownicy szeptali po kątach, że gdybyśmy my, nauczyciele, zostali odpowiednio wcześniej poinformowani o nadchodzącej podwyżce, bylibyśmy lepiej przygotowani na poranny zalew telefonów od rozwścieczonych rodziców.

Bishop, złapany w krzyżowy ogień pytań, udawał, że szczerze popiera Dyrektora. Kiepski jednak z niego kłamca. Aby więc nie patrzeć nam w oczy w pokoju nauczycielskim, aż do apelu cwałował po bieżni, tłumacząc, że stracił formę i potrzebuje więcej ćwiczeń fizycznych. Nikt nie uwierzył w te wyjaśnienia, choć gdy wspinałem się po schodach Dzwonnicy, ujrzałem go przez okno - z perspektywy wieży maleńką, zapomnianą przez Boga i ludzi postać, niestrudzenie pokonującą kolejne okrążenia.

Moi chłopcy przyjęli wiadomość o podwyżce z typową dla nich dozą zdrowego cynizmu.

- Sir, czy to oznacza, że w tym roku zaczną nas wreszcie kształcić nauczyciele z prawdziwego zdarzenia? - Allen-Jones zdawał się niewzruszony zarówno incydentem z plakietkami, jak i moimi wczorajszymi straszliwymi groźbami.

- Nie. To oznacza lepiej zaopatrzony barek w sekretnym gabinecie Dyrektora.

Rozległy się śmiechy. Tylko Knight miał nadal ponurą minę. Z powodu wczorajszego wybryku z togą drugi dzień odbywał karny dyżur i już zdążył stać się pośmiewiskiem swoich kolegów, gdy w jaskrawopomarańczowym uniformie obchodził teren podczas długiej przerwy i zbierał śmieci do wielkiego worka. Dwadzieścia lat temu dostałby karę chłosty i zyskał szacunek całej klasy, co jasno wskazuje, że nie wszystkie innowacje są fatalne w skutkach.

- Moja mama twierdzi, że to skandal - odezwał się Sutcliff. - Ostatecznie są jeszcze inne szkoły.

- Owszem, jednak ciebie ochoczo przyjmą tylko do zoo - odparłem z roztargnieniem, patrosząc biurko w poszukiwaniu dziennika. - Do diabła, gdzie się podział ten dziennik? Przecież wiem, że leżał dokładnie w tym miejscu.

Od zarania dziejów trzymam dziennik w górnej szufladzie. Mogę sprawiać wrażenie niezorganizowanego, ale zawsze wiem, gdzie co mam.

- A czy pańska pensja też wzrośnie, sir? - Tym razem Jackson.

- Nasz pan już jest milionerem! - To znowu Sutcliff.

- Bo nigdy nie marnuje pieniędzy na ubrania - wtrącił Allen-Jones.

- Ani na mydło - dorzucił cicho Knight.

Wyprostowałem się i spojrzałem surowo na Knighta. Jakimś cudem udało mu się przybrać bezczelną, a jednocześnie żalostną minę.

- Jak ci się podoba zbieranie śmieci? - spytałem. - Może miałbyś ochotę na kolejny tydzień dyżuru?

- Innym pan nie groził - wymamrotał Knight.

- Bo inni dostrzegają subtelność różnicę pomiędzy żartem a grubiaństwem.

- Pan się na mnie wyżywa. - Knight mówił prawie szeptem i nie patrzył mi w oczy.

- Słucham? - Jego słowa mnie szczerze zdumiały.

- Pan się na mnie wyżywa. Pan się na mnie wyżywa, bo...

- Bo co? - warknąłem.

- Bo jestem Żydem.

- Co takiego?!

Zirykowałem się sam na siebie. Tak bardzo zaprzątęła mnie sprawa zaginionego dziennika, że złapałem się na najbanalniejszą sztuczkę - dałem się wciągnąć uczniowi w publiczną konfrontację.

Reszta klasy siedziała w milczeniu, przyglądając się scenie z zafascynowaniem.

Na szczęście szybko odzyskałem rezon.

- Bzdura. Nie wyzywam się na tobie, dlatego że jesteś Żydem. Mam do ciebie zastrzeżenia, masz bowiem *stercus** zamiast mózgu.

* łac. *stercus* - gnój (przyp. red.).

McNair, Sutcliff i Allen-Jones zgodnie z przewidywaniami parsknęli śmiechem, wszystko więc powinno wrócić do normy. Nawet Tayler się roześmiał, a on nigdy się nie rozstawał ze swoją jarmułką.

Tymczasem wyraz twarzy Knighta nie uległ zmianie. Dojrzałem w niej też coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem - jakiś nowy, tępy upór. Po raz pierwszy patrzył mi prosto w oczy. Sądziłem nawet, że podejmie temat, w końcu jednak spuścił swoim zwyczajem wzrok i wymamrotał coś pod nosem.

- Co mówiłeś?

- Nic, sir.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie, sir.

- To dobrze.

Odwróciłem się w stronę biurka. Dziennik może i gdzieś się zawieruszył, ale ostatecznie świetnie znam swoich chłopców, więc gdy tylko wejdę do klasy, od razu widzę, którego z nich brakuje. Z pamięci jednak wyrecytowałem listę - nauczycielską mantrę - bo to zawsze ich uspokaja.

Potem raz jeszcze zerknąłem na Knighta, ale siedział z tradycyjnie opuszczoną głową i nic już teraz nie wskazywało, by tlił się w nim bunt. Wszystko więc wróciło do normy. Kolejny mały kryzys został zażegnany.

8

Decyzja, żeby spotkać się z Leonem, zajęła mi sporo czasu - głównie straconego na wewnętrzną debatę. Nic w życiu bardziej by mnie nie uszczęśliwiło niż przyjaźń z tym chłopakiem, ale ryzyko było wyjątkowo duże. Przeważył fakt, że Leon oczarował mnie, ale i zaakceptował od pierwszego wejrzenia. W Sunnybank każdy, kto choćby się do mnie odezwał, musiał się liczyć z szykanami ze strony najgorliwszych oprawców. Ale Leon należał do zupełnie innego świata. Pomimo krzywo obciętego krawata i długich włosów nie miał nic wspólnego z hołotą ze szkolnego molocha.

Tak więc tego popołudnia nauczyciel WF nie zobaczy mnie po biegu przełajowym. Tylko jak się z tego wywinę? Nagle mnie oświeciło - wystarczy jutro podrobić pismem ojca notatkę z oświadczeniem, że poprzedniego popołudnia, w czasie biegu, jego dziecko złapał ciężki atak astmy, uniemożliwiający dalszy udział w zajęciach tego typu.

Sfabrykuję tę notatkę bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Lekcje WF były dla mnie istnym koszmarem, przede wszystkim z powodu nienawiści do pana Braya - jego sztucznej opalenizny, złotego łańcucha na szyi i dowcipów na poziomie neandertalczyka, wygłaszanych na użytek grona akolitów, a wymierzonych zawsze przeciwko najsłabszym, najmniej zwinnym i wygadany.

W każdym razie owo poniedziałkowe popołudnie upłynęło mi na skrywaniu się w cieniu bramy Świętego Oswalda, w oczekiwaniu na dzwonek oznajmiający koniec zajęć. Nikt nie zakwestionował mojej obecności, i wreszcie wokół mnie zaroilo się od chłopców - w marynarkach lub tylko w samych koszulach - którzy po chwili od wyjścia wskakiwali do samochodów rodziców, potykali się o kije krykietowe, przerzucali się dowcipami, wymieniali książki i notatki. Potężny, żywiołowy mężczyzna doglądał kolejki do autobusu - nazywał się Bishop i wykladał fizykę - natomiast na schodach Kaplicy stał starszy człowiek w czarno-czerwonej todze.

Był to doktor Shakeshafte, dyrektor. Mój ojciec wyrażał się o nim z szacunkiem i podziwem - ostatecznie to on zatrudnił go na stanowisku Naczelnego Portiera. „Gość ze starej, dobrej szkoły - mawiał John Snyder. - Surowy, ale sprawiedliwy. Miejmy nadzieję, że nowy dyro będzie choć w połowie tak dobry”.

Oczywiście oficjalnie nic mi nie było wiadomo o wypadkach, które doprowadziły do nominacji nowego dyrektora. Ojciec w niektórych sprawach wykazywał się dziwacznym purytanizmem, a na dodatek najprawdopodobniej doszedł do wniosku, że omawianie ze mną pewnych kwestii świadczyłoby o braku lojalności wobec Świętego Oswalda. Niemniej niektóre lokalne gazety już zdążyły coś zwąchać, a poza tym cennym źródłem informacji stały się dla mnie uwagi wymieniane pomiędzy ojcem a Pepsi. By uniknąć złej prasy, ustalono, że Stary Dyrektor pozostanie na stanowisku do końca semestru - pod pretekstem wdrażania Nowego Dyrektora do systemu - po czym przejdzie na zasłużoną, zawrotnie wysoką emeryturę ustanowioną przez Zarząd. Emeryturę wysoce satysfakcjonującą, Święty Oswald bowiem od zarania dziejów troskliwie dbał o swoich. W związku z tym strony poszkodowane miały dostać wyjątkowo hojne rekompensaty, wynegocjowane na zasadzie ugody pozasądowej - naturalnie pod warunkiem, że wszyscy zainteresowani zachowają dyskretne milczenie.

W zaistniałych okolicznościach trudno się dziwić, że postać doktora Shakeshafte'a wzbudziła moją ciekawość. Był to mężczyzna około sześćdziesiątki, o wyrazistych, acz nieregularnych rysach twarzy, nie tak potężny jak Bishop, ale budową także przywodzący na myśl rugbistę. W owym momencie górował nad chłopcami niczym potężny gargulec. Wszyscy wiedzieli, że święcie wierzył w zbawienną moc chłosty. „I dobrze - zwykł mawiać mój ojciec - w ten sposób nauczy gówniarzy dyscypliny”.

W mojej szkole kary cielesne zniesiono wieki temu. Teraz osoby pokroju panny Potts czy McCauleigh stały się orędowniczkami empatycznego podejścia do młodzieży, w ramach którego wzywały na pogadanki największych oprawców i ciemiężycieli słabszych i namawiały do opowieści o uczuciach, po czym odprawiały ich z ustnym ostrzeżeniem.

Natomiast pan Bray, sam swego czasu z upodobaniem prześladowający słabszych i młodszych, zdecydowanie - podobnie jak mój ojciec - nie tolerował żadnych ceregieli. „Przestań jęczeć i przychodzić do mnie na skargę. Naucz się radzić sobie w życiu, na Boga!”, zwykł mawiać rozmaitym nieszczęśnikom.

Mnie zaś zaczęło nagle nurtować, jak wyglądała rozgrywka, która doprowadziła do wymuszenia na Starym Dyrektorze przejścia na emeryturę. Jaką taktykę zastosowali jego oponenty? Ta myśl wciąż mnie zaprzętała, gdy nagle pojawił się przede mną Leon.

- Cześć, Pinchbeck. Co zamierzasz robić? - Stał z koszulą wyciągniętą ze spodni i marynarką zarzuconą na ramię.

- Nie mam żadnych specjalnych planów. - Chyba nikt w życiu tak się nie starał, żeby przybrać nonszalancki ton głosu. - No i jak się zakończyła konfrontacja z Quazem?

- *Pactum factum**. - Leon wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Odsiadka w piątek po lekcjach. A więc wszystko zgodnie z przewidywaniami.

* łac. *Pactum factum* - układ zawarty (przyj. red.).

- Fatalnie. Ale tak właściwie za co cię uziemił?

- Za nic szczególnego. - Machnął lekceważąco ręką. - Zaledwie za drobną ekspresję własnego ego na blacie mojej ławki. Masz ochotę iść na miasto?

Mój umysł zaczął natychmiast pracować na przyspieszonych obrotach. Ależ tak, dzisiaj mogę spokojnie przyjść godzinę później. Ojciec musi zrobić obchód terenu, pozamykać wszystkie bramy i furtki, odebrać klucze od gabinetów i szafek - a więc z pewnością nie pojawi się w domu przed piątą. Natomiast Pepsi, jeżeli w ogóle się zjawi, będzie oglądała telewizję lub pichciła coś w kuchni. Poza tym ona już dawno temu zarzuciła pomysł zaprzyjaźnienia się ze mną. Co oznaczało tylko jedno - niczym nieskrępowaną wolność.

Spróbujcie sobie wyobrazić tę godzinę na mieście, jeżeli tylko potraficie. Leon miał przy sobie sporo pieniędzy, więc najpierw poszliśmy na kawę i pączki do małego bistro przy dworcu, a potem zaczęliśmy kolędować po wszystkich pobliskich sklepach płytowych. Leon odrzucił moje gusty muzyczne jako „banalne” i wyjaśnił, że najbardziej kultowymi kapelami są obecnie „Stranglers” i „Squeeze”. Przez chwilę aż mnie zatchnęło, gdy natknęliśmy się na grupę dziewczyn z mojej szkoły, a potem zrobiło mi się jeszcze gorzej na widok białego forda capri pana Braya, zatrzymującego się na światłach. Szybko jednak dotarło do mnie, że w mundurku Świętego Oswalda dla tych ludzi rzeczywiście jestem niewidzialnym człowiekiem.

Przez chwilę pan Bray i ja znajdowaliśmy się tak blisko siebie, że bez trudu moglibyśmy się dotknąć. I wtedy uderzyła mnie szczególna myśl - co by było, gdyby dzieciak, ubrany jak ja w tej chwili, zapukał w szybę jego auta, po czym powiedział: - Pan i *podex* to jedno i to samo, sir.

Ten koncept doprowadził mnie do tak histerycznego śmiechu, że aż dosłownie zabrakło mi tchu.

- Kto to taki? - zapytał Leon, szybko się orientując, że patrzę na faceta w białym capri.

- Nikt szczególny. Po prostu jakiś palant - padła moja błyskawiczna odpowiedź.

- Mam na myśli dziewczynę, ty głupku.

- Ach, tak.

Dziewczyna siedząca na fotelu pasażera nieznacznie nachyliła się w stronę Braya. Była to niejaka Tracey Delacey, parę lat ode mnie starsza, obiekt westchnień większości czwartoklasistów. Teraz trzymała nogę założoną na nogę i miała na sobie króciutką spódniczkę do tenisa.

- Jest strasznie banalna. - Nic nie mogło mnie powstrzymać od użycia ulubionego słowa Leona.

- Ja tam bym ją przeleciał - oznajmił Leon.

- Naprawdę?

- A ty nie?

Przed oczami stanęła mi Tracey z zawsze postawionymi na lakier włosami i unoszącym się wokół zapachem owocowej gumy do żucia.

- Hm. Może i tak. - W moim głosie trudno byłoby się doszukać entuzjazmu.

Chwilę później małe autko ruszyło spod świateł, a Leon poczęstował mnie szerokim uśmiechem.

Mój nowy przyjaciel należał do domu Amadeus. Jego rodzice - szefowa dziekanatu na uniwersytecie i wysoki urzędnik państwowy - byli już od kilku lat rozwiedzeni („po prostu rewelacja, dzięki temu dostają podwójne kieszonkowe”) - Leon miał poza tym młodszą siostrę o imieniu Charlotte, psa, który wabił się Kapitan Sensible, a na dodatek elektryczną gitarę, osobistą terapeutkę, i - jak mi się zdawało - niczym nieograniczoną swobodę.

- Mama utrzymuje, że powinienem posmakować życia nieskrępowanego regułami judeochrześcijaństwa. Tak naprawdę nie podoba jej się, że chodzę do Świętego Oswalda, ale to ojciec płaci chesne. Sam skończył Eton i uważa, że państwowe szkoły są odpowiednie jedynie dla proletów.

- Rozumie się.

Sumienie nakazywało mi, żeby powiedzieć choć trzy szczerze słowa na temat swoich rodziców, okazało się to jednak niemożliwe, w przeciągu bowiem zaledwie paru godzin ten chłopak stał mi się bliższy niż John i Sharon Snyder razem wzięci.

Okrutnie i bezwzględnie zostali więc pozbawieni własnej historii i tożsamości. Moja matka umarła; ojciec zaś był inspektorem policji (to najdosłowniej brzmiąca posada, jaka mi w owej chwili przyszła na myśl). Spędzaliśmy razem tylko część roku, w pozostałe miesiące zaś wychowywał mnie wujek, mieszkający w tym mieście.

- Musiałem się przenieść do Świętego Oswalda po połowie semestru. - To zabrzmiało sensownie i wiarygodnie. - Jestem tu od niedawna.

Leon w zamyśleniu pokiwał głową.

- Hm. Od razu sobie pomyślałem, że możesz być u nas nowy. A co z poprzednią budą? Wyrzucili cię?

Ta sugestia całkiem przypadła mi do gustu.

- Nie. Moja poprzednia szkoła była beznadziejną norą. Ojciec mnie stamtąd zabrał.

- Mnie natomiast wywalili z poprzedniej szkoły - powiedział Leon. - Ojciec się strasznie wściekł. Płacił im trzy kawałki rocznie, a oni mnie odprawili za jedno przewinienie. To dopiero banał. Za taką kasę powinni się lepiej starać. Tak czy owak St. Oz to niezłe miejsce. Mogliśmy dużo gorzej trafić. No a gdy teraz odejdzie jeszcze ten stary sukinsyn, Shakeshafte...

Oho, wreszcie mam szansę usłyszeć coś konkretnego!

- A właściwie dlaczego on odchodzi?

Leon wytrzeszczył zabawnie oczy.

- Jezu, ty naprawdę nie masz pojęcia, co się dzieje w szkole. Pozwól więc, że ujmę to następująco... - Leon zniżył głos - ...doszły mnie słuchy, że nie tylko własnoręcznie zabawiał się swoim futem...

Pod tym względem wiele się zmieniło, nawet u Świętego Oswalda. W tamtych czasach wystarczyła odpowiednio duża suma pieniędzy, żeby zatuszować skandal. Ale dzisiaj by to nie przeszło. My, zwykli śmiertelnicy, przestaliśmy już patrzeć z trwożnym podziwem na pozłacane wieżycy przybytków wiedzy - odkryliśmy dość dawno temu, że za owym lśniącem blaskiem kryje się znieprawienie i korupcja. Te piękne wieże są poza tym wyjątkowo kruche - niczym kryształowe iglice. Wystarczy dobrze rzucony kamień, a runą i roztrzaskają się w proch. Kamień lub coś innego.

Łatwo przychodzi mi identyfikować się z chłopcem pokroju Knighta. Niski, chudy, bez polotu, na pierwszy rzut oka autsajder. Odrzucony przez kolegów z klasy nie z racji przekonań religijnych czy też jakichkolwiek innych, ale z o wiele głębszych przyczyn, których w żaden sposób nie uda mu się zwalczyć. Problemem bowiem są jego mysie, cienkie włosy, rysy i kontur twarzy, proporcje kośćca. Knightowie może i należą teraz do zamożnych, ale z całej postaci tego dzieciaka wyzierają niezliczone, wcześniejsze pokolenia biedoty. W dobie finansowego kryzysu jemu podobnych chłopców przyjmuje się - acz niechętnie - do Świętego Oswalda, oni jednak zawsze wydają się tu nie na miejscu. Nazwisko Knighta nie ma szans znaleźć się na Tablicy Honorowej. Wykładowcy wiecznie zapominają, jak mu na imię. Koledzy nie chcą go mieć w składzie sportowych drużyn. Każda próba, jaką kiedykolwiek podjął, aby zyskać ich akceptację, kończyła się spektakularną klapą. Nic więc dziwnego, że gdy patrzę mu w oczy, dostrzegam aż nazbyt dobrze mi znany wyraz: podejrzliwej ostrożności i głębokiej urazy dziecka, które już dawno temu przestało szukać aprobaty. Które teraz potrafi już tylko nienawidzić.

Oczywiście błyskawicznie dobiegły mnie słuchy o jego scysji ze Strait-leyem. U Świętego Oswalda wieści rozchodzą się z prędkością światła; gdy

tylko dojdzie do choćby najbliższego incydentu, cała szkoła jest o nim poinformowana jeszcze przed końcem zajęć.

Ogólnie rzecz biorąc, dzisiejszy dzień miał się okazać wyjątkowo pechowy dla Colina Knighta. W trakcie sprawdzania obecności - utarczka ze Straitleyem; w czasie długiej przerwy - niemiła konfrontacja z Robbym Roachem z powodu braku pracy domowej; natomiast w porze lunchu - bójka z Jacksonem, również uczniem 3 S, w rezultacie której Jackson został odesłany do domu ze złamanym nosem, Knight zaś zarobił tydzień zawieszenia w zajęciach.

Całe zajście zdarzyło się na dziedzińcu, w trakcie mojego dyżuru. Trudno było nie dostrzec Knighta - ubrany w ochronny kombinezon z posępną miną wybierał śmieci z różanego klombu. Była to przemyślna i okrutna kara, o wiele bardziej upokarzająca niż dodatkowa praca domowa czy zatrzymanie po lekcjach. O ile mi wiadomo, jedynie Roy Straitley odwołuje się jeszcze do tej sankcji. Knight miał na sobie taki sam kombinezon, jaki przed laty nosił mój ojciec i jaki teraz często wkłada przygłupi Jimmy: bardzo luźny, jaskrawopomarańczowy, wyraźnie widoczny z najodleglejszego zakątka terenu. Każdy, kto ma na sobie coś podobnego, z miejsca staje się zwierzyną łowną.

Knight próbował się skryć za załomem budynku, jednak bezskutecznie. Wokół niego szybko zebrał się tłumek młodszych chłopców, szydzących, pilnie wskazujących śmieci, których jeszcze nie dostrzegł. Jackson, bardzo drobny, agresywny dzieciak, doskonale zdający sobie sprawę, że tylko obecność w klasie takich odmieńców jak Knight chroni go przed prześladowaniami kolegów, wykazywał się wyjątkową aktywnością prześmiewczą. Poza mną dyżur pełnił jeszcze Pat Bishop, ale on stał na odległym końcu boiska do krykieta, otoczony wianuszkami uczniów. Roach, wykładowca historii, również był na dyżurze, ale o wiele bardziej niż pilnowanie dyscypliny pochłaniała go dyskusja z piątoklasistami.

Ze względów strategicznych należało więc podejść do Knighta.

- To chyba nie najlepsza zabawa? - W moim głosie pobrzmiwała nuta współczucia.

Knight smętnie pokręcił głową. Miał bladą, lekko żółtawą cerę i tylko wysoko na kościach policzkowych wykwitwały dwie czerwone plamy. Jackson, pilnie obserwujący każdy mój ruch, odłączył się od grupy i ostrożnie podszedł bliżej. Uważnie mierzył mnie wzrokiem, jakby kalkulując, czy mogę stanowić dla niego realne zagrożenie. Podobnie zachowują się szakale krążące wokół zdychającego zwierzęcia.

- Masz ochotę do niego dołączyć?

Na dźwięk mojego ostrego tonu Jackson czmychnął w stronę grupy, Knight zaś posłał mi ukradkowe, pełne wdzięczności spojrzenie.

- To niesprawiedliwe - mruknął cicho. - Wszyscy się na mnie wyżywają.

- Tak, wiem.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Od jakiegoś czasu uważnie cię obserwuję.

Spojrzał na mnie swoimi ciemnymi, gorejącymi oczami. Wyzierała z nich absurdalna nadzieja.

- Posłuchaj, Colin. Bo tak masz na imię, prawda?

Potaknął skinieniem głowy.

- Musisz się nauczyć odpowiadać ciosem na cios. Nie bądź ofiarą. Odplącaj pięknym za nadobne.

- Odplącać? - Knight zdawał się wstrząśnięty.

- A czemu nie?

- Bo będę miał kłopoty.

- A teraz ich nie masz? - Spojrzał na mnie uważnie. - Co więc zostało ci do stracenia?

Odezwał się dzwonek zwiastujący koniec przerwy, nie było więc czasu na dalsze urabianie Knighta, ale w zasadzie stało się ono już zbędne. Ziarno zostało posiane. Knight odprowadzał mnie pełnym nadziei wzrokiem, a nim minęła pora lunchu, zdołał dopełnić dzieła; natarł na Jacksona, powalił go na ziemię i zaczął okładać pięściami. Roach popędził w ich stronę z gwizdkiem dyndającym u szyi, natomiast pozostali chłopcy przyglądali się całej scenie, rozdziawiając usta ze zdumienia - oto ofiara zdecydowała się w końcu ruszyć do boju.

Bo widzicie, ja potrzebuję sojuszników. I to nie wśród kolegów po fachu, ale w najniższych warstwach struktury Świętego Oswalda. Uderz celnie w bazę, a runie zwieńczenie. Przyznaję, ogarnia mnie drobne współczucie na myśl o nic niepodejrzewającym Knighcie, którego - zgodnie z założeniami taktyki - ostatecznie złożę w całopalnej ofierze, jednak w takich chwilach zawsze przypominam sobie, że w każdej wojnie giną niewinni i że jeszcze trup posypie się gęsto, zanim Święty Oswald runie z hukiem, pociągając za sobą w otchłań niespełnione marzenia i fałszywych idoli.

SKOCZEK

1

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda.
czwartek 9 września*

Kiedy tego dnia zapisywałem listę obecnych na świstku papieru (dziennik wciąż przebywał w nieznanym mi rejonach), w klasie panował łącie minoryowy nastrój. Jackson nieobecny, Knight zawieszony, a trzech innych uznanych za zamieszanych w incydent, który szybko rozrastał się do rozmiarów niemiłej afery.

Oczywiście ojciec Jacksona złożył formalną skargę. Podobnie ojciec Knighta: według relacji jego syna chłopak jedynie zareagował na skandaliczną prowokację ze strony innych uczniów, podjudzanych - jak utrzymywał - przez wychowawcę klasy.

Dyrektor - wciąż wstrząśnięty liczebnością zażaleń na podwyżkę czesnego - podwinął ogon pod siebie i obiecał osobiście zbadać sprawę, w rezultacie czego Sutcliff, McNair i Allen-Jones spędzili większość mojej lekcji pod drzwiami gabinetu Pata Bishopa, Knight umieścił ich bowiem na liście swoich naczelnych prześladowców. Ja natomiast otrzymałem - *via* Devine - zaproszenie do stawienia się przed obliczem Dyrektora, w najszybszym możliwym terminie, celem wyjaśnienia całej sytuacji.

Naturalnie zignorowałem wezwanie. Niektórzy z nas w tej szkole zajmują się jeszcze nauczaniem; poza tym mają inne rozliczne obowiązki: dyżury, poprawę testów i prac domowych - nie wspominając już o konieczności opróżnienia z dokumentów nowego gabinetu Niemców, jak nie omieszkalem przypomnieć Devine'owi, gdy przyszedł oznajmić mi hiobową wieść.

Co nie zmienia faktu, że zirytowała mnie niepotrzebna i bezpodstawna ingerencja Nowego. To był incydent czysto wewnętrzny i powinien pozostać w gestii wychowawcy. Boże, chroń nas od urzędników, którzy mają za dużo wolnego czasu; kiedy Dyrektor zaczyna się mieszać do spraw dyscypliny, często prowadzi to do katastrofalnych rezultatów.

Allen-Jones wyraził podobną opinię w czasie lunchu.

- Myśmy tylko się z nim drażnili, sir - powiedział z niewyraźną miną. - Może jedynie trochę przesadziliśmy. Wie pan, jak jest.

Wiem doskonale. Wic również Bishop. Ale Dyrektor nie ma o tym pojęcia. Dziesięć do jednego, że węszy jakiś przemyślnie skonstruowany spisec. Już widzę te ciągnące się tygodniami dyskusje telefoniczne z rodzicami, listy z naganami, karne zatrzymania po lekcjach, zawieszenia w zajęciach i wikłanie się w rozliczne administracyjne bzdury, zanim sprawa wreszcie umrze śmiercią naturalną. To mnie niepomiernie irytuje. Sutcliff otrzymuje stypendium, które może zostać cofnięte za rażące uchybienie dyscyplinie. Ojciec McNaira należy do piniaczy i tak łatwo się nie pogodzi z zawieszeniem syna. Natomiast Allen-Jones senior, wysokiej rangi wojskowy, często reaguje na wybryki swojego błyskotliwego, zbuntowanego syna przemocą fizyczną.

Gdyby sprawa pozostała w moich rękach, szybko i skutecznie rozprawiłbym się z winowajcami, bez konieczności rodzicielskiej interwencji - bo choć wdawanie się w dyskusję z chłopcami jest zazwyczaj niewskazane, prowadzenie pertraktacji z rodzicami często bywa zabójcze. Teraz już jednak za późno, sprawa wymknęła się spod kontroli. Nic dziwnego więc, że w ponurym nastroju schodziłem po schodach i zmierzałem w stronę pokoju nauczycielskiego, a gdy ten idiota, Meek, wpadł na mnie w korytarzu i niemal powalił na ziemię, wysłałem go do wszystkich diabłów, posiłkując się soczystym epitetem.

- Jasny szlag, któż to doprowadził pana do takiej furii? - zainteresował się Jeff Light, facet od WF, rozparty na fotelu za płachtą „Mirror”.

Spojrzałem uważniej na zajmowane przez niego miejsce. Trzecie od okna, dokładnie pod zegarem. To głupie, zdaję sobie z tego sprawę, jednak Tweedowe Marynarki to terytorialne zwierzęta, a ja już byłem poważnie wytrącony z równowagi. Oczywiście nie oczekuję, że nowicjusze w lot połapią się w naszych obyczajach, ale i Pearman, i Roach popijali nieopodał kawę, Kitty Teague poprawiała prace, McDonough zaś siedział na swoim zwyczajowym miejscu zatopiony w lekturze. W tym momencie, niemal jak na komendę, wszyscy czworo spojrzeli na Lighta, jakby był paskudną plamą, którą ktoś jakimś cudem zapomniał wytrzeć z podłogi.

Roach odchrząknął znacząco.

- Siedzisz na fotelu Roya - poinformował Lighta.

Light wzruszył ramionami i nie wykazał najmniejszej gotowości do opuszczenia mojego miejsca. Siedzący tuż przy nim Easy, geograf, pochłaniał zimny pudding ryżowy z plastikowego pojemnika. Natomiast Keane, nasz powieściopisarz *in spe*, wyglądał leniwie przez okno, z którego widać było samotną postać Pata Bishopa wciąż torturującego się na bieżni.

- Posłuchaj, przyjacielu. Chyba nie zrozumiałeś. Roy zawsze tu siedzi. On i ten fotel to praktycznie jedność.

Light wyciągnął przed siebie nieprzyzwoicie długie nogi, a Isabelle Tapi, z jogurtowego kąta, natychmiast posłała mu ogniste spojrzenie aksamitnych oczu.

- Łacina, tak? - rzucił głośno Light. - Dziwadła w togach. I po co właściwie człowiekowi łacina? O wiele lepsze są biegi przelajowe.

- *Ecce stercus pro cerebro habes**.

* łac. *Ecce stercus pro cerebro habes* - Oto masz gnój zamiast mózgu (przyp. red.).

Słyszając moją odpowiedź, McDonough ściągnął w zamyśleniu brwi, a Pearman pokiwał powoli głową, jakby cytował wzbudzał w nim jakieś niejasne wspomnienia. Penny Nation natomiast poczęstowała mnie współczującym uśmiechem i poklepała stojące obok niej krzesło.

- Nie ma o czym mówić - zbyłem ją pospiesznie. - Nie zabawię tu długo.

Wielki Boże, aż tak bardzo nie byłem jeszcze zdesperowany. W zamian włączyłem czajnik i otworzyłem szafkę nad zlewem, żeby odnaleźć swój kubek.

Wiele można powiedzieć o osobowości nauczyciela, patrząc jedynie na to, z czego pije kawę. Geoff i Penny Nation mają bliźniacze kubki: jeden z napisem CAPITAINÉ, drugi - SOUS-FIFRE. Na kubku Roacha widnieje Homer Simpson, a Grachvogela - logo „Archiwum X”. Pozornej zrzędlivosti Hillary'ego Monumenta codziennie zadaje kłam wielki kubek ze słowami wypisanymi niewprawnym dziecięcym pismem: NAJLEPSZY DZIADZIO NA ŚWIECIE. Pearman kupił swój w czasie wycieczki do Paryża i jest na nim zdjęcie poety Jacques'a Préverta z lubością zaciągającego się papierosem. Doktor Devine zdecydowanie pogardza prostackimi kubkami i popija kawę tylko z porcelanowych filiżanek z dyrektorskiej zastawy. Jest to przywilej zarezerwowany dla gości, szefów sekcji oraz samego Dyrektora. Pat Bishop natomiast - ulubieniec wielu pokoleń uczniów - co semestr ma kubek z inną postacią z kreskówek (aktualnie Miś Jogi). Są to nieodmiennie prezenty od chłopców.

Mój kubek to specjalny kubek jubileuszowy szkoły Świętego Oswalda, z limitowanej serii wypuszczonej w 1990 roku. Eric Scoones też zaopatrył się w taki, podobnie jak paru innych nauczycieli ze starej gwardii, ale mój ma nieznacznie wyszczerbione ucho i to pozwala mi go odróżnić od wszystkich pozostałych. Zyski ze sprzedaży kubków zostały przeznaczone na budowę nowego pawilonu gimnastycznego, dlatego obnoszę się z moim pełen dumy. A raczej obnosiłbym się, gdybym mógł go znaleźć.

- Szlag by to trafił! Najpierw cholerny dziennik, teraz cholerny kubek.
- Pożycz sobie mój - zaproponował McDonough (z Charlesem i Dianą, lekko obtłuczony).

- To nie o to chodzi.

Bo i nie chodziło. Podebranie kubka jednego ze starszych wykładowców jest niemal takim samym świętokradztwem jak zajęcie jego fotela. Fotel, gabinet, sala, i jeszcze kubek na dodatek. Poczuję się niespodziewanie jak w oblężonej twierdzy.

Keane posłał mi rozbawione spojrzenie, gdy nalewałem sobie herbaty do jakiegoś obcego mi naczynia.

- Dobrze wiedzieć, że nie dla mnie jednego to kiepski dzień.

- Hm?

- Musiałem się pożegnać z dwoma okienkami. 5 G. Literatura angielska w zastępstwie Boba Strange'a.

Uch. Oczywiście każdy wiedział, że Strange ma zawsze mnóstwo pracy na głowie. Był przecież Trzecim Mistrzem, odpowiadał za układanie planu, a na dodatek przez te wszystkie lata zdołał skonstruować dla siebie wymyślny system kursów, zebrań, spotkań, godzin zarezerwowanych na obowiązki administracyjne tudzież inne powinności, tak że właściwie już prawie nie miał czasu na bezpośredni kontakt z uczniami. Keane jednak sprawiał wrażenie twardego, kompetentnego i zupełnie niewstrząśniętego lekcjami w klasie Strange'a. Ale cóż, ostatecznie przetrwał w buszu Sunnybank Park. Z drugiej strony ja już widywałem prawdziwych twardzieli zredukowanych do stanu trzęsącej się galarety po godzinie wśród piątoklasistów.

- Wszystko poszło gładko - zapewnił mnie Keane, gdy przekazałem mu wyrazy współczucia. - Poza tym takie zajęcia to świetny materiał do mojej powieści.

A, tak, wielka powieść.

- Jeżeli ta świadomość pozwala panu przetrwać kolejny dzień... - mruknąłem, zastanawiając się przy tym, czy Keane mówił poważnie. Otacza go ledwo uchwytna aura krotocwilności, każąca mi podchodzić z rezerwą do każdego jego słowa. Mimo to wolę go nieskończenie bardziej od cierpiącego na przerosty mięśniowe Lighta, przypochlebiającego się wszystkim Easy'ego czy bojaźliwego Meeka.

- A tak przy okazji, poszukiwał pana doktor Devine - poinformował mnie Keane. - Chodzi o jakieś stare szafki na dokumenty.

- Doskonale. - To była najlepsza wiadomość tego dnia. Choć prawdę mówiąc, po awanturze z trzecią S nawet zatrucie życia Niemcom straciło wiele ze swojego uroku.

- Kazał Jimmy'emu wystawić je na dziedziniec - podjął Keane. - Powiedział, że trzeba się ich jak najszybciej pozbyć.

- Co takiego?!

- Zastawiają ciąg komunikacyjny, tak zdaje się powiedział. Ma to coś wspólnego z przepisami BHP.

Zakląłem szpetnie pod nosem. Kwaśnogronowi musiało rzeczywiście wyjątkowo zależeć na moim gabinecie. Odwoływanie się do przepisów BHP to manewr, do którego niewiele osób ma odwagę się posuwać. Szybko dopiłem herbatę i zdecydowanym krokiem ruszyłem w stronę dawnego gabinetu Języków Klasycznych, przed którym natknąłem się na Jimmy'ego ze śrubokrętem w rękę, mocującego do drzwi jakieś elektroniczne urządzenie.

- To brzęczyk z blokadą, szefie - poinformował Jimmy, widząc moje zakroczenie. - Żeby doktor Devine wiedział, że ktoś chce wejść do gabinetu.

- Ach tak.

Za starych dobrych czasów po prostu pukało się do drzwi. Jimmy jednakowoż zdawał się zachwycony.

- Jeżeli pali się czerwone światło, to znaczy, że doktor Devine jest zajęty, bo ma gościa - ciągnął z entuzjazmem. - Jeżeli pali się zielone, doktor Devine może zwolnić blokadę od środka i pana wpuścić.

- A jak pojawi się żółte?

Jimmy ściągnął brwi w bolesnym skupieniu.

- Jeżeli jest żółte - odezwał się w końcu - doktor Devine pyta „kto tam?” ... - urwał i ponownie się zatroskał. - A jeżeli to ktoś ważny, wówczas wpuszcza go do środka!

- Typowo teutońskie - orzekłem i wyminąwszy Jimmy'ego, wszedłem do swojego gabinetu.

W środku panował idealny, odrażający porządek. Pojawiły się nowe szafki na dokumenty - każda w innym kolorze, w zależności od przeznaczenia: elegancki pojemnik na butlę z wodą mineralną oraz duże mahoniowe biurko, a na nim komputer, dziewicza suszka i oprawne w ramkę zdjęcie pani Kwaśnogronowej. Ktoś doszorował wykładzinę, moje zaś zielistki - poznaczone bliźniami, pokryte kurzem weteranki suszy i wieloletniego zaniedbania - zostały po cichu relegowane do bliżej nieznannej mi strefy. Na ścianie wisiała tabliczka z zakazem palenia oraz zalaminowany wykaz dat oraz godzin zebrań sekcji, klubów i grup językowych oraz wykaz podziału obowiązków.

Doprawdy nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Są u mnie pana rzeczy, szefie - odezwał się Jimmy. - Czy zanieść je do sali w Dzwonnicy?

Po co miałbym go fatygować? Dobrze wiem, kiedy przyznać się do porażki. Powłokłem się więc do pokoju nauczycielskiego, by topić swoje smutki w herbacie.

2

Kilka tygodni później moja przyjaźń z Leonem kwitła w najlepsze. Nie było to tak ryzykowne, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, między innymi dlatego, że teoretycznie należeliśmy do różnych domów: Leon do Amadeus, ja - do Birkby (do dziś nie wiem, czemu akurat ten dom przyszedł mi wówczas do głowy), a poza tym byliśmy z różnych roczników. Spotykaliśmy się co rano, choć oznaczało to wciąganie mundurka Świętego Oswalda na własne ubranie, a potem dziki bieg do Sunnybank i wymyślanie coraz to nowych usprawiedliwień spóźnienia.

Lekcje WF już całkiem przestały dla mnie istnieć - blef z astmą zrobił swoje - więc wszystkie długie przerwy i porę lunchu spędzaliśmy razem z Leonem u Świętego Oswalda. Coraz mniej mnie dzieliło od przedzierzgnięcia się w prawdziwego Ozzie - Leon raczył mnie zabawnymi dykteryjkami o pełniących dyżur wykładowcach, przekazywał wszystkie plotki, mimowolnie uczył szkolnego slangu. Razem chodziliśmy do biblioteki, graliśmy w szachy, wysiadaliśmy na ławkach na głównym dziedzińcu - podobnie jak wszyscy inni chłopcy. W towarzystwie Leona ktoś taki jak ja mógł funkcjonować w tym świecie niemal na równych prawach z pozostałymi uczniami.

Oczywiście moja mistyfikacja błyskawicznie wzięłaby w łeb, gdyby Leon był bardziej towarzyski i popularny wśród kolegów. Szybko jednak udało mi się odkryć, że on też jest tu swoistym odmieńcem - choć w odróżnieniu ode mnie zachowywał wyniosły dystans nie z konieczności, ale z wyboru. W Sunnybank w ciągu tygodnia postradałby życie. U Świętego Oswalda przede wszystkim jednak ceni się inteligencję, a Leon - bystry i błyskotliwy - doskonale wiedział, jak wykorzystać tę zasadę dla swoich celów. Do wykładowców odnosił się uprzejmie i z szacunkiem - przynajmniej w ich obecności - co dawało mu wielkie fory, gdy popadał w tarapaty. A zdarzało się to często, bo też Leon robił wszystko, żeby ściągnąć na siebie kłopoty: specjalizował się w

psotach i kawałach, drobnych, precyzyjnie skonstruowanych aktach zemsty, ledwo maskowanej przekorze. O ile mnie można by przyrównać do Knighta, o tyle Leon był Allenem-Jonesem: czarodziejem, urokliwym oszustem, pokrętnym buntownikiem. A jednak to mnie lubił. Mimo to chciał mnie za przyjaciela. Szczerze bawiły go opowiadki o mojej niby poprzedniej szkole - szczególnie jeśli wymyślane przez mnie wyczyny pasowały do jego wizji mojej osoby. Od czasu do czasu w tych dykteryjkach pojawiały się autentyczne osoby z mojego drugiego życia: panna Potts, pani McCauleigh, pan Bray. Wzmianki o tym ostatnim były pełne nienawiści - bo i jak inaczej mówić o kimś tak okrutnie zatruwającym życie - a wówczas w oku Leona zapalał się szczególnie błysk, niemający jednak nic wspólnego ze współczuciem.

- Szkoda, że nie mogłeś odegrać się na tym facecie - rzucił pewnego razu.
- No wiesz, odplacić mu pięknym za nadobne.
- A jak niby miałbym to zrobić? Ulepić lalkę wudu?
- Nieee - odparł Leon. - Prawdę mówiąc, nie to miałem na myśli.

Semestr wiosenny zbliżał się ku końcowi, a moja przyjaźń z Leonem trwała już od ponad miesiąca. W powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy i nadchodzącej słodkiej wolności. W przyszłym miesiącu wszystkie szkoły zamkną swoje podwoje na ponad osiem tygodni - co wówczas wydawało się niewyobrażalnie długim czasem niczym niezmaconej radości - i zniknie konieczność ciągłego zmieniania mundurków, wagarowania grożącego poważnymi konsekwencjami, fałszowania usprawiedliwień i wymyślenia idiotycznych wymówek.

Z Leonem już zaczęliśmy snuć plany wakacyjne: wyprawy do kina, włości po lesie, wypadu na miasto. Egzaminu w Sunnybank - o ile można to w ogóle nazwać egzaminami - już się zakończyły, więc lekcje odbywały się na pół gwizdka, a dyscyplina była jeszcze bardziej rozluźniona niż zwykle. Niektórzy nauczyciele zamiast prowadzić zajęcia, pozwalali uczniom oglądać Wimbledon, inni zaś zadawali samodzielną pracę lub organizowali rozgrywki sportowe. Ucieczka do Oz nigdy nie była łatwiejsza. I nigdy jeszcze życie nie wydawało mi się tak piękne.

I właśnie wtedy wydarzyła się katastrofa. Wynikła z idiotycznego zbiegu okoliczności i nagle zagroziła zawaleniem całego mojego świata, moich wszystkich nadziei. A ściągnął ją na mnie nauczyciel WF, pan Bray.

W tych dniach euforii Bray przestał dla mnie istnieć. Podobnie jak lekcje WF, które wcześniej doprowadzały mnie do rozpaczy. Logika podpowiadała, że ten nedorobiony sportsmen też o mnie zapomniał i nie zauważał mojej nieobecności. Nawet bez niego WF był dla mnie istną torturą: moje ubrania lądowały pod prysznicem; zawsze ktoś okradał mnie ze stroju gimnastycznego i tłukł mi okulary; a moje niezbyt gorliwe starania, by jakoś tam uczestniczyć w zajęciach, spotykały się z pogardą i kpinami.

Sam Bray we własnej osobie był głównym inicjatorem owych sesji drwin, ciągle wybierał mnie bowiem do „demonstracji”, w czasie których z bezwzględną i bezlitosną precyzją obnażał wszelkie moje słabości i niedociągnięcia.

Wszyscy kpili z moich chudych nóg i sterczących kolan, a gdy jeszcze konieczność zmusiła mnie do ćwiczenia w stroju pożyczonym z magazynu szkolnego (po tym jak mój własny „zniknął” po raz nie wiadomo który, ojciec odmówił zakupu nowego zestawu), Bray wręczył mi parę gigantycznych, flanelowych szortów, których nogawki łopotwały głośno na wszystkie strony, w efekcie czego już po kilkunastu minutach wszyscy zaczęli wołać na mnie „Grzmotogacie”.

Ulubińcy Braya uznali, że to rozkosznie zabawne i „Grzmotogacie” przyłgnęły do mnie na dobre. Oczywiście pozostałe dzieciaki założyły natychmiast, że mam problem z nadmiarem gazów i szybko ukuto przezwisko „Snyde z wiatrami”. Codziennie bombardowano mnie dowcipami o grochu i fasoli, a w czasie rozgrywek drużynowych (mnie zawsze wybierano do drużyny na końcu) Bray wykrzykiwał radośnie do moich kolegów: „Uwaga! U naszej gwiazdy znów wczoraj była na kolację fasola!”.

W związku z tym logika podpowiadała, że skoro na WF szło mi tak marnie, nauczyciel z ulgą przyjął moje nieobecności i szybko o mnie zapomniał. Niestety, te kalkulacje nie uwzględniły jednego ważnego czynnika - wyjątkowej złośliwości Braya. Nie wystarczało mu przewodzenie kohorcie swoich pretorianów, wodzenie łakomym wzrokiem za co ładniejszymi dziewczynami i obmacywanie ich pod pozorem „demonstracji” lub upokarzanie co drobniejszych chłopaków swoimi troglodyckimi dowcipami. Ostatecznie każdy kabotyn potrzebuje widowni, Brayowi jednak wciąż było mało. Bray do pełni szczęścia potrzebował ofiary.

Po czterech opuszczonych przeze mnie zajęciach przed oczami stanął mi następujący dialog:

- A więc gdzie się podziewają nasze „Grzmotogacie”?
- Nie wiemy, psze pana. W bibliotece, psze pana. Albo w toalecie. Ma zwolnienie z WF, psze pana. Astma.
- Astma? Coś podobnego!

Tak czy owak można było założyć, że skoro tak marnie szło mi na lekcjach WF, Bray chętnie o mnie zapomni. Szybko znajdzie sobie jakąś inną ofiarę - ostatecznie wokół ich nie brakowało: gruba Peggy Johnsen, przyszczaty Harold Mann, pyzata Lucy Robbins czy Jeffrey Stuarts, który biegał jak baba. W końcu Bray skieruje swoją uwagę na któreś z owych nieszczęśników. Oni oczywiście doskonale o tym wiedzieli, więc spoglądali na mnie z rosnącą wrogością w czasie lekcji i apeli, nienawidząc mnie za to, że udało mi się wywinąć.

I to właśnie oni, te najgorsze łamagi, pilnowały, żeby temat nie umarł śmiercią naturalną; to oni niestrudzenie produkowali i kolportowali dowcipy o „Grzmotogaciach”, to oni wciąż poruszali temat fasoli i astmy, aż każda lekcja W F przeradzała się w cyrk osobliwości, z którego rzeczona osobliwość nagle się ulotniła. Nic dziwnego więc, że w Brayu w końcu obudziły się podejrzenia.

Nie wiem, gdzie tak naprawdę mnie przyuważył. Może kazał mnie szpiegować i dowiedział się, że zwiewam z zajęć, wymykając się tylnymi drzwiami biblioteki. W owym czasie brawura wzięła już nade mną górę - w moim życiu liczył się tylko Leon; w porównaniu z nim Bray i jemu podobni stali się dla mnie jedynie nikłymi cieniami. Tak czy owak mój prześladowca zaczął się na mnie następnego ranka. Potem się okazało, że nawet zamienił się z innym nauczycielem na dyżury, byle tylko mnie przyłapać.

- Proszę, proszę, jak na ofiarę tak strasznej astmy tryskasz wyjątkową energią dzisiejszego ranka - powiedział, zatrzymując mnie w drzwiach dla późnialskich.

Ogarnął mnie paraliżujący strach. Bray tymczasem szczerzył złowieszczą zęby, niczym pokryty brązem totem jakiegoś wymagającego ludzkich ofiar kultu.

- No i co się tak gapisz? Zapomniałeś języka w gębie?

- Jestem trochę za późno, proszę pana, bo... - Co by tu powiedzieć? Co powiedzieć? - Bo właśnie tato...

Gdy nachylał się nade mną, wyraźnie było widać pogardę w jego wzroku.

- Może twój tata opowie mi coś więcej o tej twojej astmie - wycedził przez zęby. - Zdaje się, że jest woźnym w tej snobistycznej, prywatnej szkole, prawda? I o ile się nie mylę, wpada czasami do pobliskiego pubu.

Z przerażenia zaparło mi dech w piersiach. Przez chwilę nawet przemknęło mi przez głowę, że może naprawdę cierpię na astmę i że za chwilę rozerwie mi płuca. Oby właśnie tak się stało - bo już pod każdym względem lepsza śmierć niż to, co mnie mogło spotkać.

Bray dostrzegł mój strach i jego uśmiech stał się lodowaty.

- Masz czekać na mnie przed szatniami tuż po lekcjach - zarządził. - I tylko przypadkiem się nie spóźnij.

Świat stał się nagle ciemną, rozedrganą plamą. Zzerała mnie panika; jelita zmuszały do przesiadywania w toalecie, o jakiegokolwiek koncentracji nie mogło być mowy, myliły mi się sale, na myśl o lunchu robiło się niedobrze. W czasie dużej przerwy moje przerażenie osiągnęło taki stopień, że nie umknęło to uwagi panny Potts, naszej stażystki.

- To nic takiego, proszę pani. - Desperacko mi zależało na tym, żeby nie ściągać na siebie niczyjego zainteresowania. - Jedynie drobny ból głowy.

- Przecież widzę, że coś o wiele poważniejszego - powiedziała, podchodząc bliżej. - Ta straszna bladeść...

- To nic, proszę mi wierzyć.

- Wydaje mi się, że powinnam jednak odesłać cię do domu. Obawiam się, że to może być początek jakiejś wirusowej infekcji...

- Nie! - Poniewczasie dotarło do mnie, że krzyczę. Ale przecież muszę się stawić przed obliczem Braya; w przeciwnym razie on wezwie ojca i wtedy cała moja subtelna gra wyjdzie na jaw.

Panna Potts ściągnęła brwi i zaczęła mnie mierzyć uważnym wzrokiem.

- Spójrz na mnie, proszę. Czy stało się coś złego?

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko w milczeniu pokręcić głową. Panna Potts jest młoda, niewiele starsza od dziewczyny mojego ojca. Chce być lubiana przez uczniów, czuć się ważna i potrzebna. Kiedy odkryła, że jedna dziewczyna z mojej klasy w czasie lunchu zawsze doprowadza się do wymiotów, natychmiast zadzwoniła do Centrum Leczenia Zaburzeń w Odżywianiu.

Często rozwodziła się na temat równouprawnienia kobiet, była ekspertką w sprawach rasizmu, uczęszczała na kursy zwalczania przemocy w szkole, asertywności i psychologii uzależnień. Nietrudno było zgadnąć, że panna Potts szuka jakiejś Wielkiej Sprawy, której mogłaby się poświęcić bez reszty, ale też wszyscy wiedzieli, że z końcem semestru skończy staż i zniknie ze szkoły.

- Proszę, nie mówmy już o tym. - Z moich ust wyrwał się cichy szept.

- Ależ, kochanie - w głosie panny Potts pojawiła się przymilna nuta - mnie przecież możesz wszystko powiedzieć.

Tajemnica była trywialna, jak wszystkie tajemnice. Miejsca takie jak Święty Oswald - a nawet do pewnego stopnia Sunnybank Park - mają własne systemy zabezpieczeń oparte nie na detektorach dymu czy ukrytych kamerach, ale na gęstych pokładach blefu.

Żaden uczeń nie dąży do zniszczenia nauczyciela - nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby doprowadzić do ruiny szkołę. A dlaczego? Ponieważ władza i autorytet budzą w nas instynktowny lęk - lęk, daleko przewyższający nasz strach przed zdemaskowaniem. Wykładowca to zawsze będzie „sir” dla swoich uczniów, bez względu na to, ile lat upłynęło od czasu, gdy ukończyli szkołę. Bo nawet kiedy już jesteśmy dorośli, nie potrafimy się uwolnić od dawnych odruchów - tkwią w nas głęboko i wynurzają się na powierzchnię na brzmienie odpowiedniego hasła. Któż więc ośmieliłby się przełamać tę barierę? Obnażyć odwieczną maskaradę? To po prostu niewyobrażalne.

Ale moja sytuacja była rozpacзлиwa. Z jednej strony Święty Oswald, Leon, najgłębsze tęsknoty, wszystko, co udało mi się tak mozolnie zbudować.

Z drugiej - pan Bray wiszący nade mną niczym miecz Damoklesa. Czy się ośmielę? Czy uda mi się wcielić brawurowy plan w życie?

- No już, skarbie - odezwała się panna Potts łagodnie, dostrzegając swoją szansę. - Nikomu nie powiem ani słowa.

Najpierw dobrze odegrana chwila zawahania, spojrzenie pannie Potts prosto w oczy, a potem z moich ust popłynęły ciche słowa:

- Chodzi o pana Braya, proszę pani. O pana Braya i Tracey Delacey.

3

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
piątek 10 września*

To był wyjątkowo długi tydzień. Pierwszy tydzień zawsze się wlecze, jednak w tym roku ciągnął się bardziej niż zazwyczaj, sezon głupoty zaczął się bowiem nad wyraz wcześniej. Anderton-Pullitt jest dziś nieobecny (z powodu jednej ze swoich dziwacznych alergii, jak twierdzi jego matka), za to Knight i Jackson znowu pojawili się w szkole - Jackson ze spektakularnie podbitym okiem, dobrze się komponującym ze złamanym nosem. McNair, Sutcliff i Allen-Jones zostali podani do karnego raportu (Allen-Jones z wyraźnym sinym odbiciem czterech palców na policzku - jak uparcie utrzymuje, kontuzji odniesionej na futbolowym boisku).

Meekowi została przydzielona opieka nad Kółkiem Geograficznym, które - z rozporządzenia Boba Strange'a - zbiera się raz w tygodniu w mojej sali. Bishop naderwał ścięgno Achillesa w trakcie jednej ze swoich frenetycznych sesji biegowych. Isabelle Tapi namiętnie kręci się w pobliżu pawilonu gimnastycznego, każdego dnia w coraz krótszych spódniczkach i bardziej obcisłych sweterkach. Inwazja doktora Devine'a na mój dawny gabinet została chwilowo opóźniona z powodu wykrycia gniazda myszy za boazerią. Do tej pory nie odnalazł się mój kubek. Nie odnalazł się również dziennik, co spotkało się z wyraźną dezaprobatą ze strony Marlene. Na domiar złego, gdy w czwartek powróciłem do swojej sali po lunchu, odkryłem, że z szuflady zniknęło moje ulubione pióro - stary parker w zielonej obsadce ze złotą stalówką.

Zaginięcie pióra wyprowadziło mnie z równowagi. Częściowo dlatego, że nie było mnie w sali zaledwie pół godziny, ale przede wszystkim dlatego, że wydarzyło się to w porze lunchu, co sugerowało, że złodziej był uczniem z mojej klasy. Mojej własnej trzeciej S - a więc wywodził się spośród tych, jak mi

się zdawało, dobrych i lojalnych wobec mnie chłopców. W tym czasie dyżur na korytarzu pełnił Jeff Light razem z - cóż za zrządzenie losu! - Isabelle Tapi, jednak żadne z nich (to dopiero niespodzianka) nie zauważyło, by ktokolwiek wchodził do sali 59.

Tego popołudnia wspomniałem o zgubie mojej trzeciej S w nadziei, że może któryś z chłopców z jakichś względów pożyczył pióro i najzwyczajniej w świecie zapomniał oddać. Wszyscy wpatrywali się we mnie jednak pustym wzrokiem.

- Żaden z was niczego nie widział? Tayler? Jackson?
- Niczego, sir. Nie, sir.
- Pryce? Pink? Sutcliff?
- Nie, sir.
- Knight?

Knight odwrócił wzrok z bezczelnym uśmiechem na ustach.

Czyżby Knight?

Zapisałem obecność na świstku papieru i odesłałem chłopców na boisko. Czulem się nieswojo. I choć zzymałem się na tę myśl, uznałem, że tylko w jeden sposób zdołam zdemaskować winnego - przeszukując szafki uczniów. Tak się złożyło, że to popołudnie miałem wolne, wzięłem więc klucz uniwersalny, listę z numerami szafek i ruszyłem w stronę Środkowego Korytarza i szafek trzecioklasistów, powierzając salę 59 pieczy Meeka, który aktualnie miał lekcję z małą, spokojną grupą, nie należało się więc spodziewać poważniejszych problemów z dyscypliną.

Postanowiłem przeszukać szafki w porządku alfabetycznym, powoli i starannie, zwracając szczególną uwagę na każde etui z przyborami do pisania. W szafce Allena-Jonesa nie znalazłem nic inkryminującego - jedynie na wpół wypaloną paczkę papierosów. Podobnie u Jacksona - nic poza paroma piśmami z roznegliżowanymi modelkami.

Następnie przyszła kolej na Knighta. Jego szafka była niemal do cna zapełniona książkami, papierzyskami i różnymi innymi śmieciami. Spomiędzy kartek wysunęło się srebrne etui na długopisy w formie kalkulatora. Otworzyłem je, ale nie było tam mojego pióra. Potem przejrzałem szafkę LEMONA; następnie NIU, PINKA oraz ANDERTONA-PULLITTA, gdzie natknąłem się na stos książek dotyczących jego wielkiej pasji - maszyn latających z okresu I wojny światowej. Przeszukałem wszystkie szafki. Znalazłem kilka zakazanych w szkole talii kart i parę plakatów z nagimi kobietami, natomiast nigdzie nie natknąłem się na swojego parkera.

Grzebanie w szafkach zajęło mi ponad godzinę, zdążył więc już zabrzmieć dzwonek i na korytarzach zaroilo się od uczniów. Na szczęście żaden z trzecioklasistów nie poczuł potrzeby poszperania w swojej szafce podczas przerwy.

Wyszedłem z boksu z szafkami jeszcze bardziej rozjuszony niż poprzednio. I nie tyle z powodu utraty pióra - ostatecznie można bez problemu

kupić nowe pióro - ile dlatego, że ów incydent w znacznym stopniu zepsuł mi przyjemność obcowania z moimi chłopcami. Wiedziałem, że dopóki złodziej nie zostanie wykryty, już nigdy nie będę w stanie żadnemu z nich zaufać.

Tego dnia przypadł mi w udziale ostatni dyżur, a więc pilnowanie porządku w kolejce do autobusu; Meek miał monitorować główny dziedziniec, ale zginął zupełnie w masie opuszczających szkołę chłopców, natomiast Monument stał na schodach do Kaplicy i doglądał wszystkiego niejako z lotu ptaka.

- Do widzenia, sir! Miłego weekendu! - McNair przebiegł obok mnie niczym szalenciec z rozwiązanym krawatem i koszulą wyciągniętą ze spodni. Tuż za nim Allen-Jones gnał, jak zwykle, na złamanie karku.

- Nie tak szybko! - wykrzyknąłem za nimi. - Bo się pozabijacie.

- Przepraszamy, sir! - wrzasnęła Allen-Jones, ale ani na jotę nie zwolnił kroku.

Mimowolnie uśmiechnąłem się pod nosem. Pamiętam, jak sam tak pędziłem po szkole - przecież jeszcze całkiem niedawno temu, gdy weekendy zdawały się bezkresne niczym boiska u Świętego Oswalda. Teraz natomiast weekendy mijają błyskawicznie i niepostrzeżenie - podobnie jak tygodnie, miesiące, lata; wszystkie wpadają do przepastnego cylindra tego samego prestidigitatora. Tak czy owak nagle nasza mnie pewna refleksja. Dlaczego chłopcy zawsze poruszają się biegiem? I kiedy to ja przestałem biegać?

- Panie Straitley.

Wokół panował tak wielki harmider, że nie dosłyszałem kroków Nowego. Nawet w piątkowe popołudnie prezentował się nienagannie: biała koszula, szary elegancki garnitur i krawat z węzłem umieszczonym pod idealnym kątem.

- Dyrektorze.

Nowy zawsze się irtuje, jak ktoś się do niego zwraca w podobny sposób. Uświadamia sobie wówczas, że w długiej historii Świętego Oswalda nie jest ani osobnikiem wyjątkowym, ani tym bardziej niezastąpionym.

- Czy to uczeń pańskiej klasy właśnie minął nas galopem z koszulą wyciągniętą ze spodni?

- W żadnym razie - skłamałem gładko.

Nowy ma typową dla urzędników obsesję na punkcie koszul, skarpetek i innych banalnych szczegółów stroju. Mimo mojego stanowczego zaprzeczenia obrzucił mnie bardzo sceptycznym wzrokiem.

- W tym tygodniu zauważyłem pewne uchybienia regulaminowe, gdy chodzi o szkolne uniformy. Mam nadzieję, że dobitnie wyjaśni pan chłopcom, jakie to ważne, by sprawiali najlepsze wrażenie i godnie reprezentowali szkołę również poza jej murami.

- Oczywiście, Dyrektorze.

Z racji nieuchronnie zbliżającej się inspekcji Sprawianie jak Najlepszego Wrażenia znalazło się na liście głównych priorytetów Nowego. Leżąca nieopodal szkoła dla chłopców im. Świętego Henryka szczyli się surowymi i tradycyjnymi regulacjami w kwestii stroju (na przykład członkowie chóru w lecie obowiązani są nosić słomiane kapelusze, w zimie zaś cylindry), i w opinii Nowego ten fakt walnie się przyczynia do ich wyższych notowań w rozmaitych rankingach. Moi uwalani atramentem złoczyńcy mają o wiele mniej pochlebne zdanie o swoich rywalach - "Henriettach", jak zgodnie z wieloletnią tradycją ich nazywają - z którym, muszę przyznać, osobiście się solidaryzuję. Bunt przeciw mundurkom i ogólnie pojętej uniformizacji jest nieodłącznym elementem rytuału dojrzewania, i uczniowie naszej szkoły - a 3 S w szczególności - wyrażają ów sprzeciw poprzez wywleknięcie koszul ze spodni, obcinanie krawatów czy wkładanie wywrotowych skarpetek.

Próbowałem spokojnie wyłuszczyć tę prawdę Nowemu, jednak obrzydzenie w jego wzroku sprawiło, że natychmiast pożałowałem swojego pochopnego kroku.

- Skarpetki, panie Straitley? - odezwał się takim tonem, jakbym właśnie go wprowadził w tajniki jakiejś nowej odrażającej perwersji.

- Owszem - odparłem. - No wie pan, z wizerunkiem Homera Simpsona, Scooby'ego-Doo czy postaci z „South Park”.

- Ależ w naszej szkole rodzaj i wygląd skarpetek jest określony regulaminem. Szare, wełniane, do pół łydki, z żółto-czarnym paskiem. Koszt 8,99 funta za parę w specjalistycznym sklepie z umundurowaniem szkolnym.

Wzruszyłem bezradnie ramionami. Piętnaście lat na stanowisku Dyrektora Świętego Oswalda, a on jeszcze nie zdążył się zorientować, że nikt - ale to absolutnie nikt! - nigdy nie wkładał regulaminowych skarpetek.

- Cóż, mam nadzieję, że niezwłocznie ukróci pan te wybryki - oznajmił Dyrektor, wciąż do głębi wstrząśnięty. - Wszyscy chłopcy powinni nosić uniformy w każdym calu zgodne z regulaminem, w szkole i poza szkołą. Będę musiał w tej sprawie wydać okólnik.

Zastanawiałem się, czy Dyrektor, gdy był jeszcze chłopcem, sam przez cały czas chodził w regulaminowym mundurku, i nagle ze zdziwieniem się zorientowałem, że mogę to sobie bez trudu wyobrazić.

- *Fac, ut vivas**, Dyrektorze - powiedziałem z ciężkim westchnieniem.

* łac. *Fac, ut vivas* - Działaj tak, abyś przeżył (przyp. red.).

- Co takiego?

- Ma pan absolutną rację, sir.

- Hm... A gdy już o okólnikach mowa... Moja sekretarka wysłała dziś do pana trzy e-maile z prośbą, by stawił się pan w moim gabinecie.

- Doprawdy, Dyrektorze?

- Owszem, panie Straitley. - Jego ton był lodowaty. - Złożono formalną skargę.

Knight, oczywiście. A raczej jego matka, nachalnie tleniona blondynka w bliżej nieokreślonym wieku, o wybuchowym temperamencie. Jest beneficjentką wyjątkowo wysokich alimentów i dzięki temu ma wiele wolnego czasu na cosemestralne składanie takich czy innych zażaleń. Tym razem utrzymywała, że prześladują jej syna z powodu żydowskiego pochodzenia.

- Antysemityzm to bardzo poważne oskarżenie - oznajmił Nowy. - Dwadzieścia pięć procent naszych klientów - znaczy się rodziców - przynależą do społeczności żydowskiej, nie muszą więc panu przypominać...

- Nie, nie musi pan, Dyrektorze.

Tego już było za wiele. Opowiadanie się po stronie ucznia, a więc tym samym występowanie przeciwko jednemu z wykładowców - na dodatek w publicznym miejscu, gdzie naszą rozmowę mogło pochwycić wiele par uszu - było już czymś więcej niż tylko brakiem lojalności. Poczulem, jak wzbiera we mnie gniew.

- Cała sprawa sprowadza się do niezgodności charakterów, to wszystko, więc oczekuję pańskiego wsparcia, Dyrektorze, tym bardziej że mamy do czynienia z absurdalnym i gołosłownym oskarżeniem. A gdy już o skargach mowa, chciałbym panu przypomnieć, że w sprawach dyscypliny mamy od dawna wypracowany hierarchiczny system rozwiązywania problemów, a pierwszą instancją jest w nim wychowawca klasy. I osobiście nie życzę sobie, żeby ktoś ingerował w moje kompetencje, nawet mnie o tym nie informując.

- Panie Straitley! - Dyrektor był w szoku.

- Słucham, Dyrektorze.

- To nie wszystko. - Wciąż gotując się w środku, czekałem na kolejne rewelacje. - Pani Knight utrzymuje, że wczoraj po południu z szafki syna zginęło cenne pióro, prezent z okazji bar micwy. A pana widziano otwierającego szafki trzecioklasistów mniej więcej w tym właśnie czasie.

Vae! Przekląłem się szpetnie w duchu. Powinienem być bardziej ostrożny. Zgodnie z regulaminem wolno mi przeszukiwać szafki chłopców jedynie w obecności zainteresowanego. Ale trzecia S to moja klasa - pod wieloma względami klasa ulubiona. Wolałem więc załatwić sprawę tak jak dotąd, po swojemu: przeszukać po cichu szafkę ewentualnego winowajcy, usunąć dowody zbrodni i na tym poprzestać. Moja metoda sprawdziła się idealnie w wypadku Allena-Jonesa i plaketek z numerami sal; zadziałałaby równie skutecznie w wypadku Knighta. Tyle że w jego szafce nie znalazłem żadnych obciążających dowodów - chociaż cały czas instynkt mi podpowiadał, że to właśnie on jest złodziejem - no i absolutnie niczego stamtąd nie zabrałem.

Ale Dyrektor jeszcze nie skończył.

- Pani Knight nie tylko zarzuca panu nieustanne prześladowanie i upokarzanie jej syna, ale także utrzymuje, że bezpodstawnie oskarżył go pan o kradzież. Gdy zaś chłopak zaprzeczył, usunął pan potajemnie wartościowy przedmiot z jego szafki... być może po to, by zmusić chłopaka do przyznania się do winy.

- Ach, tak. A więc pozwoli pan, Dyrektorze, że teraz ja powiem, co sędzę o pani Knight...

- Oczywiście, towarzystwo ubezpieczeniowe, z którym szkoła podpisała umowę, pokryje materialną wartość utraconego przedmiotu. Niemniej pozostaje pytanie...

- Co takiego?! - Teraz już mnie zatkało. Chłopcy każdego dnia coś gubią, a wypłata rekompensaty byłaby praktycznie równoważna z przyznaniem, że ja jestem winny kradzieży. - W żadnym razie się na to nie zgadzam. Jestem gotów się założyć, że za kilka dni to cholerne pióro znajdzie się pod łóżkiem Knighta czy w jakimś podobnie nonsensownym miejscu.

- Cóż, panie Straitley. Ja jednak wolałbym załatwić tę sprawę polubownie w zaproponowany przeze mnie sposób i nie narażać się na skargę do Zarządu Szkoły.

- W to nie wątpię - odparłem. - Ale jeżeli pan tak postąpi, w poniedziałek na swoim biurku znajdzie pan moją rezygnację.

Dyrektor pobladł jak płótno.

- Ależ, Roy.. .panie Straitley... proszę nie traktować tego tak poważnie...

- Ja jednak tak właśnie zamierzam to potraktować. Obowiązkiem dyrektora jest wspieranie swoich podwładnych. A nie podkulanie ogona i czmychanie do nory z powodu jakichś niedorzecznych złośliwych pomówień.

Zapadła lodowata cisza. Zdałem sobie nagle sprawę, że mój głos - ćwiczo-ny w czeluściach Dzwonnicy - niesie się nadspodziewanie donośnym echem. Kilku chłopców oraz ich rodziców znajdowało się dość blisko, by usłyszeć niemal każde słowo, natomiast Meek, wciąż pełniący dyżur na dziedzińcu, z rozdziawionymi ustami wlepił we mnie pełen niedowierzania wzrok.

- Przyjąłem do wiadomości, panie Straitley - rzucił chłodno Nowy.

Po czym ruszył przed siebie, pozostawiając mnie w przeświadczeniu, że w najlepszym razie odniosłem właśnie pyrrusowe zwycięstwo, w najgorszym zaś - gładko i celnie sam strzeliłem sobie w stopę.

4

Biedny stary Straitley. Wyglądał na szczerze przybitego, gdy opuszczał szkołę tego popołudnia. Nawet tak zimny gracz jak ja nie mógł w tym momencie wyzbyć się współczucia. Ale trudno, długofalowe założenia strategiczne kazały mi zwinąć to pióro.

Niemniej każdemu zrobiłoby się go żal. Nagle wydał mi się bardzo stary - już nie przerażająco wszechmocny, ale właśnie stary - smętny komik o obwisłej twarzy, który dawno temu powinien pożegnać się ze sceną. Z drugiej strony mam pełną świadomość, że to jedynie pozory. Roy Straitley jest groźnym przeciwnikiem o wybitnej, niebezpiecznej inteligencji. Mimo wszystko - nazwijcie to sentymentem czy może perwersją - nigdy przedtem nie wzbudzał we mnie tak ciepłych uczuć jak dzisiaj. Może więc należałoby mu wyświadczyć jakąś drobną przysługę? Ze względu na pamięć dawnych dni?

Hm... Niewykluczone, że tak właśnie postąpię.

Mój pierwszy tydzień w szkole zasługiwał na uczczenie butelką szampana. Oczywiście to dopiero sam początek rozgrywki, zaledwie otwarcie, mnie już jednak udało się rzucić na podatny grunt kilka trujących nasion. Knight okazał się bardzo użytecznym narzędziem - stał się teraz niemal „moim małym pupilem”, jak określa to Straitley. Przykleja się do mnie prawie na każdej przerwie i łapczywie spija każde słowo z moich ust. Och, oczywiście nigdy nie mówię niczego, co mogłoby ściągnąć na mnie jakiegokolwiek podejrzenia - jestem na to zbyt wytrawnym taktykiem - ale posiłkując się anegdotami i drobnymi aluzjami, popycham go nieustannie w pożądanym kierunku.

Naturalnie jego matka nie złożyła skargi do Zarządu Szkoły. Mnie osobiście ani przez chwilę nie zwiodyły jej operowe gesty. Niemniej wszelkie tego typu awantury zapadają głęboko w pamięć.

Skandal to zgnilizna, która rozkłada podwaliny. U Świętego Oswalda skandali nie brakowało - choć udawało się je elegancko wyrugować - wyciąć

niczym wrzód przez przemyślnie działania Zarządu i Rady. Na przykład ta afera z Shakeshafte'em. Czy też paskudna historia z woźnym piętnaście lat temu. Jak to on się nazywał? Snyder? Nie pamiętam szczegółów, przyjacielu, ale stanowiła jawny dowód, że nikomu nie można ufać. W wypadku pana Braya i mojej szkoły nie było Zarządu, który gładko i bezboleśnie załatwiłby sprawę. Gdy panna Potts słuchała mojej krótkiej, zwięzłej relacji, jej oczy coraz bardziej się rozszerzały, a usta wykrzywiały w dziwnym grymasie.

- Ależ Tracey ma zaledwie piętnaście lat! - powiedziała panna Potts (która zawsze ładnie się ubierała na lekcje prowadzone razem z panem Brayem i której twarz wyrażała teraz najszczerze oburzenie). - Zaledwie piętnaście!

- Proszę nikomu nie mówić. - W moim głosie pobrzmiwało drżenie. - Pan Bray mnie zabije, jeżeli się dowie, od kogo pani o tym usłyszała.

To była przynęta i zgodnie z moimi przewidywaniami panna Potts od razu dała się na nią złapać.

- Zapewniam, że włos ci z głowy nie spadnie - oznajmiła stanowczo. - Musisz mi tylko dokładnie o wszystkim opowiedzieć.

Oczywiście tego popołudnia nie doszło do spotkania z Brayem przed szatniami. Za to przyszło mi siedzieć pod drzwiami dyrektora i wsłuchiwać się - ze strachem i radosną ekscytacją zarazem - w dramat rozgrywający się za drzwiami. Bray naturalnie wszystkiemu zaprzeczył, ale zadurzona w nim po uszy Tracey wybuchnęła histerycznym płaczem w obliczu tak jawnego zaprzęństwa „ukochanego”, przyrównała się do Szekspirowskiej Julii, zagroziła, że popełni samobójstwo, a na ostatku oznajmiła, że jest w ciąży. Po tym oświadczeniu zebranie przekształciło się w podsycaną paniką batalię wzajemnych oskarżeń. W końcu Bray popędził do telefonu, żeby skontaktować się ze swoim przedstawicielem Związków, panna Potts oświadczyła zaś, że poinformuje o wszystkim lokalną prasę, jeśli natychmiast nie poczyni się stanowczych kroków, mających na celu ochronę innych niewinnych dziewcząt przed zdeprawowaniem przez tego zbrojca (którego skądinąd od dawna podejrzewała o perwersję), zasługującego na wieloletnie więzienie.

Nazajutrz Bray został zawieszony w obowiązkach na czas prowadzonego postępowania dyscyplinarnego i już więcej nie pokazał się w szkole. W następnym semestrze Tracey radośnie oznajmiła, ku nieskrywanemu zachwytowi kilku piątoklasistów, że jednak nie była w ciąży, my zaś dostaliśmy nową, bardzo młodą nauczycielkę WF, pannę Applewhite, która bez słowa sprzeciwu czy zdziwienia zaakceptowała moje zwolnienie z zajęć z powodu astmy. Nagle też okazało się, że nawet bez dobroczynnego wpływu lekcji karate udało mi się wzbudzić pewien respekt wśród rówieśników za postawienie się temu sukinsynowi Brayowi.

Cóż, dobrze rzucony kamień może powalić giganta. Bray był pierwszy. Można go więc uznać za przypadek testowy. Być może moi szkolni koledzy zaczęli podskórnie wyczuwać, że nagle obudziła się we mnie gotowość do rewanzu, ponieważ po tej aferze znęcanie, które czyniło szkolne życie tak nieznośnym, niespodziewanie i niepostrzeżenie ustało. Oczywiście nadal nikt mnie nie lubił, jednak tak jak kiedyś rozmaite typy dwoiły się i troiły w wymyślaniu rozmaitych tortur, tak teraz wszyscy schodzili mi z drogi oraz pozwalali się zajmować własnymi sprawami - i to zarówno uczniowie, jak i nauczyciele.

To nie zmieniło mojego stosunku do Sunnybank, za to pozwalało już niemal codziennie urzędować na terenie Świętego Oswalda - czaić się w korytarzach czy gadać z Leonem podczas przerw i w porze lunchu. Rozpierała mnie odwaga i ekstatyczne szczęście. Nadszedł czas egzaminów i gdy Leon nie musiał akurat czegoś здаwać, mógł siedzieć i uczyć się w bibliotece. Wtedy natychmiast wyrwaliśmy się razem do miasta, oglądaliśmy płyty, a czasami nawet je kradliśmy - chociaż Leon wcale nie musiał tego robić, bo miał zaw sze bardzo dużo forsy.

Mnie natomiast ciągle jej brakowało. Wszystkie moje dochody, co do grosza - zarówno mizerne kieszonkowe, jak i drobne na lunch (teraz już niewydawane w Abbey Junior) - szły na podtrzymywanie mistyfikacji u Świętego Oswalda.

Wprost nie do wiary, jak wielkich nakładów wymagały najbardziej podstawowe artykuły - książki, zeszyty, ołówki, przekąski i napoje ze szkolnego sklepiku, bilety autobusowe na wyjazdowe mecze, no i oczywiście mundurek. Szybko się okazało, że chociaż wszyscy uczniowie mają identyczne ubrania, nie wolno nigdy zejść poniżej pewnego standardu. Leon widział we mnie Pinchbecka - nowego ucznia, syna inspektora policji. Niepodobna więc, by mnie oglądał w zniszczonym blezerze skradzionym z biura rzeczy znalezionych czy w zniszczonych, ubłoconych trampkach, jakie stały w domu. Niezbędna była całkiem nowa garderoba, błyszczące buty, skórzany plecak.

Niektóre z tych rzeczy udało mi się ukraść z szafek wieczorem, po lekcjach - wystarczyło tylko potem odpruć naszywki z nazwiskami i zamienić je na własne. Mimo to moje skromne oszczędności nie wystarczały na resztę artykułów, nie mówiąc już o rozrywkach koniecznych do podtrzymywania Fikcji. Kilka razy brawura pchnęła mnie do podebrania ojcu pieniędzy odkładanych na piwo - ale tylko w te dni, gdy nie ulegało wątpliwości, że wróci pijany i najprawdopodobniej nie będzie pamiętał, ile tak naprawdę wydał w pubie. Parę razy zadziało, ale ojciec szybko stał się bardziej czujny, niż można by przypuszczać, i pewnego razu niewiele brakowało, a przyłapałby mnie na gorącym uczynku. Na szczęście w pobliżu znajdował się ktoś bardziej podejrany ode mnie. Rozpętała się karczemna awantura i przez następne dwa

tygodnie Pepsi nie zdejmowała z nosa ciemnych okularów. Mnie natomiast więcej nie przyszło do głowy, żeby podkraść pieniądze ojca.

Pozostało mi więc tylko zabrać się do kradzieży w sklepach. Nie wolno mi było zdradzić się przed Leonem, że dla mnie to coś dużo więcej niż tylko zabawa. Uprawialiśmy zatem zawody - kto ukradnie więcej płyt. Potem uczciwie dzieliliśmy się zdobytym łupem w naszym „klubie” w lesie, tuż na tyłach szkoły. Okazało się, że jestem całkiem wprawnym złodziejem, Leon jednak miał do tego prawdziwy talent. Nie bał się nikogo i niczego. Nawet zaadaptował do tych celów długi płaszcz, w którego podszewkę wszył długie, wielkie kieszenie, a potem wrzucał do nich kompakty i płyty, tak że często ledwo mógł chodzić z powodu ich ciężaru. Pewnego dnia niemal nas przyłapano. Jak już dochodziliśmy do drzwi, pękła podszewka w płaszczu Leona i wszystkie płyty rozsypały się po ziemi. Dziewczyna przy kasie wgapiła się w nas z niedowierzaniem, inni klienci także wytrzeszczali oczy i nawet ochroniarz zdawał się sparaliżowany własnym osłupieniem. Mnie od razu poderwało do biegu, tymczasem Leon uśmiechnął się przeprasząco, zebrał starannie wszystkie płyty i dopiero z nimi w ręku wypadł ze sklepu, a gdy pędził, głośno powiewały za nim poły obszernego płaszcza. Długo trwało, zanim znowu odważyliśmy się pójść do tamtego sklepu. W końcu się tam wybraliśmy, na skutek usilnych nalegań Leona, który jednak już na miejscu stwierdził, że i tak do tej pory wynieśliśmy stamtąd wszystko, co było warte zabrania.

Sukces zależy od umiejętności stwarzania pozorów. Tego nauczył mnie Leon, choć nie ma wątpliwości, że gdyby wówczas wiedział o mojej uzurpacji, nawet on uznałby moją wyższość w tej grze. Chodziło o to, że pod żadnym pozorem nie wolno mi się było przed nim zdradzić. Leon większość ludzi uważał za „banalnych”. Dzieciaki z Sunnybank nazywał „hołotą”, a wszystkich mieszkających na komunalnych osiedlach (do których zaliczały się domy na Abbey Road, gdzie ja i rodzice mieszkaliśmy za dawnych czasów) „motłochem” i „tępymi proletami”.

Moja pogarda dla nich była nie mniejsza; ale w rezultacie narastała we mnie nienawiść. Leon, ze swoim pięknym domem, lekcjami łaciny i elektryczną gitarą, ani w połowie nie znał tak dobrze ciemnych stron życia jak ja. Nasza przyjaźń nie miała nic wspólnego z przyjaźnią ludzi sobie równych. W świecie, jaki stworzyliśmy na własny użytek, nie było tak naprawdę miejsca dla dziecka Johna i Sharon Snyder'ów.

Niekiedy ogarniał mnie wielki smutek na myśl, że nasza gra nie może trwać w nieskończoność. Ale kiedy ma się dwanaście lat, rzadko wybiega się wyobraźnią w przyszłość i jeżeli nawet już wtedy na moim horyzoncie zbierały się czarne chmury, oszołomienie nową przyjaźnią wciąż mnie zaślepiało.

5

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
środa 15 września*

Kiedy wczoraj wróciłem z lunchu, na tablicy ogłoszeń w sali 59 znalazłem rysunek przypięty pinezką: moją kilkoma kreskami naszkicowaną karykaturę, z wąsikami à la Hitler i z dymkiem wychodzącym z ust, w który wpisano słowa: *Juden raus!*

Każdy mógł tam umieścić ową karykaturę: jeden z akolitów Devine'a, jakiś kumpel Meeka, a nawet któryś z prefektów o wypaczonym poczuciu humoru - ja jednak byłem przekonany, że to sprawka Knighta. Utwierdzało mnie w tym samozadowolenie malujące się na jego twarzy, sposób, w jaki umykał wzrokiem przed moim spojrzeniem, drobna pauza między „tak” i „sir” oraz podobne drobne impertynencje - niuanse, które tylko ja potrafiłem wychwycić.

Oczywiście natychmiast usunąłem rysunek. Udając, że nawet na niego nie spojrziałem, zmiąłem kartkę i wrzuciłem do kosza. Czuję jednak, że w powietrzu wisi rewolta. Niby wokół panuje spokój, jednak ja jestem zbyt starym wygą, żeby dać się zwieść pozorom. W tej chwili po prostu znaleźliśmy się w oku cyklonu, co oznacza, że wkrótce nadciągnie kataklizm.

Nie odkryłem, kto w ubiegłym tygodniu przyuważył mnie szperającego w szafkach chłopców i doniósł o tym Dyrektorowi. Teoretycznie mógł to być każdy, kto chciałby upiec własną pieczeń przy tym ogniu. Na przykład Geoff i Penny Nation. Podobne postępowanie jest bardzo w ich stylu. Zawsze gorliwie składają raporty o wszelkich „proceduralnych anomaliach”, świętoszkowato zaślaniając się dobrem szkoły. Ale w istocie kieruje nimi jedynie bezinteresowna złośliwość i zawiść. Tak się złożyło, że w tym roku uczę ich syna - inteligentnego, bezbarwnego pierwszorocznika - i od kiedy okazało się, że będę jego belfrem, zaczęli wykazywać chorobliwe zainteresowanie moim

podejściem metodologicznym do przedmiotu. Ale mogła być to równie dobrze Isabelle Tapi, która nigdy nie darzyła mnie sympatią, albo Meek czy nawet jeden z chłopców.

Oczywiście nie ma to teraz żadnego znaczenia. Niemniej w tym roku, od pierwszego dnia szkoły, odnoszę nieprzyjemne wrażenie, że ktoś mnie wciąż obserwuje - bacznie i nieprzyjaznym okiem. Zapewne podobnie czuł się Juliusz Cezar, kiedy zbliżały się idy marcowe.

Gdy chodzi o lekcje - toczą się w miarę normalnym rytmem. Grupa rozpoczynająca naukę łaciny wciąż żyje w zgubnym przeświadczeniu, że czasownik to wyraz, który mówi o „robieniu”. Grupa szóstoklasistów składająca się z, delikatnie rzecz ujmując, bardzo przeciętnych uczniów, brnie z pełnym dobrej woli samozaparciem przez IX księgę „Eneidy”. Moja własna 3 S zмага się z *gerundium* (już po raz trzeci w swojej karierze), przy akompaniamencie błyskotliwych komentarzy ze strony Sutcliffa i Allena-Jonesa (jak zwykle nieokreślanych) oraz bardziej doniosłych uwag Andertona-Pullitta, przekonanego, że przez bezużyteczną łacinę nie ma dość czasu na dogłębne studia nad konstrukcjami maszyn latających z okresu I wojny światowej.

Kiedy jednak pod koniec tygodnia przeprowadziłem drobny test, z satysfakcją zauważyłem, że większość chłopców już całkiem nieźle opanowała tajniki *gerundium* - w każdym razie na przyzwoitym poziomie jak na trzecio-klasistów. W ramach szczególnego bonusu Sutcliff zuchwale dołączył do swojego testu kilka rysunków przedstawiających „okazy *gerundium* w ich środowisku naturalnym” oraz ilustrację tego, „co może się wydarzyć, gdy *gerundium* spotka *gerundivum*”. Muszę pamiętać, żeby w najbliższym czasie przeprowadzić z Sutcliffem poważną rozmowę. Tymczasem jednak przykleiłem jego rysunki taśmą do blatu biurka jako drobne, radosne antidotum na wyczyny tajemniczego karykaturzysty.

W katedrze bywa różnie. Dianne Dare doskonale radzi sobie z uczniami oraz innymi obowiązkami, i łaska boska, Pearman bowiem jeszcze nigdy nie był tak bardzo rozkojarzony i niezorganizowany. Prawdę mówiąc, nie ma w tym tylko jego winy - choć być może nie jestem całkiem obiektywny, bo - przyznając otwarcie - mam do niego słabość. On przynajmniej jest inteligentny i błyskotliwy. Teraz jednak, gdy zbliża się okres nominacji na wyższe stanowiska, Scoones stał się tak humorzasty i uszczypliwy, że z natury spokojny Pearman z trudem powstrzymuje się od wybuchu, i nawet Kitty Teague straciła wiele ze swojej promienności. Jedyne Tapi zdaje się niewzruszona sytuacją - być może z powodu swojej rozkwitającej zażyłości z odrażającym Lightem, z którym wielokrotnie była widywana w „Spragnionym Bakalarzu” w godzinach lunchu. Często też - co wymowne - dzieli się z nim kanapką w Refektarzu.

Niemcy natomiast rozkoszują się swoją chwilą triumfu. Długo to jednak nie potrwa. Myszy może i zniknęły - padły ofiarą obsesji Devine'a na punkcie

przepisów sanitarnych - ale duch Straitleya wciąż snuje się po kątach i potrzęsając łańcuchami, od czasu do czasu zadaje dotkliwe ciosy.

Za cenę piwa w „Bakalarzu” zdobyłem klucz do nowego gabinetu Teutonów, do którego zawsze się udaję, gdy Devine przewodniczy zebraniom domu. Wiem, mogę tam posiedzieć zaledwie dziesięć minut, jednak nawet w tak krótkim czasie potrafię przeprowadzić udaną akcję dywersyjną: wystawiam filiżanki na biurko, przesuвам telefon, rozwiążę krzyżówkę w „Timesie” Devine'a, i w ten sposób wciąż przypominam o swojej obecności.

Moje szafki z dokumentami ostatecznie znalazły się w składziku bibliotecznym, co również spędza Kwaśnogronowi sen z powiek. Do niedawna był on całkowicie nieświadomy istnienia drzwi łączących ów składzik z jego gabinetem, ja już jednak się postarałem, żeby stały się aż nadto widoczne. Teraz Kwaśnogron utrzymuje, że ze składziku przenika dym palonych przeze mnie papierosów i nieustannie, z faryzeuszowską miną odwołuje się do przepisów BHP: utrzymuje, że palenie w pomieszczeniu tak pełnym książek stanowi poważne zagrożenie pożarowe i w związku z tym zapowiada, że zainstaluje czujniki dymu.

Na szczęście Bob Strange, z racji pełnienia funkcji Trzeciego Mistrza odpowiedzialnego za wydatki katedr, jasno wyłożył Devine'owi, że do czasu inspekcji nie ma mowy o żadnych zbędnych nabytkach, więc Kwaśnogron musi znosić moją obecność za drzwiami, co niewątpliwie skłania go do konstruowania kolejnych taktycznych posunięć w antystraitleyowskiej kampanii.

Dyrektor tymczasem na całego rozpuł batalię przeciwko nieregulaminowym skarpetkom. Wokół tej doniosłej kwestii skonstruował całą swoją przemowę wygłoszoną w czasie poniedziałkowego apelu, wskutek czego teraz już wszyscy chłopcy w mojej klasie wkładają do szkoły najdziwaczniejsze skarpetki, a niektórzy z nich nawet noszą specjalne podwiązki do skarpet w najdziwaczniejszych i najjaskrawszych barwach.

Do tej pory naliczyłem: jednego Królika Bugsa, trzech Bartów Simpsonów, czterech Beavisów i Buttheadów oraz parę wizerunków postaci z „South Park”. Wszystkich jednak przebił Allen-Jones, obnoszący dumnie skarpetki w zjadliwie różowym kolorze z Atomówkami wyszytymi cekinami. Dobrze więc się składa, że mój wzrok nie jest już tak sokoli jak onegdaj i że z tego powodu nie jestem w stanie dostrzec podobnych szczegółów.

Oczywiście każdy doskonale wiedział, skąd się wzięło to nagłe zainteresowanie Dyrektora trywialnymi detalami ubioru. Data inspekcji zbliżała się wielkimi krokami, a po dość mizernych rezultatach letnich egzaminów (spowodowanych przeladowaniem programowym i absurdalnymi wytycznymi rządowymi) Nowy ma świadomość, że nie może sobie pozwolić na choćby najdrobniejsze uchybienia. Wiadomo już więc, że skarpetki, krawaty i koszule

będą w tym semestrze głównymi lejtymotywami jego wystąpień, podobnie jak graffiti, przepisy BHP, myszy, biegłość w obsłudze komputerów oraz bezwzględny nakaz poruszania się zawsze lewą stroną korytarza. Czekają nas też wewnętrzne hospitacje oraz ocena kompetencji wszystkich nauczycieli. Nowa reklamowa broszura jest już niemal gotowa do druku; utworzono specjalny podkomitet mający przedyskutować wszelkie możliwe strategie poprawy wizerunku szkoły; wygospodarowano też dodatkowe idiotycznie ciasne miejsca parkingowe w sektorze przewidzianym dla gości.

Nadzwyczajna aktywność w szkole wyzwoliła w naszym Portierze, Falowie, niespotykaną nadgorliwość. Obdarzony umiejętnością wywoływania wrażenia, że jest strasznie zapracowany, podczas gdy tak naprawdę patrzył tylko, jak uniknąć pracy, gonił Jimmy'ego do najrozmaitszych napraw i renowacji, a do tego nabrał zwyczaju czajenia się po kątach i pod drzwiami sal z podkładką z klipsem w dłoni. Dzięki temu miał okazję podsłuchiwać rozmowy nauczycieli, których treść, jak przypuszczam, usłużnie przekazywał Devine'owi. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że Kwaśnogron, otwarcie pogardzający plotkami krążącymi po pokoju nauczycielskim, stał się ni stąd, ni zowąd, nadzwyczaj dobrze poinformowany?

Dzisiejszego popołudnia w mojej sali zajęcia prowadziła panna Dare w zastępstwie Meeka, który podobno legł złożony niemocą. Zapadł na jakąś żółdkową grypę, tak przynajmniej twierdzi Bob Strange, ja jednak żywię zupełnie inne podejrzenia. Niektórzy ludzie są stworzeni do zawodu nauczyciela, inni zaś wcale. I choć Meek z pewnością nie pobije już szkolnego rekordu - ów należy do niejakiego Jerome'a Fentimanna, nauczyciela matematyki, który zniknął pierwszego dnia w trakcie dużej pauzy i wszelki śluch po nim zaginął - nie zdziwiłbym się, gdyby Meek nas opuścił po pierwszej połowie semestru z powodu jakiejś bliżej nieokreślonej, tajemniczej przypadłości.

Na szczęście panna Dare jest jego przeciwieństwem. Siedząc w Sali Cichej Pracy, słyszałem ją przemawiającą do komputerowców Meeka. Nie należy dać się zwieść jej łagodnej beznamiętności - pod tą maską kryje się wybitnie inteligentna i kompetentna kobieta. Szybko zdałem sobie sprawę, że jej rezerwa nie ma nic wspólnego z nieśmiałością. Ona po prostu dobrze się czuje w swoim własnym towarzystwie, a poza tym nie ma wiele wspólnego z pozostałymi nowicjuszami. Widuję ją dość często - ostatecznie mamy lekcje w tej samej sali - i już w pierwszym tygodniu uderzyło mnie, jak błyskawicznie rozgryzła zawilgości topografii Świętego Oswalda, jak szybko zaadaptowała się do tradycji szkoły i połapała w naszych rozlicznych tabu. Jej stosunek do chłopców jest przyjazny, daleki jednak od niezdrowej familiarności; dobrze wie, jak karać, nie wzbudzając przy tym zapiekłej urazy; poza tym jest dobra merytorycznie.

Dzisiaj, przed lekcjami, zastałem ją w swojej sali, poprawiającą prace domowe, i zanim zorientowała się, że nie jest sama, mogłem ją przez chwilę

poobserwować. Szczupła, drobna, prezentująca się bardzo profesjonalnie w idealnie odprasowanej białej bluzce i świetnie skrojonych szarych spodniach oraz naturalnie ciemnych, elegancko ostrzyżonych włosach. Postąpiłem krok naprzód, wówczas mnie zauważyła i natychmiast się poderwała, zwalniając krzesło.

- Dzień dobry, sir. Nie spodziewałam się pana tak wcześnie.

Była za piętnaście ósma. Light, jak wszyscy Wybitni Specjaliści, pojawia się co rano dopiero za pięć dziewiąta; Bishop przyjeżdża skoro świt, ale tylko po to, by nie wiadomo ile razy okrążyć przed zajęciami bieżnię, ale nawet pilny Geny Grachvogel nie pokazuje się w szkole przed ósmą. Tymczasem ona już siedziała pogrążona w pracy. A na dodatek owo „sir” - mam nadzieję, że ta dziewczyna nie okaże się wazeliniarą. Z drugiej strony faktem jest, że nie lubię, gdy nowicjusze bezceremonialnie zwracają się do mnie po imieniu, jakbym był hydraulikiem lub przygodnym jegomościem, którego właśnie poznali w pubie.

- Czy coś nie tak z Salą Cichej Pracy? - spytałem.

- Pan Pearman omawia tam z panem Scoonesem niedawne nominacje. Uznałam, że taktowniej będzie się wycofać.

- Rozumiem. - Usiadłem i zapaliłem gauloise'a.

- Proszę mi wybaczyć, sir. Powinna była wcześniej uzyskać pańskie pozwolenie.

Ton jej głosu był uprzejmy, ale w oczach dojrzałem przewrotny błysk. Uznałem, że jest na swój sposób arogancka i od razu bardziej ją za to polubiłem.

- Papierosa?

- Dziękuję, nie palę.

- Kobieta bez wad, hę?

Bogowie, błagam, tylko nie kolejny Kwaśnogron.

- Proszę mi wierzyć, mam ich bez liku.

- Hm.

- Jeden z pańskich uczniów zdradził mi, że uczy pan w tej sali od ponad dwudziestu lat.

- Dużo dłużej, jeżeli wliczyć w to lata mojego nowicjatu.

W owych starych dobrych czasach istniało wielkie imperium języków klasycznych; sekcja francuska ograniczała się do jednej jedynej Tweedowej Marynarki wychowanej jeszcze na *méthode assimil*; niemieckiego zaś nie uczano w ogóle, bo uważano to za niepatriotyczne.

*O tempora! O mores!**. Wydałem z siebie głębokie westchnienie. I na co mi przyszło? Jestem Horacjuszem samotnie powstrzymującym barbarzyńskie hordy.

* łac. *O tempora! O mores!* - O czasy, o obyczaje! (przyp. red.).

Panna Dare uśmiechnęła się szeroko.

- Cóż, ta sala to miła odmiana po plastikowych stolikach i białych tablicach. Uważam, że ma pan rację, broniąc swojego bastionu. Poza tym lubię pańskich łączników. Nie muszę im tłuc gramatyki do głowy. No i nie mają żadnych problemów z ortografią.

Niewątpliwie inteligentna dziewczyna, pomyślałem. Zastanawiałem się przy tym, czego tak naprawdę ode mnie chce. Do błyskotliwej kariery prowadziły lepsze drogi niż *via* Dzwonnica, no a jeżeli rzeczywiście miała wybujałe ambicje, pochlebstwem wskórałaby o wiele więcej u Boba Strange'a, Pearmana czy Devine'a.

- W tym miejscu trzeba się mieć na baczności - powiedziałem. - Bo inaczej pewnego dnia obudzi się pani i niespodziewanie odkryje, że jest pokryta kredowym pyłem sześćdziesięciopięciolatką z nadwagą.

Panna Dare odpowiedziała na moje słowa uśmiechem i szybko zebrała swoje zeszyty.

- Jestem pewna, że ma pan dużo pracy - powiedziała i ruszyła w stronę drzwi. Przed progiem jednak zatrzymała się i odwróciła. - Proszę wybaczyć, że pytam, sir... Ale chyba pan nie zamierza przejść w tym semestrze na emeryturę?

- Na emeryturę? Chyba pani żartuje. Muszę przedtem zostać centurionem. - Spojrzałem na nią uważniej. - A o co chodzi? Czy ktoś coś wspominał na mój temat?

Panna Dare zdawała się zmieszana.

- Nie, nie, tyle że... - wyraźnie się zawahała. - Jako jednego z młodszych nauczycieli pan Strange poprosił mnie, żebym zajęła się ostateczną redakcją szkolnego magazynu. I gdy przeglądałam listy nauczycieli oraz sekcji, zauważyłam...

- Cóż takiego? - Jej układność zaczynała mi grać na nerwach. - Och, na Boga, wyduś to wreszcie z siebie, dziewczyno!

- Chodzi o to... że nie ma łaciny w wykazie zajęć oferowanych w informatorze na następny semestr - wyjawiała panna Dare. - Sprawia to takie wrażenie, jakby Sekcja Języków Klasycznych... - Znowu urwała, najwyraźniej szukając właściwego słowa, podczas gdy moja cierpliwość szybko się wyczerpywała.

- Co takiego? Co? Została całkowicie zmarginalizowana? Wchłonięta? Do diabła z grzecznościową terminologią! Proszę mi powiedzieć, o co chodzi! Co się stanie z cholerną Sekcją Klasyczną?

- To dobre pytanie, sir- odparła panna Dare opanowanym głosem. - Jeżeli przejrzeć wszystkie pozycje wydawnicze przygotowywane przez szkołę: broszury reklamowe, wykazy nauczycieli i katedr... jej tam nie ma. - Ponownie urwała. - I, sir... w spisie wykładowców nie ma także pańskiego nazwiska.

6

Poniedziałek 20 września

Pod koniec tygodnia wiedzieli już wszyscy. Biorąc pod uwagę okoliczności, można by się spodziewać, że stary Straitley przez jakiś czas będzie siedział cicho, by w spokoju przeanalizować wszystkie opcje i opracować przemyślny ruch, ale to nie leży w jego naturze, nawet jeżeli rozsądek nakazywałby właśnie takie działanie. Więc Straitley jak to Straitley, gdy tylko potwierdził fakty, wparował do biura Strange'a i zmusił go do konfrontacji.

Strange oczywiście zaprzeczył, iżby ktokolwiek podjął jakieś zakulisowe działania. Wyjaśnił, że nowa katedra będzie po prostu nosiła nazwę Języków Obcych i obejmowała zarówno języki nowożytnie jak i klasyczne. Do jej obowiązków dojdzie również nauczanie dwóch nowych przedmiotów - konstrukcji lingwistycznych i uwrażliwienia językowego - raz w tygodniu, w sali komputerowej, kiedy tylko nadejdzie odpowiednie oprogramowanie (zapewnił, że będzie zainstalowane do 6 grudnia, dnia nieszczęsnej inspekcji).

Sekcji Klasycznej nikt nie zamierza ani marginalizować, ani tym bardziej likwidować, zapewnił Strange. Po prostu cały program Katedry Języków Obcych został zmodernizowany, by dostosować go do nowych wytycznych rządowych. U Świętego Henryka zrobiono to już cztery lata temu, a przecież na tak konkurencyjnym rynku...

Odpowiedź Roya Straitleya nie zachowała się w annałach. Doszły mnie tylko słuchy, że na szczęście większość wyzwisk wykrzyczał po łacinie. Nie zmienia to jednak faktu, iż od tamtej pory obaj dżentelmeni odnoszą się do siebie z chłodną rezerwą.

Zamiast „Boba” jest „pan Strange”. A poza tym po raz pierwszy w swojej karierze Straitley podjął strajk - w jego wypadku strajk włoski. Wykonywał swoje obowiązki, ściśle trzymając się litery prawa; zażądał na przykład, by w wypadku gdy ma podjąć zastępstwo w czasie okienka, był o tym informowany

nie później niż do ósmej trzydzieści danego dnia, co - choć w idealnej zgodzie z przepisami - zmusza Strange'a do przyjazdu ponad dwadzieścia minut wcześniej niż zazwyczaj. W odwecie Straitley częściej niż inni bywa wyznaczany do dyżurów w czasie długiej przerwy oraz w czasie piątkowych repetytoriów, co oczywiście nie przyczynia się do zmniejszenia napięcia pomiędzy dwoma panami.

Jasne, cała ta sytuacja jest zabawna, jednak to w gruncie rzeczy drobiazg. Święty Oswald przetrwał tysiące banalnych dramatów tego samego ciężaru gatunkowego. Przede wszystkim jednak właśnie minął mój drugi tydzień pracy i choć miło by było jeszcze przez jakiś czas cieszyć się obecną sielanką, wiem, że to najlepszy moment na przeprowadzenie pierwszego poważnego ataku. Tylko w kogo uderzyć?

Bishop odpada. Podobnie Dyrektor. Straitley? Brzmi kusząco i wcześniej czy później dam mu mata, ale rozgrywka sprawia mi zbyt wiele przyjemności, by rozprawiać się z nim tak szybko. Nie. Strategia zmusza mnie do innego posunięcia. Na razie nie przypuszczę ataku na figury. Z wielu względów na pierwszy ogień powinien pójść Fallow.

Początek tego lata nie należał do najlepszych w życiu Johna Snyde'a. Od jakiegoś czasu pił dużo więcej niż zwykle i powoli stawało się to dla wszystkich widoczne. Zawsze potężny, przez kilka ostatnich lat przybierał stopniowo i niemal niezauważalnie na wadze, aż nagle okazało się, że jest spasiony.

Dotarło to do mnie pod koniec wiosny - ojciec stał się powolny, miał zawsze nabiegłe krwią oczy i na wszystko reagował posępnym gniewem. Chociaż rzadko objawiał agresję w godzinach pracy, nie ulegało wątpliwości, że ona się nieustannie w nim gotuje, na podobieństwo podziemnego gniazda os, które może stać się śmiertelnym zagrożeniem, gdy ktoś przypadkiem je poruszy.

Doktor Tidy, Kwesor, niekiedy czynił na ten temat uwagi, chociaż do tej pory udawało się ojcu uniknąć oficjalnej nagany. Chłopcy także świetnie wyczuwali jego słabości, szczególnie ci najmłodszy. Z nadejściem pierwszych letnich dni zaczęli prowokować go bezlitośnie, wykrzykując nieustannie „John! Hej, John!”, swoimi dziewczęcymi głosami. Snuli się za nim niewielkimi grupkami, gdy wykonywał swoje obowiązki lub biegali za kosiarką, gdy jeździł nią po boiskach do krykieta i futbolu, a jego tłusty tyłek wylewał się na boki wąskiego siodełka.

Miał mnóstwo przezwisk: Gruby Johnny, Johnny Glaca (stał się bardzo wrażliwy na punkcie łysiejącego placka na czubku głowy i starał się go zamaskować długim wypomadowanym kosmykiem włosów), Pączus Joe, Wielki John Fryturowy Don. Kiedy wsiadał na kosiarkę, uczniowie pękali ze śmiechu. Chłopcy nazywali ją Wredotą lub Gruchotem Johnny'ego, bo nieustannie się psuła. Wszyscy żartowali sobie, że jest napędzana nie benzyną, ale

fryturą, którą John przylizuje sobie włosy; że John jeździ na niej, bo jest szybsza od jego samochodu. Dzieciaki w końcu wyczuły, że rankami od ojca zalatuje zatechłym piwem i wówczas rozwiązał się wór dowcipów na temat cuchnącego oddechu. Chłopcy udawali, że po przejściu obok woźnego już kręci im się w głowie; pytali, o ile przekroczył normę lub czy w takim stanie może legalnie prowadzić Wredotę.

Oczywiście rozsądek nakazywał mi trzymać się od tych chłopców z daleka w trakcie moich wypadów na teren Świętego Oswalda. I chociaż nie ulegało wątpliwości, że dla ojca istniały tylko mundurki i że nie dostrzegał poza nimi pojedynczych twarzy, jego bliskość wpędzała mnie w konsternację. Wówczas tak naprawdę nie udało mi się zauważyć, jaki w gruncie rzeczy jest mój ojciec. A kiedy pewnego dnia został w końcu sprowokowany do gwałtownej reakcji - najpierw bluznął wyzwiskami, a potem rzucił się na dzieciaki z pięściami - zalała mnie fala palącego wstydu i ogarnęła pogarda dla własnego życia.

Oczywiście moje odczucia były też pochodną przyjaźni z Leonem. Może i w świecie Oz należał do buntowników - ze swoimi długimi włosami i nalotami na sklepy muzyczne, ale przede wszystkim pozostawał wytworem swojego środowiska, wzgardliwie traktującym „proletów” i „matolów”, wykpiwającym z bezlitosną celnością moich rówieśników z Sunnybank.

Jeśli o mnie chodzi - nic by mnie nie powstrzymało od sekundowania mu w prześmiewczych drwinach. Sunnybank zawsze wzbudzała moją nienawiść; z jej uczniami nie łączyło mnie żadne poczucie lojalności. Natomiast zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa ze Świętym Oswaldem. Tak naprawdę to tutaj był mój świat - stąd też instynkt podpowiadał, by całym swoim wyglądem - fryzurą, sposobem mówienia i bycia - podkreślać ów alians. Nigdy tak bardzo jak wówczas nie marzyło mi się, żeby fikcja stała się rzeczywistością; nigdy aż tak bardzo nie odzywała się tęsknota za ojcem-inspektorem z moich fantazji. Ale najsilniejszym uczuciem była chyba nienawiść do woźnego, jego grubiaństwa i obwisłego brzucha. Moja obecność nieustannie wzbudzała w nim irytację; rezygnacja z lekcji karate jeszcze tylko pogłębiła jego niechęć i kilkakrotnie dało się zauważyć, że patrzy na mnie z nieukrywaną niechęcią.

Mimo to jeszcze niekiedy podejmował - choć bez entuzjazmu - jakieś próby pojednania. Zabrał na mecz futbolowy, dawał pieniądze na kino. To jednak zdarzało się już bardzo rzadko. Z każdym dniem ojciec pograżał się coraz bardziej w przygnębiającej rutynie: telewizja, piwo, tanie jedzenie na wynos oraz nieporadny, głośny (i zazwyczaj zakończony fiaskiem) seks. Po jakimś czasie nawet i te żalotne podrygi ustały, Pepsi zaś coraz rzadziej zjawiała się w naszym domu. Kilka razy mignęła mi na mieście, a pewnego razu udało mi się ją przyuważyć z młodym mężczyzną w parku. Miał na sobie skórzaną

kurtkę i jedną ręką gmerał pod różowym, angorowym sweterkiem Pepsi. Po tym spotkaniu w zasadzie w ogóle przestała się u nas pokazywać.

Na ironię losu zakrawał fakt, że w owym czasie ojciec nie stoczył się do szczętnie tylko dzięki miejscu, które darzył coraz głębszą nienawiścią. Swego czasu Święty Oswald był jego życiem, dumą i nadzieją; teraz zdawał się nieustannie przypominać ojcu o jego brakach i nieuctwie. Mimo to jakoś znosił wszystkie przykrości. Nadal pilnie wypełniał obowiązki, choć już nie wkładał w nie serca. A kiedy mali chłopcy biegający po boiskach wyzywali go i rzucali obraźliwe uwagi pod jego adresem, odwracał się i odchodził przygarbiony. Robił to wszystko dla mnie. Dla mnie godził się na upokorzenia. Dla mnie wytrwał niemal do końca. Niestety, zdaję sobie sprawę z tego dopiero teraz - teraz, gdy już jest za późno. Kiedy człowiek ma dwanaście lat, wiele spraw tego świata pozostaje dla niego w ukryciu i trzeba czasu, by dostrzec ich istnienie i docenić wagę.

- Hej, Pinchbeck! - Siedzieliśmy pod bukami na głównym dziedzińcu. Z nieba lał się żar, a John Snyder kosił trawnik. Do tej chwili żywo pamiętam ten zapach - zapach szkoły, świeżo skoszonej trawy i kurzu. - Zdaje się, że Wielki John ma kłopoty.

I rzeczywiście. Na skraju boiska do krykieta Wredota znowu odmówiła posłuszeństwa i mój ojciec walczył, by ją ponownie uruchomić, klnąc przy tym siarczyście i pocąc się obficie. Mali chłopcy już zaczęli się do niego zbliżać - całym kordonem, niczym Pigmeje podchodzący rannego nosorożca.

„John! Hej, John!”.

Ich cienkie, wibrujące w gorącym powietrzu głosy niosły się po boisku do krykieta. Podchodzili bliżej ojca, odskakiwali, jednak za każdym razem znajdowali się coraz bliżej celu.

- Wynocha stąd!

John Snyder zaczął wymachiwać rękami jak szalenciec opędzający się od kruków. Jego wrzask dotarł do nas parę sekund później, a zaraz po nim piskliwy śmiech uczniów. Pokrzykując, chłopcy rozbiegli się na wszystkie strony, by jednak za chwilę podpełznąć z powrotem, chichocząc przy tym jak dziewczyny.

Leon uśmiechnął się szeroko.

- Idziemy - zarządził. - Trochę się zabawimy.

Nie pozostało mi nic innego jak niechętnie ruszyć za przyjacielem. Przeważnie jednak kazała mi trzymać się z tyłu i na wszelki wypadek ściągnąć okulary, by w żaden sposób nie wyróżniać się z tłumu. Ostatecznie okazało się, że nie warto było się trudzić - mój ojciec ledwo trzymał się na nogach. Pijany, wściekał się teraz bezsilnie na upał i dzieciaki, które drażniły go i nie chciały zostawić w spokoju.

- Przepraszam, panie Snyder, sir - rzucił Leon uprzejmym tonem.

Ojciec odwrócił się z rozdziawionymi ustami - owo „sir” kompletnie go zaskoczyło.

Tymczasem Leon patrzył na niego z przyjaznym uśmiechem.

- Doktor Tidy chce pana zobaczyć w Kwesturze. Powiedział, że w pilnej sprawie.

Mój ojciec nienawidził Kwestora - błyskotliwego mężczyzny o ciętym języku, rządzącego finansami szkoły z głębi słynącego z ładu i czystości biura znajdującego się niedaleko Portierni. Wszyscy wiedzieli o wzajemnej niechęci obu mężczyzn. Tidy był wymuskany, obsesyjny i nadzwyczaj drobiazgowy. Co rano pojawiał się w Kaplicy, dla ukojenia nerwów popijał rumianek, a poza tym w przyszkolnej oranżerii hodował orchidee, które zdobywały nagrody na wszelkich możliwych wystawach. Nic więc dziwnego, że niemal wszystko u Johna Snyde'a działało mu na nerwy - przygarbione ramiona, gburowatość i prostacko, dzinsy spadające poniżej brzucha, odsłaniające brzeg poźółkłych majtek.

- Doktor Tidy? - zdziwił się ojciec i spojrzął na Leona zwięzonymi oczami.

- Tak jest, sir.

- A, niech to szlag!

Przygarbiony, powlókł się w stronę biura. Leon wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Ciekawe, jak zareaguje Tidy, gdy Gruby John chuchnie mu w nos? - rzucił i dotknął poobijanego boku Wredoty, po czym zwrócił się w moją stronę ze złośliwym błyskiem w oku. - Hej, Pinchbeck. Miałbyś ochotę na przejażdżkę?

Niechęć walczyła we mnie z ekscytacją.

- No co ty, Pinchbeck. To zbyt dobra okazja, żeby ją przepuścić.

Jednym skokiem znalazł się na siodełku, po czym szybko uruchomił silnik i dodał gazu.

- Ostatnia szansa, Pinchbeck.

Nikt na moim miejscu nie zrezygnowałby z takiego wyzwania. Ledwo Leon poczuł, że siedzę z tyłu, ruszył jak szalony przed siebie. Młodszy chłopcy z piskiem rozbiegli się na wszystkie strony, trawa wypryskiwała na boki triumfalną zieloną mgłą, a poprzez boisko biegł w naszą stronę John Snyder, zbyt wolno, by nas dogonić, za to oszalały z wściekłości.

- Zatrzymajcie się! Zatrzymajcie się natychmiast, pieprzeni gówniarze!

Leon zerknął na mnie przez ramię. Zbliżaliśmy się do skraju boiska. Wredota wydawała z siebie przerażające dźwięki. Za nami gonił John Snyder - wciąż bardzo od nas oddalony - a za nim biegł doktor Tidy z twarzą wykrzywioną oburzeniem.

Na chwilę ośladnęła mną niewypowiedziana radość. Byliśmy jakimś magicznym tworem. Byliśmy Butchem Cassidym i Sundance Kidem rzucającymi

się w dół urwistego kanionu - a właściwie zeskakującymi z kosiarki w glorii trawiastego pyłu i pędzącymi co sił w nogach przed siebie, podczas gdy opuszczona Wredota powoli, acz nieuchronnie zmierzała w stronę pobliskich drzew.

Nigdy nie wykryto, kto dopuścił się tego wyczynu. Uczniowie z najniższych klas nas nie zidentyfikowali. Poza tym Kwestor był tak rozwścieczony zachowaniem ojca - nawet nie tyle jego pijaństwem czy zaniedbaniem obowiązków, ile przekleństwami wykrzykiwanymi w obecności chłopców - że nawet nie zarządził wśród uczniów zbyt dokładnego śledztwa. Pan Roach, pełniący wówczas dyżur na dziedzińcu, został rozgrzeszony przez Dyrektora, natomiast mój ojciec otrzymał oficjalną naganę i rachunek za szkody materialne.

Na mnie to wszystko nie wywarło żadnego przykrego wrażenia. Wręcz przeciwnie. Rozpierała mnie radość, że udało mi się przekroczyć kolejną granicę. Nawet zemsta na tym sukinsynie, Brayu, na dała mi takiej satysfakcji. Przez wiele następnych dni wydawało mi się, że unoszę się na cudownym obłoku płynącym przez różową mgiełkę przesłaniającą wszystko i wszystkich oprócz Leona.

I mojej do niego miłości.

Wówczas nie starczyłoby mi śmiałości, żeby choć przed sobą przyznać się do tego uczucia. Leon był moim przyjacielem. I wykluczone - wprost nie do pomyślenia, żeby kiedykolwiek stał się kimś więcej. A jednak, gdy patrzę na to z perspektywy czasu, nie mogę swojego stanu nazwać inaczej jak płomienną, zaślepiającą, żądającą poświęceń i sprowadzającą bezsenne noce miłością. Moim życiem owładnęła jakaś nie do końca uświadomiona nadzieja. Leon - to była moja pierwsza myśl po przebudzeniu i ostatnia przed snem. A jednak - mimo głębi mojego uczucia - ani przez moment nie przyszło mi do głowy, że moje uczucia kiedykolwiek zostaną odwzajemnione. Leon widział we mnie jedynie niedojrzałego pierwszoroczniaka, może nawet dość zabawnego, niemniej pod każdym względem niedorastającego mu do pięt. W niektóre dni spędzał ze mną całą przerwę na lunch, w inne - nie raczył się pojawić, mimo że wcześniej kazał na siebie czekać. Oczywiście nie miał przy tym pojęcia, jak wiele ryzykuję, żeby zapewnić sobie choćby szansę na kilka minut w jego towarzystwie.

Z drugiej strony, do szczęścia nie była mi potrzebna nieustanna obecność Leona. Często wystarczała świadomość, że jest gdzieś w pobliżu. Instykt podpowiadał, że muszę wykazać się sprytem i cierpliwością. No i że muszę zrobić wszystko, żeby nie stać się dla Leona nużącym ciężarem, co wiązało się z koniecznością ukrywania uczuć za maską krotochwilności i wynajdowania coraz przemyślniejszych sposobów kultywowania swojego uwielbienia w sekrecie.

Pewnego dnia Leon pożyczył mi na tydzień swój sweter - to była pełnia szczęścia. Wieczory upływały mi na przeglądaniu zawartości szafki Leona - czytaniu jego notatek i książek, zaśmiewaniu się z niewprawnych karykatur, które rysował, gdy się nudził, a także na ćwiczeniu jego podpisu. Każdy pretekst był dobry, żeby popatrzeć na niego choćby z daleka. Stąd wiele godzin strawionych w okolicach jego domu w nadziei, że przynajmniej gdzieś mignie w polu mojego widzenia - a jak nie on, to przynajmniej jego siostra, która z racji pokrewieństwa z Leonem stała się także przedmiotem mojej adoracji. Numery rejestracyjne samochodu jego matki nie wiedzieć kiedy wryły mi się w pamięć. Potajemne dokarmianie psa Leona było na porządku dziennym. Rano wiele minut upływało mi przed lustrem na układaniu brązowych, cienkich włosów tak, by przypominały fryzurę obiektu moich uczuć, a także na ćwiczeniu jego min. A zneliśmy się zaledwie od sześciu tygodni.

Nadchodzące wakacje były dla mnie źródłem radości i niepokoju zarazem. Radości - bo uczęszczanie do dwóch szkół naraz zaczynało stanowić problem. Pani McCauleigh coraz częściej wytykała mi brak prac domowych i częste nieobecności. I chociaż podpisu Johna Snyder'a w moim wykonaniu nikt nigdy nie odróżniłby od oryginału, istniało niebezpieczeństwo, że ktoś z nauczycieli natknie się na ojca w mieście i cała historia się wyda. Niepokoju - bo choć wkrótce nic i nikt nie będzie mi ograniczać czasu spędzanego z Leonem, ryzyko zdemaskowania poza murami Świętego Oswalda znacznie wzrastało.

Oczywiście wszystko polegało na zgraniu pewnych posunięć w odpowiednim czasie i miejscu, a także na trafnym doborze rekwizytów - głównie kostiumów, które miały utwierdzić Leona w przekonaniu, że jestem zamożnym chłopcem z dobrego domu.

Pierwszym do tego krokiem była kradzież kosztownych adidasów ze sklepu sportowego i nowiutkiego roweru wyścigowego sprzed domu położonego w bezpiecznie odległej dzielnicy. Rower naturalnie natychmiast trzeba było przemalować, tak na wszelki wypadek, a starego pozbyć się na niedzielnej wyprzedaży. Jeżeli ojciec coś zauważy, powiem, że dawny rower wymagał zamiany na inny, stał się bowiem dla mnie za mały. To doskonała historyjka, którą ojciec z pewnością kupiłby bez zastrzeżeń, jednak z nadejściem lata zaczynał już pograżać się w depresji i przestał w ogóle cokolwiek dostrzegać.

Teraz funkcję Portiera sprawuje Fallow. Tłusty Fallow o mokrych, rybich wargach, codziennie obnoszący starą, zniszczoną kufajkę. Po latach jeżdżenia na kosiarce garbi się tak samo jak mój ojciec i podobnie jak u mojego ojca ohydnie tłusty brzuch wylewa mu się znad cienkiego, błyszczącego paska. To już chyba tradycja, że Portier ma na imię John - dotyczy to także Fallowa, chociaż jego chłopcy nie obrzucają wyzwiskami i nie drażnią go tak, jak swego

czasu Johna Snyde'a, co mnie akurat cieszy, bo pewnie trudno byłoby mi się powstrzymać od interwencji, a na tym etapie rozgrywki rzucanie się komukolwiek w oczy nie należałoby do rozsądnych posunięć.

Niemniej uważam Fallowa za odrażającą postać. Z uszu wystają mu kępki włosów, całe dni przesiaduje w Portierni, w bamboszach wsuniętych na gołe stopy, i zaczytuje się w artykułach z „News of the World”, popijając przy tym bawarkę i ignorując wszystko, co dzieje się wokół. Całą pracę odwała za niego półgłówek Jimmy - sprząta, wykonuje drobne naprawy, wymienia żarówki, czyści rynny. Fallow jedynie odbiera telefony. I z lubością przetrzymuje dzwoniących na linii - niespokojne matki, których synowie nagle zaniemogli, bogatych ojców spieszących na ważne spotkania - często nawet przez kilka minut, sam zaś w tym czasie popija bawarkę i bazgrze coś w brulionie o złotych kartkach. Poza tym lubi podróżować i często wypuszcza się na jednodniowe wycieczki do Francji, organizowane przez lokalny klub robotniczy. Podczas owych wypadów chodzi po supermarketach, zażera chipsy, opierając się o autokar i nieustannie narzeka na tubylców.

W pracy bywa na przemian arogancki bądź usłużny - w zależności, z kim ma do czynienia. Bierze od chłopców funta za otwarcie szafki uniwersalnym kluczem, z obleśną miną gapi się na nogi kobiet wchodzących po schodach. Gdy ma do czynienia z pracownikami gospodarczymi, jest nadęty i autorytatywny. Używa wyrażen w rodzaju: „Pojmujecie?” oraz „Słuchajcie uważnie, bo oświecę was za darmo”.

W stosunku do dyrekcji jest służalczy, do weteranów odnosi się z obrzydliwą poufalością, do nowicjuszy zaś, takich jak ja - z pewnym lekceważeniem, by dać nam niedwuznacznie do zrozumienia, że nie ma czasu na jałowe pogawędki. W piątkowe wieczory zawsze urzęduje w kompleksie komputerowym - niby po to, żeby wszystko posprawdzać i powyłączać, ale tak naprawdę spędza tam czas na przeglądaniu stron z pornografią, podczas gdy za drzwiami Jimmy doprowadza do idealnego połysku podłogi, przejeżdżając starannie i powoli froterką po starych deskach, póki nie nabiorą ciepłej barwy ciemnego miodu.

Następnego ranka wystarczy zaledwie minuta, by cała jego praca obróciła się wniwecz. W poniedziałek o ósmej trzydzieści podłogi są tak brudne i zmatowiałe, jakby Jimmy nigdy się nimi nie zajmował. Fallow świetnie zdaje sobie z tego sprawę. I chociaż sam nigdy nie zajmuje się sprzątaniami, zawsze chodzi obrażony, najwyraźniej przekonany, że wszystko funkcjonowałoby bez zarzutu, gdyby tylko ze szkoły usunąć nauczycieli i uczniów - jego głównych wrogów.

Nic dziwnego, że gdzie może, próbuje brać drobny odwet. Nikt tak naprawdę nie zwraca na niego baczej uwagi - ostatecznie Portier to jeden z najniższych szczebli w hierarchii - pozwala więc sobie na różne nadużycia.

Większość nauczycieli nie zdaje sobie z tego sprawy, ja jednak pilnie go obserwuję. Z Dzwonnicy widać Portiernię jak na dłoni. Wiem więc dobrze, co się tam wyprawia.

Tuż za bramą szkoły często parkuje furgonetka lodziarza. Mój ojciec nigdy by na to nie pozwolił, Fallow jednak ze spokojem toleruje obecność furgonetki, przed którą w czasie przerwy na lunch ustawiają się długie kolejki chłopców. Niektórzy kupują lody, inni zaś odchodzą z wypchanymi kieszeniami i przebiegłym uśmieszkiem spryciarza, któremu właśnie udało się wykiwać system. Formalnie uczniom z młodszych klas nie wolno wychodzić poza teren szkoły, ale furgonetka stoi zaledwie kilka metrów od bramy, więc Pat Bishop przymyka na tę drobną niesubordynację oczy, przynajmniej dopóty, dopóki chłopcy nie muszą przechodzić przez ruchliwą jezdnię. Poza tym sam lubi lody, więc gdy akurat ma dyżur na dziedzińcu, często można go zobaczyć z różkiem w dłoni.

Fallow także często odwiedza lodziarza. Robi to jednak rano, tuż po rozpoczęciu lekcji, uważnie okrążając budynek - zawsze od lewej do prawej, by w ten sposób uniknąć defilowania pod oknem pokoju nauczycielskiego. Niekiedy niesie ze sobą plastikową torbę - na oko dość lekką, za to bardzo pękatą - którą lodziarz wsuwa pod kontuar. Niekiedy Portier wraca z powrotem z lodami, niekiedy bez.

W ciągu piętnastu lat wymieniono większość uniwersalnych kluczy. Tego z pewnością wymagały względy bezpieczeństwa - ostatecznie niejednokrotnie próbowano okraść Świętego Oswalda, jednak Portiernia należy do nielicznych wyjątków, których nie uwzględniono w owych kalkulacjach. Bo i cóż można by stamtąd zabrać? Nie ma tam nic oprócz starego fotela, grzejnika gazowego, czajnika, telefonu i kilku pornograficznych pisemek, wetkniętych pod kontuar. Znajduje się tam jeszcze inny schowek, o wiele bardziej przemyślny, za panelem maskującym szyb wentylacyjny. Jego istnienie jest pilnie strzeżonym sekretem przekazywanym jedynie z Portiera na Portiera. Nie jest to zbyt duża przestrzeń, ale łatwo można tam pomieścić parę sześciopaków piwa - jak odkrył mój ojciec, dodając przy okazji, że przecież grube ryby nie zawsze muszą wiedzieć, co się kryje w różnych zakamarkach szkoły.

Cały dzień dopisywał mi dobry humor. Lato szybko odchodzi, a powietrze nabiera szczególnej żółtawej, ziarnistej poświaty, przywodzącej na myśl programy telewizyjne z okresu mojej wczesnej młodości. Noce są już jednak chłodne, więc w moim wynajmowanym mieszkanku, sześć mil od centrum, przyjdzie mi wkrótce włączać ogrzewanie. To lokum nie należy do szczególnie atrakcyjnych - składa się z pokoju, aneksu kuchennego i maciupkiej łazienki, ale było najtańsze ze wszystkich ofert, no a ja przecież nie zabawię tu długo.

Jest praktycznie nieumeblowane. Stoi tu rozkładana sofa, biurko, a na nim lampa i komputer. Prawdopodobnie nie zabiorę go już ze sobą. Komputer jest czysty - a właściwie będzie, gdy wyczyszczę dokładnie twardego dysku. Samochód pochodzi z agencji wynajmu, więc zanim policja wpadnie na mój trop, też zapewne zostanie starannie wyczyszczony.

Starsza pani, od której wynajmuję mieszkanie, ponad wszystko uwielbia plotki. Wciąż się dopytuje, dlaczego ktoś tak miły i wykształcony jak ja zdecydował się wynająć mieszkanie w obskurnym bloku pełnym narkomanów, beneficjentów opieki społecznej i ludzi po odsiadkach. Usłyszała ode mnie, że pracuję dla dużej międzynarodowej firmy zajmującej się oprogramowaniem, która kupiła mi dom w ekskluzywnej dzielnicy, ale z powodu opóźnień w pracach budowlanych muszę chwilowo coś wynajmować na własną rękę. Staruszka w odpowiedzi jęknęła głośno i zaczęła żałośnie potrząsać głową, pomstując przy tym na wszystkich budowlańców i wyrażając nadzieję, że Boże Narodzenie spędzę już w nowym, własnym domu.

- Musi być ci ciężko, dziecko, żyć w takiej prowizorce. Szczególnie że nadchodzą święta...

Jej niedowidzące oczy zamglily się z rozczulenia, mnie zaś kusilo, by jej powiedzieć, że większość starych ludzi umiera zimą i że trzy czwarte wszystkich prób samobójczych podejmowanych jest w okresie Gwiazdki. Szybko jednak dotarło do mnie, że przynajmniej na razie muszę zachować pozory. Uprzejmie więc odpowiadam na jej pytania i wysłuchuję wspomnień - jednym słowem zachowuję się bez zarzutu. W odruchu wdzięczności starsza pani przyozdobiła mój niewielki pokój perkalowymi zasłonami i wazonem przykurzonych, papierowych kwiatów.

- To sprawi, że bardziej poczujesz się jak w prawdziwym domu, skarbie - oświadczyła. - I pamiętaj, jeżeli cokolwiek będzie ci potrzebna, moje drzwi stoją dla ciebie otworem.

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
czwartek 23 września*

Kłopoty zaczęły się w poniedziałek, ale gdy dziś rano zobaczyłem samochody, zrozumiałem, że dopiero teraz wydarzyło się coś poważnego. Dostrzegłem volvo Pata Bishopa, ale w tym akurat nie było nic dziwnego - zawsze zjawiał się pierwszy, a kiedy miał nawał pracy, nawet nocował w swoim gabinecie - jednak jeszcze nikt nie widział samochodu Boba Strange'a przed ósmą. Poza tym ujrzałem audi Dyrektora, jaguara Kapelana oraz z pół tuzina innych aut, wliczając w to czarno-biały policyjny radiowóz - wszystkie zaparkowane nieopodal budynku Portierni.

Ja wolę jeździć autobusem. W godzinach wzmożonego ruchu tak jest po prostu szybciej, pomijając już fakt, że tych parę mil dzielących mój dom od szkoły zawsze bez problemu mogę pokonać na piechotę. No i przysługują mi teraz niżkowe opłaty za przejazdy, choć ilekroć to sobie uświadamiam, dochodzę do wniosku, że musiała zajść jakaś pomyłka (sześćdziesiąt cztery lata - jak, na Boga, to możliwe, że mam już sześćdziesiąt cztery lata!), niemniej dzięki temu sporo zaoszczędzam.

Wędrowałem więc długim podjazdem prowadzącym do wrót Świętego Oswalda. Na niewielkim zakręcie wszedłem w szpaler lip wyłożonych na przyjęcie jesieni, wynurzających się z białego oparu ścielącego się nad pokrytymi rosą trawami boisk. Kiedy przechodziłem koło Portierni, zajrzałem do środka. Ani śladu Fallowa.

W pokoju nauczycielskim nikt nie miał pojęcia, co tak naprawdę się stało. Strange i Bishop siedzieli u Dyrektora wraz z doktorem Tidym i sierżantem Ellisem, funkcjonariuszem mającym pod opieką naszą szkołę. Natomiast Fallowa nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie doszło do włamania. Zdarza się to niekiedy, chociaż, ogólnie rzecz biorąc, Fallow w miarę solidnie dogłąda

szkoły i jej terenów. Przypochlebna się nieco dyrekcji i oczywiście od lat podskubuje nas na różne sposoby. Są to doprawdy drobiazgi - torba węgla czy paczka biskwitów z kuchni. Ma poza tym mały nielegalny interes na boku: otwieranie chłopcom szafek za funta. Fallow jest jednak lojalny, a ponieważ zarabia ledwie jedną dziesiątą tego, co początkujący nauczyciel, każdy przymyka oczy na jego grzeszki. Miałem szczerą nadzieję, że nic złego nie spotkało naszego Portiera.

Chłopcy, jak zwykle, wszystko wiedzieli najlepiej. Przez cały ranek powietrze było aż gęste od plotek: Fallow dostał zawału; Fallow rzucał groźby pod adresem Dyrektora; Fallow został czasowo zawieszony w obowiązkach. Ale to Sutcliff, McNair i Allen-Jones odnaleźli mnie podczas dużej przerwy i zapytali obłudnie radosnym tonem - który zazwyczaj przybierają, gdy ktoś inny znalazł się w opałach - czy to prawda, że Fallow został aresztowany.

- Skąd to wiecie? - zapytałem, celowo uśmiechając się z wystudiowaną dwuznacznością.

- Słyszałem, jak ktoś o tym wspominał.

Sekrety i poufne informacje to wyjątkowo cenna waluta w każdej szkole, nie spodziewałem się więc, że McNair zdradzi tożsamość osoby, z której ust to usłyszał. Oczywiście nie wszystkie źródła są jednakowo miarodajne, jednak patrząc na minę chłopca, szybko doszedłem do wniosku, że ta wiadomość pochodziła od kogoś wysoko postawionego w szkolnej hierarchii.

- Oderwali kilka desek od boazerii w Portierni i znaleźli całą masę różnego towaru - oznajmił Sutcliff.

- A jakiego mianowicie?

- Kto to wie? - Allen-Jones wzruszył nonszalancko ramionami.

- Może papierosy?

Chłopcy ukradkiem spojrzeli po sobie. Sutcliff lekko się zarumienił, ale Allen-Jones rzucił tylko lekkim tonem:

- To możliwe.

Wkrótce wszystko stało się jasne. Okazało się, że sławetne jednodniowe wyprawy Fallowa do Francji służyły mu do szmuglowania papierosów, które potem - poprzez swojego przyjaciela, lodziarza - rozprowadzał wśród naszych uczniów.

Ciągnął z tego imponujące zyski - cena jednego papierosa (w zależności od wieku chłopca) dochodziła nawet do funta. Ale ostatecznie nasze dzieciaki pochodziły z zamożnych rodzin, a na dodatek niewielu z nich potrafiło się oprzeć dreszczykowi emocji towarzyszącemu łamaniu regulaminu tuż pod nosem samego Drugiego Mistrza, Proceder kwitł więc w najlepsze od wielu miesięcy, a niewykluczone, że nawet lat. Policja znalazła ponad cztery tuziny kartonów ukrytych za boazerią, a kilka dodatkowych setek upchniętych za starymi szafkami w garażu Fallowa.

Zarówno Fallow jak i lodziarz przyznali się do historii z papierosami. Fallow jednak zarzekał się na wszystkie świętości, że nie ma pojęcia, jakim cudem w schowku w Portierni znalazły się inne przedmioty. Wśród nich Knight zidentyfikował swoje pióro otrzymane z okazji bar micwy; ja natomiast, choć z dużą niechęcią, przyznałem, że stary, zielony parker jest moją własnością. Z jednej strony poczułem ulgę, że złodziejem nie okazał się żaden z moich chłopców; z drugiej - miałem świadomość, że te pióra to kolejne gwoździe do trumny Johna Fallowa, który za jednym zamachem stracił dach nad głową, pracę i najprawdopodobniej również wolność.

Nigdy się nie dowiedziałem, kto powiadomił policję. Ponoć był to anonimowy list; w każdym razie nikt się nie przyznał do donosu na Portiera. Robbie Roach (palacz, więc dotychczas w dobrej komitywie z Fallowem) utrzymuje, że ów „podły kapuś” musi być ściśle związany ze szkołą. Najprawdopodobniej Rob ma rację, chociaż trudno mi się pogodzić z faktem, że za donosem mógł się kryć któryś z moich kolegów.

A może jeden z chłopców? Z jakiegoś powodu podobne przypuszczenie jeszcze bardziej nie przypadło mi do gustu. Myśl, że jakiś z naszych dzieciaków mógłby złośliwie ściągnąć na Fallowa tyle poważnych kłopotów, wprawiła mnie w przygnębienie.

Ale czy taki Knight nie byłby przypadkiem do tego zdolny? - przebiegło mi przez głowę. Ostatnio na jego twarzy rysował się dziwnie chępliwый wyraz, który nie podobał mi się jeszcze bardziej niż typowa dla niego posępność. Czyżby donosicielem naprawdę był Knight? Nie miałem powodów, by tak sądzić. A mimo to tak właśnie sądziłem; w głębi serca byłem nawet o tym przekonany. Nazwijcie to uprzedzeniem. Lub instynktem. Jedno nie uległo wątpliwości - ten chłopak coś ukrywał.

Tymczasem skandal nie chciał przyschnąć. Urząd Celny i Izba Skarbowa zapowiedziały inspekcję i wnikliwe śledztwo. Szkoła, oczywiście, nie zamierzała występować z oficjalnym oskarżeniem przeciwko Fallowowi - na samą myśl, że cała historia mogłaby się dostać do gazet i zaszkodzić wizerunkowi szkoły, Nowy dostaje spazmów - jednak pani Knight kategorycznie odmówiła wycofania skargi. Sprawa więc trafi do Zarządu i wówczas posypią się niewygodne pytania dotyczące roli Portiera w całej aferze oraz jego kompetencji i okoliczności zatrudnienia (doktor Tidy już okopał się na defensywnych pozycjach i zażądał raportów policyjnych na temat wszystkich pracowników pomocniczych i gospodarczych). Kogoś też trzeba będzie zatrudnić na stanowisku Portiera. Jednym słowem, incydent z Fallowem wciąż niósł się nieprzyjemnym echem po korytarzach Świętego Oswalda - od biura Kwestora poczynając, a na Sali Cichej Pracy kończąc.

Chłopcy nie pozostali głusi na ów złowieszczy pogłos i stali się wyjątkowo niezdolni - jakby nieustannie testowali, czy nadal obowiązują ich wcześniej

wytyczone ramy dyscypliny. Cóż, ostatecznie niesławą został okryty pracownik szkoły - co prawda zaledwie Portier, ale to wystarczyło, by wzniecić zarzewie rewolty. We wtorek, po zakończeniu zajęć z informatyki z piątą klasą, Meek wyszedł z sali błady jak płótno i całkiem roztrzęsiony; McDonough zarządził wiele bezlitośnie długich zatrzymań w kozie; a Robbie Roach na wszelki wypadek zapadł na jakąś tajemniczą chorobę, doprowadzając do szału wszystkich humanistów, którzy musieli prowadzić za niego lekcje. Jednocześnie Bob Strange bez skrupułów z góry wyznaczył zastępstwa na wszystkie swoje godziny lekcyjne, głosząc wszem wobec, że jest zbyt zajęty Innymi Sprawami Najwyższej Wagi. Jakby tego było mało, na dzisiejszym apelu Dyrektor (ku ogólnemu, choć starannie skrywanemu rozbawieniu) wygłosił katastrofalne oświadczenie, w którym utrzymywał, że nie ma ziarna prawdy w złośliwych plotkach krążących na temat pana Fallowa i że każdego ucznia, rozpowszechniającego owe kłamliwe pomówienia, spotkają Najsurowsze Konsekwencje.

Jednak Fallowgate - jak Allen-Jones błyskawicznie ochrzcił całą tę nie-szczęsną aferę - najbardziej dotknęła Pata Bishopa, Drugiego Mistrza. Częściowo dlatego, że podobne historie po prostu nie mieszczą mu się w głowie - Pat od ponad trzydziestu lat wykazuje się niezwykłą lojalnością względem szkoły i jest przy tym kryształowo uczciwy. Jego cała życiowa filozofia (termin nieco na wyrost, nasz Pat nie ma w sobie bowiem nic z myśliciela) zasa-dza się na przekonaniu, że wszyscy ludzie są fundamentalnie przyzwoici i w głębi serca pragną czynić jedynie dobro, nawet jeżeli chwilowo zostali sprowadzeni na złą drogę. Na tej umiejętności dostrzegania dobra w każdej istocie zasadzają się jego relacje z chłopcami - i to z bardzo pozytywnym rezultatem; słabi duchem i złoczyńcy palą się ze wstydu i szybko nawracają w obliczu takiej szlachetności.

Ale afera z Fallowem wywołała u Pata duchowy kryzys. Po pierwsze dlatego, że Pat dał się tak bardzo wywieść w pole - teraz nieustannie się obwinia, że nie spostrzegł, co się święci. Po drugie - ponieważ gdzieś w podtekście oszustwa Fallowa czaiła się pogarda dla wartości szkoły i samego Drugiego Mistrza. Fakt, że rzeczony Fallow - którego Pat zawsze traktował uprzejmie i z szacunkiem - odplacił mu tak fałszywą monetą, zawstydza Pata i wprawia w konsternację. Przypomina mu też zapewne historię z Johnem Snyde'em i prawdopodobnie zmusza do pytania, czy i wówczas nie popełnił jakiegoś poważnego błędu. Pat, oczywiście, nic nie mówi na ten temat, zauważyłem jednak, że ostatnio o wiele rzadziej się uśmiecha, a w ciągu dnia siedzi zamknięty w gabinecie, co rano pokonuje jeszcze większą liczbę okrążeń i często zostaje w szkole do późna.

Gdy chodzi o Katedrę Języków - muszę przyznać, że wyszliśmy z całej tej sprawy w miarę obronną ręką. Po części dzięki przyrodzonemu cynizmowi

Pearmana, stanowiącemu jakże pożądaną przeciwwagę dla hieratycznej wyniosłości Strange'a i podszytego strachem bełkotu Nowego. Na zajęciach Gerry'ego Grachvogela panuje nieco większy rejwach niż zazwyczaj, jednak nie tak nieprzyzwoity, by wymagał mojej interwencji. Geoff i Penny Nation twierdzą, że cała ta afera srodze ich zasmuciła, ale nie zdziwiła, potrząsając więc tylko głowami na myśl o zezwierzęceniu natury ludzkiej. Doktor Devine bezlitośnie wykorzystuje incydent z Fallowem do terroryzowania biednego Jimmy'ego, Eric Scoones zaś chodzi rozdrażniony, jednak nie dużo bardziej niż zazwyczaj. Za to Dianne Dare, podobnie jak nasz kreatywny Keane, śledzą rozwój wypadków z jawnym zafascynowaniem.

- Akcja przypomina zawilą intrygę z opery mydlanej - oznajmiła mi dzisiaj Dianne w pokoju nauczycielskim. - Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co się wydarzy w następnym odcinku.

Przyznałem, że od czasu do czasu nasza droga stara buda potrafi dostarczyć przeżyć niepozabawionych rozrywkowego waloru.

- Czy właśnie dlatego pan jeszcze tu tkwi? To znaczy, chciałam powiedzieć... - urwała, zapewne świadoma mało pochlebnych implikacji swojego pytania.

- Tkwię tu, jak to pani subtelnie ujęła, jestem bowiem na tyle staroświecki, by wierzyć, że chłopcy mogą odnieść pewne drobne korzyści z nauki mojego przedmiotu oraz - co nawet istotniejsze - ponieważ moja obecność działa na nerwy Strange'owi.

- Przepraszam - bąknęła.

- Proszę nie przepraszać. To do pani nie pasuje.

Trudno objaśnić komuś z zewnątrz fenomen Świętego Oswalda; a jest to już prawie niemożliwe z przepastnej perspektywy ponad czterdziestu lat. Panna Dare jest młoda, atrakcyjna, błyskotliwa; pewnego dnia się zakocha, będzie miała dzieci. Dorobi się przyjemnego domku, który stanie się prawdziwym rodzinnym ogniskiem, a nie aneksem do składziku bibliotecznego, i będzie wyjeżdżać na wakacje do dalekich, egzotycznych krajów. A przynajmniej mam taką nadzieję. W przeciwnym razie dołączy do grona niewolników i żywot spędzi przykuta do galery, na końcu zaś zostanie bez pardonu wypchnięta za burtę.

- Nie chciałam pana urazić, sir.

- Wcale mnie pani nie uraziła. - Być może mięknę na stare lata lub też afera z Fallowem wytrąciła mnie z równowagi bardziej, niż sądziłem. - Po prostu od rana ogarnął mnie kafkowski nastrój. To bez wątpienia wina doktora Devine'a.

Jak można było przypuszczać, rozbawiły ją moje słowa. Muszę przyznać, że ta dziewczyna świetnie się przystosowała do życia u Świętego Oswalda. Często jej się przyglądam, jak idzie na lekcje z teczką w ręku i stertą podręczników pod pachą; słucham, jak przemawia do chłopców różnym, stanowczym

tonem szpitalnej pielęgniarki. Podobnie jak Keane'owi, nie brakuje jej zimnej krwi, co dobrze służy w miejscu takim jak Święty Oswald, gdzie każdy musi walczyć o swoje, a prośba o najbanalniejszą pomoc jest uznawana za oznakę słabości. Dianne umie udawać gniew lub w miarę potrzeby umiejętnie skrywać emocje. Doskonale wie, że nauczyciel musi być przede wszystkim dobrym aktorem - zawsze panującym nad widownią i niepodzielnie władającym sceną. To niezwykle cechy u tak młodego nauczyciela; podejrzewam więc, że zarówno Dianne, jak i Keane urodzili się do tego zawodu - w odróżnieniu od nieszczęsnego Meeka.

- Nie da się ukryć, że dołączyła pani do nas w bardzo interesującym momencie - powiedziałem. - Inspekcje, restrukturyzacje, zdrady i intrygi. Chleb powszedni u Świętego Oswalda. Jeżeli to zdoła pani przetrwać...

- Moi rodzice byli nauczycielami. Wiem, czego się spodziewać.

Ha! To wszystko wyjaśnia. Powinienem był wcześniej zgadnąć. Z suszarki przy zlewie chwyciłem kubek (nie swój - mój nadal pozostaje na liście zaginionych).

- Herbaty? - zaproponowałem.

- Poproszę. To nauczycielska kokaina - odparła z uśmiechem.

Sprawdziłem stan metalowego termosu i napeliłem dwa kubki. Przez lata przywykłem do pijania herbaty w jej najbardziej elementarnej postaci. Jednak ta brunatna ciecz, która pociekła z naczynia, wyglądała na substancję wysoce toksyczną, więc na wszelki wypadek - wzruszając filozoficznie ramionami - dodałem do niej mleka i cukru. Co cię nie zabije, to cię wzmocni. Wyjątkowo trafne motto dla takiego miejsca jak Święty Oswald, nieustannie niebezpiecznie balansujące pomiędzy tragedią a farsą.

Powiodłem powoli wzrokiem po moich kolegach siedzących w pokoju nauczycielskim i poczułem nieoczekiwany przypływ głębokich, ciepłych uczuć. McDonough, w swoim kącie, czytał „Mirror”, a obok niego Monument chłonał z uwagą jakiś artykuł z „Telegrapha”; Pearman prowadził ożywioną dyskusję z Kitty Teague na temat dziewiętnastowiecznej francuskiej pornografii, Isabelle Tapi poprawiała szminkę, Liga Narodów zaś dzieliła się dziewiczym bananem. Moi starzy przyjaciele, koledzy, wśród których czułem się swojsko i swobodnie.

Jak już wspomniałem, trudno objaśnić fenomen Świętego Oswalda - opisać echo tupotu chłopców na kamiennych schodach; zapach przypalonych tostów dobiegający z Refektarza; szczególny odgłos przeładowanych worków sportowych ciągniętych po świeżo wyfroterowanej drewnianej podłodze. Nie sposób oddać słowami powagi bijącej z Tablicy Honorowej z rytowanymi, barwionymi na złoto nazwiskami datującymi się

jeszcze sprzed czasów mojego prapradziadka, czy wymowę obelisku ku czci poległych na wojnie lub zdjęć drużyn sportowych, na których młode, zuchwałe twarze pokryły się sepią znaczącą przemijanie czasu. Metafora wieczności.

Bogowie, staję się sentymentalny; a wszystkiemu winien mój zaawansowany wiek - jeszcze chwilę temu uważałem się nad własnym losem, teraz zaś popadam w nostalgiczne roztkliwienie. To musi mieć też jakiś związek z pogodą. Z drugiej strony, Camus twierdzi, że powinniśmy uważać Syzyfa za szczęśliwca. A ja? Czy czuję się nieszczęśliwy? Wiem jedynie, że przeżyliśmy wstrząs - wstrząs tak potężny, że aż zadrżały posady. W powietrzu wisi atmosfera przewrotu, a ja gdzieś w głębi serca przeczuwam, że rzecz jest o wiele poważniejsza niż sama afera Fallowa. A przecież dopiero mamy wrzesień.

EN PASSANT

1

Poniedziałek 27 września

Pomimo ekwilibrystycznych zabiegów i starań Dyrektora sprawa Fallowa trafiła jednak do gazet. Nie do „News of the World” - to byłyby zbyt wygórowane oczekiwania - ale do naszego lokalnego „Examinera”, co jednak jest niemal równie satysfakcjonujące. Tradycyjny antagonizm pomiędzy szkołą a miastem ma taki skutek, że wieści stawiające w niekorzystnym świetle Świętego Oswalda rozprzestrzeniają się niczym pożar buszu ku niepohamowanej i zgoła niechrześcijańskiej radości dobrych obywateli. Artykuł w gazecie był triumfalistyczny i zarazem zjadliwy w tonie. Z jednej strony przedstawiał Fallowa jako wieloletniego pracownika szkoły, zwolnionego (w trybie doraźnym, bez konsultacji ze Związkiem), zanim sąd orzekł o winie; z drugiej zaś - autor niedwuznacznie sugerował, że Fallow to jednak przestępca, aczkolwiek wzbudzający sympatię, bo od lat odgrywający się na systemie stworzonym przez i dla beztroskich próżniaków z wyższych sfer, bezdusznych, anonimowych biurokratów i oderwanych od życia akademików.

Historia nabrała wymiaru biblijnej przypowieści o Dawidzie i Goliacie, w której Fallow został obsadzony w roli symbolu klasy pracującej, walczącego z monstrualną machiną bogactwa i nieuzasadnionych przywilejów. Autor tego kawałka, podpisujący się pseudonimem „Kret”, zdołał ponadto wzbudzić w czytelniku przeświadczenie, że u Świętego Oswalda bez przerwy zdarzają się podobne drobne przekręty, że system nauczania jest beznadziejnie przestarzały, uczniowie nagminnie palą papierosy (i zapewne również odurzają się narkotykami), natomiast sam budynek szkoły jest w tak opłakanym stanie, że poważna katastrofa jest praktycznie nieunikniona. Artykułowi towarzyszył edytorial zatytułowany „Prywatne szkoły - czy nadal mają rację bytu?”, w którym naczelny gazety zachęcał czytelników, by dzielili się z redakcją swoimi

opiniami oraz wszelkimi zastrzeżeniami pod adresem Świętego Oswalda oraz Starej Gwardii broniącej *status quo*.

Ten artykuł jest dla mnie powodem do dumy. Wydrukowali go niemal bez skrótów. Otrzymali też ode mnie zapewnienie, że będą informowani na bieżąco o rozwoju sytuacji. Z mojego e-mailu jasno wynikało, że należę do kół zbliżonych do szkoły - niewykluczone, że jestem renegatem ze Starej Gwardii albo uczniem, członkiem Zarządu czy nawet jednym z nauczycieli. Strategia nakazywała powściągliwość w kwestii szczegółów, na wypadek gdyby trzeba było wprowadzać modyfikacje w miarę postępów w rozgrywce.

Do komunikacji z redakcją posłużył mi jeden z moich zapasowych adresów - kret@hotmail.com - dający pewność, że uniknę identyfikacji. Co prawda nie istniały poważne powody do obaw, bo to raczej nieprawdopodobne, żeby ktoś w „Egzaminierze” podjął się roli detektywa - ostatecznie pracujący tam ludzie zajmują się jedynie lokalnymi wiadomościami i wystawami psów rasowych, nie mają więc żadnego doświadczenia w dziennikarstwie śledczym - jednak nie wiadomo, czym zakończy się ta cała historia i jakie zatoczy kręgi. Ba, nawet ja tego nie wiem, co zresztą dostarcza mi dodatkowego dreszczyku emocji.

Dziś od rana padało, w związku z czym samochody poruszały się wolniej niż zazwyczaj. To żółwie tempo doprowadzało mnie do szału, więc z trudem przychodziło mi zachowanie spokoju. Jedną z przyczyn niechęci mieszkańców miasta do Świętego Oswalda są korki, jakie za sprawą szkoły tworzą się w godzinach porannego szczytu. Setki czystych, odpicowanych jaguarów, solidnych volvo, ekskluzywnych terenówek i minivanów, ze swoim cargo czystych, odpicowanych chłopców w charakterystycznych czapkach i blazerach co rano niemiłosiernie zapychają ulice.

Niektórzy transportują pociechy autem nawet wtedy, gdy ich dom jest położony zaledwie milę od szkoły. Bo przecież, Boże uchowaj, by ich czystutki, odpicowany chłopiec musiał przeskakiwać przez kałuże, wdychać zanieczyszczone powietrze czy też (o, zgrozo!) narażać się na odrażający kontakt z brudnymi, niechlujnymi dzieciakami z pobliskiej Sunnybank Park: z wulgarnymi chłopaczyskami w nylonowych kurtkach i znoszonych adidasach czy też krzykliwymi pannicami o farbowanych włosach, odzianymi w nieprzyzwoicie krótkie spódnice. Mnie w ich wieku nikt nigdy nie dowoził do szkoły, natomiast tanie, znoszone buty i opadające skarpety były moim chlebem powszednim, więc gdy teraz jeżdżę do pracy wypożyczonym samochodem, niekiedy wciąż wzbiera we mnie wściekłość - straszliwa wściekłość - na moje ówczesne życie i ówczesne marzenia.

Pamiętam pewien ciepły, letni dzień pod koniec roku szkolnego. Leon był znudzony; lekcje się skończyły i siedzieliśmy na terenie miejskiego placu

zabaw (do dziś staję mi przed oczami karuzela z farbą miejscami wytartą do gołego metalu przez niezliczone generacje dziecięcych rąk), zaciągaliśmy się camelami (Leon palił, więc ja też) i przyglądaliśmy przechodzącym nieopodal dzieciakom z Sunnybank.

- Barbarzyńcy. Motłoch. Proleci.

Palce Leona były długie i wysmukłe, wiecznie poplamione atramentem i pożółkłe od nikotyny. Na ścieżce pojawiła się grupka w bluzach Sunnybank - ciągnąca za sobą szkolne torby, głośna, pokrzykująca, w butach pokrytych brudem i pyłem suchego, upalnego dnia. Te dzieciaki nie stanowiły dla nas zagrożenia, chociaż zdarzało się i tak, że musieliśmy zwiewać przed gangami hołoty ze szkolnego molocha.

Pewnego razu, gdy mnie nie było z Leonem, dorwali go przy śmietnikach za szkołą i nieźle skopali. Wówczas moja nienawiść do nich jeszcze bardziej wzrosła - przerastała nawet nienawiść Leona, ale to ostatecznie były dzieciaki z mojego środowiska. W tej grupce jednak szły tylko dziewczyny - cztery w zwartej gromadzie, a z tyłu za nimi fajtlapa z mojego rocznika. Dziewczyny żuły gumę, chichotały, darły się ochryple, a gdy podbiegały, wiatr unosił im spódnicę, odsłaniając odrapane, chropowate nogi.

Fajtlapa ciągnąca się w ogonie była Peggy Johnsen - grubaska z lekcji WF w klasie Braya - i na jej widok instynkt kazał mi się odwrócić, tuż po tym, jak Leon spojrzął na mnie znacząco i mrugnął.

- No i? - spytał.

Jakże dobrze było mi znane to spojrzenie. Leon częstował mnie nim wiele razy w czasie naszych wypadów na miasto, podczas kradzieży w sklepach płytowych oraz innych drobnych aktów buntowniczej dywersji. W oczach Leona czaiła się psotna złośliwość - w jego błyszczących oczach, skierowanych teraz na Peggy żałośnie podrygującą, by dotrzymać kroku koleżankom.

- Co „no i”? - To była z mojej strony gra na zwłokę.

Cztery dziewczyny wysforowały się znacznie do przodu i nagle Peggy - o spoczonej twarzy i zalęknionym spojrzeniu - została sama na placu boju.

- Och, daj spokój, Leon.

Prawdę powiedziawszy, Peggy nie wzbudzała nigdy we mnie szczególnie złych uczuć. Była powolną, nieszkodliwą dziewczyną, balansującą na granicy upośledzenia umysłowego. Nawet czasami robiło mi się jej żal.

Leon obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem.

- Kim ona niby jest, Pinchbeck, twoją dziewczyną? Nie osłabiaj mnie!

I ruszył przed siebie biegiem, na przełaj, z wojowniczym okrzykiem.

Nie pozostało mi nic innego jak tylko ruszyć za nim - do dziś sobie powtarzam, że Leon nie dał mi żadnego wyboru. Wyrwaliśmy jej z rąk torby - Leon chwycił za reklamówkę Woolwortha, w której znajdował się strój

gimnastyczny. W moich dłoniach pozostał płócienny plecak z małymi serduszkami wymalowanymi białym korektorem. A potem puściliśmy się galopem zygzakami - pędziliśmy zbyt szybko, by Peggy zdołała nas dogonić. Mogła jedynie się wydierać i wdychać unoszący się za nami pył. Moim marzeniem było jak najszybciej zniknąć jej z oczu, jednak, przy zataczaniu kolejnego kółka, siła odśrodkowa rzuciła mnie prosto na tę grubaszkę, która bezwładnie zwała się na ziemię.

Leon zaniósł się śmiechem; z mojego gardła także wyrwał się histeryczny chichot, bo nagle dotarło do mnie, że równie dobrze los Peggy mógłby stać się moim udziałem. Darła się: „Wy gnoje, wy zawszone sukinsyny”, i patrzyła przez łyzy, jak jej trampki, związane sznurowadłami, lądują na najwyższych gałęziach starego drzewa, a jej podręczniki łopocą stronami na podobieństwo confetti opadającego w ciepłym, letnim powietrzu. O tak. Równie dobrze mogły być to moje trampki i moje książki.

Przepraszam, Peggy. Niemal naprawdę ogarnęło mnie pragnienie, by mi wybaczyła. W żadnym razie nie była najgorszym dzieciakiem z mojej szkoły, nie należała do zatwardziałych prześladowców. Ale znalazła się akurat pod ręką, a poza tym wydała mi się odrażająca - z tymi tłustymi włosami i czerwoną, wykrzywioną furią twarzą mogłaby w zasadzie uchodzić za dziecko mojego ojca. Obudziły się więc we mnie najgorsze instynkty - to one pchnęły mnie do tego, by zdeptać książki Peggy, wyrzucić wszystko z jej plecaka, porozwłóczyć po placyku części jej gimnastycznego stroju (do dziś widzę wyraźnie granatowe szorty, równie szerokie i workowate jak moje legendarne grzmotogacie), po czym wdeptać je w żółty piach.

- Ozzie, wy skurwysyny!

Walka o byt. Przetrwają tylko najlepsi, zadźwiewało mi w głowie. Ogarnęła mnie wściekłość na Peggy, wściekłość na siebie, ale jednocześnie rozsądzała mnie euforia i duma, jak gdyby udało mi się zdać jakiś trudny egzamin; jak gdyby przez ten akt agresji udało mi się znacznie zmniejszyć przepaść dzielącą mnie od Świętego Oswalda, od tego, kim jestem, a kim pragnę się stać.

Światła zmieniły się na zielone, ale sznur samochodów przede mną dawał małe nadzieje na pokonanie skrzyżowania jednym skokiem. Tymczasem, wykorzystując stagnację na jezdni, kilku chłopców postanowiło przejść na drugą stronę - udało mi się dostrzec McNaira, jednego z ulubieńców Straitleya, oraz miniaturowe, dokuczliwe półdiabły, Jacksona - również z trzeciej S. Gdy chwilę później w polu mojego widzenia pojawił się Anderton-Pullitt, samochody stojące przede mną akurat ruszyły z miejsca.

Jackson pokonał jezdnię kilkoma susami. Podobnie McNair. I wtedy tuż przed maską mojego auta ukazało się pięćdziesiąt jardów wolnej przestrzeni.

Wystarczyło więc dodać gazu i udałoby mi się błyskawicznie pokonać skrzyżowanie. W innym wypadku czekało mnie kolejne pięć minut ślimaczenia się w korku. Niestety, Anderton-Pullitt nie zerwał się do biegu. Nieruchawy, ociężały, w wieku trzynastu lat już podstarzały, szedł przez jezdnię leniwym krokiem, przypominając opasłego kraba. Nie raczył na mnie spojrzeć, nawet gdy zawył mój klakson, jak gdyby ignorując moją obecność, mógł zakwestionować samo moje istnienie. Dzierżąc teczkę w jednej, a pudełko na lunch w drugiej dłoni, ze skwapliwym rozmysłem obszedł kałużę, tak że gdy wreszcie zszedł z jezdni, światła znów się zmieniły i czekały mnie kolejne, wlokące się minuty sterzenia na skrzyżowaniu.

Tak, wiem. Ów incydent sam w sobie był najtrywialniejszy z trywialnych. Jednak arogancja Andertona, jego nonszalancka pogarda stanowiły istną kwintesencję ducha Świętego Oswalda. Ciekawe, co zrobiliby ten spasiony chłopak, gdyby po prostu ruszyć ostro na niego - z rozmysłem, bezpardonowo staranować go samochodem. Czy rzuciłby się do biegu? A może tkwiłby uparcie w miejscu i z tępych wyrazem twarzy do ostatka powtarzał: „Nie ośmielisz się... nie wolno ci...!”

Niestety, przejechanie Andertona-Pullitta nie wchodziło w grę. Przede wszystkim dlatego, że samochód był mi niezbędny. Poza tym agencja wynajmu mogłaby nabrać dziwnych podejrzeń, gdyby wypożyczone auto wróciło do nich z kompletnie strzaskanym przodem. Ale, co tam. Znajdę inny sposób odplacenia pięknym za nadobne, tym bardziej że właśnie nadszedł czas na jakieś godziwe uczenie dotychczasowego pomyślnego przebiegu rozgrywki. Na samą myśl o tym usta rozciągnęły mi się w zimnym uśmiechu, a z radia, jak na zawołanie, popłynęła świetna muzyka, pozwalająca zapomnieć o światłach zastygłych na ostrej czerwieni.

Mój dyżur w sali 59 przypadał na pierwszą połowę lunchu. Dzięki Bobowi Strange'owi Straitleya nie było w pobliżu - albo czał się w tym swoim składziku bibliotecznym, albo znowu przypadł mu w udziale obowiązek patrołowania korytarzy. W klasie natomiast wprost roilo się od chłopców. Niektórzy odrabiali prace domowe; inni grali w szachy lub plotkowali, od czasu do czasu pojadając chipsy lub przysysając się do puszek z gazowanymi napojami.

Nauczyciele - jak jeden mąż - nienawidzą deszczowych dni. Uczniowie nie mogą wyjść na dwór, a więc trzeba ich nieustannie pilnować. Wszędzie jest pełno błota, stąd nietrudno o wypadek. W każdym pomieszczeniu panuje tłok i hałas. Drobne utarczki błyskawicznie przekształcają się w bójki. Nie obeszło się więc bez mojej interwencji - gdy mały Jackson rzucił się na Brasenose'a, tłustego, zwalistego chłopca, który jeszcze się nie nauczył, jak skutecznie

wykorzystywać przewagę masy i wzrostu. Ale potem było już spokojnie. Czas do końca dyżuru upłynął mi na dozorowaniu sprzątaniny klasy, wskazaniu Taylerowi błędu ortograficznego w jego pracy domowej, przyjęciu miętówki od Pinka i fistaszka od Knighta oraz na krótkiej, męskiej pogawędce z chłopcami pochłaniającymi przyniesiony z domu lunch.

Starannie opracowany plan nakazywał mi, by - po odbębnieniu pańszczyzny - zaszyć się w Sali Cichej Pracy i tam czekać na rozwój wypadków przy kubku brunatnej herbaty.

Oczywiście nowicjusze, tacy jak ja, nie dostają wychowawstwa. Dlatego mamy sporo wolnego czasu. To pozwala nam poświęcić wolne chwile na obserwację i analizę wielu zwyczajów oraz procedur, widzianych z odpowiedniej perspektywy. Dzięki temu szybko udało mi się zorientować w słabościach systemu - odkryć istnienie minut, a niekiedy zaledwie sekund, kiedy podbrzusze giganta jest nieosłonięte i wystawione na ciosy. W takich chwilach właśnie zdarzają się katastrofy, wtedy też najlepiej uderzyć.

Dzwonek oznajmiający koniec lunchu jest jednocześnie zwiastunem owego groźnego dla systemu momentu. Popołudniowe sprawdzanie listy obecności jeszcze się nie rozpoczęło, chociaż oficjalnie pora przerwy już minęła. Teoretycznie dźwięk dzwonka sygnalizuje, że w ciągu pięciu minut powinny zacząć się zajęcia - tak więc wykładowcy siedzący w pokoju nauczycielskim powoli zbierają się do wyjścia, natomiast ci, którzy w czasie lunchu pełnili dyżur, pakują swoje manatki (często też przeglądają szybko gazetę), po czym opuszczają lekcyjne sale.

W rzeczywistości jest to pięciominutowe okienko chaosu w skądinąd gładko przebiegającej operacji. Nikt *de facto* nie pełni dyżuru i nie pilnuje dyscypliny, większość bowiem nauczycieli - podobnie jak i uczniów - odbywa żmudną wędrówkę z jednego miejsca w drugie. Nic dziwnego więc, że właśnie w owym czasie dochodzi do największej liczby wykroczeń. Na porządku dziennym są przepychanki, kradzieże, drobne przejawy wandalizmu i inne uchybienia wszelkiego rodzaju, które łatwo przeoczyć w tym tranzytowym przelocie na moment przed popołudniowymi lekcjami. I dlatego też upłynęło całe pięć minut, zanim ktokolwiek się zorientował, że Anderton-Pullitt stracił przytomność.

Zapewne nie zajęłoby to tak wiele czasu, gdyby chodziło o kogoś lubianego i popularnego wśród chłopców. Ale Anderton do takich nie należał. Zawsze siedział nieco na uboczu, oddalony od kolegów i zajmował się swoimi kanapkami (dzień w dzień takimi samymi - pasta Marmite i kremowy twarożek na bezglutenowym chlebie). Gdy powolnie i pracowicie przeżuwał kęs po kęsie, bardziej przypominał wiekowego żółwia niż trzynastoletniego chłopca. Okazy jemu podobne występują w każdym roczniku. Tacy chłopcy są do przesady ostrożni, hipochondryczni, krótkowzroczni i tak niegodni uwagi, że nawet nie

bywają nękami przez innych - może też i dlatego, że pozostają całkiem niewrażliwi na zniewagi czy odrzucenie; poza tym hołdują pedantycznej wymowie, co sprawia, że cieszą się reputacją inteligentnych i do tego są uprzejmi dla nauczycieli, co czyni z nich pupili większości belfrów.

Straitley uważa, że Anderton-Pullitt jest zabawny. I nic w tym dziwnego - jako chłopiec zapewne należał do tego samego gatunku. Mnie osobiście ten gówniarz irytuje i drażni; gdy pełnię dyżur na dziedzińcu, a w pobliżu nie ma Straitleya, Anderton łązi za mną krok w krok i raczy rozwlekłymi wykładami na temat swoich rozmaitych pasji (SF, komputery, samoloty z okresu I wojny światowej) oraz rzeczywistych czy też wymyślonych przypadłości (astma, nietolerancje pokarmowe, agorafobia, alergie, ataki lęku, a do tego brodawki).

No i teraz wreszcie nadeszła sposobność, by się przekonać, czy jedna z wielu jego słynnych dolegliwości jest prawdziwa czy też urojona. Odgłosy dochodzące z góry do Sali Cichej Pracy, z klasy Straitleya, pozwolą mi to ustalić bez najmniejszych wątpliwości.

Nikt poza mną nie wyteżał słuchu, nie wydawał się w najmniejszym stopniu zainteresowany tym, co się dzieje powyżej. Robbie Roach, który akurat miał okienko, a także nie był obarczony wychowawstwem (zbyt wiele zajęć wakacyjnych), zajadłe grzebał w swojej szafce. Przez chwilę na wierzch wysunęła się paczka francuskich papierosów (prezent od Fallowa), którą Rob błyskawicznie wepchnął za stos podręczników. Isabelle Tapi, zatrudniona na pół etatu, a więc także niesprawująca wychowawstwa, czytała jakąś powieść w miękkiej oprawie, drobnymi łykami popijając wodę Evian.

Zabrzmiał dzwonek, a chwilę później z góry dobiegł rejwach - rytualna kakofonia pozbawionych dozoru chłopców - i huk czegoś (krzesła?) przewracającego się na podłogę. Zaraz potem mocno podniesione głosy - Jackson i Brasenose podjęli przerwana bójkę - kolejny huk walącego się krzesła i... nagle cisza. Pewnie w tym momencie do sali wkroczył Straitley. I rzeczywiście. Niemal natychmiast doszedł mnie dźwięk jego głosu - po nim cichy pomruk chłopców, i zaraz potem rytmiczna kadencja listy obecności.

- Adamczyk?
 - Sir.
 - Almond?
 - Sir.
 - Allen-Jones?
 - Obecny, sir.
 - Anderton-Pullitt?
- Bingo!
- Anderton-Pullitt?

2

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
środa 29 września*

Nadal nie ma wieści od Andertonów-Pullittów. Biorę to za dobry omen - dowiedziałem się bowiem, że w ekstremalnych przypadkach śmierć może nastąpić w przeciągu zaledwie kilkunastu sekund - mimo to świadomość, że jeden z moich chłopców mógł umrzeć, naprawdę umrzeć, w mojej sali, gdy znajdował się pod moją opieką, sprawia, że dłonie mi potnieją, a serce wali jak młotem.

W okresie tych trzydziestu lat trzech moich uczniów straciło życie. Ich twarze wyzierają na mnie codziennie z fotografii wiszących w Środkowym Korytarzu: Hewitt - zmarł na zapalenie opon mózgowych podczas zimowych ferii w 1972; Constable - zginął w 1986 pod kołami samochodu, na swojej ulicy, gdy rzucił się w pogoń za piłką; oraz Mitchell - w 1989 - Mitchell, którego przypadek do dziś nie daje mi spokoju. Wszystkie te tragedie wydarzyły się w czasie wolnym od zajęć, mimo to za każdy z tych wypadków (a w szczególności Mitchella) nieustannie obwiniam sam siebie - nie mogę się pozbyć uczucia, że czegoś zaniedbałem, że nie byłem dość czujny.

Do tej smutnej statystyki dochodzą chłopcy ze Starej Gwardii Absolwentów. Jamestone - złośliwy nowotwór w wieku trzydziestu trzech lat; Deakin - guz mózgu; Stanley - kraksa samochodowa; Poulson - z niewiadomych przyczyn dwa lata temu popełnił samobójstwo, pozostawiając żonę i ośmioletnią córeczkę z zespołem Downa. Wszyscy oni byli „moimi chłopcami”, wciąż tak o nich myślę i kiedy stają mi przed oczami, ogarnia mnie żal i wielka pustka połączona z niewytłumaczalnym, bolesnym przeświadczeniem, że powinienem być przy nich w krytycznej chwili i jakimś cudem zapobiec katastrofie.

W pierwszej chwili uznałem, że Anderton się wygłupia. Chłopcy byli rozbrykani; Jackson kotłował się w kącie z jednym z kolegów, więc ja jak najszybciej

chciałem zabrać się do sprawdzania obecności. Niewykluczone więc, że gdy wszedłem do sali, Anderton już leżał nieprzytomny, a cenne sekundy umykały, gdy uciszałem klasę i szukałem pióra. Szok anafilaktyczny - tę fachową nazwę wielokrotnie słyszałem z ust nieszczęsnego chłopca, ale zawsze przypuszczałem, że owe dolegliwości są głównie wymysłem nadopiekuńczej matki i nie mają wiele wspólnego z jego aktualnym stanem fizycznym.

Zbyt późno odkryłem, że wszystkie medyczne dane znajdują się w teczce z dokumentami Andertona-Pullitta, łącznie z rozlicznymi, spisanyymi przez matkę zaleceniami dotyczącymi diety, ćwiczeń fizycznych, ubioru (tworzywa sztuczne wywoływały u chłopca bolesną wysypkę), fobii, antybiotyków, religii oraz integracji towarzyskiej. Pod hasłem „Alergie” widniały: pszenica (niecierancja o łagodnym przebiegu) oraz - wielkimi literami z kilkoma wykrzyknikami - ORZECZY!!!

Anderton-Pullitt oczywiście nigdy nie tyka żadnych orzechów. Jada tylko to, co zostało uznane za bezpieczne przez jego matkę i co, na dodatek, idzie w parze z jego dość ograniczonym kulinarnym gustem. W rezultacie każdego dnia zawartość jego pudełka na lunch wygląda identycznie: dwie, pokrojone na ćwiartki, kanapki z pastą Marmite i kremowym twarożkiem na bezglutenowym chlebie; jeden pomidor; jeden banan; paczka Zeków Maynarda (z których wyjada tylko czerwone i czarne cukierki, resztę zaś wyrzuca); a do tego puszka Fanty. Pochłonięcie tego posiłku zajmuje mu całą godzinę przeznaczoną na lunch; Anderton poza tym nigdy nie kupuje niczego w szkolnym sklepiku i nigdy nie przyjmuje poczęstunku od kolegów.

Nie mam pojęcia, jakim cudem udało mi się znieść go z Dzwonnicy. Kosztowało mnie to wiele wysiłku; chłopcy kręcili się wokół podekscytowani bądź kompletnie zdezorientowani. Zacząłem wzywać pomocy, nikt jednak się nie pojawił oprócz Gerry'ego Grachvogela, który wychynął z pobliskiej sali, zbladł tak, jakby za chwilę sam miał zemdleć, po czym zaczął jęczeć: „O, Boże! O, Boże”, zacierając przy tym swoje królicze łapki i rozglądając się nerwowo na wszystkie strony.

- Gerry, sprowadź pomoc - zarządziłem energicznie, niezdarnie balansując Andertonem na ramieniu. - Wezwij karetkę. *Modo fac!**

* łac. *Modo fac!* - No, rób! (przyp. red.).

Ale Grachvogel tylko wgapił się we mnie przerażony, z szeroko rozdziawionymi ustami. Na moje słowa natomiast błyskawicznie zareagował Allen-Jones. Ruszył biegiem po schodach, przeskakując po dwa stopnie, przy okazji nieomal zwalając z nóg Isabelle Tapi, właśnie wspinającą się na górę. McNair tymczasem popędził w stronę gabinetu Pata Bishopa, a Pink i Tayler pomogli mi podtrzymywać omdlałego Andertona. Gdy wreszcie dotarliśmy do Dolnego Korytarza, miałem wrażenie, że moje płuca wypełnia rozżarzony, płynny ołów, więc z prawdziwą ulgą przekazałem swój ciężar Bishopowi, który z kolei najwyraźniej poweselał, gdy stanęło przed nim konkretne

zadanie do wykonania. Uniósł Andertona-Pullitta w ramionach, jakby ten opasły trzynastolatek był zaledwie niemowlęciem.

Chwilę później zdałem sobie sprawę, że za moimi plecami Sutcliff właśnie skończył sprawdzanie obecności, Allen-Jones zaś dzwonił po karetkę.

- Powiedzieli, że będzie szybciej, jeżeli ktoś go przywiezie na oddział ratunkowy, sir!

Grachvogel rozpaczliwie próbował zapanować nad swoimi uczniami, którzy gremialnie wylegli na korytarz, żeby osobiście ustalić powód zamieszania, a na dodatek z gabinetu wyskoczył osłupiały Dyrektor wraz z Marlene wyziewającą z niepokojem zza jego ramienia.

- Panie Straitley! - Nawet w tak dramatycznym momencie Nowy był dziwnie sztywny, jakby został stworzony z innej materii niż ciało i skóra - z gliny lub może fiszbinu. - Czy łaskawie zechciałby mi pan wyjaśnić ...

Jego słowa utonęły jednak w masie innych dźwięków, nad którymi dominowało walenie mojego serca. Niespodziewanie stanęły mi przed oczami epickie opisy przygód dzielnych podróżników, w gęstwinie dżungli wspinających się po zboczach wulkanów przy złowieszczym akompaniamencie tubylczych tam-tamów.

Oparłem się o ścianę, zacząłem bowiem odnosić nieprzyjemne wrażenie, że kości, mięśnie i ścięgna w moich nogach przekształcają się w trzęsącą galaretę. Na domiar złego coś od środka rozrywało mi płuca, a do tego wydawało mi się, że gdzieś w okolicach górnego guzika kamizelki jakiś olbrzym nieustannie dźga mnie brutalnie palcem, jakby dla podkreślenia swojego ważnego argumentu. Zacząłem się rozglądać za krzesłem, na którym mógłbym spocząć, jednak było już za późno. Świat wokół zawirował i bezwolnie zacząłem się osuwać w dół ściany.

- Panie Straitley!

Z odwróconej perspektywy Nowy zdawał się jeszcze bardziej złowrogi niż zazwyczaj. „Spreparowana, skurczona głowa - zamajaczyło mi w myślach. - Wyjątkowo odpowiednia ofiara, by przebłagać Boga Wulkanów”. I pomimo ostrego bólu w piersiach nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

- Panie Straitley! Panie Bishop! Czy ktoś z łaski swojej zechce mi wreszcie wytłumaczyć, co tu się dzieje?

Niewidzialny paluch na nowo podjął swoje bezlitosne dźganie, bezceremonialnie więc usiadłem na podłodze. Marlene, zawsze wyjątkowo przytomna i kompetentna, zareagowała pierwsza. Bez wahania przyklęknęła obok, rozpięła mi koszulę i wsłuchała się w bicie serca. Bębny nadal waliły jak oszalałe; teraz już bardziej wyczuwałem, niż odbierałem świadomie, jakiś ruch wokół mnie.

- Panie Straitley, proszę się nie poddawać!

Nad Marlene unosił się kwiatowy, typowo kobiecy aromat. Wiedziałem, że powinienem poczynić jakąś błyskotliwą uwagę, ale jak na złość nic odpowiedniego

nie przychodziło mi do głowy. Piersi przeszywał ostry ból, a w uszach pulso-
wało nieznośne dudnienie. Próbowałem wstać, ale nie byłem w stanie się
podnieść. W efekcie jeszcze bardziej osunąłem się na ziemię, a wtedy nad-
zwyczaj wyraziście ujrzałem cekinowe Atomówki na różowych skarpetkach
Allena-Jonesa i... znowu wybuchnąłem śmiechem.

Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to twarz Nowego wpełzająca w pole wi-
dzenia oraz moje własne słowa: „*Bwana*, tubylcy nigdy nie zdołają się we-
drzeć do Zakazanego Miasta”.

Chwilę później straciłem przytomność.

Ocknąłem się w szpitalu. Doktor oznajmił mi, że miałem wiele szczęścia;
właśnie przeszedłem drobny incydent kardiologiczny, wywołany przez stres i
nadmierny wysiłek fizyczny. Chciałem natychmiast poderwać się z łóżka, ale
lekarz na to nie pozwolił, utrzymując, że muszę pozostać pod obserwacją
przez następne trzy do czterech dni.

Zaraz też pielęgniarka w średnim wieku, o różowych włosach i manierach
dobrotliwej przedszkolanki, zaczęła mi zadawać mnóstwo pytań, moje odpo-
wiedzi zaś zapisywała z miną wyrażającą łagodną dezaprobatę, jak gdybym
był dzieckiem moczącym się po nocach.

- No dobrze, panie Straitley. To teraz proszę mi powiedzieć, ile papiero-
sów wypalamy tygodniowo?

- Przykro mi, ale nie mam pojęcia. Nie zostałem wtajemniczony w szcze-
góły pani nałogu. - Twarz siostry wyrażała skrajną irytację. - Ach, pani ma na
myśl moją skromną osobę? Przepraszam, przez chwilę sądziłem, że należy
pani do rodziny królewskiej.

- Panie Straitley, ja muszę wykonać określoną pracę - wysyczała, patrząc
na mnie zwięzonymi oczami.

- To zupełnie tak samo jak ja - odparłem. - Zajęcia z łaciny z trzecio-
klasistami na piątej godzinie lekcyjnej.

- Jestem pewna, że szkoła jakoś obejdzie się bez pańskiej obecności.
Ostatecznie nie ma ludzi niezastąpionych.

Cóż za przygnębiająca konkluzja.

- Czy przypadkiem nie powinna pani sprawić, żebym się poczuł dużo le-
piej?

- I tak też się stanie, gdy tylko uporamy się z tą papierkową robotą -
odrzekła.

W rezultacie, mniej więcej pół godziny później, Roy Hubert Straitley zo-
stał zredukowany do kilkunastu rubryk, bardzo zbliżonych w charakterze do
zapisków w dzienniku szkolnym - pewnej liczby tajemniczych skrótów i
ptaszków w odpowiednich kratkach, których rozmieszczenie dostarczyło
indagującej mnie pielęgniarce aż nadto widocznej satysfakcji. Cóż, muszę
przyznać, że obraz wyłaniający się z owych danych nie przedstawiał się naj-
lepiej. Wiek: lat sześćdziesiąt cztery, nałogowy palacz, tygodniowe spożycie

alkoholu wahające się od umiarkowanego do łagodnie nadmiernego, waga natomiast plasująca się gdzieś pomiędzy *embonpoint* a *avoirdupois*.

Prowadzący mnie lekarz wodził wzrokiem po wynikach pielęgniarskiego wywiadu z wyrazem ponurej protekcyjności. Ów incydent był poważnym ostrzeżeniem - zawyrokował - był palcem Bożym.

- Nie ma pan przecież dwudziestu lat - wypowiedział takim tonem, jakby wtajemniczał mnie w jedną z prawd objawionych. - Więc, niestety, pewne rzeczy pozostają już w strefie zakazanej.

To stara śpiewka, którą słyszałem więcej razy, niż miałbym ochotę zliczyć.

- Tak, tak. Wiem. Żadnego palenia, picia, frytek ze smażoną rybą, żądnych jardowych sprintów czy seksownych kobiet, poza tym ani odrobiny...

- Rozmawiałem z pańskim lekarzem domowym - wszedł mi w słowo medyk. - Z niejakim doktorem Bevansem. Zgadza się?

- A, Bevans. Znam go bardzo dobrze. Mój wychowanek w latach 1975-1979. Szóstka z łaciny. Studiował medycynę na uniwersytecie w Durham.

- Hm. - Nie wiedziałem, że jedna drobna zgłoska może nieść w sobie aż tak wielki ładunek dezaprobaty. - W każdym razie powiedział mi, że już od dłuższego czasu bardzo się martwi pańskim stanem zdrowia.

- Doprawdy?

- Owszem.

Do wszystkich diabłów! Oto rezultat zapewnienia młokosom klasycznego wykształcenia. Zanim się człowiek obejrzy, obracają się przeciwko niemu - obracają się przeciwko niemu, te małe prosiaki - i ni stąd, ni zowąd, zarządzają beztłuszczową dietę, wbijanie się w luźne dresy i poszukiwanie odpowiedniego domu tak zwanej pogodnej starości.

- No, dobrze. Proszę mnie nie oszczędzać i oznajmić mi najgorsze. Co tym razem zaleca ten huncwot? Grzane piwo? Magnetyzm? Przystawianie pijawek? Pamiętam go, gdy był jeszcze uczniem Świętego Oswalda - mały, pyzaty rozrabiaka ciągle pakujący się w kłopoty. I teraz to on ma mi dyktować, jak powinienem postępować?!

- On darzy pana wyjątkową sympatią, panie Straitley.

Aha, zbliżamy się do bolesnego meritum, pomyślałem.

- Ale ma pan już przecież sześćdziesiąt pięć lat...

- Jeszcze wciąż sześćdziesiąt cztery. Moje urodziny przypadają dopiero na piątego listopada. Na Dzień Spisku Prochowego. Wieczór Ognisk*.

* Spisek zawiązany w celu wysadzenia parlamentu, w czasie gdy król Jakub I miał otwierać obrady Izby. Spiskowcy zamierzali przywrócić w Anglii katolicyzm. Aferę jednak wykryto i pojmano wielu sprzysiężonych, m.in. Guy Fawkesa. Dzień ten obchodzi się w Anglii jako święto - wystrzeliwuje się wówczas fajerwerki, a przede wszystkim pali ogniska, do których wrzuca się kukły Fawkesa (przyp. tłum.).

Na hasło „Spisek Prochowy” zareagował pobłażliwym potrząsaniem głową.

- A mimo to chce pan prowadzić tryb życia trzydziestolatka...
- A cóż innego mi pozostaje? Mam się rozłożyć plackiem na jałowej skale?

Doktor westchnął głęboko.

- Jestem przekonany, że tak wykształcony człowiek, jak pan, byłby w stanie w pełni cieszyć się emeryturą. Mógłby pan się oddać jakiemuś hobby...

Hobby! To dopiero paradne!

- Nie zamierzam w najbliższym czasie zasilać szeregu emerytów.
- Panie Straitley, proszę się wykazać rozsądkiem...

Szkoła Świętego Oswalda od ponad trzydziestu lat jest całym moim światem. Poza nią nie mam nic. Energicznie więc poderwałem się z łóżka szpitalnego i zdecydowanie postawiłem stopy na ziemi.

- Czuję się już doskonale - oznajmiłem.

3

Czwartek 30 września

Biedny stary Straitley. Strategia nakazywała odwiedzić go w szpitalu tuż po zakończeniu lekcji, tam jednak mi powiedziano, że już wyszedł na własne życzenie, ku wielkiemu niezadowoleniu personelu oddziału kardiologicznego. Ale skoro jego adres oficjalnie umieszczono w spisie wykładowców szkoły, ciekawość pchnęła mnie do złożenia mu wizyty w domu.

Nigdy wcześniej nie nadarzyła mi się okazja, żeby zetknąć się ze Straitleyem poza terenem Świętego Oswalda. Jego widok uświadomił mi, że to już sterany życiem mężczyzna, z typowym dla leciwego człowieka białym cieniem zarostu na brodzie i starczymi, kościstymi stopami wsuniętymi w podniszczone, skórzane pantofle. Zdawał się przyjemnie zaskoczony moją wizytą i z wdzięcznością przyjął małą, doniczkową roślinkę kupioną w przyszpitalnej kwiaciarni.

- Ależ nie trzeba się było fatygować - powiedział. - Ostatecznie już jutro zjawię się w szkole.

- Naprawdę? Tak szybko?

Ujął mnie tą deklaracją za serce, ale jednocześnie obudził we mnie niepokój. Ta gra sprawiała mi zbyt wiele przyjemności, by pozwolić Straitleyowi wymknąć się w zaświaty z powodu jakichś idiotycznych zasad.

- Czy nie powinien pan solidnie wypocząć? Przynajmniej przez kilka dni?

- Och, proszę nie zaczynać - odparł zniecierpliwiony. - Już się dość na ten temat nasłuchałem w szpitalu. „Proszę oddać się jakiemuś hobby”, zalecił lekarz. Najlepiej czemuś spokojnemu - jak wypychanie zwierząt czy makrami. Bogowie, czemu od razu nie wręczył mi czarki z cykutą i wszystkim przy okazji zaoszczędził zachodu?

Wyraźnie dramatyzował.

- Cóż - Straitley wykrzywił się zabawnie, usłyszawszy moją opinię - ostatecznie dramatyzowanie to moja specjalność.

Jego dom jest niewielkim, piętrowym szeregowcem leżącym mniej więcej dziesięć minut drogi od Świętego Oswalda. W holu niepodzielnie królują książki, część z nich na półkach, część nie - w każdym razie jest ich tak wiele, że nie można się zorientować, jaki właściwie jest kolor tapety pokrywającej ściany. Chodniki są wytarte niemal do osnowy - z wyjątkiem saloniku, gdzie na podłodze leży brązowy axminster. W powietrzu unosi się zapach kurzu, pasty do podłóg i sierści psa, który zdechl ponad pięć lat temu. W przedpokoju stoi wielki szkolny kaloryfer wydzielający potężne ilości ciepła. Posadzka w kuchni ułożona jest z ceramicznej mozaiki, a wszystkie skrawki ścian, niezastawione książkami, są pokryte zdjęciami grupowymi uczniów Świętego Oswalda.

Straitley zaserwował mi herbatę w jubileuszowym kubku szkoły i zaferował podejrzenie wyglądające czekoladowe herbatniki, które przechowuje w metalowej puszcze stojącej na półce kominka. Po pewnej chwili dotarło do mnie, że w domu łacinnik wydaje się niższy i drobniejszy niż w szkole.

- Jak się miewa Anderton-Pullitt? - O ile mi wiadomo, w szpitalu dawał wszystkim to pytanie mniej więcej co dziesięć minut, nawet wtedy, kiedy już było wiadomo, że życiu chłopca nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. - Czy odkryli już, co tak naprawdę się wydarzyło?

- Nie. Ale jedno jest pewne. Nikt pana za to nie wini, panie Straitley.

- Nie o to chodzi.

Rzeczywiście. By to zrozumieć, wystarczyło rozejrzeć się po ścianach, z których wyzierały rzędy młodych, chłopięcych twarzy. Ciekawe, czy gdzieś wśród nich jest Leon. I jakie ogarnęłyby mnie uczucia, gdyby udało mi się dojrzeć jego twarz tutaj, w domu Straitleya? A na dodatek obok Leona mnie - a właściwie Pinchbecka z baseballówką naciągniętą mocno na oczy, w marynarce ciasno się opinającej na cudzej, używanej koszuli?

- Nieszczęścia nie chadzają parami, a trójkami - oznajmił Straitley. Od-ruchowo sięgnął po herbatnika, szybko jednak cofnął rękę. - Najpierw Fal-low, teraz Anderton-Pullitt - ciekawe, co nas czeka w najbliższych dniach.

- Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że jest pan przesądny, sir.

- Przesądny? - W końcu jednak wziął herbatnika i umoczył w herbacie. - Cóż, jeżeli się pracuje w miejscu takim jak Święty Oswald, nie sposób uwolnić się od wiary w znaki, omeny i...

- Duchy? - To była przemyślna sugestia z mojej strony.

Nie odpowiedział uśmiechem na mój uśmiech.

- Naturalnie - odparł. - W tym cholernym miejscu aż roi się od duchów.

Ciekawe, czy mówiąc to, miał na myśli także mojego ojca. Lub Leona. Nie-spodziewanie przez głowę przebiegło mi pytanie, czy przypadkiem i ja nie jestem jednym z duchów snujących się po korytarzach Świętego Oswalda.

4

To właśnie owego lata John Snyder - powoli i niepostrzeżenie - zaczął się rozsypywać psychicznie. Pierwsze sygnały zupełnie mi umknęły, Leon bowiem tak zawładnął moimi myślami i wyobraźnią, że wszystko inne zostało zredukowane do niewyraźnych kształtów majaczących gdzieś na krańcu horyzontu. Gdy jednak zbliżał się lipiec, a ostatni semestr miał się ku końcowi, nie sposób już było nie zauważać kipiących w ojcu negatywnych emocji.

Najbardziej utkwił mi w pamięci jego gniew. Tego lata ojciec był jedną wielką chodzącą furią. Wściekał się na mnie, na szkołę, na tajemniczych i nieuchwytnych twórców graffiti zamalowujących sprayową farbą ściany pawilonu gimnastycznego. Na chłopców z młodszych klas, którzy obrzucali go wyzwiskami, gdy zasiadał na dużej kosiarce. Na dwóch starszych uczniów, którzy wypuścili się na rajd ową kosiarką i przez których otrzymał oficjalną naganą. Na okoliczne psy, pozostawiające niechciane prezenty na boisku krykietowym, które musiał potem usuwać, posiłkując się specjalnym woreczkiem i higienicznymi chusteczkami. Wściekał się na konserwatywny rząd, na właściciela pubu i na ludzi, którzy ostentacyjnie przechodzili na drugą stronę ulicy, gdy mamrocząc do siebie, wracał z supermarketu.

W pewien poniedziałkowy poranek, zaledwie kilka dni przed zakończeniem roku, przyłapał pierwszorocznika grzebiącego pod kontuarem w Portierni. Dzieciak ponoć szukał zagubionej torby, ale John Snyder był zbyt starym wygą, żeby nabrać się na takie wykręty. Prawdziwe intencje chłopca były wypisane na jego twarzy - kradzież, akt drobnego wandalizmu czy też inny paskudny psikus mający przysporzyć kłopotów Portierowi - tym bardziej że smarkacz już zdołał znaleźć małą butelkę irlandzkiej whisky pod sterłą starych gazet, a w jego oczach migotały iskierki złośliwej satysfakcji. A przynajmniej tak wydawało się mojemu ojcu - widział przed sobą paskudnego, aroganckiego smarkacza, więc postanowił udzielić mu lekcji.

W żadnym razie nie wierzę, żeby go uderzył. Mimo że podszyta goryczą, jego lojalność w stosunku do Świętego Oswalda była niezachwiana. I chociaż nie znosił wielu osób - Kwestora, Nowego, a przede wszystkim uczniów - instytucja jako taka wciąż cieszyła się jego szacunkiem. Problem w tym, że chłopak próbował się stawiać. „Nie ma pan prawa tknąć mnie palcem”, oświadczył chępliwie, a potem zaczął się domagać, by wypuścić go z Portierni, a w końcu głosem tak piskliwym, że aż ojcu przewiercało mózg (w niedzielny wieczór zabalował, co tym razem było widać i czuć), zaczął się wydierać: „Wypuść mnie, wypuść mnie, wypuść mnie!” aż jego wrzaski zaalarmowały doktora Tidy'ego urzędującego w pobliskiej Kwesturze.

Kiedy Tidy wpadł do Portierni, bezczelny dzieciak - do dziś pamiętam, że nazywał się Matthews - już zalewał się łzami. John Synde był potężnym mężczyzną, mogącym wzbudzać lęk, nawet kiedy zachowywał się spokojnie, a tego dnia wprost kipiała w nim furia. Tidy natychmiast zauważył, że ojciec ma przekrwione oczy, a na sobie zmięte ubranie; ujrzał zalaną łzami twarz ucznia i mokrą plamę rozkwitającą na przodzie jego szarych, regulaminowych spodni, i wnioski narzuciły mu się same. To była kropla, która przepeliła miarę. John Synde został wezwany przed oblicze Dyrektora jeszcze tego rana i w obecności Pata Bishopa (jego obecność miała gwarantować zachowanie zasady bezstronności) otrzymał następną naganę. Każda kolejna miała być równoznaczna z natychmiastowym dyscyplinarnym zwolnieniem z pracy.

Stary Dyrektor nigdy by tak nie postąpił. Mój ojciec był o tym przekonany. Shakeshafte zdawał sobie sprawę, jak wiele stresów przysparza praca w szkole - umiałby rozładować sytuację bez niepotrzebnego rozdmuchiwania incydentu. Ale Nowy przyszedł z sektora szkolnictwa państwowego i lubował się w politycznie poprawnej frazeologii. Pod maską jego surowości krył się w gruncie rzeczy słabeusz, więc gdy nadarzyła się okazja, żeby wystąpić w roli silnego, zdecydowanego lidera (nie ponoszącego przy tym żadnego profesjonalnego ryzyka), postanowił w pełni ją wykorzystać.

Oznajmił, że zostanie przeprowadzone drobiazgowe dochodzenie w sprawie. Na razie Synde miał nadal wykonywać swoje obowiązki, stawiać się codziennie przed obliczem Kwestora po instrukcje, jednak pod żadnym pozorem nie wolno mu było kontaktować się z uczniami. Każde następne wykroczenie - wypowiedział to słowo z faryzeuszowską satysfakcją dewota hołdującego abstynencji - poskutkuje natychmiastowym zwolnieniem.

Ojciec był przekonany, że Bishop stoi po jego stronie. „Dobry stary Bishop, to on powinien zostać Dyrektorem”, mawiał. Oczywiście mój ojciec wyjątkowo lubił tego potężnego faceta ze złamanym nosem rugbisty, hołdującego proletariackim gustom. Jednakże Bishop był niezwykle lojalny wobec

Świętego Oswalda. Mógł współczuć ojcu i rozumieć jego problemy, jednak nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości, że gdyby musiał się jednoznacznie opowiedzieć po czyjejs stronie, szkoła mogłaby liczyć na jego pełne wsparcie.

Niemniej Bishop wziął ojca na bok i powiedział, że nadchodzące wakacje to dobry moment, aby wreszcie wziąć się w garść. Wiedział, że ojciec pije za dużo, zauważył, jak bardzo się zapuścił. Ale miał też świadomość, że John Snyder jest w głębi serca porządnym człowiekiem, od pięciu lat lojalnie wypełniającym swoje obowiązki, i że z pewnością ma dość siły charakteru, by się wykaraskać z obecnego dołka.

Typowo Bishopowskie powiedzenie: „wykaraskać się z dołka”. Do chłopców przemawiał w identyczny sposób - niczym trener rugby motywujący drużynę do walki. Jego dialogi pełne były podobnych komunałów. „Z pewnością uda ci się wykaraskać z dołka”. „Zachowuj się, jak na dzentelmena przystało”, „Mężczyzna musi być twardy”.

Ojciec uwielbiał podobną retorykę - przemawiała do jego wyobraźni - na jakiś czas nawet zmotywowała go do działania. Ze względu na Bishopa zdecydowanie ograniczył picie. Poszedł się ostrzyć do fryzjera i zaczął przykładać większą wagę do staranności i schludności stroju. Wziął sobie do serca uwagę, że „się zapuścił” i wieczorami robił pompki przed telewizorem, podczas gdy jego dziecko czytało książkę na sofie i marzyło, żeby mieć innego ojca niż ten tłusty, tępy facet.

Wkrótce nadeszły wakacje i Portier miał mniej stresów. Ubyło mu też wiele obowiązków. Poza tym nie było chłopców tak nieznośnie uprzykrzających mu życie. W spokoju ducha kosił trawę, samotnie patrolował teren i pilnie wypatrywał nieuchwytnych grafficiarzy oraz biegających samopas psów.

W owym czasie wydawał się niemal szczęśliwy. Z kluczami w jednym ręku, z puszką piwa w drugiej, obchodził swoje niewielkie królestwo z przekonaniem, że choć jest tylko drobnym, to jednak bardzo istotnym trybikiem wspaniałej maszyny.

Mnie tymczasem zajmowały zupełnie inne sprawy. Rozsądek podpowiadał, żeby odczekać pełne trzy dni od zakończenia szkoły i dopiero wówczas zadzwonić do Leona w celu umówienia się na spotkanie. Leon był przyjazny, ale nie spieszyło mu się do spotkania. Tłumaczył się, że matka zaprosiła na jakiś czas znajomych i że on musi ich zabawiać. Po wielu dniach układania precyzyjnych, wakacyjnych planów był to dla mnie bolesny cios, ale instynkt podszeptował, że nie wolno się skarżyć ani jęczeć. Najodpowiedniejszą reakcją na przewrotność czy upór Leona była obojętność i zgoda na to, by sprawy toczyły się zgodnie z jego widzimisię.

- Czy to bliscy znajomi twojej mamy? - To pytanie nie wynikało w zasadzie z mojej ciekawości, jedynie z chęci podtrzymania rozmowy.

- Aha. Niejacy Tynanowie ze swoim dzieciakiem. Zawracanie głowy, ale razem z Charlie będziemy musieli się trochę powysilać. Sam rozumiesz - podawać kanapki z ogórkiem, nalewać sherry i takie tam bzdury. - W jego głosie brzmiała nuta utyskiwania, mnie jednak przez cały czas nie opuszczało wrażenie, że Leon uśmiecha się pod nosem.

- Dzieciakiem? - Przed oczami stanął mi inteligentny, wesoły chłopak, przy którym natychmiast zblaknę w oczach Leona.

- Uhm. Z Francesca. Małą, grubą dziewczyną zwariowaną na punkcie kuców. Łaska boska, że Charlie jest na miejscu - w innym wypadku pewnie musiałbym ją niańczyć.

- Ach tak. - Mimo starań w moim tonie pojawił się cień smutku.

- Nie przejmuj się - rzucił radośnie Leon. - To nie potrwa długo. Zadzwoń, jak już będę wolny. OK?

To mną wstrząsnęło. Nie istniał żaden sensowny powód, by nie podać Leonowi mojego numeru telefonu. Chociaż na myśl, że ojciec mógłby podnieść słuchawkę, aż ciarki przeszły mi po plecach.

- Eh, nie ma sprawy. - Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. - To do usłyszenia.

Nie pozostało więc nic innego jak tylko czekać. Mijały dni, a mnie męczył niepokój i zżerała niewyobrażalna nuda. Nieustannie walczyły we mnie dwa impulsy: jeden, by tkwić ciurkiem przy telefonie, na wypadek gdyby Leon jednak zadzwonił; i drugi - równie silny - by pokręcić się na rowerze w pobliżu jego domu w nadziei na „przypadkowe” spotkanie. Nie było w moim życiu żadnych innych przyjaciół, czytanie wprawiało mnie w zniecierpliwienie. Nawet słuchanie płyt nie wchodziło w rachubę, bo każdy kawałek natychmiast kojarzył mi się z Leonem. A lato tego roku było wyjątkowo piękne, takie, jakie występuje tylko we wspomnieniach z dzieciństwa lub w niektórych powieściach - gorące, błękitno-zielone, przepełnione brzęczeniem pszczół i szeptami zakochanych. Tymczasem dla mnie równie dobrze dzień w dzień mógł lać deszcz. Bez Leona wszystko traciło swój urok. Dni upływały mi na snuciu się po kątach lub drobnych kradzieżach w sklepach, dokonywanych jedynie z chęci wyładowania własnej frustracji.

Po jakimś czasie ojciec zauważył, że dzieje się ze mną coś złego. Jego świeżo podjęte zobowiązania chwilowo uczyniły go bardziej przytomnym. Zaczął więc coraz częściej rzucać uwagi na temat mojej apatyczności i złych nastrojów. Uważał, że to wynik dojrzwania i nieustannie zalecał więcej ruchu na świeżym powietrzu.

Rzeczywiście, co do jednego miał rację - dojrzwanie weszło u mnie w dość przyspieszoną fazę. Zbliżały się moje trzynaste urodziny, kończyny wydłużały mi się w szybkim tempie. I chociaż każdy, patrząc na mnie, wciąż widziałby chude, drobnokościste dziecko, to mój regulaminowy mundurek

Świętego Oswalda stał się dziwnie przyciasny, szczególnie marynarka (co oznaczało, że wkrótce trzeba będzie pomyśleć o nowej), nogawki spodni natomiast kończyły się na dwa cale nad kostkami.

Minął tydzień. Potem połowa następnego. Wakacje umykały, przeciekały między palcami. Czy to możliwe, że Leon gdzieś wyjechał? W końcu niepokój kazał mi pojechać na rowerze pod jego dom. Zza otwartej furtki prowadzącej na patio dobiegał śmiech i gwar głosów, lecz trudno mi było stwierdzić, jak wiele osób tam siedzi i czy jest wśród nich mój przyjaciel.

Ciekawiło mnie, jak wyglądają tajemniczy goście. Leon nadmienił, że pan Tynan jest bankierem, a jego żona jakąś wysoko postawioną urzędniczką - podobnie jak matka Leona. Świetnie wykształceni ludzie jadający tartinki z ogórkiem i popijający drinki na werandzie. Ludzie, którymi nigdy nie mogliby się stać John i Sharon Snyder'owie, nawet gdyby mieli furę pieniędzy. Ludzie będący rodzicami z moich marzeń.

Goście obecni w domu Leona obsesyjnie narzucali się moim myślom. Wyobrażnia podsuwała mi różne obrazy. Oto Tynanowie: on w lekkiej lnianej marynarce, ona - w białej zwiewnej sukience, obok pani Mitchell stoi z dzbankiem Pimm's nr 5 i tacą zastawioną wysokimi szklankami, a nieopodal, na trawie, siedzą Leon i jego siostra, Charlie, wyzłoceni słońcem i tym wewnętrznym blaskiem, pierwszy raz widzianym przeze mnie u Świętego Oswalda tego dnia, gdy zuchwałość pchnęła mnie do złamania zakazu i przekroczenia niewidzialnej granicy.

Ta niewidzialna granica... Znowu pojawiła się w polu mojego widzenia i jak poprzednio kusiła swoją bliskością. Teraz niemal stała się namacalna - wąska, złota linia odgradzająca mnie od wszystkich cudów będących przedmiotem mojego pożądania. Cóż jeszcze muszę zrobić? Przecież przez ostatnie trzy miesiące udawało mi się funkcjonować w obozie przeciwnika na podobieństwo wilka-przybłądy, który przyłączył się do sfory myśliwskich psów i po kryjomu podbierał im łup. Czemu więc ogarniało mnie takie przygnębiające poczucie wyobcowania? I dlaczego, dlaczego Leon nie zadzwonił?

Może szóstym zmysłem wyczuł moją odmienność i zrozumiał, że przebywanie ze mną przynosi mu ujmę? Wiele godzin spędzonych samotnie w Wartowni upłynęło mi na rozmyślaniu nad tą kwestią. Być może moja diagnoza była trafna. Być może było we mnie coś taniego, tandetnego - i to właśnie odstraszyło Leona. Nie udało mi się stanąć na wysokości zadania. Leon mnie przejrzał. A może jednak nie? Ta niepewność doprowadzała mnie do szału. Było tylko jedno wyjście z sytuacji - wybadanie, jak jest naprawdę.

W niedzielę niespodziewany przypływ odwagi natchnął mnie do tego, by pojechać na rowerze pod dom Leona. Była to przestronna edwardiańska budowla, z podwójnym frontonem, dużym trawnikiem, zadrzewionym ogrodem, dużą altaną i sadem otoczonym kamiennym murem.

„Stare pieniądze”, jak zwykł mawiać mój ojciec z zawiścią i pogardą razem na widok podobnych domów. Dla mnie był to natomiast świat, o jakim czytało się w powieściach takich jak „Jaskółki i Amazonki”. Świat, w którym popijało się lemoniadę na trawniku, posyłało dzieci do prywatnych szkół z internatem, organizowało pikniki nad morzem, zabierając ze sobą pyszne babeczki upieczone przez pulchną, wesołą kucharkę. W owym świecie eleganckie matki wylegiwały się popołudniami na kosztownych szezlongach, a palący fajkę ojcowie byli nieomylni i zawsze wyrozumieli, chociaż niewiele czasu spędzali w domu. Mimo że do moich trzynastych urodzin pozostał jeszcze miesiąc, gnębiło mnie przykre poczucie, że jestem już kimś bardzo starym, jakby okradziono mnie z dzieciństwa - a przynajmniej z takiego dzieciństwa, jakie powinno być moim udziałem.

Nie udało mi się opanować drżenia ręki podczas otwierania furtki i pukania do drzwi. Zza domu dochodził odgłos rozmowy. Matka Leona mówiła coś na temat pani Thatcher i związków zawodowych, na co męski głos odpowiedział: „Jedynym sposobem rozwiązania tego problemu...”, a w tle rozległ się delikatny brzęk kostek lodu uderzających o szkło. Gdzieś z bliska dobiegły mnie słowa Leona: „*Vae!* Błagam, mówmy o wszystkim, tylko nie o polityce. Czy ktoś miałby ochotę na lemoniadę z wódką?”.

- Jasne! - wykrzyknęła Charlie, siostra Leona.

Potem odezwał się inny dziewczęcy głos - niski, starannie modulowany.

- Oczywiście, czemu nie.

To zapewne Francesca. Teraz już to imię nie wydawało mi się tak głupie jak wówczas, gdy Leon wymówił je przez telefon. Nie wzbudzało rozbawienia, ale dziwny niepokój. Nagle odezwał się we mnie silny, niepowstrzymany przymus, by podejść bliżej patio i niepostrzeżenie przyjrzeć się ludziom siedzącym w ogrodzie.

Wszystko wyglądało tak, jak w moich wyobrażeniach. Za domem rozciągała się weranda, a nieopodal stało potężne drzewo. Promienie słoneczne przesiane przez jego liście układały się w kunsztowną mozaikę światła i cienia na stojących pod drzewem stolikach i krzesłach. Siedziała tam pani Mitchell, jasnowłosa, bardzo młodo wyglądająca w dżinsach i białej sportowej koszuli; obok niej - pani Tynan, w delikatnych sandałach i eleganckiej lnianej sukience; dalej Charlotte, usadowiona na huśtawce, a u jej boku, zwrócony twarzą w moją stronę, Leon - w zniszczonych trampkach i wypłowiałym T-shircie „Stranglersów”.

Urósł. Zmężniał. W przeciągu zaledwie trzech tygodni zdecydowanie wyostrzyły mu się rysy twarzy, a jego włosy, zawsze mocno przydługie jak na standardy Świętego Oswalda, teraz już wpadały mu w oczy. Bez mundurka mógłby być nawet jednym z dzieciaków z mojej szkoły, gdyby nie ów blask; poźlocista patyna, jakiej można nabrać tylko wtedy, gdy się mieszka w takim

pięknym domu, uczy się łaciny w Dzwonnicy pod okiem Quaza, jada bliny z wędzonym łososiem i popija lemoniadę z wódką - a nie rybę z frytkami i piwo. No i przede wszystkim nie żyje się w przeświadczeniu, że w sobotnie wieczory zawsze trzeba się zamykać w pokoju na klucz.

W owej chwili ogarnęła mnie wielka tęsknota - nie tylko za Leonem, ale za tym wszystkim, co uosabiał. Moje doznania były tak silne, że umknęła mojej uwagi obecność dziewczyny siedzącej u jego boku - Franceski, grubaski uwielbiającej kuce, o której dość pogardliwie Leon mówił przez telefon. Chwilę później jednak mój wzrok powędrował w jej stronę i wówczas tak mnie zamurowało, że nawet nie przyszło mi do głowy, by dobrze się skryć przed wzrokiem obecnych na werandzie ludzi.

Kiedys może i była postrzeloną grubaską. Jednak teraz... teraz... Wprost brakowało słów, żeby ją opisać. Nie przypominała jakiegokolwiek znanej mi osoby. Z moich doświadczeń wynikało, że mężczyźni pożądają dziewczyn takich jak Pepsi, jak modelki z pisemek ojca czy też podobnych do Tracey Delacey. Mnie co prawda żadna z nich nie wydawała się pociągająca, no ale akurat w tym nie było przecież nic dziwnego, prawda?

Stanęła mi przed oczami Pepsi ze sztucznymi paznokciami i towarzyszącym jej odorem taniego lakieru do włosów; potem nieustannie żującą gumę Tracey o odrapanych kolanach i wечно nachmurzonej twarzy; w końcu kobiety z pisemek, niby potulne, a jednocześnie dziwnie żarłoczne, rozłożone niczym zwłoki na stole patologa. Przyszła mi także na myśl moja matka, pachnąca cinnabarem.

Ta dziewczyna, Francesca, była istotą wywodzącą się z zupełnie innej rasy. Miała czternaście, może piętnaście lat, była smukła i opalona na złocisty brąz. Od niej dopiero bił niewyobrażalny blask - od miodowych włosów, związanych luźno w koński ogon, szczupłych, długich nóg, wynurzających się z szortów koloru khaki. W zagłębieniu szyi połyskiwał mały złoty krzyżyk, a na jej twarzy kładł się ciepły cień. I nagle wszystko stało się dla mnie jasne. A więc dlatego mój przyjaciel nie dzwonił. Z powodu tej dziewczyny - tej niezwyklej piękności.

- Hej, Pinchbeck!

O, Boże! Leon mnie zauważył! Muszę uciekać!

Było już jednak za późno - Leon szedł w moją stronę, zdziwiony, ale wcale nie wkurzony. Parę kroków za nim postępowała dziewczyna. Serce skurczyło mi się do rozmiarów małego orzecha, mimowolnie twarz zastygła w nieruchomą maskę.

- Cześć, Leon - udało mi się wydusić po chwili. - Dzień dobry, pani Mitchell. Właśnie przejeżdżałem nieopodal...

Spróbujcie sobie wyobrazić tamto koszarne popołudnie. Moim jedynym marzeniem była jak najszybsza ucieczka do domu, ale Leon mi na to nie pozwolił. Skończyło się więc na dwóch godzinach istnych tortur - popijaniu

lemoniady z wódką, wywołującej zgagę, odpowiadaniu na pytania mamy Leona, głównie dotyczące mojej rodziny, i znoszeniu nieustającego poklepywania mnie po ramieniu przez pana Tynana, snującego jednocześnie domysły, jakich to wspólnie z Leonem dopuszczamy się w szkole wybryków.

To był koszmar. Ból rozsadzał mi głowę i męczyły mnie mdłości, a tymczasem sytuacja bezwzględnie wymagała, by się uśmiechać, uprzejmie odpowiadać na pytania, i do tego patrzeć, jak Leon i jego dziewczyna - bo nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Francesca jest jego dziewczyną - wylegują się w cieniu, szepczą coś sobie do ucha i trzymają się za ręce, nie odrywając od siebie wzroku.

Do dziś nie wiem, co tego dnia usłyszała ode mnie matka Leona. Pamiętam natomiast, że była dla mnie wyjątkowo miła. Robiła wszystko, by mnie włączyć do rozmowy, wypytywała o moje hobby i plany na wakacje, interesowała ją moje opinie na różne poruszane w rozmowie tematy. Choć instynkt kazał mi zmykać do mysiej dziury, a udzielane przeze mnie odpowiedzi pewnie nie zawsze trzymały się kupy, matka Leona wyraźnie mnie zaakceptowała. Tylko Charlotte obserwowała całą sytuację uważnie, w milczeniu, które mogłoby mi się wydać podejrzane, gdyby tak bardzo nie pochłaniało mnie wówczas własne cierpienie.

W końcu pani Mitchell musiała zauważyć, że coś jest nie w porządku, bo zatroskała się moją bladeścią.

- To tylko lekki ból głowy. - Może i udałoby mi się uśmiechnąć, gdyby w owej chwili Leon nie bawił się długim, miodowobeżowym kosmykiem włosów Franceski. - Od czasu do czasu cierpię na tę przypadłość. - To już była desperacka improwizacja. - Myślę, że powinienem wrócić do domu i przez jakiś czas poleżeć w spokoju.

Mama Leona najwyraźniej nie miała ochoty mnie wypuścić. „Może poleżysz w pokoju Leona”, zaproponowała. Chciała podać mi aspirynę. Otoczyła taką troskliwością, że aż łzy napłynęły mi do oczu. Musiała to zauważyć, bo uśmiechnęła się ciepło i pogłaskała po ramieniu.

- W takim razie jedź do domu i wypocznij. Mam nadzieję, że od razu poczujesz się lepiej.

- Dziękuję, pani Mitchell. - Jakimś cudem udało mi się kiwnąć z wdzięcznością głową, chociaż tak naprawdę chciało mi się rzygać. - To było naprawdę urocze popołudnie. Wprost cudowne.

Leon zamachał na pożegnanie ręką, a pani Mitchell na siłę wcisnęła mi w dłoń kawałek lepszego ciasta, owinięty w papierową serwetkę. Ledwo weranda zniknęła mi z oczu, dobiegł mnie jej niski głos o nienagannej dykcji.

- Cóż za zabawny mały chłopiec, Leonie. Taki grzeczny i zdystansowany. Czy blisko się przyjaźnicie?

5

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
wtorek 5 października*

Oficjalna, przesłana przez szpital, diagnoza medyczna brzmiała: szok anafilaktyczny wywołany spożyciem orzechów arachidowych bądź produktu skażonego arachidami, zapewne na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

Oczywiście nie obyło się bez burzy. Pani Anderton-Pullitt oznajmiła Patowi Bishopowi, który akurat nawinął się jej pod rękę, że to całe wydarzenie woła o pomstę do nieba, albowiem szkoła jest miejscem zobowiązanym do zagwarantowania pełnego bezpieczeństwa jej synowi. Czemu więc w trakcie nieszczęśliwego wydarzenia zawiódł nadzór nad dziećmi? I w ogóle jakim cudem wychowawca klasy nie zauważył, iż biedny James stracił przytomność?

Pat starał się spacyfikować sfrustrowaną matkę najlepiej, jak umiał. A właśnie tego typu sytuacje sprawiają, że wreszcie czuje się jak ryba w wodzie. Pat wie, jak rozbrajać antagonizmy; zawsze chętnie służy ramieniem, na którym można się wypłakać; ponadto - aż emanuje siłą autorytetu. W związku z tym obiecał, że cały ten przykry incydent zostanie dogłębnie zbadany, a jednocześnie zapewnił panią Anderton-Pullitt, iż pan Straitley jest wyjątkowo sumiennym pedagogiem, który bez wątpienia zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby zapewnić jej synowi pełne bezpieczeństwo.

Tymczasem młodzian znajdujący się w centrum zainteresowania, rozpiekał się na szpitalnym łóżku i z pełną zadowolenia miną rozczytywał w „Praktycznej Aeronautyce”.

Natomiast pan Anderton-Pullitt, jeden z członków Zarządu Szkoły (a przy okazji eksreprezentant Anglii w krykiecie), zażądał od władz szpitala przeprowadzenia analiz resztek kanapek spożywanych feralnego dnia przez jego syna, po czym - rozsierzony - zapowiedział, że jeżeli zostaną tam wykryte

choćby śladowe ilości orzechów arachidowych, pozwie do sądu odpowiedzialnego wytwórcę ekologicznej żywności, nie wspominając już o sieci dystrybucji detalicznej, a także solennie zapewnił, że wszystkich winnych ostatecznie puści z torbami. W końcu jednak testów nie przeprowadzono, zanim bowiem się do nich zabrano, odkryto pojedynczego fistaszka pływającego, niemal w swej dziewiczej postaci, w resztkach napoju Jamesa.

Na początku Andertonowie byli kompletnie zdezorientowani. Jakim cudem orzech znalazł się w fancie ich syna? Gdy jednak otrząsnęli się z pierwszego szoku, postanowili zaskarżyć o odszkodowanie producenta napoju. Ku ich rozczarowaniu kompetentni prawnicy wkrótce stwierdzili, że trudno będzie udowodnić wielkiej korporacji jakiegokolwiek zaniedbania. Przede wszystkim dlatego, że puszka stała przez dłuższy czas otwarta, teoretycznie więc wszystko mogło wpaść do jej wnętrza.

Wpaść lub zostać tam z rozmysłem wrzucone.

Podobna konkluzja była nieunikniona. Jeżeli manipulowano przy napoju Jamesa, winowajcą musiał być kolega z klasy. Co więcej, złoczyńca z pewnością zdawał sobie sprawę, że jego czyn doprowadzi do poważnych, a nawet potencjalnie śmiertelnych skutków. Ostatecznie rozwścieczeni Andertonowie zlekceważyli nawet samego Bishopa i zwrócili się bezpośrednio do Dyrektora, grożąc, że jeżeli Nowy energicznie nie zabierze się do działania, włączą do sprawy policję.

Powinienem był uczestniczyć w mediacjach. Nie mogę sobie wybaczyć, że mnie wówczas zabrakło w szkole. Kiedy jednak obudziłem się nazajutrz po swoim szpitalnym antrakcie, czułem się tak strasznie wyczerpany - tak żałośnie stary - że zadzwoniłem do Boba Strange'a i oznajmiłem, że nie jestem w stanie przyjść tego dnia do pracy.

- Ależ nikt nie śmiałby od ciebie wymagać czegoś podobnego. - Strange okazał najwyższe zdumienie. - Byłem przekonany, że przynajmniej przez weekend zatrzymają cię w szpitalu. - Oficjalny, fałszywie słodki ton z trudem skrywał jego rozczarowanie, że właśnie tak się nie stało. - Chcę, byś wiedział, że bez problemu mogę ci załatwić zastępstwo na najbliższych sześć tygodni.

- To nie będzie konieczne. W poniedziałek stawię się w szkole.

Jednak mleko się rozlało jeszcze przed poniedziałkiem. Zanim się zjawiłem, przeprowadzono dochodzenie wśród uczniów mojej klasy; powołano i przesłuchano świadków; przeszukano szafki uczniów oraz odbyto dziesiątki rozmów telefonicznych. Doszło do konsultacji z doktorem Devine'em - jako ekspertem w sprawach BHP - po czym ówże Devine wraz z Bishopem, Strange'em, Nowym i doktorem Pooleyem, przewodniczącym Zarządu Szkoły, zamknęli się na wiele godzin w dyrektorskim gabinecie z Andertonami-Pullittami.

Rezultat: gdy wróciłem do pracy w poniedziałek, zastałem swoją klasę w stanie najwyższej dezorientacji i totalnego wzburzenia. Ta afera przyćmiła

nawet niedawny - i wyjątkowo niemiły - incydent z artykułem w „Examine-rze”, niedwuznacznie i złowieszczo świadczącym o tym, że oto w sercu szkoły zagnieździł się tajemniczy szpieg. W obecnie zajmującej wszystkich sprawie wyniki śledztwa Nowego okazały się niepodważalne i druzgocące. Feralnego dnia Knight kupił paczkę fistaszków w szkolnym sklepiku i przyniósł ją do klasy w godzinie lunchu. W pierwszym odruchu chłopiec temu zaprzeczył, jednak ów fakt zapamiętało kilka osób, łącznie z jednym z nauczycieli. Ostatecznie Knight przyznał, że rzeczywiście przyniósł do klasy orzeszki, jednak stanowczo zaprzeczył jakimkolwiek manipulacjom przy czymkolwiek napoju. Ze łzami w oczach zapewniał, że przecież bardzo lubi Andertona-Pullitta, i w związku z tym nie zrobiłby niczego, co mogłoby zaszkodzić koledze.

Niemniej natychmiast wyciągnięto protokół z zawieszenia Knighta, w którym zostali wymienieni świadkowie jego bójki z Jacksonem. I oczywiście wśród owych świadków znajdował się również Anderton-Pullitt. Uznano to za motyw zbrodni i na tej podstawie wydano werdykt.

Cóż, bez wątplenia podobne argumenty upadłyby w murach Old Bailey. Ale szkoła to nie sala sądowa - rządzi się własnymi prawami i swoistymi sposobami wprowadzania tych praw w życie. Podobnie jak Kościół czy Armia, Święty Oswald dba przede wszystkim o własny wizerunek. Zanim więc wróciłem do pracy, Knight został osądzony, uznany za winnego i zawieszony w prawach ucznia aż do połowy semestru.

Ja jednak nie mogłem uwierzyć w winę tego chłopca.

- Nie chodzi o to, że uważam go za niezdolnego do popełnienia podobnego czynu - oznajmiłem Dianne Dare, gdy oboje znaleźliśmy się w porze lunchu w pokoju nauczycielskim. - To przebiegłe dziecko, z pewnością skłonne do podstępnych działań, jednak... - westchnąłem głęboko - ...ta cała sprawa bardzo mi się nie podoba. Nie lubię Knighta, niemniej nie wierzę, że posunąłby się do czegoś aż tak idiotycznego.

- Głupota jest wszechobecna i wszechogarniająca. Nigdy nie należy o tym zapominać - wtrącił stojący nieopodal Pearman.

- To prawda - zgodziła się Dianne - ale tutaj mamy też do czynienia ze zbrodniczym zamiarem. Jeżeli ten chłopiec miał świadomość tego, co czyni...

- Jeżeli rzeczywiście ją miał - wtrącił Light z fotela pod zegarem - to, do cholery, należałoby go natychmiast wtrącić za kratki. Obecnie wciąż się czyta o jemu podobnych młodocianych typkach - gwałty, morderstwa, rozboje i nie wiadomo co jeszcze. I nawet nie można się na dobre z nimi rozprawić, bo jacyś popieprzeni liberałowie na to nie pozwalają.

- Za moich czasów problemy rozwiązywała kara chłosty - zauważył posępnym głosem McDonaugh.

- Chrząnić chłostę - zdecydował Light. - Należy przywrócić obowiązkową służbę wojskową. To by wreszcie nauczyło gówniarzy dyscypliny.

Bogowie, cóż to za osioł, pomyślałem. Tymczasem rzeczony osioł przez kilka kolejnych minut przeżył mięśnie i ciągnął bezsensowną tyradę, za co został nagrodzony ognistym spojrzeniem smolistych oczu Isabelle Tapi, śledzącej rozwój sytuacji z jogurtowego kąta.

Młody Keane, również pilnie przysłuchujący się rozmowie, za plecami Li-gha wykrzywił swoją inteligentną, wyrazistą twarz w fenomenalną parodię mimiki nauczyciela WF. Udawałem, że tego nie widzę, z trudem jednak udało mi się stłumić śmiech.

- Łatwo snuć gadki na temat dyscypliny - odezwał się spoza płachty „Mirror” Roach. - Ale w gruncie rzeczy jakie sankcje pozostały nam do dyspozycji? Jeżeli zrobią coś paskudnego - zatrzymanie w kozie. A jeżeli coś jeszcze gorszego - zawieszenie, a więc kompletne przeciwieństwo pierwszej kary. I gdzie w tym jakikolwiek sens?

- Nie ma żadnego - zawyrokował Light. - Niemniej musimy sprawiać wrażenie, że jakoś reagujemy na durne wybryki. Tak czy owak, bez względu na to, czy Knight jest winien czy nie...

- A jeżeli nie? - zatroskał się Roach.

McDonaugh machnął lekceważąco ręką.

- To nieistotne. Najważniejsze, by nauczyć moresu. Ktokolwiek popełni wykroczenie, musi wiedzieć, że nie ominą go baty.

Light skinął głową, Keane wykrzywił twarz w kolejnym szyderczym grymasie, Dianne wzruszyła ramionami, Pearman zaś uśmiechnął się z pełną wyższości ironią.

- Chociaż z pewnością był to Knight - zawyrokował Roach. - Podobny idiotyzm jest bardzo w jego stylu.

- Mnie jednak wydaje się to nieprawdopodobne. Instynkt podpowiada mi, że coś jest w tej sprawie nie w porządku - oznajmiłem.

Chłopcy zachowali nietypowe dla nich milczenie. Normalnie podobna historia powinna stanowić dla nich jakże pożądane przełamanie szkolnej rutyny, podobnie jak wszystkie drobne skandale i nieszczęścia, tajemnice i bójki - klasyczne przestępstwa wczesnej młodości. Ta sprawa jednak niespodziewanie okazała się wyjątkowa. Naruszono jakąś nieprzekraczalną granicę i nawet chłopcy, w większości przecież niedarzący Andertona-Pullitta sympatią, patrzyli na ów przykry incydent ze zmieszaniem i dezaprobatą.

- On ma trochę nierówno pod sufitem, sir - zauważył Jackson. - To znaczy, nie można powiedzieć, by był kompletnym świrem czy coś, ale całkiem normalny to też nie jest.

- Czy wszystko z nim będzie w porządku, sir? - Tayler, również cierpiący na różne alergie, zdawał się szczerze zaniepokojony.

- Na szczęście tak. - Anderton już wrócił do domu i w zgodnej opinii lekarzy zdążył całkowicie dojść do siebie. - Ale mogło się to okazać dla niego tragiczne w skutkach.

Chłopcy patrzyli po sobie i wyglądali na skonsternowanych. Do tej pory niewielu z nich zetknęło się ze śmiercią - zaledwie paru straciło ukochanego psa, kota czy kogoś z dziadków. Myśl, że jeden z nich mógł umrzeć - naprawdę umrzeć, na ich oczach, w ich klasie - wzbudziła ogólne przerażenie.

- To musiał być wypadek - po chwili stanowczo orzekł Tayler.

- Ja też jestem tego zdania.

A przynajmniej taką miałem nadzieję.

- Doktor Devine powiedział, że w razie potrzeby możemy się zgłosić po pomoc do szkolnego psychologa - poinformował mnie McNair.

- A czujecie taką potrzebę?

- Czy z tego powodu będziemy się mogli zwolnić z lekcji, sir?

Spojrzałem na niego i zobaczyłem, że uśmiecha się szelmowsko.

- Po moim trupie - oświadczyłem.

W ciągu dnia niepokój chłopców narastał. Allen-Jones okazywał nadzwyczajną nadpobudliwość; Sutcliff zdawał się mocno przygnębiony; Pink zdenerwowany; natomiast Jackson popadł w kłótlivy nastrój. Ja także czułem się podminowany, a podminowanie nauczyciela, jak ogólnie wiadomo, udziela się uczniom i doprowadza do zamieszania w klasie. Do tego wszędzie wokół trzaskały drzwi; drżały szyby; październik przyzeglował na fali porywistych wiatrów i nagle nastała jesień.

Lubię ów szczególnie dramatyczny moment tej pory - jest niczym płowy lew porządkujący grzywą płomiennych liści, zwiastujący swym rykiem nieuchronny schyłek roku. Jest to też czas niebezpieczny: gwałtownych wybuchów aury przeplatanych zwodniczym spokojem; fajerwerków w kieszeniach chłopców i kasztanów ściskanych w dłoniach. To pora, która najbardziej zbliża mnie do odległych lat chłopięcych, a jednocześnie - paradoksalnie - do śmierci. W tym też okresie Święty Oswald nabiera szczególnej urody - wyłoczony przez lipy, z wystrzelającą w niebo Dzwonnicą zdającą się wydawać własne, świszczące-zawodzące tony.

No i w tym roku dochodzi coś jeszcze. Dziewięćdziesiąt dziewięć semestrów; trzydzieści trzy jesienie; połowa mojego życia. Niespodziewanie te wszystkie semestry zaczęły mnie dziwnie przytłaczać i nawet ostatnio przebiegło mi przez myśl, czy przypadkiem młody Bevans nie miał racji. Emerytura nie musi być równoznaczna z wyrokiem śmierci. Jeszcze jeden semestr i stanę się centurionem - wycofanie się w takim momencie nikomu nie przyniosłoby ujmę. Poza tym wszystko się zmienia - i tak w istocie być powinno. Chodzi jednak o to, że ja już jestem za stary na zmiany.

W poniedziałek wieczorem, wracając do domu, zerknąłem w głąb Portierni. Nie znaleziono jeszcze nikogo na miejsce Fallowa, więc na razie Jimmy Watt przejął część jego obowiązków. Jednym z nich jest przyjmowanie telefonów w centralce, ale Jimmy nie ma odpowiedniej ogłady, a na dodatek

często przez pomyłkę rozłącza rozmowy zamiast przełączać je na wewnętrzny numer lub kierować na miasto. W związku z tym wiele osób nie może się dodzwonić do Szkoły, połączenia nie wychodzą na zewnątrz i poziom frustracji gwałtownie wzrasta.

Niewątpliwie jest to wina Kwestora. Jimmy robi to, co mu kazano, ale on nie umie pracować samodzielnie. Ten chłopak bez problemu może wymienić bezpiecznik czy założyć zamek w drzwiach, zagrabić opadłe liście, a nawet wdrapać się na słup telefoniczny, by ściągnąć z drutów parę związanych sznurowadłami butów, rzuconych tam przez któregoś z oprawców słabszych chłopców. Light nazywa Jimmy'ego „Czterdziświatówką” i szydzi z jego pyzatej twarzy oraz powolnego, rozwlekłego sposobu mówienia. Oczywiście Light jeszcze kilka lat temu sam był oprawcą słabszych: wskazuje na to wyraźnie jego czerwona twarz oraz agresywny, a jednocześnie dziwnie ostrożny sposób stąpania, trudno jednak orzec, czy to sterydy, czy hemoroidy. W każdym razie Jimmy nigdy nie powinien zostać obarczony obowiązkami Portiera i doktor Tidy doskonale o tym wie. Chodzi o to, że łatwiej (i oczywiście taniej) wykorzystywać Jimmy'ego w roli zapchajdziury do czasu znalezienia odpowiedniego pracownika na stałe. Poza tym Fallow pracował w szkole od ponad piętnastu lat, nie można go więc tak z dnia na dzień wyrzucić ze służbowego mieszkania na bruk, bez względu na okoliczności. O tym wszystkim dumalem, kiedy zbliżałem się do portierni. Złapałem się też na myśli, że choć niespecjalnie lubiłem Fallowa, stanowił on dość ważny trybik w machinie Świętego Oswalda i jego nieobecność dawała się wyraźnie odczuć.

Przechodząc obok siedziby Portiera, dojrzałem w środku kobietę. Nie zdziwiła mnie jej obecność, z góry bowiem założyłem, że jest to sekretarka przysłana przez współpracującą ze szkołą agencję, i zapewne ma tymczasowo odbierać telefony i zastępować Jimmy'ego, gdy wzywają go inne rozliczne obowiązki. Kobieta o siwiejących włosach miała na sobie szarą garsonkę i była zdecydowanie starsza niż typowe, przysyłane przez agencję pracownice zastępcze, a na dodatek jej twarz wydawała mi się dziwnie znajoma. Powinienem być zapytać, kim jest i co tu robi. Doktor Devine zawsze uczula wszystkich wokół na intruzów, rozwodzi się na temat strzelanin w amerykańskich szkołach i utrzymuje, że pierwszy lepszy szaleniec mógłby bez trudu wtargnąć do naszych budynków i urządzić spektakularną krwawą jatkę - ale to przecież cały Devine. Jest u nas specjalistą od BHP, więc musi jakoś uzasadnić swój wysoki dodatek do pensji wykładowcy.

Ja jednak się spieszyłem, więc nie zagadnałem siwowłosej kobiety. A rozpoznałem ją dopiero wtedy, gdy w „Examinerze” ujrzałem artykuł jej autorstwa, opatrzony nazwiskiem i zdjęciem - ale wówczas już było za późno. Tajemniczy informator znowu zaatakował, i tym razem to ja byłem celem.

6

Poniedziałek 11 października

Jak możecie się spodziewać, pani Knight nie pogodziła się łatwo z zawieszeniem swojego jedynaka. Znacie zapewne ten typ kobiety: bogata, arogancka, lekko neurotyczna i dotknięta szczególnym rodzajem ślepoty, na którą zapadają jedynie matki nastoletnich chłopców.

Wmaszerowała w mury Świętego Oswalda następnego ranka po decyzji o zawieszeniu jej syna i zażądała natychmiastowego spotkania z Dyrektorem. Dyrektora, oczywiście, nie było, zwołano więc naprędce komitet kryzysowy, w skład którego weszli: Bishop (zdenerwowany i niezdrowy), doktor Devine (specjalista od BHP) oraz - z powodu absencji Roya Straitleya - ja we własnej osobie.

Pani Knight, obleczona w kostium Chanel, była niczym śmiercionośny pocisk. Usiadła sztywno na twardym krześle w gabinecie Bishopa i przygwoździła nas morderczym spojrzeniem swoich oczu miotających błyski twarde niczym cyrkon.

- Pani Knight - zagaił Devine. - Ów chłopiec mógł stracić życie.

Jego słowa nie wywarły na pani Knight najmniejszego wrażenia.

- Rozumiem państwa niepokój - odparła chłodno. - Szczególnie że w czasie wypadku chłopcy byli pozbawieni nadzoru. Jednakże gdy chodzi o powiązanie mojego syna z tą przykrą sprawą...

- Cóż, to nie było dokładnie tak, jak pani relacjonuje - przerwał jej Bishop. - W trakcie przerwy opiekę nad uczniami sprawowało kilkoro pedagogów, chociaż...

- A czy ktokolwiek widział, by mój syn wrzucał fistaszka do napoju innego chłopca?

- Pani Knight, to nie jest...

- Chwileczkę. Czy ktoś to widział?

Bishop popadł w konsternację. Ostatecznie to Dyrektor zdecydował o zawieszeniu Knighta; mnie zaś ogarnęło nieodparte wrażenie, że gdyby to

zależało od Bishopa, zupełnie inaczej załatwiłby problem.

- Poszlaki wskazują, że właśnie on to zrobił. Nie zamierzam przez to powiedzieć, że kierowały nim najgorsze intencje...

- Mój syn nie kłamie - padła sucha odpowiedź.

- Wszyscy chłopcy kłamią - oświadczył Devine.

Święta prawda, jednak raczej trudno uznać, by przyczyniła się do złagodzenia wściekłości pani Knight, która też natychmiast obrzuciła Devine'a morderczym spojrzeniem.

- Ach tak? - rzuciła lodowatym tonem. - Może w takim razie należy zwerfikować zeznania Andertona-Pullitta, dotyczące bójki pomiędzy moim synem a Jacksonem.

Devine zdawał się wstrząśnięty.

- Ależ pani Knight, doprawdy nie widzę związku...

- Nie widzi pan? A ja jak najbardziej. - Zwróciła się w stronę Bishopa. - Widzę również, że mój syn jest poddawany w tej szkole ciągłym i powszechnym szykanom. Ogólnie wiadomo, że pan Straitley ma w klasie swoich małych pupilów - nazywa ich Brodie Boys, o ile się nie mylę - którzy zrobiliby dla niego wszystko i powiedzieli, co im każe. Nie spodziewałam się jednak, że i państwo opowiecie się tak jednoznacznie po jego stronie. Mój syn od dłuższego czasu spotyka się z przemocą fizyczną i psychiczną ze strony kolegów, parę razy wysunięto pod jego adresem bezpodstawne oskarżenia, był upokarzany, a teraz na dodatek został zawieszony - co znajdzie odzwierciedlenie na świadectwie i można nawet zamknąć mu drogę na niektóre uczelnie. I przy tym wszystkim nie dano mu najmniejszej szansy na oczyszczenie się z zarzutów. A wie pan czemu, panie Bishop? Czy ma pan pojęcie dlaczego?

Bishop był zupełnie bezradny w obliczu tak frontalnego ataku. Absolutnie niekwestionowany urok osobisty jest jego najsilniejszą i jedyną bronią, tymczasem pani Knight była całkowicie na ów urok uodporniona. Uśmiech, na którego widok mój ojciec natychmiast się rozpląwał, nie był w stanie stopić jej lodowatej powłoki; prawdę powiedziawszy, zdawał się jeszcze bardziej wzmaczać jej furję.

- A więc wyjaśnię to panu, dobrze? - rzuciła wojowniczo. - Mój syn został oskarżony o kradzież, potem o czynną napaść, a teraz - o ile dobrze rozumiem - o usiłowanie morderstwa... - w tym momencie Bishop próbował jej wejść w słowo, został jednak uciszony wymownym gestem dłoni - ...a wie pan z jakiej przyczyny? Czy zapytał pan o to jego wychowawcę? - Zawiesiła głos dla wzmocnienia dramatycznego efektu, a gdy jej wzrok spotkał się z moimi oczami, strategia nakazała mi kiwnąć zachęcająco głową i wówczas pani Knight obwieściła równie triumfalnie jak jej syn na lekcji Straitleya: - Bo jest Żydem! Moje dziecko stało się ofiarą rasowej dyskryminacji! Żądam więc dogłębnego dochodzenia w tej sprawie - spiorunowała Bishopa pełnym furii

wzrokiem - w przeciwnym razie skontaktuje się z państwem mój adwokat.

Zapanowała ogłuszająca cisza, po czym pani Knight poderwała się z krzesła i w kanonadzie stukotu obcasów wymaszerowała z pokoju. Doktor Devine nadal był wstrząśnięty, Pat Bishop zakrył oczy dłonią, na moich ustach zaś zagościł nieznaczny uśmiezek.

Oczywiście rozumiało się samo przez się, że treść i przebieg spotkania nie wyjdą poza ściany tego gabinetu. Devine oznajmił to bez ogródek, a względy taktyczne skłoniły mnie do tego, by zgodzić się z nim gorliwie i z okazaniem pełnego szacunku. Devine zaznaczył z mocą, że mnie w ogóle nie powinno być na tym posiedzeniu - zaproszono mnie jedynie w charakterze świadka z powodu absencji wychowawcy ucznia. Naturalnie nikt nie żałował, że konfrontacja z panią Knight odbyła się pod nieobecność Straitleya. Zarówno Bishop jak i Devine byli przekonani, że stary wyga, choć bardzo oddany szkole, jedynie pogorszyłby już i tak paskudną sytuację.

- W tych wymysłach nie ma ani krztyny prawdy. - Bishop zaczął dochodzić do siebie nad filiżanką herbaty. - U Świętego Oswalda nigdy nieistniał problem antysemityzmu. Przenigdy.

Jednak mina Devine'a nie sugerowała już tak zdecydowanego przekonania.

- Przepadam za Royem Straitleyem, jak zresztą każdy w tej szkole - oznajmił. - Nie da się jednak ukryć, że niezły z niego dziwak. Tylko dlatego, że pracuje tu dłużej od innych uważa, że to on rządzi szkołą.

- Z pewnością nie miał żadnych złych zamiarów. - Przyszedł czas, by wtrącić swoje trzy grosze. - To wyjątkowo stresująca praca dla kogoś w jego wieku, no i każdy od czasu do czasu może popełnić błąd w ocenie sytuacji.

Bishop posłał mi ostre spojrzenie.

- Jak mam to rozumieć? Czyżbym o czymś nie wiedział?

- Ależ skąd, sir.

- Na pewno? - Devine wprost się palił, żeby usłyszeć coś inkryminującego Straitleya.

- Absolutnie, sir. Mam jedynie na myśli... - w moim głosie pojawiło się trwożne wahanie.

- O co chodzi? Proszę to wreszcie z siebie wydusić!

- Zapewne to nic ważnego, sir. Jak na swoje lata pan Straitley jest nad wyraz żywotny. Niemniej ostatnio dało się zauważyć...

Chwilę później z moich ust - z ledwo skrywaną niechęcią - popłynęły uwagi o zagubionym dzienniku, zamieszaniu z e-mailami, idiotycznym rabanie, który łacinnik wszczął w związku z utratą swojego starego zielonego pióra. W owej przemowie udało mi się także przemycić zdumienie, że Straitley nie zauważył leżącego bez przytomności chłopca, z trudem łapiącego powietrze i ostatkiem sił walczącego o życie.

Pełne emfazy zaprzeczenie jest najlepszą taktyką oczernienia wroga. I tak, powołując się nieustannie na najwyższy szacunek i podziw dla Roya Straitleya, z niewinną miną pionek - mający wkrótce stać się kluczową figurą - wyjawiał w końcu wszystko, co było do wyjawienia. W ten sposób okazał się lojalnym, choć może nieco naiwnym członkiem społeczności szkolnej i, co najważniejsze, zasiał ziarno wątpliwości w umysłach Bishopa i Devine'a - ziarno, które miało im doskwierać jak kamyk w butcie, a jednocześnie odpowiednio przygotować na kolejny artykuł w „Examinerze”, mający się ukazać jeszcze w tym tygodniu.

NIECHŻE SIĘ PAN OPAMIĘTA, SIR!

Colin Knight jest rozmiłowanym w nauce, nieśmiałym chłopcem, któremu coraz trudniej przychodzi radzenie sobie ze stresami, jakie przeżywa w szkole imienia św. Oswalda. „Wielu z nas jest prześladowanych przez rówieśników - powiedział Colin naszej gazecie - ale większość nie ma odwagi o tym donieść. U Świętego Oswalda niektórzy chłopcy mogą robić wszystko, na co mają ochotę, bo pewni nauczyciele zawsze biorą ich stronę i każdy, kto by się na nich poskarżył, wpadłby w poważne kłopoty”.

Z pewnością Colin Knight nie ma w sobie nic z agresywnego wichrzyciela. Jednak jeżeli wierzyć zarzutom wysuwanim wobec niego przez wychowawcę (Roya Straitleya, lat 65), w ciągu zaledwie ostatnich trzech tygodni Colin dopuścił się kradzieży, kłamstw, fizycznej przemocy wobec kolegów, co znalazło swoją kulminację w zawieszeniu go w prawach ucznia po surrealistycznym oskarżeniu o targnięcie się na zdrowie i życie kolegi (Jamesa Andertona-Pullitta, lat 13), który zadławił się fistaszkiem.

W związku z tą bulwersującą sprawą przeprowadziliśmy rozmowę z Johnem Fallowem, zwolnionym ze Świętego Oswalda dwa tygodnie temu, po piętnastu latach sumiennej pracy i lojalnej służby.

„Cieszę się, że Knight wreszcie się postawił - powiedział Fallow „Examinerowi”. - Chodzi o to, że to Andertonowie-Pullittowie siedzą w zarządzie szkoły, natomiast Knightowie są zwyczajną, przeciętną rodziną”.

Pat Bishop (lat 54), Drugi Mistrz i rzecznik prasowy szkoły, oznajmił, co następuje: „Owa sprawa jest przedmiotem wewnętrzznego postępowania dyscyplinarnego i zostanie dogłębnie zbadana przed poczynieniem jakichkolwiek dalszych kroków”.

Tymczasem Colin Knight musi się uczyć w domu, pozbawiono bowiem go prawa uczęszczania na zajęcia, za które jego rodzice płacą rocznie 7000 funtów. I choć dla rodziny przeciętnego ucznia Świętego Oswalda ta suma zapewne nie jest wygórowana, dla zwykłych ludzi, takich jak Knightowie, to coś znacznie poważniejszego niż kieszonkowe na orzeszki.

Był to kolejny artykuł stanowiący dla mnie powód do dumy: mieszanina faktów, domysłów i niewybrednego humoru, słowem ostra szpila wbita wprost w aroganckie serce Świętego Oswalda. Żalem przejmował mnie jedynie fakt, że pod artykułem nie mogło widnieć moje nazwisko, nawet to fałszywe, choć przecież Kret w znacznym stopniu przyczynił się do powstania tego tekstu.

Przezorność nakazywała jednak, by do zadania wykorzystać reporterkę z „Examinera” - więc tak jak poprzednio, Kret wysłał jej e-mailem cały artykuł, dorzucając garść istotnych informacji, mogących znacznie ułatwić reporterskie działania. Do wydrukowanego w gazecie artykułu dołączono zdjęcie Knighta - czyściutkiego i wymuskanego w szkolnym uniformie, a także zamazaną zbiorową fotografię absolwentów rocznika 1997, na której twarz Straitleya, otoczona przez świeże buzie chłopców, zdawała się nabrzmiałą gębą starego rozpustnika.

Naturalnie każda krytyka pod adresem Świętego Oswalda to młyn na wodę „Examinera” i miód na serce jego czytelników. Jeszcze przed weekendem urywki owego artykułu znalazły się w dwóch ogólnonarodowych pismach: w formie humorystycznego streszczenia na dziesiątej stronie „News of the World” oraz w formie cytatów w bardziej refleksyjnym esejku „Guardiana”, zatytułowanym „Wątpliwa sprawiedliwość w elitarnych szkołach prywatnych”.

Ogólnie rzecz biorąc, doskonale wykonane zadanie. Na tym etapie należało się powstrzymać od wszelkich wzmianek o antysemityzmie, skupić zaś na wruszającym opisie Knightów, rodziny uczciwej, lecz niezbyt majątnej. Bo tego przede wszystkim oczekiwali czytelnicy - historii o ludziach takich (w ich naiwnym przeświadczeniu), jak oni sami, urabiających ręce po łokcie i oszczędzających każdego pensa, by wysłać dzieci do możliwie najlepszych szkół - chociaż już widzę, jak choćby jeden z owych współczujących czytelników wywala siedem patyków, które można radośnie przepić w pubie, na szkołę dla gówniarza, gdy - na Boga - rząd jest obowiązany każdemu dziecku zapewnić bezpłatną naukę.

Mój ojciec również czytywał „News of the World” i święcie wierzył w owe przyciężkie truizmy w rodzaju: „Szkoła to najpewniejsza inwestycja” i „Nauka to klucz do lepszego życia”, choć oczywiście nigdy tej wiary nie przekuł w czyn. A jeśli nawet dostrzegął w tym fackie jakąś ironię, nigdy się z tym nie zdradził.

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
środa 13 października*

Knight pojawił się już w poniedziałek z miną męczennika, niczym ofiara zbrodniczego napadu, oraz z głupawym, ironicznym uśmiechem na ustach. Inni chłopcy przyjęli go z pewną nieufnością, pozbawioną jednak wrogości. Zauważyłem nawet, że Brasenose, który zazwyczaj unikał Knighta, teraz robił, co mógł, żeby zaskarbić sobie przychylność kolegi - przysiadł się do niego w czasie lunchu i na dodatek zaoferował połowę czekoladowego batona. Można było odnieść wrażenie, że Brasenose, etatowa ofiara klasowa, dostrzegł w oczyszczonym z zarzutów Knightcie potencjalnego obrońcę i postanowił za wszelką cenę zasłużyć na jego przyjaźń.

Anderton-Pullitt także już wrócił. Ani przez chwilę nie wyglądał na chłopaka, który cudem uniknął śmierci, za to przyniósł ze sobą nową książkę na temat maszyn latających z I wojny światowej, której treścią bez wątpienia zacznie nas wszystkich zadręczać na każdej możliwej przerwie. Jeżeli zaś chodzi o mnie - nie czułem się najlepiej. Wyznałem to nawet Dianne Dare, kiedy napomknęła, że chyba nie postąpiłem zbyt rozsądnie, tak błyskawicznie wracając do pracy. Coś podobnego powiedziałem również Patowi Bishopowi tuż po tym, jak imputował mi marny wygląd.

Prawdę powiedziawszy, Pat sam nie wygląda najlepiej. Najpierw ciężko przeżył sprawę Fallowa, potem konfrontację z Andertonami-Pullittami, a w końcu spadła mu na głowę ta afera z Knightem... Dowiedziałem się od Marlene, że ostatnio Pat często zostawał na noc w swoim gabinecie, teraz zaś miałem okazję się przekonać, że jego twarz jest bardziej czerwona niż zazwyczaj, natomiast oczy - nabiegłe krwią i podkrążone. Ze sposobu, w jaki się zbliżał, łatwo wywnioskowałem, że Nowy wysłał go z misją wybadania moich intencji, i na pierwszy rzut oka widać było, że Bishopowi nie przypadło do gustu to zadanie. Jest jednak Drugim Mistrzem, więc musi wypełniać

polecenia Dyrektora, bez względu na własne odczucia.

- Wyglądasz na wyczerpanego, Roy. Jesteś pewien, że powinieneś w tym stanie przychodzić do szkoły?

- Nie dolega mi nic, czego nie mogłyby uleczyć zabiegi kompetentnej pielęgniarki.

Pat nawet się nie uśmiechnął.

- Sądziłem, że po tym, co się wydarzyło, weźmiesz przynajmniej parę tygodni wolnego.

Doskonale widziałem, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Nic takiego się nie stało - oświadczyłem stanowczo.

- Nieprawda. Miałaś atak...

- To tylko drobne niedomaganie wywołane silnym zdenerwowaniem. Nic poza tym.

Westchnął ciężko.

- Roy, wykaż choć odrobinę rozsądku...

- Nie pouczaj mnie, Pat. Nie jestem jednym z twoich chłopców.

- Daj spokój, Roy. My jedynie doszliśmy do wniosku...

- To znaczy ty, Strange i Dyrektor?

- ...jedynie doszliśmy do wniosku, że potrzebujesz wypoczynku.

Spojrzałem na niego uważnie, ale szybko umknął ze wzrokiem.

- Wypoczynku? - powtórzyłem. Zaczęła mnie ogarniać irytacja. - Tak, oczywiście rozumiem, że wam byłoby wygodniej, gdybym usunął się na kilka tygodni ze sceny. Mielibyście czas na wyciszenie sprawy? Zatuszowanie konfliktu? Może także wprowadzenie kilku nowych projektów pana Strange'a w życie?

Trafiłem w dziesiątkę, więc się wściekł. Nie skomentował moich słów, chociaż widziałem, że ma na to szczerą ochotę. Jego twarz, już zaczerwieniona, przybrała jeszcze ciemniejszy odcień.

- Powiedzmy sobie szczerze, tracisz parę, Roy - odezwał się po chwili. - Nie da się ukryć, że coraz częściej zapominasz o różnych drobiazgach, nie stajesz się z każdym dniem młodszy.

- A znasz kogoś takiego?

- Mówi się o twoim zawieszeniu w obowiązkach. - Ściągnął gwałtownie brwi.

- Doprawdy? - Zapewne to pomysł Strange'a albo Devine'a, który ostrzył sobie zęby na salę 59, ostatni skrawek mojego niegdysiejszego imperium. - Zawieszenie bez oficjalnego ostrzeżenia? Nie należę do związkowych aktywistów, ale Kwaśnogron jak najbardziej, podobnie zresztą Dyrektor. „Kto przepisami wojuje, od przepisów ginie”. Obaj doskonale o tym wiedzą.

Po raz kolejny Pat nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy.

- Miałem nadzieję, że nie zostanę zmuszony, by ci to powiedzieć - wycedził. - Jednak nie pozostawiasz mi wyboru.

- Powiedzieć o czym? - zapytałem, chociaż świetnie znałem odpowiedź.
- Sporządzono projekt pisemnego ostrzeżenia.
- Sporządzono? Kto mianowicie to zrobił?

Jakbym nie wiedział. Oczywiście Strange - facet, który już zdegradował moją sekcję, obciął mi godziny i który teraz miał nadzieję, że odeśle mnie na „zasłużony odpoczynek”, by wreszcie Garnitury i Brodacze mogły zapanować nad światem.

- Posłuchaj, Roy. Nie ty jeden masz problemy - westchnął smętnie Pat.
- W to nie wątpię. Jednakowoż niektórzy z nas...

Jednakowoż niektórzy z nas dostają dużo wyższą pensję właśnie za to, by się zmagać z różnymi problemami. Chociaż prawdą też jest, że rzadko widzimy w naszych kolegach zwykłych ludzi. Nie myślimy o ich prywatnym życiu. O ich dzieciach, kochankach i domowych pieleszach. Chłopcy są zawsze zdumieni, gdy spotykają nas poza murami Świętego Oswalda, widzą w sytuacji zupełnie niezwiązanej z nauczaniem - robiących zakupy w supermarkecie, siedzących u fryzjera czy w pubie. Są wtedy zawsze zdumieni i przejęci, jakby spotkali jakąś sławę z pierwszych stron gazet. „Widziałem pana w sobotę na mieście, sir!”, oznajmiają z radością, jakby wyobrażali sobie, że od piątku do poniedziałku wisimy na kołkach tuż obok naszych tóg.

Prawdę powiedziawszy, ja czasami podobnie traktuję swoich kolegów - przyznaję się do tego bez bicia. Kiedy jednak dzisiaj zobaczyłem Bishopa, zobaczyłem go naprawdę: faceta o posturze rugbisty, którego ciało (pomimo codziennych biegów) w głównej mierze składało się teraz z tłuszczu, faceta o obwisłej twarzy, człowieka, który nigdy nie pojął, jakim cudem w tak szybkim tempie przeistoczył się z nastolatka w człowieka po pięćdziesiątce.

Śluchaj, Pat. Wiem przecież, że ty...

Ale Bishop już się odwrócił i powlókł Górnym Korytarzem z rękami w kieszeniach, pochylając swoje szerokie ramiona. Wiele razy widziałem, jak przyjmował podobną postawę, gdy nasza drużyna rugby przegrywała z „Henriettami”, zbyt dobrze jednak znałem Bishopa, by wierzyć, że teraz ta poza także wyrażała smutek. Nie. Pat był wściekły. Zapewne na siebie - bo jest z gruntu dobrym człowiekiem, mimo że należy do ludzi Dyrektora - ale przede wszystkim na mnie, bo odmówiłem współpracy, a tym samym sprzeniewierzyłem się ideałom szkoły i postawiłem Pata w trudnej sytuacji.

Tymczasem ja mu jak najszybciej współczułem - nie można być jednak Drugim Mistrzem w szkole takiej jak Święty Oswald i jednocześnie nie mieć do czynienia z żadnymi problemami. Pat doskonale wie, że Nowy z największą rozkoszą zrobiłby ze mnie kozła ofiarnego. Ostatecznie nie czeka mnie

już błyskotliwa kariera, zbliżam się do emerytury i jestem kosztowny. Wiele osób z ulgą powitałoby kogoś innego na moim stanowisku - typowy Garnitur, młodzieńca biegłego w obsłudze komputera, weterana rozlicznych kursów, wręcz stworzonego do szybkiego awansu. Moja drobna niedyspozycja musiała napęlić wiele serc nadzieją. Wreszcie pojawił się pretekst pozwalający pozbyć się starego Straitleya bez zbytniego zamieszania. Godne przejście na emeryturę z powodu złego stanu zdrowia; srebrna plakietka pożegnalna, zaklejona koperta, pełna pochlebstw przemowa na do widzenia.

Winą za aferę z Knightem, i wszystkie inne przy okazji, można by obciążyć emerytowanego nauczyciela. Relikt dawnych czasów, jeden ze Starej Gwardii, sami rozumiecie, chłop do rany przyłoż, ale niereformowalny i zdziwaczały. Zero umiejętności pracy zespołowej. Ekscentryk niepasujący do naszego szczęśliwego kolektywu.

Ha! Tym razem grubo się pan przeliczył, Dyrektorze. Nie zamierzam odpłynąć po cichu i dyskretnie na emeryturę. Gdy zaś chodzi o pisemne ostrzeżenie - *pone ubi sol non lucet**. Dobiję do setki, zostanę centurionem lub polegnę w tej walce. Czas wychylić głębszego za inskrypcję na Tablicy Honorowej.

* łac- *pone ubi sol non lucet*- połóż tam, gdzie słońce nie dochodzi (przyp. red).

Kiedy dotarłem tego wieczoru do domu, wciąż byłem w wojowniczym nastroju, a niewidzialny paluch znowu dał o sobie znać, dźgając mnie delikatnie, acz nieubłagane gdzieś w okolicy mostka. Połknąłem dwie z pastylek przepisanych mi przez Bevansa, popiłem kieliszkiem leczniczego sher-ry, po czym zabrałem się do poprawiania testów piątoklasistów. Zanim skończyłem, zapadł gęsty mrok. O siódmej podniosłem się z fotela, żeby zaciągnąć zasłony, i wówczas moją uwagę przykuł niezwykle ruch w ogródku. Natychmiast przywarłem nosem do szyby.

Mój ogród należy do długich, wąskich splechotków wyznaczonych żywopłotem z jednego, a murem z drugiego boku. Przestrzeń między nimi wypełniają posadzone na chybił trafił rozmaite krzewy i warzywa. W najodleglejszym krańcu rośnie rozłożysty stary kasztanowiec, wyciągający konary aż ponad Dog Lane - uliczkę oddzieloną od ogródka drewnianym płotem. Pod kasztanowcem znajduje się kępa poprzerastanej mchem trawy, na której chętnie siaduję latem (a raczej siadywałem, zanim proces wstawania stał się tak kłopotliwy), a także popadająca w ruinę szopa, w której przechowuję różne rupiecie.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że jeszcze nigdy w życiu nikt się do mnie nie włamał. Pewnie dlatego, że nie posiadam nic wartego uwagi, jeśli nie liczyć książek, one jednak uważane są przez złodziejską brać za bezwartościowe śmieci. Niemniej Dog Lane nie ma dobrej reputacji. Na rogu mieści się pub, generujący mnóstwo hałasu; na końcu ulicy - bar z frytkami i

smażonymi rybami, generujący mnóstwo śmieci; no i oczywiście nieopodal znajduje się szkoła Sunnybank Park, generująca wszystko, co tylko możliwe, łącznie z hałasem, śmieciami i nieokielznanymi hordami przebiegającymi obok mojego domu dwa razy dziennie w tak dzikim pędzie, jaki nawet najbardziej niesforenego Ozzigo wprawilby w zawstydzenie. Ja jednak zazwyczaj wszystko to znoszę cierpliwie. Nawet przymykam oczy, gdy jakiś nieproszony intruz przeskakuje przez płot w poszukiwaniu kasztanów. W październiku kasztany należą do całej ludzkości, nie wyłączając dzieciaków z Sunnybank Park.

To jednak, co się teraz działo, z pewnością nie miało nic wspólnego z kasztanami. Po pierwsze, zajęcia w szkole dawno się skończyły. Panowały ciemności i przejmujący chłód, a do tego ruch, który dostrzegłem, był podejrzenie ukradkowy.

Przyciskając twarz mocniej do szyby, ujrzałem trzy lub cztery postaci na przeciwległym krańcu ogrodu, nie dość jednak rosłe, by mogły to być mężczyźni. A więc chłopcy; gdy nadstawiłem ucha, z oddali dobiegły mnie nawet ich zduszone głosy.

To mnie zaskoczyło. Amatorzy kasztanów zazwyczaj działają z prędkością błyskawicy i bardzo się starają, żeby nie zdradzić swojej obecności. Większość mieszkających w pobliżu ludzi wie, jaki wykonuję zawód i darzy mnie szacunkiem - nawet dzieciaki z Sunnybank, gdy zwracam im uwagę, żeby nie śmieciły, bardzo rzadko reagują arogancko.

Głośno zapukałem w szybę. Teraz na pewno uciekną, pomyślałem. Jednak postaci tylko na chwilę zastygły w bezruchu, po czym spod kasztanowca zaczęła dochodzić szyderczy śmiech i jakieś - zapewne niewybredne - komentarze.

Tego już za wiele. Wystarczyły cztery susy, bym znalazł się przy drzwiach.

- Ejże! - wykrzyknąłem swoim najbardziej belferskim z tonów. - Co wy tam, do diabła, wyprawiacie?

Rozległy się jeszcze głośniejsze śmiechy, po czym dwóch intruzów umknęło - przez moment w odbłasku neonu zamigotały ich sylwetki, gdy przeskakiwali płot - dwóch jednak pozostało, przekonanych, że chroni ich ciemność i spora długość ogrodu.

- Pytałem, co tam wyprawiacie? - Po raz pierwszy od trzydziestu lat jacyś chłopcy, nawet z Sunnybank, postawili mi się okoniem. Poczulem gwałtowny przypływ adrenaliny, a niewidzialny paluch znów rozpoczął swoje dżganie. - Marsz tu do mnie! Natychmiast!

- Bo co? - rzucił zaczepnie młody, bezczelny głos. - Myślisz, że uda ci się mnie złapać, ty stary, gruby sukinsynu?

- Gównu, a nie złapać! On jest, kurwa, za stary!

Wściekłość dodała mi przyspieszenia. Ruszyłem ścieżką niczym rozjuszony bawół, ale ścieżka była tłusta od mazistego błota - czego nie zauważyłem w egipskich ciemnościach - i skórzana podeszwa mojego pantofla ześliznęła się w bok, pozbawiając mnie równowagi.

Nie upadłem, ale niewiele brakowało. Nadwreżyłem za to lekko nogę w kolanie, a gdy spojrzałem przed siebie, obaj chłopcy już przeskakiwali przez płot, przy akompaniamencie rechotliwego śmiechu, na podobieństwo paskudnych ptaków podrywających się do lotu.

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
czwartek 14 października*

To był banalny incydent. Zupełny drobiazg. A mimo to... Swego czasu bez trudu dopadłbym tych gówniarzy i solidnie wytargał za uszy. Teraz była to już pieśń przeszłości. Dzieciaki z Sunnybank znają swoje prawa, wiedzą, że są fizycznie nietykalne. Mimo to nie pamiętam, by kiedykolwiek mój autorytet został tak bezceremonialnie i z rozmysłem zlekceważony. Chodzi o to, że chłopcy wyczuwają słabość. Wszyscy bez wyjątku. Poważnym błędem był sprint w ciemnościach, szczególnie po tym, czego dowiedziałem się od Bevansa. Ów nieszczęsny galop uchybiał mojej godności, zachowałem się jak narwany nowicjusz. Powinienem był zakraść się po cichu od strony Dog Lane i przyłapać młokosów, jak przechodzili przez płot na ulicę. To przecież byli jedynie chłopcy - sądząc po głosach - trzynasto-, czternastoletni. A od kiedy to Roy Straitley pozwala, by jakieś dzieciaki mu się stawiały?

Roztrząsałem ten żalony incydent w myślach o wiele dłużej, niż na to zasługiwał. I może właśnie z tego powodu bardzo źle spałem tej nocy; niewykluczone jednak, że winne było sherry lub podskórny niepokój wywołany rozmową z Bishopem. Tak czy owak, obudziłem się zmęczony; umyłem się, ubrałem, przyrządziłem sobie tosta, po czym nad kubkiem herbaty czekałem na nadejście listonosza. Dokładnie o wpół do ósmej zaklekotała klapka szpary na listy i, jak się można było tego spodziewać, do środka wpadła długa koperta. Wyjąłem z niej arkusz papieru z oficjalnym nagłówkiem Świętego Oswalda, opatrzoney u dołu dwoma podpisami: E. Gray (dyrektor) oraz Dr B. D. Pooley (przewodniczący Zarządu). W piśmie informowano mnie między innymi, że jego duplikat zostanie wciągnięty do moich akt na okres 12 (dwunastu) miesięcy. Po upływie tego czasu może on zostać usunięty pod warunkiem, że pod moim adresem nie wpłyną żadne inne skargi. Decydujący głos w

sprawie będą jednak mieli członkowie Zarządu, i tak dalej, i tak dalej, bla, bla, bla, cholerne bla, bla.

Każdego normalnego dnia kompletnie bym zlekceważył całą sprawę. Ale zmęczenie obniżyło moją odporność, dlatego - a także z powodu kolana dokuczającego mi po wieczornej niefortunnej przygodzie - bez entuzjazmu ruszyłem do pracy. Zanim jednak skierowałem się w stronę szkoły, coś mnie tknęło, by zapuścić się w Dog Lane - pewnie podświadomie chciałem sprawdzić, czy nie pozostały jakieś ślady wczorajszej wizyty intruzów.

I wówczas zauważyłem coś bardzo niemilego. Trudno zresztą było tego nie zauważyć: na płocie widniała swastyka wymalowana czerwonym grubym flamastrem, a poniżej słowo HITLER wypisane zamazystymi literami. Graffiti było świeże - niemal z pewnością wyszło spod ręki wieczornych „gości”. Teraz jednak zacząłem się zastanawiać, czy aby na pewno do mojego ogrodu wtargnęły dzieciaki z Sunnybank. Nie zapomniałem jeszcze o karykaturze przypiętej do klasowej tablicy ogłoszeń, przedstawiającej mnie jako nazistę w akademickim birecie, ani o moim przeświadczeniu, że była to sprawka Knighta.

Czy Knight mógł się dowiedzieć, gdzie mieszkam? Naturalnie. Bez najmniejszego problemu. Mój adres znajduje się w almanachu szkolnym, poza tym dziesiątki chłopców wielokrotnie widywały mnie zmierzającego w stronę domu. A jednak nie byłem w stanie uwierzyć, że Knight - właśnie Knight! - poważył się na podobny wybryk.

Relacje nauczyciel-uczeń w dużej mierze opierają się na sztuce blefu, jednak trzeba o wiele wytrawniejszego gracza niż Knight, żeby dać mi szacha. Nie, to zapewne dziwny zbieg okoliczności; jakiś dzieciak z Sunnybank, zachwycony swoim mazakiem, wlokąc się do domu na obiad -codzienną, monotonną kombinację frytek i smażonej ryby - nie mógł znieść widoku mojego dziewiczego płotu i postanowił go skalać.

W weekend wyszlifuję deski i pociągnę gładkim, zmywalnym lakierem. Ostatecznie ogrodzenie i tak wymagało odmalowania, a poza tym każdy nauczyciel dobrze wie, że jedno graffiti jest zaproszeniem do następnych. Zmierzając powoli w stronę szkoły, nie mogłem się jednak oprzeć irracjonalnemu przeświadczeniu, że wszystkie przykre wydarzenia ostatnich tygodni - Fallowgate, wroga kampania „Examinera”, incydent z wczorajszego wieczoru, idiotyczny fistaszek Andertona-Pullitta, a nawet poranny, afektowany list od Nowego - były w jakiś niejasny sposób powiązane, sprowokowane z zimną premedytacją.

W szkołach, jak na pokładach okrętów, królują przesady, a u Świętego Oswalda wierzymy w nie nawet bardziej niż gdzie indziej. Może po korytarzach snuje się zbyt wiele duchów; a może nadmierną wagę przykładamy do rytuałów i tradycji. Tak czy owak od początku semestru wisi nad nami jakieś fatum. Nie ulegało już dla mnie wątpliwości, że mamy Jonasza na pokładzie. Gdybym tylko wiedział, kto nim jest.

Kiedy wszedłem do pokoju nauczycielskiego, powitała mnie nienaturalna cisza. Wiadomość o ostrzeżeniu musiała się roznieść lotem błyskawicy, bo w ciągu dnia, kiedy tylko wchodziłem do pokoju, natychmiast milkły rozmowy, a w oku Kwaśnogrona pojawiał się złośliwy błysk, niewróżący niczego dobrego.

Liga Narodów starannie mnie unikała; Grachvogel krył się po kątach; Scoones był wyniosły jak nigdy dotąd i nawet Pearman zatracił swoją typową pogodę ducha. Kitty natomiast sprawiała wrażenie wyjątkowo zapracowanej - ledwo odpowiedziała na moje powitanie, co mnie lekko stropiło. Kitty i ja zawsze byliśmy dobrymi kumplami, miałem nadzieję, że nic tego nie zmieniło. Nie. Przecież to niemożliwe - ostatecznie żadna z tych drobnych przykrości nie dotknęła jej osobiście - a jednak kiedy na mnie spojrzała, dostrzegłem na jej twarzy jakiś szczególny wyraz. Przysiadłem się obok z herbatą (jubileuszowy kubek, który wyparował, zastąpiłem gładkim, brązowym, przyniesionym z domu), ale Kitty zdawała się całkowicie zatopiona w jakichś książkach i praktycznie nie odezwała się do mnie ani słowem.

Zszedłem do Refektarza i zjadłem lunch - na skutek mściwości Bevansa złożony ze smętnej mieszanki gotowanych warzyw oraz niesłodzonej herbaty - po czym z kubkiem w rękę udałem się do sali 59. Większość chłopców przebywała na boiskach. Wyjątek stanowili: Anderton-Pullitt, z błogą miną zatopiony w książce o aeronautyce, oraz usadowieni w kącie Waters, Pink i Lemon, spokojnie grający w karty.

Zabrałem się do sprawdzania prac, a gdy po dziesięciu minutach uniosłem wzrok, ujrzałem przed sobą tego nieszczęsnego królika, Meeka, z różowym świstkiem w dłoni i wyrazem nienawiści pomieszanej z respektem na bladej, brodatej twarzy.

- Dostałem ten arkusz dzisiejszego ranka, sir - oznajmił, wyciągając świstek w moją stronę.

Nigdy mi nie wybaczył interwencji w trakcie swoich zajęć, a raczej tego, że stałem się mimowolnym świadkiem jego upokorzenia. W efekcie zwraca się do mnie per „sir”, niczym sztubak, a wszystkie słowa wypowiada płaskim, bezbarwnym tonem, takim samym jak Knight.

- Cóż to takiego?
- Arkusz hospitacyjny, sir.
- O, bogowie. Na śmierć zapomniałem.

Oczywiście, przed nami niekończący się ciąg wewnętrznych hospitacji i nie daj Bóg, by ktoś nie załatwił papierkowej roboty przed grudniową oficjalną inspekcją. Mnie zapewne też ktoś przyjdzie ocenić. Nowy należy do zagrzałych entuzjastów wewnętrznych hospitacji od czasu, gdy z tym konceptem zapoznał go Bob Strange, marzący również o wprowadzeniu na szeroką skalę większej liczby kursów metodycznych, corocznych kursów menedżerskich, a także systemu płac zależnego od wyników pracy. Raczej nie jestem w stanie

sobie tego wyobrazić - ostatecznie nasze wyniki zależą jedynie od talentu i pracowitości chłopców - ale snucie tych wszystkich planów trzyma Boba z dala od uczniów i w rzeczy samej właśnie o to chodzi.

Ogólna zasada wewnętrznych hospitacji jest prosta: każdy młodszy nauczyciel jest hospitowany i oceniany przez kogoś ze starszych wykładowców; każdy kierownik sekcji - przez opiekuna rocznika; każdy opiekun rocznika - przez zastępcę dyrektora, to znaczy przez Pata Bishopsa lub Boba Strange'a. Natomiast Drugi i Trzeci Mistrz są oceniani przez samego dyrektora (choć Strange spędza tak śladową ilość czasu na nauczaniu, że w jego wypadku nie ma sensu, by Nowy zawracał sobie głowę hospitacjami). Dyrektor, z wykształcenia geograf, praktycznie nie uczy wcale, za to spędza wiele czasu na rozmaitych szkoleniach oraz prowadzi pogadanki dla studentów pedagogiki (PGCE) na temat problemów rasizmu oraz narkomanii.

- Tutaj napisano, że ma pan hospitować moją lekcję dziś po południu - powiedział Meek, najwyraźniej niezadowolony z takiego obrotu sprawy. - Trzecia klasa, informatyka.

- Dziękuję, panie Meek.

Ciekawe, jaki to dowcipniś zdecydował, bym to właśnie ja hospitował lekcję z informatyki. Hm, nietrudno zgadnąć. Na domiar złego, chodziło o zajęcia Meeka. Och cóż, pomyślałem z rezygnacją, moje okienko właśnie diabli wzięli.

Każdemu nauczycielowi przytrafiają się takie dni, gdy wszystko idzie jak po grudzie. Powinienem o tym pamiętać; w ciągu tych trzydziestu kilku lat i ja miałem parę takich dni, kiedy najsensowniej byłoby wrócić do domu i położyć się do łóżka. Dzisiaj właśnie nadszedł jeden z nich - absurdalny ciąg drobnych incydentów: bardziej niż zwykle zaśmiecone klasy i zapodzielone nie wiadomo gdzie podręczniki, drobne utarczki pomiędzy chłopcami i niemile widziane administracyjne zajęcia, a do tego dodatkowe obowiązki i niewybredne komentarze na korytarzach.

Spięciem z Erikiem Scoonesem z powodu niestosownego zachowania Sutcliffe'a; mój dziennik (wciąż na liście zaginionych); przeciek w toalecie uczniów, na skutek którego częściowo uległ zalaniu Środkowy Korytarz; Knight (z niewiadomych przyczyn niebywale zadowolony z siebie); doktor Devine (jak wyżej); irytujące przeprowadzki do innych sal w związku z zalaniem, o których poinformowano wszystkich prowadzących zajęcia drogą e-mailową (a to dopiero farsa!). W rezultacie spóźniłem się na poranne zastępstwo - zajęcia z angielskiego za nieobecnego Roacha.

Pozycja starszego wykładowcy niesie ze sobą wiele korzyści. Jedną z nich jest własna legenda - w moim wypadku belfra surowego, dzięki czemu rzadko kiedy muszę wprowadzać drakońskie kary w życie. Wszyscy szepczą po kątach:

Nie zadzieraj ze Straitleyem, i z reguły na moich zajęciach panuje idealny spokój. Dzisiaj jednak sprawy wyglądały inaczej. Och, coś podobnego zdarza się od czasu do czasu, i gdyby zaszło to innego dnia, na pewno zareagowałbym inaczej. Klasa Roacha była liczna - trzydziestu pięciu chłopców, mimo to wśród nich nie znajdował się ani jeden łacinnik. Zнали mnie więc wyłącznie ze słyszenia, a niedawny artykuł w „Examinera” zapewne nie poprawił moich notowań.

Spóźniłem się dziesięć minut i w klasie panował już harmider. Nikt nie zadał uczniom żadnej pracy. Na dodatek kiedy wszedłem do sali, chłopcy - zamiast natychmiast stanąć przy ławkach w milczeniu - zerknęli jedynie nie dbale w moją stronę i nadal zajmowali się tym, czym przedtem: grali w karty, gadali, ktoś się z kimś kłócił, podkreślając wagę argumentów przewracaniem krzeseł kopniakami, w powietrzu zaś unosił się duszący zapach gumy do żucia.

To w żadnym razie nie powinno mnie wyprowadzić z równowagi. Dobry nauczyciel doskonale wie, że istnieje coś takiego jak gniew udawany i gniew autentyczny. Udawany jest niekiedy pożądanym - musi się znajdować w arsenałach trików każdego belfra. Jednak prawdziwy gniew należy skrywać za wszelką cenę, żeby chłopcy, ci mistrzowie manipulacji, nie zorientowali się, że zdobyli punkt.

Ja jednak byłem bardzo zmęczony. Dzień zaczął się jak najgorzej, uczniowie Roacha mnie nie znali, a na dodatek wciąż kipiałem w środku z powodu wieczornego incydentu w swoim ogrodzie. Te wysokie, młodzieńcze głosy: Gówno, a nie złapać! On jest, kurwa, za stary!, swoim tembrem wzbudziły zbyt wiele skojarzeń, bym mógł łatwo o nich zapomnieć. Jeden z chłopców spojrzął na mnie, po czym nachylił się do kolegi z ławki. Wydawało mi się, że usłyszałem: „Niechże się pan opamięta, sir!”, w akompaniamencie paskudnego rechotu.

I w ten sposób dałem się złapać - jak nowicjusz, jak nieopierzony stażysta - w jedną z najstarszych pułapek tego zawodu. Poniosły mnie nerwy.

- Panowie, cisza.

To zazwyczaj skutkuje, dzisiaj jednak nie poskutkowało. Widziałem, że chłopcy naśmiewają się otwarcie z wysłużonej togi, której nie zdjąłem po dyżurze na długiej przerwie. „Niechże się pan opamięta, sir!”, usłyszałem (a przynajmniej tak mi się zdawało), i jednocześnie odniosłem wrażenie, że poziom hałasu zamiast opaść, jeszcze nieznacznie się zwiększył.

- Powiedziałem „cisza”! - zdecydowałem się wrzasnąć na całe gardło.

W normalnych okolicznościach mój wrzask wywoływał piorunujące wrażenie na uczniach, tym razem zapomniałem jednak o Bevansie i jego stanowczym zaleceniu, by unikać zdenerwowania, na skutek czego niewidzialny paluch dźgnął mnie w mostek w połowie mojego pełnego rozjuszenia ryku. Chłopcy w tylnych ławkach zaczęli podśmiewać się szyderczo, a ja - zupełnie irracjonalnie - zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem to nie któryś z

nich był w moim ogródku wczorajszego wieczoru. Myślisz, że uda ci się mnie złapać, ty stary, gruby sukinsynu?

Cóż, w podobnych sytuacjach ofiary są nieuniknione. W tym konkretnym wypadku - siedem zatrzymań w kozie na czas lunchu, co chyba jednak było drobną przesadą z mojej strony. Niemniej każdy nauczyciel ma prawo wymierzać kary i wprowadzać dyscyplinę według własnego uznania, więc Strange nie powinien był interweniować. Tymczasem to zrobił. Przechodził obok klasy w niewłaściwej chwili, usłyszał mój wrzask i zajrzał przez szybkę w drzwiach dokładnie w tym momencie, jak szarpnąłem ostro jednego z nasміewających się chłopców za rękaw marynarki.

- Panie Straitley!

Oczywiście w dzisiejszych czasach nie wolno nam tknąć ucznia choćby jednym palcem.

Zapadła cisza. Rękaw marynarki delikwenta pękł na szwie pachy.

- Sam pan widział, sir! Wykładowca mnie uderzył!

Dla każdego było jasne, że go nie uderzyłem. Nawet dla Strange'a, który jednak wciąż patrzył na mnie z kamienną twarzą. Niewidzialny palec znów dał o sobie znać. Tymczasem chłopak - nazwiskiem Pooley - uniósł w górę swoją rozerwaną marynarkę.

- Była całkiem nowa!

Wszyscy widzieli, że to nieprawda. Materiał wyświecił się od długiego noszenia, rękawy były za krótkie. Chłopak trzymał nad głową zeszlóroczny blezer, który należało w najbliższym czasie wymienić na nowy. Mimo to posunąłem się za daleko. Teraz jasno to widziałem.

- Może zrelacjonujesz panu Strange'owi przebieg wydarzeń - zaproponowałem, odwracając się plecami do pogrążonej w milczeniu klasy.

Trzeci Mistrz posłał mi bazylijskowe spojrzanie.

- Panie Strange, gdy już pan skończy z panem Pooleyem, może łaskawie zechce go pan przysłać do mnie z powrotem - rzuciłem od niechcienia. - Muszę wymierzyć mu karę.

W tej sytuacji nie pozostało Strange'owi nic innego jak tylko wraz z Pooleyem opuścić klasę. Zapewne nie spodobało mu się, że został tak bezcereemonialnie odprawiony przez kolegę - ale z drugiej strony nie powinien był ingerować w moje kompetencje. Niemniej nie opuszczało mnie przeświadczenie, że on nie puści mi tego płazem. To dla niego zbyt wielka gratka. Co gorsza, jak uświadomiłem sobie poniewczasie, ten chłopak, Pooley, był najstarszym synem doktora B. D. Pooleya, przewodniczącego Zarządu - tego samego, którego nazwisko widniało na moim oficjalnym pisemnym ostrzeżeniu.

Ów incydent tak bardzo wyprowadził mnie z równowagi, że pomyliłem salę i spóźniłem się dwadzieścia minut na hospitację. Kiedy wszedłem do klasy, wszyscy zwrócili się w moją stronę, z wyjątkiem Meeka, który stał sztywno

przed biurkiem z wyrazem dezaprobaty na bladej twarzy.

Usiadłem z tyłu - ktoś przygotował dla mnie krzesło, na którym położył różowy arkusz oceny. Rzuciłem na kartkę okiem. Zwyczajowy formularz z okienkami, w których trzeba było wpisać odpowiednie cyferki. Należało zwrócić uwagę na plan zajęć, prowadzenie lekcji, zaangażowanie nauczyciela, utrzymanie dyscypliny, umiejętność zainteresowania uczniów przedmiotem. Skala ocen od zera do pięciu, plus kilka linijek na komentarz - tak samo jak w ankiecie hotelowej.

Zastanawiałem się, jak powinienem ocenić te zajęcia. Uczniowie siedzieli spokojnie - oprócz paru poszturchujących się chłopców w ostatnim rzędzie; piskliwy głos Meeka docierał do każdego zakątka sali; ekrany komputerowe zachowywały się bez zarzutu, migając przyprawiającymi o ból głowy, kolorowymi wzorami, które najwyraźniej stanowiły temat lekcji. Ogólnie rzecz biorąc, nie zauważyłem poważniejszych uchybień. Uśmiechnąłem się zachęcająco do wyraźnie nieszczęśliwego Meeka, po czym wymknąłem z klasy nieco przed dzwonkiem w nadziei, że przed kolejną lekcją uda mi się w spokoju napić herbaty. Gdy tylko wszedłem do pokoju nauczycielskiego, wsunąłem różowy arkusz do przegródki Trzeciego Mistrza i niemal w tym samym momencie ujrzałem, że na podłodze, tuż obok mojej nogi, leży kieszonkowy notes w czerwonej oprawie. Otworzyłem go na chybił trafił - był do połowy zapisany drobnym maczkiem, na wklejce zaś widniało nazwisko właściciela: C. KEANE.

A tak, Keane. Rozejrzałem się po pokoju nauczycielskim, ale anglisty nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Schowałem więc notes do kieszeni z myślą, że przy najbliższej okazji zwrócę go Keane'owi. Jak się później okazało, popełniłem poważny błąd.

Każdy nauczyciel ma podobny notes. Zapisuje tam rozmaite spostrzeżenia - na temat uczniów, swoich obowiązków, drobniejszych lub poważniejszych skarg i zażaleń. Owe diariusze mówią o nauczycielach niemal tak wiele jak ich kubki. Grachvogel, goniący za ładem i porządkiem, ma notes o kartkach w różnych barwach i prowadzi w nim zapiski wedle kodu kolorów; Kitty ma najzwyczajszy kalendarzyk kieszonkowy; Devine - imponujące, czarne tomisko, prawie pozbawione wpisów. Scoones od 1961 roku używa tych samych zielonych terminarzy; Liga Narodów korzysta z terminarzy, z których dochód zasila fundusz pewnej chrześcijańskiej organizacji charytatywnej; natomiast Pearman prowadzi zapiski na odwrocie starych dokumentów, na samoprzylepnych karteczkach oraz zużytych kopertach.

Kiedy już otworzyłem notes młodego Keane'a, nie mogłem się oprzeć pokusie i zerknąłem na parę stron. A zanim dotarło do mnie, że nie powinienem czytać cudzych spostrzeżeń, lektura zdążyła pochłonąć mnie bez reszty.

Oczywiście od początku wiedziałem, że ten chłopak ma zacięcie literackie. Dało się to zauważyć nawet w jego sposobie bycia - swoistym dystansie przypadkowego obserwatora śledzącego wydarzenia ze spokojem i sporą dozą humoru w przeświadczeniu, że długo nie zagrzeje tu miejsca. Nie miałem jednak pojęcia, że Keane jest tak wnikliwym obserwatorem; nie umknęła mu najsubtelniejsza utarczka czy rozgrywka personalna, bezbłędnie rozszyfrował napięcia panujące w pokoju nauczycielskim. Zapiski na ten temat ciągnęły się przez wiele stron, sporządzone pismem tak drobnym i pajęczym, że prawie nieczytelnym. Analizy charakterów, szkice, zasłyszane uwagi i plotki, najświeższe nowiny.

Przerzucałem kartki, wyteżając wzrok, by odcyfrować maleńkie litery. Znalazłem wzmiankę o Fallowgate, o Fistaszku i Pupilach. Był tam również passus dotyczący historii szkoły - ujrzałem nazwiska: Snyder, Pinchbeck i Mitchell, a obok wklejony wycinek z gazety relacjonujący tę smutną historię. Na następnej stronie - skserowany fragment fotografii przedstawiającej fasadę Świętego Oswalda, poza tym kolorowe zdjęcie z Dnia Sportu w jakiejś nieznaney mi szkole, na którym chłopcy i dziewczynki siedzieli po turecku na trawie, a także marna odbitka fotografii Johna Snyder'a, na której wyglądał jak zatwardziały kryminalista, czemu trudno się dziwić, była to bowiem podobizna zamieszczona w lokalnej gazecie, a na takich zdjęciach każdy wygląda jak złoczyńca.

Kilka następnych stron, jak zauważyłem, zajmowały rysunki, głównie karykatury. A więc Nowy, sztywny i lodowaty, jako Don Kichot, a tuż przy nim Bishop w roli Sancho Pansy. Następnie Bob Strange - przedziwna, na wpół ludzka hybryda podłączona do terminala komputerowego. Anderton-Pullitt - mój Anderton-Pullitt - w goglach i czapce-pilotce; obok zaś bezlitośnie obnażona szczenięca miłość Knighta do jednej z nauczycielek. Panna Dare została przedstawiona jako belferka w binoklach i frywolnych pończochach, obszcze-kiwana przez rottweilra-Scoonesa. Nawet ja się tam znajdowałem - garbaty, w czarnej todze, zwisałem z Dzwonnicy pod rękę z Kitty-Esmeraldą.

Uśmiechnąłem się na ten widok, a jednocześnie ogarnęło mnie lekkie żenowanie. Pewnie dlatego, że zawsze miałem słabość do Kitty. Bez żadnych grzesznych myśli, naturalnie - nie zdawałem sobie jednak sprawy, że jest to tak cholernie widoczne. Zacząłem się przy okazji zastanawiać, czy i Kitty zorientowała się w sytuacji.

A niech diabli porwą tego Keane'a. Czyż od początku nie utrzymywałem, że jest bezczelnym młokosem? A mimo to polubiłem go od pierwszej chwili. Prawdę mówiąc, nadal darzyłem go wyjątkową sympatią.

R. Straitley - lacinnik. Całkowicie oddany pracy, jeden ze Starej Gwardii Absolwentów. Po sześćdziesiątce, z nadwagą, sam strzyże sobie włosy. Codziennie nosi tę samą marynarkę - brązową, tweedową z latami na rękawach (ha! to akurat nieprawda, mądralo; na szkolne uroczystości i pogrzeby

wkładam granatowy garnitur); *hobby - granie na nerwach wyższej kadry oraz flirtowanie z nauczycielką francuskiego. Darzony przez chłopców szczerym uwielbieniem (zapomniałeś o Colinie Knighcie, kochany); kamień u szyi B. Strange'a. Ogólnie rzecz biorąc - niegroźny.*

Zaiste! Niegroźny!

Ale ogólnie rzecz biorąc, mogłoby być dużo gorzej. Pod nazwiskiem Penny Nation widniało: *słodka trucizna*, a Isabelle Tapi - *francuska zdzira*. Temu młodzieńcowi nie można odmówić polotu i błyskotliwości. Chętnie przeczytałbym dalej, ale w tym momencie rozległ się dzwonek zapowiadający sprawdzanie obecności, niechętnie więc schowałem notes do szuflady biurka, w nadziei że w wolnej chwili zdołam dokończyć lekturę.

Tak się jednak nie stało. Kiedy po zakończeniu zajęć zajrzałem do szuflady, była pusta - notes zniknął. Automatycznie założyłem, że Keane, który - podobnie jak Dianne - od czasu do czasu ma lekcje w mojej sali, znalazł i zabrał swoje zapiski. Z przyczyn oczywistych nigdy go o to nie zapytałem. I dopiero dużo później, gdy jeden za drugim zaczęły wybuchać skandale, zorientowałem się, że istnieje związek pomiędzy małym, czerwonym notesem a wszechobecnym Kretem, tak świetnie znającym szkołę i wszystkie nasze drobne słabości.

Piątek 15 października

Za mną kolejny, pełen sukcesów tydzień. Jednym z nich było z pewnością znalezienie czerwonego kajecika z jego inkryminującą zawartością. Niewykluczone, że Straitley przeczytał parę fragmentów, choć to raczej mało prawdopodobne. Litery są zbyt małe i cienkie jak na jego starczy wzrok, poza tym gdyby powziął jakiegokolwiek podejrzenia, do tej pory już by się zdradził swoim zachowaniem. A jednak zatrzymanie notesu byłoby nieroztropne. I choć myśl o zniszczeniu tych notatek przyprawiała mnie o drobny skurcz serca, zdrowy rozsądek nakazywał je spalić, zanim ktokolwiek miałby okazję pilnie przestudiować ich treść. Niewykluczone, że sytuacja zmusi mnie, by jeszcze, w takiej czy innej formie, wrócić do owych zapisków - jednak nie dzisiaj. Dzisiaj mam co innego na głowie.

Przerwa międzysemestralna zbliża się wielkimi krokami, a to oznacza dla mnie okres wzmożonej pracy (i bynajmniej nie mam tu na myśli sprawdzania prac uczniów). Nie, w przyszłym tygodniu będę się zjawiać w szkole niemal każdego dnia. Zostało to już uzgodnione z Patem Bishopem oraz panem Berdem, kierownikiem sekcji informatycznej.

Wszystko wyglądało całkiem niewinnie - ostatecznie moje zainteresowanie nowymi technologiami jest ogólnie znane, a z doświadczenia wiem, że najbardziej niewidocznym jest się wtedy, gdy z rozmysłem wystawia się na widok publiczny. Bishop oczywiście w pełni popiera moje zapędy. Sam ma dość mgliste pojęcie o komputerach, ale na swój dobroduszny sposób próbuje mi pomagać - od czasu do czasu wyskakuje ze swojego gabinetu, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie potrzebuję pomocy.

Nikt nie posądza mnie o szczególną błyskotliwość. Kilka szkolnych błędów wystarczyło, żeby zyskać opinię osoby pełnej entuzjazmu, ale mało utalentowanej, co daje Bishopowi poczucie wyższości, a mnie zapewnia dodatkowe

alibi na wypadek, gdyby kiedykolwiek okazało mi się potrzebne. Wątpię, by do tego doszło - jednak jeżeli ktoś w jakimś momencie zainteresowałby się moimi poczynaniami w sali komputerowej, Pat Bishop pierwszy zaświadczy, że po prostu nie mam dość umiejętności, żeby poradzić sobie z pewnymi skomplikowanymi operacjami.

Każdy nauczyciel u Świętego Oswalda ma swój własny adres e-mailowy. Zazwyczaj składa się on z pierwszych liter imienia/imion i nazwiska oraz domeny szkoły. Teoretycznie wszyscy powinni sprawdzać swoje skrzynki dwa razy dziennie, na wypadek gdyby akurat Bob Strange przysłał jakąś pilną wiadomość, ale w praktyce rzadko kto to robi. Roy Straitley i Eric Scoones nigdy nawet nie włączają swoich komputerów. Natomiast wielu nauczycieli korzystających z Internetu nie zadało sobie trudu, by zabezpieczyć dostęp do pecetów indywidualnymi hasłami. I nawet tacy - jak na przykład Bishop - którzy uważają się za specjalistów w dziedzinie IT, są do bólu przewidywalni. Hasłem Bishopa jest imię jego ulubionego sportowca. Dla odmiany Strange - który przecież całkiem nieźle orientuje się w zasadach funkcjonowania i pułapkach sieci, powinien więc mieć więcej zdrowego rozsądku - zabezpiecza swój komputer łatwymi do odgadnięcia sekwencjami kodów (nazwisko panięńskie żony, jego data urodzenia i tym podobne).

Ale nawet tak banalny wysiłek intelektualny został mi oszczędzony. Fallow, który korzystał ze szkolnych komputerów każdego piątkowego wieczoru, trzymał w budynku Portierni notes ze wszystkimi kodami dostępu oraz pudełko pełne dyskietek (materiały ściągnięte z Internetu), którymi policja jakoś nie miała ochoty zawracać sobie głowy. Wystarczyło odtworzyć kroki Fallowa (pod innym nickiem), by sfabrykować bardzo przekonujący i intrygujący trop. Potem należało tylko zablokować *firewall* sieci szkoły zaledwie na kilka minut, a następnie wysłać starannie dobrane załączniki na admin@saintoswalds.com z jednego z moich zapasowych adresów, by wprowadzić do systemu prostego wirusa-śpiocha, który miał się uaktywnić dopiero po kilku tygodniach i dramatycznie wpłynąć na bieg wydarzeń.

Tak, wiem. Trudno nazwać te przygotowania szczególnie ekscytującymi. Mnie jednak sprawiły dużo przyjemności. W sumie - satysfakcjonujące zaplanowanie kolejnych ruchów zasługiwało na uczczenie. Jak najlepiej to zrobić? Niezłym pomysłem wydało mi się wychylenie kilku drinków w „Bakałarzu”.

Wybór okazał się pomyłką. Ale kto by przypuszczał, że tak wielu moich kolegów - i również uczniów - przesiaduje wieczorami w tym pubie. Pierwszy drink stał przede mną ledwo tknięty, gdy w oczy rzuciła mi się znajoma grupa - Jeff Light, Gerry Grachvogel i Robbie Roach, a obok nich długowłose geograf i kilku siedemnasto- lub osiemnastolatków, którzy według wszelkiego

prawdopodobieństwa byli szóstoklasistami ze Świętego Oswalda.

W zasadzie nie powinno mnie to zdziwić - ostatecznie nie jest dla nikogo tajemnicą, że Roach lubi spędzać czas w towarzystwie chłopców. Podobnie jak Light. Grachvogel co prawda sprawiał wrażenie nieco spłoszonego, ale przecież on zawsze sprawia takie wrażenie. Ma za to dość zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że (jak to ujmuje Straitley) nie należy się zbyt spoufalać z podkomendnymi.

Kusiło mnie, by zostać. Nie było powodu, żeby kryć się po kątach. Jednak myśl o socjalizowaniu się z nimi wszystkimi, o „wyluzowaniu się”, jak to osłabiająco ujmuje Light i „wlaniu w siebie kilku browarów” była mi wyjątkowo niemiła. Na szczęście mój stolik znajdował się tuż przy drzwiach, więc udało mi się niepostrzeżenie wymknąć z „Bakałarza”.

W alejce, nieopodal pubu stał czarny ford probe Lighta i przez chwilę chodziło mi po głowie, czyby nie wybić bocznej szyby. Szybko jednak dotarło do mnie, że na ulicze mogą być zainstalowane kamery policyjne, nie było więc sensu w tak głupi sposób narażać się na zdemaskowanie. Rozsądniej więc odbyć wieczorny spacer. Pogoda była ładna, a na dodatek korciło mnie, żeby raz jeszcze zerknąć na płot Straitleya.

Okazało się, że już usunął graffiti. To mnie nie zaskoczyło. Chociaż Roy nie widział tego dziełka z okien swojego domu, sama świadomość jego istnienia zapewne nie dawała mu spokoju - podobnie jak myśl, że chłopcy, którzy wtargnęli do jego ogrodu, mogą w każdej chwili wrócić. Niewykluczone, że zorganizują ten powrót w najbliższym czasie - tylko dlatego, żeby zobaczyć minę Straitleya - ale nie dzisiaj. Tego wieczoru czekały mnie większe atrakcje.

Po powrocie do pokoju z perkalowymi zasłonkami i otworzeniu szampana (mam ich karton - sześć butelek, które zamierzam opróżnić przed Bożym Narodzeniem), nadszedł czas na załatwienie najpilniejszej korespondencji. Potem drobny przebłysk geniuszu pchnął mnie do budki telefonicznej stojącej przed domem. Po chwili dyżurny pobliskiego posterunku policji dowiedział się, że nieopodal „Spragnionego Bakałarza” widziano czarnego forda probe (o numerze rejestracyjnym LIT 3) jadącego zygzakiem od krawężnika do krawężnika.

Moja terapeutka nie pochwała podobnych zachowań. Utrzymuje, że nie potrafię zapanować nad swoimi impulsami i mam skłonność do wydawania zbyt surowych sądów moralnych, a do tego nie liczę się z uczuciami innych. Twierdzi, że kiedyś może mnie to słono kosztować. Tym razem jednak nic mi nie groziło. Policja nie знаła mojego nazwiska, a poza tym to jasne dla każdego, że Light sobie zasłużył na karę. Podobnie jak swego czasu Bray, Light jest nieokrzesanym fanfaronem, podnieca go łamanie reguł dla samego ich łamanie, a na dodatek święcie wierzy, że po kilku piwach staje się lepszym kierowcą.

Jest żałośnie przewidywalny. Jak oni wszyscy.

To ich słabość. Oswaldczyków. Light oczywiście jest zadowolonym z siebie, zarozumiałym kretyńcem; ale nawet Straitley, którego w żadnym razie nie można nazwać głupcem, ma w sobie tę samą idiotyczną zarozumiałość. Któż by się ośmielił mnie zaatakować? Przypuścić atak na Świętego Oswalda?

Cóż, panowie. Ja.

SZACH

1

Tamto lato, gdy mój ojciec przechodził załamanie psychiczne, należało do najgorętszych w historii. Z początku tropikalna aura podnosiła ojca na duchu, jakby upał przenosił go do legendarnych letnich miesięcy jego dzieciństwa, kiedy to - o ile wierzyć jego opowieściom - przeżył najszcześniejsze chwile swojego życia. Jednak gdy mijały tygodnie i żar nadal lał się z nieba, a trawa na boiskach błyskawicznie zmieniała kolor z żółto-zielonego na brązowy - zgorzkniał i stał się jeszcze bardziej drażliwy niż zazwyczaj.

Oczywiście dbanie o trawę należało do jego obowiązków. Zainstalował więc spryskiwacze, ale teren był zbyt rozległy, żeby w ten sposób go nawodnić, a ponieważ przede wszystkim musiał utrzymać w dobrej kondycji boisko do krykieta, reszta trawników wypalała się do szczytu pod bezpowiekim okiem słońca. Ale to nie było jedyne zmartwienie ojca. Tajemniczy artysta uderzył ponownie i tym razem zaatakował w technikolorze - na ścianie pawilonu gimnastycznego pojawiło się wielobarwne graffiti o powierzchni pełnych sześciu stóp.

Ojciec przez dwa dni zdrapował je ze ściany, a potem przez tydzień odmalowywał pawilon, przysięgając raz po raz, że następnym razem dorwie małego gnojka i stłucze go tak, że gówniarz popamięta do końca życia. Mimo to winowajca pozostawał nieuchwytny - jeszcze dwukrotnie sprayowe obrazki pojawiły się na budynkach Świętego Oswalda. Stworzone w podstawowych kolorach, odznaczające się pewnym artyzmem, oba były karykaturami wykładowców. Wówczas mój ojciec zaczął pilnować szkoły po nocach - czaił się za załomem pawilonu z dwoma sześciopakami piwa pod ręką, a mimo to nie udało mu się przyłapać złoczyńcy. Johnowi Snyde'owi wprost nie mieściło się w głowie, jakim cudem ów niedorostek zdołał uniknąć zasadzki.

Na dodatek pojawił się problem myszy. W każdym wielkim budynku gnieźdzą się szkodniki - a u Świętego Oswalda chętniej niż gdzie indziej - ale od zakończenia roku szkolnego myszy hasały po korytarzach w nie przyzwyczajonych

wprost hordach. Nawet na mojej drodze pojawiły się kilka razy, zazwyczaj w okolicach Dzwonnicy, więc w końcu już i dla mnie nie ulegało wątpliwości, że trzeba coś zrobić, by przestały się tak pienić - należy wyłożyć trutki i pousuwać martwe sztuki przed rozpoczęciem semestru, żeby rodzice nie mogli narzekać.

Ojciec wściekał się z powodu tej mysiej plagi. Był przekonany, że chłopcy pozostawiali resztki jedzenia w swoich szafkach, narzekał na niedbalstwo sprzątaczy, całymi dniami sprawdzał wszystkie zakamarki w szkole, jego rozjuszenie powoli sięgało zenitu - jednak te zabiegi na niewiele się zdały.

Do tego wszystkiego dochodziły psy. Upał wpływał na nie mniej więcej tak samo jak na mojego ojca - były letargiczne w ciągu dnia i agresywne wieczorami. Ich właściciele - niechętnie wyprowadzający pupilów na palący żar - wraz z zapadnięciem ciemności ochoczo spuszczały czworonogi za smyczy na łąkach przylegających do Świętego Oswalda. Całe sfory biegały więc tam w ciemnościach, ujadając głośno i roznosząc na pazurach resztki trawy. Psy nie respektowały żadnych granic i pomimo nadludzkich wysiłków mojego ojca zawsze kilka z nich przeciskało się przez ogrodzenie na teren szkoły i z lubością srało na świeżo spryskane boisko do krykieta. Zwierzaki instynktownie wybierały to miejsce, jakby wiedziały, że w ten sposób najbardziej rozwścieczą mojego ojca, który potem, o poranku, chodził po boisku ze specjalnym workiem i szufelką, wygłaszając gniewne monologi i pociągając piwo z puski.

Z powodu zauroczenia Leonem dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie - a jeszcze później w ogóle zaczęło mnie to obchodzić - że John Snyder zaczyna popadać w szaleństwo. Nigdy nie łączyły mnie z ojcem serdeczne więzy, pewnie dlatego wysyłane przez niego sygnały pozawerbalne długo pozostawały dla mnie nieczytelne. W końcu jednak widać było na pierwszy rzut oka, że twarz ojca zastygła w wyrazie wściekłości. Kiedyś moje oczekiwania wobec niego zapewne byłyby większe. Ale czego można się spodziewać po facecie, który uważał, że rozwiązaniem problemów towarzyskich jego dziecka byłyby lekcje karate? A przecież moja obecna sytuacja miała bardziej złożony i subtelny charakter, czy więc mówienie mu o niej miałoby jakikolwiek sens?

Tato, kocham chłopaka imieniem Leon.

Aż strach pomyśleć, jak by zareagował.

Jednakże resztki przywiązania kazały mi się o niego troszczyć. On przecież też był kiedyś młody. Był zakochany, odczuwał pożądanie, odczuwał... cokolwiek. Bądź więc dobrym dzieckiem, dźwięczało mi w głowie. Donoś piwo z lodówki, parz herbatę, siedź godzinami przed telewizorem i oglądaj jego ulubione programy, a może wyrwiesz go z tego przerażającego marazmu. Jednak John Snyder szybko osuwał się w depresję - w jego oczach odbijały się w końcu tylko kolory migające na ekranie. Podobnie jak reszta świata, przestał mnie

dostrzegać - i w ten sposób już nie tylko w murach Świętego Oswalda, ale i we własnym domu pionek stał się Niewidzialnym Człowiekiem.

Po dwóch upalnych tygodniach wakacji doszło do podwójnej katastrofy. Za pierwszą mogę mieć pretensje tylko do siebie: w trakcie mojej ulubionej wyprawy przez okno na dach szkoły włączył się alarm antywłamaniowy i zaczął wyć ogłuszająco. Ojciec zareagował nadspodziewanie szybko i niemal przyłapał mnie na gorącym uczynku. Tylko tak wysportowany dzieciak jak ja mógł dopaść Portierni w równie rekordowym tempie, ale zabrakło mi już czasu, żeby odłożyć klucze na miejsce i ojciec przyłapał mnie z nimi w dłoni.

Strach zaczął podpowiadać różne wymówki: rozległ się alarm, a on, tato, zapomniał kluczy, każde dziecko spostrzegłszy to, zachowałoby się identycznie na moim miejscu - chciałoby jak najszybciej pospieszyć z kluczami, żeby rodzic nie musiał wracać.

Tym razem jednak ojciec mi nie uwierzył. Cały dzień chodził podmiowany, a na dodatek już od jakiegoś czasu podejrzewał, że ktoś podwędza mu klucze. Cóż, nie ulegało wątpliwości, że tym razem nie uda mi się wywinąć od kary. Co gorsza, jedyną drogę ucieczki zastawiał sobą ojciec, więc nie było dla mnie żadnej nadziei.

Oczywiście nie po raz pierwszy mnie wtedy uderzył. John Synde bez wątpienia należał do pierwszej ligi domowych bokserów. Co prawda na dziesięć jego ciosów zazwyczaj najwyżej trzy były celne, ale każde trafienie sprawiało takie wrażenie, jakby spadała na mnie skamieniała kłoda. Normalnie udawało mi się umknąć przed nim w newralgicznym momencie. Gdy natykał się na mnie jakiś czas później, to albo alkohol zdążył z niego wyparować, albo nie pamiętał już, co go rozwścieczyło.

Teraz jednak sprawa przedstawiała się inaczej. Po pierwsze, ojciec był trzeźwy. Po drugie, jego własny dzieciak dopuścił się niewybaczalnego przestępstwa - wtargnął bezprawnie na teren szkoły imienia św. Oswalda i tym samym rzucił wyzwanie Naczelnemu Portierowi. W jego oczach wyraźnie widać było frustrację i furję - przyłożyły się do tego psy, graffiti i wyłysiałe trawniki; uczniowie, którzy wytykali go palcami i obrzucali wyzwiskami; niema pogarda ludzi takich jak Kwestor i Nowy Dyrektor. Trudno zliczyć, ile razy mnie wtedy uderzył, ale zanim skończył, z mojego opuchniętego nosa ciurkiem leciała krew, a na policzkach wykwitły siniaki. Stał nade mną - drobną istotą skuloną w kącie i osłaniającą rękami głowę - z grymasem szaleństwa na swojej szerokiej twarzy, z rękami rozpostartymi szeroko na boki, niczym sceniczny morderca.

- Mój Boże. Och, mój Boże. Wielki Boże.

Gadał tak do siebie, mnie jednak w owej chwili interesował jedynie tryskający krwią nos. Na dodatek bolał mnie brzuch i zbierało mi się na wymioty

- prawdę mówiąc, do dziś nie wiem, jak udało mi się je powstrzymać.

Ojciec odsunął się ode mnie, po czym usiadł przy stole i schował twarz w dłonie.

- O, Boże. Przepraszam. Tak mi przykro - powtarzał w kółko, ale nie bardzo można było wywnioskować, czy jego słowa są skierowane do mnie, czy też do Wszchemogącego. Nie patrzył w moją stronę, tylko cały czas wyrzucał w dłonie słowa przeprosin. Normalnie w takich sytuacjach należało się trzymać od niego z daleka, bo w każdej chwili mógł znowu wybuchnąć, jednak tym razem intuicja mi podpowiadała, że jest inaczej niż zwykle - w ojcu jakby coś pękło.

- Przepraszam - jęknął, wstrząsany łkaniem. - Ale już nie mogą tego dłużej znieść, dzieciaku. Już... kurwa... nie dają rady.

I wówczas wreszcie wszystko z siebie wyrzucił. Był to dla mnie najgorszy cios tego katastrofального popołudnia. Kiedy zaczęła do mnie w pełni docierać treść jego słów, najpierw ogarnęło mnie zdumienie, potem przerażenie, a w końcu nie ulegało już dla mnie wątpliwości, że za chwilę jednak się porzygam, i wtedy instynkt kazał mi wybiec za drzwi, wprost w piekący skwar lata. Przede mną boiska Świętego Oswalda rozciągały się bezkresnie aż po błękitny horyzont, gorące promienie słońca przewiercały mi czaszkę, spalona trawa wydzielala woń podobną do zapachu cinnabaru, a do tego wszystkiego wokół śpiewały jakieś głupie ptaki - śpiewały i śpiewały, jakby nigdy nie miały zamiaru skończyć.

2

Tak bystry dzieciak jak ja powinien wpaść na to od razu. Oczywiście chodziło o moją matkę. Trzy miesiące wcześniej zaczęła pisywać do ojca - i choć z początku jej listy były dość ogólnikowe, jednak w miarę upływu czasu zaczęła przechodzić do konkretów. Ojciec z początku słowem mi nie wspomniał o tej korespondencji, ale z jego opowieści nietrudno było wydedukować, że pierwsze wieści od matki nadeszły mniej więcej w tym samym czasie, gdy w moim życiu pojawił się Leon, a ojciec zaczął się staczać po równi pochyłej.

- Nie chciałem ci tego mówić, dzieciaku. Nawet nie chciałem o tym myśleć. Wierzyłem, że jeżeli zignoruję problem, to on po prostu zniknie. A twoja matka zostawi nas w spokoju.

- O czym nie chciałeś mi mówić?

- Tak mi przykro.

- O czym?

I wtedy mi powiedział, a jego słowa mieszały się ze świergotem idiotycznych ptaków. Przez trzy miesiące próbował ukryć przede mną prawdę. Kiedy wszystko z siebie wyrzucił, nagle stało się jasne, skąd ostatnio brały się jego napady wściekłości, pijackie ciągi, irracjonalne, mordercze zmiany nastroju. Teraz nie ukrywał przede mną niczego - wyrzucał z siebie rwane zdania, wciąż trzymając się za głowę, jakby bał się, że mu za chwilę czaszka pęknie, a gdy snuł swą opowieść łamiącym się głosem, we mnie narastało przerażenie.

Okazało się, że los potraktował Sharon Snyde o wiele łaskawiej niż resztę rodziny. Wyszła za mąż bardzo młodo, urodziła mnie na kilka tygodni przed swoimi siedemnastymi urodzinami, a miała zaledwie dwadzieścia pięć lat, kiedy od nas odeszła. Podobnie jak mój ojciec, Sharon lubowała się w wyświechtanych komunałach i truizmach, stąd jej listy były pełne pseudopsychologicznego bełkotu. A więc twierdziła, że „musiała odnaleźć siebie”, że „jak to zazwyczaj bywa, wina leżała po obu stronach” i że „znajdowała się w

emocjonalnym dołku”. Tym właśnie próbowała usprawiedliwić swoją dezerccję.

Jednocześnie zapewniała, że bardzo się zmieniła - w końcu wydorosłała i dojrzała. To brzmiało tak, jakbyśmy my byli zabawką, z której się wyrasta, jakimś rowerkiem na trzech kółkach, kiedyś kochanym i ulubionym, teraz jednak żałośnie śmiesznym. Ciekawe, czy nadal używała wody Cinnabar, czy z niej także już wyrosła.

W każdym razie ponownie wyszła za mąż, za studenta obcokrajowca, którego poznała w Londynie, w barze, a potem razem z nim wyjechała do Paryża. Xavier to cudowny człowiek i zapewne oboje - i ja, i ojciec - bardzo byśmy go polubili. Tak się składa, że i on marzy o tym, żeby nas poznać. Xavier pracował jako nauczyciel angielskiego w liceum w Marne-la-Vallée, był miłośnikiem sportu i uwielbiał dzieci.

Po tym wyznaniu gładko przeszła do sedna sprawy. Chociaż z Xavierem bardzo się starali, do tej pory nie dorobili się własnego dziecka. I choć Sharon nie miała odwagi, żeby napisać do mnie bezpośrednio, muszę wiedzieć, że nigdy nie zapomniała o swoim Skrzacie, najdroższym skarbie - szczerze mówiąc, nie ma dnia, by o mnie nie myślała.

W końcu przekonała Xaviera do swojego pomysłu. Mieli duże mieszkanie; ja jestem bystrym, inteligentnym dzieckiem, więc szybko nauczę się języka; a co najważniejsze, będę znowu mieć prawdziwą, kochającą rodzinę, niecierpiącą na brak pieniędzy, dzięki którym Sharon wynagrodzi mi te wszystkie lata życia w niedostatku.

Zdjęła mnie zgroza. Po całych pięciu latach moja tęsknota za matką zdążyła się już przerodzić w całkowitą obojętność, wręcz graniczącą z niechęcią. Na myśl, że znowu ją zobaczę - że ma dojść między nami do pojednania, o którym ona ponoć marzy - robiło mi się niedobrze. Sharon Snyder, teraz pokryta tanim werniksem pozornego wyrafinowania, obiecywała mi nowe, banalne, gotowe życie w zamian za lata cierpień. Problem w tym, że mnie już to nie interesowało.

- Ależ z pewnością tego chcesz, dzieciaku - powiedział ojciec. Przemoc ustąpiła miejsca kliwemu uzalaniu nad samym sobą, które było dla mnie tak samo obrzydliwe. Mnie niełatwo oszukać. To było jak banalny sentymentalizm zbira, który na zakrwawionych kłykciach rąk ma wytatuowane: MAMA i TATA; oburzenie oprycha, słuchającego w wiadomościach o jakimś pedofilu; łzy tyrana przelewane nad przejechanym psem.

- Z pewnością tego chcesz. Bo, widzisz, to jak druga szansa. A ja? Gdybym mógł, jutro przyjąłbym ją pod swój dach. A nawet dzisiaj.

- A ja nie. Poza tym dobrze mi tu, gdzie jestem.

- Dobrze? Też mi coś. Dzięki temu możesz mieć to wszystko ...

- Jakie wszystko?

- Paryż i tak dalej. Pieniądze. Życie.

- Ja już mam życie.
- I pieniądze.
- Może sobie wsadzić swoją forszę gdzieś. To, co mamy, nam wystarczy.
- Taa. No niech ci będzie.
- Naprawdę, tato. Nie pozwól, żeby wygrała. Ja naprawdę chcę tu zostać.

Przecież nie możesz mnie zmusić...

- Powiedziałem: „Niech ci będzie”.
- Obiecujesz?
- Taa.
- Naprawdę?
- Tak.

Jednak mówiąc to, nie patrzył mi w oczy, a jeszcze tego samego wieczoru kosz na śmieci był pełen loteryjnych zdrapek - leżało ich tam co najmniej dwadzieścia, może więcej, świecących niczym ozdóbki choinkowe wśród herbacianych fusów i puszek po konserwach.

3

Historia z Sharon Snyder była dla mnie ciosem. Z listów, które ojciec do tej pory przede mną ukrywał, jasno wynikało, że jej plany są już w bardzo zaawansowanej fazie. Ogólnie rzecz biorąc, Xavier wyraził zgodę na adopcję. Sharon rozglądała się za odpowiednią dla mnie szkołą, a nawet skontaktowała się z miejscowymi pracownikami socjalnymi, żeby zasięgnąć informacji na temat moich wyników w nauce i ogólnego stosunku do życia - a to w poszukiwaniu ewentualnych haków na ojca, które mogłaby wykorzystać przeciwko niemu w sądzie.

Chociaż tak naprawdę wcale ich nie potrzebowała. Po latach zmagani z sobą i światem ojciec w końcu się poddał. Rzadko się mył, jeżeli gdzieś wychodził, to tylko do baru z frytkami i rybą lub do chińskiej knajpki, żeby kupić coś na wynos, a poza tym wydawał większość naszych pieniędzy na zdrapki i alkohol. I z każdym dniem coraz bardziej zamykał się w sobie.

W innych okolicznościach zachwycaloby mnie, że z powodu depresji ojca mogę się cieszyć niemal nieograniczoną swobodą. Niespodziewanie nieważne się stało, o której wracam do domu i jak spędzam całe dnie. Wieczne kino, przesiadywanie w pubie - wszystko było dozwolone. Dzięki kluczom dorobionym po ostatniej katastrofalnej wpadce także podwoje Świętego Oswalda stały przede mną otworem. Ale bez mojego przyjaciela nawet najbardziej ulubione rozrywki straciły swój urok, więc zostały przeze mnie szybko zarzucone na rzecz zabawy w towarzystwie (jeśli można to tak nazwać) Leona i Franceski.

Każda para kochanków potrzebuje kogoś do roli przynies, wynies, pozamiataj. Kogoś, kto dla nich stanie na czatach albo, gdy trzeba, odegra rolę przyzwoitki. Niekiedy moja obecność przyprawiała ich o mdłości, ale jednocześnie nie mogli się beze mnie obejść. Potrzebowali wygodnego pionka, by go dowolnie przestawiać - w zależności od okoliczności. A ów pionek leczył zranione serce świadomością, że tym razem Leon naprawdę go potrzebuje.

Mieliśmy własny szałas (Leon nazywał go klubem) w lesie przylegającym do boisk Świętego Oswalda. Wznieśliśmy go z dala od ścieżki, na pozostałościach czyjejś dawno porzuconej chaty. To było przyjemne miejsce, dobrze zakamuflowane, o ścianach z kawałków bali i suficie z grubych sosnowych konarów. Tam właśnie spędzaliśmy większość dni. Choć akurat mój czas upływał głównie na staniu na czatach, paleniu papierosów i usilnych próbach odcięcia się od odgłosów dochodzących z wnętrza niewielkiego szałasu.

W domu Leon rozgrywał sytuację z zimną krwią. Ja, a w zasadzie Pinchbeck zjawiał się codziennie rano na rowerze, pani Mitchell wręczała nam koszyk piknikowy z jedzeniem, po czym wyruszyliśmy do lasu. Dzięki mojej obecności wszystko wyglądało bardzo niewinnie, nikt by więc nie zgadł, że te leniwe godziny pod sosnowym baldachimem wypełnione były stłumionym śmiechem, nagością brązowych pleców i kremowych pośladków odcinających się wyraźnie od półmroku szałasu.

Tak przedstawiały się dobre dni. W te złe Leon i Francesca, chichocząc, biegli w głąb lasu, pozostawiając mnie przy szałasie z poczuciem, że jestem kimś nudnym i kompletnie bezużytecznym. Bo też tak naprawdę nigdy nie tworzyliśmy zgranego trio, a jakiś niesymetryczny, niezrozumiały twór. Z jednej strony była ta złocista dziewczyna i Leon tworzący przedziwną hybrydę, wstrząsaną gwałtownymi zmianami nastroju, euforycznymi wzlotami i zdumiewającymi aktami okrucieństwa; z drugiej zaś ja - bezbarwny, przepelziony uwielbieniem, całkowicie uzależniony od Leona pionek.

Francesca nigdy w pełni nie zaaprobowała mojej obecności. Starsza ode mnie - miała jakieś piętnaście lat - nie była już dziewczicą (ale ostatecznie czego innego można się spodziewać po uczennicy katolickiej szkoły?), za to po uszy zakochała się w Leonie. On zaś sprytnie podsycił jej uczucia - przemawiał do niej czule i często doprowadzał ją do śmiechu. Z jego strony była to jedynie poza - ale Francesca, która przecież w ogóle go nie знаła, nie mogła o tym wiedzieć. Nie widziała przecież, jak jej ukochany zarzuca trampki Peggy Johnsen na druty telefoniczne, jak kradnie płyty ze sklepu muzycznego czy rzuca bombami atramentowymi w jakiegoś dzieciaka z Sunnybank, który akurat włożył nowiutką koszulę. Leon mówił jej o rzeczach, o jakich nigdy ze mną nie rozmawiał - snuł opowieści o muzyce i o astronomii, odkrywał przed nią tajniki filozofii Nietzschego, mnie zaś w tym czasie nie pozostawało nic innego, jak wlec się za nimi z koszykiem piknikowym, nienawidząc ich, a jednak nie mając dość siły, by odejść.

Oczywiście w gruncie rzeczy to Francesca wzbudzała moją nienawiść. Chociaż właściwie nie wiadomo czemu, bo zawsze traktowała mnie miło - prawdziwie paskudne odzywki i zachowania były zwykle autorstwa Leona.

Ale wystarczyło, że docierały do mnie ich szepty i ich śmiech, że się ku sobie nachylali, tworząc własny intymny świat, a już wszystko się we mnie burzyło.

I to dotykanie. Oni się nieustannie dotykali. I nie chodziło mi nawet o całowanie czy uprawianie seksu, ale o te tysiące drobnych muśnięć - ręka na ramieniu, ocieranie się kolanami, jej jedwabiste kosmyki włosów zwiewane przez wiatr na jego twarz. Każdy taki gest palił mnie żywym ogniem, przesywał nieznany dotąd dreszczem.

Była to dziwna rozkosz, gorsza jednak niż tortura. Po tygodniu płątania się przy Leonie i Francesce w roli piątego koła u wozu chciało mi się wyć z nudów, a jednocześnie serce waliło mi w desperackim rytmie. Na myśl o kolejnym spotkaniu we troje ogarniały mnie mdłości, a jednocześnie jakaś siła kazała mi co noc godzinami odtwarzać każdy szczegół wspólnego dnia z bolesną drobiazgowością. To było jak choroba. Liczba wypalanych przeze mnie papierosów rosła w zastraszającym tempie, moje paznokcie były poobgryzane do krwi. Nie chciało mi się jeść, na twarzy pojawiła się paskudna wysypka, a do tego nękało mnie przykre uczucie, że stąпам po tłuczonym szkle.

Najgorsze jednak było to, że Leon doskonale widział, co się ze mną dzieje. Ktoś tak bystry jak on nie mógł tego przeoczyć. No i bawił się mną jak kocur bezbronną myszą - z tym samym nonszalanckim okrucieństwem.

„Popatrz! Popatrz, kogo poderwałem!”

- No i co sądzisz? - spytał, gdy Francesca oddaliła się od nas na chwilę, żeby nazbierać kwiatków czy się wysikać, teraz już nie pamiętam.

- O czym?

- O Frankie, ty kretynie. Co o niej myślisz?

Policzki zaczęły mnie nagle palić. Wypadki toczyły się w oszalamiającym tempie.

- Jest miła.

- Miła... - Leon uśmiechnął się szeroko.

- Uhm.

- Chciałbyś jej wsadzić, co? Gdybyś tylko miał szansę, natychmiast byś ją przeleciał. - W jego oczach pojawił się złośliwy błysk.

- Bo ja wiem... - Teraz żadna siła by mnie nie zmusiła, żeby spojrzeć Leonowi w oczy.

- „Bo ja wiem”...?! Jezu, Pinchbeck? Jesteś ciotą czy co?

- Odpieprz się, Leon. - Policzki paliły mnie coraz mocniej, a Leon przez dłuższą chwilę przyglądał mi się z uśmiechem.

- Nie zalewaj - odezwał się w końcu. - Widziałem, jak się nam przyglądasz, gdy jesteśmy z Frankie w klubie. Nigdy się do niej nie odzywasz. Choćby jednym słowem. Widzę jednak, jak na nią patrzysz. Jak nas obserwujesz. Obserwujesz i uczysz się, co?

On myśli, że pożądam Franceski! - dotarto do mnie niespodziewanie. Sądzi, że mu zazdroścę! Z trudem udało mi się zapanować nad śmiechem. Leon się mylił. Mylił się tak kosmicznie, tak piramidalnie, że aż zakrawało to na groteskę.

- Posłuchaj, to fajna dziewczyna. Tyle że... nie w moim typie, OK?
- Nie w twoim typie? - powtórzył i wybuchnął śmiechem. Teraz już jednak nie szydzącym, ale radosnym i zaraźliwym.
- Hej, Frankie! - wykrzyknął. - Pinchbeck twierdzi, że nie jesteś w jego typie!

A potem odwrócił się do mnie i dotknął koniuszkami palców mojej twarzy - niemal czule i pieszczotliwie.

- Posłuchaj, chłopie. Jeżeli za pięć lat nie uda ci się jeszcze żadnej przelecieć, zgłoś się do mnie - powiedział z żartobliwie poważną miną.

A potem ruszył przez siebie - wbiegł jak szalony pomiędzy drzewa. Wiatr rozwiewał mu długie włosy, trawy smagały jego gołe kostki. Tym razem nie uciekał przede mną - pędził, bo rozsadzała go radość życia. Bo miał czternaście lat i rządziło nim pożądanie. Wyglądał niemal jak niematerialna postać, efemeryczna w grze cieni rzucanych przez liście drzew - chłopiec utkany z powietrza i promieni słońca, nieśmiertelna, piękna istota. Nikt nie mógł za nim nadążyć. Francesca protestowała, chciała, żeby się zatrzymał. On jednak gnał przed siebie wielkimi susami i pokrzykując radośnie, przedzierał się przez mleczny, srebrzysty opar, by po chwili zniknąć w mroku.

Bardzo wyraziście pamiętam ów moment. Chwilę najczystszej radości - jakby prosto z pięknego snu - nieskażoną logiką i realiami. Wówczas wydawało się, że będziemy żyć wiecznie. Nic nie burzyło szczęścia. Nic nie miało znaczenia - ani mój ojciec, ani matka, ani nawet Francesca. Wtedy, w lesie, objawiło mi się coś szczególnego - cudowny byt, któremu nigdy nie zdołam dotrzymać kroku, ale który pozostanie ze mną do końca moich dni.

- Kocham cię, Leon.

Pamiętam jak dziś ten mój szept. I moje ówczesne przekonanie, że ta miłość wystarczy mi za wszystko.

4

Sprawa była beznadziejna. Nigdy nie stanę się dla Leona tym samym, kim on dla mnie. Leon nigdy nie potraktuje mnie inaczej niż z łaskawą wyższością. A mimo to rozpierało mnie szczęście - zadowalały najdrobniejsze okrucy serdeczności. Poklepanie po ramieniu, szeroki uśmiech, kilka słów - „Jesteś całkiem w porządku, Pinchbeck” - wystarczały, żeby wprowadzić mnie w euforię, niekiedy nawet na parę godzin. Daleko mi było do Franceski. Z drugiej strony, Francesca wróci wkrótce do swojej katolickiej szkoły, natomiast ja... ja...

No właśnie, a co ze mną? To było poważne pytanie. W ciągu dwóch tygodni, które nastąpiły po wyznaniach ojca, Sharon Snyder dzwoniła co drugi dzień. Żadna siła by mnie nie zmusiła, żeby podejść do telefonu i z nią porozmawiać. Czy też odpowiedzieć na któryś z jej rozlicznych listów lub podziękować za prezenty.

Nie można jednak na zawsze odciąć się od świata dorosłych. Bez względu na to, jak głośno grało radio w czasie jej telefonów, na jak wiele godzin udawało mi się zniknąć z domu, od machinacji Sharon nie było ucieczki.

Ojciec, jedyna osoba, która jeszcze mogła mnie ocalić, kompletnie się już wypalił. Godzinami siedział przed telewizorem, popijając piwo i pochłaniając wielkie porcje pizzy, i całkowicie zaniedbywał wszystkie swoje obowiązki. A tymczasem mój czas - jakże cenny, cudowny czas - dramatycznie się kurczył.

*Najdroższy Skrzacie,
czy podobały Ci się ubrania, które Ci wysłałam? Nie bardzo wiedziałam, jaki wybrać rozmiar, ale Twój ojciec mówi, że jak na swój wiek jesteś wciąż bardzo drobnym dzieckiem. Mam nadzieję, że udało mi się trafić. Tak bardzo mi zależy, żeby wszystko wyglądało idealnie, gdy się znów spotkamy. Wprost nie mogę uwierzyć, że za chwilę*

skończysz trzynaście lat. Na szczęście już niedługo się zobaczymy, kochanie. Twój bilet powinien nadejść w ciągu kilku dni. Czy cieszysz się na tę wizytę tak bardzo jak ja? Xavier nie może się już doczekać, żeby cię poznać, choć jest też trochę zdenerwowany. Pewnie się boi, że zupełnie o nim zapomnimy, gdy będziemy nadrabiać te pięć lat rozłąki!

*Twoja kochająca matka
Sharon*

Nieprawdopodobne. Ona naprawdę wierzyła, że nic się przez te pięć lat nie zmieniło, że może wkroczyć w moje życie tak, jakby mnie nigdy nie opuściła, że wciąż będę jej Skrzatem, jej kochaniem, jej małym manekinem do przystrajania. Co gorsza, ojciec też zdawał się w to wierzyć. Ba, wręcz sprawiał takie wrażenie, jakby właśnie tego pragnął. W pewien perwersyjny sposób zachęcał mnie do wyjazdu - może zdawało mu się, że pozbycie się kłopotliwego problemu skieruje jego życie na inną drogę, przyniesie mu ratunek - niczym zrzucenie balastu z tonącego okrętu.

- Przynajmniej spróbuj. - Ojciec był teraz ugodowym, pobłażliwym rodzicem krnąbrnego dzieciaka. Od dnia, gdy mnie pobił za klucze, ani razu nie podniósł na mnie głosu. - Przynajmniej spróbuj, dzieciaku. Może ci się tam spodoba.

- Na pewno nie. Poza tym nie chcę oglądać jej na oczy.
- Polubisz Paryż. Wiem, co mówię.
- Nie polubię.
- Przyzwyczaisz się do nowego życia.
- Nie ma o tym, kurwa, mowy. Poza tym to jedynie krótka wizyta. Nie zamierzam tam zostać na zawsze.

Cisza.

- To jedynie wizyta.

Cisza.

- Tato?

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko na wszelkie sposoby zachęcać go do działania. Ale coś w nim bezpowrotnie pękło. Agresja i gniew ustąpiły miejsca obojętności. Znowu zaczął obrastać tłuszczem; nie pilnował kluczy; trawniki przeistaczały się w wysuszony step; boisko do krykieta, niespryskiwane od wielu dni, stało się jałową ziemią. Można było odnieść wrażenie, że jego apatia ma uzmysłwić mi bezsens pozostania w Anglii i przekonać do nowego życia, które Sharon z Xavierem tak drobiazgowo dla mnie zaplanowali.

Jednak owego lata przede wszystkim dopadła mnie konieczność wyboru pomiędzy lojalnością wobec Leona a rosnącą potrzebą krycia ojca. Kilka nocnych godzin upływało mi zawsze na podlewaniu trawy, a nawet na próbach jej koszenia. Ale Wredota miała swoje narowy i humory, więc moje wysiłki doprowadziły w końcu do ostatecznego oskalpowania trawników, przez co

wyglądały gorzej niż kiedykolwiek, a boisko do krykieta, pomimo moich starań, uparcie nie chciało powrócić do dawnej świetności.

W końcu dotarło do mnie, że to już tylko kwestia czasu, aż ktoś zauważy, co się dzieje. I rzeczywiście pewnego dnia, po powrocie z wyprawy do lasu, zdarzyło mi się natknąć na Pata Bishopa. Tkwił z niewyraźną miną w jedynym nierozpadającym się fotelu, a naprzeciwko, na sofie, siedział ojciec. W powietrzu niemal iskrzyło. Bishop odwrócił się szybko, gdy dotarł do niego odgłos moich kroków. Instynkt podpowiadał mi, żeby przeprosić i natychmiast się wycofać, ale jeden rzut oka na twarz Drugiego Mistrza sprawił, że nogi się pode mną ugięły. Jego mina wyrażała poczucie winy i litość, i gniew, ale przede wszystkim - głęboką ulgę. Był to wyraz twarzy człowieka, który skorzystałby z każdego pretekstu, byle tylko uciec od nieprzyjemnej sceny. I chociaż powitał mnie tym samym co zwykle serdecznym uśmiechem, natychmiast udało mi się przejrzeć jego grę.

Ciekawe, kto złożył skargę. Sąsiad, przypadkowy przechodzień czy może któryś z wykładowców? Niewykluczone, że doniesienie złożył jakiś rodzic - płacący, więc wymagający najwyższej jakości. Z pewnością było teraz na co narzekać. A ponieważ szkoła zawsze budziła powszechną ciekawość, jej otoczenie powinno nieodmiennie imponować nienagannym wyglądem. Równie nienaganne powinno być także zachowanie pracowników - napięcia między Świętym Oswaldem a miastem dla nikogo nie pozostawały tajemnicą, więc nie należało ich jeszcze zaostriąć, dostarczając pożywki dla nowych zjadliwych plotek. Każdy Portier ma tego świadomość. Z tego też powodu w szkole zatrudnia się Portierów.

Moje spojrzenie powędrowało w stronę ojca. On jednak wciąż wpatrywał się w Bishopa, który tymczasem poderwał się z fotela i ruszył w stronę wyjścia.

- To nie moja wina - jęknął John Snyder. - Ja... ja i mój dzieciak ostatnio przechodzimy ciężki okres. Proszę im to wytłumaczyć, sir. Pana wysłuchają.

- Nie jestem pewien, John. Dostałeś już dwie nagany. Po tej ostatniej historii - gdy uderzyłeś chłopca...

Ojciec z wysiłkiem zaczął gramolić się na nogi. Wiele go to kosztowało. Miał minę zbitego psa i na ten widok ogarnął mnie wstyd.

- Proszę, sir...

Bishop też był zażenowany błagalnym tonem ojca. Wypełniając swoją pożądaną postać całe drzwi, przeniósł na mnie wzrok, i wtedy wyraźnie dotarło do mnie, że moja twarz jest mu całkiem obca, pomimo że wielokrotnie widywał mnie w szkole. W pewien sposób właśnie fakt, że mnie nie rozpoznał, nie dojrzał we mnie jednego z uczniów - był gorszy niż wszystko, co się tu działo. Korciło mnie, żeby wykrzyknąć: „Sir, czy naprawdę mnie pan nie poznaje? To ja, Pinchbeck. Kiedyś osobiście przyznał mi pan dwa punkty dla mojego domu

i nawet kazał się zgłosić do drużyny przełajowej! Nie pamięta pan?”

To jednak nie wchodziło w rachubę. Moja mistyfikacja okazała się tak doskonała, że nie było już odwrotu. Oni dali się zwieść. Ci wszyscy wykładowcy Świętego Oswalda, którzy wydawali się tak wspaniali, tak dalece mnie przewyższający. Dali się oszukać. A teraz na dodatek stał przede mną Bishop z równie głupią miną jak pan Bray w dniu, gdy udało mi się doprowadzić do jego upadku. I wtedy mnie oświeciło - Drugi Mistrz w żaden sposób nie był w stanie nam pomóc. Pozostaliśmy osamotnieni na placu boju, tyle że ojciec jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Pilnuj się teraz, John. Zobaczę, co da się zrobić.

- Dziękuję, sir. - Ojciec trząsał się na całym ciele. - Wiem, że mogę na pana liczyć.

Bishop położył wielką dłoń na ramieniu ojca. Był przecież dobrym człowiekiem. W jego głosie pobrzmiwała ciepła, serdeczna nuta, a z ust cały czas nie schodził uśmiech.

- Głowa do góry, John. Jestem pewien, że sobie poradzisz. Zdołasz się wziąć w garść, a przy odrobinie szczęścia do września doprowadzisz teren do porządku i problem sam zniknie. Niemniej... dość już z tą degrengoladą, dobrze? I, John... - poklepał ojca po ramieniu tak, jak klepie się ulubionego labradora - ..trzymaj się z daleka od alkoholu, OK? Jeszcze jedna wpadka, a nawet ja nie zdołam ci pomóc.

Do pewnego stopnia Bishop dotrzymał słowa. Skargę odrzucono - a przynajmniej odłożono na półkę. Bishop wpadał co kilka dni, żeby sprawdzić, jak się wiedzie ojcu, a ojca te wizyty autentycznie podnosiły na duchu. Co ważniejsze, Kwestor zatrudnił dodatkową pomoc - półgłówka o nazwisku Jimmy Watt, który miał pomagać Portierowi w najtrudniejszych pracach.

Sprawy przybrały niezwykle groźny obrót. Gdyby John Snyder stracił posiadłość, nie byłoby dla mnie ucieczki przed Sharon i Xavierem. Jednak ojcu musiałoby jeszcze zależeć, żeby zatrzymać mnie przy sobie. Żeby go do tego zachęcić, jego dziecko powinno stać się takie, jakim chciał je widzieć. Stąd nie pozostało mi nic innego, jak godzinami oglądać mecze futbolowe w telewizji, wsuwać rybę z frytkami prosto z gazety, porzucić książki i zabrać się ochoczo do wszelkich prac domowych. Z początku ojciec patrzył na moje entuzjastyczne wysiłki z podejrzliwością, potem z rozbawieniem, w końcu zaś - ze smętną aprobatą. Fatalizm, który nim oświadczył, gdy dowiedział się o dobrobycie mojej matki we Francji, szczęśliwie powoli zniknął. Ojciec zaczął się wyrażać z sarkazmem o paryskim życiu Sharon, o frymuśnym francuskim fagasie i aroganckim przeświadczeniu mojej matki, że może burzyć nasz spokój, bo akurat taki właśnie cholerny pomysł strzelił jej do głowy.

Instynkt kazał mi go utwierdzać w przekonaniu, że musimy zrobić wszystko, by pokrzyżować plany Sharon, pokazać jej, kto tu naprawdę rządzi - a więc w tym celu przez chwilę schlebiać jej żalosnym ambicjom, ale tylko po to, żeby ostatecznie zadać jej bolesny, śmiertelny cios. Moje argumenty trafiły do jego mentalności mężczyzny zarażonego głęboką nieufnością wobec kobiet i ich, w jego przekonaniu, niecznych machinacji.

- Wszystkie są wredne - oznajmił mi kiedyś, nie zważając na to, do kogo zwraca się ze swoją gniewną tyradą. - Wszystkie są nędznymi sukami. W jednej chwili rozplywają się w uśmiechach, a w następnej łapią nóż i wbijają ci go w plecy. I na dodatek uchodzi im to na sucho - ostatecznie codziennie piszą o tym w gazetach. I co taki biedny facet ma zrobić, gdy zostanie wrobiony? Rosły, tęgi chłop, a tu biedna, mała kobietka - każdy dochodzi do wniosku, że musiał jej zrobić coś okropnego, no nie? Stosował przemoc czy jak się tam to gównu nazywa. No i kilka dni później ona zjawia się w sądzie, trzepecze rzęsami i już przyznają jej opiekę nad dziećmi, niebotyczne alimenty i Bóg wie co jeszcze...

- W wypadku twojego dziecka tak nie będzie!

- Och, daj spokój - zachnął się John Snyder. - Na pewno nie mówisz tego poważnie. Przed tobą Paryż, dobra szkoła, nowe życie...

- Przecież w kółko ci powtarzam, że nie zamierzam tam zostać.

- Ale dlaczego? - Patrzył na mnie ze smętnym zdumieniem, niczym pies, którego niespodziewanie nie zabrano na spacer. - Matka da ci wszystko, czego zapragniesz. Ubrania, płyty...

- Niczego od niej nie chcę! Nie ma prawa zjawiać się tu ni stąd, ni zowąd po cholernych pięciu latach i wyobrażać sobie, że może mnie kupić za pieniądze tego francuskiego fagasa. - Ojciec parzył na mnie oniemiały swoimi niebieskimi oczami, z bolesnym skupieniem na twarzy. - To ty byłeś przy mnie przez te wszystkie lata. Dbaleś o mnie. Staraleś się, jak umiałeś. - Skinął nieznacznie głową, jakby dając do zrozumienia, że mnie uważnie słucha. - No i w gruncie rzeczy całkiem nieźle sobie radzimy, prawda, tato? Matka i jej facet nie są nam potrzebni do szczęścia.

Przez chwilę panowała cisza. Moje słowa najwyraźniej poruszyły odpowiednią strunę.

- Było ci tu chyba nieźle... - odezwał się po chwili, trudno jednak było zdecydować, czy zadawał pytanie, czy też stwierdzał fakt.

- Poradzimy sobie. - Ojciec potrzebował mojego zapewnienia, więc logika podpowiadała, by mu je zagwarantować. - Przecież nieźle nam szło, prawda? No i zawsze mówiłeś mi, że nie wolno się w życiu poddawać. Pamiętasz, tato? Twierdziłeś, że nie wolno pozwolić żadnym dupkom, żeby nami pomiatali?

Znowu cisza - tym razem tak głęboka, że można by się w niej zatracić. A potem, niespodziewanie śmiech ojca - nad wyraz pogodny śmiech młodego człowieka, który wprawił mnie w nieklamane osłupienie.

- Niech ci będzie, dzieciaku - wyduślił z siebie w końcu ojciec. - A więc musimy się postarać.

I tak, pełni nadziei, wkroczyliśmy w sierpień. Do moich urodzin pozostały trzy tygodnie, do rozpoczęcia nowego roku - zaledwie cztery. Wystarczająco jednak dużo czasu, by ojciec zdołał doprowadzić boiska i trawniki do idealnego wyglądu, dokonać najpilniejszych napraw, rozłożyć pułapki na myszy i odmalować pawilon gimnastyczny. W związku z tym wstąpił we mnie nowy duch. Tym bardziej że niewątpliwie ojcu zapadła w pamięć nasza rozmowa w saloniku Wartowni, a więc z pewnością postara się, żebyśmy osiągnęły zamierzony cel.

Nagle też ogarnął mnie wstyd za wcześniejsze działania skierowane przeciwko własnemu rodzicielowi. Jasne, John Snyder przysparzał mi problemów - ale przynajmniej był w swoich działaniach prostolinijny i szczery. Nie opuścił mnie w potrzebie, a gdy doszło do najgorszego, nie posunął się do najniższych chwytów - nie próbował mnie przekupić. W porównaniu z działaniami matki nawet wyprawy na mecze futbolowe czy propozycja lekcji karate nie wydawały mi się już tak groteskowe jak w przeszłości. Teraz objawiały mi się raczej jako nieporadna, niemniej autentyczna próba zadzierzgnięcia przyjaźni z własnym dzieckiem.

Cóż więc mi innego pozostało, niż tylko pomagać ojcu: sprzątać, pracować, a nawet zmuszać go, żeby się golił. Niespodziewanie okazało się, że potrafię być potulnym, posłusznym dzieckiem - wręcz przepelnionym miłością. Bo nagle to mnie zaczęło zależeć, żeby John Snyder utrzymał posiadłość; jego stała praca była moją jedyną bronią przeciwko Sharon - moją przepustką do Świętego Oswalda i towarzystwa Leona.

Leon... To wprost niebywałe, jak obsesje wyrastają jedna z drugiej i karmią się sobą nawzajem, prawda? Najpierw był Święty Oswald, buńczuczne podjęcie wyzwania, radość z mistyfikacji, potrzeba odnalezienia własnego miejsca na ziemi, przeistoczenia się w kogoś innego i lepszego niż dziecko Johna i Sharon Snyder. Teraz natomiast najważniejszy stał się Leon, jego bliskość i przyjaźń, i przedziwna chęć zawładnięcia jego osobą w sposób, który wówczas był jeszcze dla mnie zupełnie niepojęty. Nie istniało jedno konkretne uzasadnienie mojej obsesji. Owszem, Leon był atrakcyjny pod każdym względem i na swój sposób również życzliwy. Pokazał mi, w jaki sposób odegrać się na moim wrogu i prześladowcy, Brayu. I do tego pojawił się w czasie, gdy w moim życiu dominowały samotność, bezbronność i desperacja.

Nie to jednak było główną przyczyną mojego zauroczenia. Chodziło o to, że w czasie naszego pierwszego spotkania w Środkowym Korytarzu, gdy Leon stał w nonszalanckiej pozie z włosami opadającymi na czoło i obciętym kołnierzem krawata wychylającym się znad swetra na podobieństwo bezczelnie wywalonego jęzora, spadły mi nagle łuski z oczu i stało się dla mnie jasne,

że teraz moja czasoprzestrzeń zacznie się dzielić wyraźnie na dwa okresy - na ten sprzed i po Leonie - i że od tej pory już nic nie będzie takie samo.

Większość dorosłych utrzymuje, że młodzieńcza miłość jest nieistotna, że owe chwile gorącego gniewu i zapiekłej nienawiści, zakłopotania i przerażenia, poczucia beznadziejności i odrzucenia są burzą hormonów, z której się bezboleśnie wyrasta - próbą generalną przed nadejściem Prawdziwego Uczucia. W moim wypadku tak nie było. Gdy ma się trzynaście lat, wszystko jest istotne - wszystko nabiera ostrych, wyrazistych konturów i może okaleczyć na resztę życia. Niektóre narkotyki są w stanie przywołać ową młodzieńczą żarliwość uczuć, ale zazwyczaj wraz z osiągnięciem dojrzałości nasze zmysły ulegają stępieniu, a wszelkie barwy blakną w zetknięciu z rozumem i umiejętnością racjonalizacji lęków. Niemniej w wieku trzynastu lat rzeczywistość wciąż jest oszałamiająco kolorowa i pełna kontrastów. Stąd owego lata nie ulegało dla mnie wątpliwości, czego pragnę - i nic ani nikt nie byłby mnie w stanie powstrzymać od zażartej walki o spełnienie marzeń. Od walki aż do śmierci. Jedno więc nie ulegało wątpliwości. W żadnym razie nie pojedę do Paryża. I za nic nie porzucę Świętego Oswalda.

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
poniedziałek 25 października*

Ogólnie rzecz biorąc, nie najlepszy początek drugiej połowy semestru. Październik pokazał niespodziewanie groźne oblicze: brutalnie odzierał drzewa ze złotych liści i zarzucał dziedzińce kolczastymi lupinami kasztanów. Wietrzna pogoda i deszcz oznaczają, że długą przerwę chłopcy - nadpobudliwi w czasie takiej pogody - muszą spędzać w sali, a po tym, co się wydarzyło ostatnio, gdy przez moment pozostali bez nadzoru, nie ośmieliłbym się ich spuścić z oka. Dla Straitleya nie ma więc teraz chwili wytchnienia - nawet drobny antrakt na wypicie herbaty nie wchodzi w grę - stąd nic dziwnego, że chodzę nieustannie zirytowany, wyładowuję swoją złość na wszystkich, którzy nawiną mi się pod rękę, nawet na moich Brodie Boys, do niedawna robowiąjących mnie w najbardziej ponurych momentach.

W rezultacie, pomimo wietrznej aury, chłopcy siedzą na moich lekcjach z opuszczonymi głowami, potulni jak trusie. Ukaralem dwóch czwartoklasistów odsiadką po lekcjach za brak pracy domowej, ale poza tym nawet nie muszę podnosić głosu. Być może chłopcy coś wyczuwają w powietrzu - smużkę ozonu zwiastującą burzę, ostrzegającą, że nie jest to najlepszy czas na żywiołowe popisy.

Jeśli zdołałem się zorientować, pokój nauczycielski stał się ostatnio areną drobnych, cierpkich potyczek. Jakieś zamieszanie z ocenami hospitacyjnymi, problemy z komputerem w sekretariacie, kłótnia pomiędzy Pearmanem i Scoonesem na temat programu nauczania francuskiego. Tuż przed przerwą semestralną Roach zgubił kartę kredytową, a obecnie utrzymuje, że winę ponosi Jimmy, bo z pewnością po zajęciach nie zamknął na klucz drzwi do pokoju nauczycielskiego. Doktor Tidy oświadczył, że teraz będziemy musieli płacić za kawę i herbatę (do tej pory oferowane za darmo), wypada 3,75 funta tygodniowo na łebka. Natomiast doktor Devine, jako specjalista od BHP,

złożył formalne podanie o zainstalowanie czujników dymu w Środkowym Korytarzu (w nadziei że zdoła mnie wykurzyć z mojej palarni w starej bibliotece).

Jest też i jasny punkt - Strange nie wrócił do sprawy Pooleya i jego rozerwanej marynarki. Muszę przyznać, że mnie to nieco dziwi - spodziewałem się, że w przegródce będzie już na mnie czekać drugie ostrzeżenie, lecz albo Bob zapomniał o incydencie, albo zdecydował się zlekceważyć całe zajście.

Poza tym jest wiele spraw ważniejszych od jakiejś naderwanej podszewki. Odrażający Light stracił prawo jazdy - tak przynajmniej twierdzi Kitty - na skutek pewnego incydentu na mieście. Sprawa jest dość zawiła i złożona, ale z powodu mojego wymuszonego pogodą zesłania w Dzwonnicy rzadko bywam w pokoju nauczycielskim, a więc znajduję się poza głównym nurtem obiegu plotki i stąd, gdy chodzi o pozyskiwanie informacji, jestem zdany na chłopców.

Oni, jak zwykle, mówią dużo i chętnie. Ktoś utrzymuje, że policja aresztowała Lighta po anonimowym donosie. Ktoś inny twierdzi, że Light dziesięciokrotnie przekroczył dopuszczalną dawkę alkoholu; usłyszałem też, że gdy go zatrzymano, w samochodzie byli także uczniowie Świętego Oswalda, a nawet - że to jeden z chłopców siedział za kierownicą.

Prawdę mówiąc, z początku te wszystkie rewelacje nie wywarły na mnie szczególnego wrażenia. Od czasu do czasu w każdej szkole pojawia się nauczyciel pokroju Lighta - arogancki bufon, któremu udaje się oszukać system. Trafia taki do zawodu, bo wydaje mu się, że to łatwy kawałek chleba gwarantujący długie wakacje. Z reguły podobne typy nie zagrzewają długo miejsca w szkole. Jeżeli nie wykończą ich chłopcy, dobija ich coś innego, więc znikają i wszyscy szybko o nich zapominają.

Niemniej w miarę upływu dnia zaczęło do mnie docierać, że wokół dzieje się coś poważniejszego - że nie chodzi tylko o wykroczenie drogowe Lighta. W znajdującej się obok klasie Gerry'ego Grachvogela panował o wiele większy harmider niż zwykle. W czasie swojego pierwszego okienka wetknąłem głowę w drzwi i ujrzałem większość 3 S, między innymi Knighta, Jacksona, Ander-tona-Pullitta i moich pozostałych gagatków, pochłoniętych rozmowami między sobą, podczas gdy Grachvogel wgapiał się w okno z tak nieszczęśliwą miną, że powściągnąłem swój pierwszy odruch - by zareagować - i po cichu wróciłem do własnej sali.

Tam już czekał na mnie Chris Keane.

- Czy przypadkiem przed przerwą międzysemestralną nie zostawiłem tu notesu? - zapytał na mój widok. - Niewielkiego, w czerwonej oprawie. Prowadzę w nim rozmaite zapiski.

Po raz pierwszy wyglądał na nieco wzburzonego, ale kiedy przypomniałem sobie niektóre jego komentarze, wcale mnie to nie zdziwiło.

- Tuż przed przerwą znalazłem taki notes w pokoju nauczycielskim. Myślałem, że go pan już wziął.

Keane pokręcił przecząco głową. Zastanawiałem się, czy nie powinienem mu powiedzieć, że zerknąłem do środka, gdy jednak ujrzałem jego spłoszony wyraz twarzy, postanowiłem tego nie robić.

- Plany zajęć? - spytałem niewinnym tonem.

- Niezupełnie - odparł Keane.

- Proszę zapytać o ten notes pannę Dare. Ona też uczy w mojej sali. Może go znalazła i odłożyła w jakieś specjalne miejsce.

Odniosłem wrażenie, że Keane nieco się zasepił. Cóż, biorąc pod uwagę zanotowane tam uwagi, to raczej naturalne. Niemniej zachował dość zimnej krwi, by rzucić:

- Och, nieważne. Z pewnością wcześniej czy później zguba się znajdzie.

A tak swoją drogą to zadziwiające, jak wiele przedmiotów zaczęło ostatnio znikać. Na przykład pióra; teraz notes Keane'a i karta kredytowa Roacha. Niekiedy się to zdarza. Przy czym rozumiałbym, gdyby chodziło o portfel, ale doprawdy nie mogę pojąć, po co ktoś miałby kraść stary kubek czy mój dziennik, który notabene do tej pory nie wypłynął na powierzchnię. Chyba że złodziejowi zależało na wyprowadzeniu mnie z równowagi - a w takim razie cel został osiągnięty. Zacząłem się zastanawiać, czy jeszcze jakieś drobiazgi nie poginęły w ostatnich dniach i czy owe tajemnicze zniknięcia nie były przypadkiem ze sobą powiązane. Podzieliłem się swoimi spostrzeżeniami z Keane'em.

- Ostatecznie jesteśmy w szkole - odparł. - W szkołach ciągle coś znika.

Być może, pomyślałem. Ale nie u Świętego Oswalda.

Gdy Keane zbierał się do wyjścia, zobaczyłem na jego ustach ironiczny uśmieszek, jakbym nieświadomie wypowiedział na głos swoje myśli.

Po zajęciach skierowałem się raz jeszcze do sali Grachvogela w nadziei, że dowiem się, co go trapi. Gerry to na swój sposób całkiem przyzwoity chłop, może nie najbardziej utalentowany nauczyciel, ale za to człowiek o zacięciu naukowym, entuzjastycznie podchodzący do swojego przedmiotu, więc martwiło mnie, że czymś się tak bardzo gryzie. Jednak gdy zajrzałem do jego klasy o czwartej po południu, Gerry'ego tam nie zastałem. To już było niezwykłe. Gerry zawsze zostaje długo po godzinach - majstruje coś przy komputerze lub pieczołowicie przygotowuje swoje słynne pomoce wizualne, a na dodatek chyba pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się pozostawić salę niezamkniętą na klucz.

W ławkach siedziało kilku moich uczniów i przepisywało coś z tablicy. Nie zdziwił mnie widok Andertona-Pullitta, bardzo pracowitego chłopca, czy też Knighta, który pilnie pochylał się nad zeszytem i udawał, że nie wie, co się dookoła dzieje, choć kpiący półuśmieszek jasno zdradzał, że Knight doskonale zdaje sobie sprawę z mojej obecności.

- Witaj, Knight - zwróciłem się w jego stronę. - Czy pan Grachvogel powiedział, kiedy wróci?
- Nie, sir - odparł bezbarwnym tonem.
- Wydaje mi się, że już poszedł do domu, sir - wtrącił Anderton-Pullitt.
- Ach tak. Wobec tego pakujcie się szybko, chłopcy. Nie chcę, żeby któryś z was spóźnił się na autobus.
- Ja nie jeżdżę autobusem, sir. - Ponownie Knight. - Mama po mnie przyjeżdża. W dzisiejszych czasach po świecie chodzi zbyt wielu zbrojców.

No więc sprawa przedstawia się następująco - zawsze staram się być uczciwy. Naprawdę się staram. Prawdę mówiąc, nawet się tym szczycę - swoją sprawiedliwością, rzetelnością sądów. Bywam surowy, ale zawsze fair. Nigdy nie rzucam gróźb, których nie mógłbym wprowadzić w życie, ani nie składam obietnic, których nie zamierzam dotrzymać. Chłopcy o tym wiedzą i większość z nich mnie za to szanuje. Ze starym Quazem wiadomo, na czym się stoi. Z wiekiem robię się coraz bardziej sentymentalny, ale staram się, by to nie kolidowało z moimi obowiązkami.

Niemniej w trakcie wielu lat pracy każdemu nauczycielowi zdarza się raz czy dwa zatracić obiektywność. Kiedy teraz patrzyłem na Knighta, wciąż pochylającego się nad zeszytem, nerwowo rzucającego ukradkowe spojrzenia na prawo i lewo, przypomniałem sobie o swojej ułomności. Nie ufam temu chłopakowi; prawdę mówiąc, jest w nim coś takiego, co wzbudza we mnie wstręt. Wiem, że tak być nie powinno, ale nawet nauczyciele są tylko ludźmi. Mamy swoje preferencje. Oczywiście, że je mamy. Natomiast za wszelką cenę powinniśmy unikać niesprawiedliwości.

I tak staram się postępować, chociaż mam świadomość, że w mojej klasie Knight jest Judaszem, odmieńcem, Jonaszem, dzieckiem, które zazwyczaj posuwa się za daleko, myli poczucie humoru z bezczelnością, a psotę ze złośliwością. Jest to ponury, rozpaskudzony, wymoczkowaty gówniarz, który za własne niepowodzenia wini wszystkich wokół, tylko nie siebie. Mimo to traktuję go tak samo, jak pozostałych; często nawet z większą wyrozumiałością, bo mam świadomość swojej słabości.

Dzisiaj jednak w jego zachowaniu było coś takiego, co obudziło we mnie autentyczny niepokój. Jakby skrywał nieprzyjemną tajemnicę, która go podniecała, a jednocześnie przyprawiała o mdłości. Rzeczywiście, pomimo zadowolonej z siebie miny wyglądał bardzo niezdrowo - na bladej twarzy pojawił się nowy wysyp trądziku, brązowe, cienkie włosy powlekała błyszcząca warstwa tłuszczu. Zapewne za sprawą testosteronu. Tak czy owak nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ten chłopiec coś ukrywa. Że wie o czymś, o czym ja nie mam pojęcia. W wypadku Sutcliffa czy Allena-Jonesa wystarczyłoby zapytać, a już podzieliliby się ze mną informacją (czegokolwiek by dotyczyła). Ale gdy chodzi o Knighta...

- Czy coś szczególnego zaszło dzisiaj na lekcji pana Grachvogela?
- Sir? - Twarz Knighta pozostała nieruchoma.
- Słyszałem krzyki.
- To nie ja, sir- odparł Knight.
- Nie. Oczywiście, że nie ty.

Beznadziejna sprawa. Knight niczego mi nie powie. Wzruszyłem ramionami, zszedłem z Dzwonnicy i ruszyłem na pierwsze po przerwie zebranie Katedry. Na pewno nie zabraknie na nim Grachvogela - prawdopodobnie więc uda mi się zamienić z nim kilka słów. Knight może poczekać, zdecydowałem w duchu. Przynajmniej do jutra.

Grachvogel nie pojawił się na zebraniu. Byli tam wszyscy pozostali, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że Gerry musiał się rozchorować. On nigdy nie opuszcza żadnych zebrań. Uwielbia wewnętrzne szkolenia, śpiewa z zapalem na apelach i zawsze pilnie przeprowadza repetytoria. Dzisiaj jednak go nie było, a gdy zagadnąłem na ten temat Devine'a, zareagował tak lodowato, że pożałowałem swojego kroku. Pewnie wciąż się wścieka za ten gabinet; jednak jego dezaprobata była dzisiaj wyraźniejsza niż kiedy indziej. Ogólnie rzecz biorąc, dosyć mnie to przygnębiło i w czasie zebrania głównie przebiegałem w myślach ostatnie wydarzenia, zastanawiając się jednocześnie, czym tym razem mogłem rozjuszyć tego starego durnia. Pewnie nikt by na to nie wpadł, ale w gruncie rzeczy całkiem go lubię - jest jedną z nielicznych stałych wartości w naszym zmiennym świecie, a więc zjawiskiem coraz radszym.

Zebranie ciągnęło się niemiłosiernie. Pearman i Scoones spierali się o merytoryczne kwalifikacje różnych ciał egzaminacyjnych; Devine wodził po wszystkich lodowatym wzrokiem; Kitty zdawała się nienaturalnie przygaszona; Isabelle piłowała paznokcie; Nationowie siedzieli wyprężeni jak struny; Dianne Dare zaś przyglądała się wszystkiemu z tak zafrapowaną miną, jakby zebrania Katedry były najbardziej fascynującymi spektaklami na świecie.

Kiedy zebranie dobiegło końca, na dworze panowały ciemności, a szkoła była wyludniona. Nawet sprzątacze już zniknęli. Tylko Jimmy pracował jeszcze na parterze, powoli i starannie wodząc froterką po parkiecie.

- Dobranoc, szefie - powiedział na mój widok. - Kolejny dzień z głowy, co?

- Ty zaś, jak widzę, jesteś zawalony pracą. - Od zwolnienia Fallowa Jimmy przejął wszystkie obowiązki Portiera, a to dla niego wielkie obciążenie. - Kiedy ten nowy człowiek ma zacząć pracę?

- Z dwa tygodnie - odparł Jimmy, a na jego pełnej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Shuttleworth. Tak się nazywa. Jest kibicem Evertonu. Ale mimo to chyba się dogadamy.

- Więc nie chciałeś sam objąć tej funkcji? - spytałem, odpowiadając uśmiechem na uśmiech.

- Nie, szefie - zdecydowanie pokręcił głową. - Za dużo zachodu.

Kiedy znalazłem się na wysokości szkolnego parkingu, lunął rześisty deszcz. Samochód Ligi Narodów właśnie ruszał z miejsca. Eric nie jeździ samochodem - ma zbyt słaby wzrok, żeby prowadzić, poza tym mieszka dosłownie o dwa kroki od szkoły. Pearman i Kitty zostali jeszcze w gabinecie katedry, by zająć się jakimiś papierami - od czasu choroby żony Pearman coraz bardziej zdaje się na Kitty. Isabelle Tapi poprawiała makijaż -i Bóg jeden wie, ile czasu to miało potrwać. Nie mogłem też liczyć na doktora Divine'a - on z pewnością nie podrzuciłby mnie do domu.

- Panno Dare, czy byłaby pani tak miła...

- Oczywiście. Proszę wsiadać.

Podziękowałem jej i usiadłem w małej corsie. Już dawno temu zauważyłem, że samochód, podobnie jak biurko, często odzwierciedla stan umysłu posiadacza. W aucie Pearmana panuje niewyobrażalny bałagan. Liga Narodów ma na zderzaku naklejkę z napisem: NIE PODĄŻAJ ZA MNA, PODĄŻAJ ZA JEZUSEM. Isabelle trzyma na desce rozdzielczej małego pluszowego misia.

Natomiast samochód Dianne jest uporządkowany, czysty i funkcjonalny. Nigdzie w zasięgu wzroku nie ma żadnej maskotki czy humorystycznej naklejki. Podoba mi się to - świadczy o chłodnym, logicznym umyśle. Gdybym ja miał auto, zapewne przypominałoby wyglądem salę 59: dużo dębowych paneli w środku i zakurzonych zielistek.

Gdy powiedziałem o tym pannie Dare, wybuchnęła śmiechem.

- Nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam - powiedziała, skręcając w główną ulicę. - To tak jak z psami i ich właścicielami.

- Lub nauczycielami i ich kubkami.

- Doprawdy? - Najwyraźniej jeszcze na to nie wpadła. Sama korzysta z kubka standardowo fasowanego przez naszą kuchnię: białego, z wąskim niebieskim szlaczkiem na górze. Brak zamiłowania do wymyślnych fanaberii jest zadziwiający u tak młodej kobiety (choć muszę przyznać, że nie dysponuję zbyt rozległym materiałem porównawczym), co jednak dodaje jej szczególnego uroku. Mam wrażenie, że szybko mogłaby znaleźć wspólny język z młodym Keane'em - też wyjątkowo rzeczowym i opanowanym, jak na początkującego nauczyciela - ale kiedy zapytałem, jak jej się układają stosunki z innymi nowicjuszami, jedynie wzruszyła ramionami.

- Jest pani zbyt zajęta, żeby znaleźć czas na życie towarzyskie? - podsunąłem.

- Większość z tych ludzi jest nie w moim typie. Wsiadanie po pijanemu do samochodu i jeszcze zabieranie ze sobą uczniów? Cóż za piramidalna głupota.

Amen. Ten idiota Light rzeczywiście paskudnie zabagnił sobie kartotekę głupim wybrykiem na mieście. Easy też należy do ludzi, których łatwo zastąpić kimś innym. Gdy zaś chodzi o Meeka - cóż, to tylko kwestia czasu, kiedy sam złoży rezygnację.

- A Keane? - zapytałem.
- Jeszcze nie miałam okazji z nim porozmawiać.
- Powinna pani. To miejscowy chłopak. I coś mi podpowiada, że mógłby się okazać w pani typie.

Wspominałem już, że staję się sentymentalny. A panna Dare w jakiś niewytłumaczalny sposób wzmaga we mnie ten sentymentalizm. Jest bez wątpienia początkującą Smoczycą (choć wygląda dużo lepiej niż większość Smoczyc, jakie widziałem w życiu) i bez trudu mogę ją sobie wyobrazić za trzydzieści czy czterdzieści lat. Będzie zapewne przypominać Margaret Rutherford z filmu „The Happiest Days of Your Life” - oczywiście nie dorówna jej tuszą, ale zapewne nabierze podobnego poczucia humoru.

Bo w tym fachu łatwo się zatracić. U Świętego Oswalda obowiązują inne prawa niż w otaczającym świecie. Na przykład czas - tutaj biegnie o wiele szybciej niż gdzie indziej. Wystarczy spojrzeć na mnie - za chwilę zostanę centurionem, a tymczasem gdy patrzę w lustro, widzę tego samego chłopca, jakim byłem przed trzydziestu laty, tyle że posiwiatego, z wielkimi worami pod oczami, nieznacznie nadającymi mi rysu hulaki, starego klasowego kłowna.

Chciałem wyjaśnić te kwestie Dianie Dare. Ale dojechaliśmy już niemal pod mój dom, deszcz przestał padać, więc poprosiłem ją, żeby wysadziła mnie na końcu Dog Lane, tłumacząc, że chcę obejrzeć płot - upewnić się, że miłośnik graffiti nie zaatakował ponownie.

- Pójdę z panem - zaoferowała, przystając przy krawężniku.
- Nie ma takiej potrzeby - odparłem, ona jednak nalegała i wówczas zdałem sobie sprawę, że - o ironio - ona się o mnie martwi. A może też tknęło ją jakieś przecucie, bo gdy tylko weszliśmy w uliczkę, natychmiast zobaczyliśmy nowe „dzieło” (zresztą nie sposób było przeoczyć coś tak dużego) - tym razem już nie klasyczne graffiti, ale portret: mój, z charakterystycznym wąsikiem i swastyką, olbrzymi, wymalowany wielokolorowymi sprayami.

Przez dłuższą chwilę po prostu stałem i gapiłem się. Farba jeszcze na dobre nie wyschła. A potem ogarnęła mnie istna furia - wszechpotężna, jakiej doświadczyłem zaledwie trzy albo cztery razy w życiu. Dałem jej upust natychmiast, nie posuwając się nawet do wyrafinowanych łacińskich form; swoje emocje wyraziłem soczyście i dobitnie w ogólnie zrozumiałym języku Anglosasów. Teraz też nie miałem najmniejszych wątpliwości, kto za tym stoi - kto jest winowajcą.

Styl był mi już dobrze znany. Identyczny z rysunkiem, który usunąłem z tablicy ogłoszeń klasy 3 S. Już wtedy podejrzewałem, że kryje się za tym Knight.

- Knight? - zdumiała się panna Dare. - Toż to taka cicha, potulna mysz.

Mysz czy nie mysz, teraz już wiedziałem swoje. Chłopak żywił do mnie urazę, nienawdził mnie, a postawa matki, Nowego, gazet i Bóg jeden wie jakich jeszcze malkontentów dodała mu odwagi. Niewidzialny paluch znowu zaczął mnie dźgać. Krew dudniła mi w uszach, a wściekłość, niczym śmiercionośny narkotyk, sprawiła, że otaczający świat zatracił wszelkie barwy.

- Panie Straitley? - Dianne spojrzała na mnie z bardzo przejętą miną.

- Czy dobrze się pan czuje?

- Doskonale. - Powoli dochodziłem do siebie. Trząsałem się jeszcze na całym ciele, ale już myślałem trzeźwo. I wówczas, tuż przy płocie, dojrzałem mały srebrzysty przedmiot. - Proszę tylko na to spojrzeć - powiedziałem.

- Pióro, sir - odrzekła Dianne.

- Nie takie zwykłe pióro.

Któż miałby to wiedzieć lepiej ode mnie. Ostatecznie szukając owego drobiazgu, strawiłem sporo czasu, zanim odnalazł się w skrytce w Portierni. Oto przy moim płocie leżało pióro Colina Knighta - ni mniej, ni więcej, tylko prezent z okazji bar micwy, wedle słów jego matki, wartości ponad 500 funtów. W oczy wyraźnie rzucały się wygrawerowane inicjały

- CNK - niepozostawiające nikomu cienia wątpliwości, kto jest jego prawowitym właścicielem.

6

Mistrzowskie posunięcie. Mam na myśli pióro. To Mont Blanc - jeden z tańszych modeli, ale i tak poza moim zasięgiem. Choć gdyby ktoś na mnie teraz spojrział, nigdy by na to nie wpadł. Niezdrowa bladość, lichota, tandeta - całkowicie zniknęły, zostały wyparte przez gładkie wyrafinowanie, nieprzeniknioną, błyszczącą powłokę - podpatrzoną u Leona. To jedna z wielu po nim pamiątek - podobnie jak zamięłowanie do Nietzschego i lemoniady z wódką. A skoro już o Leonie mowa - zawsze zachwycały go moje murale. Sam pozbawiony artystycznego zacięcia, nie mógł wyjść z podziwu, że ktoś w jego wieku potrafi tworzyć równie doskonale portrety.

Oczywiście on nie miał tak wielu okazji do podpatrywania wykładowców jak ja. Mnie natomiast przez parę lat udało się zapełnić wiele zeszytów różnymi przydatnymi szkicami - co więcej, podrobienie czyjegokolwiek podpisu nie stanowiło dla mnie najmniejszego problemu, a to oznaczało, że i Leon, i ja mogliśmy się posługiwać bezczelnie i otwarcie różnymi notkami różnych nauczycieli, zezwalającymi na opuszczenie terenu szkoły bądź zwalnającymi z zajęć.

Cieszę się, że wciąż mam ten talent. Wymalowanie portretu na płócie było śmiesznie łatwe. Wystarczyło się wymknąć ze szkoły w czasie przerwy na lunch. Poza tym całe przedsięwzięcie nie wiązało się ze szczególnym ryzykiem. Rzadko kto pojawia się na Dog Lane - tylko od czasu do czasu dzieciaki z Sunnybank. U Świętego Oswalda natomiast nikt nawet nie zwrócił uwagi na moją nieobecność. Jedynie półgłówek Jimmy zauważył mój powrót, bo akurat malował bramę wjazdową - ale skończyło się na tym, że idiotycznie wyszczerzył zęby i pomachał mi ręką.

Powoli dochodzę do wniosku, że muszę zabrać się do Jimmy'ego. Och, on oczywiście w żadnym razie mnie nie rozpozna, ale luźne końce zawsze należy starannie wiązać, a ten koniec już za długo się pałęta po kątach. Poza tym Jimmy mnie wkurza. Fallow był leniwy i tłusty, ale ów półgłówek ze swoim durnym uśmiechem jest na swój sposób jeszcze gorszy. Cud, że uchwycił się

tak długo. Wprost nie do wiary, że u Świętego Oswalda, gdzie tak obsesyjnie dba się o reputację, w ogóle tolerują podobnego osobnika. O ile sobie przypominam, przyjmowano go pod hasłem „Szkoła troszczy się o najsłabsze warstwy społeczne”. Jimmy jest tani i można się go w każdej chwili pozbyć. W każdej chwili - to kluczowe słowa w tym wypadku.

W czasie lunchu udało mi się także dokonać trzech drobnych kradzieży. Moim łupem padła tubka smaru do instrumentów dętych (podebrana z szafki Niu, chłopca pochodzenia japońskiego grającego na puzonie); śrubokręt - ze skrzynki z narzędziami Jimmy'ego; oraz oczywiście słynne pióro Colina Knighta. Nikt mnie nie przyłapał na gorącym uczynku; nikt też nie widział, do czego w odpowiednim czasie posłużyły mi te przedmioty.

Drobiazgowo rozplanowanie działań w czasie - to jeden z najważniejszych warunków powodzenia akcji. Ogólnie wiadomo, że Straitley i pozostali lingwiści spędzą popołudnie na zebraniu (poza Grachvogelem, którego dopadła migrena po wyjątkowo niemiłym przesłuchaniu u Dyrektora). Potem wszyscy szybko rozejdą się do domów, z wyjątkiem Pata Bishopa, który zazwyczaj siedzi w szkole do ósmej czy dziewiątej. On jednak nie pokrzyżuje moich planów - jego gabinet znajduje się przy Dolnym Korytarzu, dwa piętra poniżej katedry językowej, mało więc prawdopodobne, aby cokolwiek usłyszał.

Ponownie ogarnęło mnie rozkoszne wrażenie, że jestem w sklepie z ciukierkami, a przede mną prawie nieskończona możliwość wyboru. Naturalnie moim głównym celem jest Jimmy, gdyby jednak plan powiódł się w pełni, przy okazji jakiś nauczyciel języków mógłby także paść moją ofiarą. Pytanie, kto miałby to być? W żadnym razie nie Straitley - jesteśmy jeszcze na zbyt wczesnym etapie rozgrywki, żeby go otwarcie zaatakować. Poza tym do rozprawy ze Straitleyem opracowuję specjalną taktykę. A więc kto? Scoones? Devine? Tapi?

Z przyczyn oczywistych musi być to ktoś pracujący w Dzwonnicy; ktoś samotny, bez rodziny - ktoś, czyja nieobecność nie zostanie szybko zauważona. A przede wszystkim bezbronna istota - słaba gazela nienadążająca za stadem, ktoś delikatny - może więc kobieta? - której nieszczęście wstrząśnie opinią publiczną.

Tylko jedna osoba odpowiadała powyższym wymaganiom. Isabelle Tapi, zawsze w obcisłych sweterkach i na wysokich obcasach. Isabelle - regularnie korzystająca ze zwolnień lekarskich z powodu zespołu napięcia przedmiesiączkowego i umawiająca się na randki dosłownie z każdym nauczycielem płci męskiej, jeśli nie skończył jeszcze pięćdziesiątki (z wyjątkiem Gerry'ego Grachvogela, oczywiście, który ma całkiem inne preferencje).

Jej sala znajduje się w Dzwonnicy, nad salą Straitleya. To dziwaczne w kształcie, małe pomieszczenie - gorące latem, bardzo chłodne zimą - z oknami wychodzącymi na cztery strony świata i trzema wąskimi kamiennymi schodkami wiodącymi od drzwi do wnętrza. Za czasów mojego ojca był to stryżek, zwykła graciarnia, bo jest tu tak niewiele miejsca, że z trudem udaje się usadzić chłopców. Poza tym telefony komórkowe tracą tutaj zasięg, więc nie można ściągnąć nikogo na pomoc. Jimmy nienawidzi tego miejsca; unikają go również sprzątacze, bo bardzo trudno wciągnąć odkurzacza po wąskich stopniach, a większość nauczycieli - mówię oczywiście o tych, którzy nie mają zajęć w Dzwonnicy - nawet nie zdaje sobie sprawy z istnienia takiej sali.

Była więc idealna dla moich celów. Wystarczyło poczekać na koniec zajęć. Przed zebraniem Isabelle nie odmówiłaby sobie przecież kawy (i chwili flirtu z odrażającym Lightem), a to dawało mi pięć do dziesięciu minut. Aż nadto jak na moje potrzeby.

Najpierw trzeba było zakraść się do pustej salki. Potem usiąść na stopniach, ze śrubokrętem, tak by tuż przed oczami mieć klamkę. To banalnie prosty mechanizm, zasadzający się na niewielkim trzpieniu łączącym klamkę z zamkiem. Naciska się na klamkę, trzpień się obraca i zamek się otwiera. Proste, prawda? Gdy jednak usunie się trzpień, można do śmierci ciągnąć i naciskać klamkę - zamek ani drgnie.

Wystarczyło więc szybko odkręcić klamkę. Potem wsunąć stopę w drzwi, żeby skrzydło się nie zatrzasnęło, usunąć trzpień i przymocować klamkę na miejsce. Od zewnątrz drzwi otworzą się bez problemu. Gdy jednak ofiara już znajdzie się w środku...

Oczywiście nigdy nie wiadomo, czy plan się powiedzie w pełnej rozciągłości. Niespodziewanie sprzątacze mogą się wykazać zdumiewającą pilnością; Jimmy może z niezrozumiałych powodów zajrzeć do tego pomieszczenia. Mnie wydawało się to jednak mało prawdopodobne. Lubię myśleć, że niewielu ludzi zna tak dobrze Świętego Oswalda jak ja - ostatecznie mało kto miał okazję równie dogłębnie poznać zwyczaje panujące w szkole. Z drugiej strony, odrobina niepewności dodaje tylko dreszczyku emocji. A jeżeli-li coś nie poszłoby po mojej myśli, jutro jest przecież nowy dzień, prawda?

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
środa 27 października*

Fatalnie spałem tej nocy. Być może z powodu wichury lub perfidnego występu Knighta, lub potężnej ulewy, która rozpętała się tuż po północy i waliła o szyby z hukiem artyleryjskiej kanonady, czy też snów - wyjątkowo plastycznych i niepokojących.

Naturalnie zanim się położyłem, wypilem kilka kieliszków clareta - wątpię, czy spotkałoby się to z aprobatą Bevansa, podobnie jak wołowina z puszki, którą zapijałem winem - więc o trzeciej nad ranem obudziło mnie palące pragnienie, rwący ból głowy i przykre przeświadczenie, że najgorsze dopiero przede mną.

Wybrałem się do szkoły wcześniej niż zwykle, żeby przewietrzyć umysł i obmyślić, w jaki sposób powinienem postąpić z Knightem. Wciąż padało, więc gdy dotarłem do bramy Świętego Oswalda, mój płaszcz i kapelusz ociekały deszczem.

Jeszcze nie było ósmej, więc na parkingu dla wykładowców stało niewiele samochodów - auto Nowego, Pata Bishopa oraz mała, błękitna mazda Isabelle Tapi. To mnie zdziwiło, Isabelle bowiem z reguły zjawia się dopiero przed dziewiątą, jednak nie miałem czasu się nad tym zastanowić, bo w tej samej chwili kolejny samochód wjechał z wizgiem opon na parking. Odwróciłem się i ujrzałem ostro hamujące, stare volvo Pearmana pozostawiające na asfalcie ślad palonej gumy. W fotelu pasażera siedziała Kitty Teague. Oboje wyglądali na zdenerwowanych - kiedy wysiedli, Kitty kryła się za złożoną gazetą, Pearman zaś ruszył przed siebie nienaturalnie szybkim krokiem.

Przyszło mi na myśl, że może pogorszyło się żonie Pearmana, Sally. Od czasu terapii widziałem ją tylko raz i choć uśmiechała się dziwnie, jej błądź i wychudzenie rzuciły się w oczy. Nie mogłem się także uwolnić od przeświadczenia, że jej brązowe włosy to peruka.

Kiedy jednak Kitty i Chris doszli do drzwi, wiedziałem już, że sprawa jest znacznie poważniejsza. Twarz Pearmana była zapadnięta, wzrok nieprzytomny. Nie odpowiedział na moje powitanie - przeszedł obok, jakby mnie w ogóle nie zauważył. Dla odmiany, gdy podążająca za mną Kitty napotkała mój wzrok, natychmiast wybuchnęła płaczem. Zanim ochłonąłem na tyle, by zapytać, co doprowadziło ich do takiego stanu, Pearman zniknął w czeluściach Środkowego Korytarza, zostawiając za sobą jedynie mokre ślady butów na wypolerowanym parkiecie.

- Wielkie nieba, co się stało? - wykrztusiłem.

Kitty zasłoniła twarz dłońmi.

- Chodzi o Sally - odparła. - Ktoś przysłał jej list poranną pocztą. Sally otworzyła go przy śniadaniu.

- List? - Wiedziałem, że Sally i Kitty przyjaźnią się od dawna, mimo to aż taka rozpacz z powodu jakiegoś pisma wydała mi się przesadna. - Jaki list?

Przez dłuższą chwilę milczała, jakby nie była w stanie udzielić odpowiedzi. W końcu oderwała dłonie od twarzy, na której łzy mieszały się z tuszem do rzęs i powiedziała cichym głosem:

- Anonim. O mnie i Chrisie.

- Naprawdę? - W pierwszym momencie nie dotarło do mnie, o czym ona właściwie mówi. Kitty i Pearman?! Pearman i panna Teague?!

Chyba rzeczywiście się starzeję, pomyślałem. Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Wiedziałem, oczywiście, że się przyjaźnią, że Kitty wspiera Chrisa - często z większym poświęceniem, niż wymagały tego obowiązki. Ale romans? Kitty zaczęła wyrzucać z siebie szybko słowa, choć próbowałem ją powstrzymać. Powiedziała, że spotykali się za plecami chorej Sally, że mieli nadzieję pobrać się pewnego dnia, no a teraz... a teraz...

Zabrałem Kitty do pokoju nauczycielskiego. Zrobiłem jej herbaty. Czekałem z kubkiem przez dziesięć minut pod drzwiami damskiej toalety. W końcu Kitty wyszła z zaczerwienionymi oczami i świeżą warstwą pudru na twarzy, jednak gdy tylko zobaczyła herbatę, ponownie wybuchnęła płaczem.

Kitty była ostatnią osobą, po której spodziewałbym się podobnej reakcji. Pracujemy razem od ośmiu lat i nigdy nie widziałem, żeby chociaż jedna łąza zakręciła jej się w oku. Podałem jej chusteczkę, znowu pottrzymałem kubek, czując się jak ostatnia niezdara i samolubnie modląc się w duchu, żeby na horyzoncie pojawiła się jakaś osoba, mająca lepsze kwalifikacje do radzenia sobie z podobnymi sytuacjami - na przykład panna Dare.

- Czy już w porządku? - (Idiotyczny gambit kierującego się jak najlepszymi intencjami mężczyzny).

Kitty pokręciła energicznie głową. Oczywiście, że nic nie było w porządku, doskonale sam zdawałem sobie z tego sprawę, jednak Tweedowe Marynarki

mają poważne braki w *savoir faire* - szczególnie w kontaktach z kobietami. Z drugiej strony, przecież musiałem coś powiedzieć.

- Czy chciałabyś, żebym kogoś tu ściągnął?

Prawdę mówiąc, miałem na myśli Pearmana. Jako kierownik sekcji powinien rozwiązać ten problem. Szybko jednak dotarło do mnie, że to idiotyczny pomysł. W takim razie najlepszy byłby Bishop - to on zazwyczaj zajmował się emocjonalnymi kryzysami personelu. Albo Marlene - tak jest! - ogarnęła mnie ulga i przypływ ciepłych uczuć, gdy przypomniałem sobie, jak się mną zaopiekowała, kiedy zasłabłem, jak życzliwie zawsze odnosiła się do chłopców. Nasza niezastąpiona Marlene, która nie załamała się ani po rozwodzie, ani w dniach żałoby po zmarłym dziecku. Ona będzie wiedziała, co robić. A nawet jeżeli nie będzie wiedziała, zna odpowiednie kody - obce mężczyznom, acz niezbędne, żeby skutecznie komunikować się z kobietą tonącą we łzach.

Kiedy dopadłem do jej biurka, akurat wychodziła z gabinetu Bishopa.

- Marlene, czy byłabyś tak dobra... - zacząłem.

Przybrała teatralnie gniewną minę.

- Panie Straitley... - Marlene zawsze zwraca się do mnie per „panie Straitley”, mimo że z większością nauczycieli od lat jest po imieniu. - Jak przypuszczam, nie udało się panu odnaleźć dziennika.

- Niestety. Bardzo żałuję.

- Hm. Tego się obawiałam. O co więc chodzi tym razem?

Szybko przedstawiłem jej sytuację, nie wdając się przy tym w szczegóły.

Marlene szczerze się zatroskała.

- Jak już się wali, to na całego - powiedziała znużonym głosem. - Czasami zastanawiam się, czemu w ogóle zwracam sobie głowę tą szkołą. Pat zaharowuje się na śmierć, wszyscy panikują z powodu zbliżającej się inspekcji, a teraz na dodatek podobna historia...

Przez chwilę miała tak zgnębioną minę, że ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Może jednak nie powinienem jej w to mieszać.

- Nie, nie. Wszystko w porządku - zapewniła mnie, gdy spostrzegła wyraz mojej twarzy. - Zaraz się tym zajmę. Katedra Języków już i bez tego tonie w problemach.

Jak zwykle miała rację. Okazało się, że tego dnia do pracy zdolne są w Katedrze praktycznie cztery osoby: ja, panna Dare i Liga Narodów. Doktor Devine nie mógł prowadzić lekcji z powodu jakichś pilnych administracyjnych zajęć; Grachvogel nadal był nieobecny; a ja w czasie porannego okienka musiałem niespodziewanie przejąć pieczę nad pierwszorocznikami, którzy powinni mieć właśnie francuski z Isabelle Tapi (i nie wiadomo czemu właściwie nie mieli), nad trzecioklasistami Pearmana, a do tego iść na hospicję - tym razem na lekcję do bólu poprawnego Easy'ego.

Knight nie pojawił się w szkole, nie mogłem więc przeprowadzić z nim rozmowy na temat graffiti wymalowanego na moim płocie czy też pióra znalezionego na miejscu przestępstwa. W zamian szczegółowo opisałem incydent w specjalnym raporcie i dostarczyłem jedną jego kopię do gabinetu Bishopa, drugą zaś - do gabinetu Bearda, który nie tylko był kierownikiem Sekcji Komputerowej, ale także Opiekunem Rocznika obecnych trzecioklasistów. Cóż, co się odwlecze, to nie uciecze. Teraz, gdy dysponuję dowodem niecnych postępów Knighta, chętnie sobie poigram z tym dowcipnisem. Zemsta odłożona i tak dalej.

W czasie przerwy pełniłem na korytarzu dyżur za Pearmana, natomiast po lunchu dozorowałem klasę Grachvogela, Tapi i swoją własną, zgromadzone w auli, na dworze bowiem nieustannie lało. Zauważyłem przy okazji, że do położonego naprzeciwko gabinetu dyrektora pielgrzymuje nadzwyczaj duża liczba osób - ledwo ktoś wyszedł, natychmiast wchodziła kolejna osoba. Nie miałem jednak ochoty roztrząsać powodów tak zdumiewającej aktywności Nowego.

Pięć minut przed końcem zajęć Marlene przyniosła mi wezwanie od Pata. Siedział ze zgnębioną miną w gabinecie w towarzystwie Pearmana i panny Dare. Kiedy uśmiechnęła się współczująco na mój widok, wiedziałem już, że znowu mamy kłopoty.

- Zapewne chodzi o Knighta? - rzuciłem.

Szczerze mówiąc, byłem zdziwiony, gdy nie ujrzałem chłopaka pod drzwiami gabinetu Pata, ale niewykluczone, że Pat już z nim rozmawiał. Choć z drugiej strony, zgodnie z przepisami, nie wolno przepytywać ucznia, zanim wykładowca nie przedstawi Drugiemu Mistrzowi swojego punktu widzenia.

Pat sprawiał wrażenie, jakby nie pojmował, o czym mówię, ale po chwili pokręcił energicznie głową.

- Och, nie. Sprawą Knighta zajmie się Tony Beard. Ostatecznie jest Opiekunem Rocznika, prawda? Poprosiłem cię tu w związku z wypadkiem, do którego doszło wczorajszego wieczoru po zebraniu Katedry Językowej.

Pat wbił wzrok we własne dłonie, jak zwykle, gdy tracił grunt pod nogami. Mimowolnie zakonotowałem, że jego paznokcie są w strasznym stanie - ogryzione niemal do żywego mięsa.

- Z jakim wypadkiem? - spytałem.

Przez chwilę nie patrzył mi w oczy.

- Zebranie zakończyło się tuż po szóstej. - To nie było pytanie.

- Owszem. Panna Dare podwoziła mnie do domu.

- Wiem. Niemal wszyscy wyszli o tej samej porze, z wyjątkiem panny Teague i pana Pearmana, którzy zostali jakieś dwadzieścia minut dłużej.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem pojęcia, do czego zmierza Bishop i czemu jest tak cholernie formalny. Zerknąłem na Pearmana, ale wyraz jego twarzy w żaden sposób mnie nie oświecił.

- Panna Dare powiedziała, że gdy wychodziłeś, natknąłeś się na Jimmy'ego Watta w Dolnym Korytarzu - podjął Pat. - Podobno froterował podłogę i czekał, aż wszyscy wyjdą, żeby zamknąć szkołę.

- Rzeczywiście. Czy coś się stało?

To mogło wyjaśniać zachowanie Pata. Jimmy, podobnie jak Fallow, został zatrudniony za wstawiennictwem Drugiego Mistrza, więc gdy wybuchła afera z Portierem, część krytyki spadła i na Bishopa. Jimmy zazwyczaj dobrze wywiązywał się z obowiązków. Nie odznaczał się intelektem, to nie ulega wątpliwości, ale zawsze był lojalny, a to cecha najwyższej ceniona u Świętego Oswalda.

- Jimmy Watt został zwolniony z powodu wypadku, który wydarzył się wczorajszego wieczoru.

Wprost nie mogłem uwierzyć własnym uszom.

- Jakiego wypadku?

- Okazuje się, że Jimmy nie sprawdził przed wyjściem wszystkich sal - poinformowała mnie panna Dare. - Isabelle jakimś cudem zatrzasnęła się w swojej klasie, wpadła w panikę, pośliznęła się na schodkach i złamała nogę w kostce. Została uwolniona dopiero o szóstej rano.

- Czy dobrze się miewa?

- A czy o niej kiedykolwiek można coś podobnego powiedzieć?

Parsknąłem śmiechem. Jakże typowa farsa dla Świętego Oswalda. Na dodatek ponura mina Drugiego Mistrza czyniła ją jeszcze zabawniejszą.

- Dobrze ci się śmiać - rzucił ostro Pat. - Tymczasem wpłynęło formalne zażalenie. Plus oskarżenie, że złamano zasady BHP. - Co oznacza, że Devine aktywnie ruszy do działania. - Podobno ktoś coś rozlał na schodkach w tej salce - jakiś smar czy olej.

- Ach tak. - A więc to jednak mniej śmieszne, niż mi się zdawało. - Ale chyba możesz z nią porozmawiać. Załatwić sprawę polubownie.

- Robiłem, co mogłem - westchnął ciężko Pat. - Panna Tapi utrzymuje jednak, że to coś poważniejszego niż tylko niedopatrzzenie ze strony Jimmy'ego. Uważa, że smar rozlano umyślnie. I wierz mi, ta kobieta świetnie zna przysługujące jej prawa.

Oczywiście, że zna. Jak wszyscy ludzie jej pokroju. Devine ją reprezentuje z ramienia Związków i zapewne już dokładnie jej wyłożył, czego może się spodziewać. Odszkodowanie za wypadek w czasie pracy, pełne wynagrodzenie za okres zwolnienia lekarskiego (ostatecznie nikt przy zdrowych zmysłach nie może oczekiwać, że będzie uczyć ze złamaną nogą), plus - odszkodowanie za niedopełnienie obowiązku przez pracownika szkoły oraz stosowna rekompensata za psychiczny stres. Tapi wystawi nam rachunek za wszystko, co w związku z tą sprawą przyjdzie jej do głowy - traumatyczne przeżycia, bóle pleców, chroniczne zmęczenie i pewnie wiele innych dolegliwości. A co najgorsze - przez następnych dwanaście miesięcy to ja będę musiał prowadzić za nią zastępstwa.

No i dojdzie nam jeszcze problem prasy - gdy „Examiner” zwącha sprawę, będzie miał nie lada używanie. Zapomnijcie o Knighcie. Tapi ze swoimi długimi nogami i miną dzielnej cierpiętnicy z miejsca go zakasuje.

- Jakbyśmy nie mieli dość kłopotów w związku z nadchodzącą inspekcją.
- Z tonu Pata przebijała gorycz. - Powiedz mi, Roy, czy szykują się jeszcze jakieś kolejne skandale, o których powinienem wiedzieć?

8

Dobry stary Bishop. Zabawne, że przyszło mu do głowy takie pytanie. Prawdę mówiąc, ja wiem o co najmniej dwóch czekających szkołę katalizmach. Jeden już nadciąga z nieuchronnością fali tsunami, drugi zaś znajduje się w ostatniej fazie przygotowań.

W literaturze można znaleźć mnóstwo sentymentalnych bzdur na temat umierania. Ci, co gasną, są ponoć pogodzeni z życiem i bliźnimi. Wyrozumieli i skłonni do wybaczenia. Z moich doświadczeń natomiast wynika, że umierający potrafią być równie podli i zapiekli w nienawiści, jak ci, których tak niechętnie opuszczają. Sally Pearman należy do takich właśnie osób. Z powodu głupiego listu (choć nieskromnie przyznaję, był on jednym z moich majstersztyków) wprawiała w ruch całą trywialną machinę wyświechtanych rytuałów - powymieniała zamki w drzwiach, zatrudniła adwokata, wysłała dzieci do swojej matki, a na koniec wyrzuciła ubrania męża na trawnik. Pearman naturalnie nie potrafi kłamać. Wręcz zachowuje się tak, jakby od dłuższego czasu pragnął, żeby cała historia wyszła na jaw. Na twarzy ma wypisane cierpienie, ale i wyraz wielkiej ulgi. Jakie to katolickie. Jemu jednak przynosi ukojenie.

Z Kitty Teague sprawy przedstawiają się inaczej. Teraz nie ma przy niej nikogo, kto mógłby ją pocieszyć. Pearman, przygnieciony masochistycznym poczuciem winy, praktycznie się do niej nie odzywa. W duchu obwiniają za całe nieszczęście - ostatecznie zgodnie z jego światopoglądem winę zawsze ponosi kobieta-kusicielka. Im szybciej zaś w wyobrazeniach Pearmana Sally zanurza się w mgiełce tęsknoty zaprawionej rozkosznymi wyrzutami sumienia, tym wyraziściej do Kitty zaczyna docierać, że nigdy nie zdoła konkurować ze wspomnieniem o drogiej żonie.

Dzisiaj nie przyszła do szkoły. Zapewne z powodu stresu. Pearman prowadzi swoje lekcje, ale jest rozkojarzony i bez Kitty zatrwającą zdezorganizowany. W rezultacie wszystko mu się miesza. Zapomniał przyjść na hospitał, zapomniał zjawić się na dyżurze w czasie lunchu, całą długą przerwę

spędził na poszukiwaniu esejów szóstoklasistów, które gdzieś zapodział (tak naprawdę znajdują się w szafce Kitty, w Sali Cichej Pracy; wiem, bo udało mi się tam niepostrzeżenie podłożyć).

Nie zrozumcie mnie źle. Osobiście nie mam nic przeciwko temu człowiekowi. Ale muszę prowadzić swoją rozgrywkę, a o wiele łatwiej rozprawiać się po kolei z Katedrami - likwidować systematycznie całe formacje, jeśli wolicie, niż rozpraszać się i atakować na chybił trafił pozycje obronne wroga.

Jeżeli zaś idzie o moje pozostałe plany... Przykra przygoda Tapi nie trafiła dziś do gazet. To dobry znak - jasno sugeruje, że „Examiner” chce zachować ten kasek na weekend. Napiszą, że panna Tapi przeżyła niewyobrażalny stres, że wini szkołę za swoją katorgę (a Pata Bishopa w szczególności, nie okazał jej bowiem dość współczucia w krytycznej chwili) i oczekuje pełnego poparcia ze strony Związków oraz szczodrego odszkodowania, i wszystko jej jedno, czyjego wysokość zostanie ustalona na drodze postępowania sądowego czy też pozasądowej ugody.

Grachvogel również się dzisiaj nie pojawił. Podobno biedak ma skłonność do migren, ale wiercie mi, jego obecna absencja ma o wiele więcej wspólnego z przykrymi telefonami, które ostatnio musi odbierać, niż z jego sławetnymi bólami głowy. Od wieczoru spędzonego w pubie z Lightem i uczniami chodził wyraźnie przygaszony. Oczywiście żyjemy w czasach pełnego równouprawnienia - nie może być mowy o dyskryminacji z powodu pochodzenia, wyznania czy preferencji seksualnych (ha!) - niemniej Grachvogel zdaje sobie sprawę, że gej w szkole dla chłopców jest narażony na rozliczne ataki, i teraz bez wątpienia zadaje sobie pytanie, w jaki sposób i przed kim się zdradził.

W normalnej sytuacji pewnie zwróciłby się do Pearmana z prośbą o pomoc, ale Pearman ma teraz dość własnych kłopotów, natomiast doktor Devine, formalnie szef sekcji, nigdy by nie zrozumiał jego problemu. No, ale cóż... Grachvogel sam ściągnął na siebie nieszczęście. Powinien mieć dość rozumu, by nie zadawać się z typami pokroju Lighta. Co on sobie w ogóle wyobrażał? Bratając się z uczniami, Light nie naraża się na żadne ryzyko. Testosteron aż z niego paruje. Tapi świetnie to wyczuwała, chociaż ciekawe, jak zareaguje, gdy skonstruowana przeze mnie afera ujrzy światło dzienne. Na razie Light wspiera Tapi, jak może. Jest aktywnym Związkowcem i uwielbia sytuacje będące wyzwaniem dla systemu. To dobrze. Choć jeszcze nie powiedziane, czy ta działalność w niedługim czasie nie obróci się przeciwko niemu. Z moją drobną pomocą, oczywiście.

A Jimmy Watt? Jimmy już na zawsze pożegnał się ze szkołą. Zastąpiła go ekipa sprzątaczy pracujących na zlecenie specjalistycznej agencji. Nikogo to tak naprawdę nie obchodzi z wyjątkiem Kwestora (sprzątacze kontraktowi są kosztowni, poza tym znają doskonale swoje prawa i pracują w idealnej zgodzie z przepisami) i może Bishopa, któremu mięknie serce na widok życiowych

nieudaczników (patrz - przykład mojego ojca). Nie ulega wątpliwości, że gdyby zależało to tylko od Drugiego Mistrza, dałby Jimmy'emu jeszcze jedną szansę. Czego nie można powiedzieć o Dyrektorze, który pozbył się półgłówka w zdumiewającym (i nie do końca zgodnym z prawem) tempie. Zapewne Kret chętnie podejmie ten wątek, gdy tylko sprawa Tapi zejdzie z wokandy. Tak czy owak Nowy od dwóch dni nie wysuwa nosa ze swojego gabinetu, a ze światem zewnętrznym porozumiewa się jedynie za pomocą interkomu lub przez pośrednika, Boba Strange'a, jedyne go przedstawiciela szkolnej władzy, który zdaje się kompletnie niewzruszony ostatnimi incydentami.

Gdy zaś chodzi o Roya Straitleya - cóż, właściwie nieustannie o nim myślę. Dodatkowe obowiązki sprawiają, że jest dzień w dzień niebywale zapracowany, co akurat bardzo mi odpowiada. Wolę, by pochłaniały go głównie sprawy uczniów, dopóki rozgrywka nie wejdzie w decydującą fazę. Chociaż jednocześnie pilnuję, żeby nie zaznał spokoju. Po lunchu udało mi się wyrwać do Kompleksu Komputerowego i wtedy przypadkowo wpadła mi w ucho interesująca rozmowa pomiędzy Straitleyem i Beardem, dotycząca: (a) Adriana Meeka, nowego nauczyciela w sekcji informatycznej, i (b) Colina Knighta.

- Ależ ja nie napisałem niepochlebnego raportu po hospitacji na jego lekcji - protestował Straitley. - Po zajęciach wypełniłem standardowy arkusz i w oględny sposób przedstawiłem swoją opinię. To wszystko.

- Całkowita niezdolność do panowania nad klasą... - zaczął odczytywać Beard. - Chaotyczny sposób prowadzenia zajęć. Brak charyzmy... I to ma być wyważona opinia?

Przez chwilę panowało milczenie - zapewne Straitley studiował formularz.

- Ja tego nie napisałem - oświadczył w końcu.

- Mnie się natomiast wydaje, że to twój charakter pisma.

Nastąpiła kolejna, tym razem dłuższa przerwa. Korciło mnie, żeby wyjść z sali komputerów - tylko po to, aby popatrzeć na minę Straitleya, jednak ostatecznie zdrowy rozsądek zwyciężył. Nie należy zwracać na siebie zbytnej uwagi, szczególnie w miejscu, które wkrótce stanie się główną areną zbrodni.

- Ja tego nie napisałem - powtórzył stanowczo Straitley.

- Kto w takim razie to zrobił?

- Nie mam pojęcia. Zapewne jakiś dowcipniś.

- Roy... - W głosie Bearda zabrzmiał podszyty zniecierpliwieniem, jednak swoiście pojedynczy ton, jaki się przybiera, zwracając do potencjalnie niebezpiecznych szaleńców. - Posłuchaj, Roy. Wiem, że istnieje coś takiego jak sprawiedliwa, niemniej surowa krytyka, i tak dalej. Zdaję też sobie sprawę, że Meek nie należy do najbliższych nowicjuszy, jacy do nas trafili...

- Rzeczywiście - wszedł mu w słowo Straitley. - Nie należy. Nigdy jednak nie podłożyłbym mu takiej świni. A ponieważ nie ja jestem autorem raportu, nie masz prawa dołączać go do oficjalnych dokumentów.

- Oczywiście, że nie, Roy, ale...

- Ale co? - W głosie Straitleya pojawiła się irytacja. Kontakt z Garniturami nigdy nie sprawiał mu przyjemności, i teraz już wyraźnie się wyzuwało, że ta cała sprawa wzbudza w nim gniew.

- Czy jesteś absolutnie pewien, że po prostu... nie zapomniałeś, jakie uwagi umieściłeś w raporcie?

- „Zapomniałeś”?!

Beard wyraźnie się zawahał.

- No, wiesz... Może się spieszyłeś lub...

Z trudem udało mi się zdusić śmiech. Beard to nie pierwszy wykładowca sugerujący, że Roy Straitley, używając wyrażenia Bishopa, „traci parę”. Posianie tego trującego ziarna to moje dzieło - a wymuszenie na Straitleyu kilku pozornie irracjonalnych reakcji przydało prawdopodobieństwa podobnej teorii.

- Panie Beard, choć wkrótce zostanę centurionem, wciąż daleko mi do starczego otępienia - zareagował ostro Straitley. - Może więc przestaniemy zajmować się głupotami i przejdziemy do spraw bardziej ważkich... - Ciekawe, jak zareaguje Meek, gdy mu powiem, że dla Straitleya sprawa oceny jego zajęć jest jedynie głupotą. - Mam nadzieję, że pomimo nawału zajęć znalazł pan czas, by przeczytać mój raport dotyczący Colina Knighta.

Teraz już nie udało mi się powstrzymać od uśmiechu.

- A... Knight.

No właśnie, Knight.

Wicie już, że łatwo mi przychodzi identyfikować się z chłopcem pokroju Knighta. Choć w gruncie rzeczy dziecko Johna Snyde'a, nie mówiąc już o jego drugim wcieleniu, Pinchbecku, nie miało z nim wiele wspólnego - było znacznie twardsze, bardziej zacięte, sprytniejsze i zionące chęcią odwetu - niewykluczone, że gdyby miało bogatszych i lepszych rodziców upodobniłoby się do tego nieudacznika.

Niemniej w Knightcie drzemią głębokie pokłady nienawiści, które mogą się okazać przydatne dla moich celów. A jego posepność i wyobcowanie sprawiają, że poza mną nie znajdzie innych powierników - przynajmniej do chwili, gdy nie będzie już dla niego odwrotu. Jego głównym wrogiem jest w tej chwili Straitley - gdyby wzrok mógł zabijać, łacinnik już dawno padłby trupem. Tak czy owak w obecnej sytuacji mam okazję udzielać Knightowi cennych lekcji (wykraczających poza oficjalny program nauczania oczywiście) i muszę stwierdzić, że w wybranym przeze mnie zakresie okazał się wyjątkowo zdolnym uczniem.

Co więcej, nie wymagało to szczególnego wysiłku z mojej strony. Zwyczaj wystarczała drobna zachęta - niekiedy nawet jedno słowo. „Wyobraź sobie, że to ja jestem twoim wychowawcą” - to był z mojej strony częsty wstęp do rozmowy, gdy laził za mną na przerwach niczym zagubiony szczeniak. „Więc jeżeli masz jakiś problem, którego z różnych względów nie możesz omówić z panem Straitleyem - przyjdź do mnie”.

I Knight przychodził. Przez trzy tygodnie wylewał przede mną swoje śmieszne, gorzkie żale. Nikt go nie lubi, nauczyciele się go czepiają, koledzy wyzywają od frajerów i dupków. Ogólnie rzecz biorąc, Knight czuje się głęboko nieszczęśliwy - z wyjątkiem tych nielicznych chwil, gdy ma okazję cieszyć się cudzym nieszczęściem. Oczywiście szybko udało mi się wykorzystać tę jego słabość. To właśnie Knight odegrał kluczową rolę w rozpowszechnieniu paru soczystych plotek, między innymi na temat nieszczęsnego Grachvogela, którego nieobecność wzbudzała wśród uczniów powszechne zainteresowanie. Kiedy żaloszny germanista powróci do szkoły - jeżeli w ogóle powróci - najprawdopodobniej natknie się na epizody ze swojego prywatnego życia, odpowiednio ubarwione przez chłopięcą wyobraźnię, uwiecznione na ławkach i ścianach toalet.

Przed wszystkim jednak Knight rozkoszuje się uzalaniem nad własnym losem, a ja wysłuchuję go uważnie, okazując należyte współczucie. I chociaż teraz już rozumiem doskonale, czemu Straitley nie znosi tego gnojka, muszę przyznać, że zachwycają mnie postępy mojego ucznia. Jeżeli chodzi o przebiegłość, skrywaną podłość i zawiść - nie ma sobie równych.

Na swój sposób żałuję, że trzeba się go będzie pozbyć. Ale - jak to mawiał mój ojciec: „Nie da się usmażyć omletu bez kilku krwawych ofiar”.

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
piątek 29 października*

Cóż za osioł z tego Bearda. Cóż za kompletny osioł. Jak w ogóle komuś mogło przyjść do głowy, że taki dureń nadaje się na Opiekuna Roczника? Najpierw, w dyskusji na temat idiotycznego raportu z hospitacji Meeka, niemal wprost oskarżył mnie o starczy uwiąd mózgu, potem zaś miał czelność kwestionować zasadność moich zarzutów pod adresem Colina Knighta. Zażądał dodatkowych dowodów. Chciał wiedzieć, czy przepytalem delikwenta na tę okoliczność.

Czy go przepytalem? Oczywiście, że to zrobiłem. I jeżeli kiedykolwiek widziałem większego kłamcę... Wystarczy spojrzeć mu w oczy: bez przerwy ucieka spojrzeniem w lewo, jakby ujrzał tam coś frapującego - na przykład kawałek papieru toaletowego na moim bucie, czy też wielką kałużę, którą trzeba przeskoczyć. I te jego potulne zapewnienia. „Ależ doprawdy, sir” i „Przysięgam, sir” - trzeba by być idiotą, żeby nie zorientować się, że chłopak skrywa jakąś tajemnicę.

Oczywiście wiedziałem, że ta maskarada dobiegnie końca, gdy tylko pokażę mu pióro. Z początku pozwoliłem mu się wygadać - zarzekać się, przysięgać na grób matki i na wszystkie świętości - potem zaś wyciągnąłem *corpus delicti* - połyskliwego mont blanca z jego inicjałami, znalezionego na miejscu przestępstwa.

Najpierw rozwarł usta ze zdumienia. Potem twarz mu się zapadła. Byliśmy sami w Dzwonnicy w czasie przerwy na lunch. Na dworze świeciło jasno słońce i chłopcy biegali po boiskach, ścigając się z jesiennym wiatrem. Dobiegały mnie ich wysokie głosy, przypominające krzyk mew niesiony bryzą od morza. Knight też je słyszał i z utęsknieniem zwrócił się nieznacznie w stronę okna.

- No więc co masz mi do powiedzenia? - Bardzo się starałem, żeby na mojej twarzy nie pojawił się wyraz chelpliwej satysfakcji. - To przecież twoje pióro, czyż nie, Knight?

Cisza. Knight stał przede mną z rękami w kieszeniach i drżał na całym ciele. Wreszcie dotarło do niego, że sprawa jest poważna - że może nawet doprowadzić do wydalenia ze szkoły. Plama na jego życiorysie; rozczarowanie matki; wściekłość ojca; zaprzepaszczenie szans na przyszłość.

- Czyż nie, Knight?- powtórzyłem.

Milcząco pokiwał głową.

Wysłałem go do gabinetu Opiekuna Rocznika, Knight jednak nigdy tam nie dotarł. Wkrótce potem Brasenose ujrzał go na przystanku autobusowym, ale w zasadzie się tym nie zainteresował. Może Knight miał wizytę u dentysty, a może wymykał się do sklepu z płytami lub kafejki. Nikt inny nie widział go tego dnia. Nikt nie spostrzegł chłopca o cienkich, przylizanych włosach, w mundurku szkoły Świętego Oswalda, z czarnym nylonowym plecakiem na plecach i taką miną, jakby nagle świat zwałił mu się na głowę.

- Oczywiście, że go przepytalem. Niewiele miał mi jednak do powiedzenia. Szczególnie po tym, jak pokazałem mu pióro.

Beard wyraźnie się zatroskał.

- Ach tak. A co właściwie powiedziałeś temu chłopcu?

- Uświadomiłem mu niestosowność jego zachowania.

- Czy ktoś jeszcze był obecny przy tej rozmowie?

Miałem już po dziurki w nosie tej idiotycznej indagacji. Oczywiście, że nikogo nie było. W piękny, wietrzny, jesienny dzień tysiąc chłopców gremialnie wyległo na boiska.

- O co właściwie ci chodzi, Beard? Czyżby rodzice złożyli kolejne zażalenie? Znowu oskarżają mnie o prześladowanie syna? Czy może wreszcie do nich dotarło, że ten chłopak to bezwstydnym kłamca i że tylko ze względu na reputację szkoły nie złożyłem jeszcze doniesienia na policję?

Beard westchnął głęboko.

- Myślę, że to nie jest najodpowiedniejsze miejsce do prowadzenia tej dyskusji - mruknął zmieszany (dla porządku - jeszcze nie było ósmej, a my znajdowaliśmy się przed Kompleksem Komputerowym, na Dolnym Korytarzu, praktycznie całkiem wyludnionym). - Chciałbym, żeby Pat Bishop wysłuchał, co masz do powiedzenia, a w tej chwili nie ma go w gabinecie, nie udało mi się także złapać go pod telefonem. Och, na Boga... - zaczął nerwowo skubać swoje rzadkie wąsy - ...chyba sam rozumiesz, że ta rozmowa powinna odbyć się w obecności odpowiednich czynników administracyjnych...

Właśnie miałem poczynić cierpką uwagę na temat Opiekunów Roku i „odpowiednich czynników”, gdy niespodziewanie dołączył do nas Meek. Posłał mi jadownicę spojrzenie, po czym zwrócił się w stronę Bearda:

- Mamy pewien problem - oznajmił typowym dla niego, bezbarwnym głosem. - Sądzę, że powinieneś rzucić na to okiem.

Na twarzy Bearda pojawił się wyraz aż nadto wyraźnej ulgi. Problemy komputerowe to jego żywioł. Nie ma mowy o odrażającym kontakcie z innymi istotami ludzkimi; nie ma mowy o rozbieżnościach poglądów czy kłamstwach. Nic, tylko maszyny do zaprogramowania. Wiem, że od początku tygodnia mamy ciągle problemy z komputerami - ponoć za sprawą jakiegoś wirusa - dzięki czemu, ku mojemu zachwytowi, zrezygnowano z wysyłania jakichkolwiek e-maili, całą zaś Katedrę Informatyczną relegowano do głównej biblioteki.

- Proszę wybaczyć, panie Straitley... - Znowu to spojrzenie, spojrzenie skazańca, wobec którego w ostatniej chwili zastosowano prawo łaski. - Obowiązki mnie wzywają.

Pod koniec przerwy na lunch znalazłem w swojej przegródce notatkę (odręczną) od Bishopa. Przykro mi, ale dopiero wtedy, chociaż Marlene później mi powiedziała, że położyła ją tam przed apelem. Jednak od samego rana piętrzyły się problemy: Grachvogel wciąż nieobecny; Kitty w depresji; Pearman udający, że wszystko z nim w porządku, lecz błady, z sińcami pod oczami i w wymiętym ubraniu. Dowiedziałem się od Marlene (a ona zawsze jest o wszystkim świetnie poinformowana), że Chris ostatnią noc spędził w szkole; najprawdopodobniej nie był w domu od wtorku, kiedy to - za sprawą anonim - wyszła na jaw jego wieloletnia niewierność. Kitty ponoć ma wyrzuty sumienia; wydaje jej się, że zawiodła Pearmana; zastanawia się, czy to nie jej wina, że tajemniczy informator odkrył prawdę.

Pearman zaprzecza, ale jest w stosunku do niej chłodny i zdystansowany. Jak typowy mężczyzna - twierdzi Marlene. Zbyt pochłonięty samym sobą, by zauważyć, że Kitty cierpi.

Jestem za stary, żeby pozwalać sobie na komentarze w tej sprawie. Nie opowiadam się po żadnej ze stron. Mam tylko nadzieję, że Pearman i Kitty będą po tej historii mogli nadal ze sobą pracować. Nawet nie chcę myśleć, że mógłbym któreś z nich stracić, szczególnie teraz, gdy zły los wyraźnie sprzyścił się przeciwko nam.

W tym całym nieszczęściu jest jeden jasny punkt. Niespodziewanie Eric Scoones okazał się opoką w świecie, który nagle i gwałtownie zaczął się rozpadać. Choć na co dzień często nieznośny, obecnie pokazuje się od jak najlepszej strony i przejmuje na siebie obowiązki Pearmana bez jednego słowa skargi (a wręcz z widoczną przyjemnością). Oczywiście zawsze marzył, żeby zostać kierownikiem sekcji. Mógłby nawet w pełni sprawdzić się na tym stanowisku - chociaż brakuje mu osobistego uroku Chrisa, z drobiazgową starannością podchodzi do spraw organizacyjnych. Niestety, zgorzkniał z wiekiem, i tylko w owej chwili kryzysu dostrzegam w nim dawnego, prawdziwego

Erica Scoonesa - chłopaka, którego znam od przeszło trzydziestu lat. Pilnego, energicznego, niestrudzonego organizatora, demona wśród wykładowców, pełnego nadziei młodego wilka.

Święty Oswald wysysa z nas wszystko co najlepsze - energię, ambicje i marzenia. O tym właśnie rozmyślałem, gdy na pięć minut przed końcem przerwy na lunch siedziałem w pokoju nauczycielskim z brązowym kubkiem w jednym i zleżałym herbatnikiem w drugim rękę (3,75 funta od osoby na tydzień! - chyba powinienem dostawać coś lepszego za te pieniądze). O tej porze zawsze jest tutaj tłoczno - niczym na terminalu dworcowym wypluwającym pasażerów w różne strony świata. Dziś też nie było inaczej. Roach, Light (dziwnie przygnębiony) i Easy - wszyscy trzej ostatnie pięć minut przed rozpoczęciem popołudniowych zajęć spędzający za płachtami „Daily Mirror”. Monument pogrążony w drzemce. Penny Nation wraz z Kitty usadowione w „dziewęcym” kącie. Panna Dare czytająca książkę. Chwilę później wpadł do pokoju młody Keane, by złapać oddech po dyżurze.

- O, sir- zwrócił się do mnie niemal od progu. - Pan Bishop pana poszukuje. Zdaje się, że wysłał panu wiadomość.

Wiadomość? Zapewne e-mail. Ten facet nigdy niczego się nie nauczy.

Bishop siedział w swoim gabinecie, przed ekranem komputera, z okularami do czytania na nosie. Zdjął je, gdy tylko wszedłem do środka - jest przewrażliwiony na punkcie swojego wyglądu, a na dodatek uważa, że grube szkła przystoją podstarzałemu akademikowi, ale nie byłemu rugbiście.

- Cholernie długo tutaj szedłeś.

- Przepraszam - powiedziałem miękким tonem. - Musiałem przeoczyć twoją wiadomość.

- Bzdura! Nigdy nie sprawdzasz swojej skrzynki e-mailowej. Mam już tego po dziurki w nosie, Straitley. Niedobrze mi się robi, gdy muszę cię wzywać do siebie i traktować niczym jakiegoś uczniaka z niższych klas, uparczywie uchylającego się od odrabiania lekcji.

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Naprawdę bardzo lubię tego faceta. Nie jest Garniturem - chociaż, bogowie, stara się, jak może - a kiedy się złości, przebija przez niego szczerłość, jakiej ze świecą nie uświadczy się u ludzi pokroju Nowego.

- *Vere dicis?* - spytałem uprzejmie.

* łac. *Vere dicis?* - Czy jest tak, jak mówisz? (przyp. red.).

- Na początek podaruj sobie te łacińskie wisty - zachnął się Bishop. - Wpadliśmy w niezłe gówno i to przez ciebie.

Spojrzałem na niego uważnie. Pat nie żartował.

- O co chodzi tym razem? Kolejna skarga?

Natychmiast pomyślałem o Pooleyu i jego rozerwanej marynarce. Ale przecież Bob Strange nie podarowałby sobie przyjemności osobistego rozprawienia się ze mną pod tym pretekstem.

- Dużo gorzej - oznajmił Pat. - Chodzi o Colina Knighta. Zwiął. Zapadł się pod ziemię.

- Co takiego?!

Pat spiorunował mnie wzrokiem.

- Zniknął po waszej wczorajszej rozmowie. Zabrał plecak, wyszedł ze szkoły i nikt, ale to absolutnie nikt - ani żaden z kolegów, ani rodzice, ani żadna żywa dusza - więcej nie ujrzał go na oczy.

LAUFER

Niedziela 31 października

Wigilia Wszystkich Świętych. Halloween. Moje ulubione święto. Wolę je zdecydowanie od Dnia Spisku Prochowego i towarzyszących mu kiczowatych rozrywek. Poza tym jest coś zdecydowanie niesmacznego w zachęcaniu dzieciaków do celebracji makabrycznej śmierci człowieka, którego jedyną przewiną była ambicja, ponoć nieprzystojna ludziom jego stanu.

Owszem, przyznaję. Mam pewną słabość do Guy Fawkesa. Może dlatego, że znajduję się w podobnej sytuacji: potajemnie snuję swoją intrygę i przed potężnym adwersarzem mogę się obronić, jedynie przewyższając go prze-myślnością. Guy Fawkes został zdradzony przez współspiskowców. Ja nie mam sprzymierzeńców, nikogo, kto znalazłby moje plany, więc zdradzić mnie może jedynie własna lekkomyślność - lub głupota.

Ta świadomość podnosi mnie na duchu, bo często brakuje mi bratniej duszy - kogoś, z kim można by dzielić radość triumfu czy niepokoje związane z codzienną dywersją.

W tym tygodniu dobiegła końca pierwsza faza mojej kampanii. Nadszedł czas, by porzucić rolę pikadora; teraz na arenie musi zjawić się matador krwawo kończący dzieło.

Na pierwszy ogień poszedł Knight.

Na swój sposób żałuję, że trzeba go było poświęcić. Bardzo mi się przysłużył. Niestety, wcześniej czy później musiał zniknąć ze sceny. I nie było w tym nic osobistego - po prostu wiedział zdecydowanie za dużo (choć niekoniecznie miał tego świadomość), by nadal uczestniczyć w rozgrywce.

Naturalnie musiało dojść do kryzysu. Jak wszyscy artyści, lubię prowokacje, szczególnie gdy przynoszą efekty, i to wspanialsze od oczekiwanych - jak reakcja Straitleya na moje graffiti na jego płocie. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że łacinnik znajdzie pióro i wyciągnie pozornie logiczne w tej sytuacji wnioski.

Od dawna powtarzam, że wykładowcy Świętego Oswalda są do bólu przewidywalni. Naciśnij odpowiedni guzik, przekręć odpowiedni przełącznik, a zadziałają zgodnie ze schematem. Straitley jest już dość dobrze rozmiękczony. Kilka paczek cameli wystarczyło, by dzieciaki z Sunnybank zgodziły się podsycać paranoję starego nauczyciela. O, ja dobrze wiem, jak podsycać cudze obsesje - z Colinem Knightem poszło mi doskonale. Wszystkie figury stoją już na właściwych pozycjach - najważniejsi protagoniści są gotowi do walki. Wkrótce więc musi dojść do ostatecznej rozprawy.

Nie ulegało wątpliwości, że Knight się u mnie zjawi. „Wyobraź sobie, że to ja jestem twoim wychowawcą”, słyszał wielokrotnie - i to właśnie sobie wyobraził. W czwartek, tuż po lunchu, przybiegł zalany łzami i opowiedział o swoim dramacie.

- Uspokój się, Colin. - Parę subtelnych manewrów wystarczyło, by wepchnąć go do niewielkiego, rzadko używanego gabinetu w Środkowym Korytarzu. - O co dokładnie oskarża cię pan Straitley?

Opisał mi przebieg rozmowy, łkając, smarkając i użalając się nad własnym losem.

- Ach tak.

Puls gwałtownie mi przyspieszył. A więc ofensywa ruszyła na dobre i nie było już odwrotu. Mój gambit okazał się skuteczny. Teraz pozostało tylko spokojnie czekać, aż Święty Oswald rozpadnie się w proch, kawałek po kawałku.

- I co ja teraz zrobię? - Knight był bliski hysterii. - On powie mojej mamie, zawiadomi policję. Mogą mnie nawet wyrzucić ze szkoły...

A, relegacja. Najgorszy dyshonor. W hierarchii straszliwych konsekwencji stoi nawet wyżej niż rodzicielski gniew czy sankcje policji.

- Nikt cię nie wyrzuci.

- Wcale nie wiadomo!

- Colin. Popatrz na mnie. - Knight zaczął histerycznie kręcić głową. - Popatrz na mnie.

W końcu podniósł wzrok i chociaż ciągle się trząsał, histeria powoli ustępowała.

- Posłuchaj mnie, Colin. - Krótkie zdania, kontakt wzrokowy, siła perswazji - wszyscy nauczyciele stosują ten trik. Podobnie jak lekarze, księża i iluzjoniści. - Posłuchaj uważnie. Nie zostaniesz wyrzucony ze szkoły. Zrób tak, jak ci powiem, a wszystko będzie dobrze.

Czekał na mnie, zgodnie z instrukcjami, na przystanku autobusowym w pobliżu parkingu dla nauczycieli. Dochodziła czwarta i już zapadała ciemność. Taktyka nakazywała mi, by (ten jeden jedyny raz) wyjść z klasy dziesięć minut przed końcem zajęć - ale dzięki temu na ulicy nie było żywego ducha. Knight wskoczył szybko na siedzenie pasażera z twarzą pobladłą ze strachu,

a jednocześnie miną pełną nadziei.

- Wszystko w porządku, Colinie. Zawiozę cię do domu.

W moich pierwotnych planach nie było takiego posunięcia. Naprawdę. To zapewne nieroztropne z mojej strony, ale choć już wjeżdżaliśmy w główną ulicę, rozmazaną w kropkach październikowego deszczu, tak wytrawny strateg jak ja wciąż nie całkiem wiedział, co począć z Colinem Knightem. Niewątpliwie należę do perfekcjonistów. Zawsze staram się zabezpieczać na wszystkich frontach, dopracować wszelkie szczegóły. Niekiedy jednak należy zdać się na instykt. Leon mnie tego nauczył. I rzeczywiście, pewne z moich najgenialniejszych posunięć narodziły się z czystego impulsu - nieoczekiwanego przeblýsku geniuszu.

Tak też było w wypadku Colina Knighta. Kiedy mijaliśmy miejski park, nagle spłynęło na mnie oświecenie.

Jak już wiecie, mam sentyment do Halloween. Od dzieciństwa przedkładam ten dzień nad plebejskie obchody Wieczoru Ognisk z ich komercjalizmem, cukrową watą i chóralnymi, radosnymi okrzykami na widok monstrualnego grilla. A już najgorsze uczucia budziło we mnie w dzieciństwie Miejskie Ognisko - co roku budowane w lokalnym parku, gdzie zacy w obywateli mogli się zebrać *en masse* i popatrzeć na pożogę o alarmującej skali oraz na bardzo mizerne fajerwerki. Często nieopodal organizowano coś będącego skrzyżowaniem odpustu z wiejskim jarmarkiem, gdzie domorośli rzemieślnicy i wszelkiej maści domokrażcy wystawiali swoje towary i zawsze można było liczyć na: budkę z hot dogami; kramik z gramami i zabawami towarzyskimi (SPRAWDŹ SWOJĄ SIŁĘ -WSZYSCY WYGRYWAJĄ); strzelnicę, gdzie trofeami były, powieszona za szyję, pluszowe misie przeżarte przez mole; handlarza lukrowanymi jabłkami (pod czerwoną cukrową otoczką zawsze rozmiękłymi i nadpsutymi); a także pokazną rzeszę kieszonkowców, przemyskających zwinnie wśród świętujących tłumów.

Od dziecka nienawidzę bezpłatnych masowych imprez. Hałas, odór potu, motłoch, żarłoczność płomieni - zawsze mnie odrzucają. Bo wiercie lub nie, ale ja gardzę gwałtem i przemocą. Przede wszystkim dlatego, że są tak całkowicie wyzute z wyrafinowania i elegancji. Stanowią jaskrawy przejaw karygodnej głupoty. Mój ojciec kochał Miejskie Ognisko z tych samych powodów, które we mnie budziły wstręt. W trakcie takich imprez czuł się naprawdę szczęśliwy. Z butelką piwa w ręku, z twarzą purpurową od żaru i dziwacznymi czułkami UFO na głowie (niekiedy bywały to rogi diabła), wbijał w niebo wzrok i z zapartym tchem obserwował race wybuchające na zaciągniętym dymem niebie.

Ale to dzięki temu wspomnieniu spłynął na mnie błyskotliwy pomysł - rozwiązanie tak perfekcyjne, że aż wywołało na mojej twarzy uśmiech. Leon byłby ze mnie naprawdę dumny. Nagle, za jednym zamachem, udało mi się rozwiązać problem wysłania Knighta na tamten świat i usunięcia wszelkich dowodów zbrodni.

Skreśliśmy w stronę parku. Wielka brama stała otworem - jest to bowiem jedyny okres w roku, kiedy można do środka wjechać samochodem - i ruszyliśmy w głąb głównej aleją.

- Dlaczego tu przyjechaliśmy? - zainteresował się Knight. Po jego strachu nie pozostało ani śladu. Wsuwał czekoladowego batona i grał w jakąś grę zainstalowaną w komórce - jednym z najnowszych i najdroższych modeli telefonów.

- Muszę coś tutaj zostawić. Niepotrzebne śmieci do spalenia. Pomożesz mi?

To jedyna korzyść z organizowania Miejskiego Ogniska. Każdy może się pozbyć niepotrzebnych gratów. Najbardziej pożądane jest drewno, palety, czasopisma i kartony, ale oczywiście wszystko, co można spalić, jest mile widziane - opony, rozklekotane kanapy, stare zabawki także się przydadzą, więc dobrzy obywatele są energicznie zachęcani, by przynosić, co się tylko da.

Naturalnie ognisko zostało już skonstruowane - w sposób naukowy i z wielką starannością. Piramida wznosząca się na czterdzieści stóp - zachwycająca swoją strukturą: warstwa po warstwie zużytych mebli, zabawek, papierzyśk, ubrań, worków pełnych śmieci, skrzyń i skrzynek oraz - by zadośćuczynić tradycji - kukły Fawkesa. Dziesiątki kukieł: niektóre z grubą ciosane, inne niesamowicie upodobnione do istot ludzkich, siedzące i stojące, bądź porozkładane w najróżniejszych pozach, czekające na całopalenie na tym ogromnym stosie. Obszar w zasięgu pięćdziesięciu jardów od ogniska został starannie odgradzony - gdy stos zapłonie, przebywanie w tym obszarze groziłoby natychmiastowym spopieleniem.

- Robi wrażenie, prawda? - Zaparkowaliśmy najbliżej odgradzonego obszaru.

- Ujdzie - zgodził się łaskawie Knight. - A co mamy tam zanieść?

- Zaraz sam zobaczysz. To nie jest zbyt ciężkie, ale niewygodne do niesienia. Jedna osoba nie dałaby rady.

Knight wysiadł, nawet nie zadając sobie trudu wyjęcia słuchawki z ucha. Przez chwilę miał taką minę, jakby chciał zaprotestować, potem jednak za mną ruszył. Czekając, aż otworzę bagażnik, patrzył beznamiętnie na potężny stos.

- Fajny telefon. - Komplementy zazwyczaj usypiają czujność.

- Uhm - mruknął Knight.

- Lubię takie wielkie ogniska. A ty?

- Uhm.

- Mam nadzieję, że nie lunie deszcz. Jak by to wtedy zapalili? Chociaż pewnie używają czegoś na rozpałkę - benzyny, jak sądzę - żeby uniknąć kłopotów. Zazwyczaj bowiem płomienie tak szybko buchają w powietrze...

Taktyka kazała mi ustawić się tak, żeby go bez trudu złapać, gdyby zaczął uciekać. Mój trud był jednak całkiem zbędny. Knight nie należał do bystrych chłopców. Gdy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że usunięcie kogoś takiego jest prawdziwą przysługą dla ludzkości - fatalne geny nie zostaną przekazane kolejnym pokoleniom.

- No dobrze. Rusz się, Colin.

Podszedł i zajrzał do bagażnika.

Wtedy wystarczyło tylko chwycić go za kark i lekko popchnąć do przodu. Przypomniał mi się jarmarczny kramik z czasów dzieciństwa (SPRAWDŹ SWOJĄ SIŁĘ - WSZYSCY WYGRYWAJĄ). Nagle widzę, jak unoszę wysoko młot, dobiega mnie zapach prażonej kukurydzy, smród gotujących się parówek i smażonej cebuli; przed oczami staje mi ojciec z idiotycznymi czułkami na głowie, szczerzący zęby od ucha do ucha, a zaraz potem Leon, z camelem pomiędzy uwalanymi atramentem palcami i z zachęcającym uśmiechem na twarzy...

Teraz trzeba było tylko zatrzasnąć z całej siły klapę bagażnika. Gdy dobiegł mnie specyficzny trzask, trzask pękających chrząstek i kości, dotarło do mnie natychmiast, że znowu jestem zwycięzcą.

2

Polało się sporo krwi.

To było oczywiście do przewidzenia, jednak mimo podjętych przeze mnie środków ostrożności, ubranie raczej trzeba będzie oddać do czyszczenia.

Nie. W żadnym razie nie sprawiło mi to przyjemności. Wszelka przemoc jest dla mnie odrażająca, więc zdecydowanie bardziej przypadłoby mi do gustu, gdyby Knight spadł z dużej wysokości bądź zadławił się fistaszkiem - wszystko byłoby lepsze od tego prymitywnego rozwiązania. Niemniej trudno zaprzeczyć, że to wyjątkowo dobre rozwiązanie. Skoro Knight zdecydował się wziąć udział w rozgrywce, nie mógł w żadnym razie pozostać przy życiu. Poza tym właśnie martwy Knight jest mi potrzebny do dalszej rozgrywki.

W roli przynęty, jeśli was to interesuje.

Potrzebny jest mi także jego telefon. Po wyłączeniu i wytarciu mokrą trawą, wyładował w mojej kieszeni. Następny ruch to naciągnięcie na twarz Knighta czarnego, plastikowego worka (zawsze wożę je w bagażniku, tak na wszelki wypadek) i zamocowanie go elastyczną taśmą. Następnie to samo należało zrobić z rękami. Udało mi się usadzić martwego dzieciaka na jednym z połamanych foteli i zasztauować dużą paczką starych czasopism przewiązanych sznurkiem. Gdy moja praca dobiegła końca, Colin wyglądał jak jedna z rozlicznych kukieł powtykanych w palenisko, choć może mniej realistyczna w formie od wielu pozostałych.

W trakcie dokonywania przeze mnie ostatnich poprawek nadszedł mężczyzna wyprowadzający psa na spacer. Starszy pan pozdrowił mnie uprzejmie, pies warknął parę razy, po czym obaj poszli w swoją stronę. Ani pies, ani jego właściciel nie zwrócili uwagi na krew na trawie, gdy zaś chodzi o ciało... Cóż, już dawno temu życie mnie nauczyło, że jeżeli człowiek nie zachowuje się jak morderca, nikomu nie przyjdzie do głowy, że nim jest, nawet jeżeli istnieją na to dowody. Jeśli kiedykolwiek postanowię się zająć napadami na

banki (a niewykluczone, że tak się stanie; lubię urozmaicenie i nowe wyzwania), będę maszerować po ulicy w masce na twarzy i w krzykliwej marynarce, na ramię zaś zarzucę torbę z napisem ŁUP. Każdy, kto mnie zobaczy, uzna bez wahania, że wybieram się na bal przebierańców i nawet dobrze nie pamięta tego faktu. Bo ludzie, ogólnie rzecz biorąc, są wyjątkowo mało spostrzegawczy, szczególnie gdy chodzi o wydarzenia, które rozgrywają się dosłownie pod ich nosem.

Ten tydzień należało uczcić ogniem. Ostatecznie to stara tradycja o tej porze roku.

Wartownia paliła się zadziwiająco ochoczo, biorąc pod uwagę problem wiecznie panującej tam wilgoci. Szkoda tylko, że nowy Portier - zdaje się nazwiskiem Shuttleworth - nie zdążył się tam jeszcze wprowadzić. Z drugiej strony, brak Portiera i zwolnienie Jimmy'ego wyjątkowo ułatwiły mi zadanie.

Teren Świętego Oswalda jest do pewnego stopnia monitorowany, chociaż większość kamer nakierowano na bramę wjazdową i imponujący fronton. Mało prawdopodobne, by monitoring obejmował także Wartownię czy Portiernię. Przezorność jednak nakazała mi wciągnąć luźną bluzę z kapturem. Jeżeli byłaby tam kamera, zarejestrowałaby jedynie zakapturzoną postać z nieoznakowanymi puszkami w dłoniach, ze szkolnym plecakiem przerzuconym przez ramię, biegnącą wzdłuż muru w stronę wartowni.

Włamanie się do środka nie sprawiło mi najmniejszych trudności. Trudniej było uporać się ze wspomnieniami sączącymi się ze ścian: zapachem ojca; kwaśnym odorem tytoniu; fantomowym aromatem cinnabaru. Większość mebli należała do Świętego Oswalda. Wciąż stały tu te same, dobrze znane mi sprzęty: kredens, stary zegar i ciężki, typowo jadalniany stół z kompletem krzeseł, na których nigdy nie siadaliśmy. Wciąż widniejący na tapecie w saloniku wyblakły czworokąt w miejscu, gdzie ojciec zawiesił obrazek (sentymentalny oleodruk przedstawiający dziewczynkę z małym pieskiem), gwałtownie ścisnął mnie za serce.

I w tej samej chwili niespodziewanie, absurdalnie stanął mi przed oczami dom Roya Straitleya, z rzędami fotografii uśmiechających się chłopców w wyblakłych mundurkach, z pełnymi nadziei twarzami młodych poległych. To było straszne. A nawet gorzej. Banalne. Wydawało mi się, że będę działać powoli, rozkoszując się chwilą. Starannie poleję benzyną stare dywany, antyczne meble, i sprawi mi to nieklamana przyjemność. Tymczasem coś mi kazało załatwić sprawę szybko, w niemal ukradkowym pośpiechu, i przy tym cały czas ogarniało mnie nieprzyjemne wrażenie, że jestem szpiegiem, ohydny intruzem. To samo przeświadczenie, którego doświadczyło dziecko Johna Snyde'a, gdy po raz pierwszy spojrzało na szkołę Świętego Oswalda - na

ten cudowny budynek z oknami błyszczącymi w słońcu, budzący niezwykle pragnienia.

To było coś, czego Leon po prostu nie pojmował. On nigdy tak naprawdę nie dostrzegał uroku Świętego Oswalda - jego dostojności, majestatu tradycji, aroganckiej szlachetności. Dla Leona była to jedynie zwykła szkoła - ławki, które można nieustannie kancerować, ściany, które można pokrywać graffiti, nauczyciele, których można wykpiwać i lekceważyć. Cóż za pomyłka, Leonie. Cóż za dziecinna, fatalna pomyłka.

Tak więc udało mi się podpalić Wartownię. Płomienie tańczyły, ogień trzaskał radośnie, tymczasem zamiast oczekiwanej euforii mnie podstępnie opadły wyrzuty sumienia - najbardziej bezużyteczne i obezwładniające z uczuć.

Szybko jednak trzeba było wziąć się w garść. Bluza z kapturem została zamieniona na bardziej odpowiednie ubranie i gdy zjawiała się policja, usłyszała ode mnie to, co miała usłyszeć (wyrostek, zakapturzony, uciekający z miejsca przestępstwa). Zgodnie z moimi zamierzeniami funkcjonariusze bez trudu odnaleźli duże puszki i porzucony plecak. Kiedy po chwili nadjechali strażacy, nie mieli już wiele do ratowania.

Sztubacki wybryk, tak zawyrokuje „Examiner”. Uczniowski halloweenowy dowcip, który nieoczekiwanie przerodził się w akt kryminalny. Tego wieczoru szampan zdawał się nieco zwietrzały, niemniej trudno mi było przestać go sęczyć. Telefon Knighta posłużył mi do odbycia kilku rozmów, podczas gdy z dołu, z ulicy, dobiegały huki fajerwerków i krzyki młodych przebierańców - czarownic, upiorów i wampirów.

Jeżeli usiądzie się przy moim oknie pod odpowiednim kątem, można dojrzeć Dog Lane. Ciekawe, czy Straitley też siedzi dzisiaj gdzieś blisko okna, przy zaciągniętych zasłonach i przyćmionym świetle. Z pewnością przeczuwa, że czekają go przykrości. Ze strony Knighta - lub dzieciaków z Sunnybank czy niewyraźnie majaczących zjaw. Straitley wierzy w duchy - i słusznie - tym bardziej że dzisiejszej nocy duchy i upiory przeszłości grasują po świecie, polując na śmiertelników.

I niech polują. Umarli nie mają wielu rozrywek. Moje dzisiejsze działania pewnie ucieszą niektórych z nich. Upadek Świętego Oswalda wydaje się już nieunikniony. Nazwijcie to ofiarą, jeśli chcecie. Ofiarą krwi. A jeżeli to nie wystarczy, to już nie ma takiej rzeczy, która zdołałaby te duchy zaspokoić.

3

*Prywatna Szkota dla Chłopców im. św. Oswalda,
poniedziałek 1 listopada*

Co za spustoszenie. Co za niewyobrażalne spustoszenie. Oczywiście widziałem ogień wczorajszego wieczoru, uznałem jednak, że to ognisko z okazji Dnia Spisku Prochowego - rozpalone kilka dni wcześniej i w nieco innym miejscu niż zazwyczaj. Potem jednak usłyszałem wycie wozów strażackich i nagle poczułem, że muszę natychmiast sprawdzić, co się stało. Obudziły się we mnie wspomnienia z przeszłości - dźwięk syreny w ciemnościach, Pat Bishop z megafonem w rękę, przywodzący na myśl oszalałego reżysera...

Na dworze panowało przenikliwe zimno. Pogratulowałem więc sobie, że włożyłem ciepłe palto i starannie zamotałem wokół szyi szalik w kratkę - bożonarodzeniowy prezent od jednego z uczniów z czasów, gdy chłopcy jeszcze miewali takie odruchy. W powietrzu unosił się przyjemny zapach -dymu, gęstej mgły i strzelniczego prochu, i chociaż było już późno, grupka małych przebierańców biegła uliczką z torbami pełnymi wyproszonych słodczy. Jeden z nich, mały duszek, rzucił na ziemię śmieć - zdaje się opakowanie po minisnickersie, więc automatycznie się schyliłem, żeby je podnieść.

- Hej, ty! - odezwałem się tonem z Dzwonnicy.

Duszek - drobny chłopiec w wieku ośmiu, dziewięciu lat - natychmiast się zatrzymał.

- Zdaje się, że coś upuściłeś - powiedziałem, wręczając mu papieraek.

- Co takiego?! - Duszek spojrział na mnie, jakbym był szaleńcem.

- Coś upuściłeś - powtórzyłem cierpliwie. - Tam niedaleko stoi kosz na śmieci - wskazałem na pojemnik oddalony od nas o kilka metrów. - Idź i wrzuć papier, gdzie należy.

- Co takiego?

Dzieci stojące za nim zaczęły poszturchiwać się i chichotać. Zza jednej z tanich plastikowych masek wy dobył się nawet kpiący śmiech. Uczniowie

Sunnybank, westchnąłem w duchu, przyszli młodociani chuligani, latorośle mieszkańców osiedla Abbey Road. Bo któż inny by pozwolił, żeby ósmio- czy dziewięcioletnie dzieci włączyły się bez opieki dorosłych o wpół do dwunastej w nocy?

- Zanieś to do kosza, proszę - powiedziałem raz jeszcze. - Mama na pewno cię uczyła, że nie należy śmiecić na ulicy.

Uśmiechnąłem się przyjaźnie. Pół tuzina małych twarzy uniosło się w górę w zdumieniu. Był wśród nich wilk, trzy duchy, umorusany wampir z ciekącym nosem i niezidentyfikowana postać równie dobrze mogąca być upiorem, jak i protagonista jakiejś hollywoodzkiej produkcji tylko dla dorosłych.

Duszek spojrział na mnie, potem na papierek.

Już miałem go pochwalić, bo postąpił w stronę śmietnika.

Jednak w tym samym momencie chłopiec uśmiechnął się szeroko, ukazując zęby tak szerniałe, jak u palacza-weterana.

- Odpieprz się! - wykrzyknął i ruszył biegiem uliczką, rzucając za siebie papierek po snickersie. Pozostali rozbiegli się na wszystkie strony, rozsypując wokół opakowania po słodyczach. Już niemal zniknęli w lodowatej mgle, a do mnie wciąż dobiegały ich śmiechy i przekleństwa.

Właściwie nie powinno mnie to obchodzić. Jestem nauczycielem i już wszystko widziałem w życiu, choćby u Świętego Oswalda - jakkolwiek patrzeć, szkoły dla uprzywilejowanych. Uczniowie z Sunnybank to zupełnie inna kasta. W osiedlach komunalnych pienia się: alkoholizm, narkomania, bieda i przemoc. Przekleństwa i lekceważenie zasad przychodzą tym dzieciom równie łatwo, jak innym słowa „Dzień dobry” czy „Do widzenia”. Niemniej ten incydent poruszył mnie na swój sposób - zapewne bardziej, niż powinien. Sam dzisiejszego wieczoru rozdałem trzy miski słodyczy - były wśród nich także minisnickersy.

Przygnębiony, podniosłem papierek i wrzuciłem do kosza. Starzeję się, ot co. Moje oczekiwania względem młodzieży (i rodzaju ludzkiego w ogólności) są zdecydowanie staroświeckie.

Chociaż podejrzewałem - może nawet w głębi serca wiedziałem - że ogień, który widziałem z okna, jest w jakiś sposób powiązany ze Świętym Oswaldem, nie chciałem w to uwierzyć. Absurdalny optymizm, będący moją najgorszą wadą i największą zaletą zarazem, nie pozwala mi patrzeć defetystycznie na świat. Dlatego w pewnym sensie ogarnęło mnie szczere zdumienie, gdy po dotarciu do szkoły ujrzałem uwijających się strażaków i Wartownię stojącą w płomieniach.

Mogło być dużo gorzej. Pastwą ognia mogła paść biblioteka. Już kiedyś się to zdarzyło - dawno temu, w 1845 - i wówczas spłonęło ponad tysiąc książek, wśród nich bardzo rzadkie i cenne woluminy. Najprawdopodobniej ktoś zapomniał zgasić świecę. W każdym razie w archiwach szkolnych nie ma wzmianki o jakimkolwiek celowym działaniu.

Tym razem było inaczej. Z raportu dowódcy akcji gaśniczej wynikało, że użyto benzyny. Naoczny świadek zeznał, że widział zakapturzonego chłopca uciekającego z miejsca przestępstwa. Najbardziej jednak wstrząsnęło mną coś innego - plecak Knighta znaleziony w pobliżu Wartowni, lekko nadpalony, ale wciąż łatwy do rozpoznania, pełen książek starannie oznakowanych jego nazwiskiem i symbolem klasy.

Oczywiście Bishop już był na miejscu. Brał energiczny udział w gaszeniu pożaru, więc w pierwszej chwili wziąłem go za strażaka. Nagle jednak wynurzył się z masy gęstego dymu i stanął nade mną z zaczerwienionymi oczami, włosami sterzącymi na wszystkie strony, purpurowy na twarzy od apoplektycznego żaru.

- Na szczęście nikogo nie było w środku - wydyszał i wówczas zauważyłem, że taszczy zegar pod pachą, niczym gracz w rugby szykujący się do biegu przez boisko. - Pomyślałem, że ocalę kilka sprzętów.

Po czym znowu ruszył w stronę Wartowni. Jego potężna postać odcinała się patetycznie od jaskrawego tła płomieni. Krzyczałem, żeby go powstrzymać, ale mój głos utonął w huku i trasku ognia. Kilka chwil później zobaczyłem, jak usiłuje przepchać wielką komodę przez płonące drzwi.

Jak już powiedziałem - straszne spustoszenie.

Rankiem pogorzeliśko było ogrodzone policyjną taśmą. Zgliszcza wciąż jeszcze żarzyły się i dymiły, więc po szkole snuł się zapach jak w Wieczór Ognisk. Chłopcy nie mówili o niczym innym. Zniknięcie Knighta, a teraz ten pożar dały asumpt do rozpowszechniania tak nieprawdopodobnych plotek, że Nowy nie miał innego wyjścia jak tylko zwołać kryzysowe zebranie nauczycieli i przedyskutować linię działania.

On sam był zawsze zwolennikiem wyparcia i zaprzeczania. Wystarczy spojrzeć na tę historię z Johnem Snyde'em. Nawet w wypadku Fallowgate zaprezentował idiotyczne dementi; teraz podobną taktykę chciał zastosować w sprawie Knightgate (określenie Allena-Jonesa), tym bardziej że „Examiner” zgłosił się z listą wyjątkowo impertynenckich pytań - zapewne w nadziei ujawnienia nowego skandalu.

Oczywiście do jutra już będzie huczeć na mieście. Jakiś uczeń coś chlupnie - chłopcy zawsze są gadatliwi - i wieść się rozniesie lotem błyskawicy. Znika jeden z uczniów. Wkrótce następuje atak na szkołę, zapewne wywołany chęcią zemsty. Niewykluczone jednak, że chłopiec został sprowokowany ciągłymi prześladowaniami przez kolegów i gnębieniem przez nauczycieli. Nie znaleziono żadnej notatki, żadnego listu. Chłopak ciągle się ukrywa. Gdzie? I dla czego?

Podobnie jak inni wykładowcy z góry założyłem, że obecność policji związana jest ze sprawą Knighta. Przybyli o wpół do dziewiątej. Pięciu funkcjonariuszy, trzech w cywilu. Jedna kobieta, czterech mężczyzn. Nie było wśród

nich naszego policjanta łącznikowego, Ellisa (prawdziwego weterana, mistrza PR i specjalisty od męskich rozmów w cztery oczy), i już to samo powinno mi uświadomić, że dzieje się coś niezwykłego. Ale tak bardzo pochłaniały mnie własne sprawy, że prawdę mówiąc, nie zwróciłem na ten fakt baczniejszej uwagi.

Nie byłem zresztą wyjątkiem. I istniały ku temu racjonalne powody. Stan osobowy Katedry Języków stopniał o połowę. Komputery padły z powodu jakiegoś śmiertelnego wirusa. Chłopcy byli rozgorączkowani i skłonni do rewolty, a wszyscy wykładowcy - wyprowadzeni z równowagi, niezdolni do skoncentrowania się na obowiązkach. Od ubiegłego wieczoru nie widziałem Bishopa. Od Marlene dowiedziałem się, że pogotowie się nim zajęło, podejrzewając łagodne zacczadzenie. Bishop jednak nie zgodził się, by zabrano go do szpitala, co więcej, resztę nocy spędził na terenie szkoły, szacując straty i odpowiadając na pytania policji.

Naturalnie panuje powszechne przekonanie (przynajmniej wśród kierownictwa), że to ja ponoszę winę za całą tę aferę. Powiedziała mi o tym Marlene, bo miała okazję rzucić okiem na roboczą wersję listu podyktowanego przez Strange'a swojej sekretarce, a przedłożonego Bishopowi do akceptacji. Nie miałem okazji przeczytać tego pisma, jednak z łatwością mogę sobie wyobrazić jego styl i treść. Bob Strange jest specjalistą od bezkrwawych *coups de grâce* - ostatecznie w swojej karierze skomponował co najmniej tuzin podobnych listów. „W świetle ostatnich wydarzeń... z wielką przykrością, lecz zmuszeni okolicznościami... nie wolno nam lekceważyć... urlop z pełnym uposażeniem, aż do czasu...”.

Znajdą się też wzmianki na temat mojego nieracjonalnego zachowania, narastającego roztargnienia, dziwnego wypadku Andertona-Pullitta, nie wspominając już o arkuszu hospitacyjnym Meeka, marynarce Pooleya i innych drobnych potknięciach, nieuniknionych w życiu każdego wykładowcy, za to skrzętnie zanotowanych, zliczonych i zarchiwizowanych przez Boba Strange'a, by zrobić z nich użytek właśnie w takich okolicznościach.

Potem pojawi się coś na osłode, niechętnie dorzucona fraza w rodzaju: „trzydzieści trzy lata lojalnej służby...”, oraz oszczędne w słowach zapewnienie o powszechnym szacunku. Podtekst będzie jednak oczywisty dla wszystkich - „Zaczynasz przynosić nam wstyd”. Podsumowując, Strange zabrał się do warzenia cykuty.

Och, skłamałbym, gdybym powiedział, że jestem tym całkowicie zaskoczony. Jednak w swojej naiwności wyobrażałem sobie, że skoro przez te wszystkie lata tak wiele z siebie dałem Świętemu Oswaldowi, to może ktoś potraktuje mnie wyjątkowo. Ale cóż, nie wolno karmić się mrzonkami. Machina stanowiąca siłę napędową Świętego Oswalda jest równie bezduszna i bezwzględna jak ukochane komputery Strange'a. I tak jak w wypadku komputerów, nie ma tu mowy o żadnych osobistych animozjach - liczy się jedynie

prosta, matematyczna kalkulacja. Jestem już stary, kosztowny, mało wydajny. Przypominam wyrobiony trybik w przestarzałym mechanizmie - skądinąd już od jakiegoś czasu zupełnie bezużytecznym. Gdyby rzeczywiście wybuchnął skandal, któż lepiej nadawałby się na kozła ofiarnego? Strange doskonale wie, że nie wszcząłbym prawnej awantury. Po pierwsze, uwłaczałoby to mojemu poczuciu godności. Poza tym nie ściągnąłbym na Świętego Oswalda dodatkowego odium. Scenariusz wygląda więc następująco: szczodra odprawa na dodatek do wysokiej pensji; miłe dla ucha przemówienie Pata Bishopa wygłoszone w pokoju nauczycielskim; wzmianka o moim szwankującym zdrowiu i nowych horyzontach, jakie otworzą się przede mną po przejściu na emeryturę. Jednym słowem - czarka cykuty przemyślnie ukryta pomiędzy laurami.

A niech diabli porwą tego Strange'a. Zaczynam niemal wierzyć, że planował to wszystko od początku roku. Inwazja na mój gabinet, usunięcie mojego nazwiska z broszury reklamowej, jego interwencja na moich zajęciach. Tylko dlatego jeszcze nie wręczył mi tego listu, że nie może złapać Bishopa. Doskonale wie, że zanim wyda na mnie wyrok, musi przeciągnąć Drugiego Mistrza na swoją stronę. I nie ulega wątpliwości, że mu się to uda. Lubię Pata, ale nie mam co do niego żadnych złudzeń. Jest lojalny przede wszystkim wobec szkoły - Święty Oswald stoi najwyżej w hierarchii jego wartości. A Dyrektor? Nic nie sprawi mu większej przyjemności jak przedstawienie mojej sprawy na zebraniu Zarządu. Potem doktor Pooley wykona czarną robotę. I tak naprawdę kogo to będzie obchodzić? A co z zaszczytnym tytułem centuriona? W tej chwili dzieliły mnie od niego cała lata świetlne.

W czasie lunchu dotarła do mnie notatka od doktora Devine'a i to tym razem odręczna (co oznacza, że komputerów wciąż nie udało się reanimować). Przyniósł ją jeden z jego piątoklasistów.

R. S. Przyjdź natychmiast do gabinetu. M. R. D.

Zacząłem się zastanawiać, czy on przypadkiem również nie przyłączył się do spisku. Z pewnością nie miałby żadnych skrupułów. Postanowiłem więc, że każę mu czekać. W związku z tym poprawiłem spokojnie kilka prac domowych, wymieniłem uprzejmości z moimi uczniami, wypiliśmy herbatę. Dziesięć minut później Devine wpadł do sali na podobieństwo oszalałego derwisza, a gdy zobaczyłem jego minę, odprawiłem chłopców zdecydowanym gestem dłoni i skoncentrowałem się na germaniście.

Z niektórych moich uwag można by wysnuć przypuszczenie, że prowadzę jakąś wendetę przeciwko staremu Kwaśnogronowi. Nic bardziej mylnego; prawdę mówiąc, uwielbiam nasze drobne starcia, mimo że nie podzielam zamiłowania Devine'a do przepisów BHP i sterylnej higieny oraz nie popieram

jego polityki wobec uczniów - ciąglego dyscyplinowania i czepiania się drobiazgów.

Wiem jednak doskonale, gdzie leży granica żartu, i wszelka myśl o podpuszczaniu tego starego idioty opuściła mnie, gdy tylko spojrzałem mu w twarz. Devine wyglądał na chorego człowieka. I nie chodziło tu o typową dla niego bladeść - jego skóra nabrała dziwnej, żółtawej woskowatości, policzki się zapadły, nagle postarzał się o wiele lat. Miał przekrzywiony krawat, a jego włosy - zawsze nienagannie ufryzowane - sterczały mu na wszystkie strony, niczym u człowieka miotanego podmuchami nawalnicy. Nawet w jego chodzie, zazwyczaj tak żwawym, coś się nagle zacięło. Szedł w moją stronę jak mechaniczna zabawka, po czym opadł ciężko na najbliższą ławkę.

- Co się stało?

W moim tonie nie było ani cienia kpiącej nuty. Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, to że ktoś zmarł. Jego żona; jeden z chłopców; najbliższy przyjaciel. Bo tylko niewyobrażalna katastrofa mogła doprowadzić doktora Devine'a do takiego stanu.

O jego stresie świadczył już fakt, że nie skomentował mojej opieszałości w reakcji na jego wezwanie. Siedział milcząco na ławce, przyciskając wąską pierś do swoich sterczących kolan.

Wyjąłem gauloise'a, zapaliłem i wyciągnąłem w jego stronę.

Devine od niepamiętnych czasów nie pozwalał sobie na żadne słabości, tym razem jednak bez słowa przyjął papierosa.

Ja tymczasem cierpliwie czekałem. Nie słynę ze swojego *savoir faire*, wiem jednak, jak obchodzić się z udręczonymi chłopcami, a w moich oczach Devine był właśnie teraz kimś takim - siwowłosym, bardzo udręczonym chłopcem, o twarzy ściągniętej przerażeniem, siedzącym z kolanami przyciśniętymi do piersi w desperackim, ochronnym geście.

- Policja - sapnął w końcu.

- Policja?

- Aresztowali Pata Bishopa.

Zajęło mi sporo czasu, żeby coś z niego wydusić. Przede wszystkim Devine sam niewiele wiedział. Aresztowanie Pata miało coś wspólnego z komputerami, chociaż nikt nie znał bliższych szczegółów. Policjanci wspomnieli coś na temat Knighta; teraz zaś przesłuchiwali chłopców z klasy Bishopa, ale właściwie nikt nie miał pojęcia, jakie zarzuty postawiono Patowi.

Ja natomiast w lot zrozumiałem, dlaczego Devine wpadł w taką panikę. Zawsze starał się wkraść w łaski władz, i teraz naturalnie się przeraził, że może zostać wplątany w nową, bliżej nieokreśloną aferę. Okazało się, że policjanci długo przesłuchiwali i Kwaśnogrona - bardzo ich zainteresował fakt, że Pat kilka razy zapraszał do domu państwa Kwaśnogronów. Na koniec oznajmili, że w następnej kolejności przeprowadzą przeszukanie w gabinecie Bishopa, by zabezpieczyć dalsze dowody.

- Dowody! - zaskomlił Devine i zdusił w popielniczce swojego gauloise'a.
- Co spodziewają się znaleźć? Gdybym tylko wiedział...

Pół godziny później dwaj funkcjonariusze odjechali i zabrali ze sobą komputer Bishopa. Marlene zapytała dlaczego, nie uzyskała jednak żadnej odpowiedzi. Pozostała trójka policjantów nadal urzędowała w szkole, „by prowadzić dalsze czynności dochodzeniowe”, głównie w Kompleksie Komputerowym, teraz zamkniętym dla wszystkich nauczycieli i uczniów. Na ósmej lekcji weszła do mojej sali policjantka i zapytała, kiedy ostatni raz korzystałem ze swojego terminalu. Gdy poinformowałem ją sucho, że nigdy nie używam komputerów, bo nie interesują mnie elektroniczne zabawki, zakręciła się na pięcie i wymaszerowała z klasy z miną inspektora szkolnego, szykującego się do sporządzenia bardzo niepoehlebnego raportu.

Po tym incydencie nie sposób już było zapanować nad chłopcami, więc przez ostatnie dziesięć minut lekcji graliśmy w wisielca (oczywiście po łacinie), podczas gdy niewidzialny paluch dźgał mnie w mostek z coraz większą natarczywością.

Kiedy zajęcia dobiegły końca, udałem się na poszukiwania Bearda, w nadziei że czegoś się dowiem. On jednak rozmawiał ze mną w bardzo wymijający sposób, a po chwili zaczął się rozwodzić na temat wirusów w szkolnej sieci, terminali komputerowych, hasel ochronnych i ściągania plików z Internetu - kwestii równie dla mnie fascynujących, jak dzieła Tacyta dla Bearda.

W rezultacie nie dowiedziałem się niczego. W końcu zmuszono mnie do opuszczenia szkoły - po godzinie bezskutecznego czekania pod gabinetem Boba Strange'a w nadziei, że w końcu z niego wyjdzie. Ogarnęła mnie więc frustracja i jak najgorsze przecucia. Chociaż zaczął się dopiero listopad, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że oto nadciągają idy marcowe.

4

Wtorek 2 listopada

Z dumą donoszę, że mój zdolny uczeń znowu trafił do gazet - i to tym razem do ogólnokrajowych. Oczywiście Kret się do tego nieco przyczynił, chociaż i bez Kreta Knight wcześniej czy później znalazłby się w orbicie zainteresowań największych mediów.

„Daily Mail” obarczył winą rodziców; „Guardian” uznał chłopaka za ofiarę; natomiast „Telegraph”, w dużym wstępniku, ujął sprawę w szerszym kontekście wandalizmu i problemów jego zwalczania. Wszystkie te teksty dostarczyły mi wiele satysfakcji; nie mówiąc już o matce Knighta, która wystąpiła w telewizji i w łzawym tonie zwróciła się bezpośrednio do Colina, zapewniając, że nic mu nie grozi, i błagając, by wrócił do domu.

Bishop został zawieszony w obowiązkach na czas dochodzenia. Wcale mnie to nie dziwi - materiały, które znaleźli w jego komputerze musiały im dać wiele do myślenia. Gerry Grachvogel zapewne też już siedzi pod kluczem, a wkrótce posypią się następne aresztowania. A wszystko to dzięki bombie z opóźnionym zapłonem, którą udało mi się podłożyć w trakcie przerwy międzysemestralnej.

Wirus unieruchamiający systemy ochronne. Odpowiednio skomponowany wykaz połączeń pomiędzy skrzynką e-mailową Colina Knighta a niektórymi witrynami internetowymi, z którymi także łączono się ze szkoły. Interesujący zbiór materiałów wizualnych, głównie zdjęć obfitujących w pikantne zbliżenia, ale także dosadnych, krótkich filmików, wysłanych pod adresy e-mailowe wybranych wykładowców i zapisanych na twardej dyskach ich komputerów w plikach zabezpieczonych hasłem.

Oczywiście istnienie owych plików nie wyszłoby na jaw, gdyby policja nie zainteresowała się korespondencją e-mailową Colina Knighta. Ale w dobie czat-roomów i dewiantów polujących na niewinne owieczki w wirtualnym świecie funkcjonariusze musieli zająć się komputerem chłopaka.

Knicht idealnie odpowiadał charakterystyce typowej ofiary - samotny, zamknięty w sobie chłopak, odrzucony przez kolegów. Nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości, że policja wcześniej czy później zacznie badać ten trop. Okazało się, że zabrali się do tego od razu. Sprawie również przysłużył się Beard - pilnie badając system po ataku wirusa, zaczął się natykać na niepokojące ślady.

Cóż, oto lekcja, której muszą się wreszcie nauczyć wykładowcy ze Świętego Oswalda - lekcja, którą dziecko Johna Snyder'a przerobiło wiele lat temu. Ludzie ze szkoły są tak zadowoleni z siebie, tak wyjątkowo arogancy, a jednocześnie naiwni. Czas, by wreszcie zrozumieli to, co mnie udało się zrozumieć pod tablicą z napisem OBCYM WSTĘP SUROWO WZBRONIONY: funkcjonowanie wszelkich przepisów i reguł tego świata podtrzymuje jedynie delikatna tkanka blefu i zadufania; każdy zakaz można złamać; każde pogwałcenie prawa ujdzie płazem - byle tylko nie dać się przyłapać. To była istotna lekcja, odebrana przeze mnie w bardzo młodym wieku, a - jak zwykł mawiać mój ojciec - edukacja to najcenniejsza rzecz na świecie.

Dlaczego zadaję sobie tyle trudu? - zapewne chcielibyście wiedzieć. Niekiedy ja też stawiam sobie to pytanie. Czemu to robię? Skąd ta zawziętość po tak wielu latach?

Najzwyklejsza chęć zemsty? Ach, żeby to było równie proste! I ja, i wy wiecie już zapewne, że to o wiele bardziej złożona kwestia. Zemsta jest tylko jej częścią. Przede wszystkim zemsta za Juliana Pinchbecka - za to skamlące, płaszczące się dziecko, chyłkiem przemykające w cieniu, desperacko pragnące stać się kimś innym.

A czy również za moje dzisiejsze ja? Nie sądzę. Teraz dobrze się czuję we własnej skórze. Jestem osobą szanowaną. Udało mi się dostać dobrą pracę - pracę, do której, jak się okazało, mam prawdziwy talent. Być może nadal jestem Niewidzialnym Człowiekiem w murach Świętego Oswalda, ale moja rola jest teraz zdecydowanie bardziej wyrafinowana - trudno mnie nazwać zwykłym uzurpatorem. I po raz pierwszy zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie przedłużyć swojego pobytu w tym miejscu.

To duża pokusa. Już udało mi się pokazać z jak najlepszej strony, a w czasach rewolucji oficerzy liniowi szybko awansują. Niewykluczone, że okażę się takim oficerem. Niewykluczone, że w moim zasięgu znajdzie się wszystko, co Święty Oswald ma do zaoferowania - bogactwo, sława i chwała.

Czy przypadkiem z tego nie skorzystać? Muszę się zastanowić.

Pinchbeck nie wahałby się ani przez moment. Oczywiście Pinchbeck zadowolony był niewidzialnością - choć nie był przy tym szczęśliwy. Ja już jednak nie jestem Pinchbeckiem.

Czego więc pragnę?

Gdyby chodziło tylko o zemstę, wystarczyłoby - zamiast palić Wartownię - podłożyć ogień pod główny budynek i pozwolić, by to całe gniazdo os poszło z dymem. Można było wsypać arsenik do termosu z herbatą w pokoju nauczycielskim czy kokainę do soku pomarańczowego chłopców. Ale co z tego za frajda? Każdego byłoby stać na tak banalną akcję. Nikt jednak nie zdołałby zrobić tego, co ja - nikt nigdy czegoś podobnego nie dokonał. Niemniej w tym tableau nadal brakuje jednego elementu. Mojej twarzy. Twarzy artysty wśród tłumu statystów. I w miarę upływu czasu coraz bardziej mi to doskwiera.

Od dziecka pragnę, żeby ktoś wreszcie mnie zauważył. Żeby nie być jedynie pochwyconą kątem oka twarzą, wiecznym rezerwowym w wielkiej grze Dżentelmenów i Graczy. Nawet Niewidzialny Człowiek może rzucać cień; ale mój cień, wydłużony przez lata, zagubił się gdzieś w mrokach korytarzy Świętego Oswalda.

I to się zmieni. Rozgrywka weszła w decydującą fazę. Niedawno znowu pojawiło się nazwisko Snyde. A także Pinchbeck. Zanim gra dobiegnie końca, zanim Święty Oswald runie w otchłań, wiele osób wreszcie mnie dostrzeże. To jedno wam obiecuję.

Na razie zadowala mnie rola bakalarza. Tyle że z przedmiotu, którego uczę najchętniej, nie organizuje się egzaminów. Jedynym miarodajnym testem jest przetrwanie. Oczywiście doświadczenie pomogło mi osiągnąć mistrzostwo - szkoła Sunnybank Park czegoś mnie jednak nauczyła - ale chętnie wierzę, że sukces zawdzięczam głównie wrodzonemu talentowi. Gdyby zdarzyło mi się pochodzić z innej rodziny i zostać uczniem Świętego Oswalda, ten mój talent zostałby subtelnie wyrugowany - zastąpiony łaciną, Szekspirem i wszystkimi wygodami uprzywilejowanego świata. Bo Święty Oswald przede wszystkim uczy przystosowania do reguł, gry zespołowej i ducha fair play. Pat Bishop jest najzagorzalszym adwokatem tych wartości - zasłużył więc, by zostać moją pierwszą liczącą się ofiarą.

Już chyba słyszeliście, że aby doprowadzić do upadku Świętego Oswalda, należy zadać szkole cios w serce. A tym sercem jest właśnie Bishop - uczciwy, szczery, pełen jak najlepszych intencji, szanowany i kochany zarówno przez uczniów jak i pracowników. Przyjaciół dla zgnębionych; silne ramię dla potrzebujących wsparcia; emanacja kolektywnego sumienia; źródło inspiracji. Mężczyzna nad mężczyznami: sportsmen, dżentelmen, człowiek, który nie spycha na nikogo obowiązków, ale pracuje z zapałem i radością ku chwale Świętego Oswalda. Oczywiście nigdy się nie ożenił. Podobnie jak w wypadku Straitleya, jego poświęcenie dla szkoły nie pozwala na założenie normalnej rodziny. Nikczemnicy mogliby go posądzać o odmienne preferencje seksualne. Szczególnie w dzisiejszych czasach, gdzie już sama chęć pracy z dziećmi budzi rozliczne podejrzenia. Ale Bishop? Bishop?!

Pozornie nikt w to nie wierzy, a jednak w pokoju nauczycielskim zarysowały się interesujące podziały. Niektórzy głośno i z oburzeniem odrzucają

oskarżenia jako absurdalne - do nich przede wszystkim należy Straitley. Inni - Bob Strange, Liga Narodów, Jeff Light, Paddy McDonough - konferują w kącie przyciszonymi głosami. Wyświechtane truizmy: „Nie ma dymu bez ognia”, „Nie wszystko złoto, co się świeci”, „Nie ma ideałów na tym świecie”, „Coś podejrzanie lgnął do chłopców, sami wiecie, co mam na myśli” - wsiady ciężko nad pokojem nauczycielskim na podobieństwo dymnych sygnałów.

Wprost trudno uwierzyć, jak szybko strach czy własny interes odarły ce poniekórych z gładkiej polityry koleżeńskej solidarności; jak szybko domniemani przyjaciele zmienili front. Dla mnie to nic nowego. I zapewne ta świadomość powoli zaczyna docierać do Bishopa.

Reakcja na podobne oskarżenie jest zazwyczaj trzystopniowa. Najpierw wyparcie. Potem gniew. W końcu - kapitulacja. Mój ojciec, naturalnie, od początku sprawiał wrażenie winowajcy. Nieelokwentny, kipiący furią, zdeorientowany. Pat Bishop z pewnością dał lepszy popis. Drugi Mistrz szkoły imienia św. Oswalda nie jest człowiekiem, którego łatwo można zastraszyć. Problem w tym, że policja dysponowała niezaprzeczalnymi dowodami. Wykazami połączeń pomiędzy określonymi czat-roomami a zabezpieczonym hasłem pecetem Bishopa w szkole. SMS wysłany z telefonu Knighta na komórkę Drugiego Mistrza w wieczór pożaru. Zdjęcia przechowywane na twardej dysku. Wielka liczba zdjęć, a na wszystkich chłopcy - niektórzy oddający się praktykom, o których Pat - niewinny, naiwny Pat - nawet nigdy w życiu nie słyszał.

Oczywiście wszystkiemu zaprzeczył. Najpierw z ponurym rozbawieniem. Potem pojawiły się: szok, oburzenie, wściekłość, a wreszcie łzawe zażenowanie, które pogrzyżyło go bardziej niż wszystkie materiały znalezione przez policję.

Przeszukali jego dom. Zabrali wiele fotografii, w ich mniemaniu mogących stanowić dowód w sprawie. Szkolne zdjęcia uśmiechających się ze ścian drużyn rugby; fotografie wielu roczników jego wychowanków; uwiecznione na kliszy szkolne wycieczki, wyjazdowe mecze, ostatnie dni przed wakacjami. I na wszystkich fotografiach chłopcy. Chłopcy pluskający się w walijskim strumieniu, chłopcy rozebrani do pasa na wycieczce nad morze, ustawieni w szeregu, z gładkimi ramionami, rozwichrzonymi włosami, szeroko uśmiechający się do obiektywu.

Tak wielu chłopców na zdjęciach, powiedzieli. Czy to przypadkiem nie jest odrobinę... niezwykłe?

Oczywiście Bishop zaczął protestować. Był przecież nauczycielem - wszyscy nauczyciele przechowują podobne pamiątki. Straitley pierwszy o tym zaświadczy - zaświadczy, że po wielu latach wciąż się pamięta swoich uczniów, że niektóre twarze nieoczekiwanie prześladują nas we wspomnieniach. Tysiące, tysiące chłopców, zmieniających się jak pory roku.

To zrozumiałe, że człowieka ogarnia tęsknota; a jeszcze bardziej naturalne, że skoro nie ma własnej rodziny, zaczyna darzyć te dzieci szczególnym uczuciem, uczuciem i na dodatek...

A, uczuciem. Ale jakim? Tu właśnie kryło się coś brudnego, plugawego. Pomimo protestów Pata policjanci zaczęli go okrążyć niczym stado hien. Bishop zaprzeczał wszystkiemu z obrzydzeniem. Oni przez cały czas zachowywali się uprzejmie. Mówili o stresie, o załamaniu nerwowym, nawet oferowali pomoc.

Jego komputer był zabezpieczony hasłem. Oczywiście ktoś teoretycznie mógł zdobyć to hasło. Mógł posłużyć się pecetem Pata. Mógł nawet ściągnąć zdjęcia. Jednak zapłacono za nie kartą kredytową Bishopa. Bank potwierdził, że doszło do takiej transakcji, a Pat nie umiał w żaden sposób wy tłumaczyć, jakim cudem ktoś inny mógł wykorzystać jego kartę do ściągnięcia setek fotografii, które się znalazły na twardym dysku komputera zainstalowanego w jego gabinecie.

„Bardzo chcielibyśmy panu pomóc, panie Bishop. Proszę nam na to pozwolić”.

Ha! Wreszcie trafili na jego piętę achillesową. Nie była to lubieżność, jak podejrzewali, ale cecha nieskończenie bardziej niebezpieczna - potrzeba powszechnej akceptacji. Samobójczy przymus przypodobania się wszystkim wokół.

„Opowiedz nam o chłopcach, Pat”.

Większość ludzi nie dostrzega tej jego ułomności. Widzą jedynie imponującą posturę, siłę ciała i ducha, gigantyczne poświęcenie. Za tym wszystkim kryje się jednak żalona istota: pełna lęków, niepewna, pokonująca nieskończoną liczbę okrążeń na bieżni, by zaspokoić odwieczne pragnienie, by wciąż przeć do przodu.. Ale Święty Oswald to wymagający, pamiętliwy władca. Nic nie zostaje zapomniane, nic - podarowane. A nawet w karierze kogoś takiego jak Bishop zdarzały się wpadki; błędy w ocenie sytuacji. On to wie, i ja także. Ale chłopcy byli dla niego zawsze wentylem bezpieczeństwa. Ich radosne twarze przypominały mu, że mimo wszystko odniósł sukces. Ich młodość stymulowała...

Lubieżny chichot zza kulis.

Nie, on zupełnie nie to miał na myśli.

W takim razie co? Zaczęli go coraz gwałtowniej opadać - niczym sfera psów nieruchawego niedźwiedzia. Niczym popiskujący chłopcy, w tanecznych podrygach doskakujący do mojego ojca, gdy przeklinając pod nosem, zasiadał na kosiarce, a jego niedźwiedzi tyłek wylewał się na boki siodełka.

„Opowiedz nam o chłopcach, Pat”.

„Opowiedz nam o Knighcie”.

- Cóż za kretynizm - oznajmił dzisiaj Roach w pokoju nauczycielskim. - To znaczy, jak można być takim głupcem, żeby przy podobnych transakcjach

korzystać z karty kredytowej wystawionej na własne nazwisko?

Choć Roach jeszcze o tym nie wie, nad nim już też zebrały się czarne chmury. Do niego również prowadzą niewidzialne nitki. A jeszcze dodatkowo obciąża go dobrze wszystkim znana zażyłość z Jeffem Lightem i Gerrym Grachvogelem. Biedny Gerry, doszły mnie słuchy, że i on stał się obiektem dochodzenia policji, chociaż jego obecny rozstrój nerwowy bardzo utrudnia przesłuchania. Na twardym dysku jego komputera także znaleziono materiały pornograficzne, które opłacono kartą Gerry'ego.

- Zawsze uważałem, że Bishop to pokręcony facet - poinformował nas Light. - Za bardzo kleił się do chłopaków, rozumiecie, co mam na myśli?

Roach mądrze pokijał głową.

- Cała ta historia jasno dowodzi, że w dzisiejszych czasach nikogo nie można być pewnym - zawyrokował.

Święte słowa. Gdy tylko padły, ogarnęło mnie ironiczne rozbawienie. Dżentelmeni ze Świętego Oswalda to prostoduszne plemię. Zostawiają klucze w kieszeniach marynarek przewieszonych przez krzesła; trzymają portfele w górnych szufladach biurów; zazwyczaj nie zamykają gabinetów na klucz. Skopiowanie numerów karty to dziecinna igraszka. Nie wymaga żadnych szczególnych umiejętności. I zabiera bardzo mało czasu, więc kartę można spokojnie odłożyć na miejsce, zanim właściciel w ogóle się zorientuje, że przez chwilę jej brakowało.

Tylko karty Roacha nie udało mi się podrzucić z powrotem - poinformował o jej zaginięciu, nim udało mi się zareagować - ale Bishop, Light i Grachvogel nie mogą się zasłaniać podobną wymówką. Żałuję jedynie, że nie można było zrobić w ten sam sposób Roy a Straitleya - jakże eleganckim posunięciem byłoby wysłanie ich wszystkich do diabła za jednym zamachem - ale ten stary, szczwany lis w ogóle nie ma karty, a poza tym nikt by nie uwierzył, że on potrafi choćby uruchomić peceta.

Cóż, nic straconego. Decydująca faza rozgrywki dopiero się rozpoczęła, a ostatecznie zbyt dużo pracy kosztowało mnie strategiczne przygotowanie do rozprawy ze Straitleyem, żeby zadać mu mata tak szybko i prosto. Jego zwolnienie jest już w zasadzie przesądzone. Wciąż pozostaje wykładowcą tylko dlatego, że Drugi Mistrz jest nieobecny, no i że dramatyczny niedobór nauczycieli w katedrze czyni go - ale tylko na czas kryzysu - niezbędnym ogniwem.

W piątek będzie miał urodziny. W Wieczór Ognisk. Zapewne wzdraga się na samą myśl o tym - starzy ludzie zawsze tak reagują na dzień urodzin. Może należałoby mu wysłać prezent - coś miłego, żeby odwrócić jego uwagę od przykrych wydarzeń tego tygodnia. W tej chwili żaden odpowiedni podarunek nie przychodzi mi do głowy, wciąż bowiem zaprzęta mnie zbyt wiele własnych problemów.

Ale to tylko kwestia czasu - na pewno wkrótce na coś wpadnę.

5

Nie lubię urodzin. Zabawki, tort, okolicznościowe kartki, papierowe czapeczki i przyjęcie dla przyjaciół - to w czasach dzieciństwa były moje niespełnione tęsknoty, podobne do marzeń o Świętym Oswaldzie z jego godną pozazdroszczenia patyną bogactwa i szacowności. W urodziny Leona rodzice zabierali go, wystrojonego, do restauracji, gdzie pozwalali mu pić wino. Dla mnie, do trzynastego roku życia, wewnątrz restauracji było równie egzotyczne, jak odległe krainy. „Strata forsy”, utrzymywał John Snyder. Nawet zanim odeszła mama, moje urodziny nie były obchodzone jakoś szczególnie uroczyście. Na stole łądował kupny tort z tandetnymi świeczkami, które po zdmuchnięciu odkładano starannie do starej puszki po tytoniu (z kawałkami zeszlórocznego lukru wciąż przylepionymi do pastelowej stearyny), by je wykorzystać przy następnej okazji. Prezenty nigdy nie były ładnie opakowane - rodzice dawali mi je w plastikowych torbach Woolwortha, i na wszystkich wciąż jeszcze widniały metki z ceną. Niekiedy śpiewaliśmy „Sto lat” - ale cicho i z zawstydzeniem typowym dla klasy pracującej.

Kiedy matka odeszła, nawet takie obchody się skończyły. Jeżeli ojciec przypominał sobie o moich urodzinach, dawał mi w prezencie pieniądze, mówiąc: „Kup sobie coś, czego ci potrzeba”. Nigdy jednak nie było żadnych przyjęć ani żadnych urodzinowych kartek. Pewnego razu Pepsi się wysiliła - powtykała świeczki w dużą pizzę i upiekła czekoladowe ciasto, które z jednej strony całkiem się zapadło. Ale zamiast wdzięczności pojawiła się złość, że los znowu ze mnie zakpił. W pewnym sensie idiotyczny wyczyn Pepsi był jeszcze gorszy, niż gdyby nic nie zrobiła. Jeżeli nikt nie podejmował żadnych wysiłków, przynajmniej udawało mi się zapomnieć, jaki to akurat dzień.

Tego roku jednak wszystko się zmieniło. Ów sierpień - pamiętam go wciąż z nadnaturalną ostrością, jak niekiedy pamięta się baśniowe sny - był gorący, słodki, pachnący miętą i prochem strzelniczym, żywicą i trawą. Frenetyczny, straszny czas oświecenia. Do moich urodzin pozostały dwa tygodnie i ojciec szykował dla mnie niespodziankę.

Nie powiedział tego wprost, ale nietrudno było się zorientować. Chodził podniecony, stremowany, tajemniczy. W jednej chwili denerwowało go wszystko, co robię, w następnej - opadała łzawa melancholia. Mówił mi wtedy, że dorastam. Częstoował piwem. Wyrażał nadzieję, że gdy pewnego dnia wyfrunę z domu, nie zapomnę o starym biednym ojcu, który zawsze miał na względzie tylko moje dobro.

A co najdziwniejsze, zaczął szastać pieniędzmi. John Snyder - który posuwał się nawet do recyklingu własnych petów i z resztek pozostałego w nich tytoniu robił cienkie skręty co piątek - odkrył w końcu uroki nabywania dóbr. Nowy garnitur - na rozmowy kwalifikacyjne, jak twierdził. Złoty łańcuch z medalionem. Paleta puszek Stella Artois - choć całe życie utrzymywał, że pogardza importowanym piwem - a do tego sześć litrowych butelek whisky single malt, które trzymał w szopie za Wartownią, przykryte starą, kordonkowa kapą. Kupował zdrapki - dziesiątki zdrapek; w domu pojawiła się też nowa sofa, ubrania dla mnie (bo rosne), a dla niego bielizna, T-shirty, płyty i buty.

Potem zaczęły się rozmowy telefoniczne. Późno w nocy, gdy sądził, że już śpię. Do mnie docierał jednak wyraźnie szmer jego przyciszonego głosu - niekiedy przez parę godzin. Wówczas wydawało mi się, że dzwoni na sekslinię - albo może do Pepsi, żeby ją odzyskać. W jego chrapliwym szepcie było bowiem coś ukradkowego. Pewnego razu udało mi się go podsłuchać i chociaż dobiegło do mnie zaledwie kilka słów, natychmiast wryły mi się w pamięć i wzbudziły niejasny niepokój.

- A więc ile? - Pauza. - W porządku. Tak będzie najlepiej. Dzieciak potrzebuje matki.

Matki?

Moja matka pisywała codziennie. Przez pięć lat nie dawała znaku życia, a teraz nagle przechodziła samą siebie - zasypywała nas listami, pocztówkami, paczkami. Większość z nich tkwiła nierozpakowana pod moim łóżkiem. Bilet do Paryża, zabukowany na wrzesień, leżał w zaklejonej kopercie. Widząc takie moje reakcje, ojciec na pewno zrozumiał, że jego dziecko nie chce niczego od Sharon Snyder; nie chce niczego, co mogłoby przypominać o życiu sprzed ery Świętego Oswalda.

A potem przesyłki nagle przestały przychodzić. To dopiero powinno mnie poważnie zaniepokoić, obudzić moją czujność, bo mogło sugerować, że matka coś knuje - coś, co chce utrzymać przede mną w tajemnicy.

Ale mijały dni i nic się nie działo. Telefony też się skończyły - niewykluczone jednak, że ojciec po prostu stał się bardziej ostrożny. W każdym razie wieczorami nie dochodził mnie dźwięk jego przyciszonego głosu, a moje myśli znów się zwróciły, niczym igła kompasu, ku mojej własnej, magnetycznej północy.

Leon, Leon, Leon. Wciąż stawał mi przed oczami. Po wyjeździe Franceski stał się zdystansowany, zamknięty w sobie. Moje wysiłki, żeby pobudzić go

do życia, zazwyczaj okazywały się daremne. Pogardliwie odnosił się do naszych wszystkich niedawnych zabaw; jego nastrój z euforycznego gwałtownie i nieoczekiwanie przechodził w posępny i gniewny; a co najgorsze - irytowała go moja inwazja na jego samotność. Pytał kpiąco, czy nie mam żadnych innych kumpi, by im zawracać głowę; wciąż sztychował z mojego wieku i braku życiowego doświadczenia.

Gdyby tylko wiedział! Tak naprawdę był lata świetlne w tyle w stosunku do mnie. Ale chociaż udało mi się pokonać Braya, a w głowie rodziły się śmiałe pomysły kolejnych pogromów, przy Leonie ogarniało mnie przekonanie, że jestem beznadziejnym nieudacznikiem, żałośnie zebrzącym o jego względy. Wyczuwał to doskonale i stawał się okrutny. Był w wieku, kiedy wszystko zdaje się wyraziste, nowe, a jednocześnie oczywiste; kiedy dorośli robią wrażenie bandy głupców; kiedy przestrzega się tylko własnych reguł i lekceważy wszystkie inne, a zabójcza mieszanka hormonów nadaje emocjom koszmarną intensywność.

Mnie jednak najbardziej przerażało co innego - Leon był zakochany. Nieprzytomnie, do bólu zakochany we Francesce Tynan, która powróciła już do swojej szkoły w Cheshire i z którą codziennie prowadził sekretne, wielogodzinne rozmowy przez telefon, nabijając rachunek do zawrotnej wysokości.

- Nic się nie może z tym równać - oznajmił pewnego dnia, nie po raz pierwszy zresztą. Był w swojej maniakalnej fazie, a to oznaczało, że za moment obudzi się w nim sarkazm lub jawna pogarda. - Możesz gadać o seksie, jak wszyscy wokół, ale tak naprawdę nie masz pojęcia, czym jest seks. A ja wiem. I wiem coś jeszcze - w twoim wypadku jedyne seksualne doświadczenie, na jakie możesz liczyć, to obmacywanie z jednym ze swoich kumpi z klasy za załomem boksu z szafkami.

Nie pozostało mi nic innego jak wykrzywić się głupawo i udać, że biorę jego słowa za żart. Choć z pewnością nie były one żartem. W takich momentach w Leonie budziła się dziwna zjadliwość, niemal zwierzęca drapieżność. Włosy opadały mu na oczy, ciało wydzielало jakiś kwaśny odór, a wokół ust niemal na zawołanie pojawiały się pryszcze.

- Założę się, że o tym właśnie marzysz, pedziu. Marzysz o tym, Królewno, prawda? - Spojrzał na mnie ze złowrogim błyskiem w szarych oczach. - Królewna - powtórzył z obrzydliwie szyderczym uśmiechem, ale już chwilę później jakby wiatr rozproszył ciemne chmury i Leon znowu stał się uroczym Leonem. Zaczął opowiadać o koncercie, na który miał się zamiar wybrać; o grze światła na miękkich jedwabistych włosach Franceski; o nowym filmie z Bondem. Wówczas prawie udało mi się uwierzyć, że rzeczywiście żartował. Szybko jednak przypominał mi się wyraz chłodnej inteligencji w jego oczach i zaczęło dręczyć bolesne pytanie - jaki gest, jakie słowo mnie zdradziło?

Nie ulega wątpliwości, że wtedy właśnie należało zakończyć znajomość z Leonem. Że moje położenie zacznie się tylko pogarszać. Niestety, jakiś irracjonalny impuls kazał mi wierzyć, że jeszcze uda mi się go nawrócić - sprawić, że znów będzie taki jak kiedyś. To był jedyny jasny punkt na moim skądinąd czarnym horyzoncie. No i fakt, że Leon mnie potrzebował. Przynajmniej do Bożego Narodzenia nie mógł się spotkać z Francesca, co dawało mi pięć miesięcy - całe pięć miesięcy - żeby wyleczyć go z miłosnej obsesji, by wyssać tę truciznę zatruwającą naszą przyjaźń.

Oczywiście cel można było osiągnąć tylko w jeden sposób - należało pozwalać mu na wszystko, folgować jego wszelkim zachciankom. Nawet tym, które mogły go drogo kosztować. Ale cóż, nikt nie jest tak brutalnie bezwzględny jak zakochani - no, może oprócz śmiertelnie chorych, z którymi porażeni miłością dzielą wiele niesympatycznych cech. I jedni, i drudzy są egoistyczni, zamknięci w sobie, manipulacyjni, niezrównoważeni, rezerwujący miłe odruchy tylko dla obiektu swych uczuć (lub siebie samych) i rzucający się na przyjaciół niczym wściekłe psy. Tak właśnie zachowywał się Leon. A mimo to był mi wówczas wyjątkowo bliski, bo wreszcie dzielił moje duchowe cierpienie.

Rozdrapywanie ran może dostarczać perwersyjnej przyjemności. Zakochani robią to nieustannie. Szukają źródła intensywnego cierpienia i taplają się w nim z obsesyjnym upodobaniem, składając siebie na ołtarzu w imię miłości z idiotyczną uporczywością, którą poeci błędnie biorą za altruizm. W wypadku Leona tym ciągłym biczowaniem się były opowieści o Francesce. W moim - wysłuchiwanie jego wynurzeń. Po pewnym czasie jednak sytuacja stała się nieznośna. Miłość, jak nowotwór, zaczyna dominować w życiu swoich ofiar tak znacząco, że po pewnym czasie nieszczęśnicy nie są w stanie rozmawiać na żaden inny temat (skądinąd śmiertelnie nudny dla słuchaczy) - w końcu więc podjąłem desperacką próbę wyrwania Leona z tej nużącej obsesji.

- Tchorzysz czy działasz? - Staliśmy przed sklepem z płytami, gdy to ode mnie usłyszał. - No już, ośmielisz się? Masz jeszcze jaja?

Spojrzał na mnie zdumiony, potem ponad moim ramieniem zerknął na witrynę. Przez twarz przebiegł mu cień - być może minionych radosnych zabaw. W końcu uśmiechnął się szeroko i wówczas w jego oczach udało mi się dojrzeć słabe odbicie dawnego, beztroskiego, niezakochanego Leona.

- Ty wyzywasz mnie? - rzucił kpiąco.

I tak zaczęliśmy naszą grę - jedyną, którą Leon nadal akceptował. Ta gra miała być „terapią” - niemiłą, może nawet brutalną, ale konieczną, podobnie jak agresywna chemia w wypadku walki z nowotworem. W nas też było wówczas wiele agresji - chodziło o to, żeby skierować ją na zewnątrz, a nie przeciwko sobie.

Zaczęliśmy od kradzieży. Zwijaliśmy płyty, książki i ubrania, które znosiliśmy do naszej kryjówki w lesie, za Świętym Oswaldem. Potem nastąpiła eskalacja naszych wyczynów. Szpeciliśmy mury i ściany graffiti, demolowaliśmy wiaty na przystankach autobusowych. Obrzucaliśmy kamieniami przejeżdżające samochody, niszczyliśmy nagrobki na starym cmentarzu, wyzywaliśmy od najgorszych starszych ludzi wyprowadzających psy na spacer na terenie, który uznaliśmy za własne dominium. Podczas tych dwóch szalonych tygodni ogarniało mnie na przemian poczucie głębokiego nieszczęścia i euforycznej radości. Znowu byliśmy razem - Butch i Sundance - i w chwilach naszych wariactw, przynajmniej na kilka minut, Francesca popadała w zapomnienie. Dreszcz rozkoszy związany z jej osobą wypierały silniejsze, bardziej niebezpieczne doznania.

Ten stan nigdy jednak nie trwał długo. Moja terapia była czysto paliatywna - łagodziła symptomy, nie leczyła przyczyny i w końcu dotarło do mnie, że pacjent potrzebuje coraz silniejszej dawki adrenaliny lub przestanie w ogóle reagować na leczenie. A tymczasem z coraz większym trudem przychodziło mi wymyślanie mrozących krew w żyłach wyczynów.

- Sklep z płytami?
- Eeee.
- Cmentarz?
- Banalne.
- Muszla koncertowa?
- Już było.

Rzeczywiście, było. Poprzedniej nocy wdarliśmy się do miejskiego parku i roztrzaskaliśmy wszystkie plastikowe krzesła stojące przed muszlą, a także kilka otaczających ją barierek. Ten nasz wybryk wyjątkowo nie sprawił mi przyjemności - w dzieciństwie mama często zabierała mnie do parku, właśnie latem, gdy w powietrzu unosiły się dźwięki górniczej orkiestry dętej oraz zapach świeżo skoszonej trawy, hot dogów i cukrowej waty. Przed oczami stała mi Sharon Snyder siedząca na jednym z tych niebieskich plastikowych krzeseł, paląca papierosa i przyglądająca się swojemu dziecku defilującemu przed nią, tam i z powrotem, wystukującemu rytm na wymyślnym bębnie - i nagle ogarnęło mnie poczucie straszliwej samotności. Dziecko z niewidzialnym bębniem to ja w wieku sześciu lat, gdy jeszcze była przy mnie matka pachnąca dymem tytoniowym i cinnabarem, gdy muszla koncertowa i orkiestra wydawały się najwspanialsze na świecie i gdy w moich wyobrażeniach tylko bardzo źli ludzie rozbijali krzeselka.

- Co jest, Pinchbeck? - W świetle księżycy twarz Leona była błyszcząca, pociemniała, wszechwiedząca. - Masz już dość?

Owszem. Zdecydowanie dość. Ale Leon nie mógł się o tym dowiedzieć. Ostatecznie to moim pomysłem była ta terapia.

- No już. Bierz się do roboty - ponaglił.

Kazał mi zniszczyć podium. W zamian musiał poprzywiązywać puszki do rur wydechowych wszystkich radiowozów stojących przed posterunkiem. Nasze wybryki stawały się coraz bardziej skandaliczne, czasem niemal surrealistyczne (sznury martwych gołębi poprzywiązywane do ogrodzenia parku; wielkie kolorowe murale na ścianach kościoła metodystów). Każdy kawałek muru szpeciliśmy graffiti, wybijaliśmy szyby, terroryzowaliśmy małe dzieci w różnych dzielnicach miasta. W końcu pozostało tylko jedno miejsce, na którego teren praktycznie się nie zapuszczaliśmy.

- Święty Oswald - rzucił Leon.

- Nie ma mowy.

Do tej pory omijaliśmy szkołę (nie licząc kilku drobnych artystycznych dokonań na ścianie pawilonu gimnastycznego). Zbliżały się moje urodziny, a wraz z nimi tajemnicza, długo wyczekiwana niespodzianka. Ojciec starał się trzymać fason, choć nie ulegało wątpliwości, że kosztuje go to sporo wysiłku. Przede wszystkim nie pił; zaczął ćwiczyć; w domu panował idealny porządek, a na jego twarzy często pojawiał się ironiczny uśmiech, maskujący wewnętrzne emocje. Wyglądał wtedy jak Clint Eastwood w filmie „Mściciel” - gruby Clint, jednak z tym samym spojrzeniem zwężonych oczu i koncentracją przed ostateczną, apokaliptyczną rozgrywką. Podobał mi się ten jego nowy stosunek do życia - świadczył o zdecydowaniu i determinacji. Nie leżało teraz w moim interesie psucie tego wszystkiego jakimś idiotycznym wybrykiem.

- No coś ty, Pinchbeck. *Fac, ut vivas*. Trzeba korzystać z życia.

- E tam. - Nie wolno mi okazać zbytnej niechęci, aby Leon nie pomyślał, że obleciał mnie strach. - Przecież już kancerowaliśmy ściany Świętego Oswalda milion razy.

- Nie mam na myśli ścian. - Oczy błyszczały mu z podniecenia. - Udowodnij, że nie jesteś śmierdzącym tchórzem i wejdź na dach Kaplicy.

Uśmiechnął się triumfująco i wówczas niespodziewanie objawiła mi się futurystyczna wizja Leona - dorosłego mężczyzny o podstępny uroku osobistym i zaraźliwym poczuciu humoru. Miłość do niego poraziła mnie swoją gwałtownością, a jednocześnie była jedynym czystym uczuciem czasów mojej ponurej młodości. W owym momencie stało się dla mnie jasne, że gdyby kazał mi skoczyć z wieży Kaplicy, nic by mnie od tego nie powstrzymało.

- Na dach?

Skinął głową.

- W porządku, nie ma sprawy. - Cóż za zabawna historia. Z trudem udało mi się powstrzymać śmiech. - Przyniosę ci stamtąd drobną pamiątkę.

- Nie musisz - rzucił szybko. - Sam ją sobie przyniosę. No co? - spytał, widząc moje zdumienie. - Chyba nie sądziłeś, że pójdziesz tam sam?

6

*Prywatna Szkoła dla Chłopców im. św. Oswalda,
środa 3 listopada*

Minęło pięć dni, a Knight wciąż nie dawał znaku życia. Podobnie jak Bishop, którego wczoraj przypadkiem spotkałem w Tesco. Błądząc wokół niewidzącym wzrokiem, pchał przed sobą wózek zapchany puszkami kocięj karmy (do tej pory nawet nie przyszło mi do głowy, że Pat w ogóle ma kota). Pozdrowiłem go serdecznie, ale nie odpowiedział. Wyglądał na człowieka znajdującego się pod wpływem silnych leków i prawdę mówiąc, nie miałem odwagi wdawać się z nim choćby w banalną rozmowę.

Niemniej skądinąd wiadomo mi, że Marlene dzwoni do niego każdego dnia, by podnieść go na duchu. To kobieta wielkiego serca - czego nie można powiedzieć o Dyrektorce, który stanowczo zabronił wszystkim pracownikom jakichkolwiek kontaktów z Bishopem do czasu wyjaśnienia sprawy.

Trzech policjantów przez cały dzień kręciło się dzisiaj po Świętym Oswaldzie. Przepytывali uczniów, nauczycieli i sekretarki z mechaniczną sprawnością typową dla szkolnych inspektorów. Uruchomiono kryzysową linię telefoniczną, zachęcając jednocześnie chłopców, żeby dzwonili i anonimowo weryfikowali ustalone fakty. Wielu naszych uczniów skorzystało z propozycji - głównie po to, by w swoich telefonach przekonywać, że pan Bishop nigdy nie zrobił niczego złego.

Cała ta sytuacja sprawia, że trudno zapanować nad uczniami. Moi chłopcy nie chcą rozmawiać o niczym innym, ale ponieważ jasno dano mi do zrozumienia, że jakiegokolwiek dyskusje na temat sprawy mogą zaszkodzić Patowi, zdecydowanie nalegam, byśmy wszyscy zachowali powściągliwość w wypowiedziach. Wielu uczniów jest bardzo przygnębionych. Tego popołudnia w toalecie Środkowego Korytarza, natknąłem się na Bresenose'a leżącego łyż. I nawet Allen-Jones oraz McNair, którzy zazwyczaj są w stanie dostrzec komijną stronę każdej, choćby najbardziej dramatycznej sytuacji, są przygaszeni

i zaniepokojeni. Podobnie jak cała reszta moich wychowanków. Anderton-Pullitt zachowuje się jeszcze dziwniej niż zazwyczaj: do jego listy niezwykłych dolegliwości teraz niespodziewanie doszło utykanie.

Wedle najnowszych pogłosek Gerrym Grachvogelem też już zainteresowała się policja, i najprawdopodobniej wkrótce zostaną mu postawione zarzuty. Po szkole krążą jeszcze inne, o wiele bardziej szokujące plotki, tak że teraz każdy nieobecny wykładowca jest uznawany za kolejnego podejrzanego w sprawie.

W tym kontekście coraz częściej pojawia się nazwisko Devine'a, który oczywiście jest dzisiaj nieobecny, chociaż to tak naprawdę niczego nie oznacza. Cała ta afera jest absurdalna. We wczorajszym „Examinerze” ukazał się artykuł cytujący „źródła zbliżone do szkoły” (najprawdopodobniej chodziło o chłopców), insynuujący, że grupa pedofilów od dawna i na niespotykaną skalę grasowała w „uświęconych murach” [sic!] Świętego Oswalda.

Jak już wspominałem - kompletny absurd. Uczę w tej szkole od trzydziestu trzech lat, więc dobrze wiem, co mówię. Podobna afera nigdy nie mogłaby u nas się wydarzyć. Nie dlatego, że uważamy się za lepszych od innych (bez względu na sugestie „Examinera”), ale z tej prostej przyczyny, że u Świętego Oswalda niczego długo nie uda się utrzymać w sekrecie. No, może przed Bobem Strange'em, przyrośniętym do fotela w swoim gabinecie, czy przed innymi Garniturami, które nie dostrzegają niczego poza wiadomościami otrzymywanymi w e-mailach. Ale przede mną? Czy przed uczniami? Nie ma mowy.

Och, oczywiście przewijali się przez szkołę wykładowcy odbiegający od, nazwijmy to, normy. Na przykład doktor Yehu, absolwent Oksfordu, który okazał się panem Yehu - licencjatem Uniwersytetu Durham. Działo się to wiele lat temu, gdy podobne historie nie trafiały do gazet, więc ów jegomość został odprawiony bez rozgłosu i skandalu. Czy też pan Tythe Weaver, który wprowadził na zajęciach sztuki pozowanie *au naturel*. Lub pan Groper, anglista - ten z kolei miał nieszczęście zapalać gorącym afektem do swojego czterdzieści lat młodszego ucznia. Nie wspominając o naszym Grachvogelu - wszyscy chłopcy wiedzą, że jest homoseksualistą, zresztą całkowicie nieszkodliwym - który drży z przerażenia na myśl, że Zarząd szkoły dowie się o jego preferencjach. Gerry jednak w żadnym razie nie jest zbrojcem, jak sugeruje „Examiner”. Light z kolei może być nieokrzesanym osłem, ale z pewnością nie wykazuje żadnych innych dewiacji. A Devine? To dopiero niedorzeczność! Natomiast gdy chodzi o Bishopa... Cóż, ja doskonale znam Pata. A przede wszystkim świetnie znają go uczniowie i darzą autentycznym uwielbieniem. Gdyby coś w jego zachowaniu było niepokojącego, pierwsi by to wywąchali. Chłopcy mają instynkt w takich sprawach, a w szkołach w rodzaju

Świętego Oswalda plotki rozprzestrzeniają się w tempie pandemii. Sprawa jest prosta - uczę razem z Bishopem od przeszło trzydziestu lat, i gdyby w tych oskarżeniach było choć ziarno prawdy, dawno bym o tym wiedział. Chłopczy by mi powiedzieli wieki temu.

Niemniej w pokoju nauczycielskim pogłębia się polaryzacja poglądów. Wielu nauczycieli w ogóle nie chce mówić o sprawie, boją się bowiem uwikłania w skandal. Niektórzy (choć niewielu) z oburzeniem odrzucają oskarżenia. Inni skwapliwie korzystają z okazji, by po cichu, w tonie chrześcijańskiej troski, szerzyć oszczerstwa.

Jedną z tych osób jest Penny Nation. Przypomniała mi się jej charakterystyka z notesu Keane'a - „słodka trucizna” - i w świetle jej obecnych zachowań zacząłem się zastanawiać, jak mogłem, pracując z Penny od tak wielu lat, nie zauważyć, ile w niej zjadliwej małościowości i obłudy.

- Drugi Mistrz, podobnie jak premier rządu, powinien obowiązkowo mieć żonę - oznajmiła dziś w przerwie na lunch. - Życ w szczęśliwym stadle, podobnie jak ja z Geoffem - posłała uśmiech swojemu „Capitaine”, dziś ubranemu w granatowy tenisowy garnitur, kolorystycznie zgrany ze spódnicą i swetrem żony. W jego klapie widniała mała srebrna ryba. - Wówczas nie daję się ludziom najmniejszych powodów do podejrzeń, czyż nie? - szczebiotała dalej Penny. - A poza tym, jeżeli pracuje się z dziećmi... - wypowiedziała to słowo przesłodzonym głosem żywcem wyjętym z kreskówek Disneya, jakby na samą myśl o dzieciach natychmiast ogarniało ją roztkliwienie... - to przede wszystkim należy mieć własne potomstwo, prawda?

I znowu ten uśmiech. Ciekawe, czy oczami duszy już widzi swojego męża obejmującego posadę Pata. Z pewnością sam Geoff ma takie ambicje. Jest poza tym żarliwie praktykującym chrześcijaninem, człowiekiem rodzinnym, zawodnikiem z drużyny Dżentelmenów, weteranem rozlicznych kursów.

- Założę się o każde pieniądze, że to jakaś koszmarna pomyłka - rzucił Monument. - Te komputery... w ogóle nie można na nich polegać. Bez przerwy się psują. I na dodatek ów... jak go nazywacie? ... spam. No właśnie. Jestem pewien, że Patowi ktoś przysłał ów spam, a on nawet nie miał pojęcia, co to jest. Gdy zaś chodzi o Grachvogela, na razie nie został aresztowany. Tylko zadano mu kilka pytań. Poproszono o pomoc w dochodzeniu.

Eric chrząknął znacząco.

- Pożyjemy, zobaczymy - powiedział. (I to kto? On?! Facet, który ma mniej więcej takie samo pojęcie o komputerach jak ja?). - Twój problem polega na tym, że jesteś zbyt łatwowierny. Przypomnij sobie, co opowiadają ludzie, kiedy ni z tego, ni z owego jakiś szalenciec łapie za strzelbę i na autostradzie zabija dziesięciu Bogu ducha winnych ludzi. Zawsze usłyszysz wtedy: „Był takim miłym człowiekiem, takim kulturalnym”. Albo gdy jakiś podstarzały

skaut przez lata obmacuje małych chłopców, powtarzają z uporem: „Dzieci go wprost uwielbiały, coś podobnego nigdy nie przyszło mi do głowy”. I właśnie w tym problem. Pewne rzeczy nigdy nikomu nie przychodzą do głowy. Nikt nie chce wierzyć, że na jego własnym podwórku mogłoby się dzieć coś paskudnego. Poza tym co my tak naprawdę wiemy o Bishopie? Och, oczywiście jest gładki i dba o pozory. Ale co tak naprawdę możemy o nim powiedzieć? O nim czy o jakimkolwiek innym z naszych kolegów, gdy już o tym mowa?

Jego słowa głęboko mnie poruszyły. Eric przez te wszystkie lata często ścierał się z Patem, ale zawsze sądziłem, że - jak w wypadku moich potyczek z doktorem Devine'em - nie ma w owych starciach nic osobistego. Scoones jest naturalnie zgorzkniałym człowiekiem. I choć nieco staroświeckim, jednak dobrym nauczycielem. Z pewnością byłby świetnym Opiekunem Rocznika i bez wątpienia powierzono by mu tę funkcję, gdyby lepiej ułożył sobie stosunki z dyrekcją. Zawsze jednak uważałem go za lojalnego człowieka. Gdybym miał wcześniej zgadywać, kto z moich kolegów chętnie wbilby Bishopowi nóż w plecy, nigdy na myśl nie przyszedłby mi Eric. Ale to, co dzisiaj dojrzałem w jego twarzy, powiedziało mi więcej, niż miałbym ochotę się dowiedzieć o Ericu Scoonesie. Zawsze chętnie plotkował, jasne. Trzeba jednak było tych wszystkich lat, żebym dojrzał w oczach starego przyjaciela filuterne *Schadenfreude*.

W jednym natomiast muszę się z nim zgodzić. Co my w gruncie rzeczy wiemy o naszych kolegach? Minęło ponad trzydzieści lat, a wciąż tak naprawdę się nie znamy. Dzisiaj, na przykład, dokonałem całkiem nowego, przykrego, odkrycia - i wcale nie dotyczyło ono Pata, ale pozostałych moich współpracowników. Scoonesa. Ligi Narodów. Roacha, który jest przerażony, że jego zażyłość z Lightem i Grachvogelem zaszkodzi mu w oczach policji. Bearda - postrzegającego tę sprawę jako afront wobec całej Katedry Komputerowej. Meeka, bezmyślnie potakującego Beardowi. Easy'ego, zachowawczo opowiadającego się po stronie większości. Nie wspominając już o McDonoughu, który oznajmił w czasie długiej przerwy, że jedynie zboczeniec mógł zatrudnić na stanowisku nauczyciela pedzia w rodzaju Grachvogela. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że prawie nikt się nie burzy przeciw tym wszystkim oszczerstwom. Nawet Kitty, która zawsze przyjaźnie się odnosiła do Gerry'ego i wielokrotnie zapraszała Pata do siebie na kolację, nie odezwała się ani słowem a jedynie ze zde gustowaną miną wbijała wzrok we własny kubek. Ma teraz inne problemy na głowie, zdając sobie z tego sprawę. Niemniej wolałbym nie być tego świadkiem. Jak już zapewne wspominałem - zawsze miałem słabość do Kitty Teague.

Na szczęście zdarzają się jeszcze jednostki, którym nie odjęło rozumu. Chris Keane i Dianne Dare należą do tych nielicznych, wciąż niedotkniętych zarazą. Stali przy oknie, kiedy nalewalem sobie herbaty i głośno wyrzekałem na kolegów, którzy tak pochopnie osądzili Bishopa.

- Każdy ma prawo do przedstawienia własnego punktu widzenia i uczciwej obrony - powiedział Keane. - Oczywiście nie znam dobrze pana Bishopa, ale moim zdaniem w żadnym razie nie wygląda na pedofila.

- Zgadzam się - włączyła się panna Dare. - Poza tym chłopcy autentycznie za nim przepadają.

- W rzeczy samej - rzuciłem głośno, posyłając mordercze spojrzenie w stronę moralnej większości. - To musi być jakaś paskudna pomyłka.

- Lub przemyślnie skonstruowana pułapka - dorzucił Keane.

- Pułapka?

- Czemu nie? - Wzruszył ramionami. - Zastawiona przez kogoś żywiącego do pana Bishopa głęboką urazę. Niezadowolonego eksppracownika. Dawnego ucznia. Kogokolwiek. To w gruncie rzeczy prosta sprawa. Wystarczy mieć dostęp do szkoły i dysponować pewną wiedzą o komputerach oraz sieci...

Komputery. Zawsze utrzymywałem, że nie przyniosą nam niczego dobrego. Słowa Keane'a głęboko mnie poruszyły - prawdę powiedziawszy, zacząłem się zastanawiać, czemu sam nie wpadłem na ten pomysł. Nic nie jest w stanie bardziej zaszkodzić szkole niż skandal seksualny. Czyż coś podobnego nie wydarzyło się swego czasu w Sunny-bank Park? I czy sam nie byłem tego świadkiem za czasów Starego Dyrektora?

Shakeshafte naturalnie nie gustował w chłopcach, ale w młodych sekretarkach. A takie afery rzadko wychodzą poza stadium niejasnych pogłosek - poza tym są załatwiane między dorosłymi i w zasadzie nigdy nie wychodzą poza mury szkoły.

Teraz jednak sytuacja przedstawiała się inaczej. Gazety jakiś czas temu ogłosiły sezon polowań na profesje mające związek z dziećmi. W tabloidach roi się od skandali pedofilskich. Nie ma tygodnia, by - przynajmniej w prasie - nie pojawiły się nowe oskarżenia. Pod adresem nauczycieli, przewodników skautów, policjantów, duchownych. Wszyscy stali się zwierzyną łowną.

- To rzeczywiście możliwe - odezwał się niespodziewanie Meek, pilnie śledzący naszą rozmowę. W życiu bym się nie spodziewał, że właśnie on wyrwie się z własną opinią; do tej pory ograniczał się do energicznego potakiwania za każdym razem, gdy Beard otworzył usta. - Jestem pewien, że mnóstwo ludzi może żywić urazę do Świętego Oswalda - ciągnął cicho Meek. - Na przykład Fallow. Lub Knight.

- Knight? - W pokoju nagle zapanowała cisza. W obliczu potężniejszego, groźniejszego kryzysu sprawa młodocianego uciekiniera całkiem umknęła mi z głowy. - To niemożliwe. On z pewnością nie kryje się za obecną aferą.

- Czemu nie? - spytał mnie Keane. - Jak najbardziej odpowiada profilowi psychologicznemu.

Owszem. Odpowiada. Zobaczyłem cień przemykający przez twarz Erica. Uważnie przysłuchiwał się naszej wymianie zdań. Teraz już wszyscy moi koledzy jej się przysłuchiwali.

- Ostatecznie bez trudu można zdobyć hasła zabezpieczające komputery wykładowców. - To znowu Meek. - Wystarczy włamać się do panelu administracyjnego...

- Cóż za niedorzeczność! - sprzeciwił się Beard. - Hasła są pilnie chronione i objęte ścisłą tajemnicą.

- Pańskie to AMANDA. - Keane zwrócił się w jego stronę z uśmiechem. - Imię ukochanej córki. Pana Bishopa - GO-JONNY-GO. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby się domyślić, jak brzmi hasło tak zapalonego rugbisty. Jeżeli zaś chodzi o Gerry'ego, będzie to zapewne coś ściśle związanego z „Archiwum X”. Może MULDER lub SCULLY...

Panna Dare parsknęła śmiechem.

- Jesteś zawodowym szpiegiem czy to tylko niewinne hobby?

- Wystarczy odrobina spostrzegawczości - odparł Keane. Scoones jednak wciąż zdawał się nieprzekonany.

- Żaden z naszych uczniów nie poważyłby się na taki krok - oznajmił. - A w szczególności ten mały pokurcz.

- A to dlaczego? - zainteresował się Keane.

- Bo nie - rzucił pogardliwie Scoones. - Trzeba mieć jaja, żeby przypuścić atak na Świętego Oswalda.

- Lub być przebiegłym i inteligentnym - odparł Keane, po czym potoczył po nas zdumionym wzrokiem. - Jak to? Chcecie mi państwo powiedzieć, że do tej pory nikt jeszcze czegoś podobnego nie próbował?

Czwartek 4 listopada

Wyjątkowo niefortunnie rozwinęła się ta rozmowa. I to w momencie, gdy już prawie udało mi się dobić Bishopa. Dla higieny psychicznej należało sobie szybko poprawić humor. Poszło gładko. Wystarczyło pójść do najbliższej kafejki internetowej i z adresu Knighta (zapewne teraz pilnie monitorowanego przez policję) wysłać kilka bardzo obraźliwych e-maili do wybranych wykładowców Świętego Oswalda. To mi pozwoliło dać upust wściekłości, a jednocześnie podtrzymać we wszystkich przekonanie, że Knight nadal przebywa wśród żywych.

Po powrocie do domu większość czasu upłynęła mi na komponowaniu nowego e-mailu od Kreta do „Examinera”. Potem należało wysłać SMS z komórki Knighta do Devine'a, a także zadzwonić ze stacjonarnego telefonu do Bishopa, oczywiście odpowiednio zmieniając głos. Nastrój od razu mi się poprawił - to wprost niewiarygodne, jak przyziemne, nużące czynności mogą przywrócić człowiekowi równowagę.

Bishop nie najlepiej zareagował na ciężkie dyszenie w słuchawce i jadowite pogrózki.

Jego głos był nieco chrapliwy, jakby on sam znajdował się pod wpływem silnych leków. Z drugiej strony, dochodziła już północ, niewykłuczone więc, że telefon wyrwał go ze snu. Ja sypiam niewiele - zazwyczaj wystarczają mi trzy, cztery godziny drzemki - i bardzo rzadko miewam senne wizje. Stąd nieodmiennie dziwią mnie ludzie, którzy są nieprzytomni, jeżeli nie prześpią w nocy ośmiu godzin. A jeszcze większe ogarnia mnie oszołomienie, gdy się dowiaduję, że przez większość tego czasu migają im przed oczami jakieś majaki - beużyteczne i absurdałne, których treścią potem namiętnie zamęczają bliźnich. Bishop zapewne spał co noc jak zabity, miewał kolorowe, plastyczne sny, które następnie poddawał drobiazgowej, freudowskiej analizie. Dzisiaj

jednak może się pożegnać z tą błogą rutyną. Już ja się o to postaram.

Kolejny raz telefon zadzwonił u niego godzinę później. Teraz głos Bishopa był równie bełkotliwy, jak głos mojego ojca po nocy na mieście.

- Czego, do cholery, chcesz? - ryknął w słuchawkę.

- Dobrze wiesz, czego chcemy. - To drobne my. Zawsze pomaga podkreślić paranoję. - Chcemy sprawiedliwości. Chcemy, żebyś dostał za swoje, ty parszywy zboczeńcu.

Oczywiście w tym momencie powinien się bez słowa rozłączyć. Ale Bishop nie jest zbyt lotny, więc w zamian zaczął się gniewnie jąkać i wdał w idiotyczną wymianę zdań.

- Anonimowe telefony? Tylko na to was stać? Posłuchajcie więc...

- Nie, Bishop. To ty posłuchaj. - Mój głos, cienki i drżący, ostro przebijał się przez szumy tła. - Dobrze wiemy, co wyrabiałeś. Wiemy też, gdzie mieszkasz. Więc tak czy owak cię dorwiemy. To tylko kwestia czasu.

Klik. Koniec rozmowy.

Jak więc widzicie - nic szczególnie finezyjnego. Jednak ta banalnie prosta taktyka zadziałała cuda w wypadku Grachvogela, który teraz już na dobre wyłączył telefon. Dzisiaj nawet coś mnie tknęło, żeby wybrać się pod jego dom. Sprawdzić, jak się sprawy mają. W pewnym momencie wydawało mi się nawet, że ktoś wygląda zza zasłony w saloniku, ale wcale mnie to nie obeszło. Bo i cóż mógłby ten ktoś zobaczyć? Jedynie zakapturzoną, przygarbioną postać w grubych rękawicach na dłoniach.

Po kolejnej godzinie nadszedł czas, by jeszcze raz zadzwonić do Bishopa.

- Jesteśmy coraz bliżej.

- My, to znaczy kto? - Tym razem zdawał się wyprowadzony z równowagi. W jego głosie pojawiła się nuta paniki. - I czego chcecie, do diabła?

Trzask słuchawki.

A potem już nadszedł czas, żeby na cztery godziny położyć się do łóżka.

I tej nocy, wyjątkowo, odwiedziły mnie sny.

8

- Co jest, Pinchbeck?

Dwudziesty trzeci sierpnia. Wigilia moich trzynastych urodzin. Staliśmy naprzeciwko pseudośredniowiecznej, opuszczonej kraty w bramie - pretensjonalnego dodatku z dziewiętnastego wieku, hołdującego neogotyckiej modzie, prowadzącego do biblioteki i Kaplicy. To był jeden z moich ulubionych zakątków w szkole, jakby żywcem wyjęty ze stron powieści Waltera Scotta. Powyżej widniał czerwono-złoty herb szkoły oraz jej motto: *Audere, agere, auferre* - wbrew pozorom całkiem świeży dodatek, jednak robiący piorunujące wrażenie na płacących grube pieniądze rodzicach, tylko dlatego że był po łacinie.

Leon uśmiechnął się szyderczo.

- No i co, Królewno? Wysoko, prawda?

Najważniejsze to zlekceważyć podobne uwagi. Na razie jego kpiny były dość niewinne, ale symptomatyczne. Wystarczyłoby okazać irytację, dać mu do zrozumienia, że nie podoba mi się nowa, idiotyczna ksywka, a zabiłby mnie szyderstwem i pogardą.

- Rzeczywiście, wymaga odrobiny wspinaczki. Ale nieraz już tam wchodziłem. To w gruncie rzeczy całkiem proste.

- Co ty powiesz? - Widać było, że mi nie wierzy. - W takim razie prowadź.

Wszystko się we mnie wzburzyło na tę sugestię. Dorobione klucze ojca były sekretem, którego nikt (a przede wszystkim Leon) nigdy nie miał poznać. A jednocześnie ich pęk palił mnie żywym ogniem, gdy tkwił głęboko wciśnięty w kieszeń dżinsów, kusząc - nagabując - by przekroczyć tę ostatnią, zakazaną granicę.

Leon patrzył na mnie jak kot, niepewny, czy powinien pobawić się z myślą, czy natychmiast wyżyć jej wnętrza. Mnie natomiast stanął przed oczami Leon z Francesca, trzymający się za ręce, podczas gdy światłocien tańczył na ich twarzach. To była taka piękna, złocista dziewczyna. Nic dziwnego,

że Leon się zakochał. Pod każdym względem biła mnie na głowę. A poza tym łączył ją z Leonem cudowny sekret, spajający ich w szczególny sposób. Mnie nigdy się nie uda tak go do siebie przyciągnąć. A może jednak... może... jeżeli się postaram...?

- Ale numer! - Na widok kluczy Leon aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia.
- Skąd, do diabła, je wytrzasnąłeś?

- Zwinąłem z biurka Grubego Johna pod koniec semestru. - Wyraz twarzy Leona wywołał u mnie mimowolny uśmiech. - Dorobiłem w czasie przerwy na lunch, a potem szybko podłożyłem z powrotem na miejsce. - Ta relacja mniej więcej zgadzała się z faktami; nie była to jednak pora lunchu, tylko nieco późniejsza, gdy ojciec leżał ciężko pijany w swoim pokoju. - Tłuszcioch nigdy się nie połapał.

W oczach Leona pojawił się podziw i szczególny ogień, wprawiający mnie w dziwną konsternację.

- No, no... - mruknął w końcu. - I pomyśleć, że miałem cię jedynie za małego fiuta z niższych klas bez jaj i wyobraźni. Czy kiedykolwiek wspomniałeś komuś o tych kluczach?

- Nie.

- To doskonale - szepnął Leon, a jego twarz rozjaśnił ujmujący, niemal czuły uśmiech. - W takim razie będzie to tylko nasza tajemnica.

W dzieleniu wspólnych sekretów jest coś nieskończenie magicznego. Dotarło to do mnie, gdy pod moim przewodnictwem Leon poznawał tajne zakamarki Świętego Oswalda. Jednocześnie ogarnął mnie bolesny smutek. Dawno zapomniane przejścia i nisze, balkoniki i schowki piwniczne u Świętego Oswalda przestały należeć tylko do mnie. Teraz zawładnął nimi także Leon.

Najpierw przezornie wyłączyliśmy alarm anty włamaniowy w odpowiednim sektorze szkoły, potem przez okno Górnego Korytarza wyszliśmy na dach. Było już dość późno, dobrze po jedenastej, co oznaczało, że ojciec dawno temu skończył obchód. Nikt więc nie zjawi się teraz w szkole. Nikt nie odkryje naszej obecności.

Okno w korytarzu wyprowadziło nas na dach biblioteki. Moje ruchy były zwinne i pewne - Leon, z szerokim uśmiechem na twarzy, postępował za mną dość chwiejnym krokiem. Przed nami widniała łagodna pochyłość grubych, pokrytych mchem łupkowych dachówek, a pod nimi głęboka rynna wyłożona ołowiem. Wzdłuż rynny wiodła wypłaszczona niby-dróżka, pozwalająca Portierowi na swobodne przemieszczanie i wymiatanie z rynny liści i innych śmieci. Oczywiście z powodu lęku wysokości mój ojciec nigdy nie wywiązywał się z tej powinności. W związku z tym w rynnach zalegała gruba warstwa podmokłego szlamu i gnijącej organicznej materii.

Na niebie wisiał księżyc, niemal w pełni, zdający się magicznym tworem na tle ciemnofioletowego nieba. Od czasu do czasu przesłaniały go smużki obłoków, jednak blask księżycy był dość jasny, by każdy komin, każda krawędź czy dachówka odcinały się od tła połyskliwym indygo. Za moimi plecami Leon jęknął cicho:

- Jeeezu!

Tuż pod nami widniała Wartownia, oświetlona niczym bożonarodzeniowa choinka. Tam teraz znajdował się ojciec - oglądał telewizję lub robił pompki przed lustrem. Od jakiegoś czasu nie zwracał uwagi na moje skandalicznie późne powroty do domu - praktycznie kilka ładnych tygodni temu przestał się interesować, gdzie i z kim jego dziecko spędza całe wieczory.

- Jeeezu! - powtórzył Leon zaaferowany.

Ogarnęła mnie kretyńska duma, jakby konstrukcja dachu była dziełem moich własnych rąk. Za pomocą liny zamocowanej przeze mnie wiele miesięcy wcześniej wzniesiliśmy się o poziom wyżej. Kominy wystrzeliwały w niebo na podobieństwo wyniosłych władców z ciężkimi koronami odcinającymi się ostro od fioletowego tła. Ponad nimi pobłyskiwały miriady gwiazd.

Leon z trudem za mną nadążał.

- Pospiesz się!

Noc zdawała się mnie otulać, garnąć mi się w ramiona. Zdawało mi się, że jak tylko rozłożę szeroko ręce, to uda mi się ulecieć ku roziskrzonemu niebu.

Na pobladłej twarzy Leona malował się wyraz dziecięcego zachwyty.

- Jeeezu!

- Jeszcze mamy kawałek do Kaplicy.

Pomykaliśmy po dachu jak dwa duchy. W pewnym momencie Leon chwycił mnie za rękę, potulny, podążający za mną bez słowa sprzeciwu, z ramieniem wyciągniętym na bok, jakby balansował na cienkiej linie.

- Od jak dawna tu przychodzisz? - zapytał w końcu.

- Od jakiegoś czasu.

- Jezu.

- Podoba ci się tutaj?

- Jasne. Rewelacja.

Po godzinie wspinaczki znaleźliśmy się na płaskim parapecie ponad dachem Kaplicy. Ciężki, gruby lupek żarłocznie absorbował promienie słońca, więc mimo tak późnej pory dachówki wciąż były ciepłe. Rozłożyliśmy się wygodnie, spoglądając na gargulce przycupnięte poniżej naszych stóp. Leon wyciągnął paczkę papierosów i zapaliliśmy jednego na spółkę, podczas gdy przed nami rozciągało się migoczące światłami miasto.

- To fantastyczne. Czemu wcześniej się z tym nie zdradziłeś? Czemu mi nie powiedziałaś?

- Powiedziałem ci teraz.

- Hm.

Leżał obok z rękami założonymi za głowę. Jednym z łokci dotykał mojej ręki, a mnie się wydawało, że to rozżarzony węgielek.

- Wyobrażasz sobie, jak rewelacyjnie byłoby w takim miejscu uprawiać seks? - spytał po chwili. - Można by się tu kochać przez całą noc, i nikt nigdy by się o tym nie dowiedział. - W jego głosie pojawił się cień tęsknoty. Zapewne znowu przysłała mu na myśl Francesca.

- Uhm.

On i ta piękna dziewczyna spleceni w uścisku - to ostatnia rzecz, o jakiej chciało mi się teraz myśleć. Bliskość Leona zdawała się nie do zniesienia - całe ciało piekło mnie niczym wysmagane pokrzywami. Dobiegał do mnie zapach potu, dymu papierosowego i lekko piżmowy aromat tłustawych, przydługich włosów Leona. Leon, z zadartą głową, wpatrywał się w aksamitne niebo, a w jego oczach odbijały się gwiazdy.

Moja ręka powędrowała w jego stronę. Leon nie zareagował. Moja otwarta dłoń przesunęła się na jego ramię, potem na pierś. Z głowy uleciały mi wszelkie myśli - moja ręka żyła własnym życiem.

- Tęsknisz za nią? To znaczy za Francesca? - Głos mi tak drżał, że na końcu pytania piskliwie zazgrzytał.

Leon uśmiechnął się szeroko. Przeszedł mutację już kilka miesięcy wcześniej, więc często i chętnie naśmiewał się z mojej niedojrzałości.

- Ach, Pinchbeck, z ciebie jeszcze straszny dzieciak.

- Tylko zapytałem.

- Straszny dzieciak.

- Zamknij się, Leon.

- Naprawdę myślisz, że traktowałem to wszystko poważnie? Uwierzyłeś w te ckliwe dyrdymały - blask księżyca, miłość, sentymentalny romans? Jezu, Pinchbeck, nie przypuszczałem, że jesteś aż tak banalny.

- Zamknij się, Leon. - Twarz paliła mnie żywym ogniem. Zamarzył mi się chłód odległych gwiazd, zimna woda górskiego strumienia, mrożąca gładkość lodu.

- Przykro mi, że muszę cię rozczarować, Królewno - zaśmiał się głośno Leon.

- O co ci chodzi?

- O te nonsensy o miłości, na Boga. Francesca to była tylko panienka do rżnięcia.

To mnie zaszokowało.

- Nieprawda. - Stała mi przed oczami złotowłosa dziewczyna - jej długie włosy, smukłe nogi. A zaraz potem Leon i wszystkie moje poświęcenia - dla niego, jego romansu, uskrzydającego poczucia, że męczy nas podobna namiętność. - Dobrze wiesz, że była kimś znacznie więcej. I przestań wreszcie nazywać mnie Królewną.

- Bo co? - Usiadł gwałtownie, a w jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk.

- Daj spokój, Leon. Przestań zalewać.

- Naprawdę myślałeś, że była moją pierwszą? - Wyszczerył zęby w kpiącym uśmiechu. - Rany, Pinchbeck. Dorośnij wreszcie. Zaczynasz gadać zupełnie tak samo jak ona. To znaczy... spójrz na siebie. Nakręcasz się jak idiota, próbujesz uleczyć moje złamane serce. Czy rzeczywiście sądzisz, że jakakolwiek dziewczyna mogłaby mnie choć trochę obchodzić?

- Ale sam mówiłeś...

- Podpuszczałem cię, ty kretynie. Jeszcze na to nie wpadłeś?

Leon szturchnął mnie w ramię, tym razem całkiem przyjaźnie.

- Och, Królewno. Niepoprawny z ciebie romantyk. Francesca jest na swój sposób słodka, chociaż to tylko dziewczyna. Ale nie była pierwszym ani, prawdę powiedziawszy, nawet najlepszym kawałkiem dupy, jaki miałem w życiu. I z pewnością - z całą pewnością - nie ostatnim.

- Nie wierzę ci. - Tylko tyle udało mi się wykrztusić.

- Nie wierzysz? No to posłuchaj. - Parsknął śmiechem i nagle jakby wstąpiła w niego nowa energia. - Czy mówiłem ci kiedyś, czemu mnie wylali z poprzedniej szkoły?

- Nie. A czemu?

- Bo się pieprzyłem z wykładowcą, Królewno. Z niejakim Weeksem, od prac technicznych. W warsztacie, po zajęciach.

- No co ty? - Wyznanie było tak skandaliczne, że jednocześnie wybuchliśmy śmiechem.

- Twierdził, że mnie kocha. Durny sukinsyn. Pisał do mnie listy.

- Nie! - Oczy zrobiły mi się wielkie jak spodki. - Poważnie?

- Nikt złego słowa nie powiedział pod moim adresem. Uznali, że padłem ofiarą knozań niebezpiecznego zbrojeńca. Swego czasu rozpisywały się na ten temat wszystkie gazety, utajnili jednak moje dane, żeby chronić niewinne dziecię.

- Ale jaja. - Nie ulegało już dla mnie najmniejszej wątpliwości, że Leon mówi prawdę. Ta historia tak wiele wyjaśniała - jego obojętność, przedwcześnie rozbudzoną seksualność, jego brawurę. Przede wszystkim brawurę. - I co się potem stało?

- *Pactum factum*. Trafiony, zatopiony. Kutas dostał siedem lat. Było mi go nawet trochę żal. - Uśmiechnął się pobłaźliwie. - W pewnym sensie go lubiłem. Zabierał mnie do klubów, i w ogóle. Tyle że paskudnie wyglądał. Miał wielki, tłusty brzuch. No i był stary - skończył już trzydziestkę...

- Jezu, Leon!

- Hm, cóż... Ostatecznie zawsze można zamknąć oczy. No i obsypywał mnie prezentami - pieniędzmi, płytami CD. Nawet dał mi zegarek za ponad pięć setek...

- Poważnie?
- Tak czy owak mamie kompletnie odbiło. Wysłała mnie na terapię i takie tam dyrdymały. Uznała, że ta chryja mogła mnie okaleczyć na całe życie. Że może już nigdy nie zdołam otrząsnąć się z koszmaru.
- A jak to... - W głowie kręciło mi się od tych rewelacji. - Jak to...
- Chcesz wiedzieć, jak to jest? - Uśmiechnął się szeroko i przyciągnął mnie do siebie. - Chcesz wiedzieć, co się wtedy czuje?

Niespodziewanie wymiar czasu przestał istnieć. Do tej pory o czymś takim zdarzało mi się jedynie czytać w powieściach przygodowych: „Czas się zatrzymał na kilka chwil, gdy kanibale podkradali się ku bezsilnemu chłopcu”. Teraz dla mnie czas stanął jak wryty - niczym pociąg ekspresowy hamujący nagle przed przeszkodą. I po raz kolejny moje ciało oddzieliło się od woli i rozumu - ręce unosiły się i opadały, usta przywierały do ust Leona. Jakimś cudem udało mi się jeszcze zarejestrować, że jego palce błądzą po moim ciele, że z powolną determinacją ściągają ze mnie ubranie.

Leon nie przestawał się śmiać. Leon - ten chłopiec utkany z mroku i światła, niczym niematerialna zjawą. Ogarnął mnie błogostan, rozkosz i przerażenie zarazem - jakaś deliryczna, irracjonalna radość. Po pewnym czasie poczucie zagrożenia zniknęło. Za to na mojej skórze jakby się pojawiły miliony nowych receptorów. Przez głowę przebiegały mi chaotyczne, oderwane od siebie myśli.

Leon nigdy nie kochał Franceski.

Miłość jest strasznie banalna.

Leona nigdy nie obchodziła żadna dziewczyna.

Jego nie podniecały dziewczyny.

On wołał zupełnie inny seks.

On...

Leon... Leon...

Zrzucił z siebie koszulę. Zaczął szarpać się z zamkiem mojego rozporoka. Tymczasem we mnie ataki śmiechu walczyły o lepsze z wybuchami płaczu. Leon natomiast śmiał się bez przerwy i wyrzucał z siebie jakieś słowa, jednak nie udało mi się ich wychwycić, wszystkie dźwięki bowiem zagłuszało teraz dzikie walenie mojego własnego serca.

I nagle ręce Leona zamarły.

Świat jakby stanął w miejscu.

Stop-klatka. Nasze na wpół nagie ciała. Moje - w cieniu rzucanym przez komin, jego - skąpane w blasku księżyca, przywodzące na myśl lodową statwę. Jin i jang. Moja twarz rozświetlona, Leona - pociemniała ze zdumienia, szoku, wściekłości.

- Leon...

- Jezu!

- Leon, przepraszam. Wybacz. Już dawno temu...
- Jezu! - Odsunął się gwałtownie i z obrzydzeniem, wyciągając przed siebie ręce, jakby chciał mnie odepchnąć. - Jezu, Pinchbeck...

Czas wciąż nie ruszał z miejsca. Teraz moje pole widzenia wypełniała tylko twarz Leona wykrzywiona nienawiścią i obrzydzeniem. Gdzieś w dalszych rejonach jego dłonie odpychały mnie w ciemnościach.

Słowa cisnęły mi się na usta, ale nie mogły się wydobyć na zewnątrz. Nie spodziewanie z powodu utraty równowagi rzuciło mnie na pobliski komin. Wciąż jeszcze nie udawało mi się wydobyć choćby jednego dźwięku, zapłakać czy pograć się w gniewie. To wszystko miało przyjść dopiero później.

- Ty zbrojeńcu! - W głosie Leona wciąż pobrzmiwało niedowierzanie. - Ty pieprzony, mały zboku!

Pogarda i nienawiść w jego głosie powiedziały mi wszystko. Z moich ust wyrwał się skowyt - desperacki, długi skowyt wyrażający gorycz i cierpienie, a potem nagle coś pchnęło mnie do ucieczki. Moje trampki szybko przesuwwały się po omszałych dachówkach, po parapetach i wzdłuż nadrynnowej ścieżki.

Leon pędził za mną, kipiąc wściekłością, miotając straszne przekleństwa i obelgi. Nie znał jednak dobrze dachu, potykał się więc raz po raz, kruszył w biegu łupkowe płytki, które sypały się jedna po drugiej na dziedziniec, roztrzaskując się z hukiem moździerzowego pocisku. W pewnym momencie Leon padł jak długi i tylko komin uchronił go przed upadkiem w dół. Dach jakby cały zdrzął. Mnie uratowało rachityczne drzewko czarnego bzu, dzięki któremu udało mi się wydzwignąć na wyżyny. Leon wciąż jednak mnie gonił i nadal wyrzucał z siebie przekleństwa.

To instynkt kazał mi uciekać. W tym momencie żadna dyskusja z Leonem nie miałaby najmniejszego sensu. Jego furia przypominała napady szału mojego ojca. Nagle ja - a raczej Pinchbeck był znowu dziesięcioletnim dzieckiem, uchylającym się desperacko przed ciosem potężnej pięści. Być może za kilka godzin uda mi się wszystko wyjaśnić Leonowi. Za kilka godzin - gdy przyjaciel już zdola ochłonąć. Teraz jednak trzeba było trzymać się od niego jak najdalej.

Powrót do okna biblioteki zabrałby mi zbyt wiele czasu. Dzwonnica znajdowała się dużo bliżej - ze swoimi balkonikami nadgryzionymi przez porosty i zalegające od niepamiętnych czasów guano gołębi. Dzwonnica była jeszcze jednym chwytem marketingowym Świętego Oswalda, bo, o ile mi wiadomo, w tej dziwacznej strukturze nigdy nie wisiał żaden dzwon. Z jednej strony, w dole, majaczyła głęboka rynna odprowadzająca wodę do studni położonej pomiędzy budynkami. Z drugiej - otwierała się spadzista przepaść. W owym miejscu jedynie wąziutki parapet dzielił dach od oddalonego o dwieście stóp dziedzińca.

Tuż pode mną znajdowała się sala Straitleya i okno wychodzące na rozchwierutany balkonik. Znowu pokierował mną czysty instynkt - krótki bieg wzdłuż parapetu, potem skok i już balkon stał się moim schronieniem.

Okno, zgodnie z moimi przypuszczeniami, z łatwością otworzyło się od zewnątrz. Gdy jednak udało mi się przecisnąć przez jego wąski otwór, niespodziewanie rozległ się sygnał alarmowy - ogłuszające, wysokie wycie, które mnie nagle całkiem zdezorientowało.

Panika kazała mi tą samą drogą wycofać się na dach. Poniżej, na dziedzińcu, rozbłysły jupitery, więc nie pozostało mi nic innego jak tylko skryć się za załomem, głośno przeklinając zły los.

Wszystko potoczyło się jak najgorzej. Wcześniej wraz z Leonem unieruchomiłszy alarm w innym sektorze, w tym zamieszaniu wyleciało mi jednak całkiem z głowy, że system w Dzwonnicy nadal jest aktywny. Teraz więc syrena wyła dziko i ostro - tak ostro, że mój ojciec z pewnością ją usłyszy. Co gorsza, gdzieś na górze wciąż jeszcze tkwił Leon - Leon, niemający pojęcia o możliwych drogach ucieczki...

Nie pozostało mi nic innego jak tylko wrócić na dach. Wcześniej jednak coś mi kazało zerknąć w dół, na jasno oświetlony dziedziniec. Stały tam dwie osoby, zadzierając głowy w górę, a ich wielkie cienie rozmywały się wachlarzowato, na podobieństwo trzymanyh w dłoni kart. Udało mi się błyskawicznie skryć w cieniu Dzwonnicy, potem zaś podpełznąć w przód wzdłuż rynny i raz jeszcze zerknąć w dół.

W stronę dachu spoglądał Pat Bishop, a u jego boku stał mój ojciec.

9

- Tam na górze. Przy Dzwonnicy.

Z oddali dobiegł trzask rozmowy prowadzonej przez radio. Choć instynkt natychmiast kazał mi się ukryć w cieniu, Bishop dostrzegł zarys mojej głowy na tle przejrzystego nieba.

- Na dachu są jacyś chłopcy.

Chłopcy. To naturalne, że tak właśnie założył.

- Ilu chłopców?

Bishop był wówczas dużo młodszy - energiczny, wysportowany, tylko nieznacznie rumiany na twarzy.

- Nie wiem, sir. Przynajmniej dwóch.

Ojciec wciąż wpatrywał się w górę. Bishop natomiast niezwłocznie rzucił się do działania. Wtedy był jednym wielkim splotem mięśni. Ojciec podążał za nim dużo wolniejszym krokiem, a alarmowe jupitery wyolbrzymiały absurdalnie jego już i tak potężny cień. Zbyt niebezpiecznie byłoby dłużej ich obserwować. Tym bardziej że nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości, dokąd kierują swoje kroki.

Ojciec wyłączył alarm. Megafon był pomysłem Bishopa - używał go w czasie Dni Sportu i ćwiczeń przeciwpożarowych.

- Chłopcy! - Jego głos zdawał się nienaturalnie nosowy i niósł się ogłuszającym echem. - Pozostańcie na miejscu! Nie próbujcie schodzić na własną rękę! Pomoc jest już w drodze!

Tak właśnie Bishop zachowywał się w chwilach kryzysu - niczym bohater hollywoodzkiego filmu akcji. Najwyraźniej podobna rola sprawiała mu przyjemność. Był świeżo mianowanym Drugim Mistrzem, człowiekiem czynu, zbawcą świata.

Przez ostatnich piętnaście lat niewiele się zmienił - nadal otacza go ta sama aura przekonania o własnej moralnej wyższości i efektywności.

Nawet w owej chwili święcie wierzył, że megafon i kilka gładkich słów szybko i bezproblemowo załatwią sprawę.

Dochodziło wpół do drugiej, księżyc już zniknął za horyzontem. Jednak o tej porze roku niebo nigdy nie pogrąża się w całkowitej ciemności i teraz nabrało świetlistej, granatowej przejrzystości. Gdzieś nade mną, na dachu Kaplicy, czaił się Leon - opanowany, chłodny, czekający na przejście burzy. Ktoś zadzwonił po straż pożarną. Już z oddali dopplerowską falą przybliżało się do mnie wycie syreny. Jeszcze trochę, a zostaniemy osaczeni.

- Podajcie swoją pozycję! - To znowu Bishop, energicznie wywijający megafonem. - Powtarzam, podajcie swoją pozycję!

Leon nie dawał znaku życia. Czyżby zdołał na własną rękę dotrzeć do okna biblioteki? Może już znalazł się we wnętrzu szkoły i teraz przebiegał korytarze w poszukiwaniu awaryjnego wyjścia?

Chwilę później nad moją głową zagrzecotała dachówka. Potem rozległ się cichy dźwięk - jakby osuwania się tenisówek po ołowianej wyściółce rynny. W końcu udało mi się dojrzeć zarys głowy Leona, wystającej poza parapet Kaplicy. Nie minęło wiele czasu - a głowa zaczęła się przesuwac w stronę wąskiego przejścia, prowadzącego do Dzwonnicy.

Logiczne działanie. Leon musiał do tej pory zrozumieć, że opcja biblioteczna jest już zamknięta - gdyby próbował przebiec przez łagodnie opadający dach Kaplicy, dostrzegliby go mężczyźni stojący na dziedzińcu. Dzwonnica leżała wyżej, ale można się było skryć w jej cieniu. Niemniej ja i Leon znaleźliśmy się teraz po przeciwnych stronach. Nie mogliśmy się połączyć, biegnąc w linii prostej, bo znaleźlibyśmy się w polu widzenia Bishopa. Jedyna bezpieczna droga do Leona wiodła przez dach Obserwatorium - a gdy już znajdziemy się razem, zdołam mu pokazać, gdzie najlepiej się schować.

- Chłopcy! Posłuchajcie mnie uważnie! - Głos Drugiego Mistrza poniósł się tak głośnym echem, że trzeba było zasłonić dłońmi uszy. - Nie spotkają was żadne przykre konsekwencje! - Z trudem udało mi się zdusić śmiech. Ton Bishopa brzmiał tak przekonująco, że pewnie niewiele brakowało, a sam uwierzyłby we własne słowa. - Nie ruszajcie się więc z miejsca! Powtarzam, pozostańcie tam, gdzie się obecnie znajdujecie!

„Nie spotkają was żadne przykre konsekwencje”. Słyszac to kolosalne kłamstwo, Leon pewnie związał się ze śmiechu. Jaka szkoda, że wspólnie nie możemy się ponabijać ze słów Bishopa. Jakże byłoby pięknie, gdybyśmy w owej chwili byli znowu razem, ramię przy ramieniu. Butch i Sundance złapani w pułapkę na dachu - dwaj buntownicy stawiający czoło Świętemu Oswaldowi i siłom porządku publicznego.

Niemniej teraz... Nagle dotarło do mnie, że Leon nie może wpaść w ręce władzy. Wystarczy jedno jego słowo i Pinchbeck będzie musiał zniknąć na zawsze. Oczywiście z technicznego punktu widzenia sprawa przedstawiałaby

się banalnie prosto - ostatecznie tylko Leon wiedział, że Pinchbeck jest kimś więcej niż zjawą, niż szmacianą kukłą wypchaną trocinami. Tyle że trudno przyszloby mi pożegnać się z moim alter ego...

Ogólnie rzecz biorąc, nie ulegało wątpliwości, że nikomu nie uda się mnie pochwyć. Nikt nie znał dachu tak dobrze jak ja, więc jeżeli tylko sprytnie się ukryję, żywa dusza nie wpadnie na mój trop. Ale jeżeli Leon zostanie złapany i wygada się w głupi sposób przed moim ojcem, jeżeli któremuś z nich nasunie się jakieś skojarzenie...

Nie uzurpacja jako taka ściągnęłaby na mnie gromy, ale bezczelnie rzuczone wyzwanie - Świętemu Oswaldowi, systemowi, wszystkim ogólnie przyjętym wartościom. Przed oczami stało mi ewentualne śledztwo, tytuły w lokalnej popołudniówce, szydercze artykuły w ogólnokrajowej prasie.

Wizja kary wcale mnie nie przerażała - bo i co można ostatecznie zrobić trzynastoletniemu dziecku?! Tym, co wzbudzało we mnie panikę, było wystawienie się na śmieszność i kpiny. Choć najbardziej - a może przede wszystkim - nie dawałaby mi spokoju świadomość, że Święty Oswald jednak mnie pokonał.

Poniżej, na dziedzińcu, stał przygarbiony ojciec, niepewnie zerkający w stronę dachu. Był wyraźnie skonsternowany - nie tylko z powodu ataku na szkołę, ale i czekającego go teraz zadania. John Synde nie należał do rzutkich ludzi, ale zawsze był staranny i drobiazgowy, więc zapewne już postanowił, co w takiej sytuacji powinien uczynić.

- Muszę iść po nich. - Jego głos dotarł do mnie z czeluści dziedzińca.

- Co takiego? - Bishop tak się zapędził w swojej hollywoodzkiej roli, że umknęło mu najprostsze rozwiązanie problemu.

- Muszę iść po te dzieciaki. To należy do moich obowiązków. - Głos ojca stał się bardziej stanowczy i donośny. Portier u Świętego Oswalda musi być silnym, zdecydowanym człowiekiem. W tym momencie rozległy się w mojej głowie pouczenia Bishopa: „Liczymy na ciebie, John”, „Święty Oswald wierzy, że nienagannie wywiążesz się ze swoich obowiązków”.

Bishop zerknął w górę, szacując wysokość. Chłopcy znaleźli się na dachu. On był na dziedzińcu razem z Naczelnym Portierem. Bishop sam miałby wielką ochotę wdrapać się na górę - oczywiście, że tak - gdyby jednak zszedł z posterunku, kto zastąpiłby go przy megafonie? Kto zorganizowałby akcję strażaków? Przejął kontrolę nad całością?

- Tylko ich nie przestrasz. Nie podchodź zbyt blisko. I uważaj, dobrze? Odetnij im drogę do drabinek przeciwpożarowych. A ja już do nich odpowiednio zagadam.

„Ja do nich odpowiednio zagadam”. Jakże typowo bishopowskie. Nikt tak jak on nie pragnąłby wejść na dach Kaplicy, by potem - najlepiej z nieprzytomnym chłopcem w ramionach - lekko i bez wysiłku opuścić się w glorii chwały na dziedziniec. Jednak w zastanej sytuacji nie miał wyjścia - musiał przystać na propozycję ojca.

Rozsądek zawsze kazał mi omijać przeżarte rdzą drabinki przeciwpożarowe. Moje trasy wiodły więc przez okno Biblioteki, balkoniki Dzwonnicy albo świetlik w studiu artystycznym, przez który szybko można było się dostać na dach Obserwatorium.

John Snyde nie miał pojęcia o tych drogach na dach, a nawet gdyby je znał, zapewne nie zrobiłby z nich użytku, bo nawet tak drobne dziecko jak ja miało problem z balansowaniem na szklanym dachu czy z przedzieraniem się przez gęstwinę bluszczu oplatającego parapety. Przez te wszystkie lata pracy w charakterze Naczelnego Portiera ojciec nigdy nie zapuścił się w niebezpieczny obszar szerokich, głębokich rynien, leżących poniżej miejsca mojej obecnej kryjówki. Nie ma więc mowy, żeby do mnie trafił.

Mój wzrok powędrował w stronę przeciwpożarowych drabinek - szkieletu dinozaura zawieszono nad stromizną dachu. Przez warstwę farby przebijały bąble rdzy. Czy ojciec odważy się tam wejść? A jeżeli tak, co wtedy zrobić?

Moje wyprawy na dach nie poszły na marne. Co najmniej tuzin dróg ucieczki przyszło mi natychmiast do głowy. W mojej kieszeni spoczywały klucze do wszystkich pomieszczeń szkoły - do każdego schowka, korytarza czy wyjścia awaryjnego. Razem z Leonem możemy jeszcze bez problemu wymknąć się oblławie. Niespodziewanie ogarnęło mnie niezwykle podniecenie. Wyobraźnia już podsuwała kuszące obrazy - w obliczu wielkiej, groźnej przygody nasza przyjaźń znów wracała do poprzedniego cudownego stadium...

Teraz więc muszę jak najszybciej połączyć się z Leonem. I nieważne, że ktoś mnie dojrzy z dołu. Tak naprawdę ryzyko było żadne. Nie sposób przecież rozpoznać kogokolwiek z tak dużej odległości w mroku nocy.

- Pozostańcie na swoich pozycjach! Pomoc jest już w drodze! - Oczywiście dotarły do mnie wrzaski Bishopa, nie ulegało jednak wątpliwości, że nas tak naprawdę nie widział. Tymczasem udało mi się dotrzeć do kalenicy. Nie było tu jednak Leona. Zapewne więc ukrywał się za załomem Dzwonnicy. To dobre miejsce - jeżeli nie wysunie głowy, nikt go tam nigdy nie wypatrzy.

Po kilku małych susach Dzwonnica była moja. Nie udało mi się wypatrzeć ojca. Ani Leona. Teraz czekał mnie tylko jeden skok przez studnię, by znaleźć się w cieniu kaplicznej iglicy.

- Leon!

Żadnej odpowiedzi.

- Leon!

Nagle udało mi się go dojrzeć - rozpląszczonego na parapecie, jakieś dwa-dzieścia stóp przede mną, wyciągającego groteskowo szyję, by śledzić, co się dzieje na dole.

- Leon.

Teraz już mnie usłyszał, ale nie raczył się odwrócić. Nie pozostało mi więc nic innego jak poczołgać się w jego stronę. Ciągle jeszcze mieliśmy szansę na ucieczkę, wciąż jeszcze był czas, żeby go poprowadzić do miejsca, gdzie moglibyśmy przeczekać awanturę, a potem spokojnie opuścić szkołę jednym z awaryjnych wyjść. Żeby tylko chciał mnie posłuchać.

Z dołu dobiegały ogłuszające wrzaski z megafonu. Nagle niebieskie i czerwone światła omiotły dach. Przez sekundę cień Leona mignął nad dachem. Potem mój przyjaciel padł na płask, klnąc pod nosem.

- Leon.

Nadal nie reagował. Zdawał się przyklejony do parapetu. Tymczasem z dołu dobiegał huk okrągłych samogłosek, bombardujących nas na podobieństwo gigantycznych gładów.

- Chłopcy! Nie ruszajcie się! Zostańcie na pozycjach!

Nadjechały wozy strażackie i radiowozy. Wokół Pata Bishopa zaroilo się od ciemnych sylwetek innych ludzi.

Twarz Leona była nieruchoma, niczym mroczna, kamienna maska.

- Ty cholerne, małe gównie - wysyczał w końcu.

- Daj spokój, Leon. Jeszcze mamy czas...

- Czas? Czas na co? Na mały numerek?

- Leon, proszę cię. To nie tak, jak myślisz.

- Doprawdy? - wybuchnął szyderczym śmiechem.

- Proszę cię, Leon. Wiem, jak możemy się stąd wydostać. Ale musimy się pospieszyć, bo mój tato już tu idzie...

Odpowiedziała mi ciężka, grobowa cisza.

- Twój tato? - odezwał się w końcu Leon.

W tej samej chwili nad naszymi głowami rozległ się trzask włazu, a zaraz potem pojawiła się sylwetka mężczyzny blokującego drogę ucieczki. Dzielilo go od nas dobre pięćdziesiąt stóp i chociaż parapet był szeroki, mężczyzna trząsł się i stapał tak niepewnie, jakby się znalazł na wąskiej linie. Z zaciśniętymi pięściami, twarzą zastygłą w maskę koncentracji, cal po calu przesuwal się w naszą stronę.

- Nie ruszajcie się - zarządził. - Zaraz was stąd wyprowadzę.

Owym mężczyzną był John Snyder.

Naturalnie nie mógł dojrzeć naszych twarzy. I mnie, i Leona skrywał cień. Więc wciąż jeszcze mogliśmy uciec. Studnia oddzielająca Kaplicę od Dzwonnicy była głęboka, jednak dość wąska u wlotu. Po moich rozlicznych wyprawach na dach udałoby mi się skoczyć na drugą stronę z zamkniętymi oczami. Ojciec nigdy nie odważyłby się za nami podążyć. My moglibyśmy z kolei po spadzie dostać się na parapet nad Dzwonnicą, z niego zaś opuścić się na balkonik, a gdy już znaleźlibyśmy się wewnątrz szkoły, nikt nie zdołałby wpaść na nasz ślad.

A więc ja i Leon znowu mieliśmy szansę stać się Butchem i Sundance'em - kultowymi bohaterami, przyjaciółmi na śmierć i życie. Wystarczył tylko jeden skok - skok ponad studnię.

Wmawiam sobie, że moje ówczesne działanie było w jakiejś mierze poddyktowane rozumem, a nie jedynie zwierzęcym instynktem popychającym do ucieczki. Ale prawdę powiedziawszy, wszystko to, co nastąpiło po pojawieniu się Portiera, zapadło się w czarną dziurę niepamięci. Być może właśnie wtedy ośrodek snu zablokował się w moim mózgu czy też - w owej chwili przesunęły mi się przed oczami wszystkie możliwe sny, by nie pojawić się już więcej.

Chociaż wówczas wydawało mi się, że doświadczam wielkiego przebudzenia. Przebudzenia po niezliczonych latach życia we śnie. Dziwne obrazy przesunęły się przed moimi oczami z prędkością meteorów przecinających sierpniowe niebo.

Leon - roześmiany, z ustami tuż przy moich włosach.

Leon i ja - razem na ciężkiej, zdezelowanej kosiarce.

Leon i Francesca - dziewczyna, której mój przyjaciel nigdy nie kochał.

Wojna ze Świętym Oswaldem - i moja bliska wiktoria.

Czas znów stanął w miejscu. Siła grawitacji przestała działać - wydawało mi się, że unoszę się w powietrzu. Z jednej strony - Leon. Z drugiej - mój ojciec. Jak już słyszeliście, chętnie sobie wmawiam, że zadziałał rozum.

Mój wzrok powędrował ku Leonowi.

Leon odpowiedział mi porozumiewawczym spojrzeniem.

I chwilę później skoczyliśmy w dół.

KRÓLOWA

1

Prywatna Szkoła dla Chłopców im. Św. Oswalda

*Pamiętaj, pamiętaj o piątym listopada,
Pamiętaj o prochu, spisku i zradach.*

No więc wreszcie nadszedł ten dzień opromieniony krwawą chwałą. Świętego Oswalda dotknęła zaraza anarchii. Chłopcy uciekają z zajęć, na lekcjach panuje chaos, wielu nauczycieli nie przychodzi do pracy. Devine został zawieszony na czas policyjnego dochodzenia (dzięki czemu odzyskałem swój gabinet, choć jeszcze nigdy wiktoria nie była dla mnie tak gorzka), podobnie Grachvogel i Light. Wciąż trwają przesłuchania innych wykładowców, między innymi Robby'ego Roacha, który na oślep rzuca nazwiskami kolegów, byle tylko odsunąć od siebie podejrzania.

Bob Strange dał jasno do zrozumienia, iż wciąż tu pracuję tylko dlatego, że znaleźliśmy się w kryzysowej sytuacji. Allen-Jones, którego matka zasiada w Zarządzie, wyjawiał mi, że na ostatnim zebraniu długo dyskutowano o mojej przyszłości, a doktor Pooley stanowczo się domagał mojego natychmiastowego zawieszenia, utrzymując, że czynnie „napadłem” na jego syna. Z powodu ostatnich wydarzeń (a głównie z powodu nieobecności Pata Bishopa) nie znalazł się nikt gotowy stanąć w mojej obronie; Bob Strange natomiast obiecał, że gdy tylko kryzys zostanie zażegnany, osobiście poczyni wobec mnie stosowne kroki.

Oczywiście kazałem przysiąc Allenowi-Jonesowi, że zachowa te rewelacje w tajemnicy, co oznacza, że o całej sprawie już teraz wie przynajmniej pół szkoły.

I tylko pomyśleć, że jeszcze kilka tygodni temu wszyscy przejmowali się jedynie inspekcją. Teraz mamy szkołę pogrążoną w chaosie. Wciąż kręcą się tu policjanci i nie wygląda na to, by szybko mieli się wynieść. Poza tym jesteśmy odcięci od świata. Nikt nie odbiera telefonów, nie opróżnia koszy na śmieci, nie odkurza i nie froteruje podłóg. Shuttleworth, nowy Portier,

odmówił podjęcia obowiązków do czasu, aż szkoła zapewni mu zastępcze lokum. Bishop załatwiłby problem od ręki - niestety, teraz nie może tego zrobić.

Chłopcy wyczuwają nadciągającą katastrofę. Sutcliff zjawiał się na apelu z kieszeniami wypchanymi fajerwerkami i, naturalnie, wywołał drobne pan-demonium. Niewiele osób spoza Świętego Oswalda wierzy, że uda nam się przetrwać obecną burzę. Szkołę zawsze ocenia się po końcowych rezultatach, więc o ile szybko nie wydostaniemy się z tego apokaliptycznego dołka, czarno widzę wyniki końcowych egzaminów naszych uczniów w tym roku.

Moi piątoklasiści pewnie jakoś sobie poradzą, już w zeszłym roku bowiem przerobiliśmy cały obowiązkowy materiał. Ale Niemcy fatalnie ucierpieli w tym semestrze. Francuzi - teraz, gdy zabrakło dwójki wykładowców (Tapi odmawia powrotu do pracy, póki nie zostaną do końca ustalone sprawy odszkodowania, Pearman natomiast wziął urlop okolicznościowy) - prawdopodobnie nie zdążą nadgonić programu. W innych katedrach pojawiły się podobne problemy - w wypadku niektórych przedmiotów wypadły całe segmenty tematyczne, a obecnie nie ma komu uczyć, bo wielu nauczycieli przezornie się rozchorowało. Dyrektor siedzi zamknięty w swoim gabinecie i rzadko wysuwa stamtąd nos. Bob Strange natomiast przejął obowiązki Bishopa, jednak z wyjątkowo marnym skutkiem.

Na szczęście wciąż jest z nami Marlene i to dzięki niej wszystko jeszcze jakoś funkcjonuje. Marlene wygląda teraz mniej zmysłowo, bardziej przypomina rzeczową bizneswoman - ściąga mocno włosy w praktyczny koczek, odsłaniając delikatną twarz o wysokich kościach policzkowych. No i obecnie nie ma czasu na plotki - większość czasu spędza na przyjmowaniu skarg od rodziców, udzielaniu informacji prasie i śledzeniu postępów śledztwa.

Jak zawsze - radzi sobie doskonale. To niezwykle twarda kobieta. Nic nie jest w stanie wyprowadzić jej z równowagi. Kiedy zginął jej syn - gdy rozpadła się jej rodzina, a w życiu pojawiła wyrwa nie do zasypania - zaproponowaliśmy jej pracę i od tamtej pory Marlene jest niesłychanie lojalna w stosunku do Świętego Oswalda.

Dużą rolę w tej sprawie odegrał Pat Bishop. To wyjaśnia przywiązanie Marlene do Bishopa i fakt, że jednak zgodziła się tu pracować. Z pewnością musiało być jej ciężko. Nigdy tego jednak po sobie nie pokazała. W ciągu piętnastu lat nie opuściła ani jednego dnia. Ze względu na Pata. Dla Pata, który swego czasu okazał jej wielką pomoc i życzliwość.

Od Marlene dowiedziałem się, że Pat jest w szpitalu - zeszłej nocy miał jakiś atak, prawdopodobnie wywołany stresem. Zdołał sam dojechać do szpitala, ale zemdlął w poczekalni oddziału ratunkowego i przewieziono go na kardiologię, na obserwację.

- Najważniejsze, że jest w dobrych rękach - westchnęła Marlene. - Gdyby widział go pan ostatniej nocy... - Urwała i tępo zapatrzyła się przed siebie, a ja nagle zdałem sobie sprawę, że niewiele brakuje, by zaczęła płakać. - Powinam była przy nim zostać. Ale się nie zgodził.

- Tak. Hm... - Odwróciłem się, lekko skonsternowany. Naturalnie fakt, że Bishopa z jego sekretarką łączą stosunki daleko wykraczające poza relacje czysto zawodowe, był od wielu lat tajemnicą poliszynela. I prawdę powiedziawszy, nikogo z nas to nie obchodziło. Jednak Marlene zawsze zachowywała pozory, prawdopodobnie obawiając się, że biurowy romans mógłby zaszkodzić Patowi. To, że zrobiła teraz aluzję -choćby mglistą - do swojego związku z Patem, świadczyło, bardziej niż cokolwiek innego, jak daleko zaszły pewne sprawy.

W szkole takiej jak Święty Oswald nawet drobiazgi mają znaczenie. I niespodziewanie ogarnął mnie żal nad tymi z nas, którzy jeszcze pozostali na placu boju - nad Starą Gwardią, dzielnie tkwiącą na posterunku, chociaż szeroką ławą nadciąga wroga przyszłość.

- Jeżeli Pat odejdzie, to ja też - powiedziała w końcu Marlene, kręcąc na palcu pierścieniem z okazałym szmaragdem. - Zatrudnię się w kancelarii prawniczej lub innym biurze. Albo po prostu zostanę emerytką - ostatecznie w przyszłym roku stuknie mi sześćdziesiątka.

A to dopiero nowina! Od kiedy sięgam pamięcią, Marlene miała czterdzieści jeden lat.

- Ja też rozważam przejście na emeryturę - powiedziałem. - Wraz z końcem roku szkolnego zostanę centurionem - to znaczy, o ile uda mi się pokrzyżować plany Strange'a...

- Co takiego? Quasimodo miałby opuścić swoją Dzwonnicę?

- Podobna myśl przemknęła mi przez głowę. - Szczerze mówiąc, w trakcie ostatnich tygodni nawet coś więcej niż tylko przemknęła. - Dzisiaj są moje urodziny. Możesz uwierzyć? Właśnie skończyłem sześćdziesiąt pięć lat.

Marlene uśmiechnęła się melancholijnie.

- Gdzież podziały się te wszystkie lata?

Z powodu nieobecności Pata Bob Strange postanowił poprowadzić dziesięcioletni apel trzecioklasistów. Od początku uważałem, że to nie najszczęśliwszy pomysł. Ale ponieważ tak wielu starszych wykładowców było nieobecnych lub nieosiągalnych, Bob postanowił osobiście wyprowadzić naszą fregatę na spokojniejsze wody. Poważny błąd. Niestety - z niektórymi ludźmi nie sposób dyskutować.

Oczywiście wszyscy zdajemy sobie sprawę, że Strange nie ponosi odpowiedzialności za zawieszenie Pata. Akurat nikt go za to nie obwinia. Chłopcom jednak nie podoba się, że tak ochoczo wśliznął się na stanowisko Bishopa. Poza tym gabinet Pata, zawsze dla wszystkich stojący otworem, teraz

przypomina twierdzą. Zainstalowano tam takie samo urządzenie, jak na drzwiach Devine'a. Z tego centrum administracyjnego Strange bezkruwawo, szybko i sprawnie ordynuje odsiadki po lekcjach i inne kary, brak mu jednak ciepła i humanitaryzmu Bishopa.

Chłopcy wyczuwają to natychmiast, nienawidzą Strange'a i wymyślają coraz genialniejsze sposoby zamanifestowania swojego nieposłuszeństwa. W odróżnieniu od Pata nasz Bob nie jest człowiekiem czynu. Doskonale dowiedział tego afera z garścią rac wrzuconych pod podium w auli. W rezultacie wszyscy trzecioklasiści przesiedzieli połowę ranka na podłodze w głównym holu, Bob zarządził bowiem, że nie ruszą się stamtąd, dopóki winowajca nie przyzna się do winy.

Gdyby na jego miejscu był Bishop, żartowniś ujawniłby się w ciągu pięciu minut, bo po prostu większość chłopców zrobiłaby wszystko, byle tylko sprawić Patowi przyjemność. Natomiast Bob Strange, ze swoją chłodną wyniosłością i nazistowskimi metodami, staje się dla nich łatwym celem ataków.

- Sir? Kiedy wróci pan Bishop?

- Powiedziałem: „Siedzieć w milczeniu”, Sutcliff. Chyba że masz ochotę pomaszzerować do Dyrektora.

- Dlaczego, sir? Czy Dyrektor zna odpowiedź na moje pytanie?

Bob Strange od ponad dekady nie uczył chłopców w wieku gimnazjalnym, nie miał więc pojęcia, jak sobie poradzić z tak frontalnym atakiem. Na dodatek nie uświadamia sobie, że ta sztywna, oficjalna maniera natychmiast zdradza jego brak pewności siebie, a krzyki tylko pogarszają sprawę. Strange może i jest sprawnym administratorem, ale w roli pasterza naszej trzody popelnia katastrofalne błędy.

- Sutcliff, za karę zostaniesz po lekcjach.

- Tak jest, sir.

Mnie natychmiast zaalarmowałby radosny uśmiech Sutcliffa - ale Strange nie zna tych chłopców, więc z uporem godnym lepszej sprawy zaczął się jeszcze bardziej pograżać.

- Ponadto jeżeli uczeń, który rzucił te race, nie wstanie w tej sekundzie, by przyznać się do winy, wszyscy trzecioklasiści będą zostawać po lekcjach przez miesiąc.

Przez miesiąc?! To nonsensowna i niewykonalna groźba. Zawisła niczym gradowa chmura ponad holem, a wokół rozległy się zduszone szepty.

- Liczę do dziesięciu. Jeden. Dwa...

Podczas gdy Strange popisywał się matematycznymi umiejętnościami, przez rzędy siedzących chłopców znowu przetoczyła się fala szeptów. Sutcliff i Allen-Jones spojrzeli po sobie znacząco.

- Trzy. Cztery.

Po czym obaj wstali.

Nie minęła chwila, a podniosła się cała moja klasa.

Strange wytrzeszczył oczy i odebrało mu głos z wrażenia. Chłopcy spisali się na medal -3 S - jak jeden mąż - utworzyła małą, zwartą falangę. Sutcliff, Tayer, Allen-Jones, Adamczyk, McNair, Brasenose, Pink, Jackson, Niu, Anderson-Pullitt i wszyscy pozostali. Wszyscy moi uczniowie.

Chwilę później uczyniła to samo 3 M (klasa Monumenta).

Kolejnych trzydziestu chłopców stanęło na baczność, niczym żołnierze, i patrzyło prosto przed siebie w milczeniu.

Następnie podniosła się 3 P (Pearman). Potem 3 KT (Teague), a w końcu 3 R (Roach).

Teraz stali już wszyscy trzecioklasiści. Nikt nie odzywał się słowem. Wszystkie oczy wpatrywały się w drobnego mężczyznę stojącego na podwyższeniu.

Strange przez moment tkwił w miejscu.

Po czym odwrócił się i wyszedł jak niepyszny.

Po tym wydarzeniu nie było sensu zabierać się do uczenia czegokolwiek. Chłopcy wyraźnie potrzebowali rozmowy, więc się na to zgodziłem i tylko od czasu do czasu wyskakiwałem do klasy Grachvogela, gdzie nauczycielka przysłana z agencji na zastępstwo, niejaka pani Cant, miała poważne problemy z utrzymaniem dyscypliny. Oczywiście głównym tematem dyskusji była sprawa Bishopa. W mojej sali jednak nie zarysowała się żadna polaryzacja poglądów - wszyscy chłopcy niezachwianie wierzyli w niewinność Pata. Zgodnym chórem twierdzili, że zarzuty są absurdalne; że w sądzie to nie przejdzie; że wszystko jest jakąś kosmiczną pomyłką. Podnieśli mnie na duchu - bardzo bym sobie życzył, żeby niektórzy z moich kolegów okazali równie niezłomną wiarę.

W czasie lunchu zostałem w sali. Pogryzając kanapkę, poprawiałem prace uczniów. Nie miałem najmniejszej ochoty na wizytę w pokoju nauczycielskim, nawet jeżeli oznaczało to rezygnację z kubka herbaty i lektury „Timesa”. Prawdę powiedziawszy, teraz we wszystkich gazetach wprost się roi od opisów skandalu u Świętego Oswalda. Gdy zaś rano zmierzamy do pracy, musimy przedelflować przed szpalerem dziennikarzy i fotografów.

Większość z nas nie zniża się do komentarzy, chociaż niewykluczone, że w środę Eric Scoones udzielił wywiadu reporterom z „Mirror”. Bez wątpienia ich artykuł miał w sobie coś z retoryki Scoonesa - szczególnie te wzmianki o bezdusznej dyrekcji i oskarżenia o nepotyzm na najwyższych szczeblach władzy. Mimo to jakoś nie mogę uwierzyć, by właśnie mój stary druh był bezczelnym Kretem, którego felietoniki - będące mieszanką satyry, insynuacji i oszczerstw - od kilku tygodni trzymały w napięciu czytelników „Examinera”. Z drugiej strony, muszę przyznać, że frazeologia Kreta wzbudzała we mnie poczucie *déjà vu*; odnosiłem dziwne wrażenie, że styl autora jest mi dobrze

znany, a przewrotne poczucie humoru - bliskie moim gustom.

Raz jeszcze przyszedł mi na myśl młody Keane. Bystry obserwator i, jak się zdawało, autentyczny talent literacki. Czyżby to on był Kretem? Nie podobało mi się owo przypuszczenie. Do diabła, zdążyłem wyjątkowo polubić tego chłopaka. Przypomniały mi się jego uwagi wygłoszone parę dni temu w pokoju nauczycielskim - wskazywały na wysoką inteligencję i dużą odwagę. Nie, z pewnością Keane nie jest Kretem. Ale jeżeli nie Keane, to kto?

Ta kwestia nie dawała mi spokoju przez całe popołudnie. Z tego powodu uczyłem marnie; dałem się wyprowadzić z równowagi grupie czwartoklasistów, którzy mieli kłopoty z koncentracją; na koniec zaś zatrzymałem w kozie szóstką, którego jedyną zbrodnią - jak zdałem sobie poniewczasie sprawę - było wytknięcie mi niewłaściwego użycia trybu w przekładzie jednego z tekstów. Na ósmej lekcji w końcu podjąłem decyzję. Po prostu zwrócę się bezpośrednio do Keane'a i zapytam go szczerze o Kreta. Chlubię się swoją umiejętnością trafnej oceny ludzkich charakterów, więc skądinąd jestem przekonany, że gdyby Keane naprawdę był Kretem, dawno temu już bym to odkrył.

Kiedy jednak natknąłem się na niego w pokoju nauczycielskim, prowadził ożywioną rozmowę z panną Dare. Oboje uśmiechnęli się na mój widok.

- Podobno ma pan dziś urodziny, panie Straitley - rzucił radośnie Keane.
- Mamy dla pana torcik.

Była to czekoladowa muffinka podana na spodeczku - i jedno, i drugie zrabowane ze szkolnej stołówki. Ktoś wetknął żółtą świeczkę w środek babeczki, a brzeg udekorował strzępiastymi świecidelkami. Samoprzylepna karteczka przytwierdzona do brzegu spodka głosiła: „Panie Straitley, wszystkiego najlepszego z okazji 65. urodzin”.

Cóż, w takim wypadku sprawa Kreta musiała poczekać.

Panna Dare zapaliła świeczkę. Wykładowcy jeszcze kręcący się w pokoju o tej późnej godzinie - Monument, McDonough i paru młodszych kolegów - zaczęły klaskać w dłonie. Byłem tak poruszony, że niewiele brakowało, bym się rozplakał.

- Do diabła - mruknąłem zrzędliwie. - Zamierzałem utrzymać to w tajemnicy.

- Ale po co? - spytała panna Dare. - Proszę posłuchać, ja i Chris wybieramy się dziś wieczorem na drinka. Może zechciałby się pan do nas przyłączyć? Popatrzymy na ognisko w parku, zjemy jabłka w cukrze, puścimy parę fajerwerków... - Roześmiała się głośno, a ja w tym momencie uświadomiłem sobie, jaka ładna jest ta dziewczyna o czarnych włosach i różanej cerze

porcelanowej lalki. Pomimo swoich wcześniejszych podejrzeń co do tożsamości Kreta - które notabene teraz już zdawały mi się kompletnie niedorzeczne - cieszyłem się, że Dianne i Keane wreszcie zapalali do siebie sympatią. Nikt tak jak ja nie zdawał sobie sprawy z podstępnych mocy Świętego Oswalda. Człowiekowi wydaje się, że ma przed sobą całe życie - że zdąży jeszcze poznać dziewczynę, ożenić się, może mieć dzieci (o ile owa dziewczyna tak zechce), aż niespodziewanie odkrywa, że go to wszystko bezpowrotnie ominęło - że spóźnił się o dekadę lub nawet dwie. Zdaje sobie wówczas sprawę, że nie jest już Młodą Strzelbą, ale Tweedową Marynarką, na dobre i złe poślubioną Świętemu Oswaldowi - temu zakurzonemu, staremu potworowi, który bezlitośnie pożera ludzkie serca.

- Dziękuję za zaproszenie - odparłem. - Ale planuję spędzić ten wieczór w domu.

- W takim razie proszę sobie pomyśleć jakieś życzenie - zarządziła panna Dare.

- A! To z pewnością mogę zrobić.

2

Biedny stary Straitley. Przez tych kilka ostatnich tygodni prawie udało mi się go pokochać za jego nieuleczalny optymizm i idiotyczne idiosynkrazje. To nieprawdopodobne, jak zaraźliwy potrafi być ów optymizm. Wzbudza nadzieję, że można jednak zapomnieć o przeszłości (tak jak zapomniał o niej Bishop), na zawsze wyzbyć się goryczy i że obowiązek (względem szkoły naturalnie) może być równie stymulujący, jak miłość, nienawiść czy żądza zemsty.

Tego popołudnia nadszedł czas na wysłanie ostatnich e-maili. Od Roacha do Grachvogela - pogrążający ich obu. Od Lighta do Devine'a - w tonie narastającej paniki. Oraz od Knighta do nich wszystkich - e-mail łzawy i pełen pogroźek. Na koniec zaś - mój *coup de grâce*: wiadomość do Bishopa, na jego komórkę i na komputer - ostatnia, błagalna, rozpaczliwa wiadomość od Colina Knighta wysłana z jego telefonu.

Ogólnie rzecz biorąc - doskonała robota. Pięciu wykładowców zmiecionych z szachownicy jednym, eleganckim ruchem. Bishop jest już na dobrą sprawę skończony. Dopadnie go wylew albo rozległy zawał wywołany stresem. A jeżeli nawet wymknie się śmierci, ja i tak pozostanę w błogim przeświadczeniu, że jego czas u Świętego Oswalda definitywnie dobiegł końca.

Czy moje działania na pewno doprowadzą do założonego celu? Myślę, że tak. Prawdę powiedziawszy, nawet interwencja policji nie była do tego potrzebna. Wystarczy cię podejrzenia o niestosowne zachowania seksualne, by zrujnować karierę nauczyciela. Resztę z pewnością załatwi za mnie opinia publiczna podsycana podejrzeniami, zawiścią i artykułami „Examinera”. Już udało mi się puścić machinę w ruch. Nie zdziwi mnie więc, gdy ktoś wkrótce przejmie ode mnie pałeczkę. Może dzieciaki z Sunnybank. A może opici piwem mieszkańcy osiedla Abbey Road. Zaczną się podpalenia i ataki na samotnie podążających ulicą wykładowców. W pubach i klubach miasta plotki szybko nabiorą waloru skandalicznej rzeczywistości. Najlepsze jest to, że od

pewnego momentu sytuacja nie będzie już wymagać mojego aktywnego działania. Jeden drobny ruch - i posypią się kostki domina.

Oczywiście zostaną tutaj najdłużej jak to możliwe. Wielką przyjemność sprawia mi przyglądanie się owocom własnej pracy - chociaż nie wykluczam, że może trzeba będzie wyjechać nagle i szybko. Najważniejsze, że nikomu już się nie uda odwrócić katastrofy. Cała, bardzo ważna katedra, znalazła się w całkowitej rozsypce, wielu innych nauczycieli zostało uwikłanych w aferę, reputacja Drugiego Mistrza legła w gruzach. Zaczyna się powolny odpływ uczniów ze szkoły - w tym tygodniu odeszło ich dwunastu - wkrótce jednak ten strumyczek przemieni się w powodziową falę. Poziom nauczania ostatnio gwałtownie się obniżył; warunki BHP wołają o pomstę do nieba, do tego szybkimi krokami zbliża się termin inspekcji, po której Święty Oswald z pewnością zostanie zmuszony do zamknięcia na zawsze swoich podwojów.

Podobno przez cały zeszyły tydzień Zarząd zbierał się co wieczór na kryzysowych zebraniach. Dyrektor, marny negocjator, drży o swoją posadę. Doktor Tidy martwi się, że obecna sytuacja fatalnie wpłynie na finanse szkoły. Bob Strange zręcznie zaś obraca wszystko, co mówi Dyrektor, na swoją własną korzyść, zachowując przy tym pozory politycznej poprawności i pełnej lojalności.

Jak dotąd (pomijając parę drobnych *faux pas* w rozwiązywaniu problemów z dyscypliną) całkiem nieźle radzi sobie na stanowisku Bishopa. Niewykluczone, że uda mu się zostać Dyrektorem. I właściwie czemu nie? Jest sprytny i inteligentny (przynajmniej na tyle, by przed członkami Zarządu nie sprawiać wrażenia zbyt inteligentnego), kompetentny i elokwentny, o wystarczająco mdłej osobowości, by śpiewająco przejść przez psychologiczne testy, aplikowane wszystkim pracownikom Świętego Oswalda.

Ogólnie rzecz biorąc, bardzo mnie cieszą dotychczasowe rezultaty rozgrywki. Został jeszcze tylko jeden drobny problem, który zamierzam rozwiązać dzisiejszego wieczoru, w parku, w trakcie obchodów Wieczoru Ognisk. Potem przyjdzie czas na fetowanie - mam butelkę szampana z wypisanym na niej nazwiskiem Straitleya. To ona właśnie zostanie otwarta dzisiejszego wieczoru.

Ognisko ma być rozpalone o siódmej trzydzieści. O wpół do ósmej cały stos będzie buchał płomieniami. Do parku ściągną tysiące ludzi; z głośników popłynie ogłuszająca muzyka; do tego dojdą krzyki i piski dzieciaków; o wpół do dziewiątej zaczną się pokazywać sztucznych ogni - powietrze zasnują sypiące się iskry i kłęby dymu.

Wymarzone miejsce mordy, nie sądzicie? Ciemność, tłumy, zamieszanie. Idealnie sprawdzi się zasada staruszka Edgara Poe - przedmiot umieszczony na widoku najdłużej pozostaje niezauważony. Potem wystarczy spokojnie się

oddalić, by jakiś nieszczęśnik odnalazł ciało. Albo jeszcze lepiej - osobiście podnieść alarm, a następnie wtopić się w tłum gapiów.

A więc jeszcze jedno morderstwo - tego trzeba mi do szczęścia. Jedno... no, najwyżej dwa.

Wciąż przechowuję zdjęcie Leona, wycięte z „Examinera” - teraz pożółkłe, kruche jak wyschnięty liść i poznaczone plamami ze starości. To fotografia zrobiona owego roku w szkole, bardzo ziarnista, bo nienaturalnie powiększona na potrzeby pierwszej strony gazety. Niemniej to wciąż twarz Leona: jego zawadiacki uśmiech, jego przydługie włosy i krzywo obcięty krawat. Obok fotografii duży napis:

TRAGICZNY UPADEK UCZNIA Z DACHU SZKOŁY.

PORTIER PRZESŁUCHIWANY PRZEZ POLICJĘ.

Cóż, tak przedstawiała się oficjalna wersja wydarzeń. Skoczyliśmy razem. Leon spadł. Już gdy moje stopy dotykały sąsiedniego komina, nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Leon runie w dół - dobiegł mnie szurgot trampek po ołowiu i trzask dachówek lecących po rynnie.

Co się stało? Pewnie powinęła mu się noga. A może wahał się o ułamek sekundy za długo lub krzyk z dołu go zdekoncentrował. W każdym razie zamiast wylądować obok mnie, zahaczył kolaniem o brzeg rynny. Zaczął się zsuwać oślizłym lejem, rzucił się jeszcze do tyłu, po czym zawisł nad krawędzią, trzymając się wylotu końcami palców - z jedną nogą desperacko wyciągniętą, by zaczepić się o komin, drugą bezwładnie dyndającą w powietrzu.

- Leon!

Pomimo wysiłków nie udało mi się go dosięgnąć. Skok zaś nie wchodził w grę - przy gwałtownym ruchu mogłaby się obluzować jakaś dachówka. Najgorsze, że rynna była w tak fatalnym stanie - krucha, w każdej chwili grożąca zawaleniem.

- Trzymaj się, Leon.

Spojrzał na mnie z twarzą pociemniałą od strachu.

- Nie ruszaj się, synu. Zaraz cię złapię.

Jakieś trzydzieści stóp nade mną, na parapecie, stał John Snyder. Twarz miał zastygłą w kamienną maskę, oczy jak dwie czarne dziury. Trząsł się na całym ciele. Wydzielał strach wszystkimi porami. Ale się przesuwiał - powoli i z uporem. Cal po calu podpełzał coraz bliżej, z oczami zwięzonymi - niemal zamkniętymi z przerażenia. Jeszcze chwila, a mnie zobaczy, muszę więc uciekać, a tymczasem Leon wciąż tkwił poniżej, złapany w potrzask...

Nie pozostało mi nic innego jak tylko cofnąć się w cień Dzwonnicy. Kolorowe stroboskopy świateł wozów strażackich ostro przecinały ciemność, wkrótce na dachu zaroi się od ludzi.

- Trzymaj się, Leon.

Nagle ogarnęło mnie dziwne, przerażające wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Moje spojrzenie powędrowało w górę i włosy zjeżyły mi się na głowie.

W oknie Dzwonnicy, kilkanaście stóp nade mną, stał Roy Straitley w swojej starej, tweedowej marynarce. W jego oczach widać było niezmierne zaskoczenie, usta wygięły mu się w tragikomiczną maskę.

- Pinchbeck?

W tej samej sekundzie pod nami rozległ się chrobot - głuchy, charczący odgłos, jakby gigantyczna moneta została wciągnięta w rurę odkurzacza... A zaraz potem - straszny trzask. Rynna nie wytrzymała.

3

W uszach jeszcze dudnił mi huk ciała uderzającego o asfalt, ale nogi niosły mnie już przed siebie w pełnym pędzie. Kierowała mną podświadomość - idealnie wryta w pamięć topografia dachu. Tylko dzięki temu udało mi się z kocą zwinnością przeskoczyć z parapetu na drabinkę przeciwpożarową, stamtąd wśliznąć przez okno do Środkowego Korytarza, a potem, przez boczne drzwi, wypaść na tylny dziedziniec.

Kierował mną instynkt - przemożna wola przetrwania. Na zewnątrz wciąż błyskały niebiesko-czerwone światła wozów strażackich zaparkowanych przed Kaplicą.

Nikt nie spostrzegł dziecka wymykającego się z gmachu. Nikt mnie też nie gonił. A więc mi się udało. Policjanci i strażacy znajdowali się z drugiej strony, pilnowali gapiów zbierających się na podjeździe Świętego Oswalda. Udało mi się. Udało! Nikt mnie nie zauważył - nikt, prócz Roya Straitleya.

Teraz instynkt kazał ostrożnie skradać się w kierunku wartowni - w stronę domu. Dom to bezpieczeństwo. W domu zawinę się w koc i wpełzną pod łóżko, jak w każdą sobotnią noc zamknę drzwi na klucz i ssąc kciuk będę czekać na powrót ojca. Pod łóżkiem, w ciemności, wreszcie pocuję się bezpiecznie.

Drzwi Wartowni stały otworem. Z kuchennego okna sączyło się światło. W szybkie saloniku odbijały się światła samochodów, a od nich odcinały się sylwetki - Bishopa, wciąż z megafonem w dłoni, i policjantów, blokujących podjazd.

Nagle w polu mojego widzenia pojawiła się inna postać - kobieta w futrze. Kobieta, której twarz nagle przywołała jakieś wspomnienia...

Kobieta spojrzała w moją stronę, a jej pociągnięte mocną szminką usta ułożyły się w idealne „O”.

- O, kochanie! O, mój skarbie! - wykrzyknęła i rzuciła się ku mnie, postukując obcasikami.

Bishop już się odwracał, żeby zobaczyć, dokąd biegnie kobieta, jednak w tym samym momencie jeden ze strażaków wykrzyknął:

- Panie Bishop, sir! Proszę tutaj!

Kobieta przecinała trawnik z rozwianymi włosami i rozpostartymi ramionami przywodzącymi na myśl skrzydła nietoperza, w które po chwili mnie pochwyciła. Zdawało mi się, że się kurczę. Futro łaskotało mi twarz, a do oczu napłynęły łzy - gorące łzy, bo wszystko powróciło falą żalu i bólu. Leon, Straitley, mój ojciec - nagle wyparowali z mojej pamięci; zostali daleko z tyłu, podczas gdy kobieta wprowadzała mnie do domu, do bezpiecznego schronienia.

- To nie miało tak wyglądać, skarbie. - Głos wyraźnie jej drżał. - To miała być niespodzianka.

W mgnieniu oka wszystko stało się dla mnie jasne. Bilet na samolot. Szepcane rozmowy telefoniczne. „Ile? - Pauza. - W porządku. Tak będzie najlepiej”.

Ile za co? Za zrzeczenie się praw do dziecka? Ile loterii-zdrapek, ile sześciopaków piwa i taniej pizzy obiecali mu, zanim się zgodził dać im to, czego chcieli?

Z moich oczu znowu trysnęły łzy, ale tym razem wściekłości - na ich wspólnie ukartowaną zdradę. Matka przyciskała mnie do siebie, a wokół unosiły się opary jakiegoś kosztownego, zupełnie mi nieznanego aromatu.

- Och, mój najdroższy skarbie. Co się stało?

- Mamusiu!

Futro tłumilo moje łkanie. Matka przycisnęła usta do moich włosów i wówczas dobiegł mnie zapach dymu papierosowego oraz piżma, a coś w moim wnętrzu wyciągnęło drobną, zwinną dłoń i z całej siły ścisnęło mi serce.

4

Chociaż pani Mitchell uparcie twierdziła, że Leon nigdy samotnie nie wybrałby się na dach, najlepszego przyjaciela jej syna - chłopca o nazwisku Julian Pinchbeck - nigdy nie odnaleziono. Przeanalizowano wszystkie dokumenty szkolne; przepytano uczniów i połowę miasta - wszystko na nic. Prawdopodobnie nie zadano by sobie nawet tyle trudu, gdyby pan Straitley nie upierał się, że feralnej nocy widział Pinchbecka na dachu Kaplicy, ale że - niestety - udało mu się zbiec.

Policjanci byli delikatni i współczujący - ostatecznie panią Mitchell dotknęło wielkie nieszczęście - jednak w duchu sądzili, że biedaczka zaczyna tracić zmysły, gdy tak w kółko opowiadała o nieistniejącym chłopcu i nie chciała się pogodzić z faktem, że śmierć jej syna była tragicznym wypadkiem.

Sprawy pewnie przybrałyby inny obrót, gdyby matka Leona przypadkiem mnie jeszcze kiedyś ujrzała, ale na szczęście tak się nie stało. Trzy tygodnie później Sharon Snyder zabrała swoje świeżo odzyskane dziecko do Xaviera, do Paryża. I nikt z ich trójki nie pokazał się w Anglii przez siedem kolejnych lat.

Zanim jednak doszło do wyjazdu, matka doprowadziła do mojej całkowitej transformacji. Brzydkie kaczątko zaczęło się szybko zmieniać i nawet nie próbowało się temu przeciwstawiać. Po śmierci Leona Pinchbeck nie miał szans na przetrwanie. Mnie pozostało tylko jak najszybciej pozbyć się mundurka Świętego Oswalda i resztę pozostawić w rękach matki.

W swoim pierwszym liście nazwała to „drugą szansą”. Już nazajutrz, po wypadku, coś kazało mi przeczytać wszystkie jej liściki i pocztówki, a także wyjąć spod łóżka nierozpakowane paczki i zrobić użytek z ich zawartości.

Po tych tragicznych wydarzeniach John Snyder i jego dziecko już się więcej nie ujrzeli. Śledztwo w sprawie wypadku było czystą formalnością, ale Portier zachowywał się tak dziwnie, że wzbudził tym podejrzenia policji. Tak naprawdę

nie istniały żadne poszlaki wskazujące na czyjekolwiek intencjonalne działanie. Ale Snyder w czasie przesłuchania reagował na wszystko agresją; badanie alkometem wykazało, że tego wieczoru bardzo dużo wypił; natomiast jego opis zdarzeń był tak niespójny i nieprzekonujący, jakby nie bardzo w ogóle wiedział, co się z nim działo. Roy Straitley potwierdził obecność Portiera na dachu i zeznał, że John wykrzyknął do jednego z chłopców: „Zaraz cię złapię”. Policja później przyczepiła się do tych słów, i chociaż Straitley upierał się, że John Snyder biegł chłopcu na pomoc, musiał jednocześnie przyznać, że w chwili wypadku Portier był zwrócony do niego plecami, więc dokładnie nie widział, co się stało. Policja szybko ustaliła, że Snyder nie cieszył się dobrą reputacją. Pod koniec semestru otrzymał oficjalną naganę za atak na jednego z uczniów na terenie Świętego Oswalda, a jego wybuchy złości były powszechnie znane wśród pracowników szkoły. Potwierdził to doktor Tidy; Jimmy również dorzucił swoje trzy grosze.

Pat Bishop, który niewątpliwie mógłby pomóc ojcu, nie kwapił się do wstawienia w jego obronie. Częściowo winę za to ponosił Nowy Dyrektor, który jasno wyłożył Patowi, że przede wszystkim ma myśleć o najlepiej pojętym interesie Świętego Oswalda i że im szybciej policja rozprawi się ze Snyderem, tym szybciej szkoła będzie się mogła zdystansować od tej nieszczęsnej afery. Poza tym Bishop znalazł się w niewygodnej sytuacji. Sprawa Snyder'a mogła zagrozić jego nowej funkcji i rodzącej się zażyłości z Marlene Mitchell. Ostatecznie to dzięki niemu John Snyder wciąż jeszcze pracował w szkole. Już jako Drugi Mistrz podtrzymywał Portiera na duchu, wstawiał się za nim u Kwestora i Dyrektora, traktował niemal po przyjacielsku, choć wiedział, że John wielokrotnie stosował przemoc wobec mojej matki, wobec mnie, a ostatnio nawet podniósł rękę na jednego z uczniów Świętego Oswalda, a to uprawdopodobniało teorię, że - rozwścieczony do białości - Portier stracił głowę i tak długo ścigał Leona Mitchella po dachu, aż dzieciak runął w dół.

Nigdy nie pojawiły się dowody mogące potwierdzić tę tezę. Roy Straitley z uporem sprzeciwiał się podobnej wersji. Poza tym czyż Portier nie cierpiał na lęk wysokości? Ale gazety zaczęły drażnić temat. Pojawiły się anonimowe listy, telefony z obelgami i pogrózkami oraz ogólne oburzenie społeczne, narastające przy okazji takich spraw. Tak naprawdę nikt o nic formalnie nie oskarżył Johna Snyder'a. Mimo to powiesił się w pokoju jednego z tanich hotelików na trzy dni przed naszym wyjazdem do Paryża.

Nawet wówczas nie ulegało dla mnie wątpliwości, kto ponosi winę za te wszystkie nieszczęścia. Nie Bishop - choć nie był całkiem bez skazy. Nie Straitley, nie gazety, nawet nie Nowy Dyrektor. To Święty Oswald zabił mojego ojca. Tak samo jak Święty Oswald zabił Leona.

Święty Oswald z tą swoją bezduszną biurokracją, pychą, ślepotą i uprzedzeniami.

Teraz, piętnaście lat później, nikt nie pamięta o tych dwóch ofiarach. Są jedynie nazwiskami na Liście Zażegnanych Kryzysów.

Tym razem jednak kryzys nie zostanie zażegnany. Tym razem Święty Oswald za wszystko zapłaci.

5

Piątek, 5 listopada, godz. 18.30

Po szkole wybrałem się do szpitala z bukietem kwiatów i książką dla Pata Bishopa. Nie żeby Pat chętnie i dużo czytał, choć pewnie wyszłoby mu na zdrowie, gdyby było inaczej. Nieraz mu przecież powtarzałem, że najwyższy czas, by zaczął się oszczędzać.

Oczywiście ani mu to w głowie. Kiedy się zjawiłem, był właśnie w trakcie gwałtownej sprzeczki z tą samą pielęgniarką o różowych włosach, która jeszcze niedawno miała mnie pod opieką.

- Chryste, jeszcze jeden? - jęknęła na mój widok. - Proszę mi powiedzieć, czy wszyscy nauczyciele ze Świętego Oswalda są tak nieznośni jak wy, czy po prostu to ja mam pecha?

- Ile razy mam pani powtarzać, że czuję się już doskonale - upierał się Bishop, który wyglądał na ciężko chorego człowieka. Jego cera przybrała lekko sinawy odcień i Pat wydawał się jakiś mniejszy - jakby to całe bieganie uczyniło go bardziej kompaktowym. Gdy przeniósł na mnie wzrok, zauważył kwiaty. - Na Boga jedyne, jeszcze nie umarłem.

- Daj je Marlene - zaproponowałem. - Przyda jej się coś na poprawę humoru.

- Dobra myśl. - Uśmiechnął się szeroko i wówczas przez ułamek chwili znów wyglądał jak stary dobry Bishop. - Zabierz ją do domu, dobrze, Roy? Nie chce się stąd ruszyć, a jest wykończona. Wydaje jej się, że jeśli choćby jedną noc prześpi jak Bóg przykazał, mnie na pewno przytrafi się coś okropnego.

Marlene, jak się okazało, udała się do kafeterii na herbatę. Poszedłem tam do niej, wcześniej wymusiwszy na Bishopie obietnicę, że pod naszą nieobecność nie wypisze się na własną prośbę ze szpitala.

Marlene zdziwiła się na mój widok. W dłoni trzymała pomiętą chusteczkę, a jej twarz - której nigdy przedtem nie widziałem bez makijażu - była zaczerwieniona i lekko obrzęknięta od płaczu.

- Pan Straitley! Nie spodziewałam się, że...
- Marlene Mitchell - odezwałam się surowo. - Myślę, że po tych piętnastu latach nadszedł najwyższy czas, byś zaczęła się zwracać do mnie po imieniu.

Prowadziliśmy przyciszoną rozmowę nad polistyrenowymi kubkami z herbatą o dziwnie rybim zapachu. To niezwykle, że koledzy, z którymi spędzamy w życiu więcej czasu niż z najbliższymi krewnymi, są dla nas zazwyczaj enigmą. Kiedy o nich myślimy, stają nam przed oczami tacy, jakimi widzujemy ich w pracy - ubrani w garnitury lub garsonki, zasadniczy (lub nie), kompetentni (lub nie), jakbyśmy wszyscy byli satelitami tego samego, ociężałego księżycy.

Kolega w dzinsach wydaje się nie na miejscu; koleżanka we łzach to widok niemal nieprzyzwyczajony. Skrawki prywatnego życia naszych współpracowników - podchwyczone przypadkiem poza murami Świętego Oswalda - wydają się równie nierealne jak sny.

Jawą jest tradycja i wiecznotrwałość Świętego Oswalda. Nauczyciele przychodzą i odchodzą. Niekiedy umierają. Niekiedy nawet chłopcy umierają. Ale Święty Oswald pozostaje niewzruszony, i im stają się starszy, tym bardziej ko mnie ta świadomość.

Marlene, jak mi się zdaje, ma inne odczucia. Może dlatego, że jest kobietą - życiem kobiet rządzą inne priorytety. A może widzi, do jakiego stanu Święty Oswald doprowadził Pata. Czy może raczej z powodu syna, którego twarz do dziś mnie prześladowuje.

- Nie powinienes tu przychodzić, Roy - powiedziała, ocierając łzy. - Przecież Dyrektor wszystkim zakazał...

- Chrzańić Dyrektora. Jest już po godzinach pracy, mogę więc robić, co mi się żywnie podoba - oznajmiłem, po raz pierwszy w życiu przyjmując retorykę Robbiego Roacha. Zgodnie z moimi oczekiwaniami rozbawiło to Marlene. - Tak lepiej - zdecydowałem, wpatrując się w resztki herbaty. - Słuchaj, Marlene, może ty mi powiesz, czemu szpitalna herbata zawsze zalatuje rybą?

Uśmiechnęła się. Kiedy się uśmiecha, wygląda dużo młodziej - młodziej i nie tak wagnerowsko.

- Cudownie, że się zjawiłeś, Roy. Nikt inny nie przyszedł odwiedzić Pata. Ani Dyrektor, ani Bob Strange czy choćby jeden z jego kolegów. Jakże to w stylu Świętego Oswalda. Przypuszczam, że senatorowie byli równie taktowni, gdy wręczali Cezarowi kubek z cykutą.

Zapewne miała na myśli Sokratesa i dobrych obywateli Aten, nie uznałem jednak za stosowne ją poprawiać.

- Pat wyjdzie z tego wszystkiego obronną ręką - skłamałem. - Jest twarde, poza tym wszyscy doskonale wiedzą, że zarzuty pod jego adresem są niedorzeczne. Zobaczysz, wkrótce członkowie Zarządu będą go błagać na kolanach, żeby wrócił do szkoły.

- Mam nadzieję. - Pociągnęła łyk zimnej herbaty. - Ja w każdym razie nie pozwolę, żeby wyciszyli jego sprawę tak, jak sprawę Leona.

Po raz pierwszy od piętnastu lat Marlene wspomniała przy mnie o swoim synu. Padła kolejna bariera, ale co dziwniejsze - przeczuwałem, że tak się stanie. W ostatnich tygodniach ta stara sprawa natrętnie narzucała się moim myślom i odnoszę wrażenie, że Marlene doświadczyła czegoś podobnego.

Oczywiście paralele same się nasuwają - szpital, skandal, niewiadomy los jednego z chłopców. Leon nie zginął na miejscu, chociaż nigdy nie odzyskał świadomości. Zanim nadszedł nieuchronny koniec, było długie czuwanie przy szpitalnym łóżku; straszna tortura miotania się pomiędzy rozpaczą a nadzieją; procesje bliskich i życzliwych - kolegów, rodziny, dziewczyny, nauczycieli i duchownych.

Nigdy nie udało nam się odnaleźć tajemniczego chłopca, a przekonanie Marlene, że przyjaciel Leona na pewno był świadkiem jakiegoś dziwnego wydarzenia, uważano za histerię matki, usiłującej nadać jakiś sens tragedii. Jedyne Bishop starał się jej pomóc. Przekopywał szkolne dokumenty, przetrząsał setki zdjęć, aż w końcu ktoś (najprawdopodobniej Dyrektor) upomniał go, że dalsze rozgrzebywanie sprawy z pewnością zaszkodzi wizerunkowi Świętego Oswalda. Oczywiście w ostatecznym rozrachunku wysiłki Pata i tak do niczego by nie doprowadziły. Niemniej chodził rozdarty i nieszczęśliwy.

- Pinchbeck. Tak brzmiało jego nazwisko - mruknąłem.

Jakże mógłbym je zapomnieć. Było z pewnością fałszywe, ale ja nie zapominam nazwisk i twarzy. Ten chłopiec zapadł mi w pamięć już w dniu naszego pierwszego spotkania na korytarzu, gdy kręcił się pod moim gabinetem pod jakimś wymyślonym pretekstem. Leon wówczas też tam był, pomyślałem.

- Owszem, Julian Pinchbeck. - Uśmiech Marlene nie był teraz przyjemny. - Nikt nie uwierzył w jego istnienie. Poza Patem. No i poza tobą, oczywiście. To ty go ostatni widziałeś... wtedy... na dachu...

Zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście można to nazwać „widzeniem”. Ja nigdy nie zapominam twarzy chłopców - w ciągu trzydziestu trzech lat ani razu mi się to nie zdarzyło. Wszystkie te młode buzie, zatrzymane w czasie. Wszyscy oni wierzą, że dla nich czas zrobi wyjątek, że nigdy się nie zmienia. Że na zawsze pozostaną czternastolatkami...

- Widziałem - potwierdziłem. - A przynajmniej tak mi się zdawało... - Jak sztuczka prestidigitatora: chłopiec-widmo, który rankiem rozwiął się, niczym nocny opar. - Wówczas byłem tego pewien...

- Wszyscy troje byliśmy - wtrąciła Marlene. - Ale w dokumentach szkoły nie znaleźliśmy żadnego Pinchbecka, nie znaleźliśmy jego nazwiska nawet na formularzach aplikacyjnych. Chociaż to już i tak nikogo nie obchodziło. Mój syn zmarł. Życie w szkole musiało toczyć się dalej.

- Tak mi przykro - mruknąłem.
- To przecież nie twoja wina. Poza tym... - poderwała się krzesła z typową dla siebie energią - ...nic już nie wskrzesi Leona, prawda? Teraz Pat potrzebuje mojej pomocy.
- Szczęściarz z niego - powiedziałem i naprawdę w to wierzyłem. - Sądzisz, że miałyby coś przeciwko temu, żebym cię dokądś zabrał? Mam na myśli jedynie drinka oczywiście... dzisiaj są moje urodziny, a i tobie, jak mi się zdaje, przydałoby się coś mocniejszego niż herbata.

Postanowiliśmy więc, że wyskoczymy razem na godzinkę, nie dłużej, wcześniej jednak przykazaliśmy Patowi, żeby leżał spokojnie i czytał swoją nową książkę. Piechotą powędrowaliśmy do mnie do domu. Na dworze panował już mrok, a w powietrzu unosił się zapach prochu. Kilka przedwcześnie rac pojawiło się nad osiedlem Abbey Road. Wieczór był mglisty, ale przyjemnie bezwietrzny. W domu miałem pierniki i słodkie korzenne wino. Napaliłem w kominku i znalazłem dwa kieliszki od kompletu. W blasku ognia moje fotele nie wydawały się tak zniszczone, a dywan tak bardzo wytarty. Ze ścian spoglądały na nas twarze moich utraconych uczniów, rozciągnięte w radosnych uśmiechach wiecznej młodości.

- Ależ tu dużo chłopców - szepnęła Marlene.
- Moja galeria duchów - powiedziałem. I natychmiast się zreflektowałem.
- Wybacz, Marlene. To nie było zbyt taktowne z mojej strony.
- Nie przejmuj się - powiedziała z uśmiechem. - Już nie jestem tak wrażliwa jak kiedyś. Inaczej nie mogłabym przecież pracować. Oczywiście gdy przyjmowałam tę posadę, byłam przekonana, że w szkole uknuto spisek, żeby ukryć niewygodną prawdę. Że pewnego dnia natknę się na tego chłopaka w idiotycznych, opadających na nos okularach, wlokącego za sobą worek gimnastyczny... Jednak nigdy więcej go nie ujrzałam. Zresztą po pewnym czasie zupełnie przestałam o nim myśleć. I gdyby pan Keane nie wrócił do tej smutnej historii po tak wielu latach...

- Keane? - wszedłem jej w słowo.
- Owszem. Omówiliśmy ówczesne wydarzenia. On jest bardzo zainteresowany historią Świętego Oswalda. Zdaje się, że zamierza napisać o naszej szkole książkę.

Skinąłem głową.

- Tak, wiem, że się nami interesuje. Ma mnóstwo notatek, zdjęć...
- Może takie jak to?

Z portfela Marlene wyjęła maleńki portret, bez wątplenia wycięty z fotografii większego formatu. Natychmiast rozpoznałem to ujęcie, mimo że w notesie Keane'a była to marna reprodukcja, dlatego postać, którą zakreślił czerwoną kredką, nie wzbudziła we mnie żadnych emocji.

Jednak teraz natychmiast rozpoznałem chłopca stojącego z baseballówką naciśniętą na cienką grzywkę - tę bladą, wymizerowaną twarz i okulary upodabniające ją do mordki szopa pracza.

- To Pinchbeck.

Skinęła głową.

- Nie najlepsze ujęcie, ale ja poznałabym go wszędzie. Godziny strawiłam nad tą fotografią, przypasowując nazwiska do twarzy. Wszystkich chłopców udało mi się zidentyfikować. Wszystkich, oprócz niego. Kimkolwiek był, nie należał do grona naszych uczniów. A jednak widnieje na tym zdjęciu, Roy. Dlaczego?

Znowu ogarnęło mnie dziwne *déjà vu*, wrażenie, że kawałki jakiejś zawilej lamigłówki zaczynają się powoli układać w spójną całość. Ale obraz wciąż był mglisty. Bardzo mglisty. Coś w tej drobnej, nieukształtowanej jeszcze twarzy nie dawało mi spokoju. Odnosiłem dziwne wrażenie, że podobne rysy widziałem całkiem niedawno.

- Czemu nie pokazałaś policji tego zdjęcia?

- Odnalazłam je za późno. John Snyder już nie żył.

- Ależ chłopiec był ważnym świadkiem.

- Roy, musiałam się zająć pracą. Myśleć o Pacie. Sprawa już była zamknięta.

Zamknięta? Może i tak. Mnie jednak zawsze się wydawało, że ta ponura historia nie znalazła swojego zakończenia. Nie umiałbym wyjaśnić, czemu zacząłem o niej myśleć po tak wielu latach - ale od kilku tygodni nie dawała mi spokoju.

- Pinchbeck. - W znaczeniu słownikowym to „tombak”, „coś fałszywego”. - Zmyślone nazwisko.

- Wiem. - Marlene skinęła głową. - Wciąż ogarnia mnie niepokój na myśl, że w mundurku Świętego Oswalda przemierzał korytarze z naszymi chłopcami, rozmawiał z nimi, żartował, nawet - na Boga! - ustawił się do wspólnej fotografii. Nie mogę uwierzyć, że nikt się nie zorientował...

Ja mogłem. Co więcej - nie widziałem w tym nic dziwnego. Tysiąc uczniów; wszyscy identycznie ubrani; dlaczego ktoś miałby podejrzewać, że jeden z nich jest intruzem z innego świata? Przecież to absurdalne.

- Czemu posunął się do tak niesamowitej mistyfikacji?

- Bo to było niesłychane wyzwanie - odparłem. - Chciał poczuć dreszcz emocji. Sprawdzić, czy coś podobnego jest w ogóle możliwe.

Teraz temu chłopcu przybyło piętnaście lat, zbliżał się więc do trzydziestki. Naturalnie urósł i zmężniał. Niewykluczone, że jest wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Że zamiast okularów nosi szkła kontaktowe.

Bezradnie pokręciłem głową. Do tej pory nie uświadamiałem sobie, jak bardzo chciałem wierzyć, że to Knight - i tylko Knight - jest odpowiedzialny za dopadające nas ostatnio nieszczęścia. Knight był winowajcą. Knight

surfował (jeżeli to odpowiednie słowo) po Internecie w poszukiwaniu najgorszych brudów, a potem wysyłał e-maile wykładowcom. Knight oskarżył Bishopa i pozostałych nauczycieli. Knight spalił Wartownię. Ze wstydem zdałem sobie sprawę, że prawie uwierzyłem, iż to Knight stał za artykułami podpisanymi „Kret”.

Teraz zrozumiałem, że były to z mojej strony niebezpieczne urojenia. Te przestępstwa przeciwko Świętemu Oswaldowi daleko wykraczały poza sztućbackie wybryki. Żaden chłopiec nie zdołałby ich popełnić. Ów szpieg w naszej szkole - kimkolwiek był - zamierzał prowadzić rozgrywkę do końca za wszelką cenę.

Pomyślałem o Grachvogelu, bojącym się wytknąć nos z domu.

O Tapi, zatrzaśniętej w Dzwonnicy.

O Jimmym, który (podobnie jak Snyder) został obarczony winą za wypadek.

O Fallowie, którego sekret wyszedł na jaw.

O Pearmanie i Kitty - jak wyżej.

O Knighcie, Andertonie-Pullitcie, graffiti na moim płocie, spalonej Wartowni, kradzieżach, piórze Mont Blanc, drobnych aktach dywersji i w końcu o wieńczącym dzieło zestawie - Bishopie, Devinie, Lighcie, Grachvogelu i Roachu, za jednym zamachem wypchniętych z orbity...

I znowu pomyślałem o Chrisie Keanie z jego inteligentną twarzą i ciemną grzywką; a także o Julianie Pinchbecku, który w wieku dwunastu lub trzynastu lat poważił się na tak beczelną mistyfikację, że przez piętnaście lat nikt nie mógł w nią uwierzyć.

Czy Keane był Pinchbeckiem? Keane?!

I czy Pinchbeck raz jeszcze odważyłby się na podobny wyczyn? To kłóciło się z logiką i intuicją, a mimo to łatwo mogłem sobie wyobrazić, jak to zrobił. Święty Oswald kieruje się dość szczególną polityką rekrutacji nowych nauczycieli - opartą bardziej na osobistych impresjach niż na dokumentach. Stąd teoretycznie istnieje możliwość, że ktoś bardzo inteligentny precyzyjnie się przez sito mające odsiewać niepożądane elementy (naturalnie w prywatnym sektorze nie wymaga się rutynowego prześwietlenia kandydata przez policję). Było to tym łatwiejsze, że możliwość rzucenia szkole tak zuchwałego wyzwania nigdy nie przyszłaby nam do głowy. Jesteśmy niczym straż na posterunku wysuniętym w głąb sojuszniczego kraju - paradujemy w mundurach żywcem z opery komicznej, defilujemy farsowym krokiem i padamy jak muchy w razie nieoczekiwanego ostrzału. Nigdy do tej pory nie spodziewaliśmy się ataku. Na tym polegał nasz błąd. I teraz ktoś bezkarnie dziesiątkował nasze szeregi.

- Keane? - zdumiała się Marlene. - Ten uroczy młody człowiek?

Podąłem jej garść faktów na temat tego uroczonego młodego człowieka. Notes. Hasła komputerowe. A przede wszystkim - otaczająca go subtelna aura kpiny i arogancji, jakby uczenie było jedynie zabawną rozrywką.

- A co z Knightem? - spytała Marlene.

Dużo nad tym ostatnio rozmyślałam. Oskarżenie przeciwko Bishopowi zbudowano na podstawie sprawy Knighta. SMS-y z komórki chłopca na komórkę Fata miały podtrzymać iluzję, że Knight uciekł - najprawdopodobniej ze strachu przed dalszym wykorzystywaniem...

Ale jeżeli nie Knight był winowajcą, to w takim razie kto?

Zacząłem szybko analizować sytuację. Gdyby nie telefony z komórki Knighta, incydent z Wartownią i e-maile wysyłane ze skrzynki chłopca, to czy wówczas zrodziłyby się jakieś podejrzenia, czy szkołę ogarnęłaby panika?

- Sądzę, że Knight nie żyje - odparłem. - To jedyny logiczny wniosek.
- Po co jednak zabijać Knighta?
- Żeby podnieść stawkę - powiedziałem w zamyśleniu. - Mieć pewność, że nikt i nic nie zdoła oczyścić Pata i pozostałych.

Marlene wpatrywała się we mnie blada jak płótno.

- W żadnym razie nie uwierzę, że coś podobnego zrobił Keane - oznajmiła. - Jest taki czarujący. Nawet postarał się dla ciebie o symboliczny torcik...

Bogowie!

Zupełnie wypadł mi ten torcik z pamięci, a co najgorsze - zapomniałem także o zaproszeniu Dianne, by wspólnie popatrzeć na fajerwerki, wychylić drinka, świętować...

Czyżby coś w jej zachowaniu zaalarmowało Keane'a? Może przeczytała jego notatki? Zdradziła się jakąś nieopatrnie rzuconą uwagą? Przypomniały mi się jej słowa, wypowiedziane lekko kpiącym tonem: „Jesteś zawodowym szpiegiem czy to tylko niewinne hobby?”

Poderwałem się z krzesła zbyt energicznie i poczułem natarczywe dżganie niewidzialnego palucha - zdające się nakazywać, żebym natychmiast usiadł z powrotem. Zignorowałem jednak ostrzeżenie.

- Marlene. Musimy w tej chwili iść do parku. Spieszmy się.
- Ale dlaczego do parku?
- Bo tam jest Keane - odparłem, w przelocie chwytając palto. - A razem z nim Dianne Dare.

6

Mam dziś randkę. To ekscytujące, prawda? Pierwszą od wielu lat. Bo pomimo wysiłków matki i optymizmu mojej terapeutki, jakoś nigdy nie udało mi się wykrzesać większego entuzjazmu do płci odmiennej. Nawet teraz, gdy myślę o miłości, pierwszą rzeczą, jaka przychodzi mi na myśl, są gniewne słowa Leona - „Ty mały zbrodniecu!” - i huk ciała spadającego na asfalt.

Oczywiście nikomu się z tego nie zwierzam. W zamian zabawiam terapeutkę opowiastkami o ojcu - o jego okrucieństwie, agresji i biciu. Ją to satysfakcjonuje, a i mnie niekiedy zdarza się uwierzyć w legendy. Ba, nawet czasami udaje mi się wymazać z pamięci widok Leona skaczącego z parapetu i jego twarz w kolorze sepii - jakby wynurzającej się z zamierzchłej przeszłości.

„To nie twoja wina”. Przez wiele dni po wypadku te słowa nieustannie dźwięczały mi w głowie. A mimo to ciągle trzęsło mną wewnętrzne zimno i męczyły mnie koszmarnie sny. Do tego zalewała fala rozpacz i strach przed zdemaskowaniem. Do dziś uważam, że wtedy na jakiś czas ogarnęło mnie szaleństwo. Matka ochoczo zabrała się do transformacji swojego dziecka, które z kolei rzuciło się w ten wir przemiany z żarliwością religijnego zeloty, byle tylko jak najszybciej wyzbyć się wszelkich cech Pinchbecka.

Naturalnie te wszystkie obsesje są już za mną. Poczucie winy, jak twierdzi moja terapeutka, jest naturalną reakcją rzeczywistej ofiary. Od dawna pilnie pracuję nad wyzbyciem się owego poczucia i, jak mi się zdaje, robię satysfakcjonujące postępy. Moja terapia działa. Oczywiście nie zamierzam wtajemniczać psychołożki w prawdziwą naturę mojej terapii; najważniejsze, że w jej opinii już niemal udało mi się zwalczyć kompleks winy.

By osiągnąć katharsis, muszę wykonać jeszcze jedno drobne posunięcie.

Ale na razie - ostatni rzut oka w lustro przed randką.

Wyglądasz świetnie, Snyde. Doprawdy doskonale.

Piątek, 5 listopada, godz. 19.30

Normalnie drogę od domu do parku pokonuję w piętnaście minut. Tym razem dotarliśmy tam z Marlene w pięć. Mgła nieco opadła, księżyc otaczało piękne okazałe halo, a wystrzeliwane od czasu do czasu fajerwerki rozbłyskały na niebie niczym błyskawice.

- Która godzina?

- Wpół do ósmej. Już zapewne szykują się do rozpalenia ogniska.

Przyspieszyłem kroku, okrążając grupkę dzieci ciągnącą na wózku kukłę do spalenia.

- Da pan funciaka na Guy - zagadnęły.

Funciaka? Za moich czasów prosiło się o pensa. Lekceważąc dzieci, jeszcze żwawiej ruszyliśmy z Marlene w mrok nasycony dymem i rozświetlany ognistymi skrami. Magiczna noc - jak za czasów mojego dzieciństwa prześlągnięta zapachem dymu i jesiennych liści.

- Nie jestem pewna, czy akurat my powinniśmy zajmować się tą sprawą.

- Zdrowy rozsądek, jak zwykle, nie opuszczał Marlene. - Może raczej należałoby iść na policję i o wszystkim im opowiedzieć?

- Myślisz, że by uwierzyli? W ogóle się tym zainteresowali?

- Może nie. Niemniej uważam...

- Posłuchaj, Marlene. Chcę z nim jedynie porozmawiać. Jeżeli mam rację i Keane rzeczywiście jest Pinchbeckiem...

- Absolutnie w to nie wierzę.

- Ale gdyby tak było, Dianne Dare groziłoby poważne niebezpieczeństwo.

- Jeżeli tak byłoby w istocie, to niebezpieczeństwo groziłoby przede wszystkim tobie, stary głupcze.

- Naprawdę? - Do tej pory podobna myśl nawet nie zaświtała mi w głowie.

- Przy bramie stoją radiowozy - powiedziała Marlene rzeczowo. - Pójdę

porozmawiać z kimś, kto tu dowodzi, ty natomiast spróbuj odnaleźć Dianne. Jeżeli się okaże, że jesteś w błędzie - a jestem pewna, że jesteś - wówczas wspólnie oddamy się świętowaniu, dobrze? I po tych słowach się rozeszliśmy - każde w swoją stronę.

Dojrzeliliśmy jasną poświatę z ulicy, jeszcze zanim przekroczyliśmy bramy parku, przy których stał niewielki tłumek. Bileterzy dwoili się i troili w przyjmowaniu drobnych za wstęp. Za bramą natomiast zgromadziły się tysiące ludzi - masa anonimowych głów i twarzy.

Pod stos już podłożono ogień - wkrótce będzie to wieża ognia wyciągająca się ku jesiennemu niebu. Kukła, usadzona na zdezelowanym fotelu, mniej więcej w połowie wysokości stosu, zdawała się dominować nad całą scenografią niczym Król Karnawału.

- Nigdy ich tu nie znajdziesz - szepnęła Marlene. - Jest za ciemno, a poza tym... spójrz tylko na te tłumy...

Przyznaję, w tym roku do parku ściągnęła niebywała liczba ludzi - nigdy nie przypuszczałem, że wspólne obchody Wieczoru Ognisk stały się teraz tak popularne. Wokół głównie widać było rodziny - mężczyzn niosących małe dzieci na ramionach; nastolatków w maskaradowych strojach; młodych ludzi z dziwnymi czułkami na głowach i z neonowymi różdżkami w dłoniach, zajądających się cukrową watą. Za ogniskiem rozciągała się strefa jarmarcznych uciech - automaty do gry, strzelnica, basenik z gumowymi kaczkami do złowienia na wędkę, Wieża Grozy, karuzele i diabelski młyn.

- Znajdę ich z pewnością - oświadczyłem. - Ty zajmij się policją.

Po przeciwnej stronie niewielkiej polany, niemal niewidocznej z powodu nisko ścielącego się oparu, za moment miał się rozpocząć pokaz sztucznych ogni. Owo miejsce otaczał szeroki kordon dzieci. Trawa pod moimi stopami była powleczone warstwą błota. Wokół rozbrzmiewał gwar rozmów i dźwięki kilku różnych rodzajów muzyki, za moimi plecami zaś szalał ognisty żywioł. Złożone na stosie palety co rusz gwałtownie wybuchały, wydzielając przy tym ogromne ilości ciepła.

Chwilę później rozpoczął się spektakl. Rozległy się pojedyncze oklaski, a zaraz po nich pełne zachwyty: Ooooo!, gdy race rozkwitały w górze i gwałtownie rozświetlały mgłę czerwono-niebieską luną. Przeciskałem się w tłumie, przyglądając się twarzom skąpanym teraz w neonowych kolorach. Z trudem powłóczyłem stopami po błocie, w gardle zaschło mi od dymu. Świat wokół zdawał się obłądnie surrealistyczny - niebo płonęło ogniem, a w jego blasku ludzkie twarze przypominały renesansowe demony.

Gdzieś wśród tych ludzi jest Keane, pomyślałem. I w tym samym momencie ogarnęło mnie przynębiające zwątpienie - zupełnie - nietypowa dla mnie niewiara we własne siły. Przypomniało mi się, jak gonilem chłopców z

Sunnybank, jak stare nogi mnie zawiodły, a chłopcy umknęli z szyderczym śmiechem, zwinnie przeskakując przez płot. Pomyślałem o Pooleyu i jego przyjaciółach z Zarządu oraz o swoim zasłabnięciu w Środkowym Korytarzu, tuż pod gabinetem Dyrektora. A także o słowach Bishopa - „Tracisz parę”, i młodym Bevansie - prawdę mówiąc, teraz już nie takim młodym - oraz o delikatnym, ale ciągłym dźganiu niewidzialnego palca. Mam sześćdziesiąt pięć lat, powiedziałem sobie w duchu, jak długo jeszcze zdołam zachowywać pozory? Zaszczytne miano centuriona oddalało się ode mnie w zawrotnym tempie - dzieliły mnie od niego eony, zięjące lodowatą czernią nieskończoności.

Po dziesięciu minutach zdałem sobie sprawę, że moja misja jest beznadziejna. Próba odnalezienia konkretnej twarzy w tym chaosie była niczym opróżnianie pełnej wanny łyżeczką. Kątem oka pochwyciłem Marlene - stała jakieś sto jardów ode mnie i prowadziła poważną rozmowę ze znikającym funkcjonariuszem.

Każda tego typu impreza zapowiada ciężką noc dla naszych miejscowych sił prawa i porządku. Bójki, wypadki i kradzieże mnożą się jak grzyby po deszczu; w tłumie i pod osłoną nocy w zasadzie wszystko może się zdarzyć. Mimo to Marlene musiała być przekonująca, bo znikany funkcjonariusz sięgnął po walkie-talkie. Niestety, nie widziałem, co się wydarzyło potem, bo nieoczekiwanie duża grupa ludzi zasłoniła mi tych dwoje.

Nagle zdałem sobie sprawę, że nie najlepiej się czuję. Może z powodu gorąca bijącego od płomieni, a może wcześniej wypitego korzennego wina. W każdym razie z przyjemnością oddaliłem się od ogniska. W pobliżu drzew było chłodniej, ciemniej i mniej hałaśliwie. I mimo że dźganie niewidzialnego palca lekko zapierało mi dech, od razu poczułem się lepiej.

Mgła znowu się podnosiła, a rozjaśniona fajerwerkami stała się mlecznie świetlista, więc świat wokół przypominał wnętrze chińskiego lampionu. Teraz niemal każdego młodego mężczyznę brałem za Keane'a. Ale tymczasem okazywało się, że to zupełnie inny człowiek - tyle że też o wyrazistych rysach i z ciemną grzywką. Wszyscy oni obrzucali mnie szczególnym spojrzeniem, po czym odwracali się ku żonie (dziewczynie, dziecku). Mnie jednak wciąż nie opuszczało przekonanie, że Keane jest gdzieś w pobliżu. Podpowiadał mi to instynkt człowieka, który trzydzieści trzy lata swojego życia spędził na wykrywaniu bomb z mąki nad drzwiami i tropieniu autorów graffiti wrytych na blatach ławek. Keane tu był. Niemal fizycznie wyczuwałem jego obecność.

Po trzydziestu minutach pokaz dobiegał końca. Jak zwykle organizatorzy zatrzymali najefektowniejsze race na koniec. W niebo wystrzeliły więc roziskrzony bukiet, fontanny i wirujące koła, które rozjarzyłyby niebo nawet w

najbardziej mglistą i ciemną noc. Raz po raz opadała ku mnie kaskada diamentowego deszczu, tak oślepiającego, że niemal po omacku przesuwałem się w tłumie. Bolała mnie lewa noga i przez całą lewą stronę mojego ciała przebiegał dziwny prąd, jakby moje tkanki się rozłaziły - niczym szew w boku starego pluszowego misia, wypływający trociny.

Chwilę później, w blasku apokaliptycznego światła, dojrzałem pannę Dare, stojącą samotnie, nieco na uboczu. W pierwszej chwili pomyślałem, że pewnie znów się pomyliłem, ale wątpliwości zniknęły, gdy zwróciła ku mnie twarz, na pół zasłoniętą przez czerwony beret, mimo to oświetloną jaskrawym błękitem.

Jej rysy wzbudziły we mnie jakieś niejasne, ale naładowane emocjami wspomnienie i ogarnęło mnie przeświadczenie, że zaraz stanie się coś strasznego. Ruszyłem biegiem w stronę dziewczyny, ślizgając się na mazistym błocie.

- Panno Dare! Gdzie jest Keane?

Miała na sobie dopasowany czerwony płaszcz, w tym samym kolorze co beret. Uśmiechnęła się figlarnie, gdy - zziąjany - stanąłem u jej boku.

- Keane? - zdziwiła się. - Musiał odejść.

Piątek, 5 listopada, godz. 20.30

Przyznaję, że gdy nie zobaczyłem Keane'a u boku Dianne, poczułem się kompletnie zbity z tropu. Tak mnie to zdumiało, że przez dłuższą chwilę z idiotyczną miną wpatrywałem się w bladą twarz dziewczyny i wsłuchiwałem w ogłuszające bicie swojego serca.

- Czy coś się stało? - spytała w końcu panna Dare.

- Och, nie. Jedynie stary dureń zabawia się w detektywa, to wszystko.

Uśmiechnęła się, słysząc moje słowa.

Teraz wystrzeliwano już ostatnie fajerwerki. Tym razem w odcieniu tropikalnej zieleni - w pięknym, kojącym kolorze, zmieniającym wszystkich wokół w Marsjan. Była to przyjemna odmiana po wcześniejszych błękitach, które wzbudzały we mnie niepokój, bo przypominały niebieskie światła ambulansu, natomiast czerwienie...

Ponownie obudziło się we mnie jakieś niejasne wspomnienie. Miało związek z kolorowymi światłami, ich migotaniem na jakiejś twarzy...

- Panie Straitley - odezwała się Dianne miękkiem głosem. - Nie wygląda pan najlepiej.

Prawdę mówiąc, rzeczywiście nie czułem się dobrze - zapewne z powodu tego dymu i żaru. Nie miałem jednak ochoty się nad tym zastanawiać. Teraz bardziej interesowała mnie stojąca obok młoda kobieta, której - jeżeli wierzyć mojemu instynktowi - nadal groziło niebezpieczeństwo.

- Proszę posłuchać, Dianne. - Chwyciłem ją za ramię. - Muszę koniecznie o czymś pani opowiedzieć.

Zacząłem od notesu. Potem przeszedłem do Kreta i Pinchbecka, wyjaśniłem okoliczności śmierci Leona Mitchella i Johna Snyde'a. Całe moje rozumowanie opierało się jedynie na poszlakach, ale im dłużej o nich myślałem i mówiłem, tym moje hipotezy układały się w coraz spójniejszą całość.

Keane sam mi powiedział, że był uczniem Sunnybank Park. Aż trudno sobie wyobrazić, jakim piekłem podobna szkoła musiała być dla inteligentnego, rozmiłowanego w książkach chłopca. Nauczyciele zapewne nie lubili go niemal tak samo jak uczniowie. Zobaczyłem go oczami wyobraźni - smutne, samotne dziecko, nienawidzące szkoły, nienawidzące rówieśników, najchętniej uciekające w świat fantazji.

Być może z początku było to rozpaczliwe wołanie o pomoc. A może żart lub odruch buntu przeciw prywatnej szkole i reprezentowanym przez nią wartościom. Gdy chłopiec odważył się na pierwszy krok - reszta zapewne już była prosta. Kiedy miał na sobie mundurek, wszyscy traktowali go jak jednego z naszych uczniów. Już widzę, jak emocjonujące musiało być dla niego wcielenie się w Niewidzialnego Człowieka - przechadzanie się starymi, majestatycznymi korytarzami, zagłądanie do klas czy wtapianie się w tłum chłopców. Wciąż czuł się samotny, bo z nikim nie mógł się dzielić tym dreszczem emocji - emocji wszechogarniającej, która wkrótce przerodziła się w mroczną obsesję.

Dianne słuchała mnie w milczeniu. Oczywiście nie miałem żadnych dowodów na potwierdzenie swoich słów, ale intuicja i doświadczenie podpowiadały mi, że mam rację. Im dłużej snułem swoją opowieść, tym wyraźniej widziałem Keane'a-dziecko, czułem i rozumiałem koszmar jego życia.

Zastanawiałem się, czy Leon Mitchell znał prawdę. Marlene w każdym razie dała się nabrać na mistyfikację Juliana Pinchbecka - podobnie zresztą jak ja.

Wyjątkowo opanowany ten Pinchbeck - szczególnie jak na tak młodego chłopca. Nawet wtedy, na dachu, zachował zimną krew - umknął zwinnie jak kot, rozpląnął się w mroku. I pozwolił, żeby oskarżono Johna Snyde'a, byle tylko uniknąć zdemaskowania.

- Być może się wygłupiali. Wiadomo, jacy są chłopcy. Idiotyczna zabawa, która zaszała zdecydowanie za daleko. Leon spadł. Pinchbeck uciekł. Konsekwencje poniósł Portier, więc zapewne chłopak od piętnastu lat zmaga się z poczuciem winy.

Aż strach pomyśleć, jakie spustoszenie podobne wydarzenia mogą spowodować w psychice dziecka. Ponownie przywołałem przed oczy obraz Keane'a - próbowałem odnaleźć choćby cień zgorzknienia w jego twarzy. Nadaremno. Dostrzegałem nieznaczące lekceważenie, ledwo skrywaną ironię - szczególnie w wygłaszaniu sądów. Ale jad i zło - prawdziwe zło? W żadnym razie. A jednak... Jeżeli nie Keane był Pinchbeckiem, to kto?

- Igra z nami jak kot z myszą - powiedziałem pannie Dare. - Taki jest jego styl. Swoiste poczucie humoru. Prowadzi tę samą rozgrywkę co przed laty, tyle że tym razem postanowił doprowadzić partię do końca. Już nie wystarcza

mu przemykanie po kątach i krycie się w cieniu. Chce ugodzić Świętego Oswalda w najczulsze miejsce - zadać szkole śmiertelny cios.

- Ale dlaczego?

Westchnąłem i nagle poczułem się strasznie zmęczony.

- Lubilem go - powiedziałem ni z gruszki, ni z pietruszki. - I nadal lubię.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeliśmy.

- Czy zawiadomił pan policję? - spytała w końcu Dianne.

- Marlene to zrobiła.

- W takim razie z pewnością go znajdą - odparła. - Proszę się nie martwić, panie Straitley. Zdaje się, że jednak uda nam się dzisiaj wychylić wspólnie tego drinka z okazji pańskich urodzin.

Nie muszę chyba nadmieniać, że moje urodziny owego roku przebiegały w żałobnej atmosferze. Ale cóż, należało odprawić ten rytuał i sięgnąć po prezenty wciąż leżące pod łóżkiem, opakowane w jaskrawe bibułki. Tam też znajdowały się listy - wszystkie listy wcześniej przeze mnie pogardliwie odrzucone. Teraz nadszedł czas, by je przeczytać - obsesyjnie skoncentrować się na każdym słowie - na każdej nonsensownej frazie.

Kochany Skrzacie,

Czy dotarły do Ciebie ubrania, które Ci wysłałam? Mam nadzieję, że wszystkie są w dobrym rozmiarze! Tutaj, w Paryżu, dzieci strasznie szybko dorastają, a ja chcę, żeby moje dziecko wyglądało najpiękniej, gdy przyjedzie z wizytą. Jakże ten czas szybko leci. Wprost nie mogę uwierzyć, że dobiegam już trzydziestki. Lekarz twierdzi, że nie będę mogła mieć więcej dzieci. Dziękuję więc niebiosom, że wciąż jeszcze mam Ciebie, mój najdroższy skarbie. To tak, jakby pan Bóg dał mi w życiu drugą szansę.

W paczkach znajdowało się całe mnóstwo ciuchów - dziecko Johna Snyde'a nie miało ich tyle w całym swoim życiu. Leżały tam eleganckie komplety z Printemps i Galerii Lafayette, swetry w pastelowych kolorach, dwa płaszcze (czerwony na zimę, zielony na wiosnę i jesień) oraz mnóstwo T-shirtów, bluzek i szortów.

Policjanci obeszli się ze mną bardzo delikatnie. I trudno, żeby było inaczej - mieli przed sobą przerażonego dzieciaka w autentycznym szoku. Przysłali miłą funkcjonariuszkę, i żeby ją zmiękczyć, wystarczyło mówić prostymi zdaniami i od czasu do czasu uronić parę łez. Poza tym w kółko ktoś mi powtarzał, że zachowuję się bardzo dzielnie. Matka była ze mnie dumna; miła funkcjonariuszka była ze mnie dumna - oznajmiła, że mam tylko szczerze odpowiadać na pytania i niczego się nie bać.

Według oficjalnego komunikatu szkoły był to tragiczny wypadek. Samobójstwo ojca, ku zadowoleniu wielu stron, definitywnie zamknęło sprawę. Po swojej śmierci John Snyder doczekał się nawet kilku pochlebnych i pełnych

współuczucia artykułów w gazetach. Uznano, że targnął się na swoje życie, nie mógł bowiem sobie wybaczyć, iż tak tragiczny wypadek zdarzył się akurat wtedy, gdy szkoła znajdowała się pod jego wyłączną opieką, natomiast inne szczegóły - łącznie z obecnością na dachu tajemniczego chłopca - szybko uznano za nieistotne.

Pani Mitchell, która mogła wielu osobom przysporzyć problemów, otrzymała wyjątkowo wysokie odszkodowanie i ofertę pracy w charakterze sekretarki Bishopa, z którym się blisko zaprzyjaźniła po śmierci Leona. Tymczasem Bishop - świeżo mianowany na eksponowane stanowisko - usłyszał wprost od Dyrektora, że dalsze śledztwo w sprawie owego nieszczęsnego incydentu zaszkodzi zarówno reputacji Świętego Oswalda, jak i dalszej karierze Drugiego Mistrza.

Został więc tylko Straitley. Wówczas był niemal taki sam jak dzisiaj - przedwcześnie posiwiął, lubujący się w absurdalnym humorze, trochę szczuplejszy niż obecnie, jednak już wtedy niezdarły w ruchach - powłóczący nogami Quasimodo w przykurzonej todze. Leon nigdy nie darzył go takim szacunkiem jak ja - uważał go za dobrotliwego bufona, sympatycznego, na swój sposób inteligentnego, ale zupełnie niegroźnego. Tymczasem to Straitley był najbliższy odkrycia prawdy i tylko jego arogancja - arogancja tak typowa dla Świętego Oswalda - uczyniła go ślepym na oczywiste fakty.

To powinno wzbudzić we mnie ulgę i swoistą wdzięczność. Problem w tym, że ktoś tak utalentowany jak ja pragnie być doceniony, więc ze wszystkich zniewag, jakie mnie spotkały ze strony szkoły, tę pamiętam najbardziej: zdziwienie w oczach Straitleya, potem pełne protekcyjności spojrzenie i zdecydowaną odprawę - już po raz drugi w moim życiu.

Oczywiście w pierwszych dniach po wypadku wszystko mąciło mi się w głowie. Przygniatały mnie wyrzuty sumienia, rozpacz i strach. Życie jeszcze mnie nie nauczyło, że poczucie winy - jak wszystko inne - z czasem blednie i znika. Może owego wieczoru moim marzeniem było, żeby mnie ktoś jednak zdemaskował; udowodnił, że Porządek wciąż rządzi światem; by mit Świętego Oswalda pozostał nietknięty, a przede wszystkim - by po tych pięciu latach wreszcie znaleźć się w świetle jupiterów.

A Straitley? W moich wyobrażeniach to zawsze on, a nie Dyrektor, był królem - przywódcą wrogiej armii. Król jest powolny i o ciężały, ale to potężny i groźny przeciwnik. Niemniej może go obalić nawet drobny pionek, pod warunkiem że ustawi się na strategicznie dogodnej pozycji. Ale nie takie były wówczas moje marzenia. Choć brzmi to absurdalnie, nie zależało mi na zdetronizowaniu starego łacinnika, ale zasłużeniu sobie na jego szacunek, jego akceptację. I na wyzwoleniu się z roli Niewidzialnego Człowieka - ducha przemykającego po korytarzach Świętego Oswalda. Moim największym pragnieniem było, żeby Roy Straitley wreszcie mnie dostrzegł i przyznał, że w rozgrywce ze mną przegrał - albo najwyżej zremisował.

Oczywiście w końcu przyszedł do Wartowni - w dniu moich urodzin, spędzonym głównie na zakupach z matką i omawianiu mojej przyszłości.

Kiedy tylko rozległo się pukanie do drzwi, nie ulegało dla mnie wątpliwości, kto za nimi stoi. Bo widzicie, niewiele osób znało Straitleya tak dobrze jak ja - mimo że przyszło mi go oglądać i słuchać tylko na odległość. Było dla mnie jasne, że on w żadnym razie się nie zgodzi na zatuszowanie wypadku. Surowy, ale sprawiedliwy - taki jest Roy Straitley. Nie wierzył w winę Portiera, nie interesowała go reputacja Johna Snyde'a; na dodatek kompletnie lekceważył ledwie zawołowane pogrożki Nowego oraz spekulacje w „Examinerze”. Przede wszystkim chciał wyjaśnić, co naprawdę się stało - nie bacząc na fakt, że prawda mogłaby zaszkodzić Świętemu Oswaldowi. Leon był uczniem Straitleya, dla którego nic nie liczyło się tak bardzo jak jego chłopcy.

Z początku matka nie chciała go wpuścić. A przychodził tu już dwukrotnie. Za pierwszym razem - gdy dziecko Sharon wciąż jeszcze spało, za drugim - gdy gorączkowo pozbywało się mundurka Pinchbecka i przebierało w nowe paryskie ubrania wyjęte z pięknie opakowanych pudeł.

- Pani Snyde, proszę tylko, żeby przez moment pozwoliła mi pani porozmawiać...

Stali w salonie. Przez drzwi prowadzące do kuchni dobiegał mnie głos matki. Jej teraz elegancko zaokrąglane samogłoski wciąż brzmiały dla mnie obco.

- Mówiłam już panu, że to był dla nas bardzo ciężki dzień, więc sądzę, że nie...

Wyraźnie wyczuwało się, że Straitley czuł się niepewnie w towarzystwie kobiet. Stał w drzwiach, na tle wieczornego mroku, z opuszczoną głową i rękami wciśniętymi w kieszenie starej tweedowej marynarki.

Naprzeciwno niego - moja matka. Gotowa do konfrontacji, bardzo paryska w pastelowym bliźniaku i z perłami na szyi. Kobiecość deprymowała Straitleya. Zdecydowanie wolałby rozmawiać z moim ojcem i bez zbędnych ceregieli przejść do sedna sprawy.

- Może jednak mógłbym zamienić kilka słów z dzieckiem.

Zerknięcie w gładką stal czajnika, żeby sprawdzić, jak wyglądam.

Wysiłki matki nie poszły na marne. Błyszczące, świeżo obcięte i ułożone włosy, kosztowne nowiutkie ubranie. Wystarczy, że zdejmę okulary, a z pewnością zdam test celująco.

- Panie Straitley, obawiam się, że w niczym nie możemy...

Kiedy usłyszał skrzyp kuchennych drzwi, przeniósł na mnie wzrok. Po raz pierwszy spojrzął na mnie, nie na Pinchbecka. Matka doskoczyła do mojego boku, w każdej chwili gotowa bronić mnie jak lwica. Roy Straitley podszedł bliżej i wówczas dobiegł mnie kojący zapach pyłu kredowego i dymu gauloise'ów. Kusiło mnie, żeby powitać go po łacinie, w porę jednak przypomniało

mi się, że teraz odgrywam nową rolę. Czy Straitley mnie pozna pomimo tak innego kostiumu?

Przez chwilę wydawało się, że tak. Wyjątkowo bacznie mi się przyglądał lekko zwężonymi oczami. Potem uściśnął delikatnie moją wyciągniętą dłoń.

Prześliznął się wzrokiem po mojej idealnie domytej twarzy, pastelowym swetrze, błyszczących butach. Po jego minie widać było, że nie spodziewał się takiego widoku, i z trudem udało mi się stłumić chichot. Matka też dostrzegła jego zdziwienie i uśmiechnęła się szeroko, dumna ze swojego dzieła. A trzeba przyznać, że dokonała cudu.

- Dobry wieczór. Przepraszam za najście. Nazywam się Straitley, jestem wychowawcą Leona Mitchella.

- Miło mi pana poznać, sir. Ja nazywam się Julia Snyde.

10

Chciało mi się śmiać. Od tak wielu lat nie myślałam o sobie jako o Julii. Przede wszystkim nigdy jej nie lubiłam - mój ojciec też jej nie lubił - więc fakt, że teraz stałam się nią naprawdę, wzbudzał we mnie dziwne uczucia. Wiedziałam, że pod wieloma względami przerosłam Julię, tak jak przerosłam Sharon. Moja matka zdołała stworzyć siebie na nowo. Czemu mnie nie miałyby się udać podobna sztuka?

Straitley, oczywiście, nie zorientował się w sytuacji. Dla niego kobiety są istotami innej rasy, które należy podziwiać z bezpiecznej odległości. Bardzo swobodnie i bezpośrednio odnosi się do chłopców; w obecności Julii lekko się speszył i zeszywniał.

- W żadnym razie nie chciałbym cię niepokoić - powiedział.

Skinęłam głową.

- Muszę jednak spytać, czy znasz chłopca o nazwisku Julian Pinchbeck?

Ogarnęło mnie uczucie ulgi, ale i rozczarowanie. Bo czegoś więcej spodziewałam się po Straitleyu. Praktycznie miał rozwiązanie przed oczami. A jednak go nie dostrzegął. Zaślepiła go arogancja - specyficzna, męska arogancja stanowiąca fundament Świętego Oswalda.

Julian Pinchbeck.

Julia Snyder.

- Pinchbeck? - powtórzyłam. - Nie znam nikogo takiego, sir.

- Mniej więcej w twoim wieku. Chudy, ciemnowłosy, w okularach o metalowych oprawkach. Niewykluczone, że jest uczniem Sunnybank Park. Możliwe, że go też spotykać w pobliżu Świętego Oswalda.

Pokręciłam stanowczo głową.

- Przykro mi, sir.

- Wiesz, dlaczego cię o to pytam, prawda, Julio?

- Tak, sir. Podejrzewa pan, że ten chłopak był tutaj zeszłej nocy.

- Ja wiem, że był - rzucił ostro Straitley. Ale szybko odchrząknął i podjął

dużo łagodniejszym tonem: - Myślałem, że ty może też go widziałaś.

- Nie, sir. - Kolejne potrząśnięcie głową. Ta cała sytuacja była niesamowita. Jakim cudem Straitley mnie nie rozpoznał? Czy dlatego, że jestem dziewczyną? A może - bo jestem hołotą, proletem? Czy możliwe, by tak właśnie myślał o Julii Snyde?

- Jesteś pewna? - spojrzął na mnie przenikliwie. - Widzisz, ten chłopiec jest ważnym świadkiem. Był na dachu. Widział dokładnie, co się stało.

Wbiłam wzrok w błyszczące czubki swoich lakierków. Miałam wielką ochotę wszystko mu opowiedzieć - tylko po to, żeby zobaczyć wyraz jego twarzy. Ale on zapewne zacząłby wypytywać o Leona, a o Leonie w żadnym razie nie mogłam z nim rozmawiać. Zbyt wiele poświęciłam dla tej sprawy. Dla niej też byłam gotowa przełknąć dumę.

Spojrzałam na niego i pozwoliłam, by oczy napełniły mi się łzami. W zaistniałych okolicznościach nietrudno było zmusić się do płaczu. Pomyślałam o Leonie, o moim ojcu i o mnie samej, i łzy zaczęły lecieć po policzkach.

- Bardzo mi przykro. Ja go nie widziałam.

Teraz stary Straitley wyglądał na mocno skonfundowanego - dokładnie tak samo jak parę tygodni temu, gdy Kitty Teague przechodziła drobny kryzys w pokoju nauczycielskim.

- No już... już... - mruknął, podając mi wielką, lekko przybrudzoną chustkę do nosa.

Matka spiorunowała go wzrokiem.

- Jest pan zadowolony? - rzuciła i objęła mnie ramieniem. - Po tym wszystkim, przez co to biedne dziecko musiało przejść...

- Pani Snyde, ja doprawdy...

- Myślę, że na pana już czas.

- Julio, proszę, jeżeli wiesz cokolwiek o...

- Panie Straitley, proszę wyjść.

Z powrotem włożył ręce do kieszeni i niechętnie ruszył w stronę drzwi, rozdarty pomiędzy poczuciem winy a podejrzeniami.

Bo miał jakieś podejrzenia - zdradzały to jego oczy. Był bardzo daleko od rozwikłania zagadki, ale lata nauczania wyculiły go na zachowania dzieci - miał w sobie jakiś szczególnie radar, który coś w moim zachowaniu musiało zaalarmować.

- Julian Pinchbeck. Jesteś pewna, że nigdy o nim nie słyszałaś?

W milczeniu pokręciłam głową, ale w środku trzęsłam się ze śmiechu.

Przygarbił się, a gdy matka otworzyła przed nim drzwi, odwrócił się gwałtownie i spojrzął mi w oczy - następnym razem miał to zrobić dopiero po piętnastu latach.

- Nie chciałem cię zdenerwować - powiedział. - Wszyscy bardzo martwimy się losem twojego taty. Rzecz w tym, że Leon Mitchell to jeden z moich uczniów. Jestem odpowiedzialny za moich chłopców...

Raz jeszcze skinęłam głową.

- *Vale, magister.* - To był ledwie słyszalny szept, ale gotowa byłabym przysiąc, że dobiegły go moje słowa.

- Słucham?

- Dobranoc, sir.

Niedługo po tym wyjechałyśmy do Paryża. Nowe życie - tak mawiała moja matka. Nowe życie dla jej małej dziewczynki. Ale sprawy wcale nie potoczyły się gładko. Przede wszystkim - nie polubiłam Paryża. Tęskniłam za dawnym domem, za lasami i za zapachem świeżo skoszonej trawy rozwiewanej łagodną bryzą po boiskach. Matka nie znosiła mojego mało dziewczęcego sposobu bycia i oskarżała ojca, że zrobił ze mnie chłopczycę. Nigdy nie chciał córki, utyskiwała. Lamentowała z powodu moich krótkich włosów, płaskiej piersi, odrapanych kolan. Utrzymywała, że z winy Johna bardziej przypominam niedomytego chłopaka niż subtelną panienkę z jej wyobrażeń. Ale to wkrótce miało się zmienić - tak przynajmniej zapowiadała. Po prostu potrzebuję czasu, żeby rozkwitnąć.

Bóg mi świadkiem, że się starałam. Spokojnie znosiłam niekończące się wyprawy po zakupy, przymiarki u krawcowej, wizyty u kosmetyczki i wizażystki. Każda dziewczyna marzyłaby o takiej transformacji - och, być jak Gigi czy Eliza Doolittle, przeistoczyć się z brzydkiego kaczątka w pełnego gracji łabędzia. Takie w każdym razie były ambicje Sharon. I teraz energicznie usiłowała wprowadzić je w życie.

Dzisiaj pozostało niewiele śladów po owej działalności matki. Jestem teraz dużo bardziej wyrafinowana i mniej ostentacyjna w stroju. Dzięki czterem latom spędzonym w Paryżu mówię płynnie po francusku, i chociaż nie spełniłam nadziei Sharon, uważam, że mam specyficzny styl i szyk. Mam też niezwykle wybujałe poczucie własnej wartości - a przynajmniej tak twierdzi moja terapeutka - podobno miejscami ocierające się o patologię. Być może. Ale jeśli nie ma się rodziców, gdzie szukać aprobaty jak nie u samej siebie?

Kiedy skończyłam czternaście lat, matka wreszcie uświadomiła sobie, że nigdy nie będę piękną. Nie miałam odpowiedniego typu urody. *Un style très anglais* - jak często mawiała wizażystka (wredna suka!). Minispódniczki i uroczę sweterki - które tak pięknie leżały na francuskich dziewczynkach

- sprawiały, że wyglądałam jak dziwadło. Szybko więc z nich zrezygnowałam i wróciłam do džinsów, sportowych bluz i adidasów z lat swojego dzieciństwa. Nie chciałam się malować i zawsze krótko obcinałam włosy. Nie wyglądałam już jak chudy, niedomyty chłopak, ale dla wszystkich stało się oczywiste, że Audrey Hepburn to ze mnie też nie będzie.

Matka nie była tak bardzo rozczarowana, jak mogłoby się wydawać. Pomimo jej wybujałych oczekiwań nie udało nam się zaprzyjaźnić i stworzyć rodzinnych więzów. Miałyśmy ze sobą niewiele wspólnego, i w końcu jej odechciało się starać. A przede wszystkim razem z Xavierem dokonali niemożliwego - w sierpniu, w rok po moim przyjeździe do Francji, urodziło im się dziecko.

To przesądziło sprawę. Z dnia na dzień stałam się kłopotliwym ciężarem. Ów cud z nieba - dali mu na imię Adeline - wyrugował mnie z rynku i zarówno matka, jak i Xavier (który notabene nie miał na żaden temat własnego zdania) przestali się interesować dziwaczną nastolatką. I tak raz jeszcze stałam się niewidzialna.

Och, skłamałabym, gdybym powiedziała, że mnie ta sytuacja zmartwiła. Nie miałam nic przeciwko Adeline - która dla mnie wyglądała jak popiskujący kawał różowej plasteliny. Tym, co mnie wkurzało, była obietnica - obietnica czegoś, co zanim na dobre zostało mi podarowane, niespodziewanie sprzątnięto mi sprzed nosa. Fakt, że tego czegoś w gruncie rzeczy nie chciałam, nie miał żadnego znaczenia. Natomiast znaczenie miała niewdzięczność matki. Przecież ja się dla niej poświęciłam. To dla niej zrezygnowałam ze Świętego Oswalda. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, Święty Oswald zdawał mi się Edenem - rajem utraconym. Zapomniałam, jak bardzo go nienawidziłam; jak przez lata prowadziłam z nim wojnę; zapomniałam, że za jednym zamachem pozbawił mnie przyjaciela, ojca i dzieciństwa. Całymi godzinami rozmyślałam o Świętym Oswaldzie i wydawało mi się, że tylko w jego murach żyłam naprawdę. Tam snułam śmiałe marzenia, tam poznałam, co to radość i pożądanie. Tam byłam bohaterem, dzielnym buntownikiem. Tutaj - kolejnym ponurym nastolatkiem z ojczymem zamiast ojca i matką nieustająco kłamiącą na temat swojego wieku.

Dzisiaj już wiem, że Święty Oswald stał się moim nałogiem - śmiertelnie uzależniającym narkotykiem. Tęskniłam za nim dniami i nocami i gdzie mogłam, wynajdywałam marne substytuty. Oczywiście szybko mnie nudziły. Moje *lycée* było bezbarwnym miejscem, gdzie najodważniejsi buntownicy posuwali się jedynie do drobnych, typowych dla nastolatków grzeszków: trochę seksu, nieśmiałe wagary i eksperymenty z miękkimi narkotykami. Ja i Leon, już lata wcześniej, mieliśmy o wiele śmielsze wyczyny na swoim koncie. Więc wciąż mi było mało. Chciałam łamać wszystkie zakazy, przekraczać wszelkie granice.

W owym czasie nie zauważyłam, że swoim zachowaniem zaczynam ściągać na siebie uwagę. Byłam młoda, gniewna, odurzona. Można powiedzieć,

że Święty Oswald mnie rozpaskudził. Czułam się jak student, którego na rok wysyłają z powrotem do przedszkola, żeby sobie do woli psuł zabawki i wywraçał lilipucie stoliki. Największą przyjemność sprawiało mi deprawowanie rówieśników - wywieranie tak zwanego złego wpływu. Wagarowałam na potęgę, wykpiwałam nauczycieli, piłam, paliłam, uprawiałam szybki (i dla mnie pozbawiony przyjemności) seks z wieloma chłopakami z rywalizującej z nami szkoły.

Wszystko wydało się w banalny sposób. Matka i Xavier - którzy w moich wyobrażeniach byli zbyt pochłonięci swoim cudem, żeby zwracać uwagę na bardziej przyziemną istotę - obserwowali mnie dużo baczniej, niż mi się zdawało. Przeszukanie w moim pokoju dostarczyło im pretekstu, którego szukali, choć tak naprawdę nie znaleźli nic szczególnie szokującego - ot, pięciogramowy kawałek haszyszu, paczkę kondomów i cztery ekstazki zawinięte w kawałek papieru.

Dziesięć, niewinne drobiazgi, to wszystko. Wszyscy normalni rodzice natychmiast puściliby całą sprawę w niepamięć, tymczasem Sharon zaczęła coś głądzić na temat mojej nieciekawej przeszłości, zabrała mnie z owego liceum i - co było najgorszą zniewagą - wysłała do psychologa dziecięcego, który miał mnie ponoć szybko sprowadzić na właściwą drogę.

Teraz już chyba nikt z was nie ma najmniejszych wątpliwości, że z natury nie jestem zawzięta i mściwa. Jeżeli się na kimś kiedykolwiek odgrywałam, to tylko na skutek nieprawdopodobnie paskudnej prowokacji. Chodzi o to, że teraz matka zdecydowanie przebrała miarę. Nie traciłam jednak czasu na wykrety i protesty. W zamian, ku zdumieniu Sharon, posłałam na pełną współpracę. Psycholożka dziecięca, która miała na imię Martine i nosiła w uszach wiszące kolczyki zakończone małymi srebrnymi kotkami, donosiła, że robię stałe postępy, ja natomiast codziennie ochoczo uczestniczyłam w sesjach, aż w końcu całkowicie udało mi się określić ją sobie dookoła palca.

Cokolwiek powiedzieć o mojej niekonwencjonalnej edukacji, trzeba przyznać jedno - dysponuję rozległą wiedzą ogólną. Zawdzięczam to bibliotece Świętego Oswalda, Leonowi i filmom, które wciąż oglądałam z ojcem. Tak czy owak wiem dostatecznie dużo na temat problemów psychicznych, by bez trudu poradzić sobie z rozkochaną w kotkach psycholożką dziecięcą. W zasadzie żałowałam, że poszło mi z nią aż tak łatwo - prawdę powiedziawszy, bardziej usatysfakcjonowałoby mnie poważniejsze wyzwanie.

Psycholodzy. W gruncie rzeczy wszyscy są tacy sami. Możesz z nimi rozmawiać na dowolny temat, i tak w końcu sprowadzą rzecz całą do seksu. Po godnym Oscara odegraniu oporów i zahamowań oraz twórczym opisie kilku wyjątkowo freudowskich snów, nadszedł czas na wielkie wyznanie: uprawiałam seks z moim ojcem. Nie, nie z Johnem, ale z moim nowym tatą, co przecież było w porządku, bo nie łączyły nas więzy krwi - a przynajmniej on tak

utrzymywał, chociaż przyznaję, że mnie niekiedy nękały wątpliwości.

Nie zrozumcie mnie źle. Nie miałam nic przeciwko Xavierowi. To nie on, ale moja matka mnie zdradziła, i to matkę chciałam boleśnie zranić. Xavier był tylko użytecznym narzędziem. Poza tym tak przedstawiłam całą sytuację, by wyglądało na to, że niemal wyraziłam na seks zgodę. Uznałam, że dzięki temu mój ojczym otrzyma lżejszy wyrok - może nawet w zawieszeniu.

No i wszystko poszło gładko. Może nawet za gładko. Wymyśliłam kilka jeszcze innych snów - jak już mówiłam, ja nigdy nie śnię, ale na szczęście mam bardzo bujną wyobraźnię - i przyswoiłam sobie kilka ekscentrycznych manieryzmów podpatrzonych u jednej z bardziej wrażliwych koleżanek ze szkoły.

Badanie lekarskie dostarczyło dowodu. Xavier został w ekspresowym tempie wyekspediowany z domu, przyszła rozwódka otrzymała pisemne zobowiązanie wypłaty wyjątkowo hojnych alimentów, ja natomiast (w dużej mierze za sprawą swojej fantastycznej gry aktorskiej) zostałam umieszczona przez kochającą matkę - oraz Martine z kotkami w uszach - na trzy lata w zakładzie psychiatrycznym, żadna z nich bowiem nie dała się przekonać, że dla siebie samej nie stanowią zagrożenia.

Jak więc widzicie, istnieje coś takiego jak zbyt perfekcyjnie wykonane zadanie.

MAT

1

Piątek, 5 listopada, godz. 19.15

- No cóż. Tak właśnie przedstawiają się sprawy - podsumował Straitley. Obchody Wieczoru Ognisk miały się ku końcowi i tłumy się rozchodziły, zmierzając ku furtkom i bramie. Polana, z której jeszcze niedawno wystrzeliano sztuczne ognie, też szybko pustoszała. Jedynym śladem po fajerwerkach był teraz zapach prochu wiszący w wilgotnym, jesiennym powietrzu.

- Chyba powinniśmy się udać na poszukiwanie Marlene. Nie chcę, żeby samotnie wyczekiwała na mnie w ciemnościach.

Kochany stary Straitley. Od początku do końca dżentelmen w każdym calu. I teraz już tak bliski rozwiązania zagadki - z pewnością dużo bliższy niż moja matka, moja terapeutka czy całe grono psychiatrów i psychologów usiłujących zrozumieć mechanizm działania mojego nastoletniego umysłu. Oczywiście jeszcze nie dostrzegął kilku ważnych elementów, ale jedno nie ulegało wątpliwości - weszliśmy już w ostateczną fazę rozgrywki i gdy to sobie w pełni uświadomiłam, serce zaczęło mi bić przyspieszonym rytmem. Wiele lat temu podjęłam walkę, będąc zaledwie pionkiem. Teraz wrogim siłom wyzwanie rzucała królowa.

Uśmiechnęłam się pod nosem i powiedziałam cicho:

- *Vale, magister.*

- Słucham?

Odwróciła się w moją stronę. W pobłysku dogasającego ogniska, w tym swoim czerwonym berecie i z płonącymi żywo oczami wyglądała wyjątkowo młodo.

- Przecież dobrze pan wie, co powiedziałam. Wtedy też mnie pan usłyszał, prawda, sir?

Wtedy? Niewidzialny palec bódl mnie delikatnie, niemal współczująco. Z trudem oparłem się pokusie, żeby usiąść dokładnie tam, gdzie stałem.

- W odpowiednim czasie wrócą wspomnienia, sir – oznajmiła Dianne, wciąż z uśmiechem na ustach. - Przecież to pan nigdy nie zapomina żadnej twarzy.

Przyglądałam się pilnie, jak wyteżał pamięć. Mgła gwałtownie gęstniała - teraz z trudem dostrzegałam linię pobliskich drzew. Ognisko za naszymi plecami było już jedynie stertą czerwonego żaru, jeśli choć nie zacznie padać deszcz, szczątki będą się tlić jeszcze przez parę dni. Straitley marszczył w wysiłku czoło, a w mdłym blasku pogorzeliśka przypominał poznaczony brudami czasu pogański totem. Minęła minuta. Potem dwie. Zaczął narastać we mnie niepokój. A jeżeli był już za stary? Jeżeli jednak zapomniał? I co zrobię, gdy jeszcze raz zawiedzie moje nadzieje? Po dłuższej chwili jednak się odezwał.

- Julie... Julie, prawda?

Prawie dobrze, starcze.

- Julia, sir. Julia Snyder.

Julia Snyder.

Minęło wiele lat od czasu, gdy usłyszałem to imię. Od dnia, gdy pierwszy i ostatni raz myślałem o małej Julii. A tymczasem teraz znów stała przede mną, wyglądała identycznie jak Dianne Dare, patrzyła na mnie czule i ze szczyptą rozbawienia w błyszczących ciemnych oczach.

- Zmieniła pani nazwisko? - spytałem w końcu.

- Tego wymagały okoliczności - odparła z uśmiechem.

To było zrozumiałe. Przypomniałem sobie, że wyjechała do Francji.

- Zdaje się, że przeniosła się pani do Paryża? To tam nauczyła się pani francuskiego.

- Zawsze byłam zdolną uczennicą.

Ledwo usłyszałem te słowa, wróciło do mnie wspomnienie owego wieczoru w Wartowni. Jej ciemne włosy były dużo krótsze niż teraz. Miała na sobie schludny, bardzo dziewczęcy strój - plisowaną spódniczkę i pastelowy sweterek. Uśmiechała się do mnie, ale w jej oczach czaiła się tajemnica. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że ona coś wie na temat wypadku...

Spojrzałem na nią raz jeszcze i wprost nie mogłem uwierzyć, że wcześniej jej nie rozpoznałem. Zastanawiałem się, po co przyszła dzisiaj do parku i jakim cudem z córki Portiera przeobraziła się w tak pewną siebie, młodą kobietę. A przede wszystkim interesowało mnie, jak wiele wiedziała i czemu ukrywała przede mną różne fakty - zarówno teraz jak i przed laty.

- Znała pani Pinchbecka, prawda?

W milczeniu skinęła głową.

- Co w takim razie z Keane'em? - spytałem.

- Jak już mówiłam, musiał odejść - odparła z uśmiechem.

Dostał za swoje - mały, podstępny szpicel. Skończył podobnie jak jego cholerny notes. Od pierwszej chwili, gdy spotkałam go u Świętego Oswalda, powinnam mieć się na baczności. Te zapiski, rysunekzki, satyryczne komentarze na temat zwyczajów i historii Świętego Oswalda. Rozważałam nawet, czy nie rozprawić się z nim na samym początku, ale wówczas zaprzętało mnie zbyt wiele spraw, a on ostatecznie nie dysponował niczym, co mogłoby mnie pograżyć. Niczym, poza jednym zdjęciem.

Początkujący literaci powinni adorować swoją mużę, a nie babrać się w tak zamierzchłej przeszłości. Keane chodził kiedyś do Sunnybank, ale skoro był trzy lub cztery lata wyżej ode mnie, powiązanie faktów musiało mu zabrać nieco czasu.

Sama go z początku nie rozpoznałam, jednak w końcu się zorientowałam, z kim mam do czynienia. Spotkałam go, zanim jeszcze trafiłam do Sunnybank. Przypomniałam sobie, jak po zajęciach otoczyła go banda kolegów; przypominałam sobie jego porządne ubranie - niezwykle u dzieciaków z Sunnybank - a przede wszystkim książki z biblioteki pod pachą, które były źródłem jego problemów. Wówczas od razu zrozumiałam, że równie dobrze ja mogłabym się znajdować na jego miejscu.

Tamten incydent stanowił dla mnie cenną lekcję. Nie wolno ci się wyróżniać, ostrzegałam się w duchu. Sprawiać wrażenia inteligentnej. Nosić przy sobie książek. A gdyby sytuacja wzbudzała twoje wątpliwości, zwiewaj co sił w nogach. Keane nie uciekał. Na tym polegał jego problem.

W pewnym sensie jest mi przykro, że musiało się to aż tak drastycznie skończyć. Jednak gdy tylko przejrzałam notes, wiedziałam, że nie mogę pozostawić Keane'a przy życiu. Miał zdjęcie ze Świętego Oswalda, zdążył porozmawiać z Marlene, ale najgorsza była ta nieszczęsna fotografia, wytrzaśnięta nie wiadomo skąd, z Dnia Sportu w Sunnybank, z niżej podpisaną siedzącą w tylnym rzędzie (dzięki czemu grzmotogacie na szczęście nie zostały uwiecznione). Gdyby Keane uważnie przeanalizował zdjęcie (a zrobiłby to prędzej czy później), wystarczyłoby, że pogrzebałby w archiwach Sunnybank, a znalazłby to, czego szukał.

Nóż kupiłam parę miesięcy temu w sklepie z militariami. Kosztował 24,99 funta i był idealny do moich celów - bardzo ostry, obosieczny i niezwykle śmiertcionośny. Podobnie jak ja. Żałuję, że musiałam zostawić ten nóż - prawdę mówiąc, kupowałam go z myślą o Straitleyu - ale odzyskanie go byłoby zbyt kłopotliwe, a poza tym nie miałam ochoty paradować po parku z zakrwawionym narzędziem zbrodni w kieszeni. O odciski palców natomiast nie musiałam się martwić, bo ani na moment nie zdjęłam rękawiczek.

Szłam za Keanem w stronę polany - akurat zaczynali pokaz fajerwerków. Doszliśmy do drzew, gdzie mrok był dużo gęściejszy. Oczywiście, dookoła kręciło się wiele osób, ale niemal wszyscy wbijali wzrok w niebo, nikt więc nie zwrócił uwagi na drobny dramat rozgrywający się w nienaturalnym blasku sztucznych ogni.

Nie uwierzycie, jak wielkich umiejętności wymaga skuteczne dźgnięcie człowieka między żebra. Problem stanowią mięśnie międzyżebrowe - kurczą się gwałtownie, więc trzeba dysponować dużą siłą i doskonałą techniką, żeby je przebić. Mierzenie w serce jest także ryzykowne, na przeszkodzie bowiem stoi mostek. Metodą najbardziej pewną jest wbicie ostrza w rdzeń, pomiędzy trzeci i czwarty kręg, powiedzcie mi jednak, jak miałam zlokalizować to miejsce po ciemku u faceta ubranego w grubą kurtkę z kapturem?

Oczywiście mogłam poderżnąć mu gardło, jednak ci z nas, którzy tego własnoręcznie próbowali, wiedzą doskonale, że wcale nie jest to tak proste, jak wygląda na filmach. Zdecydowałam się więc na cios wyprowadzony w górę z okolic własnej przepony - ugodziłam go poniżej obojczyka. Potem rzuciłam Keane'a pod drzewa. Ktokolwiek go tam zobaczy, uzna, że to pijany, i pójdzie dalej. Jak wiecie, nie jestem nauczycielką biologii, więc mogę tylko spekulować na temat ewentualnej przyczyny śmierci - upływ krwi, a może zapad płuca - jedno natomiast wiem na pewno. Keane był bardzo zaskoczony tym, co się stało.

- Zabiła go pani?

- Owszem, sir. Nie było w tym jednak nic osobistego.

Odniosłem wrażenie, że jestem poważnie chory - że to wszystko, co się właśnie rozgrywa przed moimi oczami, jest jakąś chorą grą wyobraźni, mówiącą więcej o mojej podświadomości, niż miałbym ochotę wiedzieć. Jedno było pewne - w życiu miewałem się już dużo lepiej. Coś gwałtownie ugodziło mnie pod lewą pachę. Niewidzialny paluch zamienił się w pięść, z trudem zacząłem łapać ustami powietrze.

- Panie Straitley? - W tonie panny Dare pojawił się autentyczny niepokój.

- To tylko skurcz - odparłem i zdecydowanie usiadłem na ziemi. Błoto, choć miękkie, było zaskakująco zimne. - Zabiła go pani? - spytałem raz jeszcze, wciąż nie dowierzając własnym zmysłom.

- Zawsze trzeba wiązać luźne końce. Dlatego, jak już wspomniałam, musiał odejść.

- I Knighta też?

- Też - przyznała po chwili wahania.

Na moment dosłownie zaparło mi dech w piersiach. Nigdy nie lubiłem tego chłopca, ale był moim uczniem i pomimo wszelkich poszlak miałem jednak nadzieję...

- Panie Straitley, nie mam teraz czasu na takie ceregiele. No już, proszę wstać... - Wsunęła ramię pod moją pachę - była o wiele silniejsza, niż mogłoby się wydawać - i pociągnęła mnie w górę.

- Knight nie żyje?

- Proszę się nie przejmować, sir. Śmierć była szybka. - Wsparła się biodrem o moje zebra i niemal postawiła mnie na nogi. - Przede wszystkim potrzebowałam ofiary, choć w żadnym razie nie ciała. Musiałam skonstruować wiarygodną historyjkę, rozpalającą emocje i wyobraźnię pospólstwa. Martwy chłopiec może trafić na pierwszą stronę gazety - o ile danego dnia nie wydarzy się nic bardziej interesującego - ale już nazajutrz wszyscy o nim zapomną. Natomiast zaginiony chłopiec przez dłuższy czas nie schodzi z łamów. Akcje poszukiwawcze, spekulacje, łzawe apele zrozpaczonej matki, wywiady z przyjaciółmi. A potem - gdy nadzieja zaczyna umierać - przeszukania stawów i innych zbiorników wodnych. Wystarczy, że znajdzie się fragment ubrania, a już wszyscy znani policji pedofile zostają poddani testom DNA. Wie pan, jak to jest, sir. Niby wszyscy wiedzą, że już po chłopaku, ale tak naprawdę nie mają pewności. A dopóki nie potwierdzą swoich podejrzeń...

Potężny skurcz w lewym boku sprawił, że mimowolnie jęknąłem. Panna Dare natychmiast urwała swoją opowiastkę.

- Proszę wybaczyć, sir - rzuciła miękkim głosem. - W tej chwili nie jest to najważniejsze. Knight może poczekać. Ostatecznie nigdzie nie ucieknie, prawda? Proszę oddychać głęboko i powoli stawiać kroki. I, na Boga, proszę mi się uważnie przyglądać. Nie zostało nam już wiele czasu.

Oddychałem więc, przyglądałem się i stawiałem powolne kroki. Po chwili ślamazarnie, powłócząc nogami, ruszyliśmy w stronę drzew.

2

Piątek, 5 listopada, godz. 21. 30

Pod drzewami stała ławka. Dowleliśmy się do niej po pokrytej błotem trawie i opadłem na siedzenie, jednak tak gwałtownie, że moje stare serce zaczęło drgać niczym gałązka na gwałtownym wietrze.

Panna Dare próbowała mi coś powiedzieć. Ja usiłowałem jej wytłumaczyć, że w tej chwili mam inne rzeczy na głowie. Oczywiście wszystkich nas wcześniej czy później czeka koniec - nie wyobrażałem sobie jednak, że nadejdzie on na błotnistej polanie w środku takiego szaleństwa. Keane nie żył. Knight nie żył. Panna Dare była kimś innym, natomiast ja już nie mogłem dłużej udawać przed sobą, że to, co wpijało się w mój bok, było jedynie skurczem. Starość jest tak pozbawiona godności, pomyślałem. Nie dla nas laury senatu, ale pospieszne zejście ze sceny w pędzącym ambulansie lub - jeszcze gorzej - popadanie w otępienie i bezwład. A mimo to nadal walczyłem. Słyszałem, jak moje serce powoli traci siły, jak już nie daje rady napędzać dłużej mojego starego ciała i zadawałem sobie pytanie: Czy kiedykolwiek jesteśmy gotowi na ten moment?

- Proszę, panie Straitley. Musi się pan skoncentrować.

Skoncentrować? To zaiste paradne!

- Przykro mi, ale w tej chwili jestem dość zajęty moim zbliżającym się zejściem z tego padółu. Może więc później...

W tej samej chwili jednak ponownie zaczęło się wynurzać na powierzchnię nękające mnie od jakiegoś czasu niejasne wspomnienie - było już teraz blisko, tak blisko, że niemal mogłem je pochwycić. Jakaś twarz oświetlona niebiesko-czerwoną poświatą, zwracająca się w moją stronę... młoda twarz, ściągnięta rozpaczą, ale i zdeterminowana... twarz, pochwyciona raz, piętnaście lat temu...

- Sszsz... - szepnęła panna Dare. - Czy teraz mnie pan rozpoznaje?

I nagle... owszem... rozpoznałem.

Wszystko zobaczyłem z nienaturalną ostrością - kostki domina sypiące się z turkotem ku mistycznemu centrum, biało-czarne obrazki loteryjki układające się w wyraźny obraz. Złudzenie optyczne - wazon nie jest wazonem, a dwojgiem kochanków; znajoma twarz kryje w sobie rysy zupełnie innej postaci.

Spojrzałem uważniej na Dianne i ujrzałem Pinchbecka - zadzierającego głowę, patrzącego na mnie z przestachem, w okularach odbijających stroboskopowe światła wozu strażackiego. I jednocześnie zobaczyłem Julię Snyder z jej starannie przystrzyżoną grzywką, a także szare oczy panny Dare wyzierające spod przepisowej czapki Świętego Oswalda, błyski fajerwerków oświetlających jej twarz i nagle, tak po prostu, wszystko stało się dla mnie jasne.

„Czy teraz mnie pan rozpoznaje?”

Oczywiście, że tak.

Nie umknął mi ten doniosły moment. Mimowolnie rozdziawił usta. Twarz mu się zapadła. Jakbym oglądała film poklatkowy rejestrujący fazy rozkładu. Nagle wyglądał dużo starzej niż na swoje sześćdziesiąt pięć lat - w rzeczy samej w owej chwili wyglądał jak na centuriona przystało.

Katharsis. Moja terapeutka wciąż gędzi na ten temat - ale dopiero teraz zrozumiałam, co ma na myśli. Uczucie był fantastyczne. I ta mina Straitleya! Zrozumienie - przerażenie - a gdzieś także, jak mi się zdawało, litość.

- Julian Pinchbeck. Julia Snyder.

Uśmiechnęłam się ciepło i odniosłam wrażenie, że nagle ktoś zdjął mi z ramion ciężar tych wszystkich lat.

- Miał pan prawdę tuż przed oczami, sir. I nie umiał jej pan dostrzec.

Westchnął ciężko. Z każdą minutą wyglądał coraz gorzej. Twarz pokrywały mu krople potu. Oddech stawał się charczący i nierówny. Pocięszałam się, że tak zaraz nie wyzionie ducha. Bo przecież tak długo czekałam na ten moment. Och, naturalnie niedługo będzie musiał umrzeć - nawet bez swojego noża z łatwością go załatwię - ale zanim to nastąpi, Straitley musi wszystko zrozumieć, wyzbyć się wszelkich wątpliwości.

- Rozumiem - powiedział. (Chociaż wcale nie rozumiał). - To rzeczywiście była straszna sprawa. - Zgadza się, była. - Czemu jednak postanowiła się pani mścić na Świętym Oswaldzie? Na Pacie Bishopie, Grachvogelu, Keanie, Lighcie?

I dlaczego zabiła pani Knighta - był przecież jeszcze dzieckiem...

- Potrzebowałam Knighta do roli przynęty - odparłam. - Smutne to, ale nie miałam wyjścia. Jeżeli zaś chodzi o pozostałych... proszę mnie nie rozśmieszać. Bishop? Przeróżający hipokryta, umykający z placu boju na samą myśl o skandalu. Grachvogel? Wcześniej czy później by go to spotkało, nawet bez mojej pomocy. A Light? Wszystkim będzie bez niego lepiej. Natomiast Devine... praktycznie zrobiłam panu przysługę. A swoją drogą, czyż to nie frapujące, jak historia lubi się powtarzać? Proszę spojrzeć, jak szybko Dyrektor pozbył się Bishopa, gdy tylko się okazało, że skandal mógłby zaszkodzić szkole. Teraz Bishop wreszcie zrozumiał, jak musiał się czuć mój ojciec. Nie ważne, czy ponosił winę w tej sprawie czy nie. Nawet nikogo nie obchodziło, że jeden z uczniów stracił życie. Najważniejsze - i wówczas, i obecnie - by za wszelką cenę chronić Świętego Oswalda. Chłopcy przychodzą i odchodzą. Podobnie jak Portierzy. Ale Boże broń, by cokolwiek położyło się cieniem na reputacji szkoły. Nieprzyjemny incydent? Zignorować, pogrzebać, zapomnieć. Takie w gruncie rzeczy jest motto Świętego Oswalda. Czyż nie mam racji? - Odetchnęłam głęboko. - Ale dość już tego! Wreszcie mnie poznaliście.

Straitley wydał z siebie chrapliwy dźwięk, który zapewne miał być śmiechem.

- Rzeczywiście - powiedział. - Czy jednak, zamiast tak się fatygować, nie mogła nam pani po prostu przysłać pocztówki?

Drogi stary Straitley. Do końca pozostał klaunem.

- On pana lubił, sir. Zawsze pana lubił.

- Kto taki? Pani ojciec?

- Nie, sir. Leon.

Zapadło długie, mroczne milczenie. Wyraźnie słyszałam bicie jego serca. Tłumy opuściły park, więc na tle luny pogorzelniska majaczyły już tylko pojedyncze sylwetki. Byliśmy sami - otaczały nas jedynie odgłosy jesieni: monotonny skrzyp gałęzi i szelest opadłych liści pod łapkami jakiegoś niewielkiego zwierzęcia - szczura albo myszy.

Milczenie niebezpiecznie się przeciągało. Zaczęłam się obawiać, że stary łacinnik zapadł w sen lub, co gorsza, udał się w rejony, do których nie zdołam za nim podążyć. W końcu jednak ponownie westchnął i wyciągnął rękę w moją stronę. Poczulałam jego lodowate palce na swojej dłoni.

- Leon Mitchell - wycedził z wolna. - I to wszystko z jego powodu?

3

5 listopada, godz. 21.35

Leon Mitchell. Powinienem się domyślić. Powinienem zgadnąć dawno temu, że gdzieś za owymi nieszczęściami kryje się Leon. Jeżeli istnieje coś takiego jak diabeł wcielony, był nim właśnie ten chłopak. Ze wszystkich moich duchów on nigdy nie spoczął w spokoju. I ze wszystkich moich utraconych chłopców on prześladowuje mnie najczęściej.

Swego czasu rozmawiałem na jego temat z Patem Bishopem, próbując zrozumieć, co się tak naprawdę stało i czy mogłem coś zrobić, by zapobiec tragedii. Pat zapewnił mnie, że nie. W tamtym krytycznym momencie stałem w balkonowym oknie. Chłopcy znajdowali się niżej, na dachu Kaplicy. W ich stronę zmierzał Portier. Skoro nie jestem Supermanem i sfrunięcie w dół nie wchodziło w rachubę, nie ma mowy, bym był w stanie cokolwiek zmienić. Wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. W zasadzie nikt już nie mógł pomóc Leonowi. A jednak refleksyjne spojrzenie wstecz bywa niekiedy podstępne - anioły zmieniają się w demony, dumne tygrysy w klaunów. W miarę upływu lat przeszłe przekonania rozplývają się jak dojrzały ser; żadne wspomnienie nie jest bezpieczne.

Czy mogłem zmienić bieg wydarzeń? Trudno zliczyć, ile razy zadawałem sobie to pytanie. I niekiedy nad ranem, gdy leżę w ciemnościach, wszystko wydaje się możliwe. Raz po raz wraca do mnie obraz spadającego czternastolatka. Chłopiec leci w dół, a ja go obserwuję - stoję na balkonie niczym opasła Julia. W tych bezsennych godzinach świtu ostro widzę Leona Mitchella z przerażeniem w oczach wpijającego się połamanymi paznokciami w kruszący się kamień.

„Pinchbeck?”

Mój głos wzbudza panikę w chłopcu. Głos autorytetu, niespodziewanie rozbrzmiewający w ciemnościach nocy. Podnosi na mnie wzrok - zwalnia uchwyt dłoni. Być może coś krzyczy, próbuje jeszcze zahaczyć nogą o zardzewiałą drabinkę.

A potem, najpierw powoli, a potem niewyobrażalnie szybko, zaczyna spadać - leci ku strasznej, ostatecznej czerni.

Fragmety wspomnień przesuwiają się po ciemnym ekranie.

Kostki domina stoją w długim rzędzie, a we mnie narasta przekonanie, że to ja pchnąłem pierwszą z nich - że może gdybym nie zawołał akurat w owym momencie, to niewykluczone... niewykluczone...

Spojrzałem na pannę Dare i zobaczyłem, że mierzy mnie uważnym wzrokiem.

- Proszę mi powiedzieć, kogo właściwie obwinia pani za tę tragedię?

Milczała.

- Chciałbym usłyszeć pani opinię.

Lewą stronę ciała ścisnęły bezlitosne kleszcze, ale - mimo że upłynęło tak wiele lat - ta niepewność była dla mnie dużo bardziej bolesna. Raz jeszcze spojrzałem na dziewczynę - tak opanowaną, tak błogo spokojną, że jej twarz przywiodła mi na myśl renesansowe wizerunki Madonny.

- Przecież pani była na tym dachu - wydyszałem z wysiłkiem. - Czy to z mojej winy Leon runął w dół?

Och, jakże jest pan mądry i przebiegły, pomyślałam. Moja terapeutka mogłaby się nauczyć od pana kilku sztuczek. Trzeba nie lada tupetu, by tak grać na moich sentymentach, pewnie w nadziei, że uda się zyskać na czasie...

- Proszę - powiedział. - Muszę to wiedzieć.

- Dlaczego?

- Był jednym z moich chłopców.

Tak proste. I tak powalające. „Jeden z moich chłopców”. Nagle zaczęłam żałować, że w ogóle się tu pojawił lub że nie rozprawiłam się z nim od razu, jak z Keane'em, szybko i bezstresowo. Straitley rzeczywiście był w fatalnym stanie, ale to mnie nagle zabrakło tchu. Czułam się tak, jakbym widziała sunącą w swoją stronę lawinę. Chciało mi się śmiać, a jednocześnie napłynęły mi do oczu łzy. Czy to możliwe, że po tych wszystkich latach Roy Straitley obwiniał o śmierć Leona samego siebie? Jakże niesamowite. I przerażające zarazem.

- Jeszcze chwila, a usłyszę, że był dla pana jak syn. - Drzenie mojego głosu przeczyło szyderczej wymowie słów. Prawdę mówiąc, byłam wstrząśnięta.

- Chłopcy, których przedwcześnie utraciłem... - podjął, zupełnie mnie

lekceważąc. - Trzydzieści trzy lata nauczania, a ja wciąż pamiętam każdego z nich. Ich zdjęcia wiszą w moim domu, nazwiska widnieją w starych notesach. Hewitt - zmarł w siedemdziesiątym drugim. Constable - w osiemdziesiątym szóstym. Na tej liście znajdują się poza tym Jamestone, Deakin, Stanley, Poulson... Knight... - zawiesił na moment głos. - No i oczywiście Mitchell. Jakże mógłbym zapomnieć o tym paskudnym gnojku?

Nie sposób lubić ich wszystkich - chociaż trzeba za wszelką cenę się starać, żeby wszystkich traktować jednakowo. Ale niekiedy pojawia się taki chłopiec jak Mitchell czy jak Knight - którego po prostu nie sposób darzyć choćby cieniem sympatii, nawet gdyby człowiek nie wiem jak się starał.

Leon Mitchell. Wydalony z poprzedniej szkoły za uwiedzenie nauczyciela, zepsuty do szpiku kości, nieprawdopodobnie rozpuszczony przez rodziców, kłamca, manipulator, emocjonalny wampir. O, był przy tym inteligentny i nawet potrafił - jeśli chciał - być zniewalająco uroczy. Ja jednak dokładnie wiedziałem, jaki jest w istocie, i nie omieszkałem podzielić się moją opinią z Dianne. Zatrwał jadem i złem wszystko i wszystkich wokół.

- Myli się pan, sir. Leon był moim przyjacielem. Najlepszym, jakiego miałam w życiu. Zależało mu na mnie - wręcz mnie kochał - i gdyby tylko pan się wtedy nie wtrącił, gdyby nie wrzasnął akurat w tym momencie...

Głos zaczął jej się łamać i - po raz pierwszy, od kiedy ją znałem - nabrał historycznych tonów. Wówczas nagle do mnie dotarło, że ta kobieta mnie zabije - absurdalne, przyznaję, bo przecież gdzieś w racjonalnej warstwie wiedziałem, że nie ujdę z życiem od chwili, gdy wyznała mi swoją tożsamość. Pewnie powinien ogarnąć mnie strach - a tymczasem pomimo tej świadomości, pomimo strasznego bólu w boku odczuwałem jedynie irytację - taką samą jak wtedy, gdy zdolny, inteligentny uczeń popełnia podstawowy błąd gramatyczny.

- Proszę wreszcie dorosnąć - rzuciłem gniewnie. - Leon dbał jedynie o siebie i na nikim innym mu nie zależało. Największą przyjemność sprawiało mu wykorzystywanie bliźnich, podpuszczanie ich, nakręcanie niczym mechaniczne zabawki. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że ta wyprawa na dach była jego pomysłem.

Wciągnęła głęboko powietrze, wydając przy tym syk rozwścieczonego kota, i zrozumiałem, że posunąłem się za daleko. Po czym niemal natychmiast wybuchnęła śmiechem, jakby nagle odzyskała zimną krew.

- Pan sam jest wyjątkowo makiaweliczny, sir.

Uznałem to za komplement i nie omieszkałem jej o tym powiedzieć.

- Rzeczywiście, sir. Ja zawsze darzyłam pana szacunkiem. Nawet teraz patrzę na pana jak na przeciwnika, nie wroga.

- Proszę uważać, panno Dare. Jeszcze dwa słowa, a stracę dla pani głowę. Ponownie się roześmiała.

- Nawet wtedy, przed laty, chciałam jedynie, żeby mnie pan zauważył i docenił - wyznała z błyszczącymi oczami. - Chciałam, żeby pan wiedział... - Opowiedziała mi, jak przysłuchiwała się moim lekcjom, grzebała w moich dokumentach, budowała własne życie z okrucich spadających ze stołu Świętego Oswalda. Mówiła o wagarach, pożyczanych z biblioteki książkach, podkradanych częściach mundurków; łamaniu reguł i przekraczaniu barier. Niczym myszy, wila sobie gniazda w Dzwonnicy i na dachu. Karmiła się wiedzą, kiedy tylko mogła. A była na tę wiedzę wyjątkowo łasa - pochłaniała ją wręcz żarłocznie. Ja zaś - nie mając o tym najmniejszego pojęcia - stałem się jej mistrzem. Wybrała mnie w chwili, gdy odezwałem się do niej w Środkowym Korytarzu; teraz zaś postanowiła mnie obarczyć odpowiedzialnością za śmierć przyjaciela, samobójstwo ojca i wszystkie życiowe porażki.

Każdy z moich kolegów swego czasu padł ofiarą obsesji jakiegoś nastolatka. Taka już jest cena za uprawianie tej profesji. Oczywiście kobiety pracujące w naszym zawodzie spotykają się z przejawami niepożądanego afektu na co dzień; my, dziękować bogom, doświadczamy tego jedynie okazjonalnie. Chłopcy od zawsze są tacy sami. Niekiedy ogarnia ich niezdrowa fiksacja na punkcie któregoś z nauczycieli czy którejś z nauczycielek - i czasami te dzieciaki nazywają to nawet miłością. Mnie to spotkało, spotkało to Kitty, a nawet starego Kwaśnogrona, którego onegdaj darzył atencją niejaki Michael Smalls. Chłopak wynajdował najdziwniejsze wymówki, by przebywać w towarzystwie Devine'a, by monopolizować każdą chwilę jego wolnego czasu, a gdy w końcu Kwaśnogron zawiódł oczekiwania młodzieńca, zaczął on z równą gorliwością dyskredytować swego niedawnego idola przed panią i panem Smalls, którzy w końcu przenieśli syna do innej szkoły (po fatalnych rezultatach końcowego egzaminu gimnazjalnego), gdzie natychmiast się zakochał w młodej nauczycielce hiszpańskiego.

Teraz ja się znalazłem w podobnej sytuacji. Nie jestem znawcą teorii Freuda, niemniej nie miałem wątpliwości, że ta nieszczęsna kobieta wybrała mnie na takiej samej zasadzie, jak Smalls wybrał Kwaśnogrona: przypisała mi cechy, których nie miałem, i obarczyła odpowiedzialnością za swoje

nieszczęścia zupełnie nieproporcjonalną do odegranej przeze mnie roli. Co gorsza, na tej samej zasadzie przywiązała się do Leona Mitchella, a po śmierci ustawiła go na piedestale i obdarzyła tak romantycznymi walorami, że żadna żyjąca osoba - choćby była święta - nie miała szans się z nim równać. Bo i jak można wygrać potyczkę z duchem?

Niemniej irytacja mnie nie opuszczała. To było takie bezsensowne marnotrawstwo. Panna Dare jest młodą, inteligentną, utalentowaną osobą, zasługującą na dobre, szczęśliwe życie. Tymczasem ona postanowiła przykuć się, niczym stary centurion, do wraku, jakim jest Święty Oswald. A także do pozłacanej statuy Leona Mitchella (że też ze wszystkich musiała wybrać właśnie jego!), chłopca odznaczającego się jedynie wyjątkową miałkością i głupim zmarnotrawieniem młodego życia.

Próbowałem jej to wytłumaczyć, ale nie chciała mnie słuchać.

- Mógł zostać kimś wybitnym - powtarzała z uporem. - Leon był niezwykły. Inny niż wszyscy. Nadzwyczaj inteligentny. Był wolnym duchem. Nie podporządkowywał się schematom. Zapisałby się na zawsze w ludzkiej pamięci.

- Zapisałby się w pamięci? To bardzo możliwe. Nie znałem nikogo, kto pozostawiłby za sobą takie spustoszenie i tyle ofiar. Biedna Marlene. Dobrze znała prawdę, ale Leon był jej synem, kochała go gorąco, więc wszystko mu wybaczła. A ten nieszczęsny nauczyciel w poprzedniej szkole? Kompletny idiota, przyznaję. Ale Leon go zniszczył, gdy tylko znużył mu się jego atencje. Zrobił to, bo miał taki kaprys. A co z żoną tego człowieka? Także była nauczycielką, a w tym zawodzie człowiek staje się winny przez asocjacje. Za jednym zamachem Leon złamał dwojgu ludziom karierę. Mężczyzna poszedł do więzienia. Małżeństwo legło w gruzach. A ta dziewczyna? Jakże to jej było na imię? Nie miała pewnie więcej niż czternaście lat. Wszyscy padli ofiarą paskudnych gier Leona. Podobnie jak teraz ja oraz Bishop, Grachvogel, Devine i... pani, panno Dare. Na jakiej bowiem podstawie ubzdurała sobie pani, że czymś się od nas wszystkich różni?

Urwałem, by zaczerpnąć oddechu, i wokół zapanowała cisza. Cisza tak idealna, że pomyślałem nawet, iż Dianne sobie poszła. W końcu jednak się odezwała cichym, niemal drewnianym głosem.

- Jaka dziewczyna?

5 listopada, godz. 21. 45

Straitley spotkał ją w szpitalu - tam, gdzie nie miałam odwagi się udać. Och, niczego bardziej nie pragnęłam, ale matka Leona siedziała cały czas przy jego łóżku, a na takie ryzyko nie mogłam sobie pozwolić. Ale Francesca się tam zjawiała. Podobnie jak jej rodzice, jak Bishop i oczywiście Straitley.

Doskonale zapamiętał Francescę. Bo i trudno jej było nie zapamiętać. Piętnastoletnia i już piękna urodą, która łamie mężczyznom serca. Najpierw rzuciły mu się w oczy jej włosy opadające na twarz niczym pasma surowego jedwabiu. Zdawała się zagubiona, ale i podekscytowana rozgrywającym się przed jej oczami dramatem - najprawdziwszą tragedią, w której odgrywała jedną z głównych ról. Ubrała się na czarno, niczym na pogrzeb, ale tak naprawdę tylko dlatego, że wyjątkowo do twarzy było jej w tym kolorze. Bo przecież Leon w żadnym razie nie mógł umrzeć. Skądże znowu. Na Boga, miał zaledwie czternaście lat, a gdy się jest czternastolatkiem, to umiera się jedynie w filmach.

Straitley nie rozmawiał z Francescą. Zabrał natomiast Marlene do kafejki na herbatę, by tam przeczekać najazd odwiedzających Leona. Przyjrzał się baczniej dziewczynie, gdy już wychodziła - zapewne zafascynowany włosami przesuwającymi się po jej plecach na podobieństwo dzikiego, gibkiego zwierzęcia - i wówczas dotarło do niego, że zaokrąglenie jej brzucha nie jest pulchnością typową dla nastolatek. Wyraźnie przeczyły temu długie, szczupłe nogi i wąskie ramiona, a więc ta ciężka linia talii musiała...,

Zaczęłam oddychać powoli i głęboko, tak jak uczyła mnie terapeutka. Wdech na pięć, wydech na dziesięć. Nagle zapach dymu i gnijących liści stał się dla mnie nie do zniesienia. Para z moich ust, przecinająca mgłę, zdała mi się ogniem ziejącym z paszczy smoka.

Straitley kłamał. To nie ulegało wątpliwości. Leon by mi się zwierzył,

- Kłamiesz, starcze.

Jego dziecko miałoby teraz czternaście lat - a więc tyle samo, ile Leon, gdy zginął. Chłopiec czy dziewczynka? Z pewnością chłopiec. O szarych oczach Leona i złocistej cerze Franceski. Nie, to niemożliwe, powtarzałam sobie w duchu, a jednak obraz pięknego dziecka nie chciał mnie opuścić. Obraz chłopca - wymagowanego chłopca - z wysokimi kośćmi policzkowymi Leona i pulchną górną wargą jego dziewczyny... Nagle przyszło mi na myśl, że może on nie miał pojęcia o tym dziecku. Czy to możliwe, że nic o nim nie wiedział?

A jeśli nawet? Francesca nic dla niego nie znaczyła. Była tylko dziewczyną - sam mi to powiedział. Zwykłym kawalkiem dupy - nie pierwszym i nawet nie najlepszym. A jednak - utrzymywał jej stan w sekrecie. Przede mną, przed Pinchbeckiem, przed swoim najlepszym przyjacielem. Dlaczego? Czy się wstydził? A może ogarnął go strach? Zawsze uważałam, że Leon jest ponad tak banalne sprawy. Leon - wolny duch. A mimo to...

- Proszę powiedzieć, że to kłamstwo, a pozwolę panu zachować życie.

Nie odpowiedział. Z miejsca, gdzie siedział, dobiegł mnie tylko taki odgłos, jakby stary pies przewracał się na bok we śnie. A niech go diabli, pomyślałam. Akurat w momencie, gdy miałam wykrzyknąć: „Mat”, jemu udało się zasiać we mnie ziarno niepewności, zwątpić w celowość następnego posunięcia. To mnie wkurzało. Wywoływało poczucie, że walka ze Świętym Oswaldem przestała być beznamiętnym rewanżem za moje zmarnowane życie, ale bardziej mroczną i zdecydowanie mniej szlachetną kampanią.

- Ja nie żartuję - zagroziłam. - Gra dobiegła końca.

Ból w klatce piersiowej zaczął ustępować na rzecz wszechogarniającego mnie zimna. W ciemnościach, gdzieś nad moją głową, rozlegało się głośnie sapanie panny Dare. Zastanawiałem się, czy zamierza zabić mnie własnoręcznie, czy raczej pozwolić, by natura dopełniła za nią dzieła. I nagle odkryłem, że już mnie to nie obchodzi - najzwyczajniej w świecie było mi wszystko jedno.

Przyznaję jednak, że nie bardzo ją rozumiałem. Moja opinia na temat Leona nie wywarła na niej większego wrażenia, natomiast opis ciężarnej dziewczyny najwyraźniej głęboko nią wstrząsnął. A więc panna Dare nie miała pojęcia o dziecku. Ciekawe, jak to mogło Wpłynąć na moje położenie.

- Kłamię pan - powtórzyła. W jej głosie nie pobrzmiwało już po przednie rozbawienie; zdawał się złowieszczo beznamiętny. - Leon by mi o tym powiedział.

Potrząsnąłem z przekonaniem głową.

- W żadnym razie. Był śmiertelnie przerażony całą sytuacją. Przerażony, że to zrukuje jego przyszłą karierę uniwersytecką. Najpierw próbował się wypierać, ale matka w końcu wydusiła z niego prawdę. Jeśli zaś o mnie chodzi - nigdy nie rozmawiałem z tą dziewczyną. Nie poznałem także jej rodziców. Ale byłem wychowawcą Leona, więc musieli mi wyznać całą prawdę. Oczywiście i Leon, i dziewczyna byli niepełnoletni. Jednak Mitchellowie i Tynanowie przyjaźnili się od wielu lat, a z pomocą rodziców i przy akceptacji Kościoła z pewnością jakoś by sobie poradzili.

- Pan to wszystko zmyśla. - Jej głos był zimny i bezbarwny. - Leon miałby to wszystko w nosie. Mówił mi, że historia z tą dziewczyną była żenująco banalna.

- Wyjątkowo lubił to słowo, prawda? Pretensjonalny szczeniak. Sądził, że ogólnie przyjęte normy jego nie dotyczą. Owszem, to było banalne, i owszem, przerażało Leona. Ostatecznie miał zaledwie czternaście lat.

Ponownie zapadła cisza. Panna Dare stała nade mną nieruchoma - niczym kamienny monolit.

- Chłopiec czy dziewczynka? - spytała po chwili.

A więc jednak mi uwierzyła. Zaczerpnąłem głęboki oddech i łapa ścisnąca serce jakby lekko poluzowała chwyt.

- Nie mam pojęcia. Przestałem śledzić rozwój sytuacji. Zdaje się, że po śmierci Leona zaczęto coś mówić o adopcji. Ale Marlene nigdy mi nie powiedziała, jak potoczyły się losy dziecka, a ja sam też o to nie spytałem. Myślę, że kto jak kto, ale pani powinna zrozumieć dlaczego.

Znowu chwila milczenia, a potem przyciszony śmiech Dianne. Potrafiłem ją zrozumieć. To rzeczywiście tragiczne. I idiotycznie komiczne zarazem.

- Często konfrontacja z prawdą wymaga hartu ducha. Trzeba odwagi, żeby chłodno i obiektywnie spojrzeć na naszych idoli oraz wrogów i zobaczyć ich takimi, jacy byli naprawdę. A tak à propos, panno Dare. Czy wtedy, gdy ponoć wszyscy uważali panią za niewidzialną istotę, była pani w stanie odważnie spojrzeć na samą siebie?

- Co pan ma na myśli?

- Dobrze pani wie.

Chciała usłyszeć prawdę, więc ją usłyszała, choć wciąż nie mogłem zrozumieć, po co i dla kogo przechodziłem przez tę mękę. Dla Marlene? Dla Bishopa? Dla Knighta? A może po prostu dla Roya Straitleya, który swego czasu uczył chłopca nazwiskiem Leon Mitchell. Miałem gorącą nadzieję, że nie traktowałem go inaczej niż pozostałych, choć niekiedy budziły się we mnie

mroczne podejrzenia, że w pewnym sensie nie zapobiegłem jego upadkowi, bo przede wszystkim chciałem złapać drugiego chłopca - tego, który go zepchnął.

- Chciała pani prawdy? Proszę bardzo. To pani zepchnęła go w dół, chociaż później się zreflektowała i próbowała mu pomóc. Jednak okazało się, że ja jestem w Dzwonnicy, więc ważniejsze było dla pani, by uciec...

Bo tak naprawdę to właśnie ujrzałem ze swojej perci na Dzwonnicy. Dwóch chłopców, jeden zwrócony do mnie twarzą, drugi plecami, a gdzieś między nimi sylwetka Portiera, a w każdym razie kładący się na dachy jej długi cień.

John Snyder coś wykrzyknął i chłopcy zaczęli uciekać. Jeden skoczył śmiało przed siebie, lądując niemal naprzeciwko mnie, w mrocznym cieniu Dzwonnicy. Drugim był Leon. Rozpoznałem go od razu w świetle jupiterów, tuż zanim dołączył do kolegi stojącego blisko skraju rynny.

Mogłem - a właściwie powinienem - zareagować właśnie wtedy. Ale zależało mi, by zidentyfikować drugiego winowajcę. Wiedziałem już, że nie był żadnym z moich uczniów. Doskonale znałem swoich chłopców i każdego z nich rozpoznałbym nawet w egipskich ciemnościach. Obaj teraz balansowali na skraju studni - strumień kolorowych światel dobiegający z dziedzińca barwił włosy Leona na czerwono i niebiesko. Ale drugi chłopiec wciąż pozostawał w cieniu. Jedną ręką osłaniał twarz, jakby nie chciał być dostrzeżony przez Portiera. Chłopcy najwyraźniej kłócili się zawzięcie, jednak przyciszonymi głosami.

Trwało to dziesięć sekund - może nawet mniej. Nie słyszałem, co dokładnie mówili, chociaż wyłapywałem pojedyncze słowa i dźwięki. „Skacz” i „Portier”, a potem wysoki, nieprzyjemny śmiech. Teraz już ogarnął mnie prawdziwy gniew - taki sam, jaki kilka tygodni temu zawładnął mną, gdy zobaczyłem intruzów w ogrodzie i skandaliczne graffiti na płocie. Wtedy, przed piętnastu laty, nie chodziło nawet o pogwałcenie reguł czy fakt, że musiałem się pofatygować do szkoły w środku nocy (prawdę mówiąc, zjawiłem się z własnej, nieprzymuszonej woli, gdy usłyszałem wycie alarmu). Nie. Mój gniew był o wiele głębszy. Chłopcy łamią dyscyplinę - to oczywisty fakt. Chodziło o to, że jeden z nich był moim uczniem. W owym momencie zapewne poczułem się tak samo jak Meek, gdy interweniowałem w czasie lekcji.

Żeby zachować twarz, musiałem odkryć tożsamość obu chłopców. Naturalnie wiedziałem już, że na dachu znajduje się Leon. Znałem go też na tyle, by nie mieć wątpliwości, że rano natychmiast powie mi, kto był tam razem z nim. Ale do rana pozostało jeszcze wiele godzin. I zanim rozpocznie się apel, pół szkoły zdąży się dowiedzieć, że nie udało mi się powstrzymać intruzów. Oczyma duszy już widziałem ich reakcję na mój gniewny krzyk - z szyderczym śmiechem zniknęliby za najbliższym kominem. Następnego dnia

oczywiście słono by za to zapłacili. Ale do tej pory narodziłaby się już legenda - nikt nie zapamiętałby miesięcznego obowiązku sprzątanía śmieci w czasie przerw, ale każdemu dobrze zapadłby w pamięć fakt, że jakiś smarkacz rzucił wyzwanie staremu Quazowi na jego własnym gruncie i że - przynajmniej przez parę godzin - uchodziło mu to na sucho.

Czekałem więc i wyteżalem wzrok, by rozpoznać rysy nieznanego mi chłopca. Nawet udało mi się w pewnej chwili ujrzeć jego twarz w niebiesko-czerwonym świetle. Miał jednak dziwnie wykrzywione usta, oczy zwężone w szparki i tak gniewny wyraz twarzy, że nie zdołałem go zidentyfikować. Mimo to nie ulegało dla mnie wątpliwości, że już gdzieś widziałem tę twarz. A więc był to uczeń Świętego Oswalda.

Tymczasem Portier szybko zbliżał się do chłopców - swoimi szerokimi plecami częściowo zasłonił mi obraz - mimo to, w kolejnym rozbłysku światła, wyraźnie ujrzałem rękę Pinchbecka popychającą ramię Leona. I chwilę później obaj chłopcy zniknęli mi z oczu.

Oczywiście to nie było dokładnie tak, jak przedstawił Straitley. Przynajmniej z mojego punktu widzenia, Chociaż rzeczywiście, starcze, to ja pchnęłam Leona, a gdy zawołałaś mnie po nazwisku, zrozumiałam, że widziałeś, co zrobiłam.

Może tak naprawdę nawet chciałam, żeby ktoś to zobaczył. Żeby ktoś wreszcie zdał sobie sprawę z mojego istnienia. Jednocześnie jednak byłam zagubiona i przerażona własnym postępkami, zachwycona własną odwagą, ale również przygnieciona poczuciem winy, strachem i siłą swojej miłości. Oddałabym wszystko, żeby wydarzenia potoczyły się tak, jak opisywałam je wcześniej - Butch i Sundance na dachu Kaplicy, ostatnie porozumiewawcze spojrzenie, a potem skok ku wolności. Ale wydarzenia nie przebiegły w idealnej zgodzie ze scenariuszem. A właściwie nie miały z nim wiele wspólnego.

- Twój tato? - powtórzył Leon.

- Skacz! - wykrzyknęłam. - No już, stary, skacz!

Leon jednak wpatrywał się we mnie uporczywie, a na jego twarzy migotały czerwono-niebieskie błyski.

- A więc to tak - rzucił paskudnym tonem. - Ty jesteś córką Portiera.

- Pospiesz się - wysyczałam. - Zaraz nas dopadnie.

Ale Leon już zdołał pojąć wymowę sytuacji i na jego twarzy pojawił się wyraz, którego serdecznie nienawidziłam.

- Dla czegoś takiego warto dać się złapać - powiedział, wykrzywiając kpiąco usta. - Już widzę te ich miny, już słyszę komentarze...

- Zamknij się, Leon.

- Bo co, Królowo? - Wybuchnął zimnym, kpiącym śmiechem. - Bo co mi zrobisz?

Poczułam w ustach ohydny smak - kwaśny, metaliczny - i wówczas zdałam sobie sprawę, że przygryzłam wargę do krwi. Po brodzie, wąską strużką, spływała mi krew.

- Leon, proszę cię...

Ale Leon wciąż się zaśmiewał w ten typowy dla niego, afektowany sposób. Natychmiast przypomniały mi się dzieciaki z Sunnybank: Peggy Johnsen i Jeffrey Stuarts, Harold Mann i Lucy Robbins - a potem wszyscy pozostali, którym nigdy nie uda się wyrwać z osiedla Abbey Road, którzy na zawsze pozostaną hołotą i proletami, a co najgorsze, nagle ujrzałam siebie - siebie taką, jaką byłam naprawdę.

I właśnie wtedy go popchnęłam.

Szczerze mówiąc, niedokładnie pamiętam ów moment. Często więc wmaśniałam sobie, że był to jednak wypadek. Niekiedy nawet udaje mi się w to uwierzyć. Być może naprawdę byłam pewna, że mu się uda. Ostatecznie Spiderman bez najmniejszego wysiłku pokonywał większe odległości jednym lekkim skokiem. Leonowi jednak się nie udało. Leon runął w dół.

Nagle wyraźnie ujrzałam swoją rękę na jego ramieniu.

I znów usłyszałam ten huk.

Mój Boże, był naprawdę straszny.

5

5 listopada, godz. 21.55

A więc w końcu poznałeś prawdę, stary człowieku. Żałuję, że odbyło się to w takim czasie i miejscu. Prawdę mówiąc, cieszyłam się na Boże Narodzenie u Świętego Oswalda, nie wspominając już o słynnej inspekcji. Tak czy owak - wszystkie wrogie pionki i figury zniknęły z szachownicy. Król został sam. Więc po raz pierwszy i ostatni mogliśmy stanąć do bezpośredniej konfrontacji.

Chcę wierzyć, że mnie polubiłeś. Że zasłużyłam na twój szacunek. Tego tak naprawdę najbardziej pragnęłam.

- Sir? Sir?

Otworzył oczy. Jakże mi ulżyło. Przez chwilę bałam się, że już mnie opuścił. Pewnie humanitarniej byłoby go dobić, ale nagle zrozumiałam, że nie jestem w stanie tego zrobić. Straitley w końcu mnie dostrzegł. Wreszcie poznał prawdę.

Gdybym go teraz zabiła, tobym przegrała.

A więc remis, *magister*. Nie mam nic przeciwko temu.

Poza tym musiałam poznać odpowiedź na jeszcze jedno pytanie - inaczej nie mogłabym uznać rozgrywki za zakończoną. Ogarniało mnie niemiłe wrażenie, że nie spodoba mi się to, co usłyszę. A jednak - musiałam się odważyć.

- Sir, skoro widział pan, że zepchnęłam Leona, czemu pan tego nikomu nie wyjawiał? Czemu pozwolił pan, by uszło mi to bezkarnie.

Wiedziałam, jakiej pragnęłam odpowiedzi. Przykucnęłam szybko obok Straitleya i przysunęłam ucho do jego ust.

- Proszę mi powiedzieć, sir. Dlaczego nikomu pan o tym nie powiedział?

Przez chwilę słyszałam jedynie jego płytki, charczący oddech i dziwne dławienie w gardle. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie za długo zwlekałam z tym pytaniem, czy przypadkiem Straitley nie zamierza skonać

akurat w tym momencie - oczywiście tylko po to, żeby zrobić mi na złość. W końcu jednak dobiegł mnie jego szept - bardzo cichy, niemniej wyraźny.

- Zrobiłem to dla Świętego Oswalda.

Powiedziała: „Żadnych kłamstw”. A więc usłyszała prawdę. Przynajmniej taką prawdę, jaką znałem, chociaż do końca nie byłem pewien, co w gruncie rzeczy udało mi się głośno wypowiedzieć, a co jedynie majaczyło w mojej głowie.

W każdym razie wyjawilem szczerze, czemu przez tyle lat skrywałem wiedzę o wydarzeniach owej nocy i czemu pozwoliłem, by cała afera umarła razem z Johnem Snyder'em. Już sam fakt, że Leon zginął na terenie szkoły, był straszny. Samobójstwo Portiera dodatkowo pogorszyło sprawę. Gdybym jednak włączył w to jeszcze drugie dziecko - oskarżył innego chłopca o śmierć kolegi - wybuchłby niewyobrażalny skandal, długo podsycany zainteresowaniem brukowców. Święty Oswald nie zasługiwał na taki los. Musiałem myśleć o swoich kolegach, o swoich uczniach - aż trudno sobie wyobrazić, jaki wpływ miałyby to na ich życie.

A poza tym co ja w istocie widziałem? Niewyraźny zarys twarzy w zdradliwych, ostrzegawczych światłach wozu strażackiego. Jakąś rękę na ramieniu Leona. Szerokie plecy Portiera, zasłaniające widok w najistotniejszej chwili. To było za mało.

Pozwoliłem więc, by sprawa umarła śmiercią naturalną. Wmawiałem sobie, że w tym wypadku nawet trudno mówić o nieuczciwości - prawdę powiedziawszy, sam owego wieczoru nie dowierzałem własnym oczom. Teraz prawda w końcu mnie dopadła - nadciągnęła na czarnym rydwanie i stała się niszczącą siłą miażdżącą mnie, moich przyjaciół - wszystko, co starałem się chronić - swoimi okutymi żelazem, potężnymi kołami.

- Dla Świętego Oswalda - powtórzyła cicho w zamyśleniu.

Skinąłem głową, zadowolony, że rozumiała. Ale czy mogłaby nie zrozumieć? Znała szkołę równie dobrze jak ja - znała jej rytuały i mroczne sekrety; wzloty i drobne snobizmy. Właściwie nie sposób objaśnić fenomen Świętego Oswalda. Ta szkoła ma w sobie niezwykłą moc przyciągania - ci, którzy zaczynają w niej uczyć, zazwyczaj nie potrafią odejść z własnej woli. Trwają dopóty, dopóki Święty Oswald ich nie wypłuje. Ja spędziłem tu tyle lat, że świat zewnętrzny przestał dla mnie istnieć. Poza kolegami z pokoju nauczycielskiego nie mam żadnych innych znajomych; moje wszystkie nadzieje

związane są z chłopcami, więc nie wyobrażam sobie życia poza...

- Dla Świętego Oswalda - powtórzyła raz jeszcze. - Oczywiście. Choć miałam przez chwilę nadzieję, że zrobił to pan dla mnie.

- Dla pani?! A niby czemu?

Coś delikatnie rozprysnęło się na mojej dłoni - może rosa opadła z drzew, a może kropla czegoś całkiem innego. I nagle zalała mnie fala litości - z pewnością uczucia nieadekwatnego do sytuacji, z którego jednak nie umiałem się otrząsnąć.

Czyżby ona naprawdę sobie wyobrażała, że milczałem przez te wszystkie lata ze względu na jakiś łączący nas związek, będący czystym wytworem jej wyobraźni? To wyjaśniałoby wiele kwestii: czemu wciąż podążała moim tropem, czemu miała tak ogromną potrzebę akceptacji i czemu posuwała się do wręcz barokowych ekscesów, byle tylko zwrócić na siebie moją uwagę. Och, naturalnie była potworem - w tym momencie jednak mogłem jej jedynie współczuć, więc niezdarnie wyciągnąłem ku niej dłoń w ciemności.

Chwyciła ją w mocnym uścisku.

- Cholerny Święty Oswald. Cholerny wampir.

Rozumiałem, co miała na myśli. Można dawać, dawać i dawać, a Święty Oswald wciąż pozostaje nienasycony, pożera wszystko, co może - miłość, życie, lojalność - i nieustannie żąda kolejnej ofiary.

- Jak pan może to znosić, sir? I co pan z tego ma?

Doskonale pytanie, panno Dare. Prawda jest jednak prosta - nie mam innego wyboru. Jestem jak matka-kwoka stojąca naprzeciw monstualnego, wiecznie głodnego pisklęcia.

- Wielu z nas, przynajmniej ze Starej Gwardii, kłamałoby, a nawet oddało życie za Świętego Oswalda, jeżeli tego wymagałyby okoliczności.

Nie dodałem, że ja być może właśnie za tę sprawę umieram tu i teraz, ale nie zrobiłem tego tylko dlatego, że kompletnie zaschło mi w ustach. Nieoczekiwanie zaśmiała się pod nosem.

- To pańskie zamiłowanie do dramatyzowania! Prawdę mówiąc, byłam niemal gotowa spełnić pańskie życzenie i pozwolić panu umrzeć za Świętego Oswalda, żeby zobaczyć, jaka spotka pana wdzięczność za to poświęcenie.

- Nie ma mowy o żadnej wdzięczności - odparłem. - Ale wreszcie nie musiałbym płacić podatków.

To był marny dowcip, jak na Słynne Ostatnie Słowa, niestety nie udało mi się zdobyć na lepszy.

- Niech się pan nie zachowuje jak stary osioł, sir. Nie umrze pan tak szybko.

- Skończyłem sześćdziesiąt pięć lat. Mogę robić, co mi się podoba.

- I w imię głupiej zachcianki zrezygnować z tytułu centuriona?

- Najważniejsza jest gra, nie gracze - odparłem, parafrazując słynne powiedzenie.

- A! To już zależy tylko od tego, po której się stoi stronie, sir.

Parsknąłem śmiechem. Dianne to doprawdy wyjątkowo błyskotliwa dziewczyna.

- Muszę się zdrzemnąć - powiedziałem. - *Scis, quid dicant...**

* łac. *Scis, quid dicant...* - Wiesz, co mówią... (przyp. red.).

- Nie, sir. Jeszcze nie wolno panu zasypiać.

- Bo co? - zapytałem i zamknąłem oczy.

Po dłuższej chwili dobiegł mnie jej głos - oddalający się, podobnie jak echo jej kroków.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, *magister*.

Jej słowa - dochodzące z dali - zabrzmiały bardzo ostatecznie w gęstym mroku. Zasłona opadła, powiedziałem sobie w duchu. Teraz już w każdej chwili spodziewałem się ujrzeć Tunel Światła, o którym tak często rozprawiała Penny Nation, a wzdłuż niego niebiańskie cheerleaderki dopingujące mnie do biegu.

Szczerze powiedziawszy, zawsze sądziłem, że koncept świetlistego tunelu jest dość upiorny, teraz jednak wydawało mi się, że naprawdę dostrzegam światło - tajemniczą, zielonkawą poświatę - i słyszę głosy zmarłych przyjaciół, szepsem powtarzających moje imię.

- Panie Straitley!

Zabawne. Można by sądzić, że niebiańskie byty zwracają się do śmiertelników przechodzących na drugą stronę w dużo mniej formalny sposób. Ale szepc był teraz bardzo wyraźny, a dzięki zielonawej poświacie widziałem, że panny Dare nie ma nigdzie w pobliżu, więc to nie ona się do mnie zwracała. Po pewnej chwili zorientowałem się też, że coś, co brałem za dużą gałąź, jest tak naprawdę skulonym człowiekiem leżącym na ziemi, zaledwie kilka metrów ode mnie.

- Panie Straitley! - skulona postać przemówiła do mnie ponownie, głosem równie chrapliwym - i równie ludzkim - jak mój własny.

Wyteżyłem wzrok i dojrzałem wyciągniętą rękę, fragment twarzy wychylający się z obszytego futrem kaptura i zielonkawe światelko, które się okazało wyświetlaczem telefonu komórkowego. Twarz wydawała mi się dobrze znajoma, wykrzywił ją jednak grymas bólu, gdy postać powoli, ale uparcie zaczęła pełznąć w moją stronę, ściskając telefon w dłoni.

- Keane?!

6

*Paryż. Piąta Dzielnica,
piątek 12 listopada*

Zadzwoiłam po karetkę. W Wieczór Ognisk, w pobliżu parku, zawsze znajduje się jakiś ambulans, po raz ostatni więc skorzystałam z komórki Knighta, poinformowałam, że zasłabł starszy człowiek i podałam im instrukcje, jak do niego dotrzeć - dość klarowne, by bez trudu go znaleźli, jednak nie przesadnie precyzyjne, żebym mogła spokojnie zatrzeć za sobą ślady.

Nie zabrało mi to wiele czasu. Przez te wszystkie lata stałam się ekspertem od znikania. O dziesiątej znalazłam się w swoim wynajętym mieszkanku, piętnaście minut później byłam spakowana i gotowa do drogi. Zostawiłam wypożyczony samochód (z kluczykami w stacyjce) na terenie osiedla Abbey Road. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że nie minie nawet pół godziny, a ktoś go sobie przywłaszczy i po szalonej przejażdżce puści z dymem. Jeszcze przed wyjściem do parku starannie wytarłam komputer i usunęłam twardego dysku, a resztę sprzętu porozrzuciłam wzdłuż linii kolejowej w drodze na stację. Kiedy tam dotarłam, miałam już tylko niewielką walizkę z ubraniami należącymi do panny Dare. Wrzuciłam ją do specjalnego pojemnika jednej z organizacji charytatywnych, która w przeciągu paru dni starannie wypierze odzież i wyśle do krajów Trzeciego Świata. W końcu pozbyłam się kilku ostatnich dokumentów opiewających na przybrane nazwisko, kupiłam bilet kolejowy i na tę ostatnią noc wynajęłam pokój w tanim motelu nieopodal stacji.

Muszę przyznać, że stęskniłam się już za Paryżem. Gdyby piętnaście lat temu ktoś mi powiedział, że polubię to miasto, nigdy bym nie uwierzyła. Teraz jednak czuję się tu doskonale. Jakiś czas temu uwolniłam się od matki (jaka tragedia, młoda kobieta wraz z kilkuletnią córką zginęły w pożarze mieszkania), i w rezultacie, jako jedyna żyjąca krewna, otrzymałam całkiem przyjemny spadek. Zmieniłam nazwisko - jak poprzednio moja matka - i od

dwóch lat uczyć angielskiego w *lycée* na zamożnym przedmieściu. Ostatnio wzięłam krótki urlop naukowy, by zakończyć pewne badania, dzięki czemu z pewnością szybko awansuję. Ponieważ niebawem w szkole wybuchnie mały skandal (wkrótce wszyscy się dowiedzą, że moja bezpośrednia przełożona jest uzależniona od hazardu *via* Internet), więc zwolni się odpowiednie dla mnie stanowisko. Naturalnie owej szkole daleko do Świętego Oswalda, ale od biedy ujdzie w tłoku. Przynajmniej na razie.

Gdy zaś chodzi o Straitleya - cóż, mam nadzieję, że przeżył. Nikt poza nim - ani żaden nauczyciel, ani psycholog, nie wspominając już o rodzicach - nie nauczył mnie niczego pożytecznego. Być może właśnie dlatego pozostawiłam go przy życiu. A może w ten sposób chciałam sobie udowodnić, że w końcu udało mi się prześcignąć mojego starego mistrza. Jeżeli przeżyje, nie sposób przewidzieć, jak jego zeznania wpłyną na rozwój wydarzeń u Świętego Oswalda. Jeżeli Straitley zechce uratować swoich kolegów i oczyścić ich z podejrzeń, będzie musiał przywołać duchy związane z aferą Snyde'a. Niektórym nie będzie przyjemnie. No i, naturalnie, wypłynie moje imię.

Oczywiście wcale się tym nie przejmuję. Dobrze zatarłam za sobą ślady, więc w odróżnieniu od Świętego Oswalda wyjdę z tego wszystkiego nieskazywana. Z drugiej strony, szkoła już kilkakrotnie radziła sobie ze skandalami, i choć obecna historia przysporzy jej niepożądanego rozgłosu, sądzę, że zdoła przetrwać. W pewien perwersyjny sposób mam nadzieję, że tak się właśnie stanie. Ostatecznie Świętemu Oswaldowi oddałam sporą część duszy.

W tej chwili siedzę w swojej ulubionej kafejce (o nie, nie podam wam jej adresu) nad małą czarną i croissantami, i podczas gdy listopadowy wiatr goni szerokim bulwarem - raz chichocząc, raz łkając łzawie - czuję się, jak na wakacjach. W powietrzu wisi jakaś obietnica; w głowie rodzą mi się nowe śmiałe plany. Z pewnością będę się dobrze bawić. Przede mną jeszcze dwa miesiące urlopu, nowy, ekscytujący projekt, ale najważniejsze i najdziwniejsze z tego wszystkiego - wreszcie czuję się wolnym człowiekiem.

Po raz pierwszy też od wielu lat łapię się na myślach o Leonie. Wiem, że brzmi to absurdalnie - czyż nie był przy mnie przez te wszystkie lata? - ale teraz staje mi przed oczami prawdziwy Leon, a nie postać, którą wykreowałam w swojej wyobraźni. Teraz zbliżałby się do trzydziestki. Przypomniało mi się nagle, jak kiedyś powiedział: „Trzydzieści lat, to już starość. Zabij mnie, zanim tego dożyję”.

Teraz, również po raz pierwszy, mogę sobie wyobrazić Leona w tym wieku - żonatego, tyjącego, obciążonego dziećmi i regularną pracą. I wreszcie udaje mi się dostrzec, jak zwyczajnie, jak banalnie wygląda zredukowany do kilku zdjęć o wyblakłych barwach, w komicznie niemodnych ciuchach - na Boga,

czy ludzie kiedyś naprawdę się tak ubierali? - i nagle, jak idiotka, wybucham płaczem. Nie. Nie płaczę nad Leonem ze swoich wyobrażeń i wspomnień, ale nad samą sobą, nad matą Królową, teraz dwudziestoosmioletnią, pędzącą w zawrotnym tempie ku nie wiedzieć jak mrocznej przyszłości. Czy udźwignę ten ciężar? I czy kiedykolwiek zdołam się zatrzymać?

- *Hé, la ReINETTE. Ça va pas?*

To André Joubert, właściciel kafejki - ciemnowłosa, chudy jak patyk sześćdziesięciokilkulatek. Znamy się - a przynajmniej jemu tak się wydaje - więc na widok moich zapłakanych oczu na jego kościstej twarzy pojawia się wyraz z troskaniem. Macham więc nonszalancko ręką. - *Tout va bien* - odpowiadam, rzucam kilka monet na winylowy stolik i ruszam wzdłuż bulwaru, by wiatr osuszył mi łzy. Być może opowiem o tym swojej terapeutce przy najbliższej okazji. Choć bardziej prawdopodobne, że nie zjawię się na następnej sesji.

Moja terapeutka ma na imię Zara, nosi grubo dziergane swetry i perfumuje się l'Air du Temps. Nie ma pojęcia, kim jestem naprawdę, bo od początku serwuję jej zmyślane opowieści, ona natomiast ordynuje mi homeopatyczne leki na bazie sepii i jodiny, mające koić moje nerwy. Bardzo mi współczuje z powodu ciężkiego dzieciństwa i tragedii, które w tak młodym wieku pozbawiły mnie najpierw ojca, a potem matki, ojczyzna i młodej siostrzyczki. Niepokoi ją moja nieśmiałość, mój chłopięcy sposób bycia oraz fakt, że nigdy w życiu nie związałam się z żadnym mężczyzną. O wszystkim oskarża mojego ojca - któremu nadałam wygląd i wiele cech Roya Straitleya - i nakłania mnie, bym szukała katharsis i jasno zdefiniowanego celu w życiu.

Gdy patrzę na drugą stronę bulwaru, Paryż zdaje się radosny i wyrazisty w kształtach, obnażony do naga przez listopadowy wiatr. Jego poddmuchy wzbudzają we mnie dziwne tęsknoty - pragnę się wyrwać, lecieć przed siebie, sprawdzić, co jest za horyzontem.

Podmiejskie liceum jest banalne w porównaniu ze Świętym Oswaldem. I gdy teraz myślę, że miałabym tam zostać na dłużej, przyjąć awans, wpasować się w gotową niszę, dochodzę do wniosku, że to nie dla mnie. Po Świętym Oswaldzie wszystkiego mi mało. Wciąż chcę działać zgodnie z jego maksymą - *audere, agere, auferre* - odważyć się, zrobić, osiągnąć. Nawet Paryż wydaje się już za ciasny dla moich ambicji.

Gdzie więc się udać? Może do Ameryki. To ziemia obiecana, ziemia nowych ludzi, gdzie każdy mówiący z angielskim akcentem automatycznie zyskuje status Dżentelmena. Kraj biało-czarnych wartości i interesujących kontrastów. Tam na tak zdolnego gracza jak ja zapewne czekają wspaniałe nagrody. O tak. Ameryka zapewne przypadnie mi do gustu.

Ale niewykłuczone, że najpierw udam się do Włoch, gdzie każda katedra przywodzi na myśl Świętego Oswalda, a powietrze jest pełne złocistego pyłu,

który tworzy wyjątkową aurę w tych zapuszczonych, ale cudownie starożytnych miastach. Nie wykluczam także wizyty w Hiszpanii czy Portugalii, a nawet w bardziej egzotycznych miejscach, jak Indie czy Japonia. Jedno natomiast nie ulega dla mnie wątpliwości - pewnego dnia wszystkie moje podróże i tak zaprowadzą mnie pod bramy Świętego Oswalda i stanę się jak ten wąż oplatający ziemię, trzymający w paszczy własny ogon.

To nieuniknione. Naturalnie nie wybiorę się tam w tym roku - może nawet nie w tej dekadzie - ale w końcu znowu się zjawię przed szkołą, tocząc wzrokiem po boiskach do rugby i krykieta, po dziedzińcach i podcieniach, kominach i opuszczanych kratownicach bram Prywatnej Szkoły dla Chłopców imienia Świętego Oswalda. To wyjątkowo kojąca myśl. Gdy do mnie wraca, ogarnia mnie wrażenie, że przemijanie czasu jest niczym więcej niż przepływaniem obłoków nad długimi, wyłożonymi słońcem, łupkowymi dachami. Nikt mnie nie rozpozna. Lata stwarzania na nowo własnej tożsamości sprawiły, że umiem przybierać barwy ochronne, niczym kameleon. Tylko jedna osoba mogłaby mnie zdemaskować. Moja noga jednak nie postanie w pobliżu Świętego Oswalda, dopóki się nie upewnię, że Roy Straitley już od paru ładnych lat przebywa na emeryturze. W pewnym sensie żałuję, że tak właśnie być musi. Chętnie rozegrałabym z nim decydującą partię. Niemniej kiedy znowu znajdę się w murach szkoły, przede wszystkim poszukam jego nazwiska na Tablicy Honorowej Centurionów. I coś mi podpowiada, że na pewno je tam znajdę.

14 listopada

Wydaje mi się, że to niedziela, ale nie jestem pewien. Znowu jest tu pielęgniarka o różowych włosach - właśnie porządkuje salę - mam też niejasne wrażenie, że jakiś czas temu widziałem Marlene, siedzącą przy moim łóżku, zatopioną w lekturze. To pierwszy dzień, gdy czas płynie dla mnie w naturalnym tempie, gdy minęły napady utraty przytomności, od tygodnia wyznaczające rytm moich nocy i dni.

Panna Dare, jak się zdaje, ulotniła się jak kamfora. Jej mieszkanie było całkiem puste, wynajęty samochód znaleziono spalony w pobliżu Abbey Road, a pensja za ostatni miesiąc nadal czeka w Kwesturze. Marlene, dzieląca czas między szkołę a oddział kardiologiczny, powiedziała mi, że wszystkie dyplomy i referencje dziewczyny, złożone w okresie rekrutacji, okazały się sfałszowane, i że „prawdziwa” panna Dare, która pięć lat temu ukończyła lingwistykę na Uniwersytecie Cambridge, pracuje w niewielkim wydawnictwie w Londynie i nigdy nawet nie słyszała o Świętym Oswaldzie.

Oczywiście rozesłano list gończy. Ale wygląd można łatwo zmienić, podobnie jak tożsamość, więc coś mi podpowiada, że panna Dare - czy też panna Snyder, jeżeli to nadal jej nazwisko - jeszcze przez długi czas będzie się nam wymykać.

Niestety, nie mogłem pomóc policji tak, jak tego oczekiwali. Wiedziałem jedynie, że Dianne zadzwoniła po karetkę i że przeżyłem tylko dzięki pomocy udzielonej mi przez ratowników jeszcze w parku. Następnego ranka młoda kobieta, podająca się za moją córkę, przyniosła dla mnie pięknie opakowany prezent i zostawiła go w dyżurce oddziału. W środku znaleziono srebrny kieszonkowy zegarek, z pięknym grawerunkiem na kopercie.

Nikt nie zapamiętał twarzy owej kobiety. Jedno wszakże nie ulegało najmniejszej wątpliwości - nie mam córki ani żadnej krewnej, mogącej choć w przybliżeniu odpowiadać opisowi dziewczyny. Tak czy owak ona nigdy więcej się nie pokazała, a zegarek nie wyróżnia się niczym szczególnym - jest wiekowy,

lekką podniszczony, o cyferblacie, który może nie zachwyca urodą, ale jest zdecydowanie stylowy.

To nie jedyny prezent, jaki otrzymałem w tym tygodniu. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tylu kwiatów naraz - można by pomyśleć, że nie leżę w szpitalu, ale już na marach. Moi Brodie Boys przynieśli bardzo kolczastego kaktusa i dołączyli do niego karteczkę z dość bezczelnym tekstem: „Proszę się pospieszyć. Czekamy”. Kitty przysłała fiołka afrykańskiego, Pearman - złote chryzantemy, Jimmy - szkarłatne niecierpki, grupa młodszych nauczycieli - olbrzymi bukiet mieszanych kwiatów, świętoszkowata Liga Narodów - floksy (odmianę zwaną „Drabiną Jakubowa”), Monument - zielistkę (pewnie, by zajęła miejsce tych usuniętych z gabinetu języków klasycznych), od Devine'a natomiast dostałem wielkiego rycynusa, którego błyszczące liście tkwią nade mną z wyrzutem, jakby chciały zapytać, czemu właściwie do tej pory nie wyzionąłem ducha.

Niewiele brakowało - a przynajmniej tak mi powiedziano.

Gdy zaś chodzi o Keane'a - jego operacja trwała wiele godzin i wymagała transfuzji kilku litrów krwi. Niemniej nie dalej jak wczoraj chłopak mnie odwiedził. Co prawda pielęgniarka nie pozwoliła mu wstać z fotela na kółkach, ale dla mnie i tak wyglądał wprost kwitnąco jak na człowieka, który tylko cudem wymknął się śmierci. Znów prowadzi dziennik - tym razem pełen szkiców pielęgniarek i satyrycznych opisów życia pacjentów i zachowań lekarzy. Utrzymuje, że pewnego dnia napisze na ten temat książkę. Cóż, cięsz się, że dramatyczne wydarzenia nie stępiły jego kreatywności, powiedziałem mu jednak, że jeszcze żadnemu nauczycielowi nie udało się przedziergnąć w geniusza literatury, więc może byłoby dla niego lepiej, gdyby trzymał się fachu, do którego ma talent.

Pat Bishop został już zwolniony ze szpitala. Pielęgniarka o różowych włosach (notabene o imieniu Rosie) utrzymuje, że od razu jej ulżyło. „Trzech Ozzich za jednym zamachem? Jeszcze trochę, a bym osiwiła”, jęknęła teatralnie, chociaż zauważyłem, że traktuje mnie dużo łagodniej niż onegdaj i poświęca mi wiele więcej czasu niż innym pacjentom. To zapewne skutki uboczne czaru Bishopa.

W świetle nowych dowodów Pata oczyszczono z zarzutów, chociaż nadal jest zawieszony w obowiązkach na mocy zarządzenia wydanego przez Nowego. Moi pozostali koledzy byli w lepszej sytuacji - nigdy ich formalnie o nic nie oskarżono, mogli więc w odpowiednim czasie wrócić do szkoły. Jimmy został przywrócony do pracy - oficjalnie na czas określony, dopóki nie zostanie znaleziony właściwy fachowiec, ale znając życie, Jimmy zostanie już u nas na zawsze. Z jakichś względów ubzdurał sobie, że to mnie zawdzięcza swoją drugą szansę, chociaż kilkakrotnie mu powtarzałem, że nie mam z tym nic wspólnego. Zamieniłem tylko parę słów z doktorem Tidym - to wszystko. Najważniejszym motywem przywrócenia go do łask była niewątpliwie

zbliżająca się inspekcja i fakt, że bez naszej mało bystrej, ale manualnie genialnej złotej rączki wiele drobnych, ale ważnych trybików Świętego Oswalda przestałoby w ogóle funkcjonować.

Gdy zaś chodzi o moich pozostałych kolegów, doszło do mnie, że Isabelle już nie wróci do pracy. Light także nas opuścił - ponoć ma zacząć jakiś kurs zarządzania, bo uznał, że nauczanie jest zbyt wyczerpujące. Pearman znowu przewodzi katedrze ku cichemu rozczarowaniu Scoonesa, natomiast Kitty Teague ubiega się o posadę Opiekuna Roku u Świętego Henryka i jestem pewien, że ją dostanie. Bob Strange nadal w wolnych chwilach pełni obowiązki Drugiego Mistrza i, jak wieść gminna niesie, nie może sobie poradzić z dyscypliną. Doszły mnie też plotki, że zdecydowano się zaoferować Patowi niezwykle wysoką odprawę, byle tylko zatrzymać go z dala od szkoły.

Marlene sądzi, że Pat powinien walczyć - Związki bez wątpienia by go poparły - ale skandal jest skandalem, więc z pewnością zawsze znajdą się ludzie powielający absurdalne pomówienia. Biedny Pat. Przypuszczam, że są szkoły, które ochoczo zaproponowałyby mu posadę dyrektora albo jeszcze lepiej - głównego egzaminatora - ale jego serce należy do Świętego Oswalda, i teraz mu je złamano. Nie uczyniło tego policyjne dochodzenie - funkcjonariusze ostatecznie wykonywali tylko swoją pracę - ale tysiące drobnych incydentów: milczenie znajomych, szybko odwracane na ulicy twarze, dezercja przyjaciół, gdy tylko wyczuli, skąd wieje wiatr.

- Mógłbym wrócić - powiedział mi, gdy zbierał się do opuszczenia szpitala. - Ale już nigdy nie byłoby jak dawniej. - Wiedziałem, co miał na myśli. Magiczny krąg, raz zerwany, traci swoją moc. - Poza tym - podjął po chwili - nie mógłbym tego zrobić Świętemu Oswaldowi.

- Zupełnie nie pojmuję dlaczego - wtrąciła Marlene, czekająca, aż Pat się spakuje. - Ostatecznie gdzie był Święty Oswald, gdy ty potrzebowałeś wsparcia i pomocy?

Pat tylko wzruszył ramionami. Tego nie sposób wytłumaczyć - szczególnie kobiecie. Nawet tak niezwyklej jak Marlene. Mam nadzieję, że otoczy Pata serdeczną opieką. Mam nadzieję, że pojmie, iż pewnych rzeczy nie da się zrozumieć.

A Knight?

Knight nadal oficjalnie figuruje na liście osób zaginionych, chociaż wszyscy - z wyjątkiem rodziców - są przekonani, że nie żyje. Pan Knight zamierza podać szkołę do sądu i już zaangażował się w kilka kampanii, szeroko nagłośnionych przez prasę. Domaga się wprowadzenia tak zwanego Prawa Colina, mówiącego między innymi o tym, że wszyscy pracujący z dziećmi mieliby obowiązek poddawać się badaniom DNA i różnym testom psychologicznym, a policja musiałaby wnikliwie badać ich przeszłość. Wszystko po to, by - jak twierdzi Knight senior - żadnego innego chłopca nie spotkał los

jego syna (jakikolwiek był). Pani Knight natomiast ubyło kilogramów, przybyło natomiast biżuterii. Jej wizerunki w gazetach i codziennych telewizyjnych biuletynach ukazują kruchą postać niczym wyrzeźbioną z chińskiej laki, niemal niezdolną do dźwigania na szyi i dłoniach niezliczonej ilości łańcuszków, pierścionków i bransoletek, upodabniających ją do bożonarodzeniowej choinki. Wątpię, czy kiedykolwiek się dowiemy, co naprawdę spotkało jej syna. Przeszukiwanie stawów i innych zbiorników wodnych nie dało żadnych rezultatów. Gorące apele do społeczeństwa spotkały się z odzewem wielu współczujących dusz, pokazem dobrej woli - ale na tym właściwie się skończyło. „Wciąż jeszcze jest w nas nadzieja”, głosi pani Knight z ekranu, ale powodem, dla którego telewizje wciąż jeszcze są zainteresowane tym tematem, nie jest los chłopca (którego już i tak wszyscy spisali na straty), ale widowisko, jakie zapewnia pani Knight, sztywno opięta żakietem Chanel i opancerzona brylantami, nieustająco karmiąca się ułudą. To nawet lepsze od „Big Brothera”. W dawnych czasach jej nie lubiłem, i teraz też nie wzbudza we mnie sympatii - niemniej na jej widok zawsze ogarnia mnie litość. Marlene miała przynajmniej pracę i miłość do Pata. A przede wszystkim - córkę, Charlotte, która co prawda nie mogła zastąpić Leona, była jednak promykiem nadziei, obietnicą lepszej przyszłości. Pani Knight niczego nie ma - niczego poza wspomnieniami, które z dnia na dzień coraz bardziej rozmijają się z rzeczywistością. Już teraz legenda Colina Knighta żyje własnym życiem. Jak każda ofiara nieznanego zbrodni, Knight zaczyna funkcjonować w zbiorowej pamięci jako chłopiec niezwykle popularny wśród rówieśników, uwielbiany przez nauczycieli, otoczony gronem wiernych, stęsknionych za nim przyjaciół. Fotografie w gazecie są reprodukcją jego wizerunku z dnia jedenastych, góra dwunastych urodzin. Widzimy więc uśmiechniętego od ucha do ucha chłopca (nigdy w życiu nie widziałem, żeby się uśmiechał), ze świeżo umyтыми włosami, o cerze jeszcze nieskażonej pryszczami. Ledwo go poznałem na tej fotografii, choć przyznaję, że teraz już nie ma znaczenia, jaki był naprawdę. To Colin z pierwszych stron gazet pozostanie w naszej pamięci - uroczy chłopiec, zaginiony bez śladu.

Niekiedy zastanawiam się, co Marlene sądzi na ten temat. Ostatecznie ona też straciła syna. Zapytałem ją o to dzisiaj, gdy czekała na Pata pakującego manatki (rośliny doniczkowe, okolicznościowe kartki i przyprawiającą o zawrót głowy liczbę balonów). Zadałem jej też pytanie, które powinienem zadać przed wielu laty. Trzeba jednak było kolejnego morderstwa, bym się w końcu na to zdobył.

- Marlene, a co z dzieckiem?

Stała przy moim łóżku w okularach do czytania na nosie i studiowała etykietkę na jednej z roślin doniczkowych. Oczywiście miałem na myśli dziecko Leona i Franceski, o czym Marlene dobrze wiedziała, bo nagle jej twarz stężała i nabrała wyrazu, który natychmiast przywiódł mi na myśl panią Knight.

- Ta roślina jest bardzo przesuszona - powiedziała. - Wymaga natychmiastowego podlania. Na Boga, Roy, nigdy nie zdołasz zadbać należycie o te wszystkie kwiaty.

- Marlene. - Spojrzałem na nią surowo.

To przecież byłoby jej wnuczę. Dziecko Leona, nowa nadzieja. Żywy dowód na to, że Leon istniał, że życie toczy się dalej, że po zimie zawsze przychodzi wiosna. Beznadziejne komunały, zdając sobie z tego sprawę, ale to właśnie takie oczywistości są drobnymi trybikami, napędzającymi te wielkie i najważniejsze tryby naszego życia. Co więc byśmy bez nich poczęli?

- Marlene - powtórzyłem.

Powędrowała wzrokiem w stronę Bishopa, oddalonego od nas o kilka metrów, pochłoniętego rozmową z Rosie.

- Chciałam go wychowywać - powiedziała po chwili. - Był przecież synem Leona, to naturalne, że chciałam go mieć przy sobie. Ale byłam rozwódką w średnim wieku, zbyt starą, żeby wydano zgodę na adopcję. Poza tym miałam córkę, która mnie potrzebowała. Nieważne, że formalnie byłam babką tego dziecka - nigdy by mi go nie dali na wychowanie. Wiedziałam też, że gdybym choć raz rzuciła na niego okiem, musieliby mi wydrzeć to dziecko siłą.

Chłopczyk został oddany do adopcji. Marlene nigdy nie próbowała się dowiedzieć, jak potoczyły się jego losy. Nie знаła nazwiska ani adresu adopcyjnych rodziców. Mogliśmy nawet natknąć się na jej wnuka - nie mając pojęcia, kim jest - na międzyszkolnym meczu krykieta, w pociągu czy na ulicy. Równie dobrze dziecko mogło umrzeć - cóż, niekiedy to się zdarza - jak i mieszkać gdzieś w pobliżu, zaledwie kilka przecznic dalej. Byłby to teraz czternastoletni chłopiec wśród tysiąca innych chłopców, o dziwnie znajomej twarzy, kosmyku opadającym w szczególny sposób na czoło, o charakterystycznym spojrzeniu...

- Musiało być ci ciężko.

- Dałam radę.

- A co teraz?

Milczała przez chwilę. Pat był już gotowy do wyjścia. Podszedł do mojego łóżka - jakże mi obcy w dżinsach i T-shircie (wykładowcy u Świętego Oswalda zawsze noszą koszule z krawatem i marynarki) - po czym uśmiechnął się ciepło.

- Poradzimy sobie - odparła Marlene i chwyciła Pata za rękę. Po raz pierwszy zrobiła to publicznie i w tym momencie uświadomiłem sobie, że żadnego z nich już nigdy nie zobaczę w murach Świętego Oswalda.

- Powodzenia - powiedziałem, choć tak naprawdę myślałem „Żegnajcie”.

Przez chwilę stali przy moim łóżku i przyglądali mi się w ciszy.

- Dbaj o siebie, staruszkule - powiedział w końcu Pat. - Do rychłego zobaczenia. Do diabła, prawie cię nie widać zza tych cholernych kwiatów.

8

Poniedziałek 6 grudnia

Zdaje się, że nie jestem najmilej widzianą osobą w szkole. W każdym razie to mniej więcej dał mi do zrozumienia Bob Strange, gdy ujrzał mnie dzisiaj-ranka.

- Na Boga jedynego, Roy! Chłopcom nie stanie się krzywda, jeśli ominie ich kilka godzin łaciny!

Może i nie. Mnie jednak zależy, żeby moim uczniom udało się osiągnąć na egzaminach jak najlepsze wyniki, zależy mi na przyszłości i pozycji języków klasycznych w tej szkole, a poza tym - czuję się już dużo lepiej.

Naturalnie mój lekarz powiedział mi to, co zazwyczaj mówią lekarze. Ale ja znam Bevansa od czasu, gdy był małym, pulchnym uczniem w mojej klasie, gdy miał zwyczaj nieustannie ściągać z nogi jeden but w czasie zajęć, więc szybciej diabli mnie porwą, niż pozwolę, żeby ten młokos mi teraz rozkazywał.

Dowiedziałem się, że pieczę nad moją klasą objął Meek. Sam bym na to wpadł, gdy tylko usłyszałem ten harmider dobiegający z góry do Sali Cichej Pracy. Przedziwna, jakże znajoma mieszanka dźwięków - wśród nich perorowanie Andertona-Pullitta i rezonujące buczenie Brasenose'a. Od czasu do czasu słyszałem także wybuchy śmiechu i przez moment wydawało mi się, że czas stanął w miejscu - śmiech chłopców niósł się korytarzem, przerywany od czasu do czasu nieśmiałoymi protestami Meeka. W powietrzu królował zapach kredy i przypalonych tostów. Po chwili zaś rozległ się dźwięk dzwonka, a po nim - trzaskanie drzwi, galop chłopięcych stóp i jedyny w swoim rodzaju szurgot worków gimnastycznych wleczonych po wyfroterowanych podłogach. Usłyszałem też stukot obcasów nauczycieli spieszących do gabinetów lub na jakieś zebranie, i przed oczami stanął mi wyzłocony słońcem kurz Dzwonniczy..

Wciągnąłem głęboko powietrze.

Z jednej strony zdawało mi się, że nie było mnie tu od lat, z drugiej - czułem już, jak wydarzenia kilku ostatnich tygodni zapadają się w nicość niczym dawno śniony sen. Przede mną i przed Świętym Oswaldem nowe bitwy i wyzwania. Trzeba nadal prowadzić zajęcia, wdrażać chłopców w subtelności Horacjańskiej frazy i ostrzegać przed rafami narzędnika. Syzyfowa praca, z której jednak - póki mogę stać na własnych nogach - nie zamierzam dobrowolnie rezygnować. Z kubkiem w dłoni, z „Timesem” pod pachą (otwartym na stronie z krzyżówką) ruszyłem w stronę Dzwonnicy, zamiatając podłogę brzegiem zakurzonej togi.

- A! Straitley - rozległo się za moimi placami.

Bez wątpienia Devine. Trudno nie poznać tego suchego, pełnego dezaprobaty głosu.

Oto i on, tkwiący tuż przy schodach - szary garnitur, świeżo odprasowana toga, niebieski jedwabny krawat. Wykrochmalony to nie dość adekwatne słowo, by zobrazować jego sztywność. Oczywiście po aferze z panną Dare ma wobec mnie dług wdzięczności, co tylko dodatkowo pogarsza sprawę.

Tuż za nim dwóch mężczyzn ustawiło się na podobieństwo surowych wartowników. Ach, tak. Inspektorzy szkolni. W tym całym zamieszaniu zupełnie wyleciało mi z głowy, że na dzisiaj zapowiedzieli swoją obecność. Choć naturalnie powinienem się domyślić, kim są, gdy zobaczyłem, z jakim dystansem i jak szarmancko powitali ich dzisiaj chłopcy. Poza tym na parkingu pojawiły się trzy stanowiska dla niepełnosprawnych - a byłbym gotów przysiąc, że nie było ich tam jeszcze wczorajszego wieczoru.

- O! Inkwizycja - rzuciłem lekkim tonem i podniosłem rękę do czoła w komicznym salucie.

Kwaśnogron posłał mi natychmiast jedno z tych swoich słynnych spojrzeń.

- To jest pan Bramley... - powiedział, wskazując z wielką rewerencją na jednego z mężczyzn - ...a to jego kolega, pan Flown. Będą dzisiejszego ranka obserwować twoje zajęcia.

- Rozumiem. - Devine nie byłby Devine'em, gdyby nie zafundował mi podobnej atrakcji pierwszego dnia po powrocie do pracy. No, ale ostatecznie facet, który nie waha się odwoływać do przepisów BHP, gdy chce coś dla siebie załatwić, nie cofnie się przed niczym. Poza tym uczę u Świętego Oswalda zbyt długo, żeby dać się zastraszyć dwóm Garniturom z notatnikami w rękach. Poczestowałem ich jednym ze swoich najserdeczniejszych uśmiechów.

- Cóż, właśnie jestem w drodze do Gabinetu Języków Klasycznych - oznajmiłem, rzucając Kwaśnogronowi złośliwe spojrzenie. - To bardzo ważne, żeby mieć swój własny kąt, nie sądzicie, panowie? Och, proszę nie zwracać na niego uwagi - zwróciłem się do Inspektorów, gdy Devine zaczął umykać korytarzem niczym spłoszony jeleń. - Ma skłonność do egzaltacji.

Pięć minut później znaleźliśmy się w gabinecie. To przytulne pomieszczenie, muszę przyznać. Zawsze je lubiłem, a teraz, gdy ekipa Devine'a je odmalowała, wygląda jeszcze przyjemniej. Moje zielistki powróciły na swoje miejsce, wyciągnięte z jakiegoś kąta, w którym wylądowały po inwazji Kwaśnogrona, natomiast za moimi plecami, w równych rzędach stały książki ustawione według serii wydawniczych. Najbardziej jednak podobało mi się to, że na miejscu tabliczki z napisem „Gabinet Germanistów”, pojawiła się elegancka plakietka, na której wygrawerowano jedynie: „Języki Klasyczne”.

Cóż, jednego dnia się przegrywa, drugiego wygrywa. Muszę przyznać, że ogarnęło mnie poczucie pełnego zwycięstwa, gdy wkroczyłem do sali 59 i zobaczyłem, jak Meek rozdziawia usta ze zdumienia, a chłopcy milkną jak jeden mąż.

Ten stan trwał przez kilka sekund - potem zaś zaczął narastać głośny dźwięk, przypominający wycie startującej rakiety. Zanim się obejrzałem, wszyscy moi uczniowie poderwali się na równe nogi - zaczęli klaskać, śmiać się, wiwatować. Pink i Niu. Allen-Jones i McNair, Sutcliff i Brasenose, a także Jackson, Anderton-Pullitt, Adamczyk, Tyler, Sykes i cała reszta. Gdy tak wszyscy stali i wykrzykiwali moje imię, zobaczyłem, że Meek także podnosi się z miejsca, a na jego twarzy pojawia się szczery, szeroki uśmiech.

- To Quaz!

- On żyje!

- Wrócił pan do nas, sir!

- Czy to znaczy, że nadal nie będziemy mieli nauczyciela z prawdziwego zdarzenia, sir?

Wyciągnąłem swój kieszonkowy zegarek, sprawdziłem godzinę i zartasnąłem kopertę.

Na wierzchu wygrawerowano motto szkoły:

Audere, agere, auferre.

Odważyć się, zrobić, osiągnąć.

Oczywiście nie istnieją dowody na to, że ów zegarek podarowała mi panna Dare, ale w gruncie rzeczy nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Zastanawiam się niekiedy, gdzie - i kim - teraz jest. Tak czy owak, nie mogę wyzbyć się przekonania, że jeszcze o niej usłyszymy. Kiedyś podobna myśl pewnie by mnie zaniepokoiła - teraz jednak już się nie przejmuję. W przeszłości też stawały przed nami poważne wyzwania i kłopoty, a przecież udało nam się zwyciężyć i przetrwać. Nie złamały nas wojny, zgony, skandale. Chłopcy i wykładowcy przychodzą i odchodzą, ale Święty Oswald tkwi niewzruszony w swoich posiadach. Jest naszym małym skrawkiem wieczności.

Czy dlatego Julia-Dianne rzuciła szkole wyzwanie? To bardzo możliwe. W każdym razie wywalczyła sobie miejsce w sercu Świętego Oswalda - zaledwie

w trzy tygodnie stała się legendą. Ale co teraz? Czy wróci do niewidzialności - do zwykłego życia, pracy, może nawet rodziny? Czy tak właśnie postępują monstra, gdy herosów dopada starość?

Pozwoliłem, by przez chwilę hałas narastał. Teraz stał się już ogłuszający - jakby nie trzydziestu, ale trzystu chłopców wrzeszczało na całe gardło. Dzwonnica cała drżała, Meek zdawał się zafrasowany, i nawet gołębie podrywały się z balkoniku w trzepocie skrzydeł. Ta chwila na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Promienie zimowego słońca ostrym skosem wpadały do sali, muskając poprzewracane krzesła, poznaczone bitewnymi bliznami ławki i plecaki rozsiane po spłowiałej, drewnianej podłodze. W powietrzu unosił się zapach kredy i kurzu, drewna i skóry, myszy i ludzi. A w środku tego wszystkiego - chłopcy. Chłopcy z szeroko rozwartymi oczami, szczerzący zęby w uśmiechu. Podskakujący w górę, tupiący nogami, wybuchający śmiechem złoczyńcy, o palcach poplamionych atramentem, z koszulami wyciągniętymi na wierzch i w wywrotowych, jaskrawych skarpetkach.

Zazwyczaj najskuteczniejszy jest złowieszczy szept. Zdarzają się jednak szczególnie, rzadkie wypadki, kiedy należy wrzasnąć na całe gardło.

Otworzyłem usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Nie byłem w stanie wyprodukować choćby żałostnego pisku.

Rozległ się dzwonek zwiastujący rozpoczęcie sprawdzania obecności - dalekie brzęczenie, które raczej wyczułem, niż usłyszałem, w tym niesamowitym zgiełku. Nagle ogarnęło mnie przerażające przekonanie, że oto właśnie nadszedł już mój koniec. Że nie tylko straciłem głos, ale i zdolność panowania nad klasą. Że chłopcy, zamiast wyprężyć się przy ławkach na baczność, wypadną chaotycznie z klasy i potraktują mnie jak Meeka - zmuszą do niemrawych protestów w obliczu swego nieokiełznanego buntu. Przez moment w to wszystko wierzyłem, gdy tak stałem przy drzwiach z kubkiem kawy w dłoni, patrząc, jak wokół mnie chłopcy radośnie popadają w anarchię.

Chwilę później jednak ruszyłem stanowczo przed siebie, stanąłem na podkładzie podwyższenia, wsparłem się dłońmi o blat biurka i postanowiłem przetestować swoje płuca.

- Panowie, cisza!

Ach, jednak instynkt mnie nie zawiódł.

Czysto i donośnie - jak zwykle.

PODZIĘKOWANIA

Po raz kolejny winna jestem wyrazi wdzięczności dużej grupie ludzi - agentom, redaktorom, wydawcom, korektorom, ekspertom od reklamy i marketingu, zecerom i handlowcom, którzy ciężko się napracowali, by ta powieść mogła znaleźć się na półkach księgarskich. Specjalne miejsce na Tablicy Honorowej należy się kapitanowi drużyny hokejowej - Serafinie Clarke. Honorowe wyróżnienia: kapitanowi drużyny koszykarskiej - Brie Burke, organizatorce meczów wyjazdowych - Jennifer Luithlen, redaktorce magazynu szkolnego - Francesce Liversidge oraz, za promocję szkoły - Louise Page. Dodatkowe punkty przyznaje się: szkolnej sekretarce Anne Reeve oraz szefowi sekcji IT Markowi Richardsowi. Medal za osiągnięcia artystyczne wędruje do Stuarta Haygartha, natomiast nagroda za postępy w języku francuskim - do Particka Jansona-Smitha. Odznaki prefektów otrzymują: Kevin i Anouchka Harris, a specjalny tytuł „radosnego mistrza tkactwa” trzeci rok z rzędu przypada w udziale Christopherowi Fowlerowi.

Na koniec chciałam złożyć serdeczne podziękowania moim własnym „Brodie Boys”, mojej dawnej 3 H, członkom Roleplay Club i wszystkim kolegom z LGS - zbyt licznym, żeby ich wszystkich wymienić tu z nazwiska. Jeżeli się obawiacie, że odnajdzie się na kartach tej książki, uspokajam: NIKOGO Z WAS TU NIE SPORTRETOWAŁAM.